„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*"....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić".

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

ZE WSPOMNIEŃ
O
ADAMIE MICKIEWICZU.

(Czwarty tom *Listów A. E. Odyńca z podróży* — Pobyt Mickiewicza w Neapolu — Aleksander Potocki — Anastazya Klustin — Władysław Pusłowski — Sąd Mickiewicza o Symonie Klustinie — Wiersz z powodu robaczka świętojańskiego — Jadźwiński — Grób Wirgiliusza — Gniew Mickiewicza na uczonych pedantów — Niebuhr — „Głupcy tylko nie czują i nie boją się mocy Bożej" — Improwizacya Mickiewicza na ślubie Stattlera w Rzymie — Księżna Zeneida Wołkońska — Zkąd Mickiewicz czerpał materyał do swych arcydzieł — Poznanie się z prymasem Sycylii — Panie Ankwiczowe — Koty — List z Genui — Libretto Adama do opery — Poznanie się z poetami włoskimi — August Zamojski i Zygmunt Krasiński w Genewie — Zdanie Odyńca o Zygmuncie — Poznanie się Zygmunta z Adamem — Listy Zygmunta o Adamie — Adam o Zygmuncie — Na szczycie gór Jamanu — Panna Henryeta — Wieczór u staruszka Bonstettena w Genewie).

Nie było może w ostatnich latach tak popularnej i głośnej książki, jak *Listy z Podróży* Odyńca. Czytano je z niezmiernem zajęciem, wyrywano sobie z rąk, zachwycano i rozkoszowano się niemi, a krytyka tak ostra i nielitościwa czasem dla innych pisarzy, przyjęła dzieło sędziwego poety jednogłośnym chórem uznania i uwielbienia. Tak nadzwyczajne powodzenie i uznanie zawdzięczała książka niezawodnie i talentowi autora, umiejącego opowiadać z rzadkim wdziękiem i ujmującą prostotą, ale w przeważnej części nader ciekawemu przedmiotowi, zwłaszcza zaś licznym ustępom, poświęconym Mickiewiczowi. Owe ustępy były tem więcej pożądane, że szczegółowej i wyczerpującej biografii największego z naszych poetów nie posiadamy; wszystko więc, co się do tej genialnej i sympatycznej postaci odnosi, niezwykle nas interesuje, a każdy nowy szczegół, charakteryzujący poetę, przedstawiający go czy to jako pisarza, czy jako człowieka wśród warunków potocznego życia, jest dla nas miłym nabytkiem. Szczegółów tych dość dużo podają nam *Listy*, których autor przez dłuższy czas towarzyszył Mickiewiczowi za granicami kraju, a stanowią one największą zasługę i zaletę tej

książki, nie będącej zkądinąd tak nadzwyczajnem arcydziełem, za jakie ją okrzyczano. Daremniebyśmy w niej szukali poważniejszych, głębszych poglądów, owoców samodzielnych badań, i studyów, poetycznych opisów kraju, bystrych spostrzeżeń na temat literatury i sztuki. Tego wszystkiego nie ma tutaj; dlatego też należy uznać poniekąd za uzasadnione surowe zarzuty jednego z wytrawniejszych tegoczesnych krytyków p. Piotra Chmielewskiego, który jednakże w krytyce swojej posunął się za daleko i o tyle zbyt lekceważąco o nich się wyraża, o ile inni arystarchowie nie znają miary w przesadnych zachwytach.

Czwarta serya *Listów z Podróży* zawiera mniej materyałów do biografii autora *Wallenroda*, aniżeli poprzednie, a i te ograniczają się przeważnie do szczegółów zewnętrznych. Mickiewicz, jako prawdziwy Litwin, lubo nie skryty, nie był jednak skorym do serdecznych wynurzeń i wywnętrzeń, nie lubił odkrywać głębin wzniosłego serca i rozrzucać skarbów wielkiego ducha. Trzeba też pamiętać, że młody i żywy Odyniec nie dorósł do wysokości duchowego nastroju poety. Uważany przez niego niemal jako dziecko, przestając z nim codziennie przez miesięcy kilkanaście, nie potrafił zbadać istoty jego charakteru, głębszych uczuć i tajniejszych myśli. To też w *Listach* znajdujemy tylko zapiski treści zwykle zewnętrznej, przedstawiające nam rysy charakteru poety proste, nikłe, a niekiedy nawet trywialne.

Czwarty tom *Listów z Podróży* zaczyna się z chwilą przyjazdu naszych podróżnych do Neapolu, pięknym opisem tego miasta. „Patrząc się na nie z dołu — pisze Odyniec do Ignacego Chodźki — mimowolnie przychodzą ci na myśl wiszące Babilońskie ogrody Semiramidy; a te domy po nad domami, kościoły nad kościołami, ulice nad ulicami, zwłaszcza przy oświetleniu wieczornem, podobniejsze zdają się raczej do jakiejś dekoracyi teatralnej w czarnoksięzkim jakimś balecie, niż do miasta z kamieni i cegły“.

Spotkano się tu z dawnym znajomym, „nieocenionym“ Aleksandrem Potockim, który rozmiłowany w pięknościach neapolitańskich okolic, chciał być ciceronem Adama, a ponieważ ostatni „częściej lubił milczeć jak mówić, częściej dumać niż słuchać“ więc wykręcał się od tego towarzystwa i wędrował we dwóch z Odyńcem, zachwycając się cudami natury i nawiązując rozmowę do historycznych i poetycznych wspomnień, wspominając nawet i o dziecinnych swych latach.

Ośm listów z Neapolu poświęcił autor opisowi tak tego miasta, jak okolic, teatrów, ważniejszych gmachów i wszystkich małych miasteczek z dokładnem wyszczególnieniem liczby mieszkańców, pięknych twarzyczek i przygód romantycznych. Ta część książki nie należy do zajmujących, gdyż więcej o tem wszystkiem, możnaby się dowiedzieć z Baedeckera, co czuł sam autor, mówiąc: „Mnie wstyd jakoś, wyznaję, popisywać się przed wami erudycyą, nabytą świeżo z *Guide du Voyageur*, lecz czem chata bogata, tem rada“. Ale i obok tych pospolitych wiadomości rozproszył szanowny korespondent dość dużo wzmianek o wielkim poecie i o towarzystwie, w jakiem się wówczas obracali. Wymienia więc między innymi Anastazyę Klustin, przybyłą wraz z matką i bratem Symonem na całe lato. „Dobry chłopiec jak widać — mówi o Symonie — ale jakoś nie naszego nastroju. W pół dandy, w pół literat, a zagorzały bajronista“. Dalej wspomina o znajomym z Wilna Władysławie Pusłowskim, „żyjącym w wielkim świecie, pozującym na wielkiego pana, czego w Potockim nie ma ani cienia. To też tego ostatniego Adam lubi jak mało kogo, a co on, to prawdziwie kocha się w Adamie — za co znowu i ja go kocham“ — dodaje. Naiwne to powiedzenie, ale wskazuje dobitnie, jak gorąco i szczerze kochał Mickiewicza Odyniec. Jak go wysoko stawiał, dowodzą słowa o Symonie Klustinie. „Jest on — powiada — skończonym typem tak zwanych bajronistów dzisiejszych, a jak Adam powiada, i tych wyższych warstw męzkiego społeczeństwa, w których dotąd młodość swoją przepędzał. Nic mu nie brak, oprócz ideału; tego — jak mówi Pascal — namaszczenia ducha ludzkiego, co jego samego nad ciało, a ciało to jest serce, wznosi po nad ziemię. Brak mu tego, co jest jakby wcielone w Adamie: świadomości celów życia, któreby kochał i w którebý wierzył. To też najciekawszym przedmiotem obserwacyi dla mnie jest stopniowy nań wpływ Adama, i sposób, jakim się to dzieje. Bo wiesz, że nie ma pewnie drugiego człowieka na świecie, coby mniej dbał, lub starał się o to, jak Adam. To też on się wcale nie stara; jest tylko zawsze sobą w duchu i prawdzie, a już ten duch i prawda działają zda się same, jakby magnetycznie. Wpływ ten dla p. Symona jest rzeczywiście prowidencyonalnym, za jaki go też uważają matka jego i siostra. Czy go on sam czuje i uznaje, ja nie wiem; ale dla drugich jest on oczywistym; dla mnie zaś staje się kluczem do rozwiązania wielu psychicznych i dziejowych zagadek w przeszłości, i motywem do marzeń na przyszłość. Takiemi to a nie innemi drogami duch

chrześcijański wkroczył na Kapitol, a potem z niego Gotów i Wandalów oświecił; a przez jakie sposoby on sam się najprzód oczyszczał i wzmagał, w tem już jest tajemnica woli Bożej, bez której nic się na świecie nie dzieje".

W innem znów miejscu pisze do Adama, zazdroszczącego p. Edwardowi, że robaczek świętojański siadł mu na piersiach:

Ty mi zazdrościsz, że na sercu mojem
Siadł robaczek świętojański,
Ty, na którego, jak ognistym zdrojem
W natchnieniu spływa duch pański.

Ty, od którego, jak krąg aureoli
Bije blask prawdy i chwały,
By serca braci, w smutku i niedoli
Gwiazdę nadziei w nich miały.

Wyliczając znajomych, musimy dodać i Jadźwińskiego, znanego autora metody chronologicznej w nauce historyi: „Przyjechał tu także z Rzymu i Jadźwiński, i gdyby nie ta nieszczęsna monomania tabelkowa, byłby z niego nader miły towarzysz; bo i dobry człowiek i wiele umie i nadewszystko w obejściu prostota i serdeczność litewska, bez żadnej blageryi i fanfaronady".

W takiem towarzystwie miło spędzali czas na oglądaniu co rano muzeów, albo zwiedzaniu kościołów i okolic, a nakoniec na zabawie i w teatrze z Klustinami i Potockim. W jednym z listów opisuje Odyniec wycieczkę do Puzzoli i Solfatary, obchodzącą nas bliżej, gdyż w niej uwydatnia się piękna strona charakteru poety. „Po drodze — pisze do Juliana Korsaka — zwiedziliśmy grób Wirgiliusza, który panna Anastazya chciała koniecznie pokazać Adamowi. Leży tuż przy wejściu do groty Pausilippu, wśród bujnej zielonej winnicy, na dosyć przykrym wzgórku, zkąd śliczny widok na morze i miasto. Kształt jego czworogranny u spodu, okrągły u wierzchu. Sławny laur, zasadzony tu niegdyś ręką Petrarki, „całkiem wyrwali i rozkradli Anglicy". Tak powiadała nam stara ciceronka, z wielkiem zawstydzeniem jakiegoś młodego Anglika, który wraz z nami pomnik ten oglądał. Adam gniewał się strasznie na uczonych pedantów, którzy dla popisu z erudycyą i krytycznym swoim niby rozumem, odzierają z uroku legendarnych podań sławne historyczne fakta albo pomniki, w które je wiara i miłość ludu, jak ołtarz w kwiaty przybrała, i jak świętość czciła przez wieki. Jeden z takich ichmościów napisał niedawno całą książkę, dowodząc, że

to nie jest grób Wirgiliusza, ale tylko proste jakieś *columbarium*. „A czy on był na pogrzebie?“ zapytał Adam; i z oburzeniem cytował Niebuhra, który tak wytrwałości Mucyusza Scevoli jak i odwadze Horacyusza Koklesa stanowczo w dziele swojem zaprzecza, fundując się zapewne na poczuciu własnem, że on sam za nic na świecie nie dałby sobie przypiec nawet palca, a przed pierwszym nieprzyjacielem nieochybnieby uciekł. Adam widzi w tem wszystkiem sprawy tego samego niemieckiego djabła, który jak w religii, tak i w historyi chciałby wszystkim cudownym wpływom i natchnieniom z góry zaprzeczyć, a sam kusy i czarny, wszystkiemu obciąć skrzydła i poły, i wszystkie aureole pogasić“.

W słowach powyższych maluje się poszanowanie Mickiewicza dla pamiątek i podań przeszłości, tem chwalebniejsze, że tak rzadko się obecnie spotyka jakoteż i wiara w moc wyższą. „Wczoraj — opowiada Odyniec — całe rano srożyła się okropna burza na morzu i lądzie, której przypatrywaliśmy się z okna, paląc fajki i podziwiając wspaniałość i grozę widoku: czarnych chmur i spienionych, piętrzących się wałów. Aż gdy ja na błysk i łoskot bliskiego piorunu, przeżegnałem się i schyliłem głowę. Adam powstał, odstawił fajkę, i zamilkł. Po chwili oparł rękę na mojem ramieniu i, patrząc mi po swojemu w oczy, odezwał się bardzo poważnie: „Masz racyę! głupcy tylko nie czują i nie boją się mocy Bożej““.

Nakoniec, po kilkutygodniowym pobycie w Neapolu, zwiedziwszy Wezuwiusz, Pompeę i Herkulanum, powrócili do Rzymu, gdzie tylko mimochodem zatrzymali się, spiesząc do Szwajcaryi. Na wstępie do wiecznego miasta, spotkali znajome twarze i serca życzliwe, Garczyńskiego, Stattlera i Gajewskiego, a nakoniec księżnę Zeneidę Wołkonską, która naumyślnie na kilka tygodni przybyła do Rzymu, dla zobaczenia się z Mickiewiczem.

W tym czasie odbył się ślub Stattlera, opisany w *Listach* długo i szeroko; wspomina tam Odyniec o improwizacyi Adama na temat natchnienia i celów sztuki. „Improwizacya ta — mówi — była tak prześliczną, że nawet najstarszy z nas, Craffonari, nie był panem swego wzruszenia i pierwszy po skończeniu, zerwawszy się z krzesła, zaczął ściskać i całować Adama; a co Sogni, kolega Stattlera, to płakał jak bóbr. Treścią improwizacyi (prozą po francuzku) było, że: jak talent i natchnienie są darem Bożym, tak i sztuka i praca artysty powinny myśli i uczucia ludzkie obracać i podnosić ku celom Boskim, zaczynając w tem naprzód od niego samego. Po tej przemowie i przy wywołanem przez nią wrażeniu, wszelkie dal-

sze dysputy ucichły“ — pisze dalej Odyniec pełen admiracyi dla geniuszu i wymowy towarzysza.

Mickiewicz, podobnie jak Goethe i inni wielcy poeci, czerpał nieraz materyał do swoich arcydzieł z wypadków rzeczywistego życia; tylko jako prawdziwy geniusz zużytkowywał go artystycznie, przetwarzał umiejętnie, umieszczając takie epizody nakształt kamyków w świetnej mozajce, gdzie wszystko jest na swojem miejscu, wedle prawideł symetryi i zgóry mistrzowską ręką nakreślonego planu. Ten sposób tworzenia tłómaczy nam tajemnicę jednej z największych zalet dzieł naszego wieszcza, tłómaczy nam ową niezrównaną plastykę, ową głęboką psychologiczną prawdę i ów szlachetny realizm, jakim tchną jego najidealniej pomyślane, piętnem najwyższej poezyi nacechowane utwory. Jak w poezyach Göthego, umiejętnej krytyce, bez ujmy dla poety, udało się wyśledzić, pod jakiem wrażeniem i wśród jakich okoliczności powstały owe kamyki, tak i u nas zaczęto już podobną pracę. Wiele w tym kierunku uczynił profesor Nehring, rozdzielając w *Ateneum* „*Pana Tadeusza*“ na części składowe, a lubo zaledwie dotknął przedmiotu, wskazał jednak metodę, jakiej przy takich studyach trzymają się na Zachodzie. Dawniejsze tomy *Listów* Odyńca i zwierzenia samejże panny Henryety nauczyły nas, na jakiej realnej podstawie oparty był ustęp o miłości Jacka Soplicy do panny Ewy i o stosunku przezornego kasztelana do butnego szlachcica; opowiadanie Klemensa Kanteckiego, p. t.: *Mickiewicz w Śmiełowie* wytłómaczyło nam, co dało impuls poecie do niektórych drobniejszych epizodów, wplecionych w epopeję — z niniejszego tomu dowiadujemy się, że komiczna scena, w której starzejąca się romantyczka Telimena miłość do uroczej natury przypłaca niespodzianą przykrością, wzięta jest również z rzeczywistości, bo z własnego smutnego doświadczenia. Oto dowód: „Położenie miasteczka *Civita Castellana* prześliczne: na górze, otoczone z trzech stron głębokim, malowniczym wąwozem, najpiękniejszemi drzewami porosłym, a w skutek ich cienia i chłodu, jak aksamitną zielonością zasłanym. Zwabieni tem, wprost po obiedzie poszliśmy tam z Adamem na spacer, i upatrzywszy nakoniec stosowne miejsce, przylegliśmy z rozkoszą, jak Tytyr *sub tegmine fagi* na murawie, pod drzewem oliwnem. A jest to rozkosz nie lada we Włoszech, gdzie drzewa rosną zwykle na roli, a pług czy rydel, aż do pnia dotyka. Gawędka szła w najlepsze — gdy w tem nagle czuję jakiś ruch lekki po ciele, jakby przebieg obcego żyjątka — i nim mogłem sięgnąć ręką w to miejsce, rój

podobnychże ruchów rozsypuje się po mnie, jak żyjący piasek. Widocznie jak oblężnicy przy szturmie, zrobiwszy, czy znalazłszy gdzieś wyłom, wpadają do środka fortecy — ale kto? co? sam nie wiem. Aż tu i Adam raptem zrywa się na nogi — i przy reszcie światła zachodu, widzimy, jak całe nasze dolne odzienie aż połyskuje ruchomie od mrówek. Nie umiem ci opisać tego wstrętu, czy zgrozy, jakim przejął mnie widok tej plagi egipskiej. Popiel zapewne czuł coś podobnego, gdy już myszy nań wbiegać zaczęły. A w tem też nasi zdobywcy zaczynają dawać nam uczuć: *vae victis* to jest, po prostu kąsać czy kłuć żądełkami Samsonowym ruchem oburącz więc otrząsłszy się z wrogów zewnętrznych, żeby ich i ze środka wypłoszyć musieliśmy w cwał prawie wracać do oberży, i tam rozebrać się do nitki, wytrząsając przez okno każdą sztukę odzienia, aby wróg nocnej nam w izbie kampanii nie urządził. Wykonywaliśmy to wszakże wesoło, śmiejąc się i konceptując, ale tak to nas zmordowało, że już nie mam dziś weny opowiadać ci treści rozmowy, która wszakże wartą jest tego".

Ktokolwiek przeczyta ten opis, temu mimowoli przypomni się dotkliwa klęska, jaką Telimena poniosła w Świątyni Dumania:

„Gdy nagle Telimena zrywa się z siedzenia
Rzuca się w prawo, lewo, skacze wskróś strumienia
Rozkrzyżowana, z włosem rozpuszczonym, blada,
Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
I nie mogąc już powstać, kręci się po darni.
Widać z jej ruchów, w jakiej strasznej jest męczarni.
Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana.
Skoczył Tadeusz myśląc, że jest pomięszana,
Lub ma wielką chorobę...

Mrówki „znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki, wbiegły gęsto, zaczęły łaskotać i kąsać":

Telimena musiała uciekać, otrząsać,
Nakoniec na murawie usiąść, owad łowić...
Nie mógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić....

Zdaje nam się, że nierównie słuszniejszem jest to przypuszczenie Odyńca, aniżeli zbyt stanowczo przez niego wypowiedziany domysł, że „obraz Maćka w *Panu Tadeuszu*, gładzącego białe króliki", jest reminiscencyą następującej sceny:

„Przed wyjazdem na wycieczkę — pisze Odyniec — zrobiliśmy nową i bardzo interesującą znajomość, z jedną wielką znakomitością tutejszą, choć ta już dzisiaj sama do zabytków przeszłości należy. Jest nią monsignor Capece Latro, arcybiskup Tarenteński,

prymas królestwa Obojga Sycylii, były minister spraw wewnętrznych, za byłych królów: Józefa Bonapartego i Murata, teraz zaś 86-letni starzec i jako w niełasce u dworu, prowadzący życie prywatne. Znające go panie Klustin, mówiły mu o Adamie, a że jest wielkim przyjacielem Polaków, więc go pragnął widzieć u siebie. Adam przystał na to tem chętniej, że już od pp. Ankwiczów wiele słyszeliśmy o nim, jako o bardzo rozumnym i wielce niegdyś potężnym politycznym człowieku, który na losy swojej ojczyzny wielki, a zawsze tylko zbawienny wpływ wywierał; teraz zaś, jako na wpół zdziecinniały staruszek, odznacza się zwłaszcza ekscentrycznem, a namiętnem przywiązaniem do kotów, jak czcigodny nasz Oleszkiewicz.

„Pojechaliśmy więc do niego z paniami i panem Klustinem. Przyjął nas siedząc w krześle, nakształt tronowego, i trzymając na kolanach ogromnego żółto-białego i rzeczywiście dziwnej piękności angorskiego kota, Signora Mirandola, jak go wnet sam zarekomendował. Przed krzesłem i po obu jego stronach, były trzy wielkie taborety, podobnież jak samo krzesło purpurowym aksamitem wybite i złotemi po rogach kutasami ozdobione. Średni był próżny; na bocznych zaś leżały zwite w kłęb dwa inne, niemniej duże i piękne koty, tegoż samego gatunku; a nad kanapą, w przepysznych złoconych ramach, portret czwartego, doskonale malowany, wyobrażający zgasłą niedawno Signorę Mirandolinę, małżonkę właśnie owego faworyta, którego trzymał na ręku, a matkę dwóch śpiących po bokach. Wszystko to, opowiadał nam sam obszernie, zaraz po pierwszych komplementach powitania Adama, i nieraz w ciągu tej narracyi apostrofując żałośnie biednego „wdowca-sierotę“, którego przytem gładził bezprzestannie i schylając się niekiedy, twarz ku niemu przytulał. Potem wszakże z wielką jasnością i rozumem rozmawiał długo z Adamem o wielu rzeczach poważnych, a zwłaszcza o wpływie Napoleona na Włochy, po którym, jak się wyraził, spodziewał się zupełnego kiedyś odrodzenia ich dawnej potęgi i chwały. „Ale Opatrzność widać inaczej rozrządziła“ — dodał, wznosząc oczy i ręce do góry. Kiedy zaś Adam nawzajem rozwijał przed nim ulubioną swą tezę:

„Że chociaż dziś skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich działać może płodnie“,

staruszek tak widocznie był kontent, że wyciągając ku niemu przy pożegnaniu obie ręce, o ile kot na to pozwalał, wszystkich

nas na pojutrze, t. j. na pierwszy dzień Zielonych Świątek na objad do siebie zaprosił".

Analogiczny ustęp w *Panu Tadeuszu* brzmi jak następuje:

„Wyniósł traw, liścia; usiadł przed dom, świsnął;
Na ten świst rój królików z pod ziemi wytrysnął,
Jako narcyzy nagle wykwitły na trawę,
Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny
Gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny:
Już króliki na łapkach stają; każdy słucha,
Patrzy; nakoniec cała trzodka białopucha
Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.
On sam, biały jak królik, lubi ich gromadzić
W koło siebie, i ręką ciepły ich puch gładzić;
A drugą ręką z czapki proso w trawę miota
Dla wróbli; spada z dachów krzykliwa hołota".

Jak widzimy, podobieństwo między Maćkiem nad Maćkami i jego królikami a rozmiłowanym w kotach arcybiskupie tarentyńskim jest zbyt małe, ażeby się godziło „śmiało ręczyć", że ten ustęp zawdzięczał swój początek wspomnieniu chwil, spędzonych przez poetę razem z monsignorem Capece Latro.

Wyjechawszy z Rzymu, podróżują obaj poeci prawdziwie „po polsku, co znaczy w pół po poetycku, w pół po pańsku, używając swobodnie dzisiaj — a jutro — jakoś tam będzie" — zatrzymują się gdzie niegdzie, zwiedzają niektóre sławniejsze rzeczy, zanotowane w *Guide du Voyageur*, a rozmawiają zawsze swobodnie to o tem, to o owem; Odyniec przytacza niektóre ustępy z rozmów, jak np. o gatunkach rozumu ludzkiego. Dowiadujemy się ztąd, że „za fundament gmachu ludzkości uważa Adam rozum chłopski czyli gospodarski — w antresolu tego gmachu umieścił się podług jego zdania, rozum szkolny, a dopiero na piętrze mieszka prawdziwy pan, rozum mądry, oświecony światłem wiary, który losami gmachu, jak sternik okrętem kieruje". Całą tę dystynkcyę rozumów spowodowała rozmowa o rozumie Garczyńskiego, który Mickiewicz umieścił w antresolu. „Rozmowa z Adamem — pisze dalej zachwycony Odyniec — jest dziś tak ciepłą, tak barwną, tak promienistą, jak najpiękniejszy wieczór i zachód słoneczny".

List z Genui jest dla nas bardzo ciekawym i ważnym, gdyż Odyniec podaje tam treść libretta do opery, które na gorące i usilne prośby dyrektora orkiestry, rodaka Mireckiego, postanowił Mickie-

wicz napisać. Poznali się nasi podróżnicy z Mireckim w teatrze; muzyk przybiegł do nich na odgłos polskiej mowy, poznał się z nimi i przegawędził wszystkie antrakty, a nazajutrz raniuteńko był już u nich z wizytą. „Miły, żywy, serdeczny, i pełen młodzieńczego zapału — opisuje go autor *Listów z Podróży* — od razu ujął mnie za serce. Fanatycznie rozmiłowany w swojej sztuce, niczego tyle nie pragnie, jak żeby mógł ułożyć muzykę do jakiej opery polskiej i przeto uczepił się jak pijawka do Adama, aby dla niego *libretto* napisał. Adam nie jest od tego, i cały wieczór wczoraj, chodząc po nad morzem, planowaliśmy razem rozmaite szczegóły treści, którą on sam już z gruba wymyślił, a do której wspólnego obrobienia mnie wzywa. Treść ta w głównych zarysach jest taka. Legionista Polak pozostał ranny we Włoszech, a jako amator sztuk pięknych, a mianowicie muzyki, upodobał sobie w nowej ojczyznie i zamieszkał w nadmorskiem miasteczku. Lubią go i szanują wszyscy, bo jest szlachetny, serdeczny, a nadewszystko waleczny. Sam tylko burmistrz miasteczka, także zapalony meloman, znieść nie może jego śpiewania, a on właśnie ma namiętną ochotę i największą pretensyę do tego. Ztąd niechęć i poróżnienie i ztąd nieprzeparta przeszkoda do małżeństwa z córką burmistrza, która, chociaż sama śpiewaczka i zdanie ojca co do śpiewu Polaka podziela, kocha w nim jednak nawzajem rycerza, i wszelkich usiłowań dokłada, aby ojca z kochankiem pojednać. Wdają się w to i drudzy, i cały magistrat miasta *in corpore* stara się albo zmiękczyć burmistrza, albo nakłonić Polaka, aby śpiewać zaprzestał. Ale jedno i drugie napróżno. I na tem się ma kończyć akt pierwszy. Akt drugi ma się zacząć od popłochu w mieście. Doszła wieść, że zbójcy morscy tak zwani Barbareski ukazali się na wybrzeżu, kilka już miast sąsiednich złupili i gotują się do napaści na miejsce akcyi dramatu. (Notabene, napady Barbaresków zdarzały się rzeczywiście często za dawnych czasów; nawet przed kilku laty obawiano się ich na seryo w Fiumicino pod Rzymem). Otóż popłoch wskazuje potrzebę obrony, a nikt prócz Polaka nie zna się na sztuce wojennej. Znowu więc deputacya do niego. Ale on przypomina sobie Iliadę, czytaną niegdyś w szkołach i pozuje na Achillesa, któremu Bryzeidę wydarto. Lecz i burmistrz też, jak Agamemnon, czuje godność swej dostojności, i chociaż się boi straszliwie, ufa jeszcze, że Barbareski nie przyjdą i nie daje się złamać w uporze. Rokowania te zapełniają akt drugi, i mają dostarczyć motywów do duetów, tercetów, kwartetów i t. d. Akt kończy się chórem wieśniaków, uciekających do miasteczka

z okolic, bo się już Barbareski ukazali na morzu. Akt trzeci ma się zacząć w dzikiej przystani, wśród skał, lasów, jaskiń, przepaści, i wszelkiego rodzaju okropności. Barbareski z okrętu przypływają na łódkach (chór, ma się rozumieć, śpiewając) i zakładają tam swój obóz, mając w nocy napaść na miasto. Cel ich główny jest porwać piękną Sylwię, o której wdziękach bej Algerski zasłyszał. Ona tymczasem w miasteczku odegrywa rolę Patrokla, albo matki Koryolana, t. j. udaje się sama do kochanka — i miłość, w połączeniu z honorem polskiego szlachcica, odnosi tryumf nad sercem rycerza. Nie pozwalają mu żyć dla niej, idzie więc walczyć za nią, i choćby zginąć w jej obronie. Zapał rycerski udziela się kochance. Staje sama na czele kobiet, aby kierować obroną miasteczka; gdy Tadeusz (to ma być imię Polaka) wyprawia się na czele mężczyzn, aby z nienacka uderzyć na wrogów. W miasteczku jest muzeum starożytności pod strażą fanatyka-archeologa, jak burmistrz i Tadeusz są fanatykami muzyki i śpiewu. Sylwia dla swoich amazonek zabiera u niego stary oręż i zbroję, w którą się ubierają, mimo oporu i rozpaczy stróża (To jest mój pomysł). Stary burmistrz, umierając ze strachu, modli się z chórem niezdolnych do broni, za pomyślność wyprawy Polaka. Goniec od niego przynosi wieść o zwycięztwie i o ucieczce Barberesków. Dzwony zamiast bicia na trwogę, zaczynają *karyllonować* radośnie. Zwycięzcy powracają w tryumfie. Amazonki w zbrojach spotykają zwycięzców. Lud i magistrat błagają burmistrza. Burmistrz błogosławi kochanków. Tadeusz w uniesieniu szlachetnem obiecuje nie śpiewać nigdy przed burmistrzem, poprzestając na duetach z Sylwią. Pragnie tylko raz jeszcze zanucić pieśń łabędzią, pieśń, którą legiony śpiewały. Lud cały, a z nim sam burmistrz wtorują chórem pieśni Tadeusza. Głos jego po raz pierwszy nie razi, ale owszem wzrusza burmistrza. Śpiewak tryumfuje — i płacze. Sylwia rzuca się w jego objęcia — i kortyna zapada.

Taki jest główny szkic *libretta*. Czy z niego kiedy utworzy się obraz? Euterpie chyba tylko i Talii wiadomo. Ale Mirecki tak był nim zachwycony, że cały wieczór bawiąc wczoraj u nas, układał już w myśli i nucił nam melodye przewidywanych aryj i chórów".

W Genui także spotkali się nasi wędrowcy z Augustem Goethem, który podróżował po Włoszech, i przepędzili kilka miłych dni na wspólnem zwiedzaniu wspaniałego miasta. Ostatni to raz widzieli się z synem wielkiego niemieckiego poety, gdyż w trzy

miesiące później zakończył życie w Rzymie. Odyniec wspomina tu także mimochodem o poznaniu poetów włoskich: Manzoniego, Tomasza Grossi, autora powieści historycznych w kształcie epopei i Tomasza Torti, liryka.

Wyjechawszy z Genui i przepłynąwszy jezioro Lago Maggiore, obaj nasi podróżnicy puścili się piechotą przez góry do Szwajcaryi. Nie miejsce tu opisywać choćby w najkrótszem streszczeniu długą, mozolną, ale piękną ich podróż. W następujących po sobie kilku listach, a raczej dzienniczku z pieszej podróży, Odyniec najwięcej pisze o piękności natury, niebezpieczeństwach, na jakie narażali się, przebywając niedostępne góry, przechodząc po wąziutkich lodowych kładkach po nad niezgruntowanemi przepaściami, w końcu o bojaźni swej, posuniętej do tego stopnia, że opuścił Mickiewicza samego w najtrudniejszem miejscu. Ale przyznaje się, że w skutek tego uczuł tak żywy wstyd, rozpacz i zgryzoty sumienia, że o mało nie oszalał; w końcu obaczywszy pasterzy alpejskich, przeszedł z niemi po tem najniebezpieczniejszem miejscu i złączył się z wracającym szczęśliwie Adamem, który przyjął go wymówkami za narażanie się. „Niewdzięczny! — woła z goryczą Odyniec. Zamiast radość moją podzielić, złajał mnie tylko, że ja go teraz narażam na niespokojność, jak to przykre miejsce napowrót przebędę!“ Ale jakoś powiodło się szczęśliwie; że zaś niebezpieczeństwo było istotnie groźne, świadczy skromny, ale dosadny przypisek Mickiewicza w dzienniku swego towarzysza: „Chwała Bogu! że już z powrotem z *Morza Lodów* i z *Jardin* na *Montanvert!*“

Nareszcie spuścili się z gór i przybyli do Genewy, oczekując z niecierpliwością listu od pp. Ankwiczów, którzy bawili w Paryżu podczas rozruchów, a nie dawali znać o sobie. „Niespokój ten — czytamy — tak udręczał Adama, że zdrowie nawet jego ucierpiało na tem widocznie i przez kilka dni był formalnie chory“. W Genewie zastali już państwa Klustin, czcigodnego staruszka Bonstettena i dawnych znajomych Odyńca z Warszawy, Augusta Zamojskiego i Zygmunta Krasińskiego. Dwóch tych ostatnich tak opisuje Odyniec w liście do Ignacego Chodźki: „Z Augustem, wiesz, że przez dwa lata mieszkałem razem w Warszawie, a całe zaprzeszłe lato przepolowaliśmy na wsi, w ordynackich dobrach jego ojca. Jest to najszlachetniejszy, najzacniejszy młodzian, mogący ujść za ideał rozwagi i roztropności praktycznej, połączonej z surowem poczuciem i sumiennem pełnieniem wszelkich powinności moralnych. Kontrast najdoskonalszy z Krasińskim! który przy najwznioślejszej także szla-

chetności uczuć i myśli, ma je wszystkie takie skrzydlate, że ciągle tylko bujają nad ziemią i są wiecznie w usposobieniu owego sokoła w Wallenrodzie, który:

> Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
> Po niezmierzonych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
> Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy —
> Idź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj sokoła!....“

Niezmiernie zajmujące i cenne są następne wiadomości o przyszłym autorze *Irydiona*, któreby dla biografa poety były tem ważniejsze, gdyby się dało skonstatować, że cały ustęp napisany był istotnie w sierpniu 1830 r., że nie został dopełniony w trzydzieści lat później, „O tej klatce — pisze Odyniec — dla siebie, mógłby on dziś chyba powiedzieć, co niegdyś młody Bonaparte o kuli, kiedy go ostrzegano, aby się nazbyt nie narażał w bitwie: *La balle, qui me tuera, n'est pas encore fondue.* A kto wie, do jakiej wysokości wznieść go mogą te skrzydła, gdy ich burza, da Bóg nie złamie, albo wicher w bok nie uniesie! Rok ledwo, jak go po raz ostatni widziałem w Warszawie, a cóż to już w nim za różnica! Rychtyg jak między panienką w krótkiej a długiej sukience. Tam, to był jeszcze tylko bystry, sprytny, przenikliwy studencik; teraz, choć ma zaledwie rok 18ty, jest to już pełen siły i zapału młodzieniec, i genialny — jeżeli może jeszcze nie myśliciel, to przynajmniej marzyciel — poeta; chociaż wierszy zgoła pisać nie umie, i w prozie tylko probuje sił swoich. Prawda, że jest on też tu właśnie jak kwiat czy owoc dojrzewający na słońcu, to jest, rozwija się i dojrzewa nie przez to tylko, że się uczy i myśli, lecz że i po raz pierwszy kocha się na dobre — jak młodzieniec po poetycku. Miał on już i w Warszawie wielki zawsze ku temu pochop i ochotę i przedmiotem studenckich jego westchnień i uwielbień była, nie wiedząca może o nich, pełna rozumu i uroku, wychowana prawie z nim razem, ale starsza od niego kuzynka pani hr. Z...., która czasowo potem w domu generała, jako opiekuna swego, mieszkała. Ja o tem wiedziałem przez to, że po każdym czwartkowym objedzie, na których on jeszcze nie bywał, a ona prezydowała zwykle, jako jedyna dama i gospodyni domu, musiałem mu zdawać sprawę ze wszystkich jej słów u stołu, istotnie nieraz bardzo trafnych albo dowcipnych, a których on był ciekawszy, niż literackich dysput z klasykami. A i o tych zwykle dowiadywał się on odemnie w swoim pokoju, podczas gdy inni goście, w gabinecie generała, palili przy

kawie cygara, a Julian Ursyn, siedzący przed kominkiem, fajeczkę. Za toż teraz, jakby przez wdzięczność, obsypuje mnie konfidencyami o tej swojej nowej miłostce, którą sam za prawdziwą już miłość uważa i nie daje się wcale nawrócić na promionkową naszą teoryę Wileńską, którą ja mu wszakże wykładam. Jestto obecnie węzeł, który nas tu łączy najściślej, tak jak w Warszawie niegdyś poezya łączyła. Ale co dziwna, to, że zimny, rozważny i surowy p. August jest dlań także w tym względzie Halbanem, t. j. „i duszy jego spowiednikiem i serca jego powiernikiem“, chociaż on sam i tę jego iskrzysto-gorącą i tę moją obłoczno-tęczową teoryę miłości, zarówno głupstwem, bez ceremonii nazywa, a tylko jedną sakramentalną za prawdziwą i świętą uważa. Ta wszakże różnica w poglądach nietylko źle nie wpływa na ich wzajemny stosunek, ale owszem tworzy między nimi tę prawdziwie „szczęśliwą przyjaźń“, przez którą jeden drugiego ożywia i hamuje“.

Odyniec zapoznał Zygmunta Krasińskiego z Mickiewiczem i to w najzwyczajniejszy w świecie sposób wbrew fantastycznej legendzie, wedle której poznanie dwóch genialnych poetów miało nastąpić przy *Ostatniej myśli Webera*, odegranej przez Krasińskiego. Spotkanie swoje z autorem Grażyny opisuje sam Zygmunt w liście do ojca: „Jestem — donosi — w Genewie i widziałem się z Odyńcem, który mnie zaprezentował Mickiewiczowi, który mnie bardzo grzecznie przyjął. Ale jest bardzo blady i słaby, średniego wzrostu, wychudłej twarzy, ale pięknych, spokojnych melancholicznych rysów. Jest on zimny, ponury, wygląda na bardzo rozsądnego człowieka. Ja myślałem, że wcale przeciwnie. Dziwne sobie robimy czasem o ludziach wyobrażenie, które upada za ich poznaniem“.

Niezadługo jednakże zmienił Krasiński zdanie o naszym wieszczu. Puścili się na długą i trudną wycieczkę w góry Berneńskie, gdzie 18-letni Zygmunt lepiej poznał i ocenił gieniusz Adama. „Odbyłem, pisze, podróż po Szwajcaryi widziałem okolice, których wpierw się nawet domyślić nie mogłem i poznałem bliżej Mickiewicza; teraz prawdziwie szczęśliwą nazywam tę godzinę, w której zdecydowaliśmy, że razem pojedziemy“. „Mickiewicz się ożywił, pisze nieco dalej, i z nami lepiej zapoznał. O! jakże fałszywe sądy były o nim w Warszawie! Rozległej jest on nauki; umie po polsku, po francuzku, po włosku, po niemiecku, po angielsku, po łacinie i po grecku. Doskonale zna politykę europejską, historyę, filozofię, matematykę, chemię i fizykę. W literaturze nikt może w Polsce tyle nie ma znajomości. Słysząc go mówiącego, zdaje się, że każdą książkę

czytał. Sądy ma bardzo rozsądne i poważne o rzeczach. Smutny zwyczajnie i zamyślony; nieszczęścia już mu zmarszczki na 30-letniem czole wyryły. Zawsze spokojny, cichy, ale znać we wzroku, że rzucona iskra zapali śpiący płomień w piersiach. Wydał mi się być ideałem człowieka uczonego i gieniuszu pełnego.

„Rozmowy z nim miane — pisze jeszcze Zygmunt — oświeciły mnie w wielu względach, co do literatury i filozofii. Niechaj ojciec wierzy, że to nie stronność, ale prawda, co powiadam. Jest to człowiek zupełnie na równi z europejską cywilizacyą, umiejący dziwnie dobrze godzić realność suchą życia z najwznioślejszemi pomysłami poezyi i filozofii idealnej; mający najczystsze zamiary i chęci; a razem obszernego umysłu, sięgającego do wszystkich nauk i sztuk; wybornego sądu o rzeczach politycznych i scyentyficznych; rozsądku niezachwianego w rzeczach codziennych; spokojnego, cichego charakteru; widać że przeszedł szkołę nieszczęścia. Zupełnie mi wyperswadował, że szumność jest głupstwem, tak w działaniu jak w mowach i pisaniu; że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczem, kiedy myśli nie ma, że wszystko na tej myśli polega, i że chcąc być czemś teraz, trzeba uczyć się i uczyć, i uczyć i prawdy wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą czas jakiś, jak robaczki na trawie w Maju a potem gasną na wieki. Spotkanie się z nim wiele mi dobra przyniosło!“

Z listu zaś Odyńca widzimy także, że i Adam poznał rodzący się geniusz w Zygmuncie. Stojąc na szczycie gór Jamanu, Krasiński, zachwycony cudownym, rozległym widokiem, uniesiony zapałem poetyckim, cały o tem rapsod napisał stylem swym, jak zwykle, zwięzłym, treściwym, a tak pięknym i porywającym. Adamowi ustępy te niezmiernie się podobały i ztąd wywiązała się rozmowa o malarstwie w poezyi. „Otóż Adam — mówi Odyniec — w tym ustępie Zygmunta chwalił bardzo a bardzo, to żywe połączenie widoku z wrażeniem w umyśle patrzącego i to z całą naturalnością i prostotą, bez żadnej sentymentalnej tendencyjnej pretensyi. Pochwała ta ma się rozumieć, rozpromieniła i ośmieliła Zygmunta, który dotąd wobec Adama, czuł się jakby żenowanym, a teraz zaczął się przed nim ze zwykłą obfitością myśli swych wywnętrzać. Zauważałem też, że Adam słucha go bardzo uważnie i stara się wyrozumieć cierpliwie, ażeby, czy to zdanie jego potwierdzić, czy je przekonywająco sprostować; w czem zwykle nie zadaje sobie pracy ze swoimi,

których, albo z góry wyłaje, albo milczeniem tylko swoje *veto* wyraża."

Po nader wielu przygodach, które zwykle z werwą i humorem opowiada Odyniec, towarzystwo nasze, zdrowo i cało wróciło na doliny przez Lucernę, Bern i Lozannę do Genewy. Czekała tam Mickiewicza wielka radość, t. j. spotkanie się z państwem Ankwiczami i miłą sercu jego, panną Henryetą, dzisiejszą hr. Kuczkowską, panią nadzwyczaj poważną, jednak pełną świeżego umysłu i delikatnego dowcipu, która niedawno temu rozmawiała z nami o Mickiewiczu. Wszakże o tem spotkaniu nie wiele szczegółów znajdujemy w Listach Odyńca, który zasmucony myślą o prędkiem rozstaniu z wieszczem, rzadziej niż zwykle pisywał do przyjaciół. Wspomina tylko, że Mickiewicz długo rozmawiał z panną Henryetą, a na drugi dzień zrana, gdy poeta jeszcze spał, obaczył z zadziwieniem na jego palcu pierścioneczek z węzłem gordyjskim, którego przedtem nie miał.

Podczas bytności obydwóch poetów w Genewie, odbył się u staruszka Bonstettena wieczór na cześć zaręczyn p. Anastazyi Klustin z hr. de Circourt. Opisuje go szeroko swoim przyjaciołom, niezmordowany w machaniu piórem Odyniec, rozwodzi się także nad samym szanownym gospodarzem. „Pisałem już wam kiedyś o nim obszernie z Rzymu — mówi z zapałem — i odtąd jest on zawsze ideałem myśli moich i życzeń na starość. W połowie dziewiątego krzyżyka taka świeżość — nie czerstwość tylko — umysłu uczucia i wyobraźni! Znać że nie z mózgu tylko i cielesnego serca, ale z duszy nieśmiertelnej pochodzą. Z czcią i rozkoszą patrzyłem na niego, otoczonego ciągle panienkami, jak się wszystkie wdzięczyły ku niemu, lub jak on je po ojcowsku całował. Wszystkie tak słodko spoglądają ku niemu; tak się wdzięcznie uśmiechają do niego; tak się same wreszcie pozwalają całować, jak oswojone turkawki lub sarneczki. Bądź co bądź, ja postanawiam odtąd, ilekroć będę kiedy z wami łamał opłatek, albo ilekroć kichniecie, zamiast „Dosiego roku" lub prostych „stu lat zdrowia" życzyć wam a przytem i sam sobie — starości Bonstettena,"

W istocie spełniło się to życzenie Odyńca, gdyż znany jest powszechnie miły przywilej, jaki sobie wyjednał na sędziwe lata.

Na tem kończy się prawie czwarty tom *Listów z Podróży*. Autor dodaje jeszcze opis smutnego pożegnania z Ankwiczami, którzy pierwej odjechali do Rzymu, gdzie miał się z niemi spotkać

Mickiewicz. O pożegnaniu zaś swojem z poetą nie pisze, wspominając tylko: „Adam jest bardzo smutny i gdy dziś, rozgarniając mi po swojemu włosy i wpatrując się we mnie długo, powiedział: „Znów będę sam, jak kij na świecie!“ ton jego głosu był taki, że wnet obrócił się nagle i wyszedł“. — „Nie mówię — dodaje — w jakiem ja usposobieniu zostałem — ale żeby nie mówić w jakiem prawdopodobnie po jego wyjezdzie zostanę — wolę wam dzisiaj powiedzieć: bywajcie zdrowi!“



O REALIZMIE
W LITERATURZE NOWOCZESNEJ

przez

J. G.

(Ciąg dalszy).

Balzak w powieściach swoich szkicuje nam w ten sposób typy swych postaci, że przez cały ciąg akcyi przesuwają się one, rzucając czasem słówko lub westchnienie i ulatniają się w końcu z książki, nie zostawiając w myśli czytelnika najlżejszego wspomnienia. Jeżeli zaś przypadkiem którakolwiek z nich ma trochę naturalności i interesu, to jest z pewnością albo ograniczoną mieszczką, tem samem zbliżoną do galeryi karykatur, albo też cnota jej jest bardzo warunkowa, bardzo zmienna i nie umiejąca próby ognia wytrzymać.

Pisząc *Eugenię Grandet*, a pisał ją w latach młodości, niestraconych złudzeń, niezawiedzionych nadziei i.... niesprzedanych przed zaczęciem powieści — Balzak miał dwie myśli przewodnie. Wbrew swoim późniejszym sympatyom i skłonnościom, chciał on wykazać ujemną stronę bogactw, które dla jego bohaterów zamiast przynosić szczęście, stają się źródłem smutku i niedoli całego życia; obok tego zaś chciał przedstawić ideał kobiecy, doskonały i prawdziwy zarazem. Czy z dwóch tych celów pierwszy został osiągnięty? Nie wiem; sądzę jednak, że Eugenia Grandet równie byłaby nieszczęśliwą, gdyby jej ojciec nie posiadał milionów; nie one to bowiem,

ale charakter starego Grandet czynił życie ciężkie tym, którzy go otaczali. Drugi cel Balzaka trudniejszym był, dla realisty zaś — bodaj niemożebnym do osiągnięcia. Myśleć o ideale w dziele realistycznem, znaczyło to, wedle gminnego przysłowia, stawić świeczkę djabłu obok świecy, ofiarowanej Panu Bogu. I dla tego Eugenia Grandet nie jest ani idealną, ani tak prawdziwą, jak otaczające ją postacie. Czytelnikowi zdaje się ciągle, że postać ta jest niezupełną, że autor schwycił niektóre tylko rysy jej charakteru, zapominając o innych; że przedstawiając dobre jej strony, o złych z umysłu zamilczał. Jest też ona zatarta trochę, blada, czasem nawet konwencyonalna. Jako ideał udała się jeszcze gorzej. Nie dla tego, żeby pod ubogą sukienką prostej mieszczki nie mogła kryć się dusza wyższa i doskonała, tylko, że tej doskonałości i wyższości autor bohaterce swej nadać nie umiał. Jest ona wprawdzie poczciwą bardzo, pełną poświęcenia i zaparcia się siebie — ale dla ideału kobiecego to zamało. A jednak charakter Eugenii, gdyby w ciągu akcyi trzymany był trochę wyżej i w końcu ochroniony od takiego nonsensu, jakim jest małżeństwo bohaterskie z „*C. de Boufons*", miał w sobie materyał na postać wyższą i zupełnie doskonałą. Gdyby ta kobieta, której bogactwa złamały całe życie, po utracie nadziei szczęścia dla siebie, chciała bogactwa te zużytkować dla tego, żeby zapewnić szczęście innym; gdyby zamiast jałowej bigoteryi poświęcała się służbie swych bliźnich, stała się aniołem pocieszycielem całej okolicy aż do najodleglejszych jej zakątków — wtedy z pewnością urzeczywistniłaby ten ideał, o którym autor mówi z takiem uniesieniem przy końcu książki i sam ten koniec nie byłby tak smutny, tak martwy i chmurny. Eugenia nie byłaby istotą samotną, złamaną, bez jutra, bo jej d z i ś zapewniłoby spokój i szczęście dla innych. Ale nie. Bohaterka Balzaka umie tylko składać i rachować ojcowskie pieniądze, dać czasem kilka franków na kościół i ubogich, schnąć i więdnąć w starem domostwie, nie przynosząc nikomu pożytku swojem życiem i wlekąc to życie, jak galernik swą kulę. A na domiar wszystkiego, ta kobieta tak energiczna, tak doskonała, tak uczuciami swemi wznosząca się po nad otaczające społeczeństwo — kończy swą karyerę oddając rękę nikczemnemu spekulantowi, którego nicość moralną zna i ocenia należycie.

Dlaczego tak jest? Odpowiedź łatwa. Pisarz realistyczny — Balzak nie mógł przedstawiać w swych utworach postaci z wyobraźni wysnutych, ani też wtłaczać w powieściowe ramki własnych swych myśli i własnych swych pojęć. Zadaniem jego było jedynie me-

chaniczne odtwarzanie natury i życia, choćby to życie było tak brzydkie a natura tak brudna, jak kąpiące się kobiety Courbeta. I dlatego ludzi i fakta mógł przedstawiać takiemi tylko, jak się je najczęściej w życiu spotyka, nie — jakiemi je chciał mieć, lub jakiemi byćby powinny. Że zaś w życiu codziennem idealna doskonałość jest wyjątkiem; że większa część koleżanek Eugenii Grandet postąpiłaby tak jak ona, a może i gorzej, musiał tedy autor, chcąc wiernym zostać swej metodzie, charakter bohaterki zniżyć do ziemi, kazać jej mówić, czuć i czynić to, co czyni, czuje i mówi większość ludzi. A zresztą już sama tendencya do przedstawienia jej w idealnem świetle była u realisty herezyą nie do darowania, a co więcej, była niekonsekwencyą. Będąc jedynie fotografią pewnej grupy ludzi i zdarzeń, powieść realistyczna nie ma i mieć nie może pretensyi do dzieła sztuki. W fotografii zaś, będącej bezmyślnem odbiciem rzeczywistości, chcieć nie odtworzyć ale stworzyć ideał — jest niemożebnością. Balzak dopuścił się kilkakrotnie tej niekonsekwencyi w najlepszych swych utworach, starając się nie odfotografować typy dodatnie, ale je stworzyć i kazać im pewną myśl w powieści przedstawiać. Świadczy to z jednej strony o szlachetniejszym kierunku jego uczuć i pojęć, z drugiej — o niedokładnem zrozumieniu i niedoprowadzeniu do ich ostatnich konsekwencyj zasad, które w literaturze wyznawał. I rzeczywiście Balzak jest realistą w formie i wykończeniu zawsze, w treści i myśli przewodniej — rzadziej. Myśl ta, jeżli ją ma, jest nieraz uczciwą i zacną; byłaby lepszą, gdyby autor miał swobodę to pisać, co czuł i myślał. Paraliżuje ją jednak i tamuje na każdym kroku realizm, a obok niego te znane już nam względy, które Balzaka zrobiły literackim rzemieślnikiem. Rozdźwięk ten choć smutny, a dla całości i harmonii utworów Balzaka szkodliwy, dodaje mu jednak osobiście wiele wartości moralnej i stawi go nieskończenie wyżej od tych wszystkich, którzy go wzięli za wzór i przewodnika w powieściopisarskim zawodzie.

Porównywając romanse Balzaka z mniejszemi jego powieściami, musimy ostatnim przyznać niezaprzeczoną wyższość. Jak fotografia może dojść do wysokiego stopnia doskonałości i wykończenia przy małym tylko formacie, w wielkim zaś jest zawsze zatartą i niezupełną, tak i powieść realistyczna ma wartość w małych tylko rozmiarach. Wystarczając (pod pewnemi względami przynajmniej), póki chodzi o odmalowanie kilku scen z życia, o charakterystykę kilku typów — metoda realistyczna nie daje się korzystnie zastosować do większej powieści, do której, oprócz fotograficznego podobieństwa

szczegółów, potrzeba jeszcze głębiej obmyślanego planu, tendencyi i uczucia. Następcy Balzaka starają się ratować za pomocą pieprznych przypraw i zmysłowej *„great attraction“*, która najlichszym ich utworom zapewnia popularność. Balzak środka tego nie używa, przytem zaś jest chwiejny, nie dość konsekwentny i zbyt często stara się pogodzić idealizm z realizmem, wodę i ogień. Większym jego romansom można zarzucić niejednolitość, brak harmonii i prawdy. Uczucie, które stara się na prawach psychologii oprzeć, jest rzeczywiście szczególną, a często nienaturalną mięszaniną sentymentalizmu ze zmysłowością. Znać usiłowanie utrzymania równowagi między ciałem a duchem, między prawami natury a obowiązkami moralności. Z tego wynika wiele kolizyj i błędów, nie dających się przy stanowisku autora uniknąć. Stanowisko to, mające wszystko godzić i wszystkim dogodzić — usuwa grunt pod nogami autora i odejmuje jego utworom, należącym do tej kategoryi znaczną część wartości, jaką talent Balzaka i sumienne opracowanie nadały mniejszym jego powieściom.

Jako przykład może nam służyć wspomniana już *„Le lys de de la vallée“*. Owa lilia doliny — to młoda kobieta, obdarzona wszystkiemi darami umysłu i serca, jakie kiedykolwiek dodawały uroku zewnętrznej doskonałości ciała. W pierwszych latach młodości wychodzi ona za mąż za człowieka, więcej niż dwa razy starszego od niej, złamanego burzami życia i politycznemi przewrotami, w których utracił majątek i zdrowie. Małżeństwo, będące z jej strony heroicznem poświęceniem, szczęśliwem jest tylko dla hrabiego de Mortsauf. Człowiek miernego umysłu i mało rozwiniętego serca, skwaszony i stetryczały wygnaniem i nieszczęściami — podobny jest do kapryśnego i zepsutego dziecka, bez jego dobrych popędów. W zamian za spokój i szczęście, jakie zawdzięcza żonie, napełnia jej życie tysiącem drobnych przykrostek, tysiącem ukłóć szpilką, dotkliwszych nieraz od śmiertelnej rany. Chrześcijanka, nauczona od dziecięctwa poświęcenia i zaparcia się siebie, Henryka de Mortsauf znosi krzyż swój w milczeniu, udaje szczęśliwą przed światem i pomimo męża daje szczęście wszystkim, którzy ją otaczają. W jej tylko sercu smutno, pusto i chmurno, ona tylko musi samotnie i w tajemnicy nieść swój ciężar, nie mając go z nikim podzielić, nie mogąc nikomu z tajonych cierpień się zwierzyć i w słowie współczucia znaleść odwagę i siłę do dalszej wędrówki. I oto na swej drodze spotyka młodzieńca, niemal dziecko jeszcze, którego serce przylgnęło do niej odrazu z całą siłą pierwszej miłości. Dla niej,

dla tej biednej lilii, usychającej bez światła i ciepła w dalekiej od świata wiejskiej dolinie — miłość ta dziecinna prawie zdaje się jasnym promieniem słońca w życiu bezbarwnem, chmurnem i zimnem. Nie obudza ona w jej sercu grzesznych myśli i zakazanych pragnień — Henryka jest na to zbyt czystą, zbyt religijną i o obowiązkach żony i matki nie zapomina ani na chwilę. Uczucie jej dla Feliksa jest jakieś nieokreślone, niewyraźne, jakby przywiązanie siostry do brata; póżniej, nie zmieniając pierwotnego charakteru, potęguje się oddaleniem, staje coraz silniejszem i głębszem a kończy stopniowem wyniszczeniem wszystkich sił żywotnych, śmiercią. We wszystkich jednak jego zmianach, uczucie to jest zawsze czyste, idealne. Nie zmniejsza jego ani czas, ani rozłączenie z ukochanym, ani jego miejskie miłostki, zarówno jak nie zmieniły czystości tego uczucia namiętne porywy i pragnienia Feliksa. Stosunek ten dwojga ludzi, z których jeden kocha i pragnie z całą namiętnością i siłą młodości, druga zaś ani na chwilę nie schodzi z wzniosłego piedestalu, na jakim ją postawiło uczucie religijne i pochodzące z niego poczucie obowiązku — stosunek ten jest narysowany i odcieniowany po mistrzowsku. Oboje nakreśleni doskonale, przy całej prawdzie realizmu mają w sobie bardzo niewiele, przynajmniej w charakterze Henryki przez cały ciąg akcyi nie widać go wcale. Aż dopiero przy końcu, gdy hrabina de Mortsauf przeszła już wszystkie walki i wyszła ze wszystkich zwycięzko, gdy jednak w walkach tych ciało się wyniszczyło i siły żywotne wyczerpały, wówczas dopiero przed samym zgonem w kobiecie tej tak czystej, tak cnotliwej i tak idealnie doskonałej, budzą się i odżywają wszystkie tłumione dotąd pragnienia, zmysłowe popędy i żądze. Istotę jej całą opanowuje jedno tylko potężne uczucie żalu, że pragnienia te zaspokojone nie były, że duch odniósł nad ciałem zwycięztwo. Owa święta niemal, wije się i jęczy w paroksyzmie namiętności szalonej i dopiero przed samą śmiercią, w ostatniej już chwili, gdy ostatnia iskra życia wygasa w jej piersiach, gaśnie zarazem i w jej sercu ów płomień żądzy, który jak w ukrytym wulkanie tłumiony przez długie lata, wybuchnął w końcu z gwałtownością tem większą i jak ogień bengalski w nowem a dziwnem świetle się ukazał.

Jaką była myśl, jaki był cel autora w przedstawieniu tego upadku Henryki de Mortsauf, upadku wprawdzie tylko moralnego, ale tak wielkiego i tak smutnego? Czy chciał dowieść tej znanej tezy, którą później na wszystkie tony i sposoby dowodzić zaczęła cała francuzka belletrystyka — że kobieta najcnotliwsza nosi w swem

sercu czy zmysłach zarodki upadku, że rozwój tych pierwiastków złego lub ich pozostanie w uśpieniu jest tylko rzeczą ślepego trafu, okoliczności, od woli naszej niezależnych? Czy jednem słowem Henryka de Mortsauf może być uważana za poprzedniczkę *Pani Bovary* i *Hrabiny de Chalis?* Nie wiem; zdaje mi się jednak, że myśl Balzaka możnaby wytłómaczyć w inny sposób. Przedśmiertne pragnienia pani de Mortsauf bodaj czy nie mają tego samego źródła, co małżeństwo Eugenii Grandet. W *lilii doliny* stworzył Balzak postać wyższą pod każdym względem, doskonałą. Marzenia o ideale, które mu świeciły w latach młodości, przelał w życie, ucieleśnił daleko lepiej niż wtedy, gdy pisał o córce skąpego mieszczanina ze Saumur. Przy końcu powieści jednak pomyślał sobie zapewne, że postać ta zbyt jest idealną, żeby być mogła prawdziwą, że dla czytającej publiczności wyda się bladą i bez życia. Pomyślał sobie także, że ów romans czysto-platoniczny może się zdać śmiesznym i dziełu zaszkodzić. Chcąc więc i figury powieści i samą akcyę ożywić i do smaku czytelnika zastosować, kazał swej bohaterce odbyć przed śmiercią moralną walkę, która charakter jej psuje zupełnie i harmonii dzieła przynosi niezmierny uszczerbek.

Błąd ten Balzaka, wspólny zresztą wszystkim realistom francuzkim, którzy uważają naturę ludzką za gorszą, niż jest w istocie i tylko ujemne jej strony zdolni malować — błąd ten uwydatnił się tu w całej sile. Charakter pani de Mortsauf był prawdziwy. Choć nie na każdym kroku kobiety takie spotykają się, jednak i Bogu dzięki nie stanowią nawet wcale wyjątku. Nie wszystkie może są tak poetyczne i doskonałe duszą i ciałem, nie wszystkie od drobnych wad ludzkich wolne; wszystkie jednak umieją panować nad ciałem, umieją w modlitwie i poczuciu spełnionego obowiązku czerpać odwagę i siłę do walki, umieją żyć cnotliwie i z godnością umierać. Pani de Mortsauf przez zbytek realizmu staje się pod koniec powieści typem zupełnie fałszywym i nienaturalnym. Z dwóch jedno: albo jej cnota jest tylko maską, pod którą kryją się najgorsze zmysłowe instynkta — i wtedy Henryka przestaje być ideałem, staje się zwyczajną, tuzinkową istotą; albo ustęp końcowy jest najzupełniej fałszywy i stanowi wykroczenie przeciwko prawdzie życiowej, które zwłaszcza u realisty jest nie do darowania.

Jakkolwiek bardzo pobieżna, sądzę, że ocena ta dwóch głównych powieści Balzaka, reprezentujących dwa główne odcienia jego

literackiej twórczości — wystarczy dla zdania sobie sprawy o tej twórczości i dla ocenienia Balzaka jako człowieka i jako autora. Człowiek osobiście uczciwy i wolny od smutnych szałów, jakie skalały życie Alfreda de Musset, autor rzadko niemoralny a nigdy z umysłem niedemoralizujący czytelnika — nie jest on przecie o wiele wyższy moralnie od autora *Namonny* i *Spowiedzi dziecka wieku.* Powieść jego, będąca literacką spekulacyą, obrachowaną na materyalne zyski, jest pierwszą próbą rzemieślniczego traktowania sztuki, które dziś tak się rozpowszechniło pomiędzy francuzkimi powieściopisarzami. Owoce tej metody, które choć niezbyt wyraźne, staraliśmy się wykazać w rozpatrywanych powieściach Balzaka, dojrzewają i przedstawiają się w całej pełni u jego następców, których literacka działalność i rozwijający się w niej obfity plon złego ziarna będą stanowić treść następnych pogadanek.



ZEMSTA ŻYDA

IV.

GAUDENCYUSZ.

W domu Klemensa, jakeśmy już wspomnieli, mieszkał człowiek, któremu pan powierzył zarząd swych dóbr: był to Gaudencyusz.

Pochodził on ze szlachetnej rodziny, za panowania Augusta z Galii przeniesionej do Rzymu. Wyzwoleniec Nerona w ostatnich latach jego panowania, przywiązał się do Flawiusza Sabina, który mu powierzył opiekę nad majątkiem syna. Człowiek poważny, rozumny, biegły w naukach i literaturze Gaudencyusz, talentami swemi, cnotą i rzadką w tej epoce uczciwością zdobył sobie przeważny wpływ nad synowcem cesarza.

Klemens nie przedsiębrał nigdy nic bez porady tego, którego uważał za najserdeczniejszego przyjaciela i najpewniejszego przewodnika w życiu. Często rozmawiał z nim o świętych księgach Żydów; Gaudencyusz usiłował wykazać mu wszystkie ich piękności. nie wyjawiając jednak nigdy jasno, w co sam wierzył. Napróżno młody Rzymianin starał się go nieraz wybadać; nagabywany odpowiadał zawsze wymijająco. Niezmienne to postępowanie martwiło Klemensa, niezdolnego dójść prawdy.

Po znanem nam zajściu z Domicyllą, Klemens usiłował na nowo dowiedzieć się od Gaudencyusza, jaką wagę przywiązuje do religii żydowskiej.

Zarządca, uwiadomiony przez Domicyllę o rozmowie jej z mężem, zresztą upoważniony do uczynienia tego, co będzie uważał za najlepsze, myślał, że nadeszła już pora, aby pomówić szczerze z Klemensem.

— Tym razem — powiedział przeto — zaspokoję twą ciekawość; Księgi te, które tak chętnie czytujesz i lubisz, uważam za święte, są bowiem widocznie pisane w natchnieniu i z woli Bożej.

— Jeżeli tak jest — odparł Klemens — wyrażają przeto prawdę, a religia tych, którzy je napisali, jest najlepszą religią.

— Zapewne — rzekł Gaudencyusz — ale jej czas już minął.

— Jak to? rzecze zdziwiony Klemens, czyż prawda nie jest jedną i tą samą po wszystkie wieki?

— Zgadzam się na to; ale prawda ma różne stopnie. Żydzi posiadają ją w niedokładnej mierze, co potwierdzają same owe święte księgi.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to wyrazić — rzekł Klemens; wytłómacz się jaśniej, jeżeli możesz.

— Zrozumiesz mię zaraz, odparł Gaudencyusz.

I zaczął przypominać młodemu panu ustępy z ksiąg proroków, zapowiadające nową epokę i przyjście Messyasza. Wskazał mu, że człowiek tak oczekiwany i upragniony, miał ustanowić na ziemi prawa lepsze i religię doskonalszą, mającą przetrwać wieki. Gaudencyusz opowiadał to z zapałem, a zarazem z powagą, a Klemens słuchał słów jego z przejęciem i zdumieniem.

— Wszystko co mówisz, jest bardzo pięknem, powiedział, zaczynam rozumieć dlaczegoś zawsze milczał o wierze żydowskiej. Ale kiedyż nadejdzie ten człowiek, ten oczekiwany prorok?

Na to zapytanie, wyrzeczone z gorączkowym niepokojem, Gaudencyusz spojrzał długo i przeciągle na swego młodego pana, poczem zawołał z zapałem:

— Już nadszedł, Klemensie, i ustanowił nową religię — dał nam już swą miłość, swe serce i boskie światło nowej nauki i wiary.

Klemens nigdy nie widział przyjaciela w podobnem uniesieniu. Znał go zawsze dobrym, ale zdawało mu się, że był zimnym, obojętnym i niedostępnym dla głębszych wzruszeń. Pokonawszy uczu-

cie zdziwienia, jakiem go przęjęła ta odpowiedź i ten stan Gaudencyusza, zapytał:

— W jakimże kraju ukazał się ten Boski człowiek, gdzież się znajduje?

— Spełnił swe posłannictwo w Jerozolimie, a potem wrócił do nieba, zkąd przyszedł.

— Ach! powiedz mi w jakiej epoce, błagał Klemens; czy już bardzo dawno?

— Czterdzieści i jeden lat temu.

Poczem Gaudencyusz opowiedział synowi Sabina historyę pobytu Jezusa na ziemi, cudowne okoliczności, jakie towarzyszyły Jego urodzinom, Jego boskie i święte życie, okrutną śmierć i dziwne cuda, które się w tym czasie zdarzyły.

Dalej mówił mu o zmartwychwstaniu Boga-człowieka, o czterdziestu dniach obcowania Jego z uczniami, o chwalebnem wniebowstąpieniu, zstąpieniu Ducha świętego na Apostołów, i o rozejściu się po całym świecie, celem nawracania ludów na nową wiarę.

Gdy skończył, Klemens zalewał się rzewnemi łzami: czysta i niewinna dusza młodzieńca wzruszyła się opisem cnót miłości i cierpień Zbawiciela — dobre i czułe jego serce otwarło się natychmiast dla promieni łaski. Z dobrą wiarą szukał prawdy — znalazł ją więc nareszcie.

Gaudencyusz odgadłszy bez trudu, co się działo w umyśle Rzymianina, powiedział mu to.

— Nie mylisz się przyjacielu, rzekł Klemens, twoje słowa oświeciły mnie; widzę promienne światło prawdy. Nie wątpię już teraz, że Messyasz przyszedł, że Jezus Chrystus jest Bogiem człowiekiem, Odkupicielem i Zbawcą. Wierzę w niego i czczę go, dodał, klękając ze złożonemi nabożnie rękami.

— Powiedz mi, Gaudencyuszu, mówił powstając, gdzie mógłbym spotkać uczniów Jezusa?

— W samym Rzymie — brzmiała odpowiedź.

— W Rzymie! a gdzież oni, powiedz?

Widziałeś ich już raz. Czy przypominasz sobie Klemensie ten ranek, w którym śledziłeś żonę twą za murami miasta?

— Bezwątpienia! Doskonale to pamiętam... Ale zkądżeż wiesz o tem?

— Mało nam na tem zależy, w chwili, w której masz się o stokroć ważniejszych rzeczach dowiedzieć. Otóż tego dnia widziałeś jednego z dwunastu Apostołów Jezusa.

— Jakto? zawołał Klemens, nie znając dokładnie nazwiska tej wiary, o której słyszał lekkomyślne sądy.

— W odnalezionem przez ciebie podziemiu znajdował się jeden z Apostołów Jezusa. Zgromadzenie podpatrzone przez ciebie, w którym wyśledziłeś Domicyllę, było zgromadzeniem wyznawców Jezusa, noszących nazwę chrześcijan; poważny i majestatyczny starzec przewodniczący im — to Apostoł.

— Byłbyż to Piotr, o którym mówiłeś mi przed chwilą?

— Nie. Święty Piotr umarł w samymże Rzymie, kilka lat temu. Ten, któregoś widział, był to najukochańszy uczeń Jezusa, który w dniu wieczerzy Pańskiej odpoczywał na łonie Boskiego mistrza, był to apostoł Jan.

— Czyż to być może? — zawołał Klemens. Ci ludzie tak znienawidzeni i ogłoszeni za nikczemnych mieliżby być chrześcijanami?

— Spotwarzali ich śmiertelni nieprzyjaciele, prześladowali Żydzi; następnie oskarżono ich o zaprowadzanie nowych przesądów i zabobonów.

Klemens tak był przejęty tem, co słyszał, a zarazem tak wzruszony, że przez chwilę nie mógł z piersi głosu wydobyć. Ochłonąwszy nieco, zapytał:

— Domicylla więc zna chrześcijan?

— Zna ich, bo sama jest chrześcijanką, tak jak i ja, odparł Gaudencyusz. Z tego też powodu wyjawiła mi twoja szlachetna żona zajście, jakie miała z tobą, z powodu wycieczek do katakomb.

— Jakim sposobem poznałeś chrześcijan i ich religię? zapytał Klemens.

— Jeżeli chcesz, opowiem ci zaraz całą tę historyę; przekona cię ona więcej, niż najdłuższe rozprawy. W domu senatora Pudensa po raz pierwszy ujrzałem apostoła Piotra, przez samego Chrystusa mianowanego głową Kościoła.

W sali przepysznie umeblowanej, na rzeźbionem z kości słoniowej krześle, będącem oznaką patrycyatu Pudensa, zasiadł poważny starzec, aby nauczać tłumy, cisnące się około niego.

Dnia tego mówił o cierpieniach, jakie znosił Jezus dla dobra ludzkości, i o swojem zaparciu się trzykrotnem. Rzewne łzy lały się po twarzy starca — co chwila głos tłumiło łkanie, rozdzierające mu piersi, bolesne wspomnienia ryły na szlachetnej jego twarzy głębokie zmarszczki.

Głos tego człowieka był tak wzruszającym, wyraz twarzy tak słodkim, wzniosłym i poważnym, jego przekonania tak porywające, że chociaż zupełnie nieprzygotowany, uwierzyłem natychmiast, a sam apostoł ochrzcił mnie i tem samem zaliczył do wyznawców i uczniów Jezusa.

Ponieważ należałem do dworu Nerona, nakazał mi święty Piotr zachowywać moją nową wiarę w tajemnicy. Miałem wtedy młodą żonę, Rzymiankę, zmarłą dwa lata temu; zacząłem ją przygotowywać i uczyć, a niedługo doznałem tego szczęścia, żem ją mógł widzieć przyjmującą chrzest.

W kilka dni potem przybył do Rzymu apostoł Paweł. Wiedziałem, że wpierw zawzięty prześladowca uczniów Chrystusa, w drodze do Damaszku nawrócił się cudownie, w chwili, gdy miotał groźby i przekleństwa na chrześcijan.

Przeszedłszy Azyę i część Europy, podjąwszy niezmierne prace i trudy około rozkrzewienia religii, zawezwany przez Piotra, przybył on w końcu do Rzymu, metropolii świata. Widziałem pierwsze spotkanie dwóch tych wzniosłych sług Jezusa. Pawła prowadził żołnierz, a towarzyszył mu przez całą drogę tłum wiernych, który znając go z imienia, wyszedł naprzeciw niemu, aż do Ostyi.

Nie zapomnę nigdy uniesień radości, z jaką powitali się dwaj Apostołowie.

Święty Piotr był dość wysokiego wzrostu; twarz jego, jakkolwiek nosiła na sobie piętno znużenia, była piękną jeszcze; długa biała broda spadała mu na piersi — gęste, białe włosy otaczały mu skronie.

Święty Paweł, przeciwnie, był niski i łysy; nos jego zgarbiony nadawał wyrazistej fizyognomii osobny charakter. Wymówione wobec niego imię Jezusa budziło w nim niezwykły zapał.

Przy powitaniu obydwaj apostołowie długo się ściskali, przyrzekając sobie nigdy się nie rozłączać.

We dwa lata po przybyciu Pawła do Rzymu przybył z Judei sławny z magii i czarnoksięztwa Szymon. W Samaryi, słysząc głoszącego ewangelię Filipa, zażądał chrztu; potem zaś chciał kupić władzę czynienia cudów i zsyłania Ducha świętego, jak to robili apostołowie i uczniowie Jezusa.

Lecz Piotr, do którego się z tem żądaniem zgłosił, skarcił go surowo, a obrażony Szymon, oddalił się od chrześcijan i wrócił do dawnej bezbożności.

Niedługo potem wsławił się w Rzymie swojemi czarami. Neron, usłyszawszy o jego mniemanych cudach, zapragnął widzieć je osobiście. Dumny tem wezwaniem Szymon, pokazał cesarzowi różne sztuki, obiecując dokonać rzeczy o wiele trudniejszej, a mianowicie, wzniosłszy się w powietrze, dolecieć do nieba.

Tymczasem apostołowie, nawróciwszy bardzo wiele osób, nawet w samym cesarskim pałacu, nie zaprzestawali czynić cudów; to też Szymon, uważając Piotra za swego głównego wroga, postanowił skorzystać ze sposobności i w najgorszem świetle wystawić jego nauki. Zażądał więc, aby przyprowadzono księcia apostołów do cyrku, gdzie miały się odbyć jego magiczne przedstawienia, chcąc go w ten sposób zawstydzić.

Do strasznego to pojedynku wyzwał Szymon rywala. Oznaczono dzień na to nowe widowisko, i ogłoszono je po wszystkich ulicach Rzymu. Szymon obiecywał wskazać ludziom drogę do sławy i nieśmiertelności.

Był to jeden z tych świetnych i wesołych dni maja, które tylko we Włoszech widzieć można. Bardzo rano, bo jeszcze przed wschodem słońca tłumy ludu zalegały amfiteatr, szukając sobie miejsca na marmurowych ławkach; purpurowe zasłony nad osobnem siedzeniem Nerona, na których namalowane było oblicze cesarza, kołysały się rozkosznie poruszane lekkim wiatrem...

Neron w towarzystwie faworytów, nas wszystkich i wyzwoleńców, zjawił się o naznaczonej godzinie. Jeszcze w tej chwili stoi mi przed oczyma ten okrutny tyran, ten dziki zwierz, siedzący pomiędzy Tygellinem, prefektem pretoryanów i Senecyonem, obydwoma niegodziwymi ministrami, którzy go namawiali do wszystkich występków i zbrodni. Widzę jeszcze jego gruby kark, poplamioną skórę, ogromny brzuch, oczy zielono-żółte, zyzowate, mrugające groźnie i biegające naokoło. Rozczochrane włosy jego tworzyły czub nad głową, broda niepewnego koloru zakrywała zaledwie połowę nalanych policzków, figurę miał niekształtną i niezgrabną.

Zaledwie się ukazała ta ostatnia latorośl rodziny cezarów, wprowadzono na arenę dwóch ludzi; jeden z nich wysokiej postawy, wspaniale przybrany, z dumą na czole, podszedł na środek cyrku. Był to magik Szymon; święty Piotr zaś smutny, z oczyma spuszczonemi, zatrzymał się w kącie najbardziej oddalonym od cesarskiej trybuny.

Szymon zdradzał niezmierną ufność w siebie i dumę nie do uwierzenia, spoglądał z nienawiścią i wzgardą na Piotra, którego

zamyślał okryć wstydem i tem samem zemścić się za upokorzenie, jakiego dawniej doznał od tego apostoła.

W końcu Neron dał znak, o który błagał go tłum zniecierpliwiony, a Szymon zaczął się wznosić w powietrze, wśród okrzyków zdumionego ludu, witającego już w nim więcej niż człowieka, bo nowego boga.

A on leciał coraz to wyżej — ale święty Piotr modlił się gorąco w duszy do Wszechmogącego, aby nie dozwolił nieprzyjacielowi tryumfu. I Bóg usłyszał błagający głos swego kapłana.

Szymon z wyzywająco-dumną miną krążył chwilę nad cyrkiem, gdy nagle opuściła go moc szatańska; zakręcił się przeto i spadł gwałtownie na kamień, leżący w samym środku areny. Nogi miał połamane, a pierś rozdartą. Nieszczęśliwy nie długo się męczył; skonał wyrzucając ustami strumienie krwi i najokropniejsze miotając bluźnierstwa. Upadł tak blisko cesarza, że płaszcz Nerona obryzgał swą krwią.

Od tego czasu znienawidził cesarz magików i zaczął ich prześladować; zarazem zwrócił baczniejszą uwagę na chrześcijan. Mało dbał o nich do chwili, w której ich zasady nie stanęły mu przeszkodą na drodze rozpusty i nikczemnych namiętności. Zdarzyło się, że w jego pałacu pewna młoda niewolnica, Klaudya, przeszła na wiarę chrześcijańską. Olśniewająca jej piękność zwróciła uwagę cesarza; zaczął z nią mówić o miłości, ale odrzuciła jego propozycyę ze wstrętem i pogardą, podając jako powód, że Neron miał żonę.

Tyran nalegał, lecz Klaudya została niewzruszoną; w końcu odkrył, że była chrześcijanką, i że ta nowa religia pobudzała ją do stawiania oporu jego występnej samowoli. Poruszył tedy wszystkie sprężyny dla dopięcia celu, lecz ani obietnice, ani groźby nie wywierały najmniejszego wrażenia na Klaudyę. Natenczas Neron, uniesiony straszną wściekłością, wydał wyrok śmierci na nieposłuszną; co większa, chcąc się zemścić na wszystkich chrześcijanach, oskarżył ich o podpalenie Rzymu i skazywał na śmierć w najokropniejszych męczarniach.

Niektórych, zaszytych w skórę zwierza, kazał rzucać psom na pożarcie, innych krzyżować, innych nareszcie obwijać w słomę i różne materyały palne, przytwierdzać do słupów, a wieczorem zapalać nakształt nocnych pochodni....

Równocześnie Neron, przebrany za woźnicę, urządzał w swych ogrodach zabawy cyrkowe i otoczony najpodlejszą ludnością, powoził osobiście tryumfalnym wozem przy świetle tych przerażających po-

chodni. W końcu postanowił pozbyć się naczelników Kościoła Chrystusowego; rozkazał pochwycić Piotra i Pawła, i wtrącić ich do więzienia mamertyńskiego, położonego u stóp Kapitolu.

W kilka dni potem wydał na nich wyrok śmierci: Piotra skazując na ukrzyżowanie, Pawła tylko na ścięcie, dzięki przywilejowi, jaki przysłużał obywatelom rzymskim.

Ogromny tłum odprowadzał obydwóch apostołów na miejsce stracenia. Stanąwszy na forum, rozłączyli się po serdecznem pożegnaniu, z żywą nadzieją obaczenia się w niebie.

Widziałem święte ich zwłoki. Ciało księcia apostołów spoczywa na górze Watykanu, obok cesarskiego pałacu, Pawła zaś na drodze do Ostyi.

Tak brzmiało opowiadanie Gaudencyusza, wysłuchane z najwyższem zajęciem przez Klemensa. Widząc, że przyjaciel skończył, zapytał on:

— Któż jest dzisiaj głową Kościoła? gdzie przebywa?

— Przewódzcą naszym jest Klemens, następca Linusa, który panował tylko dwa lata po śmierci Piotra. Przebywa zaś w Rzymie samym, tutaj bowiem Bóg ustanowił stolicę i mieszkanie głowy Kościoła, zastępcy Jezusa Chrystusa na ziemi.

W chwili, gdy Gaudencyusz kończył te słowa, nadszedł eunuch, wzywając Klemensa do Domicylli.

Młody Rzymianin pożegnał przyjaciela z sercem przepełnionem tem, co słyszał, postanawiając sobie przejść jak najrychlej na łono chrześcijaństwa.

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Pamiętniki Fryderyka hrabiego Skarbka. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1878 w 8ce. str. II i 321.

Z pomiędzy rozmaitych rodzajów pamiętników te niezaprzeczenie największą dla badacza posiadają wartość, które ograniczają sie ściśle na miejsca i czasy, w jakich żył ich autor. Pamiętniki Fryderyka hr. Skarbka odznaczają się właśnie tą niepoślednią zaletą. „Pruska dzielnica dawnej Polski, księstwo Warszawskie i królestwo Polskie, mówi Skarbek — oto miejsca i czasy, w których żyłem, i o których, jako o starożytnej historyi mówić będę“. Tak zakreślonego programu trzyma się autor bardzo sumiennie, szczególniej zaś stara się być wiernym wypowiedzianej w nim zasadzie bezstronności, czy wydać mu sąd przychodzi o wypadkach, czy o ludziach, którzy brali w nich czynny udział. Hr. Skarbek w długiem swem życiu (ur. 1792, um. 1866) wiele widział zdarzeń nadzwyczajnych, przed oczyma jego przesunęło się zmian nie

mało, nie przecenia też bynajmniej wartości tego, co czytelnikowi podaje, gdy mówi we wstępie, że warto przy schyłku życia zachować dla następców wielki zapas wrażeń i wspomnień, jakie długie pasmo lat zostawiło w jego pamięci.

Pamiętniki autora historyi Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego czyta się bardzo przyjemnie i miłe na czytelniku sprawiają wrażenie. Widać z nich, że nie są obliczone na efekt, że autorowi chodziło jedynie o przedstawienie rzetelnej prawdy. Utrzymywany starannie, jak się o tem dowiadujemy w ciągu opowiadania, przez hr. Fryderyka w młodych latach dzienniczek podnosi wiarogodność faktów, odnoszących się do najwcześniejszej epoki jego życia. Skarbek spisuje swe wspomnienia bez pretensyi, zastrzega się nawet we wstępie wyraźnie, że nie bierze na siebie odpowiedzialności za mniej dokładne opisy, za błędne podania lub omyłki w datach i nazwiskach, gdyż nie zaglądał do książek i pism czasowych, aby wiadomości swe uzupełnić i zakres swych pamiętników rozszerzyć Za tę metodę tylko wdzięczni być możemy autorowi; błędy bowiem i niedostatki, jakie się do jego opowiadania zakraść mogły, sprostować i uzupełnić się dadzą łatwo wobec dość obfitego materyału, zachowanego z czasów opisywanych przez Skarbka, a w zamian za to zyskiwamy nieskażony postronnemi wpływami sąd o wypadkach ogromnej w dziejach naszych doniosłości, wypowiedziany przez człowieka nieposzlakowanej cnoty, odznaczającego się zawsze bardzo trzeźwym na rzeczy poglądem, sąd tem cenniejszy, że wydaje go obywatel, niejednokrotnie na wysokich zasiadający urzędach, zkąd sprawy łatwiej przejrzeć się dają, aniżeli ze zwykłego społecznego poziomu.

Skarbkowi od młodych lat danem było pracować dla dobra kraju, który nazywał swoją Ojczyzną. Zaledwie powrócił z Paryża, dokąd z niewielkiemi funduszami udał się był na dokończenie edukacyi, chlubnie w kraju rozpoczętej, a już widziwy go zajętego pilnie pracą w ministerstwie skarbu pod przewodnictwem ówczesnego ministra Tadeusza Matuszewicza. Gdy w roku 1812 po wypowiedzeniu przez Napoleona wojny Moskwie utworzono w Warszawie generalną radę konfederacyjną, młody Skarbek znalazł pomieszczenie w biurze tłómaczów, gdzie przekładano z polskiego na francuzkie wszystko, co rada ogłaszała. Ciekawe szczegóły podaje nam autor o pierwszej sesyi konfederacyjnego sejmu, który poprzedził zawiązanie owej rady generalnej. „Była to naprzód ułożona scena polityczno-dramatyczna, która niespodziewanym objawem miała zachwycić licznie zebraną publiczność". Gdy po zagajeniu posiedzenia ks. Czartoryski, generał ziem podolskich, udzielił głosu Matuszewiczowi, a ten po wyliczeniu wielkich zamiarów Napoleona, przy rozpoczętej na północy wojnie powziętych, zapewnił, że władca Europy przywróci Polskę i wyrzekł te słowa: „będzie Polska, co mówię jest Polska" — Skarbek nastawiony *ad hoc* z kilku kolegami wydał okrzyk: „niech żyje Polska" a ten z zapałem przez wszystkich obecnych powtarzany, przeniesiony został z sali do ludu, tłumnie zamek otaczającego. „W owej chwili, dodaje autor, siedziała pomiedzy damami na ganku jedna postać duchowna ze złowróżbnem wejrzeniem i ironicznym uśmiechem na twarzy..... a był nim rezydent i ambasador cesarza Napoleona w Warszawie, arcybiskup Mechliński de Pradt, urągający temu powszechnemu omamieniu Polaków, wiedząc dobrze o tem, że

cała ta uroczystość narodowa była tylko komedyą, bez pewnego rozwiązania przed Europą odegraną".

Na ostatnim sejmiku powiatu sochaczewskiego, odbytym za Księstwa, obrany został Skarbek radzcą powiatowym, i jako taki spełniać musiał nader przykre, jak się sam wyraża, czynności ściągania dostaw dla wojsk, sposobem rekwizycyi od obywateli ziemskich wymaganych. Jeszcze nie spełna 22 lat liczący młodzieniec zastępuje chorego podprefekta sochaczewskiego; okoliczność ta pięknie świadczy o Skarbku samym, który w tak młodym już wieku potrafił sobie zjednać powszechne zaufanie, mniej jednak korzystne światło rzuca na ówczesną szlachtę sochaczewskiego powiatu, zrzucającą lekkomyślnie w wojennych czasach cały ciężar powiatowych rządów na wątłe barki młodzieńca, nie nadającego się, mimo całej roztropności i rozwagi, do podobnego urzędu.

Upadek Napoleona i nowe rządy w konstytucyjnem Królestwie, którego namiestnikiem mianowany został generał Zajączek, korzystnie wpłynęły na sposób myślenia i dążności polskich obywateli, zaczął się w nich objawiać duch więcej samoistny. „Przestano ufać Francuzom, za zbawców poprzednio uważanym, i wierzyć ślepo ich wodzowi, a nie śmiano jeszcze pokładać ufności w zamiarach cesarza Aleksandra, ani chciano ulegać wpływowi narodu, który nie mógł sobie przywłaszczać przewagi oświaty nad nami". Wybór Zajączka na namiestnika powszechne wzbudzał niezadowolenie, bo wiedziano, że dlatego tylko powołanym został na to stanowisko, aby być biernem narzędziem rządu i uległym sługą w. księcia Konstantego. Byli jednak ludzie, którzy cieszyli się, że godność ta nie dostała się w udziale ks. Czartoryskiemu; charakterystycznym jest z tego względu epigram, puszczony wówczas pomiędzy publiczność:

Siedzi stary Zając pod miedzą
A Puławy o nim nie wiedzą.

Wiele ciekawych szczegółów podaje autor o literaturze z pierwszych lat Królestwa Polskiego; był to czas, w którym ograniczano się po większej części na tłómaczeniach dzieł francuzkich, w poezyi panował pseudo-klasycyzm francuzki. Krytyka pozbawioną była wszelkiej niepodległości, tak, że dzieła nawet bardzo mierne, skoro tylko wychodziły z pod pióra ulubieńców wyższego towarzystwa, bardzo dobrego doznawały przyjęcia, a krytyka jeźli ich nie chwaliła, to zbywała je milczeniem. Gdy Niemcewicz ogłosił komedyę p. t.: *Jan Kochanowski*, a ktoś odważył się nadesłać do gazety jej ocenę, nie przyjęto takowej, a natomiast zamieszczono ogłoszenie następującéj treści: „wyszła nowa komedya ze śpiewami p. Juliana Ursyna Niemcewicza p. t.: *Jan Kochanowski*"; była to, jak zauważa Skarbek, przestroga, że o takim autorze inaczej jak z pochwałą mówić nie wolno.

Rok 1818 ważnym jest w dziejach żywota autora, gdyż od niego datuje się jego naukowa karyera. Już w Paryżu Skarbek z szczególnem zamiłowaniem poświęcał się nauce politycznej ekonomii, której i po powrocie do kraju nie zaniechał, kształcąc się pilnie dalej na tem polu. Gdy w skutek wygórowanych pretensyj Dominika Krysińskiego, który mniemając, że nikt inny zastąpić go nie może, zażądał znacznego podwyższenia płacy, opróżnioną została katedra ekonomii politycznej na warszawskiej wszechnicy, ofiarowano to

miejsce Skarbkowi; p. Gzowski tak był zagniewany, że zięć jego śmiał przyjąć bakalarską, jak się pogardliwie wyrażał, posadę, iż namawiał nawet swą córkę, by porzuciła męża. Skarbek nie zawiódł położonego w nim zaufania i przez 12 lat z pomyślnym skutkiem wykładał swój przedmiot na warszawskim uniwersytecie; dziełami swemi z dziedziny ekonomii, ogłoszonemi w francuzkim języku, potrafił sobie nawet zjednać zaszczytne imię we Francyi, Włoszech i Holandyi, o czem z pewną dumą w pamiętnikach swych po kilkakroć wspomina. Katedra profesorska otworzyła mu podwoje warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któremu nasz autor w swym pamiętniku dość obszerne poświęca wspomnienie; z notatek tych utworzyć sobie może czytelnik dokładny obraz tej instytucyi, celów do jakich zdążała i owoców, jakie jej się osięgnąć udało. Rzecz swą o Towarzystwie Nauk kończy autor opisem ostatniego jego publicznego posiedzenia w r. 1830, na którem obchodzono trzydziestoletnią rocznicę założenia towarzystwa; prezes Niemcewicz czytał rozprawę o walkach romantyków i klasyków, a książę Czartoryski pochwałę prymasa Woronicza, która oklaskami przez zebraną publiczność przyjętą została. „Oba ci czcigodni mówcy, dodaje autor z wymówką, nie mają na ojczystej ziemi pomników, któreby ich zasługi potomności przypomniały; być może, że ona zapomni nawet kiedyś, co mieścił w sobie gmach po Towarzystwie Przyjaciół Nauk pozostały“?

O księżnej Łowickiej, żonie w. ks. Konstantego, z domu Grudzińskiej, o której nader szczupłe tylko dotychczas posiadamy wiadomości, pamiętniki Skarbka kilka cennych zawierają szczegółów. Jej to głównie staraniem stało się, że namiestnik książę Zajączek przed samą śmiercią pojednał się z Bogiem; zasługa to tem większa, że walczyć trzeba było nietylko z samym Zajączkiem, który do ostatniej chwili trwał upornie w smutnym obłędzie, ale i z smutnej pamięci żoną jenerała, starającą się wszelkiemi siłami nie dopuścić do męża sandomierskiego biskupa Burzyńskiego, dawnego towarzysza broni Zajączka, sprowadzonego umyślnie przez księżnę Łowicką do Warszawy, w celu przyprowadzenia namiestnika do upamiętania. Drugiego września 1826 r. ogłoszonym został wielki jubileusz, który miał się odbywać przez sześć miesięcy w całym kraju; obchodzono go z wielką żarliwością, wszystkie szkoły, uczniowie uniwersytetu z profesorami brali udział w tym obchodzie. „Główną promotorką tak gorliwego obchodzenia rzeczonego jubileuszu, mówi autor, była ks. Łowicka, która sama z siebie dawała w tem przykład skruchy i pokory chrześcijańskiej“. O ks. Łowickiej i w. ks. Konstantym ukazało się niedawnemi czasy w jednem z naukowych czasopism petersburgskich dość bezstronne studyum — wartoby było, aby je kto przetłómaczył na język polski.

Czasy bezpośrednio poprzedzające powstanie listopadowe naszkicował autor w swych pamiętnikach bardzo tylko blado i pobieżnie, tak, że czytelnik z jego dzieła nie może sobie utworzyć pełnego obrazu ówczesnych stosunków, wśród których przygotowywał się wybuch; natomiast rzeczy tak podrzędnej wagi, jak koronacyę cesarza Mikołaja opisuje rozwlekle na kilku stronicach. W czasie samego wybuchu nie był Skarbek w Warszawie obecnym, w Październiku bowiem roku 30 udał się był z wyższego polecenia do Petersburga, dla zwiedzenia tamtejszych zakładów dobroczynnych; oprócz tego miał się starać o zatwierdzenie projektu pomnika dla Aleksandra. Projekt ten był pomysłem hr. Skarbka; gdy bowiem Izba poselska wyznaczyła jednomyślnie kilka milio-

nów złotych na pomnik dla Aleksandra, a minister Mostowski powziął myśl założenia jakiego wielkiego zakładu dla ubogich i Skarbkowi polecił przygotować właściwy ku temu projekt, uznał tenże za najodpowiedniejsze utworzenie osady dla 1200 ubogich włóczęgów i tułaczów, połączonej z osadą rolniczą dla weteranów z wojska polskiego.

Załatwiwszy interesa, czekał już tylko Skarbek na pożegnalną audyencyę u cesarza, aby potem bezwłocznie opuścić Petersburg, gdy nadeszła wieść o powstaniu, która wyjazd jego znacznie opóźniła. 9 Grudnia o 1 w nocy zbudził go nagle posłaniec, powołujący go do ministra Grabowskiego. Przybywszy do ministra, zastał tam już kilku rodaków i dowiedział się, że cesarz o 9 wieczorem odebrał przez kuryera wiadomość o wybuchnięciu rewolucyi w Warszawie, o napadzie na Belweder, wygnaniu z niego w. księcia i o zabiciu kilku jenerałów. Nadto zakomunikował mu Grabowski otrzymane od cesarza polecenie, aby zawiadomił wszystkich Polaków z Królestwa, znajdujących się w Petersburgu, że każdemu wolno opuścić Petersburg i przejść do powstańców, jeżeli sobie tego życzy!

Tego samego dnia po obiedzie miał Skarbek prywatną audyencyę u cesarzowej, która go przyjęła nader uprzejmie, wypytywała troskliwie o żonę i dzieci i opowiedziała wszystko, co do owej chwili wiedziała o wypadkach Warszawskich. Mówiła, że cesarz tem najmocniej rozżalony, iż w rewolucyą wmieszane zostały osoby, które ufnością swoją otaczał, jak książęta Lubecki i Czartoryski. Ubolewając nad położeniem ks. Łowickiej wyrzekła: *„cette pauvre Jeannette, combien elle doit souffreл! elle nous est tellement attachée et elle est si bonne Polonaise“*.

Przeświadczony, że powstanie zakończy się dla sprawy polskiej niepomyślnie, i że tylko ogromne nieszczęścia na kraj sprowadzi, starał się Skarbek za pośrednictwem wpływowych osób wpłynąć na Mikołaja, aby go skłonić do uśmierzenia rozruchów na drodze pokojowej. Złożył przeto na ręce ks. Lubeckiego, który z Janem Jezierskim przybył do Petersburga w delegacyi od narodu, projekt względem środków, jakichby użyć należało w celu uniknięcia grożącej wojny, prosząc go, by ten memoryał przy sposobności przedłożył carowi. Proponował w tem piśmie, aby cesarz wydał powtórny manifest, motywując go lepszem objaśnieniem o stanie rzeczy, złożonem sobie przez polskich delegowanych, i aby w tym manifeście oświadczył, że nie mogąc przyjmować przedstawień od zbuntowanych poddanych, postanawia zwołać sejm, celem przedłożenia mu zażaleń i żądań narodu, ale nie wpierw, aż rząd tymczasowy sam ukarze winnych i wszystko w karby dawnego posłuszeństwa i porządku wróci. Projekt ten pokazuje, jak mało znał jego autor rząd petersburgski, sądząc, że zgodziłby się na tak szlachetne załatwienie sprawy, dowodzi jednakże, jak gorliwie troskał się Skarbek o dobro kraju, jak starał się odwrócić od ojczyzny grożące jej niebezpieczeństwa. Jeżeli niejednokrotnie wyraża swe ubolewanie z powodu wybuchu listopadowego powstania, to nie czyni tego z niechęci ku ziomkom, nie z przychylności do moskiewskiego rządu, lecz jedynie dla tego, że przewidywał od samego początku, jaki będzie skutek nierównej walki. Kochał on Polskę, ale zarazem widział, że dla jej dobra pracować jedynie można ze skutkiem na drodze pokojowej; wszelkiej pracy na tem polu podejmował się chętnie, nie zważając, czy mu to zjedna popularność, czy uczyni przedmiotem nienawiści. Gdy przy schyłku powstania ofia-

rował mu gabinet petersburgski wysoki urząd w tymczasowej radzie Królestwa, nie wahał się przyjąć tego stanowiska, bo choć przeczuwał, że go wielu o zdradę kraju posądzać będzie, nad osobiste względy wyżej stawił dobro kraju, któremu na nowej godności nie jedną ulgę w ciężkiej niedoli przynieść się spodziewał... To też na pożegnalnej audyencyi oświadcza śmiało carowi, że przyjął ofiarowaną mu godność jedynie, aby pracować dla kraju. Rzecz dziwna, nawet car Mikołaj uznał gorący patryotyzm Skarbka, a ściskając mu rękę wyrzekł: „*oui je sais que Vous êtes bon Polonais, c'est précisement parceque Vom en êtes un, que je Vous ai choisi*". „To oświadczenie monarchy, mówi autor, stało się dla mnie przewodnią dalszego mego postępowania. Miałem pracować nad zagładzeniem śladu nieszczęść przez kraj doznanych, i w tem posłannictwie miałem tak postępować, jak prawemu Polakowi przystoi. Sumienie moje jest mi świadkiem, żem nie zboczył z drogi, jaką mi sam cesarz w chwilowem wspaniałomyślnem natchnieniu wskazał, i że wtenczas zaraz postanowiłem zrzec się choćby największej dostojności, jeżelibym kiedykolwiek od tej raz przyjętej zasady odstąpić znalazł się zmuszonym."

Wysokiem stanowiskiem, które mu miało dać możność ulżenia krajowi, nie cieszył się Skarbek długo, w skutek bowiem przewagi, jaką po śmierci Dybicza wzięło w Petersburgu stronnictwo rossyjskie nad niemieckiem, mianowany został członkiem dotychczasowej rady na miejscu Skarbka jenerał Rauthenstrauch. Odtąd przez długi czas ogranicza się działalność Skarbka na szpitale i więzienia, w których wiele bardzo zbawiennych zaprowadził reform. Na szerszą widownię publiczną występuje dopiero znowu w r. 1854, w którym na życzenie Paszkiewicza przyjął urząd dyrektora sprawiedliwości. Na tem trudnem stanowisku utrzymał się aż do objęcia rządów w Królestwie przez ks. Gorczakowa. Prawa ręka Gorczakowa, Muchanow, zaciętym był wrogiem Skarbka, i on to głównie ciągłemi denuncyacyami przyczynił się do jego upadku. Patryotyczne postępowanie Skarbka w czasie, w którym jenerał Wincenty Krasiński zastępował chorego Paszkiewicza, wzbudziło nienawiść w zabitym moskalu, a ks. Gorczakow, nieubłagany wróg wszystkich Polaków snadnie dał ucha podszeptom chytrego dworaka i tak opisał Skarbka w przesłanym do Petersburga raporcie, że cesarz bezzwłocznie zażądał jego dymissyi.

Ostatnie osiem lat życia spędził Skarbek w zaciszu, zdala od sfer dyplomatycznych, oddany wyłącznie piśmiennictwu, które, jak się wyraża, stanowić miało odtąd jedyne jego zajęcie, jedyną pociechę i sposób utrzymania umysłu w ciagłej czynnośei.

O zewnętrznej formie książki nie wiele pozostaje nam do nadmienienia. Przyznać się musimy, żeśmy się po tak wzorowym, jak Skarbek, pisarzu cokolwiek piękniejszego spodziewali języka nad ten, który znajdujemy w ostatniem jego dziele. Napotykamy tam takie horrenda stylistyczne, jak: „rozrywki i fraszki poszły w zapomnienie, a szkoła nasza, do której młodzież polska i niemiecka wespół uczęszczała, podzieliła się na dwa obozy, między którem i słowne i czynne walki toczyć się zaczęły, w których i ja miałem udział z powodu zajścia z kolegą niemcem, który donosił policyi pruskiej o tem, co się w szkole działo, a który itd.", lub „w krótce doznał drugiego upokorzenia, a to z powodu wniesienia na radę administracyjną wniosku odrzucenia przedstawionego sobie projektu wysta-

wienia pomnika"... Znajdujemy takie usterki, jak: „koronacya odbyć się miana"; autor używa skroconych form: weń, zeń, doń, itp. w odniesieniu do rzeczownika żeńskiego rodzaju, niekiedy nawet na oznaczenie liczby mnogiej; przy negacyi kładzie regularnie czwarty przypadek, zamiast liczyć, zaznaczyć, wynurzyć, pisze zawsze liczeć, zaznaczeć, wynurzeć. Niezliczona ilość drukarskich błędów każe się domyślać, że książka nie była wcale w ręku korektora.

M.

RÓŻNOŚCI.

Mowa Marszałka Sejmu hr. Wodzickiego na pogrzebie księcia Leona Sapiehy.

Dziwnem zrządzeniem Opatrzności od czasu wielkiego nieszczęścia narodu naszego, a zatem przeszło od lat stu, zdarza się zawsze, że pomimo prześladowania i nieszczęścia jest jedna dzielnica Polski, w której odetchnąć można swobodnie. Jest to jakby szereg okresów w dziejach naszych porozbiorowych, w których różne części kraju przechowują kolejno tradycye ducha i myśli polskiej do lepszej przyszłości; widać, że Bóg, na nas łaskaw, nie chce ostatecznej naszej zagłady, ale widać także, że nie odpokutowaliśmy dotychczas grzechów dawniejszych, a może i tego, co z dawnych win i dziś pozostało.

Mąż, którego zwłoki z tak głębokim żalem dziś żegnamy, należał do dwóch takich okresów dziejowych; przypadło mu to bolesne a zaszczytne zadanie, że jeden z nich zamknął, a drugi rozpoczął. Budował z innymi z poświęceniem i dobrą wiarą budowę, która wznosiła się szybko i pomyślnie, i miał tę głęboką boleść widzieć, jak pewnego dnia cała budowa w gruzy się rozpadła. Nie upadł na duchu, lecz zaczął budować na nowo. I to jest ze wszystkich zasług tak zasłużonego Jego żywota może największa; ze wszystkich przykładów życia w przykłady tak bogatego ten, który najbardziej naśladować nam należy; ze wszystkich nauk, które z historyi tego życia zaczerpnąć możemy, ta, którą najbardziej trzeba nam sobie wziąć do serca. Bo na miłości kraju i na szlachetnych porywach nie zbywało nam nigdy, ale niestety zbywało nam na wytrwałości; tyle rzeczy rozpoczętych nie dokończono, tyle ludzi zmarnowało się bezpożytecznie dla tego, że pod wpływem zniechęcenia a czasem podrażnionej miłości własnej zarzucono to, co było rozpoczęte, albo dano się unieść niecierpliwości, zrobiono krok fałszywy, który robotę rozpoczętą przerwał, co było dokonane niweczył, i znów trzeba było zaczynać na nowo.

Tylko że wtedy do tej budowy przychodzili już inni ludzie bez wprawy, bez doświadczenia, którzy musieli nietylko pracować od początku, ale także uczyć się od początku, bo ci, którzy pracowali dawniej, upadli na duchu, już stali na uboczu. Książę Leon Sapieha po tym ciężkim zawodzie, choć z zakrwawionem sercem nie usunął się, nie upadł na duchu, nie zwątpił w przyszłość, bo był nietylko gorącym Polakiem, ale był także szczerym chrześcijaninem, bo

nietylko kraj swój gorąco miłował, ale także głęboko wierzył w Boga sprawiedliwego i miłosiernego. Rozpoczął swój zawód życia publicznego w Królestwie Polskiem kongresowem. Był jednym z czynnych pracowników około tego dzieła reorganizacyi tej części Polski, które tak świetnie się powodziło i tak szybko posuwało się naprzód. Jeśli się zważy, ile w tych krótkich latach dało się zrobić, ilu ludzi stanęło gotowych do pracy każdego rodzaju i organizatorów, mistrzów ducha i wiedzy, którymi szczycić się możemy przed całym światem, jak szybko kraj się podnosił i porządkował i pomyśleć, gdyby to dzieło w ten sposób rozpoczęte, można dalej prowadzić, nie bylibyśmy dziś tam, gdzie jesteśmy. Ale stało się; porywy uczuć miłości kraju, pewnie szczerej ale zbyt niecierpliwej, sprowadziły klęskę; burza w jednej chwili wszystko przewróciła, i mało było podówczas takich, którzyby na duchu nie upadli, którzy wobec tej już prawie pod dach wzniesionej budowy, w jednej chwili zniszczonej, mieli odwagę zacząć na nowo od fundamentów, przewidując, że prawdopodobnie okres życia ludzkiego zaledwie wystarczy, aby tyle przynajmniej odbudować, ile już było postawione.

Wojna zastała księcia Sapiehę za granicami kraju i tam, nie chcąc być bezczynnym, wedle sił i możności pracował w zawodzie dyplomatycznym. Ale nie długo to trwało. Natura rycerska młodego jeszcze podówczas człowieka nie zniosła tego, aby pracować w ten sposób, choć i ta praca w salonach dyplomatów nie zawsze łatwa, czasami konieczna, ażeby pracować zdala od szczęku oręża, kiedy inni walczą w szeregach. I on poszedł do szeregów i jak wszędzie zachował się dzielnie, świadczy o tem krzyż, który zdobił pierś jego, świadczy szybki awans i powołanie go do sztabu naczelnego wodza.

Skoro wojna się skończyła, a skończyła się klęską, szczątki rozbitej organizacyi wojskowej i cywilnej rozproszyły się po wszystkich stronach.. Jedni udali się za granicę dla tego, bo zwątpili w przyszłość; inni dla tego, bo sądzili, iż tam w krajach swobody będą w stanie ochronić od zagłady ten skarb najdroższy: świętość uczuć myśli i ducha narodu; inni znów zostali w kraju, ale złamani, bez odwagi do dalszej pracy, innej, jak troski o chleb powszedni.

Książę Sapieha upatrzył tę cząstkę ziemi polskiej, gdzie mu wolno było zamieszkać, przyszedł bez programów żadnych zgóry narzuconych, nie stawiając się jako prorok, ani jako zbawca, ale stanął znowu jako szeregowiec w tej pracy codziennej, w której miał już nie ustać do ostatniej życia godziny. A nie były to czasy takie jak dzisiaj, gdzie wolno swobodnie myśleć i mówić, wiele, bardzo wiele zrobić, byle tylko siły starczyły. Była to chwila, w której z góry odmawiano wszystkiego, a z dołu był upadek na duchu zupełny. Księcia to nie zniechęciło. Stracił on milionową fortunę, a tu niech mi będzie wolno nawiasem wspomnieć, że za życia księciu Sapieże zbytnią oszczędność zarzucano. Prawda, był oszczędnym, dla siebie był prawie skąpym, ale taka oszczędność i takie skąpstwo, które dozwalają rzucić milionami, ażeby tylko nie ugiąć głowy przed wrogiem kraju, które dozwalają nie pożałować na żaden cel krajowy miłosierny lub dobroczynny... wszak zdaje mi się jednym z ostatnich podpisów księcia był podpis dwunastu tysięcy złr. na liście składek do budowy szpitala św. Zofii; takiej oszczędności i takiego skąpstwa, kiedy idzie o zaspokojenie własnych potrzeb, oby było jak najwięcej, byle towarzyszyła im taka hojność i ofiarność na rzecz publiczną.

Zaczął więc od małego, ze zdaniem swojem nikomu się nie narzucał, rady nie dawał, chyba tylko o nią proszony; rozgłosu około niego nie było żadnego, rozgłosu nie szukał; a jednakowoż po pewnym czasie spostrzeżono w kraju, że się coś zmieniło, że się coś robi, że powstają instytucye dla kraju pożyteczne, że staje się możebnem to, o czem pierwej nawet myśleć nie próbowano, że jest jakiś łącznik, jakiś duch opiekuńczy, który do zgody i pracy pobudza. Zanim można było wiedzieć, kiedy i w jaki sposób stało się, że Galicya miała swojego przewodnika, który wyrósł sam tylko, własną zasługą, wyrósł, a nie wyniósł się, bo on nigdy się nie wynosił. W nim te duchy, które zaczęły pokutować w niektórych panach polskich w czasach, kiedy psuć się zaczynało w naszej rzeczypospolitej, ten duch pychy i zarozumiałości, niesforności, tej to niby miłości ojczyzny, która w ojczyznie widzi tylko siebie i losy własnej rodziny, te złe duchy nigdy w nim nie pokutowały. On kochał kraj prawdziwie z prostotą, nic dla siebie nie szukając i dla tego został sam z siebie kraju tego przewodnikiem.

Czyżby nie można powiedzieć, że w tej postaci zmarłego księcia Leona Sapiehy wyobraża się niejako Polska, podnosząca się i odradzająca, Polska, która chce pracą naprawić to, co zgubiła bezczynność, która chce naprawić skromnością i prostotą to, co zepsuła pycha. Obyśmy tylko mieli wielu, którzy go będą umieli naśladować, aby rozpoczął się od niego nowy okres dziejów naszych, w którym obok gorącego uczucia i ducha poświęcenia znajdą się te przymioty, które go w tak wysokim stopniu odznaczały: pracowitość, skromność, wytrwałość, statek i rozwaga, karność, duch pojednania i zgody. Wszyscy przypominają sobie tę postać szlachetną i ujmującą, kto ją raz widział, już jej nigdy nie zapomni. Z tego, co daje pochodzenie z wielkiego rodu, pozostała tylko słodycz, wykwintna, dla wszystkich równa uprzejmość. Zostało może jeszcze coś więcej: to lekceważenie fałszywych sądów ludzkich i potwarzy, a może jeszcze jedno zostało, to obojętność na pewien rodzaj zaszczytów, za któremi próżność lubi się uganiać. Stanowisko, jakie zajmował, było tego rodzaju, iż trzeba mu było tylko schylić się, aby podnieść tych zaszczytów ileby zapragnął. Ale on wolał się nie schylić; to też przed trumną nieśli tylko jeden order, krzyż zasługi wojskowej, a z tytułów oprócz rodowego, o ile wiem przynajmniej, nie miał żadnego.

Jeżeli wielbimy dziś i słusznie bohaterów zwycięstwa i tryumfów z dobrych czasów przeszłości, to tych bohaterów cierpienia i trudów, wytrwałej pracy i ducha niezłomnego z czasów pokuty potomność może kiedyś nie niżej postawi. Zadanie ich nie było łatwiejszem, a to, co im przyszło przeboleć i to niemało zaważy na szali.

To też kraj cały żegna z uczuciem głębokiego żalu, z uczuciem wdzięczności i z błogosławieństwem tę trumnę, która zawiera zwłoki niegdyś żołnierza, niezmordowanego pracownika, a później nauczyciela i kierownika naszego...

Te słowa wdzięczności wypowiadam, bo ktoś wypowiedzieć je powinien, a wszyscy mówić nie mogą, wypowiadam je, który sam wiele Zmarłemu zawdzięczam, w imieniu tego narodu, któremu służył tak wiernie, każdą chwilę życia poświęcał i tak gorąco go kochał. Niech mu ziemia będzie lekką, niech ztamtąd, gdzie już nie ma zawodów ani niesprawiedliwości, gdzie zabezpieczoną

jest nagroda za prawdziwą zasługę, niech mu będzie dane, ażeby ztamtąd kiedyś ten kraj polski zobaczył takim, jakim za życia mieć go pragnął! Cześć Jego pamięci!

LISTY Z RZYMU.

Rzym dnia 28 Września.

VI.

(Układy z Niemcami — Charakter pruskiego kanclerza — Bismark a Napoleon I — Mężowie stanu Anglii i Francyi — Pycha księcia Bismarka — Powodzenie Prus — Powód do układów z Rzymem — Dyplomacya papiezka — Czy są układy z Rossyą? — Obchód rocznicy zaboru Rzymu — Syndyk Rzymu Ruspoli — Predykant protestancki Gioia — Patryoci spychają się z mównicy — Menotti Garibaldi — Plagiat słów Napoleona I — Nędznicy — Audyencya pielgrzymów piemonckich w Watykanie — Mowa Ojca Św. — Zdrowie Ojca Św. — Słowo do kapłanów — Sercanki i dziewięcioletnia polska dzieweczka przed Ojcem Świętym — Podnoszenie zasług i świętości Piusa IX — Meeting).

Czy dlatego, że ks. Bismark nie może się dotychczas uporać z trudnościami parlamentarnemi i katolików potrzebuje, czyli, że w rzeczy samej uznaje niebezpieczeństwo zupełnego i bliskiego dla cesarstwa prusko-niemieckiego rozkładu, w razie gdyby się Kulturkampf przedłużał — dość, że układy ze Stolicą świętą prowadzą się i być może do jakiegoś znośnego *modus vivendi* i doprowadzą. Już to pierwsze przypuszczenie jest o wiele prawdopodobniejszem. Charakter i bieg życia tak publicznego jak i prywatnego pruskiego kanclerza żadną miarą nie pozwala przyznać mu miana wielkiego męża stanu, lecz tylko wskazuje na człowieka niezmiernie chciwego władzy, przytem woli silnej, sprytu u Niemców nie codziennego, i, co najważniejsza, człowieka obdarzonego szczęściem, co trafił na swoją chwilę i wyzyskiwać ją umie. Mówiąc zaś po chrześcijańsku, jest Bismark w ręku Boga narzędziem kary na pychę heretyckich i bezbożnych, narzędziem pokutnej chłosty na grzechy katolickich Niemiec, i to posłannictwo swoje, szukając wszędzie siebie i chwały własnej, bezwiednie lecz dokładnie spełnia. Wielki mąż stanu nigdy podwalin społecznych nie osłabia; choćby wyłącznie ziemskiemi, nawet osobistemi rządził się pobudkami, on rozumie, że potęgę i ład materyalny trzymają i odżywiają zasady moralne, a te znowu spoczywają na obyczaju i tradycyi religijnej i społecznej narodu. Rozumiał to Napoleon, gdy wśród ruin rewolucyjnej Francyi zawierał konkordat, nadawał kodeks, organizował administracyę, odbudowywał Akademie i szkoły. Rozumieli tacy mężowie jak Pitt, Caming, Robert Peel. dla których historyczna i społeczna, nie na papierze tworzona, konstytucya angielska była świętą, nietykalną arką pomyśl-

ności i wielkości wielkiej Brytanii. Rozumieli nawet na ruchomym gruncie liberalizmu działający francuzcy ministrowie Guizot, Thiers i inni, lubo ich zasady były raczej doktrynerskie albo empiryczne niż rodzimo konserwatywne; zawsze jednak, jeżeli nowych sił społecznych nie tworzyli, to przynajmniej nie burzyli istniejących. Bismark dotychczas wręcz inaczej sobie poczynał. W gruncie sceptyk, dumy bardzo pospolitej, lekceważący i pomiatający ludźmi, on z niczego nic sobie nie robi; zdawałoby się, że wszelka powaga nie wychodząca od niego, zawadza mu i radby ją upokorzyć. Próżny, nerwowy, ściga gorączkowo obrazy osobiste, toleruje bluźnierstwa, owszem sam obala rzeczy najświętsze. Kilka szczęśliwych dyplomatycznych, moralnie zresztą nikczemnych, manewrów, siła i dzielność wojskowej i administracyjnej pruskiego państwa machiny, której przecież on nie stworzył, lecz ją zastał od wieków wyrobioną (bo ta ekonomiczno-rządowa Prus tradycya, przez Fryderyka II i elektorów, krzyżackich sięga czasów), a głównie błędy przeciwników, dały mu powalić Austryę i Francyę. Ze zwiększeniem potęgi wzrosła i pycha. Zastał wewnątrz monarchii pokój religijny i społeczny. Czy umiał zeń korzystać? Przeciwnie, z zapamiętałością sekciarza jął się prześladować Kościół katolicki, Kościół, któremu sami konserwatyści protestanci przyznawali cechę najsilniejszej przeciw prądom destrukcyjnym zapory, tolerował zaś, i niemal sprzyjał ruchowi socyalistycznemu w społeczeństwie, najwyuzdańszemu materyalizmowi i bezbożności w nauczaniu młodzieży. A przecież nie potrzeba geniuszu, by widzieć, dokąd takie postępowanie doprowadzić musi, dość trochę rozumu politycznego. Dziś, przerażony owocami drzewa, które sam tak starannie pielęgnował, mąż „krwi i żelaza“ *(durch Blut und Eisen*, znane godło prusko-niemieckich unifikatorów), krwią i żelazem chce niebezpieczeństwu położyć tamę, ścigając socyalistów grozą ustaw wyjątkowych i policyjnego prześladowania. Wiekszość jednak parlamentarna, którą znalazł łatwo przeciw Kościołowi, w tej nowej kampanii z rąk mu się wymyka. Ztąd próby, czy mu się snać nie uda pozyskać katolików dla swoich zamiarów; ztąd układy z Rzymem. I dla tego trudno wierzyć w szczerość tego zwrotu pionów Bismarka na politycznej szachownicy, lubo i to pewna, że jeżeli w widokach Bożych leży położyć koniec cierpieniom Kościoła w państwie pruskiem, czy tym czy innym sposobem nastąpić to w każdej chwili może. Tym czasem podziwiać prawdziwie należy postępowanie dyplomacyi papiezkiej, zawsze cierpliwej, wyrozumiałej, a gdzie potrzeba nieugiętej, i w Rzymie papiezkim się

uczyć, jak ogromną potęgą i podporą, jak bezpieczną nicią przewodnią jest dawna wiekowa tradycya, gdy tak jak tu, na Słowie Bożem, na mądrości świętej, na prostocie gołębiej a roztropności wężowej wyrobiona. Bądźcie pewni, że jeźli coś jest z Prusami do zrobienia, to się zrobi. Gorzej, bo wcale nijako, rzeczy stoją z Rossyą. Układów żadnych nie ma i nie zanosi się na nie. Snać krew naszych podlaskich Unitów tak zaciemniła wzrok rządzących w Petersburgu, że nawet krew Trepowów, Mezencowów i innych, otworzyć im oczów nie może...

Mieliśmy tu, jak corocznie, w dniu 20 września obchód rocznicy zaboru Rzymu. W ciągu dnia na ulicach obchodu tego prawie wcale znać nie było. Chorągwie sabaudzkie były powywieszane w gmachach rządowych, i, co piętnasty zaledwie w przecięciu dom, w niektórych mieszkaniach prywatnych. Po południu zwykła processya stowarzyszenia Towarzystwa liberalnego *del mutuo soccorso* z dwudziestu chorągwiami i czterma muzykami udała się do bramy *Porta Pia*, dzisiaj przezwanej *del venti Settembre*. Tam były mowy, wiwaty, obfite libacye. Zawieszono kilka wieńców pod wypisanemi na murze na miejscu wyłomu nazwiskami poległych. Przemawiał syndyk Ruspoli, dość mizerna figura odstępcy od katolickich tradycyj swojej rodziny. (Inny książę Ruspoli, szanowny polityczną wiernością Papieżowi, właśnie umarł temi dniami z powszechnym żalem wszystkich zacnych ludzi). Powiedział między innemi: „W Rzymie jesteśmy i zostaniemy w nim...“ Zapewne tak, jak został już Wiktor Emmanuel i wielu innych. Po nim mówił adwokat Colombo szereg frazesów, w takich okolicznościach oklepanych. Wielką sprawił niespodziankę predykant protestancki Gioia; zamiast bowiem oczekiwanych entuzyazmów, wystąpił z gwałtownem natarciem na Piemontczyków: „Zamiast panowania księży, prawił, mamy panowanie Piemontczyków! Wszystkie zaszczyty, wszystkie dobre posady są dla Piemontczyków! Italia jest niewolnicą piemontyzmu!“ Ten niespodziewany zwrot tak stropił organizatorów demonstracyi, że syndyk Ruspoli i Menotti Garibaldi (syn starego) rzucili się do mównicy i pana Gioię z niej niemal przemocą ściągnęli. To, rozumie się, rzuciło cechę niemiłą na całość manifestacyi. Ale najwybitniejszą z oracyj dnia tego wypowiedzianych, była mowa tegoż Menotti Garibaldi, który, jako godny swego ojca, przy oklaskach godnych siebie słuchaczów, wołał: „Italia jest zrobiona; biada temu kto się jej dotknie! (plagiat sławnych słów Napoleona przy koronacyi jego żelazną koroną Lombardzką w Medyolanie, dnia 26 Maja

1805 r. *Dieu me la donnegare à qui la touche!...*). Papieztwo, to najniebezpieczniejszy wróg Italii. Powinniśmy je ścigać bez dania mu chwili wytchnienia, i słowem i c z y n a m i!“ — Nędznik!... ale tacy to nędznicy utworzyli dzisiejszą jedność włoską, tacy w jej imieniu przemawiają. Patrząc na to i na wszystko, co się tu dzieje, na to rozdarcie całego narodu na dwa wrogie obozy, na to usystematyzowanie fałszu i bluźnierstwa przez ludzi będących przy władzy, rzeczywiście zapytać się przychodzi, czy nie mniejszem dla narodu nieszczęściem ucisk obcy, niż tak demoralizujące, jakie tu są polityczne stosunki.

W trzy dni po tych ohydnych obchodach, w poniedziałek 23 września, miała miejsce w Watykanie prześliczna audyencya u Ojca świętego pielgrzymów katolickich z tego samego Piemontu, na którego liberalne rządy już, jak widzieliśmy, sama rewolucyjna ludność narzeka. Stu kilkudziesięciu pielgrzymów, wszyscy z duchowieństwa, szlachty i wyższego mieszczaństwa, pod przewodnictwem dzielnego młodego katolickiego adwokata turyńskiego pana Buffo, prezesa tamecznego koła młodzieży katolickiej, wysłuchali Mszy św. i przyjmowali komunię świętą z rąk kardynała Borromeo, w kościele św. Piotra. O 12½ przyjmował ich Papież Leon XIII. Ksiądz turyński kanonik Schiaparelli odczytał adres prawdziwie piękny swą prostotą i gorącą wiarą. Ojciec Święty odpowiedział mową poważną serdeczną i głęboko wzruszającą. Jakby w przeciwieństwie z bluźnierczemi okrzykami Włoch rewolucyjnych, obwołujących Stolicę Rzymską, tę gwiazdę z Nieba, tę koronę nadprzyrodzoną na czole chrześcijańskiej Italii, nieprzyjaciołką tejże przez Papieztwo właśnie tak chwalebnej krainy, odezwał się Ojciec święty między innemi w tej mniej więcej osnowie:

„Jeżeli miłe mi są odbierane zewsząd dowody przywiązania i wierności dla tej świętej Piotra stolicy, to za podwójnie drogie uważam te pielgrzymki przybywające z różnych krajów tej naszej Italii, ziemi od Pana stokrotnemi błogosławieństwy uprzywilejowanej. Tak i wy, najmilsi synowie, przybyliście z waszych stron ojczystych, przybyliście, by, wbrew aż nadto smutnym a u nas dzisiaj namnożonym objawom, zaświadczyć, że i ta część Italii ma dosyć synów Kościoła, gotowych na wszystko, by stać przy świętych jego prawach. Wiadomo wam najmilsi, jak niesłychanie trudnem jest położenie, które dzisiaj uczyniono Papieżowi. A p o ł o ż e n i e t o, s ą n a o s k a z ó w k i, z d a j e s i ę, ż e m o ż e s t a ć s i ę j e s z c z e c i ę ż s z e m. Jakąż więc powinna być i miłość nasza dla Kościoła Chry-

stusowego i praca gorliwa i niestrudzona i t. d.“ Oto ustęp najwybitniejszy. Miałem szczęście podczas tej audyencyi być przez półtorej godziny o kilka kroków od Papieża, i napatrzeć mu się dowoli. Otóż mogę was upewnić, że dzięki Bogu Leon XIII jest teraz doskonale zdrów i czerstwy, i wygląda dużo lepiej niż zeszłej wiosny. Dobroć Jego jest prawdziwie ujmującą dla wszystkich. Żeby było najwięcej osób (a tego dnia prócz Piemontczyków było jeszcze z 200), z każdym z osobna rozmawia. Kapłanów czci wybitnie; ale przy tem słyszałem jak do kilku z obecnych księży powtarzał: „Moi bracia, my teraz robotnicy Pańscy powinniśmy podwoić pracy, wszystkie siły nasze oddać na służbę Kościoła; to dla nas obowiązek najściślejszy *(dovere strettissimo)*“. Dzieci pieści z widocznem wzruszeniem. Polakom zawsze daje szczególne oznaki swej łaski. Przed kilku dniami miały posłuchanie wychowanki Dam Najświętszego Serca (Sacré-Coeur). Gdy się dowiedział, że między niemi jest Polka, 9-cioletnia Kostunia O., kazał ją sobie osobno przedstawić i serdecznie do niej przemówił. Prośmy Boga za Nim, bo święta i poważna to postać. Niedawno osobnym listem uczcił autora popularnego żywota Piusa IX, którego świętość i zasługi podnosi.

Na dzień 22 września był zwołany meeting robotniczo-socyalistyczny. Deszcz zebraniu przeszkodził. *K. T.*

Kronika.

Rak nihilizmu toczy coraz bardziej, spółeczeństwo moskiewskie i rozwija się w tym samym stosunku i stopniu, co socyalizm niemiecki — w innym atoli zupełnie kierunku. Socyalizm niemiecki grasuje głównie w niższych warstwach spółeczeństwa, w klasie robotniczej — podczas kiedy w Moskwie sturamienny polip nihilizmu wciska swe kleszcze w sfery wyższe i w salonach stolicy; pomiędzy bogatemi i miennemi rodzinami się rozpościera.

Destruktywne i zgubne, przewrotne i burzące zasady, jakie głosi, przybierają wobec ucisku i gwałtu, panującego w Moskwie, pozory zbawiennej i zorzę wolności zapowiadającej ewangelii; i temi właśnie pozorami nęci ku sobie umysły szczycących się blichtrem wyższego wykształcenia liberalnych Moskali i Moskiewek. W Berlinie panie Hahn i Stegemann, oraz kilka jej towarzyszek, lubujących się w demonstracyjnych wiecach i w pąsowych kokardach, stanowią, rzecby można, wyjątek kobiet, zajmujących się kwestyą spółeczną — w Moskwie przeciwnie, jak o tem świadczy przykład Wiery Zazuliczownej, pragną nihilistki odegrać ważną rolę w przewrocie społecznych stosunków. Socyalistka Niemka zajmuje się gospodarstwem domowem, siedzi w kuchni, co najwięcej rezonuje w restauracyi, lub zwołuje zebranie kobiet na wspólną pogadankę, albo wysłuchanie jakiej mowy pana Mosta. W Moskwie nihilistka z wyższych

sfer towarzystwa rzuca się z przekonania i z pewnym fanatyzmem w wir walki i agitacyi, zniża się do klas roboczych, cierpi nawet niedostatek, aby idee swe propagować, a kiedy zapłonie zemstą, lub jaką idée fixe ratowania sprawy, to chwyta za rewolwer i strzela z zimną krwią do carskiego czynownika.

Sąd przysięgłych w Moskwie zajmował się niedawno temu ponownie sprawą podobną zupełnie do sprawy Wiery Zazuliczównej.

Niejaka Alexandra Pawłówna Wenecka, nihilistka, córka radzcy carskiego, postanowiła zgładzić ze świata zdeklarowanego wroga nihilistów, rządowego instygatora (prokuratora) Przewalskiego — chybiła jednak celu, i, zamiast Przewalskiego, zraniła ciężko kulą rewolwerową jego zastępcę Prozorowskiego. Sąd przysięgłych uwolnił oskarżoną wśród ogólnej radości i oklasków licznie zebranej publiczności. Obok takich powtarzających się wyroków — cóż dziwnego, że morderstwa policyantów, urzędników i wojskowych są na porządku dziennym, że od czasu skrytobójczej śmierci Mezencowa padło już blisko dziesięciu urzędników z ręki tajnych spiskowców? W Charkowie zamordował nihilista podoficera i kiedy go prowadzono do kaźni, z najobojętniejszą w świecie miną przepowiedział termin, kiedy zostanie przez swych kolegów uwolniony — i rzeczywiście w oznaczonym dniu razem z 10 więźniami zbiegł podziemnym kanałem, przekopanym o 50 metrów z poza obrębu więzienia!

Na co się zdadzą wszystkie środki ostrożności, na co sotnie kozaków, krążące z nabitą bronią po Petersburgu, nadające stolicy pozór oblężonego grodu — kiedy sami urzędnicy zdają się być wciągnięci w spisek, lub z obawy zapowiedzianej w nihilistycznych proklamacyach śmierci lękają się energicznie przyłożyć ręki do wykrycia złego.

W każdem niemal większem mieście znajduje się komitet nihilistyczny (Krużok), znany w większej części z swych członków, ale któż się ośmieli wydać ich władzy — kiedy denuncyanci Kowalewskiego w Odessie wszyscy padli od sztyletu? Czasy, w których Moskwa stanie się bezsilną wobec nihilizmu, — w których bezprawie i gwałt rozsadzą gmach ciemięztwa i niewoli — są bliskie.

(*Kuryer Poznański*).

Gambetta, jak amerykański dentysta, jeździ po kraju wśród wrzawy i hołdów swoich zwolenników, którzy przyjmują go owacyami. Gambetta występuje na tych wycieczkach jak prawdziwy akrobata polityczny. Republikańskie dzienniki francuskie pełne są opisów tej „tryumfalnej przejażdżki" po południowo-wschodniej Francyi. W Andacette urządził dla niego deputowany Christophe suty bankiet na terasie, dominującym nad Rodanem. O godzinie 10 działa moździerzowe zwiastowały z pobliskich gór zbliżenie się parowca Gladiateur, ustrojonego w flagi i chorągiewki, na których czytać można było napisy „Pokój, praca i republika". Podczas śniadania grała muzyka. Po śniadaniu w imieniu patryotycznych pań miasta przyniosły gościowi dwa dziewczątka wspaniałe bukiety kwiatów; całe miasto przyozdobione było w wieńce i girlandy, a gdy Gambetta przy boku radykalnego deputowanego Madier-Montjan wstąpił na okręt, wzniosły zgromadzone tłumy okrzyki, którym nie było końca. Wśród podobnych objawów ludności płynął eksdyktator w dół rzeki. W Saint-Vallier podał mer gościowi przywitanemu okrzykami puhar honorowy wśród huku dział i odgłosu marsylianki; wszędzie witały go depu-

tacye, pochody, napisy. Z zmierzchem przybył Gambetta do Valence, stolicy departamentu, gdzie przeszło 20,000 ludzi tworzyło szpaler na przystrojonych świątecznie ulicach. Powitany przez radę gminną wyraził Gambetta radość, że przy boku jednego z najdzielniejszych żołnierzy wojującej republiki (pana Madier-Montjan) wstępuje na tę patryotyczną ziemię. Jest to obraz obfity w błogie skutki zgody wszystkich republikanów, która umożliwi postęp i reformy, jakich kraj od repnbliki spodziewać się ma prawo. Na odbytym następnie bankiecie pił deputowany Madier-Montjan za zdrowie gościa i za pomyślność republiki. „Czem bylibyśmy bez republiki? kraj nasz byłby rozkawałkowany i upokorzony, podczas gdy obecnie podniósł się do nieznanej dotąd świetności, a każdy obywatel z dumą powiedzieć może: „Uczestniczę w tej wielkości“. Dwa razy ocalił Gambetta republikę a po dniu 16 maja w komisyi ośmnastu sam patrzyłem na to, jak Gambetta należał do najwybitniejszych jej członków“. Tak mówił radykalista Madier-Montjan. Poczem rzucił się w objęcia Gambetty i na tem zakończyła się ta komedya pełna teatralnego efektu. Nazajutrz udał się Gambetta do Romans, gdzie po południu wygłosił w cyrku mowę polityczną. Tyle *Gazeta Toruńska,* której słowa przytoczyliśmy rozmyślnie, aby nas nikt nie posądzał o przesadę. Mowa p. Gambetty w Romans, zapowiada podjęcie *à outrace* walki przeciw wszystkiemu co czci, szanuje i w co wierzy świat katolicki. Gambetta rozwinął w niej cały plan Kulturkampfu, który przeprowadzić obiecuje we Francyi z chwilą opanowania rządu przez radykałów. Szkoda doprawdy, że syn wychrzty, który w chłopięcych latach swoich odbierał wychowanie od tych samych księży, których dziś fałszerzami historyi i ignorantami nazywa, zapomniał, że Kościół nie na takich już Gambettów patrzał i nie takich radykałów przeżył. Neron, Dyoklecyan, Julian Apostata więcej potężnymi byli.... a jednak w hańbie zginęli, a Kościół istnieje. Mowa Gambetty zszeregowała katolików i do większej jeszcze pobudzi ich czujności. Na pobudkę odezwał się już głos znakomitego biskupa z Angers mrga Freppel, który w liście do Gambetty wzywa go, aby zdał sprawę z utraty Alzacyi i Lotaryngii i wytłómaczył się, jakim sposobem na ruinach Francyi on ubogi przedtem człowiek przyszedł do kolosalnego majątku. Równocześnie całe dziennikarstwo katolickie powstało, nawołując katolików do przygotowania się na prześladowanie. Do całej tej sprawy w przyszłym poszycie *Przeglądu* powrócimy. Tutaj nadmienimy tylko to, że wszystkie europejskie poważne dzienniki zdumiały się na widok zuchwalstwa Gambetty, wszystkie nie wyłączając sekciarskiego *Pall Mall Gazette,* ganią to wystąpienie, a *Times* w artykule wstępnym, mówiąc o liście biskupa Freppel'a, dodaje: „W dniu, w którym p. Gambetta i jego przyjaciele przejdą od słów do czynów, od frazesów trybuna do programu w Romans, w tym dniu Rzeczpospolita francuzka rozpocznie dwudziestoczterogodzinny swój żywot“.

Z Zaboru Rossyjskiego: List Najprzewielebniejszego ks. biskupa Wincentego Popiela do Ojca Św. — Odpowiedź Leona XIII — Pochwalenie Polaków — Przyjęcie wracających z Turcy wojsk w Warszawie — Składka oficerów — Objawy życia religijnego — Odpust w Częstochowie — Ks. biskup Popiel i ks. biskup Bereśniewicz — Popowicze — Nihilizm.

Najczcigodniejszy Pasterz dyecezyi Kujawsko-Włocławskiej ks. biskup Wincenty Popiel, poprzednio biskup Płocki, a za swą nieustraszoną obronę

praw Kościoła św. i swą niezachwianą do Stolicy św. wierność wieloletni wygnaniec w Nowogrodzie, na pierwszą wiadomość o wstąpieniu Leona XIII na Stolicę św., pospieszył w imieniu swojem, duchowieństwa i swych owieczek wyrazić wierność i przywiązanie do Chrystusowego Namiestnika, prosząc o błogosławieństwo; owoż na list ten Dostojnego Pasterza nadeszła odpowiedź od Ojca Św. za pośrednictwem władz rossyjskich, wręczona w Rzymie Grzegorzowi Salvietti, ajentowi rządu rossyjskiego. W przekładzie polskim brzmi ona jak następuje:

Czcigodny Bracie, pozdrowienie i apostolskie błogosławieństwo!

Jeśli wszystkim wiernym sprawiło to radość, że Opatrzność Boska, tak prędko zaradziła sieroctwu Kościoła, zaiste, nie dziwimy się, Czcigodny Bracie, że kraj ten, chwałą wiary zalecony, temże weselem przejęty został. Z tego powodu, szczere życzenia Twoje z serca wylane, łącznie z zapewnieniem czci i przywiązania dla Zastępcy Chrystusa w pokornej naszej osobie, wdzięcznem sercem przyjęliśmy, zwłaszcza, jako zakład tej doskonałej miłości, która, jak dotąd, tak i na potem, Ciebie i Trzodę Twoją z Nami łączyć nie przestanie. Niechże ją utrzymuje i coraz więcej a więcej rozpala Apostolskie błogosławieństwo, które jako Bożej łaski przesłankę i szczególniejszej naszej życzliwości dowód, Tobie czcigodny Bracie, i całej twej dyecezyi najżyczliwiej udzielamy.

Dan w Rzymie u św. Piotra d. 29 lipca 1878 r. Papiestwa Naszego roku pierwszego.

Papież Leon XIII.

Dzienniki warszawskie, ogłaszając ten list, nie mogły oczywiście uwydatnić w odpowiedzi Ojca Św. wyrażenia się, w którem zawartą jest najwyższa dla nieszczęśliwej Polski pochwała. Tkwi w nim owa serdeczna Ojca Św. miłość, słyszysz tutaj echo owych słów Leona XIII, wypowiedzianych do deputacyi polskiej: „Tu w sercu mam Polaków.“ Nie inaczej bowiem rozumieć należy owo wyrażenie się Ojca Św., znajdujące się w odpowiedzi Najczcigodniejszemu Biskupowi: „Jeźli wszystkim wiernym sprawiło to radość, że Opatrzność Boska tak prędko zaradziła sieroctwu Kościoła, zaiste nie dziwimy się Czcigodny Bracie, że kraj ten chwałą wiary zalecony, temże weselem przejęty został“. Tak więc Polskę naszą nazywa Ojciec Św. krajem, chwałą wiary zaleconym!

Z rozkazu prezydenta m. Warszawy jenerała Starynkiewicza musiano w uroczysty sposób przyjmować wracające z Turcyi moskiewskie pułki, nawet bractwom kościelnym polecono wystąpić z chorągwiami. Dzienniki moskiewskie piszą, że Warszawianie z własnej chęci i woli przyjmowali zastępy ciemiężycieli Polski i zawodzą już piosnki o przejrzeniu w końcu Polaków i o ich serdecznem dla Moskwy usposobieniu. Oczywiście, że jak w każdem większem mieście, tak i w Warszawie znajduje się gawiedź, która dobrowolnie, bezwiednie, z równem zajęciem przypatrywać się będzie sztuczkom wyprawianym przez linoskoczków, jak i tańcom niedźwiedzia lub pochodowi wojsk moskiewskich. Koniec końcem moskiewskie dzienniki udają, że to biorą za dobrą monetę. Nie obeszło się więc bez sutych objadów i toastów, na cześć cara i niezwyciężonych bohaterów! Na jednej z takich uczt oficerowie

rossyjscy zebrali piętnaście tysięcy rubli i przeznaczyli to na stypendya dla studentów z warunkiem, aby byli rodowitymi Warszawiakami i wyznawcami rzymsko-katolickimi. Dali więc chwalebny przykład poszanowania najświętszych uczuć ludności polskiej, pełnej życia religijnego, o którego objawach pisze *Czas* co następuje: „Zawsze licznie uczęszczany odpust w Częstochowie, ściągnął w tym roku nieprzejrzane tłumy pobożnych, których liczba dochodziła do dwukroć stotysięcy ludzi. Podczas odpustu, sakramentu bierzmowania dopełnili Najprzewielebniejszy Pasterz Kujawsko-Włocławski ks. biskup Wincenty Popiel i biskup administrator żmudzki Bereśniewicz.

Kiedy w ludzie polskim wzrasta wiara, która go chroni skutecznie przed wszelkiego rodzaju pokusami, w młodzieży rossyjskiej a mianowicie między popowiczami, których przysłano na nauki do Uniwersytetu Warszawskiego, szerzy się nihilizm i gdzieniegdzie zaraża nawet młodzież gimnazyalną. Z tego zapewne powodu, dyrektorowie gimnazyów postanowili ściślejszy rozciągnąć dozor nad młodzieżą szkolną; zabronili oni uczniom gimnazyum mieszkać samym, odtąd będą się oni musieli mieścić u profesorów lub też w rodzinach‟.

Ze Lwowa. Wobec orzeczenia polskiego koła we Lwowie w sprawie solidarności delegatów polskich w Radzie państwa zawołać należy: *Sic vos, non vobis.* Dziennikarstwo lwowskie, a mianowicie *Gazeta Narodowa,* z całych sił zachęcała do wniesienia tej sprawy na koło polskie, mniemając, że w gronie posłów znajdzie się większość popierająca jej zamiary. Niestety przerachowała się biedaczka. W uchwale koła polskiego znalazła dla siebie uroczyste potępienie, z pod którego nawet sam p. Agaton Giller wydobyć jej nie zdoła, chociażby nawet sto jeszcze listów ze swej podróży ogłosił. Doprawdy, gdyby posłowie nasi nic więcej nie zrobili na Sejmie nad uchwalenie tego orzeczenia, jużby zrobili bardzo wiele, tyle ile się od pół przeszło wieku nie zrobiło w Polscc. Uroczyście bowiem potępili wszelkie zamachy tajemnych organizacyj i owych tajemniczych mężów zaufania, usiłujących zawsze zepchnąć nas z jedynej drogi, na której dla Ojczyzny pracować dziś możemy, bo z drogi porządku, rzucając kość niezgody w szeregi legalnych przedstawicieli kraju i podając ich ustawicznie w podejrzenie. Dzięki więc Bogu, że posłowie nasi zerwali z piersi narodu duszącą go zmorę anarchii i warcholstwa, cześć im za to męzkie, jawne zerwanie z wszelkiemi ustępstwami na korzyść konspiracyi, która pod patryotyczną osłoną kryła zarody nowych nieszczęść i nowych boleści! Uchwała zapadła 90 głosami przeciw dwom tylko, tak dwom, gdyż p. Hausner w tej sprawie głosu mieć nie mógł, bo wedle zasady prawa *nemo judex in sua causa.* A więc dwóch tylko znalazło się posłów, dwóch na kraj cały, oświadczających się przeciw uchwale koła! Pan Janko z hr. Krukowieckim powinniby teraz jak Lot sprawiedliwy otrząść pył z obuwia swego i opuścić tę Sodomę polskiego koła we Lwowie, dla nich nie wypadałoby dłużej tutaj pozostać, p. Ludwik Skrzyński dał im już piękny przykład, składając swój poselski mandat. Ciekawa tylko rzecz, czy w podobny sposób postąpi sobie i z mandatem do Rady państwa. O jednym jeszcze szczególe wspomnieć należy. P. Kornel Krzeczunowicz, chcąc, jak się wyraził, orzec w sposób parlamentarny o wartości zarzutów przez p. Skrzyńskiego

robionych Delegacyi, nazwał je „poezyą", a poprzednio w tej samej materyi mówił poseł Dunajewski; owóż p. Skrzyński, nie umiejąc już zapanować dłużej nad sobą, powiedział, że obaj ci mówcy przemawiali w właściwy sobie sposób, p. Dunajewski delikatnie ale nie jasno a natomiast p. Kornel Krzeczunowicz jasno ale nie delikatnie. Tymczasem z ust bardzo poważnych słyszeliśmy, że mowa posła Dunajewskiego należała do najświetniejszych, jakie kiedykolwiek wygłosił. Jeszcze jeden szczegół. Gdy czcigodny prezes polskiej Delegacyi w Wiedniu p. Kazimierz Grocholski użalał się, że p. Jasińskiemu sekretarzowi Delegacyi zarzucono, jakoby w protokołach posiedzeń nie spisywał wiernie wszystkiego, wtedy wszyscy posłowie przez powstanie dali p. Jasińskiemu dowód swego zaufania Pan Jasiński, dziękując im za to, chciał odpowiedzieć równocześnie i p. Skrzyńskiemu, z protokołami więc w ręku wskazywał, że właśnie on sam najczęściej opuszczał posiedzenia Rady, że on sam i to pierwszy sprzeciwiał się podniesieniu sprawy polskiej podczas wojny turecko-rossyjskiej, wtedy w całej sali powstał szmer i śmiech ogólny, co spostrzegłszy p. Skrzyński, zerwał się z miejsca i oświadczył, że przez wzgląd na poważne zebranie nie chce odpowiadać p. Jasińskiemu i że musi opuścić salę, zabierając z sobą dwudziestopięcioletnią swą służbę krajowi! Szkoda doprawdy, że p. Skrzyński nie dodał, że liczne jego i bez zaprzeczenia rzetelne usługi, uwieńczyły się niestety na końcu głosowaniem za małżeństwem cywilnem w Radzie państwa i gonieniem za pozyskaniem sobie poklasków od dziennikarstwa lwówskiego, tego dziennikarstwa, które w tak dotkliwy sposób nacechował czcigodny p. Kornel Krzeczunowicz. A jednak szkoda p. Skrzyńskiego, szkoda obywatela, obdarzonego niezaprzeczenie znakomitemi talentami. Oto do czego to prowadzi *spiritus contradictionis.* Dziwni to naprawdę ludzie, w nieomylność Papieża w rzeczach wiary i obyczajów nie radzi wierzą, ale sami poczytują się za nieomylnych nawet w sprawach politycznych! Koniec końcem uchwała koła polskiego i mowy z powodu niej wygłoszone o ile przygnębiły tromtadratów i „stróżów narodowego ducha" we Lwowie, im boleśniejszy cios zadały krzykaczom dziennikarskim, tem większą w całej Polsce wywołały radość i uczucie wdzięczności dla polskiego koła. Jako wyraz tego usposobienia przytaczamy tutaj wyjątek z korespondencyi zamieszczonej w *Czasie.* Oto słowa korespondenta:

„Kiedy niedawno temu przeczytaliśmy w *Exposé* słowa: „Sądzą, iż tyle lat cierpień i strasznych nieszczęść przesunęło się ponad nami, nie zostawiwszy śladu i że według słynnego frazesu: niczegośmy nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Sąd ten jest mylny" — natychmiast stanęły nam przed oczyma smutne zajścia w gronie delegacyi naszej w Wiedniu i dreszcz nas przeszedł, czy one nie zachwieją powagi tego znakomitego aktu, którego siła polega właśnie na tem, że mówił prawdę i nic tylko prawdę. A wszystkie późniejsze sądy „patryotycznej" prasy, wszystkie apoteozowania tego kroku secesyonistów, wszystkie ich wystąpienia na zgromadzeniach wyborców mogły się tylko przyczynić do podsycenia tej obawy, bo czyż, wskazując na nie, nieprzyjaciele nasi nie mogli rzucić nam w oczy pytania: a czegóżeście się nauczyli dobrego z tych waszych strasznych nieszczęść? cóżeście zapomnieli? jakiej wady pozbyliście się w tych waszych doświadczeniach? czyście się nauczyli zapominać o własnem ja, kiedy chodzi o dobro kraju?

Nie, wyście tylko zapomnieli, że konstytucya 3go maja zniosła „veto“, a ideał Sicińskiego stoi wam wiecznie w pamięci! Czyż polityka oszczerstwa nie została i dziś taką, jak się na nią żalił Batory, mówiąc, że „gdyby na burmistrza pragskiego ośmielił się kto takie rzeczy mówić, jak na Nas mówiono na Sejmiku w Proszowicach, nie uszłoby mu to bezkarnie“, czyż i dziś do secesyi nie zachęcają, jak pół trzecia wieku temu do rokoszu sendomierskiego, „w imieniu wolności i ojczyzny“? czyż przeciw reprezentacyi naszego kraju nie posługiwano się argumentami, jakich wówczas używał Djabeł-Stadnicki przeciw królowi: „za króla go niemam, bo nic nie robi i innego chcę!“ i czy oświadczenie rzucone kołu polskiemu we Lwowie przez jednego z secesyonistów, że cokolwiekbądź uchwali, on zostanie przy swem zdaniu, nie jest analogią do słów tegoż Stadnickiego, że „szlachcic polski nie ma się ninacz oglądać, jeno na szlachectwo i wolność!“ I doprawdy nie wiedzieć, jakąby można było znaleźć odpowiedź, gdyby się kto zapytał: „jak pogodzić te słowa waszego *Exposé* z temi faktami, które pochwaliła część waszej prasy i wyborcy stolicy? gdzie dowód, że większość waszego społczeńestwa potępia takie wybryki?“

Po uchwale koła polskiego we Lwowie — możemy dziś z dumą odpowiedzieć: To prawda, że i dziś zdarzają się ludzie, którzy podejmują politykę *liberum veto* i przeprowadzają ją konsekwentnie nawet w zgromadzeniach z nich samych złożonych (jak tego mieliśmy przykład w jednym kroku, na który się zdobyła „mniejszość“, nie mogąca znieść bezczynności większości, a którego rezultatem była mowa p. Fuxa), ale dziś Sejm nie daje się powodować tym politykom, jak niegdyś posłowi upitskiemu, dziś na usprawiedliwienie takiego kroku zdobyło się tylko dwóch posłów z całego koła: p. Janko i p. Krukowiecki, których też imiona zapisać się godzi ku wiecznej rzeczy pamiątce.

Tak jest, ta uchwała dowodzi, żeśmy się rzeczywiście czegoś nauczyli, że umiemy znaleźć słowa potępienia na taką niekarność i walczenie taką bronią, jak rzucanie insynuacyj o fałszowanie na niektórych, o brak patryotyzmu na wszystkich.“

W dzień św. Michała Archanioła poświęcony został kamień węgielny pod budujący się gmach dla Sejmu i Wydziału Krajowego. Wszystkie krajowe znakomitości, wszyscy posłowie, jeneralicya i urzędy wzięły udział w tej uroczystości. Poświęcenia dopełnił nasz Najprzewielebniejszy Arcypasterz w otoczeniu przewielebną kapitułą Metropolitalną i duchowieństwem wobec najprzewielebniejszych Arcypasterzy: ks. arcybiskupa Romaszkana, obrządku ormiańskiego i ks. biskupa Stupnickiego, wice-Marszałka Sejmu. Przed poświęceniem J. E. Ludwik hr. Wodzicki, Marszałek Sejmu, w prześlicznej mowie wskazał na cel i znaczenie wznieść się mającego budynku, mówił o pracy około kraju, wspomniał z wdzięcznością o udzielonej krajowi autonomii, odpowiedział na zarzuty czynione przeciw budowaniu gmachu Sejmowego. Mowa jego, piękna pod względem języka i formy, pełną była ducha chrześcijańskiego. A taki mały *lapsus linguae*, jak włożenie w usta Marty słów Judasza nie zmniejsza wcale jej wartości i formom estetycznym nie ujmuje wdzięku. Hrabia Marszałek nie pominął również złożyć publicznego podziękowania tyle zasłużonemu mężowi, jakim jest p. Oktaw Pietruski. Po J. E. Marszałku krótko

ale nad wyraz pięknie i treściwie przemawiał J. E. hrabia Alfred Potocki, Namiestnik Galicyi. Na początku wspomniał on o Królu Polskim Kazimierzu Wielkim, który zastawszy Polskę drewnianą, zostawił ją murowaną po swej śmierci, opływającą w bogactwa i dostatki. To właśnie powinno nam służyć za naukę, że tylko pracą usilną, pracą gorliwą, krzątaniem się około podniesienia oświaty, moralności i dobrobytu kraju, możemy służyć ojczyznie.

— *Dziennik Polski* w ostatnich czasach przybierał pozory umiarkowania, a był istotnie przyzwoitszym i oglądał się nieco na opinie czytelników. Zdaje się jednak, że już minął czas przejściowy, w którym redakcya nakładała na siebie pewne więzy i zadawała sobie pewien przymus — i oto występuje bez maski, jako propagator krańcowego materyalizmu, reprezentowanego przez p. B. Abakanowicza, docenta przy politechnice, którego uczona redakcya *Tygodnia* zamianowała najbardziej utalentowanym z młodych profesorów. Pan A., korespondent *Dziennika* z wystawy paryzkiej, w jednym z ostatnich numerów pieje hymny pełne uwielbienia na cześć Häckla, jako wielkiego szermierza w świętej sprawie pochodzenia gatunków, której na nieszczęście „nieśmiertelni z akademii stawiają twardy opór“ a „tylko młode i *świeże* (!) umysły“ dostarczają adeptów. Wyznając, że „u góry transformizm powoli tylko zdobywa należne sobie stanowisko“, pociesza się jednak pełen nadziei docent radosnym objawem, że „młode pokolenie uczonych z *ogniem i siłą* garnie się pod jego sztandary“. Jako „dowód tego oczywisty“ przytacza pan A. (*risum teneatis!*) bankiet, sprawiony Haecklowi przez garstkę materyalistów, których lwowski mędrzec mieni „znakomitymi przyrodnikami i filozofami“... Na bankietach, oblanych szampanem, o zapał, jak wiemy, nie trudno; mimo to naiwny docent nie może sobie przedstawić „większych owacyj, większego uznania, jak to, którem się cieszył profesor jenajski, tak potężnie krzewiący zasady transformizmu w Niemczech“... Oczywiście pan A. należy do najgorętszych wielbicieli Haeckla, a lubo zapewne nie przypuszczony do bankietu, powtarza przemówienie jego wedle radykalnych dzienników francuzkich, uważając je za szczyt głębokiego rozumu. Haeckel zaprzecza tutaj najprzód, jakoby on i jemu podobni wywodzili ród człowieczy od małpy, zapewniając, że „ta doktryna znajdzie poparcie tylko między ludźmi nienaukowymi i teologami“ — ale dodaje niebawem: „Chociaż człowiek nie pochodzi od żadnej z małp znanych, *to jednak ma z nimi wspólnych przodków*; jest on tylko gałązką, wystrzeloną z gałęzi małp starego świata. Nie można wątpić, jak powiedział Darwin, o tem, że *nasz przodek* (nie nasz, tylko pp. Haeckla i Abakanowicza) pochodził *od zwierzęcia czworonożnego, ogoniastego, o spiczastych uszach i mieszkającego na drzewach*“...

Zwolennicy tej doktryny, są filozofami i mędrcami niezrównanymi — reszta ciemne ignoranty: „rozsądek, przyczynowość, mechanizm, oto, co się widzi z jednej strony; z drugiej się okazuje przesąd, mistycyzm, teologia“...

Jak widzimy, Haeckel dobrze tuszy o sobie i o swoich, do których też ze wszystkich sił ciśnie się docent lwowskiej techniki, zowiącej się szumnie akademią — ale szczytem skromności jest to, co mówi na końcu: „Naszem zadaniem, nas, którzyśmy przyszli po wielkiem, bohaterskiem pokoleniu uczonych XVIII wieku... naszem zadaniem, wszystkieh, jak jesteśmy (a więc i

uczonego z nad Pełtwi) przyrodników, filozofów, lingwistów, historyków, jest prowadzić dalej tradycyę silnej myśli, męzkiej miłości, swobody, które z naszych dziadów zrobiły prawie równych tym Greków z Jonii i Attyki, których czcimy od dzieciństwa, jak ojców całej wiedzy ludzkiej"...

Miejmy więc nadzieję, że po powrocie z Paryża pan Abakanowicz jako nieodrodny potomek „wielkiego bohaterskiego pokolenia uczonych XVIII wieku" jako prawdziwy Jończyk w kieszonkowej edycyi, rozsławi swe imię szeroko i daleko... *Ω*

Z Notatek literackich. — Sobór watykański — Katolicyzm liberalny — Pius IX o liberalizmie — Dzieło O. Liberatore: *Kościół i państwo* — Filotea św. Franciszka Salezego kim była? — P. Juliusz Vuy — Poezya religijna — Fra Angelico — Malarstwo — Pieśni mistyczne — Ś. p. Lucyan Siemieński — Ks. Gabryel Bouffer — Jubileusz Piusa IX przez p. Roussel — *Poezye Göthego.*

Sobór Watykański, zadając śmiertelny cios gallikańskim i józefińskim teoryom, wstrząsł równocześnie i liberalizmem nowoczesnym. Dzieje Soboru wiadome wszystkim. Kardynał Manning opisał je dokładnie. W dziele swojem przedstawił on nam wszystkie zabiegi i wycieczki skonfederowanego galikanizmu z obozem liberalnych katolików francuzkich przeciw określeniu Nieomylności Papiezkiej. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, że z ogłoszeniem dogmatu, liberalny katolicyzm ustąpił już z widowni świata, nie, acz osłabiony istnieje on, i jak ten morski potwór pocięty na kawałki, w każdym kawałeczku na nowo odrasta i z każdego sturamienne wypuszcza swe odnogi, a gdy go schwytasz, to jak wąż wyśliznie ci się z ręki i tylko ślady brzydkiego lepu po sobie zostawi. To też mniej groźnemi są dla Kościoła i społeczeństwa huragany rewolucyjne lub socyalistyczne nad to zabójcze działanie liberalizmu. Pius IX przez cały niemal czas swego panowania walczył z nim ustawicznie, zowiąc go wielką nowych czasów herezyą. Nie należy jednak sądzić, że liberalny katolicyzm dopuszcza się koniecznie herezyi na polu czysto dogmatycznem, nie, on dogmata przyjmuje, wierzy w nie, broni ich niekiedy, tylko że loicznemu z nich wynikowi na polu społecznem i państwowem sprzeciwia się całą duszą, przenosząc nadeń doktryny i teorye rewolucyjne. I w tem właśnie tkwi główny rdzeń liberalnego katolicyzmu. Rzecz tę w nader jasny i gruntowny sposób wyłożył ksiądz Liberatore z Towarzystwa Jezusowego w obszernem dziele: *Kościół i państwo we wzajemnym do siebie stosunku* (*L'Eglise et l'État dans leurs rapports mutuels. Chez Victor Palmé. Paris 1878*), które w krótkim czasie już w drugiem wychodzi wydaniu, przełożone z włoskiego na francuzki. Oddałby prawdziwą przysługę naszemu społeczeństwu, ktoby zechciał wydać je w polskim przekładzie.

— *Filotea* św. Franciszka Salezego, owa złota książeczka, znana dobrze czytelnikom całego świata, nasuwała zawsze pisarzom chrześcijańskim pytanie, czy też w danem jej nazwisku *Filotea,* nie ukrywała się rzeczywista jakaś osobistość, do której św. Doktor Kościoła pisywał swe listy, udzielając jej rad i wskazówek do życia pobożnego; przez długie jednakże czasy stawiane zapytanie pozostało zagadką nierozwiązalną, tak, że wszyscy mniemali, iż pod imieniem Filotei rozumieć należy ideał pobożnej duszy, aż tu niedawno temu p. Juliusz Vuy, prezes najwyższego sądu w Genewie, ogłosił dziełko pod tytułem: *La Philothée de saint François de Sales, vie de Madamme de*

Charmoisy, z której się dowiadujemy, że ową *Filoteą* była Filotea de Charmoisy, pani wysokiego rodu, bliska krewna św. Doktora, do której częste pisywał listy. I z nich to właśnie, połączonych z sobą w jedną całość, powstała owa prześliczna *Droga do życia pobożnego*. Dzieło pana Juliusza Vuy, składa się z dwóch tomów; w pierwszym znajdujemy biografię tej chrześcijańskiej niewiasty, a w drugim ma się znajdować mnóstwo nieznanych dotąd pism i listów św. Doktora. Dotychczas tom drugi nie wyszedł z pod prasy.

— Nauka katolicka jest tak przedziwnie piękną w majestacie prawd swoich, że każda gorąco wierząca dusza rozkoszuje się w ich nieskończonych pięknościach i wydobywa z swego serca najśliczniejsze, a pełne naturalności bez żadnych sztucznych ozdób pienia. Wielkie umysły, rozważając piękność prawd Bożych, wpadały w zachwyt i w natchnieniu swojem wzniosły się na najwyższe szczyty Bożej poezyi. Z piersi Dawida wytrysnęły *Psalmy*, owe arcydzieło poezyi a z pod pióra Dantego wyszedł nieśmiertelny poemat *Boska komedya!* Cuda piękności prawd Bożych te tylko geniusze na zewnątrz wyrazić zdołały, które głęboko gorąco wierzyły. Fra Angelico, kiedy malował postacie Chrystusa i Matki Najświętszej, pierwej przez długie godziny modlił się i rozmyślał, a klęcząc, wzrok swój w niebiosach zatapiał. Jeżli więc dzisiaj poezya i religijne malarstwo nie występują więcej w całej ozdobie swego czaru i w całej świetności swego blasku, to dlatego, że w piersiach poetów i artystów nie płonie już dawnym żarem ogień wiary świętej, a dla ich umysłów nieznana jest zwykle świątynia teologicznych nauk. Darmo, na takie klejnoty poezyj, jak pieśni mistyczne świętych poetów, które w nadobny sposób spolszczył ś. p. Lucyan Siemieński, nie zdobędzie się już wiek nasz. Te kilka myśli nasunęły nam się po przeczytaniu małej książeczki, noszącej tytuł: *De l'amour et du coeur de Notre-Seigneur Jesus Christ, Elevations, par le P. Gabriel Bouffer de la Compagnie de Jesus. Avignon 1878.* Jestto śpiew na cześć Serca Jezusowego, śpiew duszy gorąco miłującej Boga, żywy komentarz słów św. Augustyna: „serce nasze dotąd nie przestanie być niespokojnem, dopóki w Bogu nie spocznie“.

— Znany w świecie dziennikarskim i literackim p. August Roussel, współredaktor *l'Universa* wydał przeszłego jeszcze roku opis *Pięćdziesięcioletniego Biskupiego Jubileuszu Piusa IX (Le cinquantaine Episcopale de Pie IX)*. Mnóstwo tutaj nader ciekawych szczegółów. O pielgrzymce polskiej mówi z gorącem uwielbieniem i serdeczną dla Polski przychylnością. Oczywiście wiele nazwisk i imion przekręconych, jak się to zwykle przytrafia Francuzom.

— *Poezye Göthego*, spolsczone przez p. Hugona Zatheya, umieszczone w ostatnim poszycie *Przeglądu Polskiego*, wyszły w osobnem wykwintnem wydaniu, Kraków w drukarni *Czasu* 1878 r.

Korespondencya Redakcyi.

Wny K. T. . . . . . . w *Rzymie*. Upraszamy o wcześniejsze nadsyłanie *Listów*.

Szanownych Prenumeratorów naszych i PP. Księgarzy upraszamy o nadesłanie zaległej prenumeraty.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*"....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić".

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Przegląd Czteroletniego Sejmu.

W czasie, gdy niemal wszyscy piszemy tak pospiesznie i tak pobieżnie, gdy półki księgarskie i biblioteczne zapełniają się coraz więcej lada ramotami lub płodami jednodniowego znaczenia, gdy nawet prace z zakresu historyi, tej mistrzyni życia, o ile nie są materyałami, ogłaszanemi *in crudo*, rzadko się wznoszą po nad sferę mierności, a ich autorowie, chociaż pilni, oczytani i niepozbawieni czasami pisarskiego talentu, o wielkich wypadkach dziejowych sądzą wedle z góry powziętej doktryny, nakształt teoretyków, wyrokujących o objawach rzeczywistego życia z czterech ścian samotnej pracowni — w takim, mówię, czasie szczególniej pożądanym i nieoszacowanym bywa pisarz tej miary, co O. W. Kalinka.

U nas dotąd czy to republikanie i demokraci *à outrance*, czy nawet zwolennicy monarchicznej formy rządu, lubo ci w nierównie mniejszym stopniu, wyrabiali sobie o przeszłości ojczystej zdanie powierzchowne i jednostronne, będące rezultatem partyjnych głosów epoki, tak, że czytając dziś pisma pewnych amatorów szlacheckiego gminowładztwa, zdaje ci się, że to nie poważne badanie tegoczesnego historyka, oddzielonego całemi wiekami od przedmiotu opowiadania, ale ostatnie echo zapamiętałych krzyków niemądrego anarchisty, gardłującego za źrenicą złotej szlacheckiej wolności.

Przeszłość nie mogła im posłużyć za naukę, bo wiadomość o niej czerpali z oszczerczych zapisków i relacyj tych samych żywiołów, które nietylko współczesne wypadki umiały przekształcać i w kłamanem wystawiać świetle, ale nadto *ad usum delphini* fabrykować historyę, że tylko dla przykładu wspomnimy niedorzeczną baśń o rokoszu gliniańskim, na którą niemniej przeto nie dalej jak przed czterma niespełna laty dała się złapać uczona redakcya *Gazety Narodowej*, i ówczesny dostojny dyrektor jej fejletonu....

Panowie ci sądzą o przeszłości nietylko bez dokładnej znajomości wewnętrznego ustroju państwowego Rzeczypospolitej, lecz nawet bez żadnego wyobrażenia o prawno-politycznych stosunkach w ogóle, bez najmniejszego doświadczenia wsprawie rządzenia krajami i narodami.

O. Kalinka i w tem od nich wyższy, że przeszedł wszystkie przedwstępne przygotowania i studya, jakie dla pisarza historycznego stały się już dzisiaj niezbędnemi. że nie jest teoretykiem, czerpiącym swą wiedzę z samych książek, ale człowiekiem, który wiele widział, wiele myślał, zastanawiał się i kombinował, zagmatwane kłębki sprzecznych opinij rozplątywał z niezrównaną cierpliwością i wytrawnością, i dlatego tak często zadziwia nas wyjątkową w naszych historyografach mądrością polityczną.

Mądrość ta widnieje w wysokim stopniu i w świeżo (zobacz *Przegląd Polski* z miesiąca września od str. 326 do 392) ogłoszonym ustępie z wielkiego jego dzieła o czteroletnim sejmie, którego oczekujemy z żywą niecierpliwością, ustępie, noszącym tytuł: *Otwarcie sejmu 1788. Pierwsze zwycięztwo Prus i opozycyi.*

Jak widzimy, jestto dopiero prolog działań tego najdłuższego ze wszystkich polskich zgromadzeń politycznych; ale już i z niego możemy nabrać pojęcia, jak głęboko wniknął czcigodny autor w jądro rzeczy, jak wszechstronnie zbadał epokę i z jak wielkim zasobem politycznego rozumu i doświadczenia przystąpił do ocenienia ludzi i wypadków. Przeglądając ciekawe karty jego opowiadania, przychodzimy do niezachwianego przeświadczenia, że dotąd nic nie wiedzieliśmy o tak zwanym wielkim sejmie, a nawet gorzej jeszcze, bo nasze wiadomości o nim były fantastyczne i bałamutne, ztąd też zaciemniały raczej widnokrąg dziejowy, zamiast go rozjaśniać.

Ponieważ całe dzieło O. Kalinki nieprędko jeszcze, jak słychać, ujrzy światło dzienne, sprobujmy choć nieudolnem piórem streścić niektóre przynajmniej punkta z jego opowiadania o *Pierwszem zwycięztwie Prus i opozycyi.*

Pierwszorzędną i główną sprawą, osią, że tak powiem, około której wszystko się obracało przy otwarciu sejmu, była kwestya wojskowa i to, co bezpośredni lub pośredni miało z nią związek. Rozwiązanie jej nietylko w praktyce zapowiadało nieobliczone skutki, lecz także stanowiło o usposobieniach i o moralnej dojrzałości lub niedojrzałości obradujących stanów, odpowiednio do stanowiska, jakieby zajęły wobec ważnych zagadnień, postawionych na porządku dziennym.

Chcąc kraj wydźwignąć z dawnej anarchii i zabezpieczyć się przeciw samowoli hetmańskiej, sejm z r. 1776 zaprowadził różne

zbawienne reformy, a mianowcie złamał wszechwładztwo buławy, oddając władzę nad wojskiem Radzie nieustającej; rzecz jednak smutna i przykra do powiedzenia, że to prawdziwe *cuop d'etat* dało się przeprowadzić tylko za pomocą ambasadora rossyjskiego, Stackelberga, a utrzymać jedynie dopóty, dopóki mógł być pewnym przeważnego wpływu na sprawy. Bądź co bądź zaczynał się zwrot ku lepszemu, a król widząc, że dzięki urządzeniu Rady, sprężyny władzy coraz bardziej jednoczyły się w jego ręku, coraz więcej tchnęły jedną myślą i wolą, z nadzieją i otuchą spoglądał w przyszłość.

Lubo nieożywiony rycerskim animuszem, Stanisław August otoczył wojsko szczególną opieką, uczynił je przedmiotem najtroskliwszych starań. Po konfederacyi barskiej niemal wszystkie pułki tak stopniały, że wiele z pomiędzy nich liczyło zaledwie od 50 do 90 ludzi. Sejm wyznaczył wprawdzie płacę dla ludzi, ale nie przeznaczył grosza na broń i mundury, na proch i ołów do ćwiczeń, nie pomyślał o restauracyi jedynej twierdzy, Kamieńca podolskiego, który już tak podupadł, że był raczej do kurnika, niż do fortecy podobny. Wszystkie więc te ciężary spadły na barki króla, który wedle świadectwa konstytucyi z r. 1780 na podźwignienie Kamieńca, na ludwisarnię w Kozienicach i pomnożenie arsenału wydał z górą 700.000 złp., a w ogólności darował Rzeczypospolitej dwieście armat. Przy reorganizacyi armii na Litwie znaleziono 3.928 żołnierzy a 1.272 oficerów... Trzeba się było pozbyć i pozbyto się też istotnie tych „szablistych figurantów“, dzieła oczyszczenia z nich armii dokonano w przeciągu dwóch lat, co było pierwszym stopniem do postępu. Zaznacza też korzystne zmiany w wojsku, nawet nieprzyjazny królowi Essen, od chwili, gdy je „wydarto żarłoczności hetmanów“.

Zbawienie reformy w armii, urządzanie jej na sposób nowoczesny, na wzór zagranicy nie przypadało do gustu szlachcie, „która znowu w szablę tylko i pospolite ruszenie po dawnemu wierzyła, choć od jednego i drugiego oddawna odwykła“. Ztąd płyną jej gniewy na prawą rękę króla, a rzeczywistego z jego ramienia zwierzchnika wojsk obu narodów, generała Komarzewskiego. „Trudno to było przebaczyć, a nie umniejszało też jego winy, że władzy swojej używał nietylko roztropnie, lecz tak cicho i skromnie, że nikogo swą osobą nie zaćmiewał“. Podniosły się mimo to przeciw niemu pierwsze w kraju rody, aby go okryć wieczną niesławą. Oskarżony niegodnie o sromotny zamach na księcia generała ziem podolskich, okazał

się niewinnym i czystym, lecz nie zmniejszyła się przez to nienawiść zawiedzionych w rachubie optymatów Rzeczypospolitej. Prześladowanie było tem niegodziwsze, że skierowane przeciw człowiekowi, który gorliwie służył publicznemu dobru, choć na odwrót trzeba przyznać, że „stanowisko jego było nieregularne, i że mogło a nawet musiało razić ludzi, którzy do królewskiego nie zaliczali się obozu". Magnaci i szlachta mogli zapytywać nie bez słuszności, „zkąd, z jakiego tytułu tak szeroką piastował władzę?" Na Komarzewskiego spadała nienawiść i za to, że departament wojskowy, jako władza wykonawcza Rady nieustającej, udzielał pomocy dla ułatwienia porządku i bezpieczeństwa publicznego, oraz dla ściągnienia podatków. Żadne państwo ostać się nie może, nie mając środków podobnej egzekutywy a jednakże nawet Michał Zaleski ogłaszał wolność narodu za zagrożoną, ponieważ „broń krajowa nie szanuje domu obywatela", wysławiał zaś wprost zajazdy, powiadając, że „za dawnych czasów nigdy żołnierz zaciężny nie poważył się wejść w progi obywatelskie i szlacheckie — choć od sądu potępiony, jedynie *mota nobilitate* do poddania się wyrokowi bywał zniewolony".

Korzystając z niektórych nadużyć, jakich nie brak nigdzie, kuto broń przeciw królowi i departamentowi. Daremnie przestrzegał Kaunitz w nocie, przeznaczonej do publicznego użytku, że „byłoby wielkiem złudzeniem mniemać, iż po uszczupleniu władzy królewskiej, w miejsce dzisiejszych uchybień i nadużyć nie zjawią się inne, daleko gorsze i dotkliwsze, popełniane przez tych, którzy na ruinie królewskiej władzy się dźwigną". Wbrew mądrej radzie wytrawnego dyplomaty, przerażano się nawzajem po większej części nieszczerze głoszoną obawą, „że jeżeli od tej szczupłej ilości wojska tyle przychodzi wycierpieć, cóż to będzie, kiedy armia zostanie tak znacznie pomnożoną". Gotowano się więc już naprzód dążyć na sejmie do zniesienia magistratury rządowej a do zastąpienia jej władzą inną, od króla i rządu niezawisłą, bardziej obywatelską...

Powziąwszy takie postanowienie, szukała opozycya broni przeciw departamentowi i znajdowała ją łatwo, bo nie przebierała w środkach, wynosząc pozory do znaczenia i wysokości faktów, a za najważniejszy argument podając płonną obawę, ażeby nie wplątać Rzeczypospolitej w wojnę z Turcyą. Dzwonili więc na alarm Potoccy, Małachowscy, Sanguszkowie, Jabłonowscy, Czaccy, partya hetmańska, „krzykliwa i buńczuczna" i „prawdziwy Don Quichot buławy", hetman polny, Rzewuski Seweryn.

Wszyscy jednomyślnie godzili się na konieczność znacznego powiększenia wojska; ale dlatego właśnie wrzała waśń gorąca o rodzaj władzy nad niem. Posłowie, przyjeżdżający na sejm, bywali nieraz usposobieni pojednawczo, ale wybitnie opozycyjna atmosfera stolicy działała na nich zwykle odurzająco, a najbardziej demoralizująco wpływała zręczna polityka dworu pruskiego i jego stanowisko, wręcz wówczas Rossyi nieprzyjazne. Pod wpływem ogłoszonej przez Buchholca deklaracyi pruskiej, nie zważano na propozycye od tronu, pełne roztropności i serdecznej chęci podźwignienia kraju z groźnej toni. Wrażenie tej deklaracyi było ogromne; radość niewymowna ogarnęła stany sejmowe i całą publiczność. I nie dziw: „po raz pierwszy to jeden z sąsiadów i spółzaborców Polski odzywał się w Warszawie w sposób tak jawny i stanowczy przeciw Rossyi, grożąc jej swoją potęgą, jeżeli żądań jego nie posłucha; do Rzeczypospolitej zaś przemawiał w tonie odpowiednim godności niepodległego państwa, którego w notach rossyjskiego ambasadora dawno nie słyszała".

Niepomiarkowana w swoich zapędach opozycya, chciała się już rzucać w zdradne objęcia pruskie, słać do Berlina posłów z dziękczynnemi wynurzeniami. Nie mógł podzielać tych zapałów lepiej Prusy znający Stanisław; to też zadaniem jego było nie dopuścić, ażeby sejm pod wrażeniem pierwszego uniesienia wdzięczności posunął się zbyt daleko. Postąpił on sobie w tym razie z wielką zręcznością. Proszony na radzie, ażeby zredagował odpowiedź gabinetowi berlińskiemu, odparł politycznie: „Od dwudziestu czterech lat sam ustawnie projektuję i piszę, a tak rzadko przyjmujecie coś mojego, że już wolę teraz od was odbierać projekta". Złożono przeto komisyę redakcyjną z Ignacego Potockiego i Chreptowicza; drugiemu podsunął król w sekrecie własny projekt, w tem, jak się później okazało, trafnem przypuszczeniu, że będzie przyjęty łaskawie, uchodząc za płód głowy ulubionego Potockiego.

Mniej szczęśliwym był Stanisław w kwestyi pomnożenia armii. Naprożno przekonywał, że należy „wprzód ustanowić, jaką część majątku swego chce naród ofiarować na potrzeby publiczne, a dopiero postępnym krokiem iść do udeterminowania liczby wojska". Naród nieprzywykły do liczenia się z warunkami rzeczywistości, skory do zapalania się sztucznym ogniem, który gasł równie szybko, jak prędko zapłonął, odpowiadał na tę roztropną radę, jako zbyt ostrożną, słowami Radziszewskiego: „Sto tysięcy wojska naprzód oznaczyć; znajdą się sposoby do utrzymania tej siły — połowę majątków oddamy"...

Patryotyczny zapał objawił się w hałaśliwym gwarze zelantów wolności, w narzucaniu własnego zdania ogółowi, w zuchwałych okrzykach: „o to się dopraszam, na co innego nie pozwalam“ — tak dalece, że nawet pobłażliwy marszałek, zacny Małachowski, zniecierpliwiony nareszcie, zawołał: „Takowe spory bardziej obrażają wolność, niż zbliżają pomyślność naszę... Jeżeli się sami szanować nie będziemy, jakże u postronnych możemy być w poważaniu?“

Rozpoczęło się w końcu jawne głosowanie nad kwestyą: „Czy schodzący departament z warunkiem wolnej jego odmiany ma przysiądz; czy też wojsko?“ Senat z ministerstwem oświadczył się ogromną większością (65 przeciw 12) za wnioskiem królewskim, czyli za przysięgą departamentu; w stanie rycerskim podzieliły się głosy na dwie równe połowy (87 przeciw 87) a więc na summę otrzymał departament 152 głosów przeciw 99. Ale na nieszczęście, gdy zażądano głosowania tajnego, przeciw któremu dawniej już oponował król, wiedząc, jakie z takiej praktyki wypłyną następstwa — zdezertowało ze stronnictwa jego do opozycyi kilkadziesiąt osób tak, że większość zredukowała się do... siedmiu kresek! (128 przeciw 121). „Lubo w zdaniu swojem pobita — uważa trafnie autor — opozycya miała jednak czem się pocieszyć: nietylko znaczną liczbę kresek zyskała, ale przekonała się, jak skutecznym w jej ręku nabojem jest głosowanie tajne, i mogła słusznie spodziewać się, że ilekroć w sejmie tę petardę zasadzi, większość królewska musi pęknąć“.

Nikt z rozumniejszych uczestników sejmu nie uważał na seryo za możebne, ażeby armia z ośmnastu tysięcy mogła od razu urość do stu tysięcy; ale daleki od rozumnej rozwagi sejmujący ogół tak gorąco, z tak niepowstrzymanym entuzyazmem oświadczył się za tą olbrzymią stosunkowo cyfrą, że niepodobna było stawić temu gwałtownemu wylewowi uczuć tamy... Krzyczeli z fantazyą nietylko posłowie, odpychając z oburzeniem wszelką dyskusyę, ale głośniej jeszcze terroryzowała odmienną opinię rozhukana publiczność, mianowicie zapominające o zakresie swego powołania damy, które na galeryi klaskały, „właśnie jakby na teatrum“, a dla dopełnienia miary zamętu wywijały chustkami i szalami.

Sama tak jaskrawo objawiona interwencya płci pięknej byłaby już zdolna zadecydować o sprawie, tem więcej, że niejeden z posłów, zaprzągnięty do rydwanu której z bogini na galeryi, musiał się liczyć z jej zdaniem w myśl nieśmiertelnych słów księcia biskupa

warmińskiego, że „my rządzim światem a nami kobiety“ a sam książę generał ziem podolskich w przemówieniu, pełnem galanteryi, zwracając tkliwie wzrok ku górze, powoływał się na „tę płeć, najpiękniejszą przyrodzenia ozdobę, której zwrot oczu w porę rzucony, bohaterów czyni“...

Gdy tak potężnie huczał entuzyazm, milczał król, milczeli inni, bo ani wątpić, że „ktokolwiek chciałby wówczas dowodzić, że sto tysięcy wojska przechodzi możność krajową, byłby oskarżony, że nie chce silnej Rzeczypospolitej, że przeszkadza uzbrojeniu się kraju, że Moskal, że sprzedany. że wróg ojczyzny“. Podobne głosy w podobnych razach tradycyjnie i dziś się odzywają, i dziś budzą obawy; lękano się ich także przed wiekiem. Nie powinien był zapewne Stanisław August „cofać się przed niebezpieczeństwem dla siebie“, nie powinien był „popierać nierozważnego entuzyazmu wbrew swemu zdaniu“, ale czyż miał tracić resztę wziętości w narodzie i ryzykować się na rzecz, zaniechaną przez innych? Ażeby módz na przyszłość działać skutecznie, musiał tak się odezwać, jak się odezwał; ale i w tem jego przemówieniu dźwięczy wyraźne upomnienie: „Kocham ten naród, z ochotą dałbym za niego życie. *Ale podawajże mi sposoby dogodzenia twoim zapałom!*“

Daremne to przymówienie, podobnie jak czcze obietnice o złożeniu majątków na ołtarzu ojczyzny. Za granicą śmiano się z szumnej uchwały, a minister angielski Hailes, w depeszy do lorda Carmerten, pisał między innemi: „Nie chcę cię nudzić, mylordzie, długim i szczegółowym wywodem, w jak nędznym stanie znajduje się ten kraj bez handlu i przemysłu, któremu ludności ubywa. Nic łatwiejszego, jak dowieść, że i połowy potrzebnej sumy nie zbiorą. To dać może wyobrażenie o polskiej polityce“. „Bolesne to są sądy, mówi nasz znakomity historyk po przytoczeniu kilku świadectw obcych dyplomatów — lecz wypadałyby jeszcze dla nas boleśniej, gdyby piszący lepiej znali ubóstwo naszych zasobów państwowych. To niedość, że nie było w Polsce pieniędzy na tak wielkie wojsko, nie dość, że wielkie trudności zachodzić musiały w zebraniu stu tysięcy ludzi bez obowiązującego rekruta; nie dostawało nadto wszystkiego, co właściwie wojsko porządne stanowi. Zkądże dostarczyć broni i artyleryi w odpowiedniej ilości, kiedy krajowych fabryk nie było, a byłoby zbyt naiwnem mniemać, iżby państwa sąsiednie chciały oręż w takiej mnogości dawać na siebie, lub choćby tylko go przepuścić?... Uchwała zgoła niewykonalna, powagę sejmu i narodu kompromitująca, i chyba tem tylko można ją wytłómaczyć, że

ją wydali prawodawcy improwizowani, niewątpliwie w dobrej intencyi, ale nie wiedzący o co chodzi, popchnięci przez egzaltowane kobiety i żądzą poklasku uniesieni... Jak był szkodliwym ten zapał, i jak dalece tworzył same tylko złudzenia, zwykłą sprawę marzycieli, to się pokazało wnet na sejmie, kiedy posłowie uwierzyli na prawdę, że coś wielkiego zrobili i wmówili w siebie bezpieczeństwo i potęgę, które im dawała sama nadzieja imponującej armii".

Na domiar złego walczono zawzięcie, do upadłego o skórę, która jeszcze okrywała żywego i wolnego niedźwiedzia. Tą skórą była kwestya komendy nad wojskiem dotąd tylko wymarzonem: „uchwała o armii, która miała wzmocnić Rzeczpospolitę, przydała jej wewnętrznego rozdarcia — po nierozważnym zapale, zapalczywe swary". Opozycya, ze Stanisławem Potockim na czele, dążyła do przywrócenia w miejsce departamentu komisyi wojskowej, zależnej jedynie od sejmu a niezawisłej od króla i Rady nieustającej. Wszczął się o to „bój zacięty a tak niebezpieczny, że o mało co nie rozbił sejmu, choć o tem wiadomość nie przeszła do publiczności i do późniejszych nawet historyków".

Projekt Potockiego dziwnie przypadał do gustu nowemu agentowi pruskiemu, „zręcznemu intrygantowi, Lucchesini'emu, który gabinetowi swemu udzielił tego głębokiego spostrzeżenia, że wyjmując armię z pod wpływu królewskiego, najpewniej się przeszkodzi jej powiększeniu". Myśl ta, przyjęta została przez dwór berliński; opozycya więc, upierając się przy swojem, robiła dosłownie to, co nazywamy *travailler pour le roi de Prusse*. Było to w porządku rzeczy, odkąd wedle słów poety „wzięła ich (t. j. opozycyę) myśl płocha, umieścić los ojczyzny na szczerości Włocha"...

Rzecz dziwna — jakaś urojona zmora trwogi opanowała umysły sejmującej opozycyi: „same widziadła i strachy, widziadła armii, której nie ma i nie będzie, widziadło grozy Rady nieustającej, która nikomu grozić nie była w stanie, strach niewoli pod despotyzmem królewskim, której u nas nigdy nie było i przy charakterze narodowym być nie może". Po heroicznej uchwale stutysięcznej armii ogarnął niedawnych bohaterów paniczny jakiś choć nieszczery strach, że sami kują na siebie kajdany — tak, że powstały chaos i anarchia nie do opisania. Miejsce poważnej i rozumnej dyskusyi zajmował szereg luźnych, oratorskich popisów, po największej części namiętnych a nie związanych ze sobą, bo szanowni ojcowie narodu z małym wyjątkiem przychodzili do izby z przygotowanemi na pismie mowami i bez względu na swych poprzedników, nie chcąc

sobie psuć cycerońskich okresów, powtarzali bez skrupułów wywody, co dopiero wyczerpująco i zwycięzko odparte, kręcąc się statecznie w zaklętem kole tych samych argumentów, powtarzanych bez końca.

Hałaśliwa publiczność popadała w zachwyt, ilekroć ludzie w guście Sapiehy, „największego deklamatora, jakiego sejm posiadał“ sypali błyszczące paradoxa, anarchiczne tendencye pokrywając maską miłości dobra publicznego; zachowywała się tak, jak gdyby ona była stroną czynną. Gdy zacny, ale słaby i o swą wziętość zbyt dbały marszałek, nie śmiał przywołać do porządku psotnych arbitrów, skarcił ich zuchwałość prymas, skarcił kasztelan Opacki, przemawiając „do tej uprzedzonej publiczności, która śmie ze zniewagą tronu i stanów w czasie obrad klaskać w ręce i śmiechy czynić“, która, widząc prawie jednomyślną opinię senatu, nie waha się odzywać „śmiechem urągliwym z pogardą powagi tej wspaniałej obrad świątyni“. „Co przyzwoitsza — pytał dalej z zapałem — czy iść za zdaniem króla, którego interesem jest królować potężnemu narodowi, czy też być klawiszem równego sobie obywatela, który datkiem i ułudzeniem chce dopiąć swego interesu?“

Przebrzmiały bez echa podobne słowa, jak przebrzmiała znakomita mowa księcia-prymasa, w odpowiedź na zapewnienia o przyjaźni pruskiej, przypominającego, „ilu to poddanych polskich wraz z milionowym dobytkiem huzary pruskie za granicę wyprowadziły; albo owego młynarza Muthmana, który panów i wojewodów przed sobą stawiać kazał i podatki na nich wyciskał, albo owych żydów zagranicznych, którzy kraj fałszywą monetą zalali, dobrą wyciągnowszy“... (aluzya do Fryderyka II). Nie więcej uwagi zwrócono na mądre spostrzeżenie kasztelana Ostrowskiego, że przyczyną dotychczasowych nieszczęść krajowych nie było nic innego, jak rząd nieczynny, a właściwie brak rządu; „albo więc sejm powinien być nieustający, albo magistratura, ten sejm reprezentująca, powinna być prawdziwym rządem; rząd nie może zjawić się tylko co dwa lata, na krótko — jego obowiązkiem jest ciągle czuwać, ciągle działać, inaczej byłoby jedno, co nie mieć go wcale“...

Rzecz na tem posiedzeniu pozostała nierozstrzygniętą; zdecydowała się dopiero na następnej sesyi, w poniedziałek 3 listopada. Po długich i burzliwych rozprawach nad formą, w jakiej propozycya ma być poddaną pod głosowanie, zgodzono się na następną stylizacyę: *Czyli ma być departament wojskowy z opisaniem jego władzy?* Affirmative; *czyli ma być komisya wojskowa z opisaniem jej władzy?* Negative.

Powtórzyły się sceny ostatniej sesyi i taż sama zapamiętałość, taż pochopność do prawienia oracyj gadatliwych ojców ojczyzny, którzy szumne tyrady kończyli zwykle patetycznym frazesem: „Pókim jeszcze wolny, póki kajdan niewolniczych na mnie nie włożą, daję mój głos za komisyą!“ Słusznie przytem uważa Kalinka: „Rzekłbyś, że nie o Radzie nieustającej, ale o weneckiej Radzie Dziesięciu jest mowa, albo że w Polsce nie miękki Stanisław August, ale Tyberyusz, albo Iwan Groźny panuje!“

Trwała sesya przez szesnaście godzin (od 12 z południa do 4 zrana), przez które król nie wstał z tronu; nareszcie Departament w głosowaniu tajnem został uchylony większością ośmnastu głosów. Stolica wrzała od radości i tryumfu: „ściskano się powszechnie, kobiety uniesione sztucznem rozczuleniem, rzewne łzy wylewały, nawet dzieci, podzielając ogólny entuzyazm, skakały i biły w drobne rączki, które dzięki tej uchwale miały być kiedyś skrępowane“.

Do takiego zwrotu przyczyniła się niemało groźna postawa Prus, gotowych wkroczyć do Polski na wezwanie, lękających się niby to tyranii królewskiej, ambitnych szaleńców, którzy nie wahali się wydać bezbronnego kraju na łup chytrego sąsiada, aby tylko postawić na swojem. „Cokolwiekbądź — mówi nasz autor — uchwała zapadła, Komisya niepodległa ustanowiona w zasadzie, wojsko niezawisłe od rządu — odżyła buława!“ Razem z buławą, reprezentującą żywioły wichrzycielskie, odżyły anarchia i zamęt. Zapomniano, że „jedność władz tak jest konieczną w państwie, jak jedność władz w duszy człowieka“, że „potwornem w państwie dziwadłem była od połowy XVII wieku władza hetmańska, a obawa szlachty o *absolutum dominium*, była polityczną fiksacyą“.

Powtórzmy w końcu kilka głębokich uwag O. Kalinki, wywołanych nieszczęsną uchwałą sejmu z dnia 3 listopada:

„Nie był to zamach na życie króla, jak ów, dokonany w tym samym dniu przed siedemnastoma laty, ale był to zamach na życie państwa, rozbiciem rządu zaczęty. Nie usprawiedliwia działania większości sejmowej zarzut czyniony dość często, że król trzymał się Moskwy i na niej swe rządy opierał, bo doświadczenie pokazało, że jego system polityczny o wiele był trafniejszy, niż system przeciwników, bo zawsze lepszy rząd choćby z pomocą moskiewską, niż anarchia niepodległa albo kwasem pruskim karmiona. Stanisław August nie z miłości pewno nachylał się do Moskwy i znosił od niej upokorzenia; czynił to, bo musiał, a zmuszała go niekarność jego własnych poddanych. Słaby był, to prawda, nad potrzebę

nieraz bez pamięci na swą godność ulegał ambasadorowi, zanadto w tem wszystkiem ulegał kobietom (nie on jeden tylko!); ale miał rozum jasny, doświadczenie wielkie, baczność, pracowitość nadzwyczajną i kraj kochał szczerze. Należało go otoczyć, z jego światła i darów wielkich korzystać, a słabość jego i zbytnią wrażliwość własną mocą i stałością podeprzeć. Nie przeczymy, że w życiu Stanisława Augusta były chwile i ustępstwa, za które dziś jeszcze, po stu latach, rumienić się trzeba (nie w jego życiu tylko!); wszakże ani razu nie przyjął on tak szkodliwych i upokarzających warunków, jak te, które za cały kraj i za niego przyjęła, o które się dopraszała naprzód radomska, później targowicka konfederacya...

„Ani ta uwaga nie zdoła usprawiedliwić owego stronnictwa, że później starało się naprawić swój błąd. W istocie, rozerwawszy rząd państwa na drobne okruchy, spostrzegło, że po drodze gruzami zawalonej iść dalej nie można; nuż więc zbierać, łatać, kleić, co samo pierwej zburzyło, a gdy się to legalnie nie udawało, jednym zamachem skupiło znów władzę w ręku tegoż samego króla, którego pierwej ze wszystkiego odarło. Dokonało tego nagle, prawie bez wiedzy narodu, wbrew woli najmocniejszego sąsiada, narażając kraj na najwyższe niebezpieczeństwo, pod którem uległ; dokonało pod koniec sejmu. A można to było zrobić w początkach jego, spokojnie i z zupełnem bezpieczeństwem; jeźli nie zrobić, to zacząć przynajmniej i jeżeli nie wszystko odrazu, to część najistotniejszą, skoro było można rząd tegoż króla wzmocnić armią, z którą i swoi i obcy liczyćby się musieli".



ZEMSTA ŻYDA

V.

PIERWSZA PRÓBA.

Gaudencyusz, jakeśmy widzieli, był uczniem apostołów i jednym z tych szlachetnych chrześcijan z domu cesarskiego, których święty Paweł pozdrowił w swej pięknej odezwie do Rzymu.

Ożeniony wcześnie, stracił żonę na schyłku panowania Nerona, ale z tego związku została mu córka, która po Bogu, stanowiła całą jego radość i dumę. W dzieciństwie nauczona prawd chrześcijaństwa, wychowaną przez szlachetnego ojca i cnotliwą matkę w zasadach ewangelii, Eufemia odpowiadała godnie ich staraniom.

Licząc dopiero szesnasty rok, okazywała przedwczesną powagę i rozsądek. Życie jej zapełnione było modlitwą i nadzorowaniem młodych niewolnic w domu Klemensa. Odkąd Domicylla została żoną syna Sabina, Eufemia towarzyszyła jej często na zebrania chrześcijan, a pani serdecznie ją pokochała.

Zresztą wiodła Eufemia życie jak najsurowsze, najbardziej odosobnione, nie wychodząc z mieszkania, przeznaczonego dla kobiet. Nigdy także nie uczestniczyła w zabawach i widowiskach. Wszakże surowe to oddalenie od ludzi nie zmiejszało bynajmniej wrodzonej jej wesołości. Wieczny uśmiech rozchylał dziewicze usteczka, a rozmowa jej celowała ujmującym humorem. Widząc ją, czuć było, że wszystko do niej się śmieje, bo szczęście wraz z niewinnością wiosny życia mieszkało w jej serduszku.

Gaudencyusz dumny był z cnót, pobożności, i rzadkich przymiotów duszy swej córki, mimo to obawiał się o nią.

Eufemia była bardzo piękną; żadna Rzymianka z najwyższego nawet rodu nie przewyższała jej pod względem wdzięku i godności ruchów, wytworności postaci i piękności lica. Znać na niej było szczęśliwe zmięszanie krwi galijskiej i rzymskiej; łączyła bowiem w sobie wszystkie przymioty i powaby obydwóch ras.

Jakkolwiek Eufemia rzadko kiedy okazywała się publicznie, a Klemens był najuczciwszym człowiekiem, wszakże Gaudencyusz obawiał się o nią szczególniej od kilku miesięcy. Powodu do obaw rodzicielskich nie dał ani Klemens, ani obcy ludzie, lecz dwaj Izraelici, którzy widzieli kilka razy jego córkę; zauważył bowiem, co nie było wcale rzeczą dziwną, że obaj nie okazali się nieczułymi na wdzięki tak rzadkiej piękności.

Gaudencyusz ufał szlachetnemu charakterowi Kaleba, ale nie dowierzał Manahemowi, którego ponure usposobienie i dziwaczny umysł kazały się lękać niedobrych zamiarów. Widząc czarne źrenice młodego żyda, miotające iskrami, czoło zawsze chmurne i zmarszczone, nietrudno było domyślić się, że nie przebaczył zwycięzcom i że gorzkie wspomnienia przechowywał w sercu, w którem tylko jedno niczem niezmazane imię Jerozolimy było wyryte ognistemi zgłoskami. Straszne namiętności tliły w tej trudnej do zbadania duszy; wiedząc o tem Gaudencyusz, miał się wobec niego na ostrożności.

Inny jeszcze wzgląd oddalał go od żyda; Manahem bowiem głęboko nienawidził chrześcijan. Nie wiedząc na pewno, czy znajdowali się w domu Klemensa, nie pomijał wszakże żadnej sposo-

bności, aby z największą pogardą odzywać się o ich zasadach i religii. Wrzała w nim prawie wściekła namiętność żydów, znieważających i krzyżujących Chrystusa.

Eufemia wiedziała o tem aż nadto dobrze. Pewnego dnia słyszała Manahema, przeklinającego Chrystusa, bluźniącego jego świętemu imieniowi i cieszącego się ze strasznych męczarni, jakie ukrzyżowany znosił; jednakże milczała, gdyż serce jej uczuwało tylko głębokie politowanie dla nieszczęśliwego, bezczeszczącego to, czego nie znał.

Taki stan rzeczy trwał przez cały rok. Nakoniec Manahem, który wielkie postępy uczynił w sercu Domicyana i stał się już niemal nieodstępnym jego towarzyszem, zwierzył się synowi Wespazyana z chęcią zaślubienia Eufemii.

— Na cóż taki pośpiech? odparł Domicyan; poczekaj jeszcze cierpliwie, a ożenię cię z jedną z najbogatszych panien w cesarstwie, zamiast z córką wyzwoleńca.

— Wdzięczen ci jestem, książę, odparł Izraelita, za twoje dobre chęci i za zajęcie się moją osobą; ale znam córkę Gaudencyusza, i ją jedną chcę za żonę.

— W wieku twoim, rzekł złośliwie Domicyan, równie szybko serce milknie, jak szybko przemawia. Pomyśl tylko, że posiadasz moją łaskę i jesteś moim przyjacielem, a że ja stoję na stopniach tronu, zastanów się więc dobrze nad tem wszystkiem.

— Zastanowiłem się — i ponawiam prośbę moją o rękę Eufemii.

— Dobrze, rzekł Domicyan, nieco urażony. Zobaczę Klemensa, pomówię z Gaudencyuszem i interes się ułoży.

Manahem opuścił księcia z sercem przepełnionem najsłodszą nadzieją, pewny, że stanie u celu swych marzeń; lecz nazajutrz dowiedział się ze zdumieniem z ust samego Domicyana, że wszystko stracone. Klemens i Gaudencyusz odpowiedzieli dostojnemu pośrednikowi, że Eufemia już po zaręczynach.

Odpowiedź ta przyprowadziła nieszczęśliwego Manahema do rozpaczy, twarz jego zbladła, usta zadrgały, a oczy, zwykle tak błyszczące, przybrały nagle kolor przerażająco szklisty. Przyszedłszy trochę do siebie, zapytał Domicyana, kto go uprzedził.

— Dlaczegoż chcesz o tem wiedzieć? odpowiedział ze złośliwym uśmiechem Domicyan.

— Chcę znać mego wroga.

— Czyż szczęśliwszy rywal, ma być zawsze nieprzyjacielem?

— Tak jest, bo kradnie mi szczęście i zatruwa życie, gdyż zostaje mi w sercu miłość bez nadziei. Błagam cię, panie — dodał z gwałtownością — wymień mi imię mego nieprzyjaciela.

— Jeszcze raz powtarzam ci, że nie jest on twoim nieprzyjacielem — odpowiedział Domicyan, igrając z rozpaczą żyda.

— Na miłość Boską, powiedz książę, kto jest ten człowiek?

— To twój przyjaciel Kaleb — wyrzekł nareszcie okrutny Domicyan, bawiący się widokiem męczarni młodzieńca.

Usłyszawszy te słowa, podskoczył Manahem gwałtownie, a tchórzliwy Domicyan cofnął się o kilka kroków z obawy przed jego wściekłością.

— Przekleństwo! krzyknął strasznym głosem żyd. On więc staje mi w drodze! On między mną a Eufemią! Och pomszczę się — całe życie poświęcę dla zemsty!

Kończąc te słowa, Manahem dla uchylenia się od drwinek uspokojonego w obawach Domicyana, uciekł do domu Klemensa i zamknął się w swym pokoju, aby przed oczami domowników i świata ukryć ból i rozpacz obrażonej dumy. Przez ten czas układał plany zemsty.

W duszy tej skrytej, nielitościwej, pełnej nienawiści, obudziło się silne pragnienie zbrodni. Zanim jeszcze dzień upłynął, Izraelita nakreślił sobie plan postępowania z Gaudencyuszem, a nawet z Klemensem, którego obwiniał także o odmowę ręki Eufemii; plan to był obmyślany z szatańską przewrotnością.

Postanowił on prześladować Kaleba, aż do zgonu, zadając mu wszelkiego rodzaju męczarnie duszy i serca. Jednakże przyrzekł sobie nie dawać mu niczem poznać, że czuje jakąkolwiek gorycz z powodu zawiedzionych nadziei, ani też nie okazywać żalu z powodu otrzymanej odmowy.

— Ożenię się z jakąkolwiek inną kobietą — mówił sam do siebie — a w razie, gdybym nie mógł dokonać zamierzonej zemsty, gdybym umarł, nie dokończywszy dzieła, wtedy dzieci moje uczynią to za mnie.

Nazajutrz po powzięciu krwawych zamiarów na przyszłość, Manahem zdobył się na tak wybornie odegrany spokój, że niktby się nie domyślał, jak straszna rozpacz rozdzierała mu serce. Oprócz lekkiego drgania nerwów, nic w nim nie zdradzało bolesnych przejść dnia poprzedniego. Według zwyczaju poszedł do cesarskiego pałacu: Domicyan żobaczywszy go, zdziwiony pozorną jego swobodą, rzekł:

— Widzę, że się już skończyła twoja żałoba.

— Tak jest, w istocie, odparł Manahem ponurym głosem.

— Pójdziesz więc za moją radą i pomyślisz o innej żonie. Leży to w twoim własnym interesie, cieszę się więc, widząc cię dzisiaj rozsądniejszym.

A spostrzegłszy, że Izraelita zachowywał posępne milczenie, dodał:

— Czyż nie uważasz, że rady moje rozsądne — czyż nie chcesz stosować się do nich?

— Tak i nie — brzmiała odpowiedź.

— Cóż chcesz przez to powiedzieć?

— Odstępuję od pretensyj moich do ręki córki Gaudencyusza; ale chcę się żenić i przychodzę prosić cię panie o żonę.

Domicyan bardziej jeszcze zdziwiony, starał się swym chytrym i podejrzliwym wzrokiem przeniknąć, czy żyd mówił szczerze, czy też te słowa podyktowała mu tylko gorzka ironia.

Ale Manahem, zauważywszy to wahanie, powtórzył swą prośbę w sposób zgoła niedwuznaczny.

— Z kimże chcesz się ożenić? zapytał go syn Wespazyana.

— Z kobietą, którą książę sam dla mnie wybierzesz; żądam jedynie, aby była piękną, gdyż o majątek i ród nie chodzi mi bynajmniej. Życzę sobie także, aby nie była chrześcijanką.

— Tak więc stawiasz tylko dwa warunki, odparł książę — aby była piękną i niechrześcijanką.

— Takiem byłoby moje życzenie.

— Stanie mu się zadość — odpowiadam za to.

W istocie w kilka dni później Domicyan ożenił Manahema z piękną ośmnastoletnią dziewczyną. W rok po ślubie umarła ona, zostawiając mężowi syna. Rozmaite o tem zdarzeniu obiegały pogłoski; mówiono, że uczniowie Lokusty, sławnej trucicielki, która żyła za panowania Nerona, zadali nieszczęśliwej żonie Manahema truciznę; jednakże Domicyan wpływami swemi potrafił stłumić te wieści.

Manahem zajął się z zapałem wychowaniem syna, którego nazwał Barkokebą czyli „Synem Gwiazdy“, starał się przedewszystkiem, aby to dziecko, spłodzone dla zemsty, było zdolne do wykonania jej w całej rozciągłości i sile.

Czekając na pełnoletność syna, nie spuszczał mściwy żyd z oczu swoich celu, którego dopiąć postanowił. Naprzód usiłował przeszkodzić małżeństwu Kaleba z Eufemią. Okoliczności sprzyjały mu nad-

zwyczajnie. Eufemia, jakkolwiek od dawna zaręczona z młodym Izraelitą, nie była z nim jeszcze połączona węzłem małżeńskim, związek ten pod różnemi pozorami odkładano do nieograniczonego czasu.

Prawdziwą wszakże przyczyną zwłoki, nieznaną ani Kalebowi, ani Manahemowi, było życzenie Gaudencyusza i Klemensa, ażeby mąż Eufemii był chrześcijaninem; Kaleb zaś nie należał jeszcze do wyznaców Chrystusa.

Kilka razy zagadnięty w tym przedmiocie przez Klemensa, unikał on zawsze jasnej i szczerej odpowiedzi.

Tymczasem rok upływał, a Kaleb nalegał ciągle o przyspieszenie ślubu. Klemens więc za poradą Gaudencyusza postanowił stawić mu jasno kwestyę; kazawszy go przeto zawezwać do siebie zaczął mówić o związku z Eufemią.

— Ach — zawołał młody Izraelita — zdaje mi się, że obietnice, czyniące mnie tak szczęśliwym, są czcze i płonne. Eufemia i ojciec jej odpychają mnie.

— Nie, przyjacielu — nie odpychają cię wcale — odpowiedział Klemens, sciskając serdecznie Kaleba; Gaudencyusz szanuje cię, wiem o tem, a możesz mi wierzyć na słowo, że i Eufemia chętnie zostałaby dziś twoją żoną, gdyby to tylko było możebnem.

— Gdyby to było możebnem! powtórzył z najwyższym niepokojem Kaleb; czyż związek ten zależy od kogo innego, jak od ciebie, Gaudencyusza i Eufemii?

— Być może, odparł Klemens, rzucając nań bystre spojrzenie.

— Któżby to mógł sprzeciwiać się wykonaniu najgorętszych moich życzeń i marzeń?

— Ty sam.

— Ja sam, wielki Boże! przez litość, panie, nie naigrawaj się z rozpaczy nieszczęśliwego.

— Nie naigrawam się bynajmniej, lecz mówię najszczerszą prawdę.

— Jakimże sposobem mógłbym się sam sprzeciwiać najserdeczniejszym mym chęciom?

— Kalebie, rzekł na to z powagą szlachetny Rzymianin, Eufemia jest chrześcijanką, może przeto wyjść tylko za chrześcijanina.

Słysząc te słowa, wymówione powoli i z naciskiem, żyd zbladł okropnie.

— Tylko za chrześcijanina — wymówił głosem, który tłumiło łkanie — tylko za chrześcijanina wyjść może. Jakto! czyż potrzeba,

abym porzucił wiarę w Boga Izraela, Boga moich ojców, żebym wyrzekł się mej nieszczęśliwej ojczyzny? Och, Flawiuszu Klemensie, czegoż żądasz odemnie!

— Żądam jedynie rzeczy słusznej i zgodnej z twym własnym interesem. Przyjąwszy wiarę chrześcijańską, nie potrzebujesz wyrzekać się Boga Izraela, ani też Ojczyzny. Chrystus przybył, ażeby spełnić proroctwa, uzupełnić zakon, przybył, aby ulepszyć wszystko i odkryć ludzkości ostatnie słowo przeznaczenia.

Kaleb pomyślał chwilę, poczem rzekł ze łzami w oczach, ale zupełnie już spokojnie:

— W takim razie niech mi ktoś wyłoży zasady religii chrześcijańskiej.

Był to promień światła i łaski z nieba, który nagle oświecił duszę młodzieńca.

— Bardzo chętnie, odparł Klemens; jutro poznasz jednego z towarzyszów Jezusa Chrystusa, i ucznia, którego ten boski mistrz najwięcej kochał — Jana. Słuchaj słów jego pokornie, a niepewność twoja i wahanie ustąpią.

Kaleb, zgodziwszy się na to, pożegnał Klemensa. Ostatni wiedząc, że dusze tak prawe i szczere, jak młodego Żyda, nie opierają się długo prawdzie, szczególniej wyrzeczonej ustami apostoła, odszedł zadowolony, bo przekonany o rychłem nawróceniu się przyjaciela.

List Ojca Świętego Leona XIII

do J. Em. Kardynała Niny.

Księże Kardynale!

Niespodziewany zgon kardynała Aleksandra Franchi, naszego sekretarza stanu, napełnił serce nasze uczuciem wielkiego nieszczęścia, a umysł nasz wielką troską. Powołany na ten wysoki urząd zaufaniem, jakie w nas wzbudził znakomitemi darami umysłu i serca, oraz długoletniemi usługami, jakie Kościołowi oddawał, umiał w krótkim czasie, gdyśmy go mieli przy swoim boku, tak całkowicie odpowiedzieć oczekiwaniom naszym, że jego wspomnienie nigdy się nie zatrze w duszy naszej, a jego imię jak jest dziś drogiem i błogosławionem, tak pozostanie dla przyszłych pokoleń.

Gdy jednak spodobało się Panu wystawić nas na tę ciężką próbę, przeto uginamy się z pokornem sercem przed boskiemi wyrokami, a zwracając myśli Nasze do wyboru następcy, zatrzymaliśmy wzrok

nasz na Tobie księże Kardynale, którego bogate doświadczenie w kierownictwie spraw, wytrwałość wśród trudności i szlachetne poświęcenie, jakie niesiesz dla Kościoła, dobrze nam były znane. Zdawało nam się być rzeczą odpowiednią zwrócić do Ciebie księże Kardynale niniejsze pismo na początku objęcia Twego urzędu, aby przedłożyć Ci Nasze zapatrywania, odnośne do kilku ważnych spraw, które gorliwość Twoja w szczególną winna wziąć pieczę.

Zaraz w pierwszych dniach Naszego pontyfikatu rzuciliśmy wzrokiem z wyżyn apostolskiego tronu na teraźniejszą społeczność, aby przejrzeć jej naturę, zbadać jej potrzeby i oznaczyć właściwe środki uzdrowienia. Już wtenczas w Encyklice do Naszych braci w episkopacie, skarżyliśmy się na odstąpienie od prawd, nie tylko prawd nadprzyrodzonego porządku wiarą uznanych, ale także prawd naturalnych, czy to filozoficznych czy praktycznych; skarżyliśmy się na wzrost najszkodliwszych błędów i na wielkie niebezpieczeństwa zewsząd zagrażające ludzkiemu społeczeństwu w skutek coraz bardziej wzmagających się dążeń przewrotu. Mówiliśmy wówczas, że główna przyczyna tego upadku leży w uznanym rozdziale a zamierzonem odstępstwie teraźniejszej społeczności od Chrystusa i Jego Kościoła, który jedynie posiada odpowiednią moc uzdrowienia i podźwignienia z największych upadków. W jasnem świetle faktów wykazywaliśmy wówczas, że przez Chrystusa ustanowiony Kościół dla odnowienia świata, od początku swego, wpośród tego świata szerzył swą nadludzką mocą zbawienny wpływ, że w epokach najciemniejszych i najsmutniejszych on był latarnią morską, wskazującą bezpieczną drogę; był jedyną przystanią, zapewniającą pokój i ratunek. Ztąd zaś z łatwością dowieść można, że skoro Kościół w przeszłości takie rozlewał niezmierne na ziemi dobrodziejstwa, zarówno i w teraźniejszości spełniać je jest mocen, gdyż Kościół, jak tego wiara naucza katolików, stale ożywionym jest duchem Jezusa Chrystusa, który zapewnił mu nieomylną opiekę i ustanowił go nauczycielem prawdy i stróżem świętego i niepokalanego prawa; jako taki, Kościół posiada i dziś całą moc zwycięzenia intelektualnego i moralnego zepsucia, na jakie cierpi społeczność, moc przywrócenia jej duchowego zdrowia. Gdy jednak zawzięci wrogowie Kościoła wysilali się, aby go zohydzić i świat do walki przeciw niemu popchnąć, a w tym celu rozszerzali ciężkie o Kościele potwarze, dla tego staraliśmy się od początku rozwiać uprzedzenia i odpierać oskarżenia; byliśmy bowiem przekonani, że ludy, skoro znów poznają Kościół, jakim on jest w rzeczywistości, i dojdą do uznania jego zbawiennej działalności, chętnie ze wszech stron powrócą na jego łono.

Takiem powodowani przekonaniem, zamierzyliśmy zwrócić głos nasz także i do tych, którzy sterują losami narodów, i serdecznie wezwaliśmy ich, aby w tych czasach zepsucia nie odpychali potężnej pomocy, jakiej im Kościół dostarcza, a której potrzeba tak silnie czuć się daje. Natchnieni apostolską miłością, zwróciliśmy się także i do tych, z którymi nas nie łączy węzeł katolickiej religii, gdyż pragniemy, aby i ich poddani doznali dobroczynnego wpływu tej boskiej instytucyi.

Wiadomem Tobie jest księże Kardynale, że idąc za tym popędem naszego serca, zwróciliśmy się także do potężnego cesarza pełnego sławy narodu niemieckiego, gdyż ciężkie położenie, do jakiego tam doprowadzeni zostali katolicy, szczególniejszą w nas wzbudzało troskę. Słowo nasze, płynące jedynie z pragnienia, abyśmy tem rychlej ujrzeli w Niemczech przywrócony pokój religijny, znalazło u dostojnego cesarza życzliwe przyjęcie i miało ten skutek, że wywołało przyjacielskie (*amichevoli*) układy, w których nie było naszym zamiarem dojść tylko do prostego zawieszenia broni (*treuga*), z którego łatwo nowe powstaćby mogły zawikłania, ale po usunięciu przeszkód zawrzeć prawdziwy, silny i trwały pokój (*stingere una pace vera, solida e duratura*). Doniosłość tego celu słusznie ocenioną została mądrością tych, którzy dzierżą w ręku ster tego państwa, doprowadzi on też do tego, jak chcemy się spodziewać, że nam podaną zostanie przyjazna ręka, aby ten cel osiągnąć. Kościół rozradowałby się gdyby ujrzał przywrócony pokój w tym szlachetnym narodzie; ale niemniej szczęśliwym byłby to wypadek dla państwa, gdyż uspokoiwszy sumienia synów katolickiego Kościoła, znalazłoby w nich najwierniejszych i najszlachetniejszych poddanych (*i sudditi piu fedeli e piu generosi*).

Niemniej zwracały ojcowską Naszą pieczołowitość krainy wschodnie, gdyż ważne wypadki, które się tam odbywały, przygotowywały może lepszą przyszłość dla interesów religijnych. Stolica święta nic nie zaniedbała w kierunku tych życzeń. Ożywia Nas też nadzieja, że sławne kościoły w tych stronach odzyskają dawny blask i życie płodne w zbawienne owoce.

Z tych krótkich wskazówek pojmiesz księże Kardynale nasz zamiar rozszerzenia na wielką miarę zbawiennej działalności Kościoła i papieztwa na całą społeczność; jakoż użyjesz całej swojej wiedzy i swojej czynności na to, aby przyprowadzić do skutku ten plan nam przez Boga zakreślony. Okrom tego zwrócisz najbaczniejszą uwagę na jeden punkt wysokiej doniosłości, mianowicie na nader trudne położenie, do jakiego doprowadzonym został Naczelnik Kościoła we Włoszech i w Rzymie, w skutek odjęcia mu władzy doczesnej od wieków przez Opatrzność mu nadanej jako rękojmi wolności władzy duchownej. Nie mamy zamiaru wyczerpująco wykazywać tutaj, jak zgubnej doniosłości dla dobra i pokoju ludów było naruszenie uświęconych praw Stolicy Apostolskiej i rzymskiego Papieża, gdyż skoro bezkarnie patrzały one na wyzucie osoby Namiestnika Chrystusowego z najdawniejszych i najświętszych praw, zasada obowiązku i sprawiedliwości doznała ciężkiego naruszenia, poszanowanie praw znikać, a same nawet podwaliny społecznego porządku runąć muszą. Nie będziemy zatrzymywać się nad tą uwagą, że dotąd katolicy różnych państw nie zdołają się uspokoić, dopokąd Papież, nauczyciel ich wiary i kierownik sumień, nie zostanie otoczony prawdziwą wolnością i istotną niepodległością. Winniśmy atoli wypowiedzieć, że nasza duchowna władza ze względu na jej boski początek i jej nadludzkie przeznaczenie, wymaga zupełnej i prawdziwej wolności dla wykonywania zbawiennego wpływu na korzyść ludzkiej społeczności — w obecnem

zaś położeniu doznaje tak wielkich przeszkód, że w ogóle rządzenie całym Kościołem coraz jest trudniejszem. Jest to rzeczą powszechnie znaną i codziennemi faktami stwierdzoną. Uroczyste zażalenia, które błogosławionej pamięci poprzednik nasz Pius IX wypowiedział w pamiętnej allokucyi na konsystorzu 12go marca 1877 r., możemy dziś z równem powtórzyć prawem. Moglibyśmy inne także skargi przytoczyć ze względu na nowe niemniej ważne przeszkody, które wykonywaniu naszej duchowej władzy bywają stawiane. Nie tylko, jak naszemu poprzednikowi przychodzi nam się skarżyć na zniesienie zgromadzeń zakonnych, co pozbawiło Papieża dzielnej pomocy w najważniejszych sprawach powszechnego Kościoła, roztrząsanych na kongregacyach; nie tylko mamy wyrazić naszą boleść z powodu ustawy rekrutacyjnej, według której zmuszeni są wszyscy do służby wojskowej bez żadnej różnicy i która odciąga od służby bożej kapłanów; że nietylko widzimy zakłady przeznaczone miłości bliźniego i dobroczynności przez Papieży rzymskich albo ludy katolickie pod zwierzchnictwo Kościoła poddane, pozbawione dziś opieki kleru; lecz nadto wielką goryczą napełnia Nasze serce jako ojca i pasterza, gdy w oczach Naszych bezkarnie niewiara czyni wielkie postępy w mieście Rzymie, w tem ognisku katolickiej religii, gdy się wznoszą świątynie i szkoły heretyckie w wielkiej liczbie, gdy widzimy, jakie z nich zepsucie rozlewa się pomiędzy znaczną częścią młodzieży, której udzielają bezbożnej nauki. Zdawałoby się, iż tego jeszcze za mało, chcą bowiem niweczyć także i nasze akta duchownej juryzdykcyi.

Wiadomem Ci jest księże Kardynale, jak po zaborze Rzymu, aby choć w części uspokoić sumienia katolików, przejęte troską o swego naczelnika, składano uroczyste zapewnienia i urzędowe oświadczenia, że nominacya biskupów na różne stolice biskupie we Włoszech zostawioną będzie całkowicie wolnemu wyborowi papieża. Później jednak pod pozorem, że akt kanonicznej instalacyi nie otrzymał rządowego placetu, nietylko nowomianowanym biskupom odmawiano dochodów z dóbr kościelnych, przez co Stolica św., która dostarczała im środków utrzymania, wystawioną została na wielkie wydatki, ale nadto nie chciano uznawać aktów biskupiej jurysdykcyi, jak obsadzanie parafii i innych kościelnych beneficyów z największą szkodą dusz, powierzonych pasterskiej pieczy. Gdy Stolica Św., chcąc zaradzić złemu, tolerowała, aby nowo mianowani biskupi włoscy przedkładali rządowi bulle, według prawa kościelnego dokonanej nominacyi i instalacyi, położenie Kościoła stawało się jeszcze bardziej nieznośnem, gdyż pomimo przedstawienia bull odmawiano pod jakimkolwiek pozorem wielu biskupom zarówno dochodów, jak uznania jurysdykcyi. Najczcigodniejsi mężowie, odznaczający się cnotą i nauką, których papież uznał godnymi do zajęcia najwyższych stopni w hierarchii kościelnej, ulegają temu upokorzeniu, że wraz z ludźmi pospolitymi pociągani bywają pod tajemne i bardzo szczegółowe śledztwo. Nawet ten czcigodny brat, który od nas otrzymał przeznaczenie, zarządzania w naszem imieniu dyecezyą Perugii, jakkolwiek już zarządał inną dyecezyą i prawnie był uznanym, od dłuższego czasu oczekuje daremnie odpowiedzi rządu. W ten sposób

z niezmierną przewrotnością lewą ręką odbierają Kościołowi to, co prawa ręka ze względów politycznych pozornie mu nadała. Aby stan ten rzeczy jeszcze pogorszyć, starano się świeżo w wielu dyecezyach włoskich zaprowadzić prawo patronatu królewskiego i to w rozszerzonych jeszcze rozmiarach, tak że naszemu czcigodnemu bratu Arcybiskupowi w Chieti na drodze sądowej nie tylko zaprzeczono juryzdykcyi, ale nadto nominacyę jego uznano jako nieważną i chciano zanegować jego biskupią godność.

Nie jest zamiarem naszym dłużej zatrzymywać się, aby dowodzić, że takie ustawy nie dadzą się niczem uzasadnić, co zresztą wielu ze strony przeciwnej przyznaje. Wystarcza przypomnieć, że Stolica Apostolska zastrzega sobie obsadzenie biskupstw, przyznaje zaś prawo patronatu tylko tym panującym, którzy dobrze się zasłużyli Kościołowi, bronili jego praw, jego rozszerzenie popierali, jego ojcowiznę zwiększali; ci zaś, którzy prawom Kościoła przeczą, z Kościołem walczą, ich własność sobie przywłaszczają, już według prawa kanonicznego tracą zdolność wykonywania prawa patronatu.

Dotknięte powyżej fakta jawnie wykazują zamiar utrzymywania we Włoszech systemu pobudzającego do nienawiści Kościoła; nadto wskazują one wyraźnie, jakiego rodzaju wolności Kościół tu używa i jak przestrzeganą bywa ta cześć dla naczelnika katolickiej religii, jaką zrazu poręczano.

W tak ubolewania godnym stanie rzeczy nie zapoznajemy księże Kardynale świętego obowiązku, jaki na Nas wkłada Nasz apostolski urząd; to też z wzniesionemi do Boga oczyma, z wzmocnionem sercem, z pełną nadzieją w poparcie Boga mamy ufność, że nie zachwiejemy się w wykonaniu naszych obowiązków. Ty zaś, księże Kardynale, będąc przez Nas powołanym do wzięcia udziału w naszych troskach, za przykładem twego poprzednika, z pewnością nie odmówisz udziału swej wytrwałej i przezornej działalności w celu przeprowadzenia Naszych zamiarów, a Nasze poparcie nigdy Cię nie zawiedzie.

Tymczasem przyjmij jako zadatek Naszej wyłącznej życzliwości apostolskie błogosławieństwo, które Tobie z pełnego udzielamy serca.

Z Watykanu d. 27 sierpnia 1878 r.

Leon PP. XIII.

OBRAZ MATEJKI

„BITWA POD GRUNWALDEM".

Zapowiadany obraz Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*, wystawiony w sali ratuszowej w Krakowie, ściąga do siebie ogromne tłumy ludu. Wielkość płótna przechodzi rozmiarami swemi wszystkie dotychczasowe dzieła Matejki. *Czas* Krakowski podał obszerną recenzyę, z której przytaczamy tutaj wyjątki: W czarne, jakby jaką tragiczną uroczystość zapowiadające, ramy oprawione

płótno obejmuje swoim obszarem całą przestrzeń przeciwległej ściany. Odbijają się na nich szczęśliwie umieszczone herby, godła sztandarów zdobytych w czasie Grunwaldzkiej bitwy na nieprzyjacielu. Takich herbów jest pięćdziesiąt dwa: liczba, jak się zdaje, świadcząca dość wymownie sama przez się o wyjątkowej doniosłości odniesionego zwycięstwa. W tym to, tak wyraziście oznaczonym obrębie, roztacza się przed naszemi oczyma, jak rozhukana fala, owa tytaniczna walka, której treść i główne epizody poznaliśmy z podań Długosza i opowiadań Szajnochy. Niepowstrzymany prąd porywa pomięszane już w ostatecznym boju szyki rozwścieczonego rycerstwa, i unosząc je ukośnie z góry do dołu, z lewej na prawą stronę obrazu, wyrzuca tę rozognioną lawę z żelaza i ze stali na nas.

Główny sprawca tryumfu, ksiądz Witołd, jak wtedy mawiano, zajmuje główne miejsce, bo sam środek obrazu. Uniesiony zwycięztwem, cwałując na rozpędzonym koniu, wypada śmiało naprzód, jak gdyby był pewny, że teraz już obali wszystko, co tylko na drodze napotka. Zdaleka widać wzniesione do góry ramiona, w lewem ręku trzyma tarczę, w drugiem miecz, którym dnia tego takich cudów waleczności dokazał. Jest to zbyt wybitna na obrazie figura, abyśmy ją dokładniej potrzebowali oznaczać. Pod nim wraz z koniem obalony o ziemię zatacza się Konrad Biały, książę Oleśnicki, który czwartą krzyżacką chorągwią dowodził. Niesposób nie podziwiać tutaj jednego z najwspanialszych efektów, jakie ze swej palety pan Matejko kiedykolwiek wydobył, a wywołanego zestawieniem niebieskiego odzienia ze złocistym czaprakiem.

Podczas gdy książę tak nam tryumfująco ukazuje się, największy jego przeciwnik w. mistrz krzyżacki, Ulrik, bliskim jest haniebnego zgonu. Dwóch Litwinów, jeden kołczanem, drugi toporem, zamierzają się na niego. W tych dwóch postaciach należy zaznaczyć drugi efekt obrazu, tym razem pod względem anatomii ciała i uwydatnienia muszkułów, które tutaj do wysokiego stopnia posunięte zostały. Podczas gdy w. mistrz pasuje się z dwoma tak niskiego urzędu przeciwnikami, zagraża mu jeszcze z tyłu swoją szpadą w stalowej zbroi rycerz, Mikołaj Morawiec Skunaczewski Powała. Ślicznie za tło służy postaci w. mistrza, fałdujący się od silnego wiatru biały jego płaszcz.

Przejdźmy teraz do strasznego dramatu, który się po prawej stronie obrazu zarzuceniem stryczka na szyję Markwardowi kończy. Zaznaczymy tylko pobieżnie figury. Pod Zindramem widzimy Litwina, czy może żołnierza z tej Smoleńskiej chorągwi, która się tak świetnie odznaczyła w tej bitwie, z szerokim na piersi medalem Matki Boskiej; wojownik wymierza sztrzałę z łuku, wprost do nas w powietrze obróconego. Tuż obok, w żelaznej zbroi, Szyszka na prawe oko ślepy, zmierza się, by mieczem uderzyć w rycerza zielonem przykrytego odzieniem, na którym już lewą nogę postawił. Z pod jego boku wyglądający rycerz angielski chce mu sztyletem przyjść w pomoc. Nad niemi, na karym koniu Zawisza Czarny, spotkawszy opór w tłumie, skrępowany naciskiem innych, stara się wyprzeć naprzód i lancą utorować sobie drogę. Pod nim tatar, co sznurem Markwarda ciągnie za szyję. Za nim, w czerwonem aksamitnem ubraniu, Jan Długosz, ojciec historyka, także się na komtura zmierza. Zapadł się już pod krzyżackim wodzem jego koń, tygrysią skórą okryty. Napróżno stara mu się przyjść w pomoc Fryderyk von Plauen, komtur świecimski, na koniu stalą okrytym, z hełmem zielonemi pawiemi piórami przyozdobionym. Nad nim przerażony strasznym widokiem, podnosi do czoła prawe ramię biskup Elblązki, Eberhardt ze złotą infułą na głowie.

Teraz spojrzmy nieco wyżej na epizod, stanowiący drugi plan prawej strony obrazu. Na przodzie w pełnej zbroi wyjeżdża rycerz, trzymający w ręku królewską chorągiew. Ta chorągiew, jak wiemy, w chwili niebezpieczeństwa zwiniętą została; teraz ją znowu rozwijają na znak ocalenia. Na cisawym koniu, z plamką na czole (tak jak go opisują kronikarze), siedzi Władysław Jagiełło, którego twarz jest prawdziwym portretem króla. Obok niego Mikołaj Trąba, książę Mazowiecki; w głębi za nimi książę Ruski; po prawej stronie króla, na koniu z czerwonym kapturem na głowie, Zbigniew Oleśnicki wskazuje kopią królowi zjawiającego się na niebie św. Stanisława. Przed nim Dypold von Kikierzyc z konia powalony leży. Król, to niebiańskiem zjawiskiem, to odgłosem trąby Wrocimowskiego uderzony, do czoła prawą rękę przykłada. Dalej na przodzie lasku zwijają się rycerze i uciekają w popłochu bliżej ku Witołdowi.

Pozostaje nam teraz lewa strona obrazu. Uderzył nas już swoim hełmem i piórami na karym koniu cwałujący Kazimierz, książę Szczeciński. Niemniej zwraca uwagę płaszcz jego niebieski białem futrem obszyty, który wiatr silnie fałduje. Ślicznego profilu rycerza nie odrazu dopatrują się widzowie, chociaż na białem tle rysowany. Wina w tem zapewne oświetlenia. Przy koniu biegnie młody giermek, pokryty w części żółtą podszewką odwróconego końskiego czapraka, z którego wystaje w żelazo okuta noga pełną zbroją okrytego rycerza. Pod nim pasuje się w rozpaczliwym boju dwóch wrogów, jeden drugiemu z wściekłości ręką rozdziera usta. Jest to ostatni stopień wojennego zażarcia, sposób walczenia najbardziej przybliżony do natury. Mistrz chciał oczywiście przedstawić w swoim obrazie wszelkie rodzaje walki, bądź piesze, bądź konne, na dzidy, na kopie, na topory, halabardy i t. d. Mamy nawet na Markwardzie przykład ściągania arkanem. Dla uzupełnienia wrażenia, chciał dać także przykład ręcznego boju. Tym sposobem gama całkowicie przeprowadzona i cel przez to samo całkiem osiągnięty. Nawet tak pobieżnie tylko przejrzana bitwa pod Grunwaldem zostawia to wrażenie, że nigdy jeszcze do tej pory wojna w tak strasznej okazałości przedstawioną nie była.

Wychodząc z wystawy, mamy uczucie, żeśmy przez wszystkie stadya Dantejskiego piekła przechodzili, tylko że nam w straszliwej wędrówce nie Wirgiliusz ale Szakspeare towarzyszył.

LISTY Z RZYMU.

Rzym dnia 11 Października.

VII.

List Ojca Św. do J. Em. Kardynała Niny — Gdyby zerwane zostały układy z Berlinem — Stanowisko Ojca Św. wobec rządu włoskiego — Dzienniki o liście Ojca Św. — Dzienniki włoskie — Siła materyalna wobec potęgi ducha — Powódź rewolucyjna — Wiec socyalistów w Rzymie — Zszeregowanie katolików we Włoszech — Kongresy katolickie — Kongres w Wenecyi i Bergamo — Kardynał d'Avanzo i książe Salviatti — Kardynał Parrocchi — Zjazd oryentalistów we Florencyi — Renan i bluźniercy — Wzniesienie kościoła w Rzymie — Przyjęcie Biskupa Rotelli a liberały — Stolica w Perugii — Hiszpanie — P. Sosnowski zrobił biust Leona XIII.

Właśnie, gdy pisałem ostatni list do *Przeglądu*, ukazał się na widok publiczny znany już powszechnie list Ojca Św. Leona XIII

do kardynała Sekretarza Stanu Niny. — Czytany uważnie a bez uprzedzenia, dokument ten czyni wrażenie prostego i otwartego przed wiernymi i przed światem wypowiedzenia, co Papież w najważniejszych bieżących kwestyach kościelnych zastał, co robi i robić zamyśla. Nic tam nie znajdujemy, coby jakkolwiekbądź wybiegało ze znanej i wypróbowanej kolei prac, usiłowań i zasad Stolicy Apostolskiej, nic coby upoważniało jakieś ekscentryczne obawy lub nadzieje. Jeżeli Najwyższy Pasterz z niezrównaną łagodnością i wyrozumiałością wyraża się o rządzie cesarstwa niemieckiego, idzie w tem za słowem Bożego Pisarza: „Jeżeli cię kto przymusza iść z nim na tysiąc kroków, idź z nim i drugie dwa tysiące.“ Niezawodnie taki sposób postępowania więcej niż cobądź innego zdolny jest doprowadzić do pożądanego celu rozpoczęte z Berlinem układy, bo miłość przebaczająca urazy, to w walce za Bożą sprawę broń ze wszystkich najdzielniejsza. Gdyby zaś układy i mimo to nie doszły, tem wybitniej ukazałaby się piekielna nienawiść i bezbożny despotyzm strony przeciwnej i chociaż nie mógłby jeszcze tym razem Ojciec chrześcijaństwa uwolnić sumień dzieci swoich od gnębiącego je w Niemczech ucisku, przynajmniej mógłby śmiało powiedzieć: Zrobiłem, co tylko było można: *salvavi animam meam.* Jeżeli znowu dalej Leon XIII nieugięcie zatwierdza Boże prawo Namiestnika Chrystusowego do zupełnej od wszelkich monarchów, rządów i ludów politycznej niezawisłości, jeżeli piętnuje, jak na to zasługują, zamachy dzisiejszych politycznych Włoch na zakony, na zakłady katolickiej dobroczynności, na jurysdykcyę Biskupów; jeżeli opłakuje systematycznie szerzone przez herezyę i bezbożność pomiędzy ludem rzymskim zepsucie; jeżeli bez wahania i trwogi wypowiada w oczy królowi włoskiemu, że podług kanonów ci tylko monarchowie mogą wykonywać przyznane im nawet ewentualnie przez Rzym prawo patronatu przy obsadzaniu biskupstw, którzy są względem Kościoła z należytą uległością, a nie ci, którzy przez świętokradzkie zabory i rabunki cenzurom Kościoła podlegają — to występuje tak stanowczo, bo wie, że między Kościołem a rewolucyą włoską, między Rzymem katolickim a jego zaborcami pojednania być nie może, bo sama ich w Rzymie obecność już jest buntem, gwałtem i zniewagą, a więc zniewala Papieża do takiej surowości. Przebaczenia być nie może, póki nie ma żalu, żalu nie ma bez dobrej woli. Na pierwsze tej dobrej woli oznaki Namiestnik Chrystusa Pana gotów odpowiedzieć serdecznem wyciągnięciem ręki, i tak czyni względem rządu cesarza Wilhelma, którego państwu biada, jeżeli tej ręki nie przyjmie!

Lecz gdzie dobrej woli niema, nawet śladu ani pozoru, jak u tutejszych rządzących, tam ustępstwa byłyby nie miłością lecz bojaźliwem poniżeniem zasad i godności Następcy Apostołów, a tego niechaj się nikt po Nim nie spodziewa, bo On nam powiada: „Z wzniesionemi do Boga oczyma, a sercem pełnem nadziei mamy w Bogu ufność, że w wykonywaniu naszych obowiązków nie zachwiejemy się nigdy“.

Wobec takiego stanowiska jak się zachowuje opinia publiczna, przynajmniej o ile ją wyrażają dzienniki? Katolicy oczywiście, duchem wiary, miłości i zaufania z Ojcem swoim połączeni, idą zgodnym krokiem, gdzie ich ręka Jego prowadzi, bo wiedzą, kto i dokąd prowadzi, co bynajmniej nie przeszkadza, że każdy katolik, w pełni chrześcijańskiej ducha swego swobody, na swojem stanowisku mówi i działa tak, jak mu przekonanie, poczucie obowiązku i sumienie mówić i działać każą. Bo zdanie i wola Namiestnika Chrystusowego dla nas są swobodnego działania regulatorem, wskazówką, granicą — nie zaś tylko ślepych wykonawców hasłem. W obecnym razie wybornie powiada najbliżej interesowana *Germania*: „Stanowisko katolików i *centrum* jest tak jasne i położeniem wskazane, że wątpliwości być nie może. Nie *centrum* układa się z rządem, lecz Rzym.... Jeżeli układ zawartym będzie, *centrum* i katolicy uszanują go z uległością, do jakiej względem Stolicy Apostolskiej przywykli.... Lecz jako reprezentacya polityczna narodu niemieckiego, *centrum*, które praw najświętszych w zamian za wątpliwe dotąd ustępstwa poświęcić nie ma prawa, nie przestanie bronić interesów i swobód narodu podług własnego programu. Powołanie *centrum* w tym charakterze, przechodzi granice trwania *Kulturkampfu*“.

Inaczej sobie poczynają dzienniki liberalne. Włoskie, rozumie się, że w gniewie prawie nie znają granic. „Czas już przypomnieć Papieżowi, że zupełnie od nas zależy i bezkarnie nas znieważać nie może!“ wołają jedne. „List Leona XIII, to tylko ostatni krzyk ratunku konającej władzy Watykanu“, piszą inne. Co widoczna, to że list Ojca Świętego przejmuje ich trwogą. Czuć w tem wszystkiem bojaźń obok wściekłości. Głos bezbronnego starca brzmi im w uszach jak przestroga obrażonej sprawiedliwości, jak zapowiedź niedalekiej, może opatrzno-dziejowej kary. Radziby ten głos przytłumić: darmo! Potęga ducha siłę materyalną trzyma na uwięzi, i tym co tylko wtaką siłę wierzą, radziłbym zastanowić się bliżej nad tym fenomenem w Rzymie od przeszło ośmiu lat trwającym: że całą potęgę państwową, wszystkie jej wysiłki, wszystkie środki działania i wpływu

niewidzialną mocą ducha u wrót Watykanu zatrzymuje, kruszy i w niwecz obraca święta apostolska swoboda jednego w granicach swego mieszkania zamkniętego człowieka!

Z dzienników francuzkich, niemieckich i angielskich, jedne, jak np. paryzkie: *le Temps*, *le Siècle*, augsburgska *Allgemeine Zeitung* powiadają, że niema się co łudzić, że: „Jakkolwiek słowa jego są umiarkowane, Papież Leon nie ustąpi w żadnym z tych punktów, któreby Niemcy przyjąć mogły“. W sprawach zaś włoskich i powszechno-kościelnych: „zdumiewa nas mowa Stolicy świętej, tak dalece jej charakter i logika różnią się od naszych zwykłych sposobów rozumowania (w tem, co prawda, liberały mają zupełną racyę; inna jest zaiste mowa i rozum stróżów wiecznej prawdy objawionej od mowy i rozumków wieży Babel bezwyznaniowego liberalizmu)“. I jeszcze: „Niektórzy mówili, że nowy Papież obierze inną drogę niż Pius IX.... Nowy manifest dworu papiezkiego położy koniec tym złudzeniom.... Rzuca on na nowo swoje dumne *non possumus* na szalę wypadków.... Czyż to, pomijając pewne różnice stylu, nie jest ten sam głos, którym przemawiał Pius IX?“ Ten ostatni ustęp jest ze *Siecle'a*. Lecz w innem miejscu tenże *Siècle*, a obok niego tenże *Temps*, *Journal des Débats* i inne, tryumfują, że Kościół ustępuje przed siłą i upokorzeniem, że Papież potępia zagorzałych ultramontanów, że wchodzi w sojusz z demokracyą współczesną itp. Jak te sprzeczności pogodzić? Prawdziwie przychodzi tu na myśl: „Ale nie były zgodne ich świadectwa, chociaż wielu świadków przychodziło“.... Ten sam tekst atoli powiada, że świadkowie ci byli fałszywi. Podobnież, jeżeli nie wszyscy złej wiary, to przynajmniej błędami zaślepieni są wszyscy ci, co tak sprzecznie sądzą czyny i słowa Apostolskiej Stolicy.

Tymczasem powódź opinij i namiętności republikańsko-rewolucyjnych we Włoszech wzrasta. Na publicznych demonstracyach i obchodach politycznych, jak 20 Września i innych, nikt ani jednem słowem nie wspomina króla ani dynastyi sabaudzkiej. Medyolan, Palermo, Neapol, to ogniska buchające republikańską propagandą, którą niepomału pomiędzy ludem ułatwia gniotący ciężar podatków, wzrastająca drożyzna, zastój w interesach. Mniej ruchliwym z natury rzeczy jest Rzym; cicho i bez śladu prawie odbył się w niedzielę 29 września zapowiedziany meeting socyalistów. Mówcy i słuchacze nie wyszli z oklepanego w takich razach zachowania się. Ale jasnem było dla każdego, że po za tą częścią ludu, opętaną przez bezbożność i sztuczny nieco (tu w Rzymie) socyalizm, dynastyi już niemal nie-

nawidzącą, prócz cząstki mieszczaństwa bezmyślnej i zysku tylko patrzącej, nie pozostaje jak tylko owa przeważna masa ludności wierzącej, Ojcu Św. wiernej i o powrót Jego panowania się modlącej, dla której dzięki Bogu czasy próby bezowocnie nie przechodzą.

O zszeregowanie sił tej jeszcze tak ogromnej większości katolickiej we Włoszech troskają się dzisiaj najpierwsi Włoch mężowie. Na czele ich, nietylko z tytułu swego stanowiska, ale i z osobistego przekonania stoi sam Papież Leon XIII. Stosownie do Jego życzenia odbywają się coraz częściej kongresy czyli zjazdy regionalne (t. j. prowincyonalne) katolików, mające na celu z jednej strony rozbudzenie katolickiej żarliwości i działalności społecznej, z drugiej nadanie już rozpoczętym pracom trwałej i silnej organizacyi. W dniach 8 i 9 b. m. taki zjazd miał się odbyć w Wenecyi, w dniach 29 i 30 dla prowincyi lombardzkiej w Bergamo. Nastąpią zjazdy: piemoncki, liguryjski, emilijski (Modena), toskański, romański (Bolonia). W południowych prowincyach kardynał d'Avanzo, w Rzymie niestrudzony ku wszystkiemu co dobre książę Salviati, są promotorami tego odrodzenia społecznego życia katolickiego, które zresztą, wyznać należy, jeszcze dość leniwo postępuje. Lecz ponad wszystkich coraz wybitniej wyróżnia się arcybiskup boloński, młody (bo dopiero około 40 letni) kardynał Parrocchi.. Jego coraz więcej uznają za duszę swoich prac i usiłowań czynni katolicy włoscy. On jest znanym zwolennikiem i inicyatorem reformy wychowania i nauczania w duchu chrześcijańskim, zacząwszy od św. Tomasza w filozofii i teologii, skończywszy na studyach klasycznych, które pragnie wyzwolić z wyłącznego panowania autorów pogańskich a przejąć znajomością i miłością tradycyi chrześcijańskiej, dziejów ludzkości okupionej i do sfery nadprzyrodzonej podniesionej. On głównie popiera stowarzyszenia młodzieży katolickiej, których też ogniskiem jest Bolonia. On kieruje rozwojem prasy katolickiej. A wszystko to czyni nie w sposób jakiś gorączkowy, hałaśliwy, nadający sobie wielką wagę osobistą, co, mówiąc nawiasem, zmniejsza wartość i płodność gorliwych usiłowań wielu znanych i znakomitych katolików np. francuzkich. Nie; kardynał Parrocchi pozostaje zawsze przedewszystkiem poważnym, łagodnym, cichym Pasterzem swojej dyecezyi, spokojnym stróżem, jako książę Kościoła, najczystszej tradycyi rzymskiej; ale, mając w duszy miłość, rozumie potrzeby czasu, i stara się, za świętym Pawłem, stać się dla wszystkich wszystkiem. Pozwólcie że Wam jeszcze o nim powiem, co słyszałem od poważnego i światłego kapłana. Gdy, kilka lat temu, w owej przepysznej bolońskiej katedrze

świętego Petroniusza, odbywała się uroczysta instalacya księdza Parrocchi na Arcybiskupa, zgromadzeni lud i duchowieństwo nagle ujrzeli nad głową nowego Arycy-pasterza unoszącą się jakby gołębicę, która z rozwiniętemi skrzydłami, okrążywszy go kilka razy, znikła tak jak się ukazała; nikt zaś wlatującej ani wylatującej nie widział. Zjawisko to wszystkich silnie uderzyło i głęboko wzruszyło; sądzę zaś, że katolickich czytelników, którym liczne podobne fakta z historyi Kościoła są znajome, przypuszczenie tutaj cudownego znaku z Nieba ani gorszyć, ani mianowicie wobec cudów Gietrzwałdu, Lourdes, Bois l'Haine (Ludwika Lateau) i t. d. tak bardzo dziwić nie może. Gdy zaś Arcybiskup boloński coraz więcej i więcej jaśnieje świątobliwością, nauką, powagą, nie dziw. że coraz więcej też ludzi upatruje w nim przyszłą Głowę Kościoła i może on będzie owym *Ignis ardens*, który podług proroctwa św. Malachiasza, po *Lumen in coelo* sterować ma łodzi Piotrowej.

Jak wiecie, odbył się świeżo we Florencyi kongres oryentalistów. Zebranie to, jak inne podobne, niezawodnie miało swoją wartość naukową; lecz na nieszczęście zostało zeszpecone honorami oddanemi na niem nie tyle przez uczonych, co przez literatów włoskich bluźniercy Chrystusa Pana, głośnemu Renanowi. *Scienzato illustrissimo*, *dottissimo*, *celeberrimo*... takiemi epitetami witają i w Rzymie przybyłego tu Renana, także nieuczeni (wiadomo bowiem że nauka, nawet niekatolicka, ale jakokolwiek poważna, lekko traktuje pretensyonalną a płytką erudycyę Renana), lecz *la Capitale* i podobne jej dzienniki. A jednak takie hołdy oddawane wrogowi Bóstwa Zbawiciela, a przez to samo pierwszorzędnemu duchowemu i moralnemu złoczyńcy, to zbrodnia wołająca o pomstę do Boga; i w tem katolicy, jeżeli tylko mają nieco zdrowego rozsądku, powinni być nieugięci jak skała, i pamiętać, że dla jednego tylko grzechu Pan nasz Jezus Chrystus nie obiecał przebaczenia, dla grzechu przeciwko Duchowi Świętemu....

Tak kardynał-wikary Rzymski Monaco la Valletta, jak kardynał-arcybiskup Boloński Parrocchi wydali odezwy, popierające zamiar wzniesienia w Rzymie ze składek dobrowolnych kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego.

W Montefiascone cała ludność w tryumfalnym pochodzie przyjmowała nowego swego Biskupa, księdza Rotelli. Cechy, szkoły, nawet municypalność z syndykiem na czele (na co się liberały wściekają) wyszli naprzeciwko swego Pasterza z radością i zapałem nieopisanym. Patrząc na takie objawy, prawdziwie trzeba powiedzieć,

że wszystko, co dobre, piękne i święte zrobiliby z ludem chrześcijańskim Biskupi i kapłani, ożywieni duchem apostolskim, pasterze podług serca Bożego.

Dyecezyę Perugia, obyczajem przez niektórych Papieży już praktykowanym, zatrzymał dla siebie Leon XIII. Administratorem zaś w swojem imieniu mianował ks. Paolucci, biskupa Adryanopolitańskiego *in partibus*.

Już się snują po ulicach Rzymu poważne twarze pielgrzymów hiszpańskich, przybyłych tu w liczbie około 2000. Audyencya u Ojca Świętego w przyszły wtorek.

Ci z naszych, co byli w Rzymie, pewno pamiętają piękny posąg Piusa IX, w postawie klęczącej, umieszczony w przysionku Schodów świętych (*la Scala Santa*) dłuta naszego ziomka p. Sosnowskiego. Otóż tenże Sosnowski, którego tu bardzo na dworze Papiezkim cenią, kochają i nazywają *il nostro Sosnowski*, teraz wykończył piękne popiersie Leona XIII, które jutro ma być Ojcu Świętemu przedstawione. *K. T.*

Krzyż Biskupi
dla Ojca Św. Leona XIII.

Ojciec Swięty Leon XIII, przemawiając do naszej deputacyi, składającej Mu w imieniu całej Polski hołd synowskiego przywiązania i wierności do Stolicy Świętej, powiedział był, że w swem sercu nas nosi — „Tu w sercu mam Polaków“. Wyrazy te Sędziwego Ojca chrześcijaństwa spłynęły na Sierocą Polskę balsamem pociechy i wywołały w nas nowe dla Chrystusowego Namiestnika uczucia wdzięczności i miłości serdecznej... Owoż, czy wobec zbliżającej się za kilka miesięcy rocznicy tego opatrznościowego wyniesienia Leona XIII na Stolicę świętą, nie byłoby odpowiedniem, abyśmy tym uczuciom naszym dali widoczny wyraz i na dniu 20 lutego roku przyszłego obok świętopietrza złożonego u stóp Apostolskiego Tronu ofiarowali także Ojcu Świętemu i krzyż biskupi od wiernej zawsze Kościołowi Polski. Na tem kochającem nas Sercu Jego, niechajby spoczął ten widoczny znak naszej czci i naszego doń przywiązania. Z tą myślą nosimy się od paru miesięcy, porozumiewaliśmy się nawet z jedną z pracowni jubilerskich w Paryżu,

a dzisiaj zwierzamy się z niej Czytelnikom naszym, z tem najsilniejszem przekonaniem, że znajdzie ona swój odgłos w duszach wielu, i że ją biorąc za swoją, przyczynią się ze swej strony, aby urzeczywistnioną została.

W takim przeto razie krzyż nasz byłby *à jour* stylu gotyckiego, na którym u góry znajdowałby się medalion Najświętszej Panny Częstochowskiej, na ramionach: święci Stanisław krakowski i Józefat; u dołu: tyara, klucze i herb papiezki, a pod nim herby Polski, Litwy i Rusi; w środku krzyża Książę Apostołów, w otoku którego napis: *Tu es Petrus*. Na odwrotnej zaś stronie napis: Ojcu Świętemu Leonowi XIII w rocznicę Jego wstąpienia na Stolicę św. dnia 20 lutego 1879 r. wdzięczna katolicka Polska.

W dzień tej uroczystości stanąć mają przed Ojcem Świętym ze wszystkich stron katolickiego świata różnych narodów drużyny i przedstawiciele katolickiego piśmiennictwa, niechajże wpośród tych licznych wysłanników grona, znajdzie się i Polska nasza, którą, jak rzekł Ojciec Święty, nosi w sercu swojem.

Krzyż wraz z łańcuchem i nader piękną ornamentyką kosztowałby więcej jak 2000 franków w złocie. Pierwszego Grudnia r. b. należałoby stanowczą już zawrzeć z jubilernią umowę. Jednak od Czytelników naszych to wszystko zależyć będzie. Odzywamy się przeto do nich, a przedewszystkiem do Kapłanów, prosząc ich usilnie o zbieranie składek i nadsyłanie nam ich łaskawe. Najmniejszą ofiarę wdzięcznem przyjmiemy sercem. Prosimy również Panie nasze, aby sprawą tą zająć się chciały. Niechaj w gronie swoich znajomych i przyjaciół myśl tę zawczasu popierać raczą, zbierając na ten cel ofiary, a w takim razie jesteśmy pewni, że wobec świata katolickiego nie powstydzimy się z daru naszego dla Ojca Świętego, ale na nowo złożymy dowód, że Polska nasza jest rzeczywiście, jak się Ojciec Święty Leon XIII wyraził w liście do Najczcigodniejszego Biskupa Dyecezyi kujawsko-włocławskiej, księdza Wincentego Popiela: „krajem: chwałą wiary zaleconym“.

X. F. P.



Józef Badeni.

Śmierć młodych nieraz boleśniejsza od śmierci starych, a trudno o nich pisać. Żałuje się człowieka, który umarł, syt lat i czynów; ale jak mówić o takim, którego życie było dopiero pełne nadziei. A jednak kiedy się znało niektórych młodych, których dziwne losy Opatrzności zabierają z tego świata, to jest pewność, że z nimi idzie do grobu szereg pięknych, ważnych i użytecznych czynów, Tak, jeżeli można dawne wspominać rzeczy, to kiedy umierał Stanisław Rzewuski, cała Polska wiedziała, że grzebie z nim wielkie i piękne nadzieje.

Umarł dnia 12 tego miesiąca, skończywszy zaledwie lat czterdzieści dwa Józef Badeni, syn Michała, pułkownika wojsk polskich.

Coby był spełnił w życiu, Bogu tylko wiadomo, ale to pewna, że były w nim żywioły na człowieka nietylko znakomitego, ale na człowieka potężnego, bo rzadko w jakiej osobistości łączyły się takie warunki. Charakter żelazny, prawość niespożyta, znakomita zdolność i nauka, nietylko miłość, zapał do dobra publicznego.

Od młodych też lat służył krajowi; zastał go rok 1861, prawnika ukończonego w Komisyi spraw wewnętrznych, a Wielopolski powołał na Referendarza Rady Stanu. Nietylko powołał, używał dwudziesto-kilkuletniego do spraw trudnych, które wymagały odwagi i roztropności. Razem z całym ustrojem ówczesnym przypadło początkujące jego działanie.

Dziesięć lat gospodarstwa pokazało wielki organiczny talent, a kiedy rodzinne stosunki powołały go znowu do naszego koronnego kraju, zaufanie obywatelskie powołało go także niebawem do Rady powiatowej, do przewodnictwa Towarzystwa rolniczego, do Izby poselskiej, w której zaraz odznaczające zajął stanowisko.

Nadmiar pracy, której oddawał się może zbyt gorączkowo, podkopał silną naturę, ale kto tak Boga kochał jak on, dla kogo sprawy Kościoła były najgłówniejsze, komu panowanie prawa, prawdy w Ojczyźnie tak gorąco leżały na sercu, ten musiał się zużyć przedwcześnie. Widok obojętności jednych a oziębłości drugich, był mu tylko popędem do pracy, z której korzystali także i prywatni, bo nie było kompromisu, nie było opieki, nie było ważnej sprawy, do którejby JÓZEFA BADENIEGO nie wzywano. Wymawiać się nie umiał, brał nad siły, znalazł śmierć przedwczesną, ale przynajmniej wiedział, po co żył i wiedział o tem Kościół, kraj, rodzina i bliźni. Ci, którym był przyjacielem, nie przeboleją nigdy tej straty!

KS. DUPANLOUP

Biskup Orleański.

W chwili zamykania *Przeglądu* dochodzi nas smutna wiadomość o smierci Wielkiego Syna Francyi, Gorliwego Obrońcy Władzy Doczesnej Papieży, i serdecznego przyjaciela katolickiej Polski Mrg. Dupanloup, biskupa orleańskiego. Pisma katolickie podadzą bez wątpienia wyczerpujące o jego życiu szczegóły; zanim to jednak nastąpi, to my jako katolicy nad otwartem świeżo grobem sławnego Biskupa pośpieszamy złożyć wyraz naszego hołdu jego pamięci i jego zasługom, a jako katolicy-Polacy wyraz naszej wdzięczności za Jego serdeczną życzliwość i miłość dla Polski i Polaków. *Kuryer Poznański* [1]) mówiąc o zmarłym Biskupie, słusznie powiada, że rok 1878 będzie dla nas katolików po nad inne smutniejszy i grubszym od innych kirem odziany. Ileż to serc, najczystszym dla Kościoła płonących ogniem, zastygło w tym roku który widział zamykające się wieko trumny nad zwłokami wielkiego Piusa i, Kardynała Franchi. Co miesiąc niemal dochodzi bolesna wieść o nowej dotkliwej stracie, a o nieszczęsnym roku bieżącym powtórzyćby prawie można, że z każdą nową zmianą miesiąca wyrasta świeży grób, nad którym już nie jednostki lub rodziny, ale całe ludy, całe społeczeństwo katolickie ciężką zawodzi skargę.

Dziś echa takiej boleści dochodzą do nas z po za Renu od Francyi, opłakującej dzisiaj zgon wielkiego kapłana i wielkiego patryoty, senatora biskupa Dupanloup, pasterza starożytnej orleańskiej dyecezyi, który na dniu 11 b. m. zgasł w Daufinacie na zamku de la Combe u swego przyjaciela, pana Alberta du Boys.

Feliks Antoni Filibert Dupanloup urodził się 3 stycznia 1802 w St. Feliks, małej wiosce, niedaleko Chambéry w Sabaudyi. Otrzymawszy pierwsze nauki od stryja swego, proboszcza w Chambéry, kształcił się w małem seminaryum w Paryżu, gdzie pozyskał stałe względy i przychylność ówczesnego Arcybiskupa paryzkiego. W r. 1820 wstąpił do seminaryum św. Sulpicyusza, gdzie się znakomity jego talent wspaniale rozwinął i gdzie też żelazną pracą położył podwaliny do wielkiego stanowiska, jakie na przyszłość miał zająć we Francyi. Jeszcze jako seminarzysta zaprzyjaźnił się ściśle z księciem Rohan, późniejszym Kardynałem-Arcybiskupem z Besançon. Wyświęcony w roku 1825 na kapłana, zasłynął niebawem jako kaznodzieja, a chociaż Arcybiskup paryski pragnął mu powierzyć znaczne wpływowe stanowisko, wyprosił sobie skromny urząd prefekta nauk w małem seminaryum św. Mikołaja. Odtąd poświęcił się zupełnie wychowaniu młodzieży, a liczne jego pisma, wymierzone przeciwko zgubnej i nihilistycznej tendencyi zwolenników autora *Emila*, rozniosły sławę jego jako katolickiego pedagoga daleko po za granice Francyi. W 1838 został jeneralnym wikaryuszem Arcybiskupa pary-

---

[1]) Z pięknego nekrologu umieszczonego w tem pismie, bierzemy niektóre ustępy.

skiego i zajmował to stanowisko aż do wyniesienia na godność arcybiskupią mgra d'Affré. Arcybiskup ten wysłał go w ważnej misyi do Rzymu, gdzie ks. Dupanloup zjednał sobie w wysokim stopniu względy Grzegorza XVI i św. Kolegium. W 1841 został profesorem kościelnej wymowy w Sorbonie. W roku 1849 został 6 kwietnia mianowany Biskupem orleańskim i konsekrowany na tę godność 9 grudnia tegoż roku w Paryżu. I tutaj poświęcił się przedewszystkiem wychowaniu młodzieży tak, że założone przez niego seminaryum zaćmiło wkrótce wszystkie inne tego rodzaju zakłady.

Ś. p. Biskup Dupanloup był chlubą i ozdobą Episkopatu całego świata katolickiego, kapłanem wedle myśli Bożej, łączącym talent, zdolności, głęboką naukę z wiarą prawdziwie apostolską. Był biskupem troskliwym o dobro wieczne i doczesne swych owieczek, pasterzem w pokoju, nieustraszonym lwem wśród walki, czy to kiedy niewiara i bezbożność pustoszyły winnicę jego pieczy powierzoną, czy też kiedy zawistny sąsiad, wtargnąwszy w urocze błonia Francyi, ogniem i mieczem je pustoszył. Jeden i drugi nieprzyjaciel znajdował go gotowym do walki, jednemu i drugiemu nieustraszony Biskup mężnej nadstawiał piersi. Były wprawdzie chwile, w których nieraz jeden zdawało mu się, że osłabi wiarę to, co rzeczywiście ku jej wzmocnieniu i ożywieniu służyło, i że niektóre rzeczy należy pomijać lub odrzucać jako nie na czasie. Mylił się, ależ i tutaj kierowała nim o dobro Kościoła troska. Całą walkę z *l'Universem*, pewną miękkość i lgnięcie do zasad liberalnych katolików, wszystko to jednak, nie złej woli, ale dawnemu u św. Sulpicyusza wychowaniu przypisać należy. W każdym razie mgr. Dupanloup należał do rzędu tych wielkich w Kościele Biskupów, których pamięć nie kończy się wcale z dniem ich zgonu, ale o których z podziwem mówią zwykle wieki. Mianowany w roku 1854 członkiem akademii francuzkiej, wystąpił z tego grona, nie chcąc zasiadać obok ateisty Littrego. Tak w zgromadzeniu narodowem, jako też w senacie czynny brał udział we wszystkich donioślejszych sprawach. Dzielności jego pióra zawdzięcza Francya, iż ją ominęła sromota urzędowej urroczystości na cześć Woltera.

W czasie soboru watykańskiego stał ś. p. Biskup orleański na czele tych Biskupów, którzy dogmat *de infallibili magisterio* Biskupa rzymskiego uważali za niewczesny — skoro jednakże Duch święty przemówił przez usta Ojców Soboru, bez najmniejszego zawahania się przyjął wyrok Kościoła i w dyecezyi swej go ogłosił. Wierność dla Kościoła i szczera chęć służenia ojczyznie i Stolicy Apostolskiej odznaczała wszystkie prace jego żywota. W roku 1869 on pierwszy wystąpił przeciw nieszczęśliwemu Ojcu Jackowi.

Legł jak żołnierz na wyłomie w prawdziwem tego słowa znaczeniu, potykając się mężnie w obronie tego, co za jedynie zbawienne dla kraju swego uważał, a odpychając to, co zadaniem jego, zatruwało siły żywotne narodu. Jak owi Izraelici, którzy, po powrocie z niewoli w jednej ręce trzymając kielnię, wznosili z gruzów Pańską świątynię, w drugiej zaś, dzierżąc miecz obosieczny, odpierali napaści wroga — tak nieodżałowanej pamięci biskup orleański, budując gmach boży słowem, piórem i przykładem walczył nieustraszenie w obronie prawdy katolickiej, tak że nie bez przyczyny u nieprzyjaciół swoich po za Renem otrzymał nazwę „wojennego Biskupa" (*der streitbare Bischof*). W ostatnich też jeszcze dniach swego żywota otrzymał chlubną nagrodę od Namiestnika Chrystusowego, bo własnoręczny list Leona XIII,

wyrażający mu serdeczne podziękowanie za usługi położone około Kościoła. Zgasł tedy jeden z najgenialniejszych członków katolickiego Episkopatu.

Katolicka Polska nie zapomni nigdy Jego ku sobie miłości, nie zapomni nigdy z jaką gorącością przemawiał za nią wobec Piusa IX i pięciuset Biskupów zgromadzonych w Rzymie na lat parę przed otwarciem soboru. Cześć jego pamięci! pokój jego duszy.

Kronika.

List Ojca Świętego Leona XIII do kardynała Niny, ulega rozmaitemu tłómaczeniu, choć odznacza się zarówno jasnością jak głębokością, stanowczością jak duchem pokoju. Chcianoby w nim wyczytać to, czego w nim nie ma, a pominąć to, co silnie wyraża, bo prasa, zwłaszcza półurzędowa niemiecka, radaby zasłonić tym dokumentem odwrót w polityce państwa wobec Kościoła i dowieść, że do Canossy, nie cesarz lecz Papież zdąża. Z tych powodów urzędowi komentatorowie w *Nord. Allg. Ztg.* i innych dziennikach silą się, aby wykazać różnice między stanowiskiem Piusa IX a Leona XIII. W ich mniemaniu, Papieztwo które za przeszłego pontyfikatu było groźbą dla Europy, kamieniem obrazy dla monarchów, dziś znów zmieniło swoją naturę i nie przedstawia już tych samych niebezpieczeństw dla nowożytnej cywilizacyi i wszechwładzy państwa.

List Ojca Świętego, ma raczej dyplomatyczne niż kościelne znaczenie, nie jest encykliką *ex cathedra* do wszystkich biskupów, ale jakby mową od tronu, zawierającą program politycznego działania dla nowego sekretarza stanu. Jako najwyższy nauczyciel ludów i pasterz, przemówił Leon XIII w encyklice do biskupów, na którą się powołuje w słowach: „Zaraz w pierwszych dniach naszego pontyfikatu rzuciliśmy wzrokiem z wyżyn apostolskiego tronu na teraźniejszą społeczność, aby przejrzeć jej naturę, zbadać jej potrzeby i oznaczyć właściwe środki uzdrowienia“. Teraz przemawia jako zwierzchnik Kościoła i monarcha: dlatego już nie powraca do szczegółowego przeglądu wszystkich niebezpieczeństw, krzywd i ucisków, jakie znosi Kościół, ale wymienia tylko te sprawy, w których akcya polityczna dla Stolicy Apostolskiej i jej Sekretarza stanu jest możliwą. Z tego powodu list Ojca Świętego nie ponawia tych skarg o ucisk Kościoła pod rządem rossyjskim, lub szwajcarskim, które encyklika tak silnie naznaczyła Nie jest to bowiem przegląd położenia Kościoła w powszechności, ale tylko przegląd obecnej sytuacyi politycznej, w jakiej się Stolica Apostolska znajduje.

Leon XIII przyznaje wprost i zatwierdza, co zresztą było wiadomem, że od niego wyszło pierwsze wezwanie pokoju do monarchów „nawet tych, z którymi Nas nie łączy wspólność religii katolickiej“. Znane były listy Ojca Św. po wstąpieniu na tron i zgodne ze zwyczajem tradycyą uświęconym. Z tego jeszcze nie wypływa, aby układy w Kissingen między ks. Bismarkiem a nuncyuszem Masselą były skutkiem inicyatywy Watykanu. Na czem te układy się zatrzymały, tego list do kardynała Niny nie wskazuje, a trzeba interpretacyi zbyt naciąganej, aby wnioskować, że celem tego dokumentu jest zawiązanie przerwanych układów. Jakkolwiek Ojciec Święty nie daje nowemu sekretarzowi

stanu wyraźnej instrukcyi co do tych układów, naznacza jednak ich granicę i doniosłość, gdy mówi, że celem ich nie ma być zawieszenie broni, ale trwały pokój; a więc chodzi nie o kompromis, ustępstwo z zasad i praw Kościoła, ale o zgodę trwałą, i znów nie w interesie wyłącznie Kościoła, ale raczej społeczności i państwa: „aby nie odpychali tej potężnej pomocy, jakiej im Kościół dostarcza, której potrzeba tak silnie czuć się daje w tych czasach zepsucia".

Pełnym przebaczenia, miłości, zgody i troski o dobro społeczeństw i państw jest ten głos, ale nie ma w nim cienia słabości, ustępstwa z praw i zasad, nie ma różnicy, jakąby chciano wykazywać między stanowiskiem Piusa IX a Leona XIII. Jak w polityce świeckiej konieczność przyjęcia wydanej przez przeciwnika walki nie zostaje w sprzeczności z chęcią zawarcia pokoju, gdy do tego chwila właściwa nadchodzi, tak tem mniej nie ma tutaj sprzeczności, kiedy walkę przetrwał Kościół bez uszczerbku, a państwo poniosło w niej klęski moralne, najwymowniej potrzebą ustaw przeciw socyalistom stwierdzone.

Dawna to taktyka pism półurzędowych niemieckich, dowodzić, że centrum katolickie w parlamentach idzie dalej, niż Stolica Apostolska. Wszak przed wydaniem ustaw majowych używano tego środka, aby rozbroić opozycyę katolicką. Lecz za Piusa IX, jak za Leona XIII Stolica Apostolska zostawia zupełną swobodę reprezentantom katolickiego ludu w obieraniu takich dróg do obrony interesów Kościoła i politycznego oddziaływania jakie ciż za właściwe uznają. Jeźli rokowania z nuncyuszem Masselą miały tylko na celu uzyskanie dla ustawy przeciw socyalistom centrum katolickiego, natedy były one całkowicie chybione. Stolica Apostolska szanuje więcej niezawisłość posłów i bardziej przestrzega zasady niemięszania się w wewnętrzne sprawy obcych państw, niż ks. Bismark, używający rokowań z Watykanem jako nacisku na katolickie stronnictwo w własnym parlamencie.

Jeźli list Ojca Świętego w ustępach dotyczących Niemiec, choć bardzo pojednawczy, jest całkowicie konsekwentny ze stanowiskiem zajętem przez Piusa IX i żadnego zasadniczego nie zapowiada ustępstwa, to tam, gdzie mówi o prawach Stolicy Apostolskiej i położeniu Kościoła pod rządem włoskim, stwierdza i ponawia protesty poprzedniego Papieża. Leon XIII odwołuje się na bullę Piusa IX z dnia 12 marca 1877 r., która właśnie wszystkie krzywdy Namiestnika Chrystusowego wyliczyła. Jeźli walka Kościoła z państwem może ustać w Niemczech, jeźli państwo się cofnie, to rozejm między Watykanem a Kwirynałem dziś jak przedtem jest niemożebny, bo niepodległość władzy duchownej nierozdzielną jest od władzy świeckiej. Tutaj *non possumus* Piusowe utrzymuje się w całej mocy, i zwiększa się w miarę, im dalej rząd włoski rozwija konsekwencye naruszenia kardynalnych praw Stolicy Apostolskiej. Tutaj znów przedstawia się sprzeczność, ale nie ze względu na Watykan, lecz na Berlin; wszak ztamtąd popychano Włochów do kulturkampfu, a kwestya rzymska a raczej watykańska, była podstawą układanego przymierza włosko-niemieckiego. Czyżby baron Keudell miał dziś zmienić rolę i zamiast popychać do walki, stał się rozjemcą, lub też czy podstawa przymierza włosko-niemieckiego rozchwiała się?

Nie zapuszczając się w te pytania, ograniczyliśmy się tylko na wskazaniu właściwego znaczenia listu Ojca Świętego. Nie jest on ani prośbą o pokój, ani *ultimatum* przed jej wznowieniem, bo Kościół w walce ma zawsze stanowisko bierne i obronne. (*Czas*).

Z Krakowa: Zgon JÓZEFA BADENIEGO — Pobyt Arcyksięcia Karola Ludwika — Muzeum księcia Czartoryskiego.

Na właściwem miejscu zamieszczamy słów kilka poświęconych pamięci zgasłego przedwcześnie Józefa Badeniego, tutaj zaś przytaczamy, co o tej stracie kraju naszego pisze *Czas*. „Leżał dziś, mówi ten poważny dziennik na katafalku syn znanej, zacnej i kochanej w Krakowie rodziny. Leżał, jak spiący tylko, z takim wyrazem spokoju i poddania, ale także z takim wyrazem pewności i siły. Żył krótko, ledwo lat 42, żył w czasach ciężkich, a mało sposobnych do czynu, a jednak umarł z tem ogólnem przeświadczeniem, że przed wszystkimi był do czynu zdolny, a gdyby Bóg w swem miłosierdziu był dni jego przedłużył, byłby dla kraju przed wszystkimi potrzebny. Zkąd takie rozumienie o człowieku, który nie miał sposobności — nie wielkiemi zasługami, bo te miał — ale wielką, pierwszorzędną działalnością zabłysnąć? Zkąd? Bo od pierwszej młodości i w każdej chwili życia pełnił swój obowiązek, nietylko zupełnie, ale z tą sumiennością, która nawet przy znakomitych zdolnościach, jakie posiadał, nie byłaby starczyła, gdyby jej nie była towarzyszyła najwyższa prawda.

By taki sąd usprawiedliwić o Józefie Badenim — kilka tu szczegółów z życia, chyba dla tych, którzy go nie znali, bo kto się doń zbliżał, kto go widział w publicznem działaniu, ten nie pytał, by go ocenić, co robił w życiu. Po świetnie odbytych naukach, a jak na młodego człowieka przystało, po otrzymanych stopniach, po podróży, która kilka razy zwróciła uwagę cudzoziemców na młodego Polaka, wchodzi natychmiast w Warszawie do służby w komisyi spraw wewnętrznych, porzuca ją w 61 roku, a skoro Wielopolski objął kierunek sprawy publicznej, wraca do niej natychmiast. Przez tego wielkiego znawcę ludzi powołany na referendarza Rady Stanu, używany do spraw trudnych, wymagających sądu, energii i roztropności nad wiek młodzieńczy, zrósł się tak z tą epoką, że sam od niej liczył dni publicznego życia. Rok 63 może nie był dla niego pierwszym zawodem i pierwszym bólem, ale był zawodem, któremu się natychmiast i zupełnie poddał, ale, co jest podobno wytłómaczeniem przedwczesnego zgonu, był raną, która się wprawdzie zabliźniła, ale która się nie zagoiła do końca życia. Wytrącony z kolei, jak zawsze u nas, przerzucony w nową dla siebie sferę działania, gospodarując, okazał organiczną taką zdolność w praktycznym zawodzie, jakiej się nikt w nim nie domyślał. Tu znowu przerwa, znowu zawód. Innego byłby przygnębił, niejednego powalił, jego tylko umocnił, podniósł, wewnętrznie wyswobodził. Więc się zaczął dla niego w tym koronnym kraju nowy zawód polityczno-obywatelski, który jeżeli sumiennie spełniany, nie może być bez pożytku, bez prawdziwej zasługi, nie jest nawet bez chwały.

Nadmiaru zdolności nie mamy w kraju. Kiedy się jawią, a połączone z niezwykłym, niecodziennym charakterem. zawsze przeładowane pracą. To też Józef Badeni wszędzie, gdzie stanął, gdzie działał, w Radzie powiatowej, w Towarzystwie rolniczem, w Reprezentacyi krajowej, odrazu musiał zająć miejsce. I chociaż w kilku latach, nie dało się może bardzo wiele zrobić, to ostatecznie on, nie kto inny w wielu najtrudniejszych chwilach przeważał. I takie też było o jego zdolnościach i o jego charakterze rozumienie, że zwykle w tych najważniejszych sprawach krajowych, przy naradach powag społecznych, oczekiwano jego udziału, rady, a często decyzyi. Nawał tych

prac, po których przychodziły prywatne obowiązki, bo każdy chciał go mieć to opiekunem dzieci, to doradcą, to rozjemcą w trudnych sprawach, podkopał bardzo silną naturę. Powiedziano o innych, że nie mieli polskich wad, o nim powiedzieć można, że miał wszystkie polskie zalety, ale nietylko wrodzone, odłogiem leżące, lecz przetrawione wewnętrzną nad sobą pracą, przerobione w cnoty. Nie rozumiał, by można było odmówić pomocy, nie pojmował, by można było nie ratować bliźniego, nawet z hazardem własnej egzystencyi, nie umiał odmówić usługi; a kiedy ją spełniał, to z gorliwością, o której tylko ci mówić powinni, co z niej korzystali. Szczególny był w tym wieku do sprawy publicznej zapał, szczególna miłość dla Kościoła, szczególne poświęcenie dla dobra kraju, dla potrzeby bliźnich, dla pożytku nawet domowych i włościan. Nic dla tej duszy nie było obojętne, nic dla tego serca za małe i dla tego wszystko, co czynił, czynił z jednakowem przeświadczeniem spełnianego obowiązku: czy prosta narada parafialna, czy świetna dyskusya, jak ustawy polowej w Sejmie.

Tego życia w ciągłej działalności, bez przymieszki najmniejszej miłości własnej, bez pyłu próżności, w nieustannej służbie dobrej sprawy, wytłómaczyć sobie nie potrafi, kto nie wie jaką siłę, jaką moc prawdy i obowiązku daje wiara. W naszym kraju wierzą niemal wszyscy, i niech za to Bogu będzie chwała, ale ta wiara, która ogarnia wszystko w życiu, która kieruje każdym jego czynem, a panuje nad każdem uczuciem, ta jest rzadką, bo jest łaską, na którą trzeba zasłużyć. Tę wiarę on miał, ale niech nikt nie myśli, by ona była rzeczą naturalną i przychodziła łatwo w życiu. Kiedy razu jednego w poważnej dyskusyi, między przyjaciołmi, wyrwało mu się jak od niechcenia, że życie chrześcijanina nie jest zabawką ani ścieżką różami wysłaną, lecz trudem, pracą nad sobą samym, ciągłem odmawianiem sobie przyjemności i spełnianiem twardego obowiązku, to własnego życia dał najprawdziwszy obraz.

Ale ta wiara była mu też najwyższą pociechą na łożu boleści, gdy przyszło mu się rozstawać z rodziną, z przyjaciołmi, jakimi mało kto się poszczycić może, z nadziejami w przyszłość, do których bądź co bądź przywiązuje się serce człowieka Nie opuściła go też do ostatniego tchnienia ta podniosłość serca, z którą już skostniałe ręce podnosił do modlitwy i wlepiał wzrok w krzyż.

Szedł ku wieczności, jak szedł przez życie, prosto, jasno, wytkniętą drogą, bez trwogi, bez najmniejszej obawy, zdawało się bez żadnej wewnętrznej pokusy. Pismo tak maluje męża sprawiedliwego.

Młodego człowieka śmierć, może od śmierci Stanisława Rzewuskiego, nie wywołała w naszem społeczeństwie takiego wrażenia. Jest ogólne przekonanie, że kiedy w 42 życia Józef Badeni umierał, ponosił stratę kraj cały".

W tej samej niemal chwili, w której grom śmierci uderzył w najczcigodniejszą rodzinę w Krakowie, Kraków jaśniał światłem, a po jego ulicach roiły się niemal tłumy krakowskiego ludu, objawiającego swą radość z pobytu Arcyksięcia Karola Ludwika. *Czas* podał szczegółowy tego wszystkiego opis, który tutaj w części przytaczamy: „Jak tylko Arcyksiążę przybył wieczorem dnia 11 października ze Lwowa, Obywatelstwo i cała ludność witała go u bramy Floryańskiej manifestacyjnie. Już droga od dworca kolei do miasta

była oświetlona ozdobnie gazem oraz gęsto rozstawionemi różnobarwnemi płomieniami ognia bengalskiego, a Rondel i brama Floryańska światłem elektrycznem, które aż w miasto rzucało blask jaskrawy. Rondel był ozdobiony cyfrą NN. Państwa w ogniu a pod białym orłem bramy Floryańskiej zatknięte były chorągwie państwa i miasta. Galerye Rondla przepełnione były publicznością, a od Rondla do bramy stały wszystkie zgromadzenia rękodzielników z godłami starych cechów, chorągwiami i buławami, tworząc po obu stronach drogi szpaler. Arcyksiążę poprzedzony przez Prezydenta miasta, mając obok siebie w powozie Namiestnika, wjeżdżał do miasta przy okrzykach tłumnie zgromadzonej ludności, zapełniającej ulicę Floryańską. Tak ta ulica, jak cały Rynek oświetlone były rzęsiście. JCWysokość wysiadł w pałacu Spiskim w Starostwie. Po godzinie 9tej wyruszył z gmachu ratuszowego pochód z pochodniami, w którym wzięła udział, idąc przodem, Rada miejska a najpoważniejsi obywatele nieśli pochodnie. Orszak ten ciągnął przez ulicę Grodzką i Rynkiem pod pałac Spiski, a ustawiwszy się tam powitał Arcyksięcia okrzykami przy odgłosie muzyki, która grała hymn austryacki. Gdy po chwili ukazał się Arcyksiążę w oknie, wzniosły się ponowne okrzyki a na przeciwległych Sukiennicach ukazała się cyfra dostojnego gościa w różnobarwnym ogniu. Arcyksiążę dziękował ukłonem z okna i opuścił je dopiero po oddaleniu się orszaku z pochodniami, któremu towarzyszyła orkiestra, grając krakowiaka. Nazajutrz w południe odwiedził Arcyksiążę księztwo Czartoryskich, a ztamtąd o godzinie drugiej przybył do katedry na Wawel, gdzie go oczekiwał X. Biskup z prałatem kapituły X. Matzke i prof. Łepkowski, jako konserwator zabytków. Arcyksiążę zwiedził zarazem groby królewskie i udał się do sali radnej miejskiej, dla obejrzenia obrazu Matejki *Bitwa pod Grunwaldem*, któremu przyglądał się przez przeszło kwandrans i wyraziwszy podziw swój dla dzieła, ubolewał, że sala, w której obraz wystawiony, jest za szczupłą. Szczegóły obrazu w nieobecności p. Matejki, który będąc słabym, jest na wsi, wyjaśniał Arcyksięciu prezydent miasta Dr. Zyblikiewicz i sekretarz szkoły sztuk pięknych p. Gorzkowski. Następnie pojechał Arcyksiążę do Muzeum książąt Czartoryskich, gdzie go u bramy przyjął ks. Władysław Czartoryski wraz z księciem Aleksandrem i księciem Marcellim i hr. Janem Zamojskim. Ztamtąd udał się dostojny gość z prezydentem miasta i konserwatorem p. Łepkowskim do Sukiennic, i do kościoła OO. Dominikanów.

W sobotę o godz. $6^1/_2$ wieczór Arcyks. Karol Ludwik dawał u siebie w pałacu Spiskim obiad, na który bardzo mało osób otrzymało zaproszenie a mianowicie: Namiestnik hr. Alfred Potocki, książęta Władysław, Aleksander i Marceli Czartoryscy, hr. Artur Potocki, hr. Zamojski, biskup X. Gałecki, jenerał główno-dowodzący bar. Lietzelhoffen, jenerałowie ks. Windischgraetz, hr. Degenfeld, Kubin, prezydent miasta Dr. Zyblikiewicz, prezes Akademii Dr Majer, prezydent sądu wyższego bar. Budwiński, prezes sądu krajowego Antoniewicz, radca dworu Englisch, radca namiest. Loebel, prezes Rady powiat. Alfred Milieski, prezes Izby handl. przem. Baranowski, rektor Uniwersytetu Dr. Szujski. Zaproszony także dyrektor szkoły sztuk pięknych Matejko, będąc cierpiącym nie przybył. Podczas obiadu grała przed pałacem orkiestra wojskowa a całe miasto było oświetlone wspaniale. Naprzeciw pałacu światło elektryczne rzucało do koła jaskrawy blask swój, urządzone przez

prof. Grabowskiego. Wieża dawnego ratusza, przybrana była lampami aż pod sam szczyt ponad koroną wieńczącą ją, a na gankach paliły się ognie wielobarwne, a wieża maryacka prawdziwie wspaniały przedstawiała widok. Korona jej jaśniała lampami i szczyt wieży ponad nią, a z pod korony spływały czerwone lampy, tworząc jaskrawe żebra tej wysmukłej wieży. Na domu Rady miejskiej błyszczał w ogniu gazowym herb miasta; brama Floryańska była także oświetloną. W oknach Towarzystwa muzycznego jaśniały przezrocza

---

Na przybycie Arcyksięcia, pisze *Czas*, rozłożono w sali gmachu pijarskiego i pobocznych pokojach jedną zaledwie cząstkę skarbów z muzeum Czartoryskich. Cząstkę mówimy, gdyż ks. Czartoryski zapełnił jedną salę w gmachu Wystawy paryskiej pamiątkami polskiemi. W nowem muzeum wiele jeszcze pak nie zdołano rozpakować. Mimo tego owa cząstka zbiorów, która była pod ręką, wzbudza podziw zarówno jakością jak ilością. Resztki to świątyni Sybilli i domku gotyckiego z Puław uzupełnione w latach wygnania. Czemżeż ten wybór wysłany na wystawę paryską, jeśli tu mamy przed oczami ciekawości archeologiczne, klejnoty artystyczne zacząwszy od zabytków klasycznego świata, do pamiątek ostatnich czasów. Zbyt pospiesznie nazajutrz po odwiedzinach Arcyksięcia zdołaliśmy przecisnąć się przez salę, która się stała miejscem pielgrzymki, abyśmy już dziś mogli naznaczyć, choćby główne działy tego skarbu, lub najcenniejsze wymienić przedmioty, a są tu takie, że przed niemi uklęknąć. Słyszymy wymieniane buławy Czarnieckiego, Wiśniowieckiego, miecz Władysława Jagiełły, karabella Zygmunta Augusta, Batorego i ową Jana III, co była darem Papieża, a jako *ex voto* złożona w Lorecie, znów ofiarowana Kościuszce. Wszak to już wystarcza, aby pominąć szkła Egipcyan lub prawdziwe cacka Medyceuszów.

* * *

Z notatek literackich: Hierarchia katolicka — Książeczki treści religijnej — Wydawnictwa OO. Jezuitów, ks. Hołyńskiego, ks. L. Soleckiego i pana Romana w Pelplinie.

— *Hierarchia katolicka i familia papieska.* Zatytułowanego w ten sposób urzędowego almanach Stolicy Apostolskiej na r. 1878 wyszedł świeżo z powodu śmierci Piusa IX i zajęcia tronn papieskiego przez Leona XIII nakład drugi, uwzględniający zmiany zaszłe aż do dnia 10 sierpnia. Podajemy zeń, co następuje: W dniu tym kolegium święte składało się z 6 kardynałów biskupów, 44 kardynałów-presbyterów i 9 kardynałów-dyakonów, razem 59 kardynałów, wakuje przeto 11 kapeluszy kardynalskich. Dalej jest: 8 patryarchów obu obrządków; 719 rezydujących arcybiskupów i biskupów obrz łac., 46 rezydujących arcybiskupów i biskupów obrz. wschod, 276 arcybiskupów i biskupów in part. infid., 29 patryarchów, arcybiskupów i biskupów, którzy zrezygnowali; 7 prałatów *nullius dioeceseos.* Leon XIII nie zamianował jeszcze żadnego kardynała, a umarło za jego pontyfikatu już czterech: Brossais St. Marc. († dnia 27 lutego), Amat di S. Filippo e Sorso († dnia 30 marca), Berardi († dnia 6 kwietnia) i Franchi († dnia 31 lipca). Dziekanem kolegium świętego jest kard. di Pietro, subdziekanem kard. Sacconi. Trzej kardynałowie zawdzięczają purpurę jeszcze Grzegorzowi XVI, mianowicie: kard. Schwarzenberg (mianowany d. 24 stycznia r. 1842), Asquini (miano d. 22 stycz. r. 1844) i Caraffa di Traeto (mian d.

22 lipca r. 1844); wszyscy inni mianowani przez Piusa IX. Najstarsi wiekiem są kardynałowie: Regnier (ur. dnia 17 lipca r. 1794), Caterini (ur. d. 15 paźdz. r. 1795), i Donnet (ur. d. 16 listop. roku 1795), najmłodsi: Parocchi (ur. d. 13 sierp. r. 1833), Howard (ur. d. 13 lut. r. 1829) i Bonaparte (ur. d. 15 listop. r. 1828). Z pomiędzy 1127 prałatów stopnia biskupiego 2 są prekonizowani jeszcze przez Leona XII, tj. przez czwartego poprzednika panującego dziś papieża mianowicie: Mac Halle, arcybiskup tuamski w Irlandyi (prekon. d. 8 mar. r. 1825) i d'Argenteau, arcybiskup Tyru *in partibus infidelium* (prekon. d. 2 paźdz. r. 1826). Leon XIII pomnożył hierarchię Kościoła w sposób następujący: utworzył 2 metropolie, gdzie ich przedtem nie było, 6 stolic biskupich i 1 wikaryat apostolski. Do zakonów należą: 9 kardynałów, 2 patryarchowie, 47 arcybiskupów i 193 biskupów, razem 251; z tych należy do zakonu Minorytów 42, Dominikanów 28, Benedyktynów 24, do Towarzystwa misyj zagranicznych w Paryżu również 24, do Kapucynów 20, do Misyonarzy 14, do Maryanitów 12, do Augustyanów 10, do Jezuitów 10, do Karmelitów bosych 8, do Liguryanów, do Filipinów i do Bazylianów po 7. (*Kuryer Poznański*).

— Małe religijnej treści książeczki używają u nas największego zazwyczaj powodzenia, z czego prawdziwie cieszyć się należy, gdyż to świadczy o religijnym nastroju dusz polskich. Książeczki religijnej treści, wydawane przez Ojców Towarzystwa Jezusowego, lub księży: Hołyńskiego i Leonarda Soleckiego, rozchodzą się niemal w stu tysiącach egzemplarzy. Równego powodzenia doznają publikacye religijne w Poznaniu i wydawnictwa zasłużonego wielce księgarza p. Romana w Pelplinie. Mamy właśnie przed sobą dwie znowu nowe książeczki, pierwsza: *O Najświętszem Sercu Jezusowem. Mgra de Segur* (Pelplin, nakładem Romana), a druga: *Dziatki Najświętszego Sakramentu ołtarza* Dra Fr. Falka. (Poznań u Tytusa Daszkiewicza 1877). — Imię Prałata Segur'a samo już mówi o wartości pierwszego dziełka, dodamy tylko, że przekład odznacza się czystością polskiego języka i jasnością wyrażenia się; drugą książeczkę spolszczył ks. Władysław Stryjakowski. F.

— Z pewnej części naszej Ojczyzny, od braci naszych z kraju ucisku i boleści, złożono Ojcu Świętemu Leonowi XIII następujące oświadczenie:

SANCTISSIMO DOMINO NOSTRO

LEONI PP. XIII

devota fidei protestatio.

Intimo jampridem desiderio, Beatissime Pater, ad sacrum illud solium corda nostra ferebantur, ad quod frequens undequaque, inde a primis Regni Tui exordiis, fidelium multitudo indies renovata convenit, antiquam primae Cathedrae auctoritatem, novi Pontificis decore fulgentem, veneraturi, Petroque in Leone redivivo catholicae

OJCU ŚWIĘTEMU

LEONOWI XIII PAPIEŻOWI

wierności i poddaństwa oświadczenie.

Oddawna już, Ojcze Święty, serca nasze z gorącem pożądaniem do tego świętego Tronu się zwracały, do którego, od pierwszych panowania Twego początków, liczne, dzień po dniu zmieniające się rzesze wiernych zewsząd się schodzą, aby uczcić starodawną przedniejszej Stolicy powagę, nowego Najwyższego Kapłana blaskiem jaś-

fidei, amoris, obsequi Ave dicturi. Quae illi faustiore fortuna, conspectui Tuo oblati, voce Tibi protulisse gaudent piae mentis documenta, vota, jubilationes, bonorum omnium adprecationes, eadem nos dudum animo gerentes, e dissita ista regione a longe aspicientes et salutantes, nacta tandem quam diu desiderabamus occasione, saltem litteris Tibi, Pater Sancte, exprimere sinas, postque illas et loco, et numero, et merito praestantiores filiorum de latere surgentium turmas, etiam hos novissimos, ultimo loco de longe Tibi venientes, benigno affectu excipias. Sane Tibi, Beatissime Pater, ad Summi Pontificatus honorem evecto, plaudimus ex animo et gratulamur, medullitus congaudentes Ecclesiae Sanctae Dei, quod vix Pio suo dulcissimo orbatae, pius ei Leo consolator exurgat, qui Leonis de tribu Juda virtute indutus, diuturna Illius, qui Crux de cruce fuit, pro domo Dei certamina suscipiat, compleat ac faciat victoriam, cunctisque veri ac boni amantibus, inter caliginosas saeculi hujus fraudes et perturbationes, Lumen in coelo indeficiens, Doctor falli nescius ostendat. Sane etiam in mirabili Sanctitatis Tuae in Cathedram Petri assumtione fidei nostrae, verbique divini, quod manet in aeternum, triumphum celebramus, atque Deo totius consolationis laeti gratias agimus, qui memor promissi sui non reliquit nos orphanos; qui acerbo luctu post discessum Pii afflictos, tam cito consolari dignatus est in adventu Leonis; qui Te, medias inter summas rei sacrae angustias, malasque adversus Dominum et adversus Christum Ejus perditorum hominum artes ac molimina, inauditum fere in modum, repentino aeque ac unanimi Patrum censu electum, tantaque, quan-

niejącą, i Piotrowi w Leonie żyjącemu katolickiej wiary, miłości i posłuszeństwa złożyć pozdrowienie. Te pobożne serca wierzącego oznaki, te powitania radosne, te życzenia dóbr wszelkich, które oni, szczęśliwsi, do oglądania oblicza Twego dopuszczeni, ustnie Tobie z weselem wyrazić mogli, nam też, podobneż uczucia od dawna w sercu noszącym, z odległej tej krainy *zdaleka upatrującym i pozdrawiającym*, gdyśmy wreszcie doczekali dawno pożądanej sposobności, dozwól, Ojcze Święty, byśmy przynajmniej na piśmie Ci wypowiedzieli, i po onych i miejscem, i liczbą, i zasługą przedniejszych rzeszach synów *z boku powstających*, nas też najpośledniejszych, na ostatniem miejscu *z daleka przychodzących* łaskawie racz przyjąć. Z serca Tobie, Ojcze Święty, i z radością wyniesienia Twego na Najwyższego Kapłaństwa dostojeństwo winszujemy, z całej duszy weseląc się ze świętym Kościołem Bożym, iż ledwo Piusa swego najsłodszego pozbawionemu, Boży mu w Leonie pocieszyciel powstaje, aby mocą Lwa z pokolenia Juda przyobleczony, onego, który *Krzyżem z krzyża* był, długie za dom Boży boje podjął, dokonał i uczynił zwycięztwo, i wszystkim prawdę i cnotę miłującym, w pośród nocnych tego wieku zdrad i zawichrzeń, *Światło na niebie* nieustające jako Nauczyciel nieomylny ukazywał. W samem też cudownem Świątobliwości Twojej na Stolicę Piotrową wyniesieniu, wiary naszej i słowa Pańskiego, które trwa na wieki, tryumf obchodzimy, i *Bogu wszelakiej pociechy* z weselem dzięki czynimy, iż pomny na obietnicę swoją *nie zostawił nas sierotami*; iż srogą żałobą po odejściu Piusa strapionych, tak rychło *nas pocieszył przyjściem* Leona; iż Ciebie, wśród najcięższych sprawy Bożej ucisków i zdradzieckich *przeciw Panu i*

ta vix unquam fuit, tamque concordi totius orbis catholici exultatione acclamatum, stupenti mundo proposuit vivum veritatis suae exemplar ac testem, ipso hoc inopinato rerum eventu palam proclamantem, non esse sapientiam, non esse consilium adversus Dominum, nec abbreviatum esse brachium Ejus, qui quamvis superbia eorum qui oderunt Illum crescat semper, potens est conterere cornu inimicorum suorum, salvosque facere eos qui confidunt in Ipso, Christumque esse qui vincit mundum, heri et hodie, Ipsum et in saecula, neque unquam fore est quaevis portarum inferi sive fraudes, sive impetus praevaleant adversus domum illam Domini, bene fundatam supra firmam petram, quae est Sancta Ecclesia Ejus. Ave igitur, Rex; humiles ac devoti Te salutamus, Te suspicimus, Te veneramur, populi Dei Pastorem Summum et Pontificem militiae sacrae Ducem ac Principem, cunctorum quotquot christiano nomine censentur Doctorem ac Magistrum, Christi Salvatoris, Aeterni animarum nostrarum Episcopi, in terris Vicarium, Lapidem angularem, supra cujus firmitatem tota consurgit structura unitasque continetur Ecclesiae, cui Dominus tradidit claves regni coelorum, pro quo etiam rogavit, ut non deficiente unquam fide Tua, confirmes fratres, in cujus persona ille intelligitur, ille honoratur, Petrus, in quo omnium pastorum sollicitudo cum commendatarum sibi ovium custodia perseverat. Cathedrae Petri, hoc est Beatitudini Tuae, intimo mentis effectu ac studio consociamur, probe

Chrystusowi Jego podejść i knowań ludzi przewrotnych, w sposób prawie niesłychany. nagłą zarówno jak i jednomyślną zgodą Ojców obranego, i z tak powszechną i zgodną, jakiej może nigdy jeszcze nie było, wszystkiego świata katolickiego radością powitanego, żyjącym zdumionemu światu postawił prawdy swojej przykładem i świadkiem, samym już tym niespodzianym obrotem rzeczy jawnie oznajmującym, iż *nie masz mądrości, nie masz rady przeciw Panu*: iż *nie jest ukrócona ręka* Tego, który, choć *pycha tych, którzy Go nienawidzą, ku górze idzie zawsze,* mocen jest *zetrzeć róg nieprzyjaciół swoich*, i zbawić tych, którzy w Nim ufają; iż Chrystus jest *który zwycięża świat, wczoraj i dzisiaj, tenże i na wieki.* a iż nigdy się to nie stanie, by jakiebądź bram piekielnych zdrady czy napaści przezwyciężyły on *dom Pański, dobrze utwierdzony na mocnej opoce,* którym jest Święty Kościół Jego. Witaj więc, Królu: z pokorą i z miłością Cię pozdrawiamy, i poważamy i czcimy Cię, ludu Bożego Najwyższy Pasterzu i Kapłanie, wojska świętego Wodzu i Hetmanie, wszystkich, którzy imię chrześcjan noszą, Nauczycielu i Mistrzu, Chrystusa Zbawiciela, *wiecznego dusz naszych Biskupa* na ziemi Namiestniku, *Kamieniu węgielny,* na którego mocy wszystka się wspiera budowa i jedność się spaja Kościoła, któremu Pan *dał klucze królestwa niebieskiego*, za którym też *prosił, aby nie ustała nigdy wiara Twoja*, abyś nią *utwierdzał braci*, „w którego osobie tego znamy i tego czcimy Piotra, w którym wszystkich pasterzy pieczołowitość z poleconych im owiec strażą niezmiernie po wszystkie czasy jest zawarta.“ (Św. Leon W.) „Stolicy Piotrowej, to jest Świątobliwości Twojej całą serc naszych miłością i usilnością się trzymamy, pomni na to, że profanem jest,

conscii, profanum esse qui Tui consortii exors est, atque misere dispergere eum qui Tecum non colligit. Tu solus habes verba vitae aeternae, nec solum aeternae, sed ejus etiam, quae nunc est, vitae civilisque consortii bona, pacem scilicet ac quietem et securitatem praebentia, quae sicut sola quondam ethnicae pravitatis tenebras veri progressus ac civilitatis luce illustrarunt, ita nunc etiam pejorem ethnica barbariem atque ruinas, opera eorum, qui dilexerunt tenebras magis quam lucem, labanti mundo imminentes, sola valent avertere. Unde licet paene sint moti pedes nostri, dum pacem peccatorum videmus; licet pauperes facti sint nimis et opprobrium vicinis suis valde, quicunque constanti animo tenentes confessionem, non curvant genua coram Baal; licet Teipsum, Beatissime Pater, veri ac justi magistrum et vindicem, summo cum animi dolore conspicimus inter angustias, in custodia, sub hostili potestate constitutum, Urbemque sanctam versam in silvam bestiarum, adversus Te frementium; malumus utique abjecti esse in domo Dei nostri magis quam habitare in tabernaculis peccatorum: Te sequimur, Tibi obaudimus, Tibi adhaeremus, et si oportuerit nos mori Tecum, non Te negabimus. Haec humillima fidei nostrae, obsequii, amoris documenta, Tu, Pater Sancte, eximio illo ac benignissimo paterni amoris affectu, quo nuper gentis nostrae nuntios, nosque omnes in persona illorum ad pedes Tuos prostratos, mirum in modum solari et honore afficere dignatus es, elementer

kto od społeczności z tobą odłączony jest, i że mizernie rozprasza ten, kto z tobą nie zbiera.“ (Św. Hieron.) Ty sam *masz słowa żywota wiecznego*; słowa, nietylko żywot wieczny, ale i tego żywota, który teraz jest i ludzkiej społeczności dobra, to jest pokój, i ład spokojny, i bezpieczeństwo, niosące, które jako same niegdyś pogańskiej skażenia ciemności prawdziwego postępu i cywilizacyi światłością oświeciły, tak i dziś jeszcze, gorsze od pogańskiego barbarzyństwo i ruiny, za sprawą ludzi, którzy *więcej umiłowali ciemności niż światłość* chwiejącemu się w podstawach swoich światu grożące, same odwrócić zdołają. Ztąd też, chociaż *nogi nasze mało się nie potknęły, widząc pokój grzesznych*; chociaż *stali się bardzo ubogimi i pośmiewiskiem sąsiadom swoim*, którzykolwiek statecznie *trzymając się wyznania, nie czynią pokłonu przed Baalem*: chociaż Ciebie samego, Ojcze Święty, prawdy i sprawiedliwości nauczyciela i obrońcę, z najgłębszą duszy naszej boleścią widzimy w ucisku, w więzieniu, pod mocą nieprzyjacielską zostającego, a Miasto święte zamienione w puszczę zwierza dzikiego, srożącego się przeciw Tobie: wolimy przecie *najpodlejszymi być w domu Boga naszego, niźli mieszkać w przybytkach grzeszników*: za Tobą idziemy, Ciebie słuchamy, przy Tobie trwamy, *i choćby nam też z Tobą przyszło umrzeć, nie zaprzemy się Ciebie.* To najpokorniejsze nasze wiary, posłuszeństwa, miłości oświadczenie Ty, Ojcze Święty, z tą przedziwną i najłaskawszą ojcowskiego serca uprzejmością, z jaką niedawno temu narodu naszego przedstawicieli, a w ich osobie nas wszystkich, u stóp Twoich klęczących, w sposób niewypowiedziany pocieszyć i uczcić raczyłeś, miłościwie przyjmij, znakiem łaski Twej pokrzep, Apostolskiem błogosławieństwem, o

excipe, annuendo fove, Apostolica Benedictione, quam instanter petimus, firma redde ac perenniter duratura. Dominus conservet Te, Pater noster, Pastor noster, Rex atque Pontifex, et vivificet Te, et beatum faciat in terra, et non tradat Te in animas inimicorum Tuorum et ad vitam, una cum grege Tibi credito, perducat Te aeternam.

które usilnie prosimy, umocnij i utwierdź na zawsze. *Pan niechaj Cię zachowa*, i ożywi Cię, Ojcze nasz, Pasterzu nasz, Królu i Najwyższy Kapłanie nasz, *i niech Cię uczyni błogosławionym na ziemi, a niechaj Cię nie wydaje duszy nieprzyjaciół Twoich*, i niech Cię razem z trzodą Ci powierzoną do żywota doprowadzi wiecznego.

Z Rzymu: Wiec robotników — Odgróżki — Zmiany w bibliotece watykańskiej i w gwardyi szwajcarskiej — Prośba do Ojca Św. o ogłoszenie św. Tomasza z Willanowa doktorem Kościoła — Nawrócenie się korespondenta *Siècl'a* p. Erden — Syndyk Rzymu — Korony i telegramy — Adwokaci katoliccy.

W sam dzień św. Michała Archanioła odbył się w Mauzeolum Augusta wiec robotników włoskich, w którym wzięło udział przeszło 2 tysiące osób. Na jego czele stanęli tak zwani czyści patryoci jak Horacy Novelli, malarz pokojowy i Józef Lampertosa rzeźbiarz, tego rodzaju artysta, jak np. nasi kamieniarze, wyrabiający różnego rodzaju nadgrobkowe krzyże. P. Generoso Moscuri, także kamieniarz, przewodnicząc zgromadzeniu, wygłosił długą bardzo mowę, w której między innemi uderzał „w dumną i próżniaczą arystokracyę, mizdrzącą się zarówno do nowoczesnych pojęć jak i do średniowiecznych wyobrażeń, przepędzającą cały czas na wizytach lub gnuśnym spoczynku w swych olbrzymich pałacach, pozostawiającą bez uprawy swe rozległe pola!“ Następnie powstawał przeciw mieszczaństwu, „żyjącemu z pracy robotników, a nadymajacemu się i hardemu ze swoich bogactw, w których się ciałem i duszą zatapia!“ „Czas już, wołał on, aby rząd, który się narodowym mieni, wyrwał nas robotników z pod ciężkiego jarzma tych tyranów. To darmo, czasy niewolnictwa dla wszystkich minęły już niepowrotnie, tylko na nas robotnikach ciężą jeszcze kajdany. Wstrząśniemy niemi, a jeśli rząd nie zechce dopomódz nam dobrowolnie, rozerwiemy je wbrew jego woli, nie licząc się już z jego ukazami, podtrzymywanemi siłą bagnetów: dosyć już cierpienia i nędzy — przeciw bagnetom jest przecież środek“.

Ojciec Św. Leon XIII pragnąc, aby badacze dziejów mieli ułatwiony przystęp do źródeł historycznych, postanowił z własnego popędu w taki sposób zorganizować bibliotekę watykańską, aby do niej ludzie szukający prawdy i chcący się kształcić, łatwiejszy mogli mieć przystęp. Brat Ojca Św. ksiądz Józef Pecci został już mianowany podbibliotekarzem i otrzymał od Ojca św. obszerną instrukcyę, w której wyłuszczonym jest nowy zaprowadzić się mający porządek w bibliotece. Równocześnie z tą nominacyą mianowany również został Ludwik hrabia de Courten kapitanem gwardyi szwajcarskiej w miejsce p. de Sonnenberg, który dla słabości zdrowia prosił o uwolnienie go od służby. Dodać należy, że tak hrabia de Courten jak i kapitan Sonnenberg należą do najzasłużeńszych dworzan papieskich, którzy od wielu bardzo lat cieszyli się przychylnością ś. p. Piusa i przyjaźnią wielu książąt Kościoła.

Wielu Biskupów Hiszpanii, Francyi i Włoch zaniosło do Ojca Św. prośbę o zaliczenie św. Tomasza z Willanowa do liczby Doktorów Kościoła.

W prośbie odwołują się wszyscy na słowa bulli kanonizacyjnej, gdzie między innemi czytamy o tym świętym, że: *datus est ei sensus, invocavit et venit ei spiritus sapientiae*, następnie powołują się na świadectwo ojców Soboru Trydenckiego, którzy wysoko cenili naukę i powagę tego Świętego.

Niemałe wrażenie w świecie liberalnego dziennikarstwa wywarła śmierć p. Erdan, współpracownika i korespondenta dzienników francuzkich: *Temps* i *Siecl'a*. P. Erdan, autor wielu bardzo broszur i dzieł kolorytu rewolucyjnego, przybył przed paru laty do Rzymu dla poratowania swego zdrowia i zamieszkał w willi Falconieri, a że to był umysł wyższy i dla piękna i prawdy przystępny, owóż bliższe przyjrzenie się dworowi Ojca św. zrobiło na niem zbawienne nader wrażenie. Nawrócenie się jego przyspieszyło czytanie książeczki o *Naśladowaniu Chrystusa Pana*, w podobny niemal sposób, jak się to stało z La Harp'em, owym sławnym filozofem, encyklopedystą. Umarł po chrześcijańsku. Na trzy niemal miesiące przed śmiercią odbył spowiedź i ze wszystkiemi w rozmowach swoich zatwierdzał swoją wiarę i nawrócenie się do Boga, żałując za dane swoimi pismami zgorszenie.

Niedawno namawiał p. Kulczycki czytelników *Gazety Narodowej* do podpisywania nowych adresów do Syndyka Rzymu księcia Ruspoli, którego od razu mianował pełnym zacności i wiary mężem — nie od rzeczy więc będzie wspomnieć tutaj, że rzeczywiście jedna gałęź książąt Ruspoli jest taką, ale syndyk Rzymu do niej nie należy. Jest on bowiem wrogiem papiezkiej władzy, zdrajcą Papieży, którym i swój książęcy majątek i swoją godność zawdzięcza. Na każdym kroku i przy każdej sposobności lubi on objawiać to swoje usposobienie. Dwudziestego września r. b. w rocznicę zaboru Rzymu zaledwie przybył z Ankony, wnet pospieszył złożyć dwie korony w imieniu municypalności rzymskiej, przez którą nawiasem powiedziawszy, do tego upoważnionym nie został, jedną na grobie Wiktora Emmanuela, a drugą na mogile owych bohaterów poległych przy wyłomie *Porta Pia*, którzy szli wydrzeć Kościołowi Rzym, Stolicę chrześcijańskiego świata i złupić Kościół z jego odwiecznej własności. Pan Syndyk po złożeniu tych koron przesłał natychmiast w imieniu Rzymian dwa telegramy do króla Humberta i Garybaldego, wyrażając w nich wdzięczność Rzymian za wyzwolenie ich z tyranii papieskiej.

Do obchodu rocznicy wyniesienia Ojca Św. Leona XIII na Stolicę św. robią niemałe przygotowania katolicy we Włoszech. Adwokaci katoliccy postanowili w dniu tym rozpocząć wydawnictwo nowego pisma pod tytułem: *Annali degli avvocati di S. Pietro, Roczniki Adwokatów św. Piotra*, w którym walczyć mają przeciwko błędom dzisiejszych czasów, bronić prawd wiary i praw Kościoła i Stolicy św. W tym również dniu liczna deputacya adwokatów ma stanąć przed Ojcem Św. i złożyć mu bogate nader dary.

Ze Lwowa. Nietylko sprawy społeczne, ale Kościół nasz niemałą ponosi stratę przez śmierć Józefa Badeniego. Zmarły bowiem należał do tych pięknych w kraju naszym osobistości, których tak sprawy Kościoła, jak i Ojczyzny gorąco obchodzą, które, służąc Ojczyznie, nie zapominają, że tylko na gruncie wiary służyć jej dobrze mogą, które w rozwoju, rozkwicie i sile Kościoła widzą przyszłość Ojczyzny naszej. To też ś. p. Józef Badeni wszędzie, gdzie tylko o dobro Kościoła chodziło, stawał zawsze pierwszy. Stolica święta miała w nim najprzywiązańszego syna. Na świętopietrze nigdy nie żałował grosza,

hojne w tym celu składał ofiary, o czem świadczą szpalty naszego pisma, na których pomiędzy dawcami świętopietrza i Jego imię nie jeden raz zapisanem zostało. Pełen tkliwej i pokornej wiary, zginał zawsze kolana swoje przed Bogiem w świątyniach naszych. A z tą serdeczną wiarą łączyła się nieustraszona i niezłomna nigdy odwaga wyznawania i zatwierdzania zasad i przekonań swoich. *Przegląd Lwowski* traci w Nim swego przyjaciela, protektora i dobrodzieja.

W pewnem pisemku nad wszelki wyraz słabem i wszelkiej literackiej wartości pozbawionem znajdujemy jednak wyśmienite nieraz pogadanki p. Włodzimierza Zagórskiego i humoreski. W ostatnim np. numerze humoreska pod tytułem: *Obywatel Tromtadrata*, przedstawia wiernie naszych lwowskich polityków i stróżów ducha narodowego. Oto słowa *Obywatela Tromtadraty*:

Zdrada! zdrada! zdrada! i koniec! A wszystkiemu temu winni Stańczyki, i młodzi posłowie!... Nazwali się Młodem Podolem. Chachacha! Jezuityzm! To Młoda Targowica!... Ja zawsze powiadam to, co mówił nasz Lapaton:

Od Krakowa do Podchajec
Wszyyystko zdraiec!...

Jabym im dał solidarność, ale na latarni!

Kawalerze dajno wódki!... Hem, dobra!... dobra!... Pan Jędrzej zacny obywatel, patryota!... Żeby wszyscy byli tacy jak on, toby było dobrze, ale fałszuję obywatelu, fałszuję!... Dlatego ja powiadam, że jest tylko jeden program uczciwy i rozsądny, a to mój!... Co, czy nie mam racyi hę!... Niech mi kto powie, że nie prawda, to mu łeb rozwalę!...

Kawalerze jeszcze kieliszek!... Ot cała bieda, że naród nie ma ducha!.. Nie będzie dobrze, dopóki wszyscy nie będą tak myśleć, jak ja, co czy prawda?.. Więc kto inaczej myśli, ten nie chce dobra narodu, co czy nie mam racyi?... hę?... A kto nie chce dobra narodu, ten jest zdrajca, czy tak?... No widzicie!... Zdrowie wasze obywatelu Jędrzeju!... Za pohybel tym zdrajcom, co myślą inaczej jak my!...

* * *

Świętopietrze.

Z poszytem niniejszym otwieramy nową seryę świętopietrza, jakie złożyć pragniemy Ojcu Świętemu Leonowi XIII w rocznicę Jego wstąpienia na Stolicę świętą, dnia 20 lutego przyszłego roku. Poprzednio zaś zebraną sumę, w ilości złr. 772 centów 72, marek 640, półimperyałów 6, dukatów 9, rubli 160 i jednego talara odeślemy wkrótce do Rzymu. Z pewnym jednak smutkiem nadmienić nam przychodzi, że od jakiegoś czasu mniej niż poprzednio wpływa Piotrowego grosza, a przecież potrzeby Stolicy świętej nie zmniejszyły się wcale, przeciwnie powiększyły się znacznie. Składaliśmy chętnie Wiekopomnej pamięci Piusowi IX sierocy nasz grosz, składajmyż go nadal ochoczo i Leonowi XIII, wszak i w Jego Najczcigodniejszej Osobie żyje tenże sam Piotr Namiestnik Chrystusowy, jak i w Piusie IX, niemniej również kocha nas Polaków i nad naszą dolą boleje Leon XIII, jak nas kochał i troskał się o nas Pius IX. Nie zapominajmy, że składanie świętopietrza jest poniekąd

obowiązkiem każdego katolika. Z groszy i denarów, zbieranych przez Ojców naszych, wzniesionemi nieraz zostały najokazalsze pomniki, taką samą drogą i my zebrać możemy pokaźne sumy, skoro tylko nie zabraknie z naszej strony ani dobrej chęci, ani zajęcia się tą nader ważną dla katolików sprawą. Gdyby zresztą majętniejsze u nas osoby, tyle nieraz o sprawach Kościoła mówiące, bodaj w ciągu jednego ćwierćrocza o jeden mniej wyprawiły obiad i wieczorek, na które, nawiasem mówiąc, mimo utyskiwań znajdą się zawsze fundusze, a grosz ztąd zaoszczędzony, przeznaczyły na potrzeby Ojczyzny, lub świętopietrze, mogłyby w takim razie hojne składać ofiary i nie potrzebowałyby zastawiać się różnego rodzaju wymówkami, które wobec najskromniejszej ofiary, składanej przez nasz lud wiejski, wobec urządzanych przez te same osoby wieczorków, tracą na swej szczerości i prawdzie. Nie zapominajmyż, że katolickość nie na samych tylko, chociażby nawet pełnych ciepła i serdeczności, oświadczeniach polega, ale na poświęceniu się i ofiarności!

OJCU ŚWIĘTEMU LEONOWI XIII

złożyli w Redakcyi:

(Serya II)

R. H.	2 złr.	
„Z prośbą o błogosławieństwo“.		
X. Jan Szymouowicz, Wikaryusz Archikatedry Ormiańskiej 1 dukata w złocie.		
X. Edward Podolski	5 „	
Paweł Popiel, poseł na Sejm krajowy	50 „	
S. S.	2 „	
X. Mycielski, prowincyał OO. Jezuitów ze składek w Kalwaryi . . .	5 „	38 ct.
Od Rodziny pp. Popielów . . 75 rubli		
N. N. z zaboru Rossyjskiego . 1 rubel.		
Razem . 76 rubli, 1 dukat w złocie i .	64 złr.	38 ct.

* * *

Korespondencya Redakcyi.

Wny ks. Władysław Grabowski . w *Brazylii* — *Przegląd* wysyłamy. Polecamy się pamęici. Upraszamy usilnie o szczegóły z podróży, opis miejscowości i Polonii tam zamieszkałej.

Wny ks. Antoni Podgórski . . . . w *Sanoku* — Przeglądając papiery, znaleźliśmy reklamacyę. Upraszamy o doniesienie, czy odebrany *Przegląd* i których Sz. księdzu brakuje.

Wny ks. Józef Pałka . . . . . . w *Limanowej* — Przepraszamy księdza Dobrcdzieja za omyłkę. Do gniewu nie ma powodu. Stało się mimo naszej wiedzy i wbrew naszej woli Co się tyczy dodatków, żałujemy szczerze, żeśmy obiecywali. Zrobiliśmy to jednak w nadziei, że czytelnicy nasi przysporzą nam prenumeratorów. Niestety zawiedliśmy się. Prenumerata *Przeglądu* zaledwie koszta papieru i druku pokrywa. Do końca roku przeszło 800 złr. będziemy na *Przeglądzie* dłużnymi. Nikomu nie narzucaliśmy się z prenumeratą, zdaje nam się jednak, że gdzieindziej pismo tego rodzaju jak *Przegląd* uważanoby za własną sprawę i przyczynianoby się do jego rozwoju.... Raz jeszcze przepraszamy za omyłkę!...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Socyalizm albo Chrześcijaństwo.

(Le socialisme devant la société par le R. P. Félix de la Compagnie de Jésus. Paris Roger et Chernoviz, in 8-vo).

Pewien słynny mąż, w głośnej roku zeszłego mowie, wyrzekł był te słowa: Kwestya socyalna nie istnieje wcale! Miało to znaczyć, że socyalizm jest tylko czczą marą, czerwonem widmem dla straszenia prostaczków. Nie obawiajcie się! Z tej strony na czystym nieba horyzoncie najmniejszego nie widać obłoczka. Z przeciwnego natomiast ustronia czarna wychyla się chmura, z której niezawodnie straszna powstanie burza. Baczność! Nasze nowoczesne, sekularyzowane, wolne od wszelkich nadnaturalnych żywiołów społeczeństwo samo już w sobie znajdzie wszelkie potrzebne warunki pokoju i równowagi, jak tylko zabezpieczonem zostanie od powiewów Nieba, poruszających ludzkością jakoby falami Oceanu. Ujrzycie wtedy spokój niezamącony niczem. Klerykalizm, religia katolicka — oto nieprzyjaciel!

Socyalizm nie istnieje! *E pur si muove;* a przecież się porusza. Wszak nie tak dawno, jak go już na gorącym schwytano uczynku. Pokryjomu, w cichości zarzucał on na cały świat swe sieci pod imieniem internacyonału. Czyż nie widzieliśmy go we Francyi, jak wobec Prusaków występował na jaw, aby rozedrzeć piękny ten kraj, i to w chwili, kiedy zraniona i zbroczona we krwi Francya leżała w pogromie, a on francuzkie działa zwracał przeciw ostatkom francuzkiej armii? O! historya nie zapomni nigdy ani tego pożaru Paryża, ani tego wandalizmu w niszczeniu pomników tego miasta, ani rzezi zakładników! Wściekłe dzisiaj miotania się radykalnej francuzkiej prasy czyż nie zapowiadają nam, że niebawem w tym strasźliwym tam wulkanie nowy otworzy się krater i nową znowu wybuchnie lawą krwi i zniszczenia. Któreż zresztą, choćby najpotężniejsze

państwo czuje się dzisiaj zabezpieczonem przeciw spiskom socyalistów? Rossya nadaremnie wysila się, ażeby przełamać knowania wznawiane bez przerwy niezliczonych nihilistów, którzy ją w swoje ujęli już sieci. Anglia poznała z groźnego zajścia w Lancashire, że jej zbuntowani robotnicy nie cofnęliby się w potrzebie od przelania krwi i obrócenia domów w perzynę.

Zręczny minister, który rządzi w Niemczech, schlebiał rewolucyjnym namiętnościom i sądził, że zawsze pokieruje niemi podług własnej woli; ale teraz czuje, że narzędzie wypada już z jego silnej dłoni, a dwa zamachy, w przeciągu trzech tygodni wymierzone przeciw osobie jego cesarza, dowiodły, jak rachuby jego były nierozważne, i że choroba przybiera cechy tak groźnego i tak nieuleczalnego paroksyzmu, że ten zbudowanym przez jego zuchwały geniusz gmachem niemieckiej jedności wstrząść może. Posługiwano się ogniem w świętokradzkiej walce przeciw Kościołowi, nie chciano widzieć grożącego niebezpieczeństwa, rzucano go w szeregi powalonego o ziemię przeciwnika, usiłowano rozdmuchać go w łonie Francyi, aby on, jak ów Maur zwyciężcom Grenady, jadem swoim śmierć Francyi zgotował; tymczasem własny, krwią i żelazem wzniesiony gmach, wystawiono na pożar. Papieże byli więcej przezornymi. Pius IX nie zadowalniając się walką swoich poprzedników Klemensa XII, Benedykta XIV, Piusa VI i Leona XII, z tajnemi towarzystwami, potępił energicznie socyalizm i komunizm w encyklice: *Qui pluribus* w 1846 roku, w allokucyi: *Quibus quantisque* i w encyklice: *Noscitis et nobiscum* w 1849, w końcu w allokucyi: *Singulari quadam* w 1854 r. Godny spadkobierca tego Wielkiego Papieża, potwierdził wszystkie te potępienia, w swej Encyklice z dnia 21 kwietnia r. b. A kiedy wkrótce po swem wyniesieniu na Stolicę świętą, składał powinszowanie cesarzowi Wilhelmowi, z okazyi szczęśliwego uniknięcia zamachu pierwszego zabójcy, Leon XIII dołączył do swego listu z aktami wyż wspomnianemi swego poprzednika, piękną Encyklikę, w której monarcha niemiecki powinien był wyczytać te surowe a prorocze słowa: „Zanosimy głos nasz do książąt i najwyższych zwierzchników ludów, i zaklinamy ich na najświętsze Imię Boga, aby nie odpychali pomocy, jaką im Kościół ofiaruje w tym czasie, gdzie ona jest im tak potrzebną; aby przejęci przyjacielskim duchem zgody, zbliżyli się do tego źródła powagi i zbawienia i przywiązywali się doń coraz więcej węzłami szczerej miłości i głębokiej czci. Bóg sprawi, że poznawszy prawdę słów naszych, rozważą, iż nauka Jezusa Chrystusa, jak mówi św. Augustyn, gdy się jej słucha, jest

zbawieniem państwa, i że bezpieczeństwo i spokój publiczny jakoteż i ich samych zawisły od zachowania Kościoła i od posłuszeństwa Jemu".

Stary cesarz dobrze zrozumiał, że, „ażeby powstrzymać ruch rewolucyjny, potrzeba było przedewszystkiem postarać się, ażeby lud nie stracił wiary i religii". Wypowiedział on to swoim ministrom nazajutrz po zamachu Hoedla, i ten z pomiędzy tychże, który na dziesięć dni przedtem bronił w parlamencie cesarstwa projektu prawa przeciw socyalistom, był tylko echem swojego pana, kiedy wypowiadał te słowa: „Walka z socyalizmem nie należy tylko do pracy i do stowarzyszeń, ale przedewszystkiem do religii. Najgłębsza bowiem rana, jaką nam socyalizm zadał, nie leży w zakresie ekonomicznym, ale polega ona głównie na tem, że odbiera to robotnikom, co daje najwięcej godności życiu człowieka — odbiera mu religię!" Doskonale; ale religia, o której mówią ci politycy, jest to religia bez siły i bez majestatu, religia zbudowana na miałkim i ruchliwym piasku, zależnym od powiewu władzy państwowej, niezdolna nawet utrzymać samego państwa, religia więc taka jest bez żadnej podstawy i podpory, nie jest religią Bożą, prawdziwą, katolicką, zbudowaną na skale, niewzruszoną w swych dogmatach, niezawisłą od żadnej potęgi ludzkiej, a rządzoną przez nieomylną powagę, którą tylko Jezus Chrystus wywyższa. A jednak ci, którzy dziś dopiero lękają się socyalizmu, wyrzucają ten fundament, jak gdyby chcieli, aby ich budynek, zwiący się państwem lub społeczeństwem, mógł bez niego pozostać nieporuszonym.

Z jednej więc strony, mężowie stanu wyznają, że pomoc religii jest im potrzebną do zwyciężenia nowych barbarzyńców, którzy zagrażają zupełną ruiną; z drugiej strony odpychają religię, która sama tylko zdolną jest pomódz im skutecznie. Jakież więc będzie wyjście z tej straszliwej walki, która się gotuje? Czy można rozumnie spodziewać się szczęśliwego z niej wyjścia, jeźli się nie odróżnia przyjaciół od wrogów?

Otóż ci, którzy udają zwierzchników społeczeństwa, i ci, którzy wzięli na siebie ciężar jego obrony, znajdując się między Kościołem, który sam tylko może ich zbawić, a między socyalizmem, który chce ich zniszczyć, nie znają dobrze ani jednego, ani drugiego. Nieraz mięszają oni te dwie rzeczy z sobą, Boga z szatanem, Kościół ze sektą, a najczęściej, daleko więcej skłaniają się ku socyalizmowi niż ku Kościołowi, sądząc, że idą tym sposobom z postępem i wolnością; nienawidząc gwałtów, przyjmują jednak gwałtu

zasady, powtarzają jego formuły, postępują za jego dążnościami, jak gdyby nie widzieli przepaści, do której powoli zsuwają się dobrowolnie.

Oddanoby sprawie publicznej ważną usługę, gdyby przedstawiono socyalizm w prawdziwem świetle, gdyby odkryto jego pochodzenie, jego cel, jego charakter i jego zasady.

To właśnie zrobił Ojciec Félix T. J. w całej seryi rozpraw godnych uwagi, w których znachodzimy śmiały rzut oka, głębokie poglądy, zwięzłą logikę i jędrny styl znakomitego kaznodziei w Notre-Dame. Nasi czytelnicy będą nam wdzięczni, gdy im podamy krótki rys i treść tego pięknego dzieła.

I.

Socyalizm, przyznaje dziś wielu, nie jest już urojeniem, ale bardzo groźnem niebezpieczeństwem dla społeczeństwa. Chce on wszystko unicestwiać! A jednak zatwierdza on równocześnie, i to w sposób nader doniosły, swoje istnienie przez manifestacye i programy krwawe; ma swych emisaryuszów, swoje dzienniki, swoje kongresy, i tysiące głosów do rozprzestrzeniania najprzewrotniejszych idei, i do wzniecania w tłumach, obok najgwałtowniejszych żądz, burze namiętności i nienawiści.

Jednak od brzmienia słów socyalizmu, więcej jeszcze zadziwia ta bezkarność, jaka je wszędzie spotyka; ta przedewszystkiem apatya żyjących pokoleń, które są w stanie słuchać tych wykładów rabunku, zbrodni i rzezi, ta gnuśna obojętność, która sprawia, że się słucha tego wszystkiego bez najmniejszego nawet wzruszenia. Słowa O. Felixa, skreślone na krótki czas przedtem, nim okrzyk trwogi wydany przez cesarza Niemiec obudził całą Europę, czy nie zjawiły się już za późno?... Nie!... Liberalny bowiem świat zapada znowu napowrót w uśpienie, w którem marzy o wszystkiem, tylko nie o niebezpieczeństwie, które mu grozi. Czyż dla rozrywki nie ma kwestyi wschodniej, wystawy powszechnej i tylu innych roztargnień? Wołają nań: Baczność przed socyalizmem! A on odpowiada: Jestże pewnikiem, że socyalizm istnieje? Posłuchajcie głosu jego... O nie, odpowiada świat, głos ten znanym mi dobrze, to głos rewolucyi, a rewolucya to zasady z roku 89. A któż znowu miałby odwagę sprzeciwiać się jawnemu wystąpieniu w nowoczesnem społeczeństwie zasad z roku 89? Nie! niebezpieczeństwo, o jakiem prawicie, jest jedynie wymyśloną przez was marą, aby nią straszyć społeczeństwo. Zresztą przeciw temu możemy użyć prawa przeciw socyalistom! Wobec takiego stanu rzeczy czy nam wolno milczyć? Nie! złu-

dzenie i upór łamać nas nie powinien, pamiętajmy bowiem, co w takim wypadku robić polecił Duch Boży Izajaszowi: *Clama, ne cesses*. Niech wasze głosy brzmią jak trąba: *exalta, ut tubam vocem tuam*. Nie ustawajmy przedstawiać ludziom prawdy, ażeby ją znaleźli około siebie w godzinie pomyślnej. Gdy urok rewolucyi zniknie, wonczas chcąc nie chcąc zwrócić się do niej będą musieli.

II.

Czem jest właściwie socyalizm? A przedewszystkiem, czem jest ta idea, która nim porusza. Z jakiejże myśli powstał jakby roślina ze swego nasienia? Idea socyalizmu była z początku reformą społeczną. W tym świecie, gdzie każdy cierpi, było zawsze i będzie coś do zreformowania. Cóż więc powabniejszego nad to urojenie, że można raz na zawsze zniszczyć wszelki nieporządek, a na jego miejsce ład i harmonię utrwalić na ziemi. Harmonię umysłów z prawdą, serca z miłością, woli z wolnością, namiętności z rozrywką, interesu osobistego z wspólnością dóbr, pracy z organizacyą, ludzi z braterstwem, rodzin z państwem, zgody wszystkich ludów w unii pod jednym rządem! Z oderwanych pomysłów filozoficznych te piękne teorye zstąpiły do pracowni robotnika i stały się najrozkoszniejszem marzeniem pieszczącem ustawicznie ognistego ducha ludu, któremu, aby rzecz ta urzeczywistnić się dała, nie wystarcza mu już reforma społeczeństwa, ale chce je z gruntu przeobrazić.

Dotychczas rewolucya była tylko polityczną, druzgotała trony, tworzyła republiki, improwizowała, niszczyła i przerabiała konstytucye; odtąd chce stać się społeczną, to jest, zburzyć społeczeństwo i to nie powierzchownie tylko, ale jego podstawy i same żywotne warunki jego istnienia. A w ten sposób przeistoczać, to znaczy to samo, co zniszczyć. Owoż socyalizm nie cofa się wcale przed tą trzecią przemianą idei rewolucyjnej. Zniszczyć społeczeństwo pod pozorem przeistoczenia go na coś lepsze, oto dzieło, którego nie lękano się przyrównać do dzieła Chrystusa, reformatora i przeobraziciela społeczeństwa. Bluźniercy! Jezus Chrystus nie uderzał na nic gwałtem, nie niszczył siłą; zasiał prawdę w duszach a miłość w sercach, jak rolnik rzuca nasienie w ziemię. Jeżeli przeklął bogacza, a raczej bogactwo pełne nadużyć, bogactwo bez miłości, bez litości, bez czucia i bez serca, to nigdy nie podburzał ubogiego przeciw bogaczowi; położył między jednym a drugim jakby łagodną a potężną pośredniczkę — miłosierdzie. Nigdy nie zalecał walki bratobójczej między niewolnikiem a panem; ale w miarę tego, jak Jego

nauka wchodziła do duszy panów bez gwałtów i wstrząśnień, żelaza opadały same z ramion niewolników... Dzieło Chrystusowe było tworzeniem a nie niszczeniem. Ustanawiając królestwo dusz, wywyższył społeczeństwo świeckie, a daleki od rozniecania ognia nienawiści i zazdrości, rozbudził w niem poświęcenie się dla ludzkości i ożywił je miłością zupełnie dotąd nieznaną

III.

Cóż socyalizm zniszczyć właściwie zamierza? Trzy rzeczy, na których opiera się całe społeczeństwo: własność, rodzinę i religię!

Znosi własność, materyalną podstawę społeczeństwa, przeczy jej prawu, oskarża ją, że jest po prostu kradzieżą. Podług niego wszystkie dobra ziemskie są dziedzictwem wspólnem; ubogi ma prawo upominać się o cząstkę swoją. I nie należy wcale poczytywać jałmużny danej ubogiemu za początek zadośćuczynienia sprawiedliwości. Ci socyaliści, którzy dążą do przeistoczenia własności, to jest do wyzucia z niej właścicieli, aby nadać ją państwu, nie niszczą jej tak samo, jak i wszyscy inni. Podług tego systemu, człowiek nie posiada już żadnej własności, która jest jakoby rodzajem jego królestwa; nie jest już u siebie. Im więcej wolności, tem więcej samodzielności osobistej. Społeczeństwo rodzinne, społeczeństwo świeckie, odarte ze swojej podpory materyalnej, nie mają już ani godności ani trwałości.

Socyaliści obalają także rodzinę, ludzką podstawę społeczeństwa, rodzinę ustanowioną zaraz od początku przez samego Boga i uświęconą od tylu wieków przez religię, a zastępują ją przez ugodę, będącą niczem innem jeno rozpustą ogólną, uderzają w małżeństwo i chcą je zastąpić rozpasaniem namiętności, wierność związku wolnością rozwodu, wieczne i nieprzerwane posiadanie zniesieniem dziedzictwa. To też obyczaje ich odpowiadają zepsuciu zasad, które z całym głoszą zapałem.

W końcu usiłują zniszczyć religię, tę Boską podstawę społeczeństwa; i to nietylko religię prawdziwą Bożą, ale uchylić wszelki stosunek między Bogiem a ludźmi. Nie ma odtąd ani ołtarzy, ani księży, ani świątyń, ani ofiary, ani czci, ani obrzędów, ani świąt religijnych! Własność, rodzinę i cześć dla Boga, powiada jeden starożytny pisarz, jedynie sama religia podtrzymuje, a więc precz z religią! Socyalizm wie o tem dobrze; on czuje, że religia jest ostatnią podporą porządku politycznego i społecznego, i dlatego to właśnie,

z całą zaciekłością przeciw niej występuje. Zniszczyć społeczeństwo, ażeby je przeobrazić pod pozorem reformy, obalić jego podstawy: jak własność, rodzinę i religię — oto idea i ostatnie słowo socyalizmu!

A ta idea socyalizmu jedną tylko namiętność wytworzyć zdolna, do to jest demoniczną nienawiść społeczeństwa Namiętność to straszna, która przez swoje gwałty i zaraźliwy charakter podobną jest szaleństwu; zkąd pochodzi, że ją nazwać można szaleństwem rewolucyjnem. Czem jest ta nienawiść? Zkąd wypływa? Dokąd prowadzi? Jest to straszliwa choroba, która ogarniając serce ludzkie, przemienia je tak, że ono stworzone do kochania, poczyna nienawidzić człowieka, społeczeństwo, nawet Boga samego!

IV.

Nienawiść w człowieku jest zawsze ślepą tylko namiętnością, ona, krom gniotącego ją ciężaru czarnych myśli, do niczego innego nie jest zdolną. Ztąd właśnie wypływa, że sprawiedliwość jest dla niej nieznaną zupełnie, *terra ignota auditaque nunquam.* Zamienia ona cnotę w występek, a ten za cnotę uważa. Zmienia więc naturę przedmiotu, chcąc go poddać nienawiści. Następnie nie rządzi się nigdy wdzięcznością, mści się za dobrodziejstwa, nie cierpi dobroczyńcy! Jest okrutną, podoba sobie w niszczeniu, jest bratobójczą i nienasyconą w rzezi i w zagładzie. Okropne to zaprawdę i prawdziwie piekielne uczucie.

Nienawiść do społeczeństwa podcina życie społeczne i wszystkie czynniki społeczne, zatruwa, psuje żywioły społeczeństwa tak dalece, że na miejsce ładu, zaprowadza nieporządek, zabija jedność a szczepi rozdział, w miejsce płodności wytwarza bezpłodność, w miejsce produkcyi zniszczenie, w miejsce postępu chylenie się do upadku. w miejsce cywilizacyi barbarzyństwo! Siejąc nienawiść wśród ludów, wywołuje zazdrość między warstwami, które je tworzą, niweczy wszystko to, co geniusz i sztuka, wymowa i umiejętność, przemysł i bogactwo, dyplomacya i polityka, mogły zdziałać dla ich szczęścia i zapewnić im pomyślność.

Społeczeństwo, złożone z ludzi, którzy się nienawidzą, podobnem jest społeczeństwu szatanów!

Nienawiść Boga: tak, nienawiść socyalizmu sięga aż do tego stopnia — ona jest szatańską.

Pewien rewolucyonista wyznał otwarcie: „Rewolucya w swojej istocie nie jest ani liberalną, ani demokratyczną, ani republikańską,

ale jest ona antyklerykalną a raczej antyreligijną, czyli w prawdziwem znaczeniu tego słowa — rewolucya jest bezbożną. Panowanie wolności ludzkiej przeciwstawione powadze Boskiej". Rewolucya nietylko że jest szatańską, ale jest wcieleniem się szatana w ludzkość. Owóż socyalizm nie jest czem innem, jeno rewolucyą w pełni swego owocu, doskonałą, spełnioną, wyniesioną na najwyższy szczyt swej potęgi, i dlatego właśnie zionącą nienawiścią Boga!

W godzinie złowrogiej, gdy ta straszna nienawiść wybuchnie, biada szlachetnym ludziom, biada cnotliwym. biada świętym!

Tłuszcze, popchnięte jakby tchnieniem piekła, uderzą na wszystko, co jest sprawiedliwem, co jest dobrem, zbezczeszczą wszystko, co jest poświęcone; bunt i świętokradztwo wcisną się do miejsc świętych, aby tam wylewać swoją rozpustę i zataczać szalone tańce przez bezwstydne megery!

Taką jest ta potrójna nienawiść socyalizmu. Znajduje się ona w zarodku w naukach nowej szkoły, krąży po książkach, po dziennikach, w całej prasie antychrześcijańskiej, która rozżarza ognisko rewolucyjnych namiętności. Wydobywa się jak ogień przez szczeliny tych zgromadzeń, w których dają oklask nietylko obeldze rzuconej na wszystko, co jest wielkie, ale i bluźnierstwu ze wszystkiego, co Boskie. Wytwarza się ona w zgiełku naszych walk politycznych i wybucha niekiedy w strasznych groźbach, rzucając obelgi i oszczerstwa pomimo danego nakazu, ażeby się jeszcze do czasu miarkowała!

(C. d. n.)

O REALIZMIE
W LITERATURZE NOWOCZESNEJ

przez

J. G.

IV.

Czasy monarchii mieszczańskiej przeszły, epoka Balzaka i Musseta się skończyła. Po rewolucyi Lipcowej nastąpiła rewolucya Lutowa i cały szereg jej sióstr młodszych; po 18-letniej martwocie politycznej kilka lat wstrząśnień, anarchii i przewrotów, zakończonych zamachem stanu; — po synu Filipa Egalité — synowiec wielkiego Napoleona.

Ziarno rewolucyi, zasiane w Niemczech na polu religijnem przez Lutra, we Francyi na polu politycznem przez filozofów i encyklopedystów XVIII wieku — wydało plon obfity, i młoda roślina, zieleniejąca nadzieją i nadzieją napełniająca z początku najlepsze serca i najwznioślejsze umysły, rozrosła się w potężne drzewo, a na gałęziach tego drzewa dojrzewać poczęły owoce. Jedne z nich przyszły wcześniej, dojrzały prędzej — to były religijne i polityczne konsekwencye rewolucyi; inne potrzebowały na to dłuższego czasu, całych pokoleń, wychowanych na rewolucyjnych zasadach i duchem przeczenia przesiąkłych, i te ostatnie owoce rewolucyi na polu społecznem, w dziedzinie obyczajów i moralności — są nam współczesne i szczególnie dla nas szkodliwe. W nich szukać należy klucza do rozwiązania wielu społecznych kwestyj i zawikłań, one też są rzeczywistą przyczyną najnowszego zwrotu w literaturze a przynajmniej w pewnej jej części. Całe duchowe życie naszego pokolenia rozwinęło się na podstawie wytworzonych przez rewolucyę pojęć, zasad, stosunków — i wszystkie też niemal charakterystyczne cechy naszego wieku, jego zalety i wady, szały, błędy i winy, w rewolucyi mają swoje źródło.

Wywołany w części przynajmniej długoletnim uciskiem jednych warstw społecznych przez drugie, wielu ludzi przez kilku — przewrót 89 r. i stworzona przezeń polityczna doktryna wzięła za godło prawa człowieka. Godło to nie było nowem. Posługiwali się nim od wieków ci wszyscy, którzy dla jakichkolwiek przyczyn i celów buntowali się przeciw swej prawej władzy; ci, którzy swoje *ja* stawili po nad wszelką powagę, wszelkie względy i wszelkie obowiązki. W rzeczach religijnych wszyscy herezyarchowie, biskupi, niechcący słuchać Papieża, księża, niechcący słuchać biskupów; w rzeczach świeckich wazalowie, powstający przeciw swym panom, mieszczanie, kłócący się z feudalnymi baronami, baronowie, kłócący się z księciem lub królem. Tylko podczas, gdy ci wszyscy ograniczali się na praktycznem wprowadzaniu myśli tej w życie, doktryna rewolucyjna określiła ją bliżej i ująwszy w teoretyczne formy, podniosła do wysokości zasady. Że zasada ta stała się punktem środkowym, około którego skoncentrowały się wszystkie inne zasady, jakie wiek nasz wyznaje — łatwo zrozumieć. Zawierała ona wszystkie porywy pychy i egoizmu, wrodzone duszy ludzkiej a tłumione dotąd chrześcijańską ideą pokory i zaparcia się siebie. Wznosząc człowieka na wysoki piedestal, z którego zepchnięto wszelką władzę Boską i ludzką, stawiła stworzenie w jednym rzędzie ze Stwórcą,

otwierała przed rozbujałym i upojonym umysłem bezgraniczne przestworza, i mówiła do niego: „patrz, wszystko to twoje, wszystko możesz poznać, wszystkiego użyć, nad wszystkiem panować, tyś królem świata i władzy twej nie ma granic ni końca.“

Czy była fałszywą?

Nie. Praw człowieka nikt zaprzeczyć nie może, uznaje je każda religia i każde oświecone prawodawstwo. Zapoznanie tych praw w pewnych warstwach społecznych było i błędem politycznym i wielką winą przedrewolucyjnego społeczeństwa, zwłaszcza, gdy materyalizm XVIII wieku wyzuł je z uczuć religijnych i od Chrystyanizmu oddalił. Podniesienie ich mogłoby stać się dla rewolucyi wielką zasługą. Tylko, że obok tych praw człowieka niezaprzeczonych i godnych poszanowania, są jeszcze i jego obowiązki, obowiązki bardzo liczne i wielkie względem siebie, względem otaczającego społeczeństwa i względem Boga. Prawa człowieka zaczynają się dopiero tam, gdzie obowiązki te są już spełnione, gdzie zaś obowiązek jest zaniedbany, tam o prawie nie może i nie powinno być mowy. Tę wielką prawdę, wyraźną i niezbitą dla każdego, kto ma trochę logiki i zdrowego rozsądku — wielka rewolucya zapoznała całkiem. Podnosząc prawa człowieka, o jego obowiązkach nie wspomniała ani słowa. I zrobiła się w skutek tego rzecz bardzo smutna. Społeczeństwo porewolucyjne, słysząc ciągle o swoich prawach a nigdy o obowiązkach, zaczęło powoli odrzucać to wszystko, co stanowiło moralną podstawę przeszłych pokoleń. Wszystkie więzy, jakie religia i na religii oparte prawodawstwo nakładały na człowieka; więzy, które dawniej wydawały się rzeczą naturalną i konieczną, zaczęły teraz ciężyć bardziej i zdały się ubliżać godności człowieka. Nazwano je zabobonami i rzucono w kąt, jak zdarty łachman przenoszonego odzienia. Na miejscu odrzuconych bożyszcz i ideałów zrobiono sobie nowe bóstwo: rozum ludzki wszechwładny i bezgraniczny, i powiedziano: to tylko jest prawdą, co rozum uzna za słuszne, co oczy ujrzą i uszy usłyszą. A gdy tak zrywano odwieczne więzy, któremi dotąd wiara trzymała umysł ludzki w pewnych przez Boga nakreślonych granicach, musiano z konieczności rozwiązać inne jeszcze pęta, któremi moralność wstrzymywała ciało od zmysłowych ekscesów. To wszystko, co dotąd uważano za błąd, za grzech, za upadek, co usprawiedliwiało się ułomnością natury ludzkiej a zmazywało pokutą — to stało się koniecznością natury, którą zwalczać mógł ślepy tylko fanatyzm; grzech nazwawo cnotą, a cnotę — grzechem przeciw na-

turze. W miejscu dawnych obowiązków religii i moralności zostały tylko formy towarzyskie, konwencyonalne pokrywki i parawany, po za któremi pozwolono robić co i jak kto chciał, a które zachowywano tylko jako zabytek wieków przeszłych, nie dający się znieść od razu.

Wszystkie te ujemne cechy porewolucyjnego społeczeństwa odbiły się w umysłowem jego życiu, w sztuce, szczególniej zaś w literaturze. Demoralizacyi ogólnej, przenikającej wszystkie warstwy społeczne i zmieniającej cały organizm państwowy w rozkładającą się zgniliznę; upadkowi moralnych zasad i ideałów religijnych tradycyj i wierzeń towarzyszyć musiał upadek sztuki. Ztąd też te wszystkie ujemne strony, jakie zaznaczyliśmy u głównych pisarzy poprzedniego literackiego okresu, u ich następców potęgują się i rozszerzają; sceptycyzm i cynizm Musseta, pessymistyczny realizm Balzaka zmieniają się w patalogiczno-anatomiczne studya Zoli i Flauberta, lub w rehabilitacyę występku Dumasów; literatura staje się smutnem zwierciadłem grzechów i namiętności społeczeństwa — upada.

Upadek ten nie nastąpił odrazu i nie był wywołany pojawieniem się nowego pisarza lub nowego literackiego kierunku. Jak każdy fakt społeczny czy dziejowy nie zjawia się nagle i niespodzianie, ale jest zawsze wynikiem wielu faktów poprzedzających, konsekwencyą, której przyczyny tkwią nieraz w dalekiej przeszłości — tak i upadek literatury francuzkiej był owocem, którego ziarno rzucone było przed wiekami. Ostatnie ogniwo długiego łańcucha obłędów i grzechów, upadek ten był nieuniknioną koniecznością, do której nie fatum żadne, ale wprost tylko logika dziejowa doprowadzić musiała francuzkie społeczeństwo. Początki jego widzieliśmy już w literackiej działalności dwóch wielkich pisarzy z czasów lipcowej monarchii, których długoletnia praca, mimo jej stron dodatnich, doprowadziła do smutnych bardzo rezultatów, przygotowała upadek sztuki. Gdy zaś tak było z najlepszemi umysłem i sercem, cóż powiedzieć o innych, gorszych? a tych liczba była bardzo wielka, większa daleko, niż to się zgadzało z ową godnością natury ludzkiej, którą wysławiano tak chętnie. W tym samym czasie, gdy poetyczne *coenaculum* rozproszyło się, zmieniło i zdegradowało na „literackie cygaństwo;“ gdy Alfred de Musset w kieliszku absyntu szukał zapomnienia trosk, bolów i rozczarowań, jakie w życiu spotykał co chwila; gdy Balzak, wśród procesów z księgarzami, sprzedawał swój talent więcej dającemu i dla grosza poświęcał sztukę i przekonania,

w tym samym czasie w Paryżu i Brukseli drukowały się i rozchodziły w milionach egzemplarzy niewielkie książeczki, których okładki opatrzone były nazwiskami: Aleksandra Dumas, Eugeniusza Sue, Dash, Scriebe'a i mnóstwa innych pisarzy wówczas znanych i czytanych, dziś po większej części zapomnianych zupełnie. Wszystkie te belletrystyczne utwory, pisane lekko, ciekawie, z właściwą Francuzom werwą, dowcipem, wdziękiem formy i nicością treści — nie były jednak tak bardzo błahe, jak się zdawało i nie pozostały bez wpływu na czytającą publiczność. Odbijał się w nich cały nastrój duchowy francuzkiego społeczeństwa, jego przekonania i ideały, a raczej brak ideałów i przekonań. Owo szczególne powikłanie i niejasność w elementarnych pojęciach o cnocie i moralności, które zaznaczyliśmy wyżej, jako jeden ze skutków niechrześcijańskiego kierunku społeczeństwa; owo zatarcie różnicy między złem a dobrem, a często uważanie jednego za drugie — to były charakterystyczne cechy tej romansowej literatury. Niedość na tem. Było jeszcze w tej powodzi piśmideł, która w pierwszej połowie bieżącego stulecia zalała Francyę, a za Francyą świat cały — coś więcej; była apoteoza wszystkich grzechów, było uniewinnienie wszystkich występków, jakie potępiał kodeks i ewangelia. Zaczynając od *Siedmiu grzechów głównych* Eugeniusza Sue, które choć może stosunkowo mniej niemoralne od wielu innych romansów, zawsze jednak niejednego zwolennika zjednały grzechom, stanowiącym ich osnowę — widzimy tę apoteozę w *Tajemnicach Paryża* i w *Monte-Christo*, których bohaterowie przywłaszczają sobie prawo sądu i kary, rządząc się przytem czysto osobistemi pobudkami, pogańską zemstą, i poświęcając dziesiątki niewinnych dla ukarania jednego winowajcy. Widzimy ją w *Żydzie tułaczu*, który oprócz tego, że był oszczerstwem, miał więcej jeszcze demoralizujących pierwiastków od *Tajemnic*. Widzimy zresztą w tych wszystkich utworach większych i mniejszych pisarzy francuzkich, które w przeciągu lat 30tu spotkać można było zarówno na mahoniowym stoliku arystokratycznych salonów, jak i w izdebce rzemieślnika. A zauważyć trzeba, że sensacyjno-popularni pisarze, rzemieślnicy pióra, pracujący dla miłego grosza, nie byli może najgorszymi. Obok nich i po nad niemi wznosiły się olbrzymy literackie, ludzie przekonań i idei, pracujący piórem dla tych idei i przekonań, a osiągający w końcu równie ujemne rezultaty. Że tu wspomnę tylko o propagatorce wolnej miłości, która zarówno starała się podkopać jedną z podstaw społecznych: małżeństwo i rodzinę w swych dziełach, jak ją lekceważyła w życiu

prywatnem, i której wpływ był niewątpliwie szkodliwszym od całego tuzina Scribów, Feralów, a nawet i Dumasów starszych.

A obok pani Georges Sand, czyż można zapomnieć o młodszym Dumasie, autorze, który potęgą talentu wyrównał ojcu, a oryginalnością pomysłów i zręcznem wyzyskiwaniem upodobań publiczności poniekąd go może przewyższył. Jest on jednem z najciekawszych i najdziwniejszych zjawisk, jakie wydać mogły tylko nasze czasy i tylko francuzka literatura. Nie jest, ściśle mówiąc, realistą, tem mniej materyalistą — przeciwnie; głosi o sobie, że jest głęboko religijnym, i jako taki, pisuje przedmowy i komentarze do *Naśladowania Chrystusa*. Uważa się przytem za apostoła jakiegoś nowego objawienia, mówi często i głośno o religii i moralności, myśli o reformie istniejących stosunków społecznych, tymczasem zaś zadowalnia się rzucaniem gromów na łamanie wiary małżeńskiej i podaje na to środek praktyczny a krótki, nieznany ewangelii, ale wymyślony przed nim jeszcze przez pogańskie prawodawstwo Napoleona „*tuezla!*“. I ten surowy moralista, surowszy od Chrystusa, jest mimo to jednym z najszkodliwszych dla publiczności autorów, a chorobliwe jego utwory pod moralną powłoką kryją więcej złego niż powieści pani Sand, a więcej niewątpliwie niż romanse jego ojca. Co więcej, ten sam srodze cnotliwy autor oryginalną moralnością swych dramatycznych utworów przyczynił się najwięcej do upadku francuzkiego dramatu i wyższej komedyi.

Cała ta literacka produkcya kilkudziesięciu lat była niejako wstępem, przedmową do najnowszego zwrotu literatury. Nie był to jeszcze zupełny realizm, podobnie jak nim nie były poezye Musseta i powieści Balzaka — było to jeno przygotowanie doń gruntu. I rzeczywiście wkrótce z coraz większem obniżeniem skali moralnej francuzkiego społeczeństwa — ckliwa czułostkowość i mdły sentymentalizm romansopisarzy lipcowej monarchii, ich eleganckiemi osłonami zakryte sprosności, zdały się pruderyą i hipokryzyą. I wówczas to, z ostatecznego upadku społeczeństwa, ze zgnilizny moralnej drugiego cesarstwa powstał najnowszy kierunek realistyczny, a raczej ostatnie słowo tego kierunku — realizm Flauberta i Zoli. (C. d. n.)

ZEMSTA ŻYDA

VI.

MĘCZENNIK.

W naznaczonej przez Klemensa porze, obaczył Kaleb po raz pierwszy apostoła Jana, który sam przybył do domu znakomitego patrycyusza. Dusza młodzieńca, zetknąwszy się z tak kochającem i czułem sercem najukochańszego ucznia Jezusa, wnet zapłonęła gorącą miłością, tak ku niemu samemu, jak i ku jego boskiemu Mistrzowi. Miłość zaś obudziła w nim wiarę.

Nazajutrz po wyjawieniu mu świętych tajemnic wiary chrześcijańskiej, oznaczono dzień jego ślubu; obrząd ten miał się odbyć w następnym tygodniu, a narzeczeni zaczęli się doń przygotowywać wśród gorących modłów.

W wilią uroczystego dnia Eufemia przyszła do ojca z prośbą o błogosławieństwo. Zaledwie jednakże ojciec z córką miał czas zamienić słów kilka, aliści rozmowę przerwał im niezwykły hałas przed drzwiami.

Jakkolwiek Gaudencyusz rozkazał, aby nikogo nie wpuszczano, wszedł jednak człowiek przez nikogo nie wprowadzony i nie zapowiedziany. Był to oficer cesarski, który przychodził w imieniu monarchy, a miał rozkaz poprowadzenia natychmiast Gaudencyusza do cesarskiego pałacu. Chodziło — jak mówił — o bardzo ważną sprawę.

Gaudencyusz, wielce zdziwiony, usłuchał rozkazu, a przed odejściem dołożył wszystkich starań, aby uspokoić córkę, mówiąc jej, że zapewne prędko wróci, po powrocie zaś pójdzie zaraz do jej komnat.

Skoro tylko stanął w pałacu, wprowadzono go wnet do cesarza, otoczonego kilkoma najznakomitszymi członkami senatu. Wespazyan miał minę gniewną i surową — nie pozdrowił nawet głęboko kłaniającego się przybysza, lecz powiedział rozgniewanym głosem:

— Czy to ty bałamucisz członków mojej familii i jadem obcych zabobonów zakażasz szlachetny dom Klemensa? Odpowiadaj bez wykrętów i usprawiedliwiaj się, jeżeli możesz.

Poznawszy z tych słów, o co był oskarżony, zrozumiał Gaudencyusz, że go nic nie uratuje.

Jakkolwiek już od czasów Nerona nie obchodzono się zbyt surowo z chrześcijanami, wszakże byli oni zawsze nienawistni sena-

towi i Wespazyanowi, jako rzekomi sprawcy ateizmu i przedstawiciele nowej, niegodziwej sekty. Ponieważ obrzędy wiary swej sprawowali w tajemnicy, przeto rząd, zajęty czem innem, długo nie zważał na nich. Ale Wespazyan miał w charakterze nadzwyczajną surowość, doprowadzoną czasem do okrucieństwa; karał tak samo wielkie występki, jak małe przewinienia.

Niezmięszany surową jego twarzą Gaudencyusz odpowiedział pokornie, lecz stanowczo.

— Panie — nie podmawiałem nikogo. Jeżeli czasem pan mój, Flawiusz Klemens, raczy łaskawie zasięgnąć mej rady, zawsze jednak postępuje wedle swej własnej woli.

Nie zwracając uwagi na tę odpowiedź, ciągnął Wespazyan dalej:

— Moja wnuczka, Domicylla, uległa także fatalnym wpływom; pogardza bowiem religią Rzymu i ojczystemi bogami.

— Najjaśniejszy Panie — odparł jeszcze raz Gaudencyusz — Domicylla, moja szlachetna pani, zanadto jest rozumną, aby się mogła poddać jakimkolwiekbądź złym wpływom.

Widząc, że Gaudencyusz unika wyraźnych odpowiedzi, rzecze cesarz:

— Chcesz się wykręcić, ale nic z tego — powiedz prawdę: czy jesteś chrześcijaninem, uczniem Ukrzyżowanego?

— Jestem chrześcijaninem, odparł Gaudencyusz głosem pewnym i donośnym; tak jest, jestem uczniem Jezusa, gotowym zawsze na śmierć za moją wiarę.

— Ach! — zawołał z gniewem cesarz — tak więc daleko idziesz w swem zuchwalstwie, że nie wahasz się przedemną i tem świetnem towarzystwem głosić twej niecnej wiary! Tego już zanadto! słuchaj więc mego wyroku: jeżeli do jutra, do tej samej godziny nie wyrzekniesz się twych zabobonów, bądź przygotowany na śmierć.

— Bądź błogosławionym, cesarzu! odparł Gaudencyusz z radością, że czynisz mi tę łaskę i pozwalasz umrzeć dla mego Boga.

Wespazyan rozkazał odprowadzić obżałowanego do domu Klemensa, gdzie miał do jutra zostać pod strażą, na odpowiedzialność jednego z oficerów.

Po powrocie do mieszkania, Gaudencyusz kazał zawezwać Klemensa. Szlachetny Rzymianin uczynił zadość życzeniu wiernego sługi, a dowiedziawszy się z jego własnych ust o tem, co zaszło, rzekł:

— Pójdę prosić za tobą cesarza; może odwoła swój wyrok.

— Mało znasz Wespazyana — odpowiedział Gaudencyusz — wszelkie zabiegi i prośby, nawet jego najukochańszego syna, Tytusa, na nicby się nie zdały. Błagania innych utwierdzają go tylko w raz powziętem postanowieniu. Zresztą, jesteś sam chrześcijaninem, Klemensie; dlaczegoż więc zazdrościsz mi tego szczęścia, że mogę krew i życie moje poświęcić dla Jezusa Chrystusa?

Klemens uczuł, że przyjaciel jego mówił prawdę; odpowiedział mu więc tylko rzewnemi łzami. Gaudencyusz ciągnął dalej:

— Proszę cię, Klemensie, bądź wykonawcą ostatniej mej woli; mam powody do mniemania, że Manahem nie jest obcym całej tej sprawie. Wiem o tem już od kilku dni; poprzysiągł on sobie użyć wszelkich środków dla przeszkodzenia małżeństwu Kaleba i Eufemii. On to, ani wątpić, doniósł Wespazyanowi o religii mojej i twego domu Klemensie. Mam o tem dokładną wiadomość od przyjaciela, który niechcący wykrył tajemnicę Izraelity.

Pragnąłbym więc, abyś opiekował się temi dziećmi, zaręczonemi wobec Boga, a które jutro miały się pobrać przed świętym ołtarzem. Uczyń wszystko, aby związek ten przyszedł do skutku, a potem umieść ich gdzieś w miejscu bezpiecznem.

Chciałbym, aby mogli przebyć morze i podążyć do Palestyny, bo w prowincyi tej mieszka dużo chrześcijan, ale wszystko to powinno dziać się w najgłębszej tajemnicy.

Klemens, pochwaliwszy widoki i plany Gaudencyusza, przyrzekł uczynić im zadość. Zarządca prosił go jeszcze, aby sama Domicylla przygotowała Eufemię do strasznej nowiny.

Klemens zapewnił Gaudencyusza, że i to życzenie będzie zaraz spełnionem.

W kilka godzin potem Domicylla weszła do komnat córki Gaudencyusza.

— Dziecko kochane, powiedziała, winszuję ci szczęścia, jakie cię czeka.

Eufemia myślała, że chodzi tu o związek z Kalebem; podziękowała więc serdecznie pani, że się jej przyszłością zajmuje.

Domicylla, widząc, że jej młoda dziewczyna nie rozumie, dodała:

— Eufemio, idzie tu o przyszłość daleko wznioślejszą i większą niż związek ziemski, idzie tu o łaskę, o którą ubiegają się i zazdroszczą jej wszyscy chrześcijanie, a której ma dostąpić twój ojciec.

Eufemia słuchała tych słów w milczeniu; po chwilowej przeto przerwie Domicylla zaczęła znów mówić:

— Wiesz, że przed kilku godzinami zawezwano go do cesarskiego pałacu. Oczekiwałaś powrotu jego niecierpliwie; oznajmiam ci więc, że już przyszedł. Domyślisz się wszystkiego, jeżeli ci powiem, że uczta Chrystusa, uczta wieczności, przysposabia się dla Gaudencyusza.

Eufemia zaczynała rozumieć straszny sens tych słów; łzy rzęsiste polały się po jej twarzycce.

— Flawio Domicyllo! powiedziała głosem wzruszonym i drżącym; wytłómacz się jaśniej, jeżeli możesz.

— Ojciec twój, dziecko moje, odparła szlachetna patrycyuszka, obejmując serdecznie biedne dziewczę, oskarżony o przyjęcie wiary chrześcijańskiej, zawezwany został do pałacu cezarów. Wespazyan zapytał go surowo, jaką wyznaje wiarę, Gaudencyusz wyznał prawdę a monarcha nie przebaczył mu, że należy do wyznawców świętej religii Zbawiciela, zagroził mu nawet wyrokiem śmierci, w razie gdyby do jutra nie wrócił do dawnych bogów. Gaudencyusz podziękował za to szczęście, oznajmiając, że śmierć dla Jezusa Chrystusa była jedynym przedmiotem jego ambicyi.

Nowina ta, pomimo delikatnych omówień Domicylli, wywarła straszne wrażenie na nieszczęśliwej Eufemii; zemdlała ona na rękach swej pani. Przyszedłszy do przytomności, zawołała z boleścią:

— Cóż się stanie ze mną biedną, gdy stracę Gaudencyusza, najdroższego mego ojca?

— Bóg ci zostanie, dziecko, odpowiedziała łagodnie Domicylla, nie opuści cię, będzie się tobą opiekował, a potem będziesz przecie miała obrońcę w mężu, którego ci sam ojciec wyznaczył.

Pomału powróciły siły Eufemii, a religijne uczucia, odzywając się głośno w duszy młodej dziewczyny, zagłuszyły w końcu i uspokoiły bojaźń i smutek.

Nabrawszy odwagi i zaczynając nieco spokojniej zapatrywać się na okropną ofiarę, którą miała ponieść, Eufemia wyraziła życzenie zobaczenia ojca.

Domicylla poprowadziła ją do Gaudencyusza.

U drzwi jego mieszkania zastały na straży oficera; ten powiedział im, że aresztowany znajduje się sam jeden w pokoju.

Eufemia weszła tam drżąca, podtrzymywana przez małżonkę Klemensa, ale na widok radosnego oblicza ojca, jego czoła pogodnego, jakby rozjaśnionego aureolą szczęścia i świętości, poczuła że do jej

duszy wstępuje dziwna odwaga, a nawet szczęście z chwały rodzica. Płakała wprawdzie, ale trudno powiedzieć, czy z radości, czy ze smutku.

Rzuciła się w ramiona męczennika, szepcząc te słowa:

— Ach mój ojcze, czemuż ja nie mogę podzielić szczęśliwego twego losu i umrzeć z tobą?

— Nie czas jeszcze dla ciebie, kochana córko moja, odpowiedział Gaudencyusz ze słodyczą; powołanie twoje na tym świecie ledwie zaczęte — potrzeba pierwej pracować z energią w winnicy Jezusa Chrystusa, mistrza naszego.

Domicylla zostawiła ojca i córkę, a odchodząc, błogosławiła Bogu, że pozwolił jej wywiązać się tak dobrze z tego smutnego i trudnego zadania.

Nazajutrz, to jest w dzień przeznaczony na ślub, uwiadomiono o wszystkiem Kaleba. Gdyby wiara jego była mniej żywą, rozpaczałby, odkrywając coraz te nowe przeszkody. Ale serce jego było silne, cnota Jezusa bezpodzielnie tam panowała; to też przyjął okropną nowinę z wruszającem poddaniem się woli Boga.

Poszedł do Gaudencyusza równocześnie z Eufemią i Klemensem, aby jako ostatnią pamiątkę otrzymać wzniosłe błogosławieństwo tego, co miał umrzeć za wiarę.

Męczennik pobłogosławił narzeczonym, powierzył ich opiece szlachetnego Rzymianina i oznajmił jakby w natchnieniu, że ich związek niezadługo przyjdzie do skutku.

Pożegnanie przedstawiało widok rozdzierający serce, chociaż rozstawano się z dziwnem poddaniem się woli Najwyższego.

W kilka chwil potem trybun, wchodząc do komnaty, ujrzał Gaudencyusza klęczącego i modlącego się po raz ostatni.

Na widok urzędnika, wstał z klęczek i zapytał spokojnie, jakie przynosi rozkazy?

— Przychodzę do ciebie Gaudencyuszu. — odpowiedział oficer — w imieniu cesarza, aby się dowiedzieć, czy zawsze trwasz w swym szalonym uporze?

— Tak jest, odparł z powagą Gaudencyusz; trwam zawsze w mej wierze, co fałszywie zowiecie uporem.

— Jeżeli tak, rzekł trybun — to cesarz każe ci natychmiast umrzeć.

— Jestem zupełnie gotów — powiedział męczennik, odsłaniając pierś.

— Wolno ci wybrać rodzaj śmierci; jeżeli sam chcesz spełnić na sobie wyrok Wespazyana, i to ci dozwolonem będzie.

— Chrześcijanin nie ma prawa zadawać sobie śmierci własną ręką — czyń więc, co ci kazano.

To mówiąc, nadstawiał znowu pierś obnażoną.

Trybun, wydobywszy w końcu miecz z pochwy, przebił nim odrazu męczennika, który upadł bez życia, nurzając się we własnej krwi. Śmierć nastąpiła w jednej chwili, a trybun przekonawszy się o tem poszedł, zabierając z sobą oficera, który od wczoraj strzegł Gaudencyusza.

W kilka chwil po wykonaniu wyroku, nadszedł Klemens z Kalebem do pokoju przyjaciela; obydwaj młodzieńcy bardzo wzruszeni, ukląkłszy obok zwłok męczennika, spoglądali na nie z niewymownym smutkiem i rozczuleniem, poczem ucałowali po raz ostatni pogodne i blade czoło zamordowanego.

Na rozkaz Klemensa przyszło dwóch chrześcijańskich niewolników; starli oni cenną krew, wylaną dla Chrystusa, podnieśli święte ciało i złożyli je na przepysznem łożu, na którem miało spoczywać aż do chwili pogrzebu.

Niedługo potem nadeszła Eufemia, wsparta na ramieniu Flawii i Domicylli. Szlachetna Rzymianka przybrała najpiękniejszy strój, a w ręku trzymała palmę i koronę. Zbliżyła się Domicylla z czcią do zwłok męczennika, który spał spokojnym snem sprawiedliwego, ażeby włożyć na jego czoło koronę, w rękę zaś palmę tryumfalną.

Eufemia, głęboko wzruszona, zalewała się łzami i całowała swą pobożną panią, nie mogąc jej dość podziękować i wyrazić wdzięczności za religijną troskliwość około zwłok ojca.

Niebawem zjawiła się mamka Domicylli, stara, wierna Serafia, niosąc na rękach dwóch synów Klemensa, Sabina i Marcyusza. Matka zbliżyła ich do ciała męczennika, jakby chcąc uświęcić dzieci dotknięciem świętych zwłok.

Gdy pierwsze wzruszenie przeszło, zapalono około paradnego łoża pochodnie woskowe i lampy, napełnione pachnącą oliwą. Chrześcijanie zaś z domu Klemensa po kolei śpiewali pobożne hymny przy zwłokach męczennika.

W nocy, włożywszy ciało do trumny z drzewa cedrowego, przeniesiono je w lektyce za miasto. Spuszczono ją do tychże samych katakomb, które poznaliśmy w dniu, gdy Klemens śledził swą małżonkę, i zaniesiono do sali, poprzedzającej miejsce zwykłych zgromadzeń. Na kamieniu, zamykającym grobowiec, wyryto

dwie palmy na krzyż złożone, a między niemi napisano dwie pierwsze litery błogosławionego nazwiska Jezusa Chrystusa. Poniżej umieszczono napis, przechowany szczęśliwie do dnia dzisiejszego:

„Chrystus dał ci wszystko, a ty odpowiadasz mu śmiercią Gaudencyusza: takto okrutny Wespazyanie okazujesz twą wdzięczność, ale Chrystus zgotował mu inną nagrodę w niebie [1]).

Nazajutrz po pogrzebie Gaudencyusza, Domicyan poprosił Klemensa, aby mu odstąpił Manahema. Związek przyjaźni Izraelity z księciem, jakoteż przeświadczenie o udziale Manahema w sprawie Gaudencyusza, łatwo skłoniły Klemensa do przystania na tę propozycyę.

Odtąd należał Manahem do domowników Domicyana, który mu powierzył najważniejsze czynności w domu i obdarzył go zupełnem zaufaniem. Rozłączenie to uwolniło Klemensa od nieustannego szpiegowania, uparty bowiem żyd był jedynym ze sług Klemensa niechrześcijaninem, a nawet trzeba było rozstać się z nadzieją nawrócenia go.

Po upływie tygodnia po śmierci Gaudencyusza, pomyślał Klemens o spełnieniu obietnicy, danej męczennikowi, to jest o zapewnieniu szczęścia Kalebowi i Eufemii. Wywiązując się z tego zadania, poprowadził młodych narzeczonych na zgromadzenie chrześcijan, któremu natenczas przewodniczył sam najwyższy kapłan, Klemens. Tam w podziemnej sali, zamienionej na kościół, odbył się ich ślub wedle obrządków Kościoła. Towarzyszyły mu gorące modły wiernych za nawróconego Izraelitę i córkę męczennika.

Najwyższy kapłan w rozrzewniającej mowie przypomniał im szlachetny przykład Gaudencyusza, jego wzniosłe zasady i cnoty i zaklął ich, aby okazali się godnymi tego męczennika, tego walecznego sługi Jezusa. Piękna to była chwila w tej uroczystości chrześcijańskiej, obchodzonej w podziemiu pomiędzy grobami, a przy świetle kagańców i pochodni.

Przy komunii wszyscy obecni, a na czele młode małżeństwo, zbliżyli się do ołtarza, ażeby przyjąć Przenajświętsze Ciało Zbawiciela. Łzy płynęły z wielu oczów, a wzruszenie było ogólne.

W dwa dni później, pod zasłoną ciemnej nocy Kaleb i Eufemia, opuściwszy jak najtajemniej dom Klemensa, udali się do portu Ostyi, gdzie wsiedli na okręt, odpływający do Palestyny....

---

[1]) *Roma soterranea* 1, 3, str. 22. Napis ten jest przytoczony w tej książce, opisującej pomniki katakomb. Świadczy on, że Wespazyan nie zawsze oszczędzał chrześcijan; nie rzucamy więc bez powodu cienia na jego imię.

Nie potrzebujemy tu mówić, ile boleści sprawiło to rozłączenie, zarówno zostającym, jak odpływającym. W pierwszych wiekach wiara chrześcijańska jednoczyła ścisłemi węzłami członków Kościoła, a nadto serdeczna i święta przyjaźń łączyła między sobą Klemensa, Domicyllę, Kaleba i Eufemię. Ale szlachetne te dusze były gotowe do ofiar, bo w uczuciach religijnych zaczerpnęły odwagi potrzebnej wśród podobnych okoliczności.

Gdy Manahem dowiedział się, że Kaleb wraz z Eufemią opuścili dom Klemensa, zadrżał z gniewu i poruszył wszystkie sprężyny, aby dójść, dokąd uszły ofiary jego przed straszliwą zemstą. Wszystko jednakże okazało się nadaremnem; pomimo wszelkich usiłowań, nie mógł odkryć ich śladów, a nie przypuszczał, aby śmieli udać się do Judei.

Zaprzestawszy więc bezowocnych poszukiwań, zaprzysiągł wywrzeć całą swą zemstę na rodzinie Klemensa.

Zobaczymy w następnych rozdziałach, czy zawzięty żyd dotrzyma słowa. Tymczasem przyszłość przedstawiała mu się w świetnych kolorach; spoglądał też na nią pewnem i radosnem okiem.

Wespazyan nie długo mógł już panować — następca jego Tytus miał zdrowie podupadłe i styrane przez rozpustę i hulanki. Co większa nie miał dzieci; łatwem więc było do przewidzenia, że w niedalekiej przyszłości Domicyan z kolei zasiędzie na rzymskim tronie.

Socyaliści w Niemczech
i
OBRADY NAD UCHWALONĄ PRZECIW NIM USTAWĄ.

(Grzechy i cnoty Niemców — Stan dzisiejszy — Historycy — Sądy — Gründerstwo — Żydzi i rozpusta — Pierwsze pojawienie się socyalistów — Lassalle — Bebel i Bismark — Układy kanclerza z Lasallem — Rok 1871 — Nowella w 1875 r. — Układy Bismarka z partyą national-liberalną — Strzał — Projekt do prawa przeciw socyalistom — Stronnictwo katolickie — Powtórny zamach na cesarza — System wolnego handlu — Układy w Kissingen — Zgoda z liberałami — Stronnictwo katolickie i konserwatywne podczas obrad nad ustawą — Bebel i Reichensperger o przyczynach rozwoju socyalizmu — Posłowie polscy)

Rozprawy, które się toczyły w ubiegłym miesiącu w parlamencie rzeszy niemieckiej nad ustawą o socyalistach, i które się zakończyły uchwaleniem tej ustawy w tej mniej więcej formie, w jakiej ją rząd był przedłożył, tyle światła rzuciły na obecny stan Niemiec i stosunek wzajemny stronnictw, że krótka o nich wzmianka nie będzie bez interesu i dla tych części kraju, które zwykle sprawami wewnętrznemi Niemiec szczegółowo się nie zajmują.

I.

Był czas, kiedy zgadzano się na to, iż jakiekolwiek są grzechy Niemiec polityczne względem państw i narodowości innych, wielkie ich cnoty prywatne żadnym sposobem zaprzeczyć się nie dadzą. Wychwalano ogólnie pracowitość, oszczędność, zamiłowanie w życiu familijnem, nieskazitelność w urzędzie, gruntowność na polu naukowem. Dzisiaj z tych wszystkich przymiotów mało co się zostało: w naukach przyrodzonych panuje najgrubszy materyalizm i przeczenie wszelkiemu objawieniu; na polu badań historycznych niechęć do Kościoła katolickiego i idealizowanie *quand même* nowoutworzonego cesarstwa niemieckiego pod hegemonią Prus wytworzyły szkołę historyków, jak Sybel i Treitschke. Że niepodległość sądów także wielki poniosła uszczerbek, najlepiej dowodzą liczne procesa i wyroki, podług życzenia rządu to na katolików, to na socyalistów spadające. Od czasu gründerstwa i miliardów, skończyło się i z oszczędnością niemiecką, a ktokolwiek zna trochę stosunki berlińskie, ten o panującej tam rozwiązłości obyczajów dostateczne może mieć wyobrażenie. Liczba osób uczęszczających do kościołów protestanckich wynosi 2 % ogólnej liczby mieszkańców tej stolicy. Przy tak ogólnej obojętności religijnej nie dziw, że klasa biedna robotników i niższych urzędników, widząc u góry najwyuzdańszą rozpustę, głównie w klasie żydowskich bankierów i kupców, rzuciła się w objęcia socyalizmu, który występował z obietnicą wyrwania ich z niedoli, a przynajmniej zrównania wszelkich warstw w społeczeństwie. Nauka ta, znana od najdawniejszych czasów, w dzisiejszej swej formie w Rossyi pod nazwą nihilizmu, w Anglii i Ameryce fenianizmu, w reszcie Europy kommunizmu, socyalizmu lub socyalnej demokracyi występuje i do ogólnego przewrotu dąży, dotąd jednakże nie zdobyła się na postawienie programu, co w razie zwycięztwa na miejscu zburzonego porządku społecznego postawić zamierza. Zjawiła się ona w Niemczech około roku 1848, lecz pierwsze jej początki bardzo były skromne. Dopiero około 1860 roku wystąpił Lasalle, którego dzisiaj jeszcze całe stronnictwo za proroka swego uważa, pomimo niezbyt chwalebnej śmierci w pojedynku, z powodu nieczystej intrygi miłośnej. Od niego zaczyna się potężniejszy wzrost socyalizmu. Jakie były rozmaite wpływy, które się do tego wzrostu przyczyniły, pokazało się przy dopiero co minionych rozprawach w parlamencie niemieckim. Tam socyalista Bebel, odwołując się na dokumenta i na świadectwo kolegi swego Fritsche wykazał, że Bismark przez całą zimę 1863—4 w ścisłych zostawał z Lassalem stosunkach, że zgadzał się na żądane przez tegoż zaprowadzenie powszechnego głosowania i utworzenie *Productive Association* (związków robotników dla prowadzenia na własną rękę swoich procederów) i zasilanie takowych pieniędzmi państwowemi pod warunkami, że Lassalle wpływu swego na klasy robotnicze użyje, ażeby zpopularyzować idee jedności niemieckiej pod przewodnictwem Prus. Zerwane z Lassallem stosunki nawiązano na nowo z Lihweitrerem, i wracano do nich po kilka razy, aż do ostatnich czasów. Kanclerz do stosunków z Lassalem przyznał się zupełnie, od późniejszego popierania socyalizmu bronił się słabo i dowiódł raz więcej, że nie przebiera w środkach, gdy chodzi mu o dosięgnięcie celu, i że jego zasady nie przeszkadzają mu po kolei z każdem stronnictwem się łączyć, by dawniejszych sojuszników zwyciężyć.

Jednakże socyalizm, z początku popierany jako potrzebna cegiełka do zbudowania jedności niemieckiej, i jako postrach na bourgoisię liberalną, zaczął przybierać niepokojące rozmiary.

Dzięki powszechnemu głosowaniu, które Bismark, nie wiedzieć czy dotrzymując obietnicy zrobionej Lassallemu, był jako fundament konstytucyi cesarstwa zaprowadził, już 1871 dostali się do parlamentu najsłynniejsi z niemieckich agitatorów: Bebel i Liebknecht. Przy następujących wyborach już dziewięciu socyalistów otrzymało krzesło poselskie, a widocznem było, że ruch socyalny coraz dalej sięga. Już wtedy rząd wystąpił ze środkami zaradczemi i w roku 1875 wniósł nowellé do kodeksu karnego. Parlament jednakże wszystkie paragrafy polityczne, dążące do uciśnienia wolnośei prasy i stowarzyszeń, odrzucił. Po wyborach 1877 r. trzynastu socyalistów weszło do parlamentn. Lecz tak rząd jak i stronnictwa, mające większość, czem innem były zajęte. Rząd potrzebował nowych podatków na utrzymanie wojska i myślał o zaprowadzeniu monopolu tabacznego, również o powróceniu do ceł protekcyjnych, dla wyratowania z ostatniej nędzy przemysłu krajowego. Stronnictwo narodowo-liberalne, które od dawna liberalnem być przestało, za ciągłe ofiary z przekonań swoich zażądało zapłaty i z stronnictwa rządowego zapragnęło wyjść na stronnictwo rządzące z członkami swymi w ministeryum. Zaczęły się układy między kanclerzem a przywódcami partyj national-liberalnych, wyliczały gazety nazwiska przyszłych ministrów, już Bawarczyk Schenk v. Staufenberg złożył mandat do Izby bawarskiej i z Monachium przeprowadził się do Berlina, czekając każdej chwili nominacyi, gdy w tem rozbiły się układy. Czy o kwestye zasadnicze, czy też osobiste chodziło, nie wiadomo, lecz rozdrażnienie wzajemne było bardzo wielkie. W tych warunkach zaszedł niesłychany wypadek, że do cesarza niemieckiego, którego cała publiczność stolicy z niekłamaną czcią i radością przy każdej sposobności witała, w tejże stolicy na najgłówniejszej z ulic strzelono. Ujęty sprawca, robotnik Hoedel, przyznał się do zasad socyalistycznych. Przeraziła wszystkich przepaść, nad którą się ujrzano i rząd przedłożył parlamentowi projekt do prawa przeciwko socyalistom. Projekt ten ścieśniał, a raczej czynił illuzoryczną wolność prasy, zebrań i stowarzyszeń, policyę wyposażał nowemi atrybucyami. Stronnictwo katolickie (centrum) i Polacy zanadto byli przez ciąg ostatnich lat Kulturkampfu doświadczyli, do czego dochodzi przemoc władzy policyjnej, żeby się byli mogli zgodzić na przedłożoną ustawę. Stronnictwo postępowe nie mogło także głosować za zniszczeniem tych wszystkich wolności, o zdobycie których przez 30 lat walczyło. Konserwatywni w obydwóch odcieniach ledwie jedna trzecią część Izby stanowili, potrzeba więc było rządowi poparcia narodowo-liberalnych. Lecz zerwanie układów o wejście do ministeryum, owszem oddanie dwóch tek ministeryalnych konserwatywnym, w osobie hr. Eulenburga i hr. Stolberg Wernigerode, srodze było zraniło dowódzców stronnictwa. Postanowiono pokazać swą niezawisłość i raz przynajmniej powrócić do dawniejszych tradycyj. Oświadczono się przeciwko wszelkim prawom wyjątkowym, projekt rządowy upadł znaczną większością. Ledwie deputowani wrócili do domów, przyszła wiadomość o powtórnym zamachu,

II.

Jak tylko się wiadomość o zbrodniczym czynie Nobilinga rozeszła po kraju, kraj cały wydał okrzyk oburzenia przeciwko socyalistom, tak wszyscy byli przekonani, że oni to pośrednio lub bezpośrednio na popełnienie zbrodni wpłynęli. Prasa urzędowa i półurzędowa nie omieszkała wpływać na opinię w tym samym kierunku. Nie podpada wątpliwości, że pod presyą oburzenia publicznego parlament wtedy zwołany odrzucone przed tygodniem prawo byłby znaczną większością przyjął. Oświadczyły się z tem głośno gazety narodowo-liberalne. Lecz kanclerzowi nie chodziło o to jedno prawo, system wolnego handlu doprowadził przemysł niemiecki do takiego upadku, że jedynie w powrocie do ceł protekcyjnych widział on sposób przyjścia mu w pomoc, do tego zaś w istniejącym parlamencie nigdyby nie był otrzymał większości, skorzystano więc z nadarzającej się sposobności, żeby narodowo-liberalnych za ich głosowanie ukarać, parlament rozwiązano i rozpisano nowe wybory. Chodziło teraz o to, żeby jak najwięcej przeprowadzić kandydatów konserwatywnych; ci i przeciwko socyalistom i za cłami protekcyjnemi głosować będą. Wszczęła się zacięta walka między rządem a stronnictwami liberalnemi. Nie było oszczerstwa i potwarzy, którychby sobie w twarz nie rzucono, bądź to w zebraniach wyborców, bądź w gazetach. Równocześnie zaś, ponieważ trudno się było łudzić, że konserwatywni sami będą stanowili większość, zaczęto się przymilać katolikom. Kulturkampf zwolniał cokolwiek i zaczęto układy w Kissingen.

Kampania rządowa nie zbyt się udała. Liberalni stracili wprawdzie 40 krzeseł, które się dostały konserwatywnym, lecz to nie wystarczało, żeby tym ostatnim dać większość w Izbie. Tak Rzym jak i stronnictwo katolickie dowiodło, że się obietnicami nie zaspokoją, że jedynie zniesienie praw majowych może przywrócić stały pokój. Do porozumienia nie przyszło. Trzeba się było pogodzić z liberałami, których przed krótkim czasem z taką zaciekłością zwalczano. Szczęściem dla kanclerza stronnictwo to równie gorąco pragnęło zgody. Nowy projekt rządowy ustawy o socyalistach w gruncie w niczem się nie różnił od poprzedniego, ledwie kilku formalnych zmian dopatrzeć się można było. Pomimo to przywódzcy stronnictwa, ci sami, którzy tak stanowczo w maju oświadczyli się przeciwko wszelkim prawom wyjątkowym, Benningsen, Bamberger, Lasker, starali się dowieść, że dzisiaj prawo takie konieczne. Udało im się to po części, swoje przynajmniej stronnictwo przekonali zupełnie, narodowo-liberalni do ostatniego głosowali za prawem. Chodziło o to, aby takiem poddaniem się woli rządu powrócić do łaski wszechmocnego kanclerza, i być na nowo uważanymi za stronnictwo rządowe. Przypomina się Tacytowskie: *in servitutem ruunt propter dominationem.* Zresztą bourgoisia liberalna pierwsza zawsze w strachu przed *le spectre rouge* i grożącym komunizmem. Dla stronnictw katolickiego i konserwatywnego było wspaniałe pole, żeby wypowiedzieć, zkąd złe przyszło i czemu swój rozwój zawdzięcza. Umiano z tego korzystać; u mówców jednego i drugiego stronnictwa znajdujemy tę samą myśl, którą każdy ze swego stanowiska rozprowadza, że ojcem socyalizmu jest nowoczesny liberalizm; że wszystko, co nas oburza w socyalizmie, już w zarodzie znajduje się w liberalizmie, że

cały kierunek szkoły i prawodawstwa nowoczesnego do liberalizmu a następnie do socyalizmu prowadzi.

Jeden z najpoważniejszych konserwatystów p. Kleinst-Retzow, znany z swej gorliwości w wierze luterskiej, przypomniał nieszczęsne skutki Kulturkampfu, który zamiast wyjść na korzyść oświaty i cywilizacyi, przeciwko niej się obrócił. Wskazał na dawniejsze szczęśliwsze czasy, gdy Kościół z państwem od chrztu do ślubu i grobu wspólnie każdego przeprowadzał, a dzisiaj zgodę tę zniosła ustawa o stanie cywilnym. Nic słuszniejszego, jak oswobodzić pojedyńczego człowieka z stosunków pańszczyznianych lub z przymusu cechowego, lecz czy konieczne było do przeprowadzenia tego zniszczenie wszelkiego uszanowania dla władzy, czy oną reprezentuje pan, czy majster, czy nawet w szkole nauczyciel. A cóż dopiero powiedzieć o prawodawstwie, które legalnie pozwala na wszelkie szacherki gründerskie, choćby o miliony chodziło, gdy najmniejsza kradzież srodze karana. Czy to nie wszystko przyczyną do wzrostu socyalizmu?

Nie mniej trafne są uwagi socyalisty Bebla nad prz zynami rozwoju socyalizmu. Oto ustęp z jego mowy: „Socyalizm obejmuje ekonomię polityczną, nauki przyrodzone, historyę, filozofię, jednem słowem wszystkie umiejętności. Cały tegoczesny kierunek nauk sprzyja naszym ideom. Przed niedawnym czasem powstało pytanie, czy te nowe teorye w naukach przyrodniczych, które ogólnie pod nazwą darwinizmu są znane, przyczyniają się lub nie do wzrostu socyalizmu. Najwybitniejszy reprezentant tych teoryj w Niemczech Haeckel przeczy, gdy prof. Virchov nie zbyt tym teoryom przychylny, twierdzi przeciwnie. Widocznie prof. Haeckel nie zajmuje się kwestyą społeczną, inaczejby wiedział, z jaką koniecznością darwinizm pcha do socyalizmu, tak jak z drugiej strony socyalizm koniecznie godzić się musi z darwinizmem, jeżeli chce celu swego dopiąć. Jest fałszem utrzymywać, że stronnictwo socyalne jest ateistycznem. Stronnictwo bowiem od członków swoich nie wymaga żadnego określenia stanowiska religijnego. Mojem zdaniem jednak, musi ostatecznie socyalizm do ateizmu doprowadzić. Lecz te ateistyczne nauki, które w panach taki strach wzbudzają, któż je naukowo i filozoficznie uzasadnił? Byliż to socyaliści: Edgar i Bruno Bauer, Feuerbach, Dawid Straus, Ernest Renan? Nie; byli to ludzie nauki, którzy po większej części stali na stanowisku liberalnem. Kto rozkupił aż cztery wydania ostatniego dzieła Dawida Straussa: *O dawnej i nowej wierze*? Z pewnością nie socyaliści i robotnicy, gdyż książka za droga, lecz liberalne mieszczaństwo, które po większej części wrogie nam jest". Nikt nie zaprzeczy, że wielka się w tych słowach mieści prawda. Zaprzeczać nieśmiertelność duszy w książkach i naukach, a żądać od ludu, aby biedę swoją cierpliwie znosił jest niepodobnem. Jeżeli mu się odejmie wiarę w lepszą przyszłość, nie potrafią go z pewnością utrzymać w karności same tylko paragrafy policyjne. Wykazał to wymownie poseł Reichensperger w pięknej mowie, z której oto wyjątek: „Muszę przyznać, że wzrost ten socyalizmu dopiero w ostatnich latach nastąpił, zdaniem mojem dopiero od r. 1872.

Przypada więc równocześnie z niesłychanem pozornem podniesieniem się dobrobytu w Niemczech a rzeczywistym jego upadkiem. Przypada także podczas ogólnego skierowania wszelkich prywatnych i publicznych namiętności przeciwko dotychczasowemu religijnemu stanowisku szkoły i Kościoła.

Zdawałoby się, że już to równoczesne zjawienie się pozwala wyciągnąć wniosek, jaka jest przyczyna powstania i rozszerzenia się złego. Według mnie to zatrucie mas w państwie niemieckiem stało się tylko możliwem przez to, że socyalno-demokratyczni agitatorowie cierpiącej niezawodnie części naszych robotników biedę i nędzę ich stanu wystawiali w kolorach zbyt ostrych, wzywając równocześnie do zazdrości i nienawiści względem mniemanych ciemiężców. Wystrzegano się naturalnie przy tem czynić odpowiedzialnymi pojedyńcze indywidua, lub robotników jako takich, lecz całą odpowiedzialność spędzano na obecny stan społeczeństwa. Żeby ostatecznie agitacyę wyzyskać, wystawiono ludowi, że z tem życiem wszystko się kończy, że tu zatem używać trzeba, jeżeli w ogóle życie ma mieć jakąkolwiek wartość. Do tego zaś, żeby wszystkim równe używanie zapewnić, a przynajmniej wszystkich doprowadzić do tej samej nędzy, trzeba dzisiejsze społeczeństwo rozbić, gdyż dobrowolnie nie ustąpi. Otóż zapytuję panowie: tym szalenstwom, tej mięszaninie humanitarnych dążności i rozkiełzanych namiętności, czy potrafią zapobiedz uchwały bundesrathu i czynności policyjne albo nawet tak zwana oświata i systemata filozoficzne? Mnieby się zdawało, że odpowiedź musi wypaść przecząco, i że każdy zdrowo myślący musi przyznać, iż tylko wewnętrzne wyleczenie jest możliwe. Złe może być pokonane tylko ze stanowiska chrześcijańskiego, które uczy o konieczności walki każdego człowieka, z złemi swemi chuciami i które ostateczny wymiar sprawiedliwości dopiero w przyszłem życiu obiecuje. Gdyby zaś powiodło się agitatorom wykorzenić z serca ludu te chrześcijańskie przekonania, wtedy nie waham się powiedzieć, że lud nie byłby w stanie wytrzymać pod brzemieniem uciskającej go niedoli. Wtedy, po upadku chrześcijańskiej pewności o wymierzyć się mającej sprawiedliwości Boskiej, ufny w liczbę i siłę swych ramion powstanie i porządek społeczny rozbije.

Do tego dąży ruch socyalno-demokratyczny. Przypominam sobie jeszcze, gdy ojciec socyalizmu, Proudhon, postawił pewnik, że ażeby na tym świecie zapewnić szczęście ludu, trzeba mu odebrać ostatnią iskierkę wiary w nieśmiertelność. Tylko takim sposobem może dójść socyalizm do celu. Tę receptę Proudhona zastosowano do Niemiec. Całą siłą oddalano lud od wszelkich chrześcijańskich przekonań, głównie podburzano go przeciwko wszelkiej idei katolickiej. Logika, która się w tym systemie Proudhona znajduje, jest dla mnie niezaprzeczoną. Dlatego też ratunek jest tylko możliwy na drodze, którą cesarz niemiecki w przemowie do ministrów po pierwszym zamachu wskazał, mówiąc, że religia musi być utrzymana między ludem, a na nieszczęście przychodzi mi już powiedzieć: przywrócona między ludem. Nawrócenie jest konieczne i to nietylko klas wydziedziczonych, lecz także posiadających i wykształconych. Tak jak z góry przyszło złe, tak i z góry musi przyjść poprawa. Musi się ona rozciągnąć na życie publiczne i prywatne, na Kościół i szkołę, od uniwersytetu do ostatniej szkółki wiejskiej; jeżeli poprawy nie będzie, obym się mylił, że się doczekamy w przyszłości demokracyi socyalnej, przy której komuna paryzka wydawać się będzie sielanką".

W tym samym duchu przemawiali i inni członkowie centrum; lecz te jasne prawdy, które tak dobitnie wypowiadali, odbijały się bez skutku od liberalnych większości. Uchwalono ustawę policyjną, bo trzeci stan, który całym szeregiem rewolucyj i przewrotów wydarł władzę szlachcie i ducho-

wieństwu, uważa się dzisiaj za jedynego uprawnionego władcę i wszelki bunt przeciwko swej powadze gotów w strumieniach krwi utopić, lecz zasady zostaną te same i liberalizm dalej panoszyć się będzie, a przynajmniej walczyć do upadłego. Przekonał się rząd, że stronnictwo konserwatywne samo podołać mu nie potrafi. Oby więc jak najprędzej zawarł ugodę z Rzymem, i powrócił do zasad szczerze chrześcijańskich, równie potrzebnych w życiu publicznem narodów, jak i w życiu prywatnem indywiduów. Lecz po ludzku rzecz sądząc, do urzeczywistnienia tych nadziei jeszcze daleko.

W dyskusyach nad ustawą kilka razy zabrali głos Polacy. Dzięki Bogu, u nas socyalizmu dotąd nie ma. To też posłowie nasi ograniczyli się na skonstatowaniu tego faktu i oświadczyli, że wobec nadużyć, których się policya co dzień u nas dopuszcza (p. Niegolewski przypomniał ohydne nadużycia Bärensprunga) nie podobna nam głosować za powiększeniem attrybucyj tejże władzy.

Ustawę o socyalistach nazajutrz po przejściu przez parlament publikowano. *Ω.*

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

(**„Kraków aż do początku XV wieku“**. Jako wstęp do wydania najstarszych ksiąg tego miasta, napisał Dr. Józef Szujski. W Krakowie, nakładem Akademii umiejętności, 1878).

Od czasu do czasu słyszymy słuszne utyskiwania i skargi na tę tak zwaną intelligentną publiczność naszą, że ogranicza się niemal wyłącznie na lekturę czasopism i płodów literatury lekkiej, zamiast oświecać i krzepić umysł za pomocą dzieł naukowych, które w skutek tego butwieją na pułkach bibliotecznych i księgarskich.

Jestto fakt smutny i dla kraju naszego upokarzający; wypada tedy koniecznie poznać źródło złego i wynaleźć środki, zdolne je odwrócić. Wyczerpujące zbadanie tego ważnego przedmiotu wymagałoby osobnej rozprawy; my tutaj chcemy zwrócić uwagę na jedną jego stronę, a mianowicie bodaj pobieżnie dotknąć kwestyi, o ile najwyższa nasza instytucya naukowa, krakowska Akademia umiejętności spełnia swoje wzniosłe zadanie, polegające zarówno na posuwaniu naprzód nauki, jak na udzielaniu zdobyczy wiedzy światłemu ogółowi.

Przedewszystkiem więc chcielibyśmy zaznaczyć nasze stanowisko wobec Akademii, wielce różne od stanowiska tych odwiecznych malkontentów, co z jakichkolwiek ubocznych i nienaukowych względów występują przeciw niej z najdziwniejszemi uroszczeniami, nieraz w sposób niesmaczny i brutalny, jak to uczynił przed kilku tygodniami *Tydzień.*

Pełni głębokiego uszanowania dla samej instytucyi, szczerego uznania dla jej skrzętnych usiłowań, uważamy jednak za naszą powinność wskazać okoliczności, które wedle nas zmniejszają nadzwyczajnie użyteczność jej działania. Akademia powinna zbliżyć się więcej tak do uczonych, którzy ją zasilać mogą, jak niemniej do społeczności, dla której pracuje. Pierwsze nasze zdanie wyda się może dziwnem i niewłaściwem, a jednak wskazują fakta, że jest słusznem. Ciała naukowe, jeźli mają prosperować, powinny nietylko zawiązywać stosunki z pierwszorzędnemi siłami naukowemi, lecz także związki te utrzymać, a samych uczonych jak najprzychylniej dla siebie usposobić. Nie zawsze się to udawało Akademii, a moglibyśmy wymienić wielu pisarzy, których współudział z pewnością jest jej bardzo pożądanym, a których zraziła, drukując dopiero po całych latach nadesłane przez nich prace; między tymi prof. Antoniego Małeckiego i ks. prof. Emila Ogonowskiego. Nie myślimy ani na chwilę pomawiać Akademii o partykularyzm; godziłoby się jednak, sądzimy, unikać nawet pozorów, któreby pozwalały przypuszczać, że miejscowi uczeni doznają większych względów, aniżeli postronni, że ich prace, choć nieraz słabe, dostają się prędko pod prasę, podczas gdy po za-krakowskie rękopisy po kilka lat czasem spoczywają w tece.

Tyle w stosunku do piszących. Co do publiczności, zaniedbywanie przez nią akademickich wydawnictw płynie po części z winy samej Akademii. Czemu Akademia nie rozsyła swych publikacyj przynajmniej literacko-naukowym czasopismom, ażeby te za pomocą sprawozdań zapoznawały z niemi myślący ogół i zachęcały go do czytania? czemu nie puszcza w handel księgarski osobnych odbitek przystępniejszych dzieł, bo nie każdego stać na to, aby kupował całość?

Przytem, gdyby Akademia, nie ujmując wcale źródłowości swych wydawnictw, obok cennych wydań źródeł *in crudo*, starała się także więcej o prace kompozycyjne, mogłaby liczyć na nierównie szersze koło czytelników. Potrzebę tego kierunku w publikacyach czuł widocznie profesor Szujski, oświadczając, iż rzecz jego, nosząca tytuł: *Kraków aż do początku XV wieku*, napisana jako wstęp do wydania najstarszych ksiąg tego miasta, jest przeznaczona na to, „aby z źródeł, świeżo przez Akademię wydanych, pierwszy dla szerszej publiczności zrobić użytek“.

Piękną więc pracę prof. Szujskiego witamy jako dobrą wróżbę, jako zbliżenie się do tej społeczności, na łonie której wzrosła i za-

kwitła Akademia. Rzecz ta jednak o tyle mniej plastycznie przedstawić się musiała, że szczegóły są zbyt różnorodne i rozproszone, a dla wielu szczerb i braków, dla wielu kwestyj wątpliwych, zamiast być złączone w organiczną całość, musiały się z natury rzeczy rozpaść na tysiące przedmiotów, traktowanych z osobna raczej w formie krytycznego badania, aniżeli opowieści. Bo i jakżeż myśleć o początkowej historyi sławnego naszego grodu, skoro „najgrubsza ciemność otacza nietylko dzieje samego Krakowa, aż do zabicia św. Stanisława, ale nawet stosunek jego do właściwej ówczesnej Polski“, skoro „po Bolesławie Chrobrym, Mieczysławie II, Kazimierzu I, śladu nie zostało w szczegółowych dziejach miasta“ a i w późniejszych czasach na każdym kroku mnóstwo punktów spornych. I na tem właśnie polega głównie zasługa Szujskiego, że utorował innym drogi przez puszcze i manowce, że światłem krytyki zbijał fałsze dziejowe i ułatwiał zrozumienie różnych kwestyj mniej biegłym znawcom ojczystej przeszłości, którą studyuje z tak gorącym zapałem.

Sama metoda, przyjęta w rozprawie, odejmuje nam możność zwięzłego streszczenia jej rezultatów; ograniczymy się przeto na przytoczeniu kilku z niej wyjątków.

Nowa lokacya Kleparza, nazwanego od kościoła św. Floryana Florencyą, przykre wśród mieszczan sprawiła wrażenie; skłoniła ich nawet do wystosowania petycyi, pełnej skarg i żalów, z powodu ustanowienia wywozu i wagi na dochód królewski w mieście Florencyi. „Z tą skargą wiążą się inne, w niezwykle gorzkim kreślone tonie. Miasto, skarży się memoryał, stęka pod rządami żydów, którzy nietylko sami sobie wymierzają sprawiedliwość, chwytając winnych za niewinnych i oddając ich na zamek, ale ukrywają złodziei i fałszują listy“.

Widocznie protegowani przez miłośnika Esterki synowie Izraela dawali się Krakowianom dotkliwie we znaki, kiedy mówią o nich z taką goryczą. Wpływ żydów był już wtenczas tem dotkliwszy, że było ich wszędzie pełno, że się wszędzie umieli wcisnąć i, dzięki Esterce, wszędzie doznawali opieki. Wszakżeż nawet przy świeżo założonym uniwersytecie umieszczono żyda dla lepszej dogodności studentów, którym miał zmieniać pieniądze i udzielać pożyczek, a których zapewne obdzierał bez litości.

Od początku XIV wieku, od słynnego buntu Albertowego, przytłumionego tak krwawo, strzegą się sławetni mięszać w sprawy polityczne; nawet w zamieszcze węgiersko-polskiej (1377), nie mają

żadnego udziału. „Staranni o prawa swoje, nauczyli się ostrożnie obchodzić z polityką. Ze śmiercią Ludwika nastały czasy burzliwe, a całem zadaniem mieszczan stało się, aby je jak najbezpieczniej przepłynąć“. Wprawdzie bezkrólewie przebył Kraków „nie bez wzruszających wypadków, które mogły łatwo wyprowadzić na gołoledź polityki“, ale roztropni Krakowianie korzystając, ile się dało; „z romantycznego i burzliwego czasu“, nie narazili się nikomu. Przyjaciele pokoju, podczas którego rośli w dostatki i bogactwa, nie szczędzili zabiegów dla odwrócenia burz wojennych; toż gdy groziła wojna z Zakonem, który w skutek tego zatamował krakowskim kupcom drogę handlową na Toruń, oni to ślą do Krzyżaków listy królowej Jadwigi, która pragnie zażegnać wybuch.

„Mieszczanie krakowscy — powiada prof. Szujski w pięknym ustępie, wychodzącym już po za właściwy zakres jego pracy — wchodząc w wiek XV, mimo przywilejów i wzrostu miasta, mimo dobrych z królem, ba! z królami pogranicznymi i możnowładcami stosunków, które umieli zaskarbiać groszem, podarunkami i traktamenty, niezupełnie spokojnem w przyszłość mogli patrzeć okiem. Wszystko oczekiwało w Polsce wielkich i stanowczych z Zakonem zapasów, zwycięztwo Polski wszakże, dokonane bitnością szlacheckiego narodu i możnowładczych hufców, jak mogło chwilowo miejskiemu żywiołowi zapewnić wyborne stosunki handlowe i rzeczywiście je zapewniło, tak też i sprowadzić musiało nieuchronnie nierówną walkę żywiołu napływowego, niemieckiego, z żywiołem narodowym, która porażką pierwszego zakończyć się musiała. Walka ta wewnętrzna, podziemna, pomimo politycznej abdykacyi mieszczaństwa, wypełnia karty dziejów miejskich XV wieku, a kończy się zwycięztwem programu egzekucyjnego rycerstwa, który odsądziwszy kolejno stan mieszczański od beneficyów kościelnych, od wolności kupowania dóbr ziemskich, od prawa ustanawiania cen przez cechy rzemieślnicze, postanowieniami licznemi, szczególniej od r. 1496 na sejmach zapadłemi, pragnąc wolnego handlu z zagranicą, otworzył w r. 1565 ziemie polskie kupcom zagranicznym, a zamknął granice kraju kupcom swojskim, pozostawiając ich przemysłowe wyroby na łasce obcych, przez co sprowadził zupełne stosunków miejskich przekształcenie. Zapowiedzią tej walki niejako jest ciekawy dyplomat z r. 1398, w archiwum miejskiem przechowany. Pietrasz z Zabawy zarzucił mieszczanom krakowskim w obecności króla i rady, że przodkowie ich pana swego zdradzili a z kraju wygnali, z czego infamia spada na miasto i mieszczan. Mieszczanie w obronie przed-

stawili przywilej króla Kazimierza, oczyszczający ich, zaczem Jagiełło nałożył Pietraszowi z Zabawy i wszystkim wieczne, co się tyczy tego wypadku, milczenie. Widać ztąd, co tkwiło na dnie duszy szlacheckiej w końcu XIV wieku; rozpanoszenie się mieszczan wśród dobrych warunków najbliższego czasu nie złagodziło zaiste walki. Tkwiła ona i w samem mieszczaństwie; świadkiem los Andrzeja Wierzynka, wielokrotnie konsula i jednej z najwybitniejszych osobistości miasta, która zbliżona do króla i możnej szlachty już tem samem budziła namiętną nienawiść. Bez wezwania wójta królewskiego, bez zachowania form przepisanych, oskarżono Wierzynka o nieprawdopodobną kradzież pieniędzy przy wypłatach miejskich i stracono go mieczem (około 4 września 1406). Sprawa wytoczyła się przed króla: wójt Szaffer poświadczył, że tłómaczenie mieszczan, jakoby od udziału w sądzie chorobą się wymówił, jest fałszywem; w r. 1410 zapadł dopiero ostateczny wyrok królewski, czyniący zadość dobrej zabitego pamięci. Zabicie Andrzeja Tęczyńskiego w zakrystyi u OO. Franciszkanów w r. 1462 było tym krwawym faktem, który między szlachtą i mieszczaństwem roztworzył przepaść, nie mającą się zamknąć, jak za całkowitem niemieckiego żywiołu pochłonięciem".

Równie zajmujące i cenne są uwagi prof. Szujskiego nad kwestyą narodowościową pośród mieszczan krakowskich. Przebieg walki o kaznodzieję polskiego i niemieckiego, jakoteż niektóre inne objawy wskazują, że istniało pewne naprężenie narodowe, które w XV w. groźniejsze przybierało rozmiary. „Za Jagiełły czasów było ono w każdym razie bardzo drobne; językiem niemieckim posługiwał się tyle razy Władysław i Witołd w listach i przywilejach; wygnany starannie, prawdopodobnie rozkazem Łokietka z księgi bezspornego sądownictwa, wraca on za Kazimierza W. w wilkierzach, a pomięszany z łaciną, wraca i do konsularyów. Jak dwór, tak i możnowładztwo duchowne i świeckie, pełne poczucia siły politycznej mimo walki z niemieczczyzną, noszą cechę prawie kosmopolityczną, zachodnią, obyczajowi sąsiedniemu nie nieprzychylną. Tłómaczy to wiele szczegółów spółczesnej historyi i zażyłość przyjacielską zdradzieckiego Zygmunta, służbę u obcych Ścibora ze Ściborzyc i Dersława z Rytwian, europejski charakter rycerstwa Zawiszy Czarnego. Szlachta to niższa jak najsilniej przechowała swojskość, tak najwcześniej poczuła się do ekonomicznej i narodowej walki z mieszczaństwem. Wszakże już w r. 1438 zagroziła niepłaceniem dziesięcin kanonikom, którzy szlachtą i Polakami nie są. Zbigniew

Oleśnicki, który bursę Jerozolimską fundował *pro nobilibus et plebeis cuiuscunque condicionis et nacionis*, odpowiedział wówczas, że niepłacących dziesięcin powściągnie cenzurami kościelnemi. W roku 1496 nie znalazło się już takiej odpowiedzi. Wszakże to niemieckie, a raczej po niemiecku rządzące się i mówiące mieszczaństwo, od niefortunnej próby r. 1312 nie poczuło się już nigdy do prowadzenia polityki w interesie narodowym niemieckim. Bardzo to dobrzy, bardzo pożyteczni poddani *des allerdurchluchtigsten Kuniges und Herren*, zawsze gotowi do *concessio pecuniarum* królowi Jmci, czy z przyczyny uroczystości, czy *pro indignacione*, gdy się król na nich za nieprzywitanie przed bramami pogniewał. W miarę jak krzywo patrzano na ich narodowość, poświęcić byli gotowi i język, jak świadczą owe wokabulacye niemiecko-polskie, w których konjugacya idzie na słowie: *ich lerne polnisch* a w formularzu listu siostra podnieca brata: „Kto między nami więcey będzie umiał po polsku, ten będzie liepszy i więcey będzie mylowan od swoich rodziców...“.

O SEJMIE.

Skończyła się druga sesya czwartej kadencyi na dniu wczorajszym. Warto pokrótce o jej rezultatach powiedzieć. Naszem zdaniem ten Sejm, na pozór dosyć cichy, nie odbył się bez przeważnego dla kraju wpływu. Nie dla tego tylko, że na nim kilka ważnych uchwał powzięto, a inne jeszcze ważniejsze w dyskusyi przygotowano, nie dla tego tylko, że piękne na drodze praktycznej objawiły się talenta, i przedmioty były rozbierane tak gruntownie i świetnie, że każdej zrobiłyby zaszczyt Izbie, ale głównie dla tego że naprzód rozdział i antagonizm, który istniał między wschodnią i zachodnią częścią kraju, upadł i śladu po sobie nie zostawił. A najlepszy dowód, że najważniejsze sprawy były początkowane i popierane przez posłów Wschodnich a przyjęte przez Zachodnich. Nie etnograficznie ani geograficznie zaczęły się grupować stronnictwa ale zaczęły się kojarzyć koło zasad. Zbliżono się i nawzajem otoczono się miłością i zaufaniem. Tak samo każdy poznał wrzekome śmieszne przeciwieństwo Lwowa i Krakowa, jak gdyby te dwie stolice miały inne interesa albo różne cele. I kiedy *Gazeta Narodowa* mówiła wczoraj, że rozdział między krakowskimi i wschodnimi posłami większy jak kiedykolwiek, to, grzecznie z nią się

obchodząc, powiemy, że się myli. Ale główny punkt ciężkości działania sejmu zakończonej sesyi, to była rezolucya Koła w sprawie solidarności delegacyi. Kiedy na pamiętnem albo raczej pamiątkowem posiedzeniu 19 września Koło polskie postanowiło, że Delegacya, wypływ moralny jeźli nie prawny Sejmu, winna działać solidarnie, kiedy potępiło indywidualizm secesyonistów, to nietylko wzmocniło stanowisko Delegacyi, nietylko anarchii w jej łonie położyło koniec, ale zrobiło daleko więcej. Koło tą rezolucyą wyrzekło imieniem kraju, iż w imieniu kraju i w jego interesach mogą prawnie przemawiać tylko ciała jawnie i prawnie ukonstytuowane. Że przeto Sejm, Delegacya mają sobie oddane najdroższe sprawy narodu, że one w nich przemawiać, one odpowiedzialność brać muszą, a wszelka samozwańcza władza, wszelkie samozwańcze działanie, dążące albo do owładnienia tych instytucyj, albo do podkopania ich powagi są uzurpacyą równie nieprawą jak szkodliwą. Rezolucya przeto wyswobodziła nasz kraj koronny od tych nieproszonych opiekunów, przywróciła nominalne działanie instytucyj, ośmieliła opinię trzymaną dotąd pod teroryzmem kilku wichrzycieli, a uznała, choć tego nie mogła *explicite* powiedzieć, że ponieważ oprócz kwestyj konstytucyjnych i legalnych, istnieją jeszcze najwyższe polityczne interesa narodu, te interesa kierowane być winny przez powagi narodu, których każda prowincya dostarcza, w połączeniu z instytucyami politycznemi jakie naszemu przysłużają krajowi.

Sejm zrobił swoje. Nieh kraj zrobi teraz swoje — Oswobodzony niech się nie da na nowo zawojować, niech się nie da prowadzić próżnemi słowy, które zużyły się już w pismach publicznych, ale badając sam swoje interesa, niechaj ogląda się na powagi społeczne, których głosu i kierunku z ufnością słuchać może.

Uroczystość Matejki.

(Z *Czasu*).

Na mocy uchwały Rady miejskiej z dnia 24 października, odbyła się 30 tegoż miesiąca uroczystość wręczenia berła Janowi Matejce na znak panowania jego w dziedzinie sztuki. Rozpoczęło ją nabożeństwo w kościele katedralnym na zamku, celebrowane w asystencyi licznego duchowieństwa przez X. biskupa Janiszewskiego, który w obecności Matejki i jego rodziny poświęcił berło, ofiarowane

mu przez miasto rodzinne. Na nabożeństwo zgromadzili się licznie członkowie Rady miasta z Prezydentem na czele, prezes Akademii Umiejętności, rektor Uniwesytetu, reprezentanci sztuk i nauk z Warszawy, Lwowa i Poznania, dyrekcya tutejszego Towarzystwa sztuk pięknych, artyści-malarze, dawni koledzy i towarzysze solenizanta, oraz profesorowie Szkoły sztuk pięknych, wreszcie wielka liczba osób znakomitszych w mieście, nawet dam, tak, iż kościół był przepełniony. A wszyscy w strojach galowych, wśród których spotkać się było można ze strojem narodowym.

Po nabożeństwie udała się Rada miejska z p. Matejką i reprezentantami wyżej wymienionymi o godzinie 12 w południe do ratusza miejskiego, gdzie w przystrojonej sali radnej, przed znajdującym się tamże obrazem *Bitwa pod Grunwaldem*, odczytał sekretarz Rady miasta p. Zawiłowski uchwałę z dnia 24 października następującej osnowy: „Zważywszy, że współobywatel nasz Jan Matejko, w dziedzinie sztuki malarskiej wzniósł się do wyżyn przedtem w narodzie Polskim niedoścignionych i dziełami swemi wobec areopagu świata cywilizowanego zajaśniał jako mistrz w ogólnej pracy ludzkości na polu sztuki;

zważywszy także, że sławą niespożytą dla siebie zdobytą przysporzył chwały i sławy narodowi naszemu i złożył niezatarte dowody jego życia i żywotności;

zważywszy dalej, że jako artysta-mistrz narodowy w nieśmiertelnych swych dziełach, jak: *Piotr Skarga*, *Rejtan*, *Unia lubelska*, *Stefan Batory, Bitwa pod Grunwaldem*, przyodziewając w ciało karty dziejów polskich, wskrzesił postacie naszych bohaterów, odtworzył ich wiekopomne czyny, a tak nam i obcym okazał na nowo obrazy świetnej i drogiej przeszłości narodu z tą siłą geniuszu, jaki mu przyznała Europa;

zważywszy nareszcie, że mąż ten, należący do całego narodu, ma prawo do wdzięczności całej Polski, przedewszystkiem wszakże tego grodu, w którym się urodził, wychował, i któremu pomnikowemi pracami swemi, wpośród nas wykonanemi, do świetnej jego historyi nową, pełną blasku kartę dołączył;

zważywszy te wszystkie zasługi Jana Matejki wobec sztuki, narodu Polskiego, dziejów polskich, i wobec miasta naszego, Rada miasta Krakowa uchwaliła: „Janowi Matejce, obywatelowi miasta Krakowa ofiarowane być ma berło jako symbol jego panowania w dziedzinie sztuki“

Następnie zabrał głos prezydent miasta Dr. Zyblikiewicz:

„Myśl zawarta w odczytanej uchwale Rady m. Krakowa jest dalszym ciągiem stanowiska i posłannictwa, jakie Kraków w rozwoju cywilizacyi i oświaty narodowej zajmował.

Stanowisko to i połączone z niem obowiązki liczą już przeszło pięć wieków.

Kiedy Kazimierz Wielki, zakładając Akademię, nadawał jej organizacyę i obdarzał ją prawami i przywilejami, zażądał od m. Krakowa submisyi dla swojego statutu i przyrzeczenia, iż miasto stać

będzie na straży praw i przywilejów nowej instytucyi. W roku 1364 w dzień Zielonych Świątek magistrat krakowski podpisał ów akt submisyi i przyjął na siebie powyższe zobowiązania, które następnie Władysławowi Jagielle ponowił.

Musiał też nowy przybytek nauk i sztuk zastać grunt dobrze przygotowany i uprawiony, gdyż w krótce promieniami światła oświecał nietylko Polskę, lecz i sąsiednie kraje. Na tym tu gruncie zakwitły i rozrosły się pierwiosnki humanizmu, a krzewiciel ich Grzegorz z Sanoka wyprzedził w tej mierze ówczesne narody Europy. Tu w Krakowie, Wojciech z Brudzewa układał systemata astronomii, z których uczeń Kopernik wkrótce ogłosił światu, iż stoi słońce, a wiruje ziemia. Tu w Krakowie mieszczanin krakowski Wit-Stwosz zajaśniał w sztuce snycerskiej i zaledwie dwóch w Europie znalazł współzawodników. Nietylko wiedza kwitła tu i sztuki, lecz pochodnia światła ogrzewać musiała umysły i serca, skoro w chwili, kiedy cała Europa z powodu sporów religijnych we krwi się kąpała, w Polsce jednej panowała tolerancya religijna, jakiejby jej niejedno z dzisiejszych państw, mających pretensye do przodowania w cywilizacyi, dziś nawet pozazdrościć mogło.

Ta *dulcis recordatio praeteritorum* i ten akt dzisiejszej uroczystości niechaj będą stwierdzeniem odwiecznego stosunku m. Krakowa do nauki i sztuki, niechaj będą ponowieniem przyrzeczeń danych niegdyś przez Kraków Kazimierzowi Wielkiemu i Władysławowi Jagielle i niechaj będą złotem weselem po ślubie, który przed 500 laty Kraków naukom i sztukom uczynił.

Szczęśliwy jestem, że mnie się dostało w udziale spełnienie aktu takiego znaczenia — spełniam go z uczuciem radości — przyjm więc czcigodny mistrzu (podaje Matejce berło) ten symbol władzy i panowania swego w dziedzinie sztuki. Niechaj to berło będzie dobrą wróżbą dla Szkoły Sztuk Pięknych, pod Twojem sterem niedawno odnowionej; niechaj ta młoda latorośl dojdzie w narodzie do potęgi i znaczenia, jakie sobie zdobyła macierzysta jej instytucya, nasza *Alma Mater*, nosząca także berło w swym herbie".

Jan Matejko, odebrawszy berło z rąk Prezydenta w te przemówił słowa:

„W faktach dokonywanych czytajmy przedwiekowe kreślenie myśli Bożej, palcem Jego zapisanej w księdze przeznaczeń, które dziwnie się w tradycye narodu wplątują. Niegdyś królowie nasi, wolnemi głosami przodków naszych obierani, w murach tego grodu przyjmowali znamiona władzy swej z koroną — berło. To też jakby wdzięcznością ku miastu stołecznemu wiedzeni, dzieląc się niby władzą swą królewską, dostojnemu naczelnikowi tegoż miasta nadali prawo używania berła.

Królowie nasi, wznosząc w mieście tem instytucyę, której udział władzy intelektualnie w narodzie uznali, ozdobili ją niepróżno odznaką królewskiej godności, kładąc berła w tarczę akademii krakowskiej.

Dziś *interregnum.*

Dla tego to Wy, reprezentanci miasta i narodu, w bezkrólewiu obecnem, jakby na elekcyi ozdabiacie swego, jak go nazywacie mistrza,

godłem królewskości, berłem tradycyjnem, bo na niem w napisach żłobione smutne i świetne dzieje ojczyzny,

Jeżeli mamy wierzyć przeczuciom poetów, to chwila ta przypominać musi wizye dziejowe naszego Juliusza. Swego Króla-Ducha, bodaj czy naród mój nie uznaje dziś w sztuce polskiej. Wręczeniem berła dozwalacie mu przeczuwać rychłą dziejową przemianę — odrodzenie. Widzę je w oddali. Z powitaniem więc wyrywa mi się mimowolnie, uprawniony waszem udostojnieniem na podobieństwo ryku spiżowej piersi Zygmuntowego dzwonu krzyk serdeczny:

Niech żyje słowiańska Polska, niech żyje przyszły nasz — Król!"

W końcu przemówił członek Akademii Umiejętności i prof. szkoły sztuk pięknych p. Władysław Łuszczkiewicz:

„Prześwietna Rado, Szanowny Prezydencie miasta! Pozwólcie panowie, abym jako profesor jedynej Instytucyi szkolnej, co na ziemiach dawnej Polski pilnuje ogniska artystycznej wiedzy, podniósł głos w tej uroczystej i wzniosłej chwili. Ale akt ten, którym reprezentacya miasta wręczeniem tak wymownego symbolu oddaje cześć jednemu z polskich artystów, jest wypadkiem zbyt wysokiej doniosłości w dziejach krajowej sztuki, zaszczytem tak wielkim dla jej wszystkich przedstawicieli, że nie wolno byłoby tej instytucyi pominąć go milczeniem; tem więcej też, iż gdybym mógł zebrać w jeden akord głosy artystów dzisiejszych Polski, wyraziłby on zgodnie uwielbienie dla mistrza, a wdzięczność dla miasta, które mu cześć składa.

A cześć ta, obcą nie była światu dla mistrzów plastycznych sztuk, wieńczono artystę w obliczu ludu całej Grecyi. spływał na niego majestat Kościoła w epoce odrodzenia, zaszczycali go przyjaźnią Papieże i Mocarze świata. I nie mogło być wówczas inaczej, była to epoka panowania artyzmu nad innemi zajęciami społeczeństwa, a sztuka stanowiła główny objaw narodowego życia.

Ale dziś, gdy sztuka stoi jako równa między równemi, wśród rozlicznych zagadnień chwili, wśród ciężkich zadań społecznych, nie tylko artysta musi być wybitnie wielkim, umieć dzielnie owładnąć serca tajemniczemi swemi środkami, i zapanować talentem nad wszystkiemi innemi sprawami, aby doczekał się takiego jak dziś hołdu, ale potrzeba, aby społeczeństwo, jego reprezentacya, wśród codziennych trudów żywota, posiadały estetyczne poczucie i dozwoliły mu panować swobodnie.

Takim mistrzem jest nasz Jan Matejko, twórca obrazu *bitwy pod Grunwaldem*, takiem społeczeństwem jest miasto Kraków.

Nie bierzemy jednak tej uroczystości za wyraz zwykłego obywatelskiego uznania zasług, pracy, ale za tryumf sztuki polskiej, za przyznanie jej wysokiego stanowiska w sprawach kraju; sądzimy, że w imieniu tej sztuki, należy się wynurzyć reprezentacyi miasta podziękowanie. Czujemy, że miasto, co spotykało się u siebie codziennie z majestatem królewskim, co w murach swych wychowywało świętych i dawało światu głębokich myślicieli i uczonych, nieskorem być mogło w przyznaniu praw obywatelstwa sztuce, ale czekało z wiarą do

chwili, w której Bóg zesłał wielkiego mistrza, a świat cały artystyczny Europy to miano mu przyznał. Chwała niech będzie Bogu, który daje miastu wielkich ludzi, a cześć miastu, które dary boże uszanować godnie umie!“

Wreszcie p. Jan Matejko oznajmił, iż berło to przeznacza na własność szkoły sztuk pięknych w Krakowie.

Gdy Prezydent miasta ogłosił uroczystość za skończoną, reprezentanci z różnych miast podpisali uchwałę Rady miasta, jako wykonaną.

Wypada nam teraz opisać berło ofiarowane przez Kraków Janowi Matejce.

Laska berła hebanowa obwinięta spiralnie srebrnym pasem, na którym napis: *Janowi Matejce, krakowianinowi, jego rodzinne miasto. R. P. 1878*. Laska ta ujęta jest w srebrną rękojeść rytą w arabeski, schodzi w złotą główkę. Laska kończy się kapitelem złotym, na którym spoczywa szczyt jej z srebra oxidowanego w stylu barokowym, przypominającym buzdygany lub buławy. Na wypukłości tej części umieszczone są trzy tarcze w ornamentyce z wypukło-giętemi złotemi krawędziami, a na nich ryte widoki Wawelu, domu szkoły sztuk pięknych na Kleparzu i bramy Floryańskiej. Po nad głową berła wznosi się wieniec dębowy bardzo misternej roboty, a z pnia berła występuje urna złota, w której płonie złoty płomień. Powyżej rękojeści jest złota obręcz, na której umieszczone z jednej strony paleta malarska z pędzlami, zwój dyplomu i podobizna monogramu jubilata, z drugiej herb miasta Krakowa. Dokoła wyryty napis: *Za prezydentury M. Zyblikiewicza*. W górze laski na obwódce liściowej złotej napis: *rysował architekt Tomasz Pryliński*; na wierzchniej zaś stronie obręczy napis: *Wykonał Władysław Glixelli, złotnik w Krakowie*. Wszystkie części tego berła są wykonane z wielką czystością, a niektóre drobniejsze przypominają epokę mistrzowskich wyrobów włoskich złotnictwa“.

Po poświęceniu symbolicznego berła dla mocarza sztuki w katedrze wawelskiej i uroczystem wręczeniu tej oznaki w sali radnej, zgromadziło się o 4 po południu paręset osób w sali redutowej, aby dzień ten poświęcony twórcy tylu arcydzieł zakończyć wspólną biesiadą. W sali, ozdobionej wieńcami z zieloności i napisami obejmującemi tytuły obrazów Matejki, zastawiono cztery długie stoły, które zaledwie zdołały pomieścić uczestników. Przy głównym stole obok Matejki zajęli miejsce prezes Akademii Dr. Majer i przedstawiciel Towarzystwa sztuk pięknych warszawskiego p. Wierzchlejski. Naprzeciw gospodarz tej biesiady, prezydent miasta Dr. Zyblikiewicz, mając obok siebie prezesów dwóch Towarzystw przyjaciół sztuk pięknych: Towarzystwa lwowskiego, hr. Leszka Borkowskiego i krakowskiego, księcia Marcellego Czartoryskiego. Dalej zajęli miejsca artyści, posłowie, profesorowie uniwersytetu, kilku duchownych, obywatelstwo wiejskie i miejskie, a wśród zgromadzonych widziano kilku gości z Warszawy, pp.: Wacława Szymanowskiego, Redlicha, Kostrzew-

skiego; ze Lwowa pp.; Wł. Zawadzkiego, Łozińskiego, oraz delegatów innych miast. Brakowało tylko przedstawiciela Wielkopolski.

Pod koniec obiadu pierwszy toast wniósł burmistrz Krakowa Dr. Zyblikiewicz. Gdy większość mowców przemawiała pod wrażeniem chwili bez przygotowania, ograniczyć się musimy na streszczeniu z pamięci głównych myśli.

Toast Prezydenta miasta brzmiał mniej więcej następnie: Od upadku bytu politycznego wiara w przyszłość narodu, potęga jego duchowa nie uległa na chwilę przerwie. Kiedy nas chciano zgnębić i wytrącić z pośród żyjących, nieśliśmy zrazu orężnie między narody protest krwawy.

Na alpejskich skał wyżynie,
Na śródziemnych fal błękicie,
Na italskim Apeninie,
Na hiszpańskich Sierrów szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskiem każdem polu,
Po wszech ziemiach — po wszech wodach
Siali przyszłej Polski siew
Boże ziarno własną krew.

W drugiem okresie, gdy nadeszły dni rozproszenia, ten posiew siali ludzie nauki i pracy.

Równocześnie geniusz narodowy objawia się w poezyi; lecz wnet wstępujemy w trzeci okres, kiedy potęga duchowa narodu użyć ma barw i kształtów, przelać się w sztukę, w malarstwo i rzeźbę. Mistrza co idzie przewodem w tym trzecim okresie dziejów porozbiorowych, który przypomina światu sławę narodu, Jana Matejki wznosi mowca toast.

Na słowa te odpowiadając, p. Matejko oświadczył, że pragnąłby zostawić po sobie pamiątkę dla rodzinnego miasta w salach Sukiennic.

Po Matejce z kolei zabierali głos Dr. Weigel, i prezes Akademii Umiejętności Dr. Majer i Stanisław hr. Tarnowski, Ostatni w świetnej przemowie zwrócił się do przeszłości i początków szybkiego u nas rozwoju sztuki. „Gdy się pojawiło pierwsze dzieło Matejki na Wystawie krakowskiej, mówiono wówczas, kto widział taki koloryt co z tego będzie? Co się z tego stało wszyscy wiemy, wyrósł po nad wszystkich i prześcignął obcych. O! były świetne epoki sztuki w Krakowie, mieliśmy przed wiekami Wita Stwosza. Łatwiej jednak było zdobić to, co samo jaśniało potęgą. Trudniej, jak Matejko, własną tylko siłą wskrzeszać najpiękniejsze chwile dziejowej wielkości. Wit Stworz dla sławy czy zysku, opuścił rodzinne miasto — ten, gdyby chciał, nie byłoby dość zaszczytów i dość bogactw, któremiby go nie obsypano. A dalej jakżeż nie wspomnieć o tych dzielnych

bitwach Brandta, lub o tym smętnym obrazie *pochodu Mnichów*, a więc wymienić trzeba Zdzisława Suchodolskiego i ojca. A wieluż ich w kraju i wśród obcych. A ten co przypomina dawnych mistrzów holenderskich w scenach ludowych, a takie ma zacięcie polskie, iż czuć, że to rodak JMCIpana Paska. Nie widzę go tu, ale pominąć nie mogę Hipolita Lipińskiego. Grono naszych malarzy w Monachium, w Paryżu, w Wiedniu, we Włoszech. Od mniejszych obrazów, aż do tego, co zajaśniało na wystawie powszechnej *Pochodniami Nerona*. Lecz sztuka nie w jednem tylko rozwinęła się malarstwie. Rytownictwo, które z pośród reprodukcyjnych prac jedyne należy do sztuk pięknych, rozwinęło się tak w Warszawie, że od razu zdobyło sobie najwyższą nagrodę, wielki medal złoty na wystawie powszechnej. A tu znów na środku rynku stał gmach brudny i stary. Mówiono: zburzyć lub przerobić; przyszedł ktoś i podał myśl odbudowy, a ci, którzyć radzili burzyć, widzą już wznoszącą się budowę, co zachowała dawny charakter, a stanie się ozdobą miasta. Patrząc zaś na te podcienia, czuje się, że takie istniały niegdyś i że tam przechadzał się Długosz lub Jan Kanty. I oto patrzmy, co wyrosło z siły stowarzyszenia. Z jakiem niedowierzaniem przyjmowano tworzące się Towarzystwo sztuk pięknych, jakie jego dziś owoce!“ Mówca, który mówił pod wrażeniem chwili, do znanej świetności wymowy dołączył urok improwizacyi, zakończył toastem na pomyślność Towarzystwa sztuk pięknych krakowskiego, warszawskiego, aby nas jak najprędzej na podobną zaprosiło ucztę i Towarzystwa lwowskiego.

P. Wacław Szymanowski także w improwizowanej mowie porwał słuchaczów świetnem porównaniem. Wraca on z wystawy paryzkiej, gdzie widział, jak Matejko powalił o ziemię wielkiego mistrza krzyżaków, zaćmił niemieckiego malarza Makarta, pokonał jakby księcia lignickiego Pilottego, a wielu tam padło pod cięciem jego pędzla jakby miecza, komturów niemieckich, tegoby nie naliczył. Więc gdy Matejko wróci z Włoch, Kraków powita go znów jako pogromcę krzyżaków, zwyciężcę z pod Grunwaldu.

Wśród zgromadzonych panowało uczucie podniosłe, mowcy wywoływali naprzemian głębokię wzruszenie, to znów wesołość i otuchę. Wszyscy garnęli się z kielichami do stołu, gdzie siedział Matejko silnie wzruszony.

Obchód Matejki zakończony był przedstawieniem w teatrze. gdzie loża przeznaczona dla sławionego artysty, przybraną była w kobierce a wchodzącego powitała publiczność okrzykami.

Tak Kraków uczcił Matejkę!



LISTY Z RZYMU.

VIII.

I. **Pielgrzymi hiszpańscy** — Młodzież rzymska — Widmo żółtej febry — Kwarantanna — Komunia święta — Kardynał Borromeo — Biskup z Seo d'Urgel i jego wspaniała mowa — Przy grobie Piusa IX — Posłuchanie w sali książęcej — Ubiory — Kapłani — Strój kobiet i ich piękne rysy — Sympatya Hiszpanów do Polaków — Podobieństwo w dziejach — Chorągiew Katalończyków — Wojenny okrzyk Hiszpanów — Biskup z Huesca — Ojciec Święty Leon XIII — *Mowa Ojca Św.* — Hymn do Piusa IX — Okrzyki w sali — *Eviva* hiszpańskie — Wzruszenie Ojca Św. — Zdanie Hiszpanów o J. Em. kardynale Ledóchowskim — Powtórne posłuchanie — Uśpienie katolików w Hiszpanii — Jedność wiary w narodzie i niepokalana tradycya teologiczna.

II. **Sprawy włoskie**: Mowa p. Cairoli — Generał Menabrea — Na wulkanie.

III. O układach w Kissingen — Dwulicowość Bismarka — Rewolucyjny motłoch włoski.

Rzym dnia 28 Października.

Wraz z całym katolickim Rzymem jestem jeszcze pod wrażeniem wspaniałej pielgrzymki hiszpańskiej, pod wrażeniem ich wiary, ich zapału, ich serdecznych na cześć Kościoła i Namiestnika Chrystusowego okrzyków. Audyencya Hiszpanów była dziwnie wzruszająca i piękna, a Bóg dał, że znajdowałem się na niej pośród cisnących się pielgrzymów wszelkich stanów, którym przeto mogłem się z bliska przypatrzeć.

Ośmiuset pielgrzymów, głównie z Katalonii i Aragonii, wsiadłszy w Barcelonie na statek Santiago, w sobotę 12go Października wpływało do portu Civita-Vecchia. Czekała tam na nich młodzież rzymska Koła św. Piotra (*Circolo di san Pietro*). Lecz w chwili lądowania sprzeciwił mu się komisarz policyjny, dając za powód obawę febry żółtej i zapowiadając kwarantannę. Zdaje się, że to była szykana wyrządzona pielgrzymom; konsul bowiem włoski w Barcelonie był sprawdził i doniósł w raporcie urzędowym, że wszyscy pasażerowie statku Santiago pochodzili z miejscowości zupełnie zdrowych, a nawet że i owa wieść dziennikarska o kilku wypadkach febry żółtej w Madrycie była zgoła bezzasadną, przekonano się bowiem że wzięto symptomata innej choroby za żółtą febrę, która dotychczas dzięki Bogu na kontynencie europejskim wcale się nie ukazała. Bądź co bądź, trzeba było na statku siedzieć. Usilne starania obydwóch posłów hiszpańskich, ambasadora przy Stolicy Świętej i ministra pełnomocnego przy królu włoskim, skróciły kwarantannę do trzech dni, i we Wtorek 15go późnym wieczorem pielgrzymi statku Santiago przyjechali do Rzymu. Już od kilku dni czekało tam na nich od 400 do 500 ich rodaków ze wszystkich prowincyj hiszpańskich, przybyłych lądem przez Francyę. Upragniona wszakże

audyencya w dzień świętej Teresy, pod imieniem której to, wielbionej przez każdego prawego Hiszpana świętej bohaterki, uorganizowaną była cała pielgrzymka, miejsca już mieć nie mogła. Odłożył ją Ojciec Święty na Czwartek 17go b. m.

W dniu tym rano przeszło 1200 pielgrzymów zebrało się u świętego Piotra. U ołtarza katedry świętego Piotra (za wielkim ołtarzem w samej głębi bazyliki) odprawił im Mszę świętą i komunikował ich archiprezbiter bazyliki kardynał Borromeo. Potem gorącemi słowy przemówił po hiszpańsku biskup dyecezyi Seo d'Urgel, ks. Józef Caichal, jeden z najznakomitszych kaznodziei hiszpańskich. Mowa jego, przeplatana łzami wzruszenia, zagrzewała do boju, do boju mianowicie wielkiego, rozstrzygającego, który zdaniem mowcy niezadługo przyjdzie katolikom stoczyć z anty-chrystyanizmem na gruncie samychże podwalinowych zasad społecznych. Wspaniały był widok, gdy następnie pielgrzymi od grobu księcia Apostołów udali się processyonalnie, śpiewając jednym ogromnym chórem psalm *Miserere*, do grobu Piusa IXgo, gdzie odmówili głośno *De profundis*.

O 11tej otwarły się podwoje Watykanu. Największa z sal Watykańskich, sala książęca (*sala ducale*), przeznaczona była na przyjęcie Hiszpanów. Urządzono ją tak, jak salę konsystorską na naszej polskiej na jubileusz biskupi Piusa IXgo audyencyi: pośrodku przejście dla Papieża, po obu stronach dwa działy; tylko że tym razem cały jeden dział przeznaczono dla kobiet, których było stosunkowo bardzo wiele. Umieścił się jak mógł najlepiej i wasz korespondent, i otoczony Hiszpanami, bacznie przypatrywać im się zaczął. Duchowieństwo liczne, ludu prostego dosyć, nie brak i dorodnej młodzieży, osób z wyższego towarzystwa mało. Co na pierwszy rzut oka uderza, to jakaś wrodzona tym ogorzałym południowym postaciom powaga, wyraz godności, spokoju i nierzadko pewnej jakoby dumy, ale szlachetnej i sympatycznej, bez cienia tego, co Francuzi nazywają *morgue*, i jak ogień do wody nie podobnej do tej wstrętnej, pyszałkowatej zarozumiałości, która tak często od pruskich junkrów i *Gelehrtów* nas odpycha. Spostrzegam i wiejskie postacie w okrągłych, aksamitnych (czy to zresztą był aksamit czy raczej jakiś podobny doń katalońskich fabryk wyrób, za to nie ręczę) kurtach i takichże pantalonach, widocznie pokrewne z poczciwym Sancho Pança, tylko tutaj uroczystością miejsca i chwili do wyższego podniesione nastroju. Pomiędzy księżmi, obok twarzy, które wyrazem serdecznej zacności przypominają naszych częstokroć poczciwych wiejskich proboszczy,

nie rzadkie są fizyognomije co się zowie piękne, promieniejące rozumem i dobrocią, fizyognomije, które widocznie i modlić się i myśleć nawykły, którym ani ascetyka, ani Ojcowie, ani scholastyka nie są obce. Gdybym był malarzem, wnetbym takie twarze szkicował. Po drugiej stronie sali kobiety: hoże, częstokroć piękne, szlachetnego układu i wielkiego wdzięku, i to prawie wszystkie, nie wyłączając wielu kobiet i dziewcząt wiejskich, w białe koronkowej roboty welony udrapowanych z taką gracyą i dystynkcyą, że niejedna nasza, francuzka lub włoska jejmość od nich szlachetnego prostotą ułożenia uczyćby się mogła. Już to, choćby nam tego czytelniczki nasze i cała płeć piękna europejska (gdyby o tem naszem biednem zdaniu kiedy wiedziała) nie miały darować, powiemy otwarcie, że Hiszpankom tak, jak się na audyencyi papieskiej przedstawiały, chętnie nad innemi, od Irlandek i Angielek zacząwszy, a skończywszy na sławnych pięknością Węgierkach, oddalibyśmy palmę pierwszeństwa głównie dla tego, że wdzięki ich i urodę podnosił wyraz szlachetnej prostoty i chrześcijańskiej skromności, i że widocznie żadna z nich nie była zajętą tem, jak się oczom ludzkim przedstawia, bo każda, przed chwilą Pana Niebios w Komunii świętej przyjąwszy, spragnionem sercem wyglądała ukazania się Namiestnika Jego na ziemi.

Zawsze najłaskawsza Opatrzność umieściła mnie przy serdecznym a rozumnym i oczytanym księdzu, dobrze mówiącym po francuzku. Gdy się dowiedział, żem Polak, wnet okazał dla naszego narodu tak gorącą sympatyę, jaką ja znowu zawsze czułem dla, chociaż dalekich i osobistem zetknięciem się nieznanych mi, Hiszpanów. Snać Lignica, Chocim i Wiedeń pokrewne z Xeres de la Frontera, Leonem, Grenadą, Lepantem. A choć u nas najczęściej przeważało nieraz miękkie i niewytrwałe, serce, u nich hartowna jak stal i nieraz aż namiętna wola ognistemi zgłoski zapisywała w dziejach czyny niezrównanego bohaterstwa, olbrzymiej miłości i zaciętej nawet niekiedy w powziętym zamiarze wytrwałości; zbliża wszakże Polaków z Hiszpanami pewna prostota, pewna charakteru otwartość, pewien polot swobodnej ducha fantazyi, pewna wspólność szlachetnych rycerskiego i chrześcijańskiego serca popędów.

Ale otóż wnoszą chorągiew pielgrzymki, dar Katalończyków. Z jednej strony obraz Cudownej Matki Boskiej Barcelońskiej; to *Nuestra Sennora de las Mercedes*, królowa od Wykupu Niewolników, patronka zakonu pod Jej opieką założonego w Aragonii w XIII wieku przez świętych Piotra Nolasco, Rajmunda de Pennafort i Jakóba I, króla Aragonii. Pędzel prześliczny: przed Matką

Najświętszą i trzymany Jej ramionami stoi Jezus jako chłopczyk 10 letni; poniżej dwóch Aniołów w adoracyi, a jeszcze niżej na pierwszym planie klęczy, modlący się do Matki Boskiej, Papież Leon XIII. Odwrotna strona chorągwi ma na tle niebieskiem wypisany złotemi literami odwieczny wojenny okrzyk Hiszpanów: „Święty Jakóbie, broń Hiszpanii!“ [1]). Obok chorągwi składają mnóstwo różnych podarunków, które pomijam. Nareszcie otoczony 17 Kardynałami (pomiędzy nimi Ledóchowski, Monaco, Bilio, Simeoni, Franzelin, de Falloux) ukazuje się Papież Leon XIII. Podnoszą się okrzyki wstrząsające salą; po nich głęboka cisza. Biskup z Huesca odczytuje po hiszpańsku adres, na który Ojciec Święty odpowiada mową następującą:

„Błogosławiony Pan, który nas pociesza w utrapieniach i goryczach naszych. *Benedictus Deus, qui consolat nos in omni tribulatione nostra.* Obecność wasza, synowie najmilsi, którzyście, zwyciężając niewygody i trudy długiej i męczącej podróży, przybyli tutaj, by uczcić groby Apostołów i dać świadectwo waszej miłości ku Namiestnikowi Jezusa Chrystusa; wasze słowa gorące miłością i pełne uszanowania, ofiara waszego synowskiego przywiązania, wzruszają głęboko Nasze serce i napełniają je bardzo słodką pociechą. A pociecha ta tem jest większa, że nam przychodzi od ludu pełnego wiary, od szlachetnego i wspaniałomyślnego narodu, który w tradycyach swoich, w swych pełnych chwały dziejach posiada głęboko wyryte ślady swego niezwyciężonego do religii katolickiej przywiązania. Wasi królowie, o Hiszpanie, którzy się zawsze szczycili przydomkiem królów katolickich; wasi biskupi (z których kilku miło Nam tutaj widzieć obecnych), zawsze oddani Stolicy Apostolskiej i gorliwi o jej prerogatywy, po wszystkie czasy odznaczający się cnotą i nauką; a nadewszystko ów niezliczony zastęp Świętych, którzy zawsze u was kwitnęli — mówią głośno o pobożności i religii ludu hiszpańskiego. Wiele z pomiędzy Zakonów Kościoła Bożego, co posługując się potężnemi środkami działania w tymże Kościele złożonemi i wielkiemi najszlachetniejszej miłości czynami, tyle się przyczyniły do prawdziwego dobra chrześcijańskiej i cywilizowanej społeczności, i w Hi-

---

[1]) Wiadomo, że Hiszpania ma zaszczyt posiadania w Kompostelli zwłok świętego Jakóba (większego) Apostoła: *San Jago de Compostella.*

szpanii samej i po za jej granicami, w ojczyznie waszej miały swych chwalebnych założycieli.

Dzisiaj zaś nowym tej tradycyjnej Hiszpanów pobożności dowodem jest Nam wasza tak liczna pielgrzymka, którą bardzo słusznie umieściliście pod wezwaniem świętej Teresy od Jezusa i daliście jej miano: *Romeria de Santa Teresa.* Ta Serafina miłości, ta wielka niewiasta, wasza rodaczka, słusznie Aniołem Karmelu nazwana, obdarzona duchem wielkim i wspaniałomyślnym i najszczytniejszym umysłem uprzywilejowana, umiała na chwałę Bożą począć największe zamiary i doprowadzić je do spełnienia, zwyciężając rzadką stałością i męztwem największe przeszkody, stawione na jej drodze przez zaciętych jej nieprzyjaciół.

I dzisiaj, najmilsi synowie, wre bój prawdy z fałszem a dobrego ze złem; bój owszem za dni naszych zdaje się, że zaciętszy niż kiedykolwiek, bo mamy zręcznych i potężnych przeciwników, sprzysiężonych przeciwko Jezusowi Chrystusowi i Jego Kościołowi, któremu zaprzeczają jego Boskiego początku i Boskiego dla dobra świata posłannictwa.

Nie należy nam jednak, synowie najmilsi, upadać na duchu z powodu przeszkód i trudów, które napotykamy; lecz za przykładem waszej świętej Bohaterki, wypada nam, zagrzanym ogniem miłości, umocnionym nadzieją pomocy Bożej, walczyć jak na mężnych przystoi; nadewszystko zaś trwać niezłomnie w otwartem i nieustraszonem wyznawaniu naszej wiary, tej wiary, co działa przez miłość, co zawsze świat zwyciężała, i co była po wszystkie czasy najpiękniejszą chwałą, najszlachetniejszem dziedzictwem Hiszpanii. Wytrwałość waszych ojców w wierze katolickiej nawet w niedawnym czasie udaremniła usiłowania herezyi, kuszącej się wcisnąć do waszych krajów; nie wątpimy zatem, że i wy, odpychając ze wstrętem, podług upomnienia Apostoła, wszelką nie-bożą nowość, okażecie się godnymi synami waszych przodków.

Ta jedność wiary religijnej nie mało też się przyczyni i do waszej doczesnej pomyślności i dobrego bytu, dając duszom hart i jedność, rodzinom zgodę i pokój, całemu narodowi popęd do prawdziwego dobra i rzetelnej chwały.

Te krótkie słowa niechaj wam wystarczą synowie najmilsi. Włożyła nam je w usta ojcowska Nasza troskliwość

o zachowanie i wzmocnienie wiary katolickiej w waszem królestwie. Będą wam one zakładem żywego zajęcia się wami i gorącej miłości, którą mamy dla Hiszpanii, dla której całem sercem prosimy u Dawcy wszelkiego dobra o obfitość darów niebieskich.

Przyjmijcie więc, ukochani moi synowie, Apostolskie błogosławieństwo, którego z głębi serca udzielamy wam, waszym rodzinom i całemu narodowi hiszpańskiemu. *Benedictio Dei* etc.“

Po mowie rozpoczęły się przedstawienia znakomitszych osób, a tymczasem pielgrzymi zaintonowali hymn dziwnie piękny i wspaniały, najczystszego kościelnego stylu, napisany przed paru laty w Hiszpanii, i teraz już powszechnie tamże śpiewany przez lud po kościołach. Jest to *Wyznanie wiary*, ale zwrócone do Piusa IX, i dlatego znane i popularne pod mianem *Hymnu do Piusa IX.* Zaczyna się od słów: „Śpiewajmy z mocą naszą wiarę“ a kończy się słowami: „Raczej śmierć po tysiąc razy, niż Ciebie Piusie odstąpić!“ Uważałem zakończenie strofy: *La fe di Spagna non morira!* Wiara Hiszpanii nie umrze!

Po tym głęboko wzruszającym śpiewie, nastąpiła scena nie do opisania: szereg wiwatów gorących (między któremi uderzył mnie wiwat: *Viva la santa Iglesia Catolica, Apostolica y Romana, unica spe de los pueblos* niech żyje święty Kościół Apostolski Katolicki Rzymski, jedyna nadzieja ludów), obijał się o salę, chustki powiewały, łzy spływały prawie po wszystkich tych iskrzących zapałem twarzach, mężczyzn niemniej jak kobiet. Ojciec Święty dwa razy przeszedł środkiem sali, widocznie silnie wzruszony. Całowano Jego ręce, dotykano się szat, ponawiano zapewnienia miłości. Przez ten czas mój sąsiad żądał, abym mu pokazał kardynała Ledóchowskiego, mówiąc, że tego człowieka uważa, dla jego charakteru, za największego ze współczesnych biskupów, za chwałę i zaszczyt całego Kościoła.

Łaskawa dobroć Ojca Świętego, kazała mu powtórzyć audyencyę w sobotę 19go, by każdy z osobna bez wyjątku mógł doń parę słów powiedzieć i ręce ucałować. Ustawiono więc pielgrzymów wzdłuż galeryi i krużganków, i wszyscy mieli tę pociechę, a wracając do swej ojczyzny, pewno nie mało przyczynią się do rozwoju tego ducha miłości Rzymskiej Stolicy, który dzisiaj coraz szerszym płomieniem po świecie katolickim się szerzy, i bodaj jak najwięcej dusz do miłości sprawy Bożej, do pracy dla Niej pobudzał! Bo i

w Hiszpanii jak gdzieindziej przeważa jeszcze pewne u katolików uśpienie. Stanowiąc ogromną większość, pozwalają, aby nimi rządził intrygancki i wiarołomny liberalizm. Znużeni są tyloma rewolucyami; mało jeszcze u nich oddziaływania dodatniego, a gnuśna obojętność pozorem chrześcijańskiej rezygnacyi zasłaniać się lubi. Lecz szczęśliwsi od innych, mają granitowy grunt jedności wiary w narodzie, mają światło niepokalanej tradycyi teologicznej, mają ową w charakterze godność i powagę, której nic nie zastąpi. I w tych warunkach odrodzenie, w ostatnich latach już na dobre rozpoczęte, iść będzie da Bóg pomyślnie; takie fakta, jak ostatni niecny zamach na życie króla ospałych cucić nie przestaną, i wkrótce może Hiszpania będzie na nowo, obok odrodzonej Francyi, Italii, a daj, o daj Boże! i naszej Polski — jedną z podpór odnowionego, politycznego i społecznego Europy porządku.

Mamże teraz od tych pocieszających wrażeń przejść do smętnej komedyi dzisiejszego politycznego świata? Pisać o programowej mowie pana Cairoli, starego spiskowca, co dzisiaj, jako pierwszy króla Humberta minister, wypowiada brzmiące frazesa, którym nikt i on sam nie wierzy, o uporządkowaniu finansów, o rozwoju oświaty, o umocnieniu stanowiska Włoch zjednoczonych, a jednocześnie o czem wszyscy wiedzą, zdradza swego króla i przygotowuje republikę?... Król go podobno nienawidzi, a powołanie do Monzy (letniej rezydencyi króla w pobliżu Medyolanu) generała Menabrea, wskazuje na szczerą ochotę pozbycia się dzisiejszego gabinetu i powrotu do *consortów*. Ale cóż kiedy *consorteria* tak już się dzisiaj zużyła, tak się rozpadła i z ludzi i z sił wyczerpała, a z drugiej strony duch republikański tak się rozszerzył, że podobne pokuszenie się ze strony króla, zdaniem tutaj ogólnem, mogłoby stać się sygnałem końca dynastyi i jedności włoskiej. O, bo budowa fałszu i świętokradztwa długo ostać się nie może...

Zdaje się, że nasze przewidywania co do rezultatu ujemnego układów w Kissingen, i co do poziomości zamiarów a dwulicowości chwilowej postawy Bismarka wobec świętej Stolicy już się niestety sprawdzają. Ale o tem kiedyindziej.

Wczoraj pewien dobrze nam znajomy kapłan, spotkał się w bramie *Porta del popolo* z kilkutysięcznym tłumem ludzi raczej wyjących niż krzyczących, gwiżdżących, huczących, których widok sukni duchownej tem bardziej rozjątrzał, do pogróżek przekleństw i bluźnierstw pobudzał... Był to powrót z obchodu 11-letniej rocznicy śmierci garybaldzisty Cairoli (właśnie rodzonego brata ministra), za-

bitego pod samem miastem, w czasie ówczesnego napadu garybaldzistów na Rzym i resztki państwa kościelnego. Jeżeli taki tłum rewolucyjnego motłochu w chwilach swoich spokojnych i uroczystych (sic), już jest tak dziki i ohydny, cóż to dopiero, gdy przyjdzie do powstania, do ognia i kul? A cała zgraja niecnych dzienników bezustannie wlewa w te tłumy truciznę kłamstw, oszczerstw, potwarzy, wznieca ogień nienawiści; i potem dziwią się ludzie, że ogień wybucha mordem i pożogą! Boże zmiłuj się nad światem!

K. T.

LISTY Z KRAKOWA.

Dnia 30 Października 1878.

II.

(Uroczystość Matejki — *Bitwa pod Grunwaldem* — Przyjęcie arcyksięcia Karola Ludwika — Dzień zaduszny — Maurycy Mann i Józef Badeni).

Bohaterem dnia jest zwycięzca nie oręża lecz pędzla, ten, co wskrzesił wielki tryumf Grunwaldu, JAN MATEJKO. Lubiącego ciszę i życie w domowem kole, lub w otoczeniu swych uczniów, stroniącego od zgiełku świata, jego hołdów i jego próżności — wyprowadzono z pracowni ciasnej, aby go wieść w tryumfalnym pochodzie na Kapitol polski, na Wawel, gdzie przed trumną św. Stanisława dopełnionym został akt poświęcenia berła, i stamtąd wprowadzić go znowu do pałacu niegdyś Wielopolskich, aby przed wiszącym jeszcze obrazem *bitwy grunwaldzkiej* imieniem miasta, wręczyć to godło najwyższego uznania, jakby na znak poddaństwa pod panowanie duchowe tego mocarza, co wskrzesza przeszłość.

Może znajdą się tacy, co zarzucać będą przesadę w tym symbolu królewskości i w tej apoteozie żyjącego mistrza. Mój Boże! tak często u nas wloką najzacniejszych i najzasłużeńszych na tarpejską skałę, że miło widzieć, i nie ma się co lękać, kiedy choć raz mamy kogo poprowadzić na ten Kapitol polski. Każde pokolenie potrzebuje uindywidualizować swój ideał, potrzebuje stawić kogoś z żyjących na najwyższym piedestalu w Walhalli narodowej. Uczucie to nie jest ani zdrożnem, ani szkodliwem; przeciwnie jest w tem instynkt wyższy, dodatni, idealny, zwłaszcza jeźli ten hołd publiczny nie jest kadzidłem na ołtarzu nadętej mierności, ale zwraca się ku temu, co zabłysnął geniuszem. I mniejsza o szczegóły, czy berło królewskie właściwie tu zostało użyte, zaprzeczyć się bowiem nie da, że ten potężny władca pędzla, zdobył nam nowe krainy

rozszerzył panowanie ducha polskiego na ten obcy nam dotąd i nieprzystępny świat sztuki, że zawładnął w nim jak prawdziwy zdobywca, że nowe w tych krainach założył państwo, mające odrębny charakter od sztuki innych narodów, że jest, jak się wyraził August Cieszkowski, w telegramie z powinszowaniem, protoplastą sztuki polskiej, że już pokonał, jak znów powiedział w toaście Wacław Szymanowski, obcych mistrzów.

A niech nie mówią ci, co się lękali rozwoju sztuki w Polsce, aby artyzm nie zabił życia politycznego, że dochodzimy do tego, co Italia w XV i XVI stuleciu, gdzie przy upadku politycznym narodu zajaśniał rozkwit sztuki, gdzie czczono więcej wielkiego artystę niż wielkiego obywatela. Kto uczestniczył w uroczystościach na cześć Jana Matejki, ten przyznać musi, że w tych hołdach nie o sztukę samą chodziło, że nas jeszcze nie rozmiękczył artyzm, ani przejęcie się ideałem malarstwa nie zaćmiło innego ideału! Przeciwnie, zacząwszy od przemowy prezydenta miasta w ratuszu, aż do ostatniego toastu „kochajmy się“, wygłoszonego w czasie bankietu przez zacnego ks. Pelczara, wszystkie przemowy tchnęły przedewszystkiem uczuciem dumy narodowej, może nieco przesadnej i może zbyt zawsze ognistej nadziei patryotycznej. W Matejce czczono bodaj czy nie więcej cnotę obywatelską, która mu nie dozwoliła opuścić rodzinnego miasta dla najwyższych korzyści i zaszczytów, jakie mu obcy ofiarowali, czczono w nim wielkiego historyka palety więcej jeszcze, niż wielkiego malarza.

A gdybyśmy się zapytali samego mistrza, co jest w jego pojęciu najwyższym celem sztuki, z pewnością zaprzeczyłby on zasadzie „sztuka dla sztuki“; bo jak Mickiewicz w poezyi widział tylko akiś nowy zakon narodowy, podobnie Matejko ujął pędzel nie dla czczej sławy, lecz aby wskrzesić wielkie chwile dziejów, aby przelać na płótno nadmiar myśli i uczuć, poglądów, nie zawsze może dość słusznych, ale zawsze szczerych sądów i aby nieść w świat protest zapomnianej sławy i czynów dawnej Polski, jak słusznie wyraził się prezydent dr. Zyblikiewicz, wznosząc toast tego, który przewodniczy w trzecim okresie dziejów porozbiorowych.

Odpowiedź Matejki na przemowę w ratuszu wydała się wielu zbyt dumną. Jakoż nie było w niej tych wymówek i podziękowań, jakiemi zwykła się zasłaniać próżna mierność. Dumnym był Matejko w tej odpowiedzi. bo jest poczucie własnej siły, jest potęga twórcza w każdem pociągnięciu jego pędzla. Przed tym obrazem *Grunwaldu* przemówił tak, jak maluje. Aby zrozumieć tę indywidualność dumną

a prostoduszną, aby zrozumieć ten talent, nie wolny od wielu błędów, ale z wielką głębią myśli tłoczących się pod pędzel, rzućmy okiem na obraz.

Lecz rzucić okiem tu nie wystarcza, tu trzeba dość mozolnej pracy, aby z tego kłębu rycerstwa zbrojnego, nagich atletów, koni olbrzymich, zbroi i broni rozwikłać myśli przewodnie. Ta potrzeba pracy dla ujęcia całości, lub zrozumienia pojedyńczych części, jest już wielką wadą obrazu i błędem artysty, który niezawodnie jak w Grunwaldzie doszedł do zenitu swojego geniuszu, to także i w jego ujemnych stronach.

Jest to olbrzymie płótno, dla którego nie znamy ani w Krakowie, ani we Lwowie, Poznaniu lub Warszawie wystarczającej sali, a jeszcze na tem płótnie za ciasno, jeszczeby się go rozszerzyć chciało, aby pomieścić się mogły wygodnie nietylko te natłoczone a mistrzowsko oddanne postacie, lecz aby się w pełni rozwinęła wielka myśl całości. Cóż to za ogrom natchnień, co rozsadza te ramy! Patrząc w ten wir walki, nie przypomina się żaden z historycznych obrazów, ale chyba staje na pamięci jeden tylko *Sąd ostateczny* Michała Anioła w watykańskiej Sykstynie. Oczywiście porównanie z wszelkiem zastrzeżeniem, bo nie chcemy równać ani przedmiotu, ani mistrzów. Tam zacząwszy od raju, aż do potępieńców, dźwigających kamienie grobowe, całe dzieje człowieka na ziemi wobec Stwórcy i Odkupiciela rzucone na ściany. Tu tylko obraz jednej bitwy wielkiego historycznego znaczenia, ale dla jednego tylko narodu. Lecz jak w sykstyńskiej kaplicy godzinami patrzący wyszukiwać musi nowe cuda sztuki i tajemnice wiary — tak tu potrzeba podobnego trudu, aby wszystkie odnaleźć piękności, tego co najstraszliwsze w dziejach narodów i ludzi, piękności wojny.

Lękamy się, aby ta wielka epopeja wojenna wytrzymała krytykę zagraniczną, która patrzy po wierzchu i mierzy wszystko konwencyonalną miarą. Nie jest to bowiem jeden obraz w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale sto obrazów, z których każdy doskonałą całością, ale wszystkie razem czemś, co ma piętno nieskończoności, co porywa myśl, to gdzieś za stojącym w oddali Władysławem Jagiełłą na szerokie błonia przyszłości narodowej, to za zjawiającym się w obłokach św. Stanisławem w świat nadziemski, gdzie patronowie narodu błogosławią jego doli, gdzie się ważą szale sądów bożych. Powiedzielibyśmy, że ta bitwa średniowieczna, to jakby jakieś widzenie apokaliptyczne bardziej niż karta historyi, niż ilustrowana kronika Długosza. Powiedziano już dawno, że Matejko jest

Szekspirem palety i niezawodnie, że on pierwszy w Polsce umie ująć żywioł dramatyczny, którego poeci nie zdołali schwycić w odpowiedniej sile. Ale w dramatach, które tworzy, przeważa duch indywidualizmu. Zasadnicza wada, którą mu tylokrotnie już wytykano, że każda osobistość przemawia za siebie, że wszystko się nie wiąże w jedność akcyi, że świetność kolorytu tych deleij, pancerzy, królewskich płaszczów, książęcych szat nie zlewa się w harmonię, ta zgoła mozajkowość i techniczna i idealna — jest jakby odbiciem ducha naszej przeszłości, w której także indywidualizm przeważał, i tyle heroizmu, tyle osobistych przymiotów, tyle świetności i potęgi nie zdołało utworzyć harmonijnej całości.

Czy obcy zrozumieją i uczują, co Polak uczuwa przed tym obrazem — czy zdadzą sobie sprawę z tego, co Matejko wnosi do sztuki świata, odrębnego, swojskiego, jakby wycisnął z dziejów narodu to, co stanowiło jego zasadniczą różnicę, czem Polska stała przez wieki i upadła, bo nie przystawała duchem swym i instytucyami do miary innych, bo nie mogła pomieścić przeważającego indywidualizmu w ciasnych karbach nowoczesnego państwa. W każdym razie dla uprzedzonej nawet krytyki, sądzącej tylko według uniwersalnych reguł estetycznych utwór ten olbrzymi ma moc piękności, ale równie wiele niedostatków i błędów. Dla nas jest czemś więcej niż obrazem — bo magicznem zwierciadłem ducha przeszłości, choć tylko jedną z najświetniejszych ujmuje chwilę.

Obchodów na cześć Matejki nie będę opisywał — znacie je z *Czasu*. Nie będę zbierał tych kwiatów retorycznych, jakie podczas bankietu rzucano mu do stóp. Jak zawsze najpiękniejszym był ten wieniec, który złożył Stanisław Tarnowski, a wieniec uwity z imion znakomitszych artystów, otaczających plejadą Matejkę.

* * *

Czy mam się jeszcze cofnąć do innych uroczystości — do przyjęcia przez mieszkańców Krakowa brata cesarskiego a protektora naszej Akademii? Kraków odwykł od królewskich gości, ale zachował jeszcze powagę królewskiego grodu. To też poważnem, serdecznem było to przyjęcie. Nie masz podobno w całej Austryi miasta, w którem jak w Krakowie oprócz kilku urzędowych figur, nie byłoby ani jednej ekscelencyi, ani jednego szambelana, lub damy pałacowej, aby order na piersiach był taką jak tu rzadkością. To też nikt posądzić nie może wyższych sfer społeczeństwa krakowskiego o dworactwo i chęć uzyskania zaszczytów. W wspaniałych, z artysty-

cznym smakiem urządzonych salonach pałacu księztwa Czartoryskich zgromadził się krakowski wielki świat w wielkim doborze piękności dam. Kilkanaście kontuszów nadawało charakter temu przyjęciu księcia z domu Habsburgów w starej stolicy polskiej. Arcyksiążę przyjmował oznaki hołdu i wdzięczności z tą wykwintną uprzejmością, która nie da się krępować etykiecie, a po za którą przebija także jakieś szczere, sympatyczne uczucie. Dostojna gospodyni umiała ułatwiać trudne zadanie nawiązania rozmowy z gronem dam przedstawianych, wymieniając zawód, jakiemu oddaje się mąż. Arcyksiążę też wszczynał rozmowę z żoną profesora o uniwersytecie, z żoną redaktora o dziennikarstwie, to znów o kościołach i pomnikach krakowskich. I to także nadaje odrębną cechę krakowskiemu światu, że życie to nie czczem tylko poszukiwaniem zabawy, ale pracą i ujęciem różnych zawodów służby publicznej. Więc jest i treść do salonowej rozmowy...

* * *

Wracam z cmentarza, gdzie cała ludność krakowska odwiedza w dniu zadusznym groby. Przybyło tam mogił wiele i wiele nagrobków nęci wspomnieniem przyjaźni, tęsknotą i żalem niezagojonym. To też, obchodząc cmentarz krakowski, nietylko modlitwę za zmarłych szeptały usta, ale są tam groby, przy których chciałoby się zapytać o radę, szukać otuchy, sądu, zdania, czy nie zbaczamy z tego toru, jaki oni wytknęli. I tak, wita nas najpierw grób zapomnianego już Walerego Wielogłowskiego, a o kilka kroków nagrobek Maurycego Manna i tymczasowe schronienie zwłok Lucyana Siemieńskiego.

Długoletni koledzy jednego stołu redakcyjnego połączyli się w ciągu jednego roku.

Przed paru tygodniami przybył im nowy towarzysz, co zaniósł wieści o kraju i jego sprawach. Józef Badeni, choć inna mu padła w życiu służba, był najbliższym kierunkiem umysłu, siłą przekonań i zasad wspólnikiem Maurycego Manna. Do innej należeli generacyi, a jednak zespolili się jak bracia. Obu cechowała ta bezosobistość, tak rzadka wśród ludzi publicznych, a która z nich czyniła, jakby uosobienie zasad. Bo gdy Mann brał pióro, lub Józef Badeni brał się do czynu, to nikt przypuścić nie mógł, aby jakikolwiek osobisty wzgląd, chęć wyniesienia i korzyści, ale nawet miłość własna miała tu wpływ. Wiedziano, że bezwzględni dla siebie obaj ci mężowie prawdzie tylko służą. Kryształowa czystość łączyła się

u obu z równie żelaznym hartem. I nie zawsze wygodni dla innych byli tacy świadkowie różnych małości ludzkich, i przykro się było rachować z tymi, których nigdy posądzić nie można było o pobudkę osobistą; a jednak dlatego właśnie trzeba było się rachować; dla tego, gdy Mann piórem, a Badeni choć o tyle młodszy, słowem lub czynem wystąpił, wnet przeważyli szalę.

Społeczność ratują mniejszości, stojące przy prawdzie — mówił mi niedawno sędziwy przyjaciel obu zmarłych. To prawda, ale u nas dzięki Bogu jeszcze można i większość związać i pociągnąć ku prawdzie; choćby ogół nie przyjmował i nie dosięgał gruntu zasad, to poczciwe tradycye narodowe zwracają ku Kościołowi, lub wreszcie dobrze zrozumiany interes społeczny, każe stać pod sztandarem konserwatyzmu. Lecz ten sztandar i te dążenia rozwieją się, jeźli wśród tej większości katolicko-konserwatywnej, nie ma choćby szczupłego zastępu ludzi, głębiej prawdę pojmujących i stanowiących balast zasad. Jak balast tak ludzie tacy, jedynie zasadę i prawdę mający na oku, toną w głębi, bezosobiście giną na dnie. Przez lat kilkadziesiąt głucho było w kraju o Maurycym Mannie, choć Mann w dzienniku i po za dziennikiem był jedną z głównych sprężyn życia publicznego, choć często osamotniony ratował i strzegł zasad wbrew przeciwnym prądom. Taki materyał był także w Józefie Badenim, którego imię nie było głośne, choć wcześnie stanął przy margrabi Wielopolskim i wytrzymał obok niego do końca, choć w ostatnich latach zwrócił się znów w Galicyi do służby publicznej.

Związek tych dwóch mężów był tak miłym, kierunek tych dwóch umysłów tak pokrewnym, że Maurycy Mann przekazał najcenniejszą swoją spuściznę, bo tę bibliotekę, która była zwierciadłem jego pięknej inteligencyi i skarbnicą jego ducha, Józefowi Badeniemu. Badeni też po zgonie przyjaciela, który był mu mistrzem, zajął się wzniesieniem dlań pomnika w kościele Panny Maryi i zebraniem funduszu na msze wieczyste za jego duszę. Dokonał tego spiesznie, jak gdyby przeczuwał, że nie dożyje drugiej rocznicy zgonu przyjaciela.

L. D.

Kronika.

Ogłaszając niżej pierwszą listę składek na krzyż Biskupi dla Ojca św. Leona XIII, pospieszamy podzielić się z czytelnikami naszego pisma radosną wiadomością. Krzyż zrobionym zostanie w Krakowie. Znany zaszczytnie polskiej publiczności p. Pryliński

zrobi rysunek, a p. Glixelli jubiler, który z taką delikatnością artystycznego smaku wykończył niedawno berło ofiarowane Matejce, podejmuje się roboty krzyża Jednakże w formie jego zajdą zupełne zmiany. Według zdania p. Prylińskiego nie gotyk, ale renaissance łączy i zbliża Polskę do Rzymu. Do ornamentyki i ułożenia krzyża zostałyby wzięte motywa z kaplicy Jagiellońskiej na Wawelu. Tak więc, dzięki zabiegom i łaskawości hrabiego Ludwika Dębickiego, stanie się zadość nietylko osobistym naszym pragnieniom, ale i życzeniom, wyrażonym przez wiele dostojnych osób w listach do nas pisanych. Szczęśliwi jesteśmy, że dar mający się od Polski ofiarować Ojcu Św. w polskim naszym Rzymie, w Krakowie, na polskiej ziemi i przez Polaków zrobionym zostanie. W przyszłym poszycie może będziemy już mogli podać bliższe o krzyżu szczegóły i dokładny jego opis. Wspomnimy tu jeszcze, że dar ten, da Bóg, wręczonym zostanie Ojcu Św. przez osobistości świeckie, znane i szanowane nietylko w Polsce całej, ale w Rzymie i za granicą. Redaktor *Przeglądu* będzie miał dosyć pociechy, że miłość i przywiązanie Polaków do Stolicy Piotrowej, nasza dziejowa chwała i nasza wiara wyrażonemi zostaną w darze, który nietylko Ojcu Św., ale i przyszłym jeszcze wiekom mówić o tem będzie.

* * *

Z Warszawy: Przemowa starszego cechmistrza z kunsztu szewskiego do jenerała, w czasie wejścia wojsk rossyjskich do Warszawy w powrocie z Turcyi — Hurra moskiewskie — Jak zamierza car zadowolnić Polaków — Propaganda germanizacyjna w Królestwie — Wydawnictwa ludowe.

Niedawno temu podaliśmy w *Przeglądzie* opis, w jaki sposób przyjmowano w Warszawie powracające wojska rossyjskie z Turcyi, dziś przytaczamy znów z *Czasu* ciekawe nader szczegóły odnoszące się jeszcze do owej chwili. „Przebrzmiały już, piszą do *Czasu,* oficyalne toasty na cześć powracającej gwardyi, lecz pamiętniejszym od tej roboty ludzkiej, pozostanie dla nas figiel spłatany przez przypadek. Mając sobie polecone zapoznawanie was z pewną tak nazwaną lżejszą stroną Warszawy, nie spełniłbym mojego zadania, gdybym czasem nie potrącił o poważniejsze rzeczy i donioślejsze strony. Artystyczne, literackie a nawet płoche życie syreniego grodu ma głębsze strony i nieraz w niem dopatrzeć się można daleko sięgającej myśli. Warszawiak umie z humorem przedstawić najpoważniejszą rzecz, a często w dowcipie, który z ust do ust obiega, znajduje się gryząca ironia lub intencya, która w takich jak dzisiejsze czasach są bronią dla słabszego. Figlem przypadku, o którym wspomniałem, broni się od kilku tygodni Warszawa. Kiedy z rozkazu wyszły cechy na spotkanie gwardyi, jeden z dowódzców przemówił do mieszczan niosących chorągwie, pytając się, czy to przyjęcie jest szczere i nieprzymuszone; wojsko miało rozkaz po tych słowach krzyknąć *hura*; lecz w tem jeden ze starszych kunsztu szewskiego zabrał głos i odpowiedział dowódzcy rossyjskiemu: „Tak, panie jenerale, my was szczerze przyjmujemy, bo wyście się

bili za wolność religijną, swobody narodowe i autonomię Słowian; otóż jesteśmy przekonani, że kiedy teraz wracacie zwycięzcy, te same dobre rzeczy, które wywalczyliście dla tamtych Słowian, nam przynosicie i dla tego panie jenerale witamy was". Wojsko, które dopiero po wypowiedzeniu tych słów spostrzegło, że się cisza zrobiła, i które myślało, że dopiero teraz jenerał zakończył swoje przemówienie, krzyknęło *hura*! które wzniosło się aż pod niebiosa nad tą ziemią, na której wszystkie boskie i ludzkie prawa poniewierane są nielitościwie. Tak więc po tylu latach pierwszy okrzyk na rzecz praw narodowych wydało wojsko rossyjskie — najniewinniej! Czyżby to było przepowiednią, że ztamtąd kiedyś przyjść może istotna zmiana? Że nie przyjdzie zkądinąd, z poczucia sprawiedliwości rządzących, jest przeważającem mniemaniem, a wyrazem tego przekonania jest anegdota, którą tu opowiadają. Wysoko położona osoba, mówiąc z najwyżej położoną, miała wspomnieć o potrzebie wymierzenia krajowi naszemu sprawiedliwości; zapytana raptem co sądzi, zadowolnićby mogło Polaków, odparła: wolność religijna, język, autonomia; na to usłyszała odpowiedź: „O! to wszystko za mało, ja przemyśliwam o tem, aby zrobić dla nich coś nierównie większego, ja chcę im dać moją religię i mój język".

Już od dawna zwracano w Królestwie Polskiem uwagę na propagandę germanizacyjno-protestancką, szerzoną w kraju za pomocą broszur. Są ajenci, trudniący się rozprzedawaniem i propagowaniem tego rodzaju broszur pisanych niby po polsku, ale najgorszą polszczyzną; taniość ich świadczy najwymowniej, iż jedynym ich celem propaganda; treścią zaś wyśmiewanie katolicyzmu a zalecanie protestantyzmu lub nawet czasem wprost bezwyznaniowości. Tak to z różnych stron grozi Królestwu Polskiemu wróg nieubłagany germanizm. Ale w Królestwie ludzie acz przygnębieni i nieszczęśliwi umieją się ratować. Oto w *Wieku* ksiądz Józef Osiecki podnosi i wyświeca należycie sprawę owych broszur; a dla zneutralizowania wpływu tej złowrogiej propagandy już istnieje księgarnia w Warszawie przeznaczona przeważnie do rozpowszechniania ludowych w dobrym duchu pisanych książek; jest to księgarnia Konrada Pruszyńskiego znanego pod pseudonimem Promyk. Powstał także zamiar wydawnictwa ludowego pod kierunkiem Zygmunta Glogera, a nakładem zasłużonej i silnej firmy Gebethner i Wolff.

* * *

Ze świata katolickiego: Ostatnie chwile życia biskupa Dupanloup — Zgon — Dyecezya orleańska — Miłość do Polski — Mowa na ślubie ks. Czartoryskiego — Książę Nemours — List Garybaldego — Ruch rewolucyjny we Włoszech — Wypadek w Watykanie — Choroby między murzynami w Afryce — Zgon kardynała Cullen w Dublinie — Trumna św. Franciszka Ksawerego.

O ostatnich chwilach życia ks. Dupanloup, podaje *Kuryer Poznański* ciekawe szczegóły: „Zagraniczne dzienniki, czytamy tam, nie ustały jeszcze w składaniu pośmiertnych hołdów pamięci Biskupa Dupanloup. Zewsząd mnóstwo przybywa rysów do odtworzenia tej niepospolitej postaci. Szczegóły chwil ostatnich nadzwyczaj są piękne i rzewne, a mianowicie prawdziwie kapłańskie.

Zdaje się, iż używanie pewnego lekarskiego a bardzo gwałtownego środka przeciw podagrze, której atak chciał usunąć co prędzej, aby do Rzymu podążyć, przyspieszyło koniec. Bawiąc u przyjaciela z lat młodości, hr. Alberta

Du Boys, mimo dotkliwych cierpień, pełnym był życia i swobody, pracował wiele i czytał, poprawiał swoje dzieło o *wychowaniu*, ze zwykłą rozmawiał świetnością. Na parę dni przed zgonem, gdy mu ktoś podsuwał myśl nowego dzieła czy przedsięwzięcia, odpowiedział z przekonaniem: „Moje dziecko, nie długo już na ziemi pozostanę.“ Do końca wiernie przestrzegał obowiązków kapłańskich, a gdy ostatniego dnia wikaryusz orleański naglił go, aby zażył trochę spoczynku, przerywając modlitwy, ks. Dupanloup nie zamknął brewiarza, aż domówiwszy komplety, odezwał się wesoło: „Jeszcze tedy dzisiaj jestem w porządku.“

Było to w piątek, 11 października. Dzień zeszedł wśród różnego zajęcia, rozmowy z przyjacielem, niewinnej z jego dziatwą zabawy, wspólnego czytania. Pod wieczór, ułożywszy się z wikaryuszem, aby mu rychło nazajutrz przyniósł komunię św., ponieważ nie czuł się na siłach, aby sam mszę św. odprawić, Biskup cofnął się do swego pokoju i zabrał się do odmawiania Różańca. W tem zameldowano mu młodzieńca, który świeżo ciężkiemi dotknięty próbami, pragnął się u niego spowiadać. Rozkazał natychmiast wpuścić go do siebie, wysłuchał, pokrzepił i rozgrzeszył, poczem do przerwanego powrócił Różańca. Nie miał go już na ziemi dokończyć.... nagłe duszenia rychłą pomoc do jego boku przywołały. Ks. Chapon zupełnie przytomnemu udzielił jeszcze rozgrzeszenia i ostatnich odpustów, poczem ta dzielna dusza przeniosła się do wieczności, w ostatniej jeszcze życia godzinie niosąc pomoc i ukrzepienie jednemu z tej młodzieży, którą osobliwą przez cały swój długi zawód ukochał miłością.

Ks. Dupanloup był z rzędu 118 Biskupem orleańskim, stolicy ustanowionej już w III wieku. Pierwszem jego wystąpieniem w szranki było sławne pismo o doczesnej władzy Papieża, ostatniem zaś list pasterski, dotyczący świętopietrza. Za młodu obok Montalemberta rozpoczął walkę o wolność nauczania, jako Biskup, w senacie przed kilkoma laty tej umiłowanej sprawie wywalczył zwycięstwo. Dla Polski był on zawsze życzliwym przyjacielem: w ostatniej jeszcze krucyacie swej przeciw Wolterowi, za jeden z najcięższych grzechów poczytywał mu bluźnienie katolickiej a nieszczęśliwej ojczyznie naszej. Przed kilkoma laty ks. Dupanloup, jako wierny domu orleańskiego przyjaciel, wezwanym został do Chantilly, aby pobłogosławić ślubnemu związkowi księcia Władysława Czartoryskiego z starszą córką księcia Nemours. Z tej okazyi Biskup orleański w pięknej do nowożeńców i weselnej drużyny przemowie wypowiedział gorąco swe dla Polski uczucia, podnosząc świetność i zasługi rodu Czartoryskich, ze wszech miar godnego z Burbonami Francyi się łączyć. Gdyby nie nagła śmierć jego, kto wie, ażali Biskup Dupanloup nie byłby rychle nowemu błogosławił związkowi tegoż orleańskiego domu z córą rycerskiego w Polsce rodu, jeżeli sprawdzi się wieść o powtórnych ślubach księcia Nemours z tą, która w ostatnich latach dzierżyła u nas berło niedorównanej piękności. A wszakże w Polsce na tem polu spółzawodniczek nie braknie!

Stary bandyta z Caprery napisał znowu list, któryby wprawdzie nie zasługiwał na wzmiankę, gdyby nie okoliczność, która go wywołała. W całych Włoszech zaczynają na wszystkich punktach powstawać nowe stowarzyszenia republikańskie w rozmaitej formie: mianowicie wielki odgłos znalazły w społeczeństwie stowarzyszenia strzeleckie i turniejowe, mające rozbudzić wojenny

zapał pomiędzy ludem i bezpośrednio przygotowywać go do niedalekiej wyprawy na północ. Owóż z powodu tego ruchu napisał Garibaldi, co następuje:

„Godnemi parlamentu włoskiego i ministra Cairolego są następujące trzy rzeczy: naród uzbrojony, jednolity podatek i księża przy łopacie. Wszystko inne jest głupstwem i nędzotą, a fale socyalizmu mogłyby wreszcie pogrążyć w przepaść nieprzygotowaną nawę państwa. Wyjaśnię to w kilku słowach. Uzbrójmy naród a oszczędzimy 100 milionów na wojsko, zostawiając młodych żołnierzy w domu a tworząc małe tylko kadry; drugie 100 milionów przysporzy Włochom praca tych ludzi, pozostających w domu, co razem czyni 200 milionów. Zarzućmy te różnorodne podatki a stwórzmy jednolity system który nie będzie rujnował ludu włoskiego; 16,000 urzędników finansowych będziemy wtenczas mogli oblec w mundury i użyć jako wojsko. O księżach mógłbym z Dantem powiedzieć: „*guardu e passa*“, atoli są oni niestety! największą plagą naszej biednej ojczyzny i dla tego trzeba się nimi zajmować. Gdyby ich zapędzono do roboty, poszłoby wszystko tak gładko jak przy Porta Pia; to pomoże!“

Ruch stowarzyszeń strzeleckich, który tu Garibaldi nazwał uzbrojeniem ludu, doznaje znacznego poparcia ze strony rządu. Coby z takim uzbrojonym ludem mógł zrobić p. Garibaldi lub jemu podobni, tego dowodem rok 1848!

— Opowiadają sobie w Rzymie o wypadku, jaki się na kilka dni przed publikacyą papieskiego pisma do Kardynała Niny wydarzył w Watykanie. Pewnego poranku, gdy minęła już godzina, w której Papież zwykł był wstawać, zapukał kamerdyner po cichu do drzwi. Odpowiedzi nie otrzymał żadnej. Nie wiedząc, co czynić, radził się monsignora, będącego w ten dzień na służbie. Obaj udali się do drzwi sypialnego pokoju i raz jeszcze zapukał kamerdyner; lecz i tym razem odpowiedzi nie otrzymał. Kamerdyner w obawie, aby się jakie nieszczęście nie wydarzyło Ojcu Św., zdecydował się zapukać jeszcze głośniej, ale znowu na próżno, pochwycił tedy za klamkę i wstrząsnął drzwiami. Na ten hałas podniósł się Ojciec Święty, otworzył drzwi i trąc oczy, rzekł z uśmiechem do kamerdynera: „Ach! to pięknie, wczoraj wieczorem usiadłem przy stole do pracy, widzę teraz, że mnie sen przy pracy zmorzył.“ Świece paliły się jeszcze na stole.

— Kościół Irlandzki poniósł wielką stratę. Zielony Erin pokrył się kirem żałoby. W Dublinie na dniu 25 października zmarł prymas Irlandyi Kardynał-Arcybiskup Dubliński, ks. Paweł Cullen. Urodzony w Dublinie 1803 r. liczył lat 75 — Był to pierwszy z Biskupów zamieszkałych w Irlandyi, ozdobiony purpurą kardynalską po trzechwiekowem ucisku Kościoła w Irlandyi — To też cała niemal Irlandya pośpieszyła wziąć udział w pogrzebie, jaki się odbył na dniu 27 października w Stolicy Zielonego Erinu. — Sześciu Biskupów, liczny nadzwyczaj szereg duchowieństwa, lord-major Dublina, dostojnicy kraju, reprezentanci władz urzędowych i przeszło 100,000 ludu posuwało się w poważnym pochodzie, a jedna z największych ulic Europy Sackville-Street nie mogła objąć mnóstwa cisnącego się ludu. Z braćmi szkolnymi na czele postępowało 3600 chłopców ze szkół, którymi zmarły Kardynał tak gorąco się opiekował. Niemiłe zrobiło wrażenie, że wicekról Irlandyi książę Malborough nie był reprezentowany na pogrzebie. Kiedy w 1865 chowano kardynała Wiesemana, królowa

Wiktorya była względniejszą. Po uroczystych egzekwiach, odbytych w poniedziałek, złożono we wtorek zwłoki Kardynała do grobowców katedry.

— Apostolski Wikary środkowej Afryki, Daniel Comboni, napisał do redaktora gazety monasterskiej *Westfäl. Merkur* list, w którym opisuje nędzę panującą tam, gdzie jest pole jego missyi między murzynami. 100 milionów niewiernych jest dotkniętych strasznym głodem i skutkiem tego tyfusem i innemi oknopnemi chorobami, którą nazywa galopującym tyfusem: choć najsilniejsi ludzie w 15, 20, 25 minut najdłużej w pół godziny umierają. W królestwie Cordofan, gdzie są trzy wielkie zakłady misyjne księży i zakonnic, kosztuje czarna, nieczysta woda tyle co u nas wino reńskie, a po tę wodę trzeba pół dnia iść i długo czekać, aż przyjdzie kolej do czerpania. Składki na missyę u murzynów przyjmuje w Kolonii X. prob, Cöcker, Georgsplatz 2, a u nas sam Najprzew. X. Biskup chełmiński.

— Jak się dowiadujemy z gazety lisbońskiej, na dniu 18. lipca b. r, otworzono uroczyście trumnę, w której się mieści ciało św. Franciszka Ksawerego, apostoła Indyi. W Cidade Velha (Goa) w klasztorze Dobrego Jezusa około obiadu stawili się Arcybiskup Prymas, kapituła, kilku lekarzy, kilku członków rządu i niektóre inne znakomitości. W ich obecności otworzono trumnę. Po odprawieniu kilku modłów, lekarze przeglądali relikwie, a wszyscy obecni całowali nogę świętego. Pozwolono też o ciało Świętego potrzeć kawałki płótna lub flaneli i obraziki. Następnie sekretarz rządowy spisał protokół o tym akcie i wszyscy obecni się podpisali.

* * *

Różności: P. Albin Khon w *Posener Zeitung* — Uciecha *Gazety Narodowej* — Anglicy o W. A. Maciejowskim — *Cyganie* p. Olgi Komorowskiej — Dwór Mieszka I i nowo odkryty manuskrypt — Rozprawa Klaczki — *Figaro* o Polkach — Rzeźba włościanina z Hrubieszowskiego — Machina słoneczna.

P. Albin Khon, znany dobrze przed laty czytelnikom *Przeglądu*, biorący wtedy udział w walce przeciw ultramontańskiej ignorancyi w ś. p. *Tygodniku Wielkopolskim*, przeniósł się ze swojemi płodami pióra do polakożerczej gazety *Posener Zeitung*. Zbytek patryotycznego uczucia zapędził go do tego dziennika. Najnowsza praca p. Albina ukazała się, jak donosi *Gazeta Narodowa*, w *Posener Zeitung* numer 745, i nosi poważny tytuł: *Aus dem Lande der Mythe und Legende.* Autor bada okolice Kruszwicy i Gopła na zasadzie wykopalisk w tamtych stronach, dochowanych w zbiorach Towarzystwa Naukowego Poznańskiego, p. Klugera, p. Leona Siewicza i gabinetu archeologicznego uniwersytetu Jagielońskiego. Szczęśliwy p. Albin, że nie należy ani do Stańczyków ani Ultramontanów, ani żadnego rodzaju wszeteczników.... może więc pisać do *Posener Zeitung*, a *Gazeta Narodowa* z pewnego rodzaju ukrytą dumą zawsze pospieszać będzie zawiadamiać o tem swoich czytelników. O! patryotnicy!....

Również z *Gazety Narodowej* dowiadujemy się, że w angielskiem czasopiśmie *Foreign Reviev*, znajduje się obszerny artykuł p. Coopera, obejmujący sprawozdanie z naukowej działalności W. A. Maciejowskiego. Sprawozdawca naszej *Gazety* utrzymuje, że praca p. Coopera, obejmująca trzy arkusze druku, „przechodzi o wiele luźne krytyki, jakich się Maciejowski nie doczekał w swoim własnym kraju“... *Si tacuisses*.... Nie należało tych słów pisać...

Po co się wydawać z nieznajomością polskiej publicystyki. Szanowny sprawozdawca *Gazety* nigdy snać nie przeglądał roczników *Przeglądu Poznańskiego*. Wprawdzie było to pismo ultramontańskie, ale tak znakomite, jakiego nie ma, a kto wie, czy kiedy będzie na ziemi polskiej!

— P. Olga Komorowska ukończyła w odcinku *Gazety Narodowej* swoją belletrystyczną ramotkę pod tytułem: *Cyganie*. O! prawdziwi cyganie. Powieść, jak to powiadają, napisana objektywnie, przedstawia nam miłostki włoskie, a koniec jej wieńczy się zbrodnią... sztyletem i rozpustą... Doprawdy dziwić się należy, jak mogła niewiasta, i do tego Polka, przedstawiać dzikie i pełne zmysłowości obrazy i to w taki sposób, jakby żadnego do nich nie czuła wstrętu. Dziwi nas doprawdy, że popędów jej pióra nic zatrzymać nie mogło. Bogata to zaprawdę imaginacya!...

— Zdarzają się w historyografii niespodzianki, przewyższające najśmielsze nasze nadzieje. Po tak gorliwych poszukiwaniach źródeł do czasów pierwszego historycznego księcia polskiego, Mieszka, czyż można było marzyć, że uda się jeszcze komu odkryć nowy materyał, przedstawiający tego władcę, jego dwór i kraj, z nowej, dotąd nieznanej strony? A jednakże, jak pisze *Gazeta Lwowska*, tak się stało. Szczęśliwem zdarzeniem znalazł się na dworze Mieszka podróżnik, który miał sposobność poznać te wszystkie stosunki, a silnie zajęty tem, co widział, powziął myśl, za którą go błogosławić powinniśmy, jakkolwiek zkądinąd na błogosławieństwo wcale nie zasługiwał — myśl przekazania tych ciekawych rzeczy na piśmie cudzoziemcom i potomności. Owym podróżnikiem był nie kto inny, jeno żyd, obyczajem swego narodu jeżdżący po świecie dla interesów, a o tyle jedynie różniący się od nieodrodnych swych potomków, że handlował wprost żywym towarem, że nakupiwszy w krajach słowiańskich niewolników, zapędzał ich do Andaluzyi i tam z wielkim zarobkiem sprzedawał. Jest to jedna z licznych ilustracyj do świetnego szkicu Szajnochy pod tytułem: *Słowianie w Andaluzyi*. Otóż rzeczony Izraelita hańbę swego rzemiosła, które wówczas zresztą nie budziło takiego, jak dziś oburzenia, opłacił sowicie zajmującym opisem, który w języku arabskim odkryto w Petersburgu, a którego przekład opuści niebawem prasę, wydany staranną i umiejętną ręką jednego z najuczeńszych członków petersburgskiej akademii umiejętności Kunika.

— *Rozprawa Klaczki* o kwestyi wschodniej, zapowiadana od dawna w dziennikach, rozpoczęła się drukować w najnowszym zeszycie paryzkiej *Revue des Deux Mondes* (przeglądu znanego z pozytywistycznych zasad i nieprzyjaźni do Kościoła) pod tytułem: *Les évolutions du problème oriental*. Dotąd wydrukowany tylko rozdział pierwszy: *Les Puissances catholiques*. Szkoda doprawdy że p. Klaczko, będąc katolikiem, tego rodzaju pismo przyozdabia swemi artykułami.

— *Piękna rzeźba* włościanina rolnika z Hrubieszowkiego znajduje się do obejrzenia w zakładzie fotograficznym p. Chicińskiej w Lublinie. Jest to kropielnica z ciemnego drzewa, nad którą unosi się wyskakująca od ciemnych ram jasna postać Matki Bolesnej. Kur. Lub. tak pisze o tym utworze: „Cysterna jest prosta, ale gustowna. Kontury jej i ornamentacye wielce skromne, a jednak mile wpadają w oko. Ramy już bogatsze, upiększone kwiatami i liśćmi, przy konturach w stylu renesansowym. Ramy te najwięcej pozostawiają do życzenia. Na związaniu szczytowem jest para anielskich główek ze skrzydełkami w wypukłorzeźbie. Główki owe bardzo dobrze wykończone, jeśli nie całkiem podobne

są aniołkom Rafaelowskim, tedy przynajmniej żywo przypominają roztropne i wdzięczne twarzyczki dawnych pacholąt przy dworach, jak je niekiedy na obrazach i sztychach widzimy. Ale uwieńczeniem arcydzieła siermiężnego artysty jest popiersie Matki Boskiej, również w wypukłorzeźbie. Tyle tam bólu rozlanego na twarzy, tyle wyrazu, tak harmonizują wszystkie delikatnie pochwycone szczegóły, a nawet usterki wykonania, malując ból i smutek niewysłowiony, że trudno się oprzeć wzruszeniu i trudno oczy odjąć od tego kawałka drewna".

— *Machina słoneczna* Mouchot'a. O wynalazku pana Mouchot'a *Przyr. i Przemysł* podaje następujące szczegóły: P. Mouchot od pewnego czasu z niezmordowaną wytrwałością pracuje nad udoskonaleniem przyrządu, skupiającego za pomocą zwierciadeł ciepło promieni słonecznych, celem korzystania z niego w praktyce. Ostatni list jego do paryzkiej akademii nauk, czytany na posiedzeniu 30 września r. b., zwrócił na siebie uwagę całego uczonego grona. W nim bowiem wynalazca podaje wypadki swoich doświadczeń, jakie podczas wystawy osiągnął na polu Marsowem. W przyrządzie, którego zwierciadło ma tylko $^1/_5$ metra kwadratowego powierzchni (około 320 cali kwadratowych), upiekł on funt wołowiny w ciągu 32 minut. Przy reflektorze o półmetrowej powierzchni (800 cali kwadr.) pół kwarty wina doprowadzone zostało w ciągu pół godziny do zawrzenia, i dało wódkę, która przez powtórne oczyszczanie przepędzona, okazała się wybornym likworem stołowym. Rezultat ten mocno zaciekawił dystyllatorów, zwiedzających wystawę. W dniu 1 września p. Mouchot ustawił największy zbudowany przez siebie reflektor, mający powierzchni 20 metrów kwadratowych (przeszło 200 stóp kwadr.). W środku umieszczony był kocioł przeszło 6 centnarów ważący i na 8 stóp wysoki. W przeciągu pół godziny 70 kwart wody doprowadzono do zawrzenia, a prężność pary przewyższyła 6 atmosfer. Pod ciśnieniem więc trzech atmosfer puszczono w ruch pompę, która podnosiła w ciągu godziny 1,500 do 1,800 kwart wody do wysokości dwóch metrów (6 $^2/_3$ stóp). Jest to już, jak widzimy, rezultat bardzo poważny.

* * *

Świętopietrze.

OJCU ŚWIĘTEMU LEONOWI XIII

złożyli w Redakcyi:

(Serya II)

Za pośrednictwem O. Mycielskiego prowincyała OO Jezuitów . . .	50 złr.	
Ks. Stanisław Korzeniowski proboszcz parafii Matki Boskiej Śnieżnej we Lwowie ze zkładek w kościele	3 „	
P. ** ze Lwowa	10 „	
Ks. Jacek Majewski z zakonu św. Dominika	2 „	
S. S.	2 „	
Razem .	67 złr.	
Z przeniesienia: 76 rubli, 1 dukat w złocie i .	64 „	38 ct.
Razem 76 rubli, 1 dukat w złocie i .	131 złr.	38 ct.

NA KRZYŻ BISKUPI

DLA OJCA ŚWIĘTEGO LEONA XIII

złożyli w Redakcyi:

Jadwiga Leonowa Sapieżyna	100	złr.
Adam książę Sapieha	100	"
Izabela z hr. Stadnickich hrabina Krasicka . . .	20	"
Felicya hr. Mierowa	10	"
Karol hrabia Lanckoroński	50	"
P. Skibniewska . . . . 1 dukat w złocie . .	—	"
Hrabina M.	5	"
Pani P. . . . 1 napoleondor	—	"
N. N.	5	"
P.... L... (syn)	20	"
X. X. z Tarnowa l. 15	5	"
P. Białecka ze Lwowa	2	"
Ks. kanonik Kaliniewicz, proboszcz trembowelski i dziekan .	2	"
Ks. Otton Hołyński	3	"
M. K. ze Lwowa . . . . "	1	"
Ks. Edward Podolski	5	"
Ks. Marceli Piątkowski, wikaryusz archikatedralny . .	1	"
Ks. Leonard Solecki " "	1	"
P. ** ze Lwowa	10	"
X. Jacek Majewski kapłan z zakonu św. Dominika . . .	2	"
Ks. kanonik Turzański, Proboszcz Metropolitalny i Dziekan Lwowski w srebrze	6	"
Ks. Stanisław Korzeniowski, proboszcz parafii Matki Boskiej Śnieżnej we Lwowie ze składek	4	"
P. Sieber, kawaler orderu św. Grzegorza	25	"
Zgromadzenie panien Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny z Jazłowca	10	"
Ks. Prałat Teliga, Dziekan kapituły krakowskiej . . .	20	"
C. K.	1	"

Razem: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i 408 złr.

* * *

Korespondencya Redakcyi.

Wny P. H. N. . . . . *w Krakowie* — O ś. p. ks. Biskupie Dupanloup umieścimy w przyszłym poszycie list, jaki otrzymaliśmy z Paryża od ks. Leona Postawki.

Wny ks. Hoł. . . . . *w Tarnopolu* — Broszura: *Pius IX Obrońca Polski*, wyjdzie ale dopiero w ostatnich dniach Grudnia.

Wny X. K. . . . . *we Lwowie* — Niech sobie piszą i protestują. Cała racya bytu tego pisma to paszkwilować lub paszkwilantom za podnóżek służyć.

Wny. Ks. X. . . . . *w Tarnopolskiem* — O ś. p. Hippolicie Stupnickim powiemy w przyszłym numerze — ale o śmierci Dr. Eugeniusza Janoty wcale pisać nie będziemy. Bolesny to nad wyraz wypadek. Biedna dusza! —

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

WIELKA KSIĘGA.

Powieść Sewera.

.....Często z po za łez uśmiechamy się — i często, nasłuchując bicia własnego serca, pytamy się zabłąkanych w głowie myśli, zkąd przychodzą, nie domyślając się, że to artyzm, jak wiatr pędząc po niebie chmury, gromadzi myśli nasze — i z po za łez usta stroi uśmiechem.

PANI MARYI JLNICKIEJ
pracę tę poświęca
Autor.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Bladawa mgła przytuliła się do ziemi. Szary koloryt na płótnie i w naturze wyradza pewien smutek w naszych uczuciach... A myśli — one wtedy toną w mgle, lub czołgają się po ziemi, jak nasz wzrok, nie mogąc patrzyć w przestrzeń, lub rwać się do słońca.

Na ziemi mgła zaległa ulice i dziwnie było wieczorem wśród świateł latarni, jak wśród pochodni trzymanych niewidzialną ręką, latających ogników powozów i wrzawy ulicznej, nie mogąc dojrzyć przedmiotów i ludzi. Ogniki i przytłumione głosy na ziemi, czerwona łuna na niebie, gwarno, a jednak pusto — czerwono, a jednak ciemno. I czemże się dusza ma radować, gdy myśl uderza o ciemną mgłę na dole, a w górze spostrzega kolor, ogłaszający przerażonym zniszczenie.

Pochylmy głowę na piersi, może zmęczony wzrok, patrząc na dół, znajdzie spadłą łzę lub zgubiony smutny uśmiech.

I.

Zamigotało — światełka otulone białym puchem mgły. zdają się mrugać przyczajone do ziemi, jak gdyby chciały przyzywać i wabić ludzi do siebie..... Zwabiły; gromadka ciekawych otoczyła

majaczące ogniki, a przed niemi na gładkich płytach chodników rysowane kolorowemi kredami obrazy [1]). Było ich sześć podług twierdzenia pana Smaił [2]), znanego z dokładnych obliczeń i skropulatności w świadectwie... Było ich sześć, możemy wierzyć, a że artysta jest Anglikiem, trzy z nich należą do morza, jeden do kontynentu, dwa do Anglii.

Na rozhukanych bałwanach oceanu kołysze się z rozpiętemi żaglami okręt, gdy z ciemnych chmur wypada piorun, aby go spalić. I na cichych wodach wśród księżycowej nocy parowiec ze wstęgą dymu, oświeconą iskrami...

Ze złoconych ram wygląda postać Napoleona I, z tradycyjnym kosmykiem czarnych włosów na czole. Wielki geniusz patrzy się na Anglię i duma z zaciśniętemi ustami. Jedna Anglia pokonała olbrzyma! Tyle dla kontynentu. A dla Anglii? Parlament nad Tamizą i Westminster.

W miejscach pustych między okrągłemi ramami obrazów, dla złagodzenia grozy i uroczystości kompozycyi, podobnie jak komizm w tragedyi Szekspira: pudel palący fajkę, dwa pomidory, list, szynka i pieniący się pełł-ełł.

Przyparty do ściany na wilgotnych płytach kamiennych, obok obrazów i zapalonych świeczek, siedział trzynastoletni chłopiec, blady i szczupły. Niebieskiemi oczami patrzał obojętnie na ludzi, milcząc. Obok, na gałganku rozłożone farby, a między niemi kilka porzuconych penów. Chłopiec patrzał i czekał, ludzie stawali, spoglądając na obrazy, czasem na chłopca i odchodzili, artysta zostawał sam z pięcioma penami. Nadszedł robotnik, stąpając ciężko, jak jego młot był ciężki, którym pracował 12 godzin — przyszedł, spojrzał i rzucił pena... Nadbiegła młoda dziewczyna, długo szukała, szukała we wszystkich kieszonkach i nareszcie w torebce znalazła zdaje się ostatni — i wstydząc się chłopca, ludzi, a może pena, jeżeli był ostatnim, rzuciła go nieśmiało, przelotnie spoglądając na chłopca i uciekła. Dziękuję dopędziło ją w drodze, samą bez pena, dziękuję brzęczało jej w uszku i obok serca sprawiało ciepło.

---

[1]) Często można widzieć w Londynie ubogich chłopców malujących kolorowemi kredkami obrazy na kamiennych chodnikach ulic, za co przechodnie rzucają im pieniądze. Wieczorem owe improwizowane obrazy bywają oświecone świeczkami.

[2]) Pisze się Smile a wymawia Smaił W tem nazwisku trzymam się pisowni wymawiania.

Patrzał na to wszystko p. Smaił, a patrząc, ani nie zażywał tabaki, ani nie palił. Ludzie mówili, iż ze skąpstwa, z czego p. Smaił uśmiechał się i lekko wzruszał ramionami...

Pan Smaił często po cichu śmiał się z opinii i ludzi, i teraz się uśmiechnął, patrząc na obrazy, chłopca i rzucone mu peny.

Godzina dziewiąta, na gałganku obok farb, ośm penów, ludzi co raz mniej, co raz większe zimno, świeczki jedna po drugiej gasną. Pan Smaił zdradzał pewien upór, lub wytrwałość, patrzał na obrazy, gałganek, chłopca i czekał.

Już tylko jedno światełko migotało i jeden pozostał z patrzących p. Smaił. Chłopiec obserwował świeczkę i wpatrującego się amatora w obrazy — i jako prawowity Anglik, zrobił zakład przeciwko świeczce, za panem Smaił, stawiając dwa peny za wytrwałością stojącego dżentelmana.

— Nagle na płytach chodników zabrzęczało i srebrne sześć penów potoczyło się po jednym z pejzażów. Chłopiec drgnął, zerwał się, obliczył pieniądze i gałganek z farbami pospiesznie zaczął zwijać. Pan Smaił nie tracąc czasu, wyjmuje portmonetkę, dobywa szylinga i rzuca go chłopcu. Chłopiec podnosi zdziwione oczy, pan Smaił znika w mgle.

— Przegrałem szepnął do siebie uradowany dzieciak i, pełen wybuchów dobrego humoru, zabierał się do odejścia. Gdyby jednak dobrze uważał, przekonałby się, że zakład nie był przegrany.

Pan Smaił przyczajony do muru czekał i dumał; świeczka zgasła, p. Smaił nie ruszył się z miejsca. Chłopiec, śpiewając piosnkę, pobiegł galopem, p. Smaił za nim wyciągnięty angielskim kłusem swoich długich nóg, gdyż p. Smaił był długi, a będąc długim, był chudy i miał barczyste ramiona, długą twarz i nos duży, i szerokie wązkie usta, a oczy wielkie, szare i pogodne, i do tego p. Smaił posiadał kłusa, którym w młodości wygrywał znaczne zakłady. Nie dziw więc, że dopędził chłopca, kupującego w sklepiku nową świecę, herbatę i cukier — i za dwa peny mały dzienniczek z ciekawą powieścią. W drugim wziął chleba i słoniny, i znowu śpiewając, skręcił galopem w małą uliczkę, a p. Smaił za nim wyciągniętym angielskim kłusem, albowiem p. Smaił stąpał cicho, z góry stawiając lekko nogi. Zwyczaj ten przejął od folbludów, lecz nie lubiąc się chwalić, nie wspominał o tem.

Chłopiec znikł w jednym z małych domków, p. Smaił został na ulicy sam, rozglądał się i namyślał. Naprzód zobaczył numer na drzwiach 26, zanotował go, a notując, uśmiechał się. Pan Smaił

był fatalistą, lubił parzyste numera, a do podwójnie parzystych, miał szczególne zaufanie.

Po schowaniu pularesu szlachetny olbrzym o folbludowskim kłusie rekognoskował tajemniczy dom. Na dole ciemno i na górze ciemno, z czego naturalnie wywnioskował, że młody artysta, nie mieszka od frontu, dalsze zatem obserwacye z tej strony nie posiadały dla niego podstawy, nie dając widoku pomyślnych rezultatów. Ponieważ jednak p. Smaił nie cofał się przed żadnemi przeciwnościami, gdy miał pewne postanowienie, a widocznie miał je, goniąc chłopca, zdecydował, odparty z frontu, atakować z innej strony. W tym celu, obszedłszy uliczkę, dotarł do wązkiego przejścia utworzonego z dwóch niskich murów, rozgraniczających ogródki domów. Obliczył dokładnie, który ogródek może należyć do 26 numeru, nadsłuchiwał pewien czas, lękając się być spostrzeżonym przez policyanta, któryby w imię prawa zaprotestował najście ogrodzonego miejsca. P. Smaił nie lubił policyantów, nie żeby się ich miał bać, lecz jedynie dlatego, że mu przeszkadzali. Słuchał więc — cisza dokoła. P. Smaił postanawia i w skutek tego opiera ręce o mur, wznosi się na rękach, siada na grzbiecie parkanu, przekłada długie nogi, zsuwa się na ziemię i stąpa jak żuraw po zielonej murawie. Przepraszam, gdyż powinienem napisać jak folblud, przez szacunek dla ambicyi pana Smaił, nie lubiącego się chwalić.

W oknie na dole szparami źle zasłoniętej firanki błysnęło światło, p. Smaił przytknął swój długi nos do szyby i przez odchyloną firankę patrzał.

Młodziutki artysta, klęcząc przed kominkiem, przyrządzał herbatę, przypiekał chleb i smażył słoninę. Obok w głębokim fotelu, siedziała kobieta blada i smutna. Duże niebieskie, z rozszerzoną źrenicą oczy, wlepiła w chłopca, usta jej poruszały się; p. Smaił nie był pewny, czy się modliła, czy szeptała zaklęcia. Chłopiec dmuchał, smażył, zalał herbatę, nakrył serwetą stół i usmażoną postawił słoninę. P. Smaił oblizał się mimowoli, był głodny, a lubił słoninę.

Gdy p. Smaił przypatrywał się, dziecko przysunęło z fotelem do stołu matkę i pogłaskało ją ręką po bladej twarzy. Matka ujęła w swe dłonie chudą buzię syna, patrzała przez jakiś czas w jego oczy i milcząc pocałowała go w usta.

P. Smaił chciał w tej chwili notować, ręka mu jednak lekko drżała i szare oczy zaszły wilgocią, jak niebo angielskie, w co p. Smaił nie wierzył, mimo to przetarł je ręką i dalej patrzał, chociaż nie było nic ciekawego.

Matka i syn pili herbatę, jedli chleb ze słoniną i rozmawiali. Chłopiec, giestykulując rękami żywo, opowiadał, matka z uśmiechem słuchała. P. Smaił był pewnym, że mówią o nim i długie swe ucho przytknął do okna, i nic nie słyszał, pomimo długiego ucha i cienkiej szyby.

Skończono herbatę, p. Smaił stał w miejscu. Cłopiec rozłożył kupiony dziennik, fotel matki przysunął do kominka, objaśnił świecę i czytać zaczął. P. Smaił wynotował tytuł dziennika i numer dużemi wydrukowany literami, i stojąc w miejscu zadumał się... Czyżby miał zazdrościć nędzy, czy bladości twarzy kobiety, czy ciepła kominka. A może zazdrościł jednej godziny ciszy i spokoju, która, głusząc wspomnienia cierpień, uszlachetnia życie do tyla, że dla tej jednej godziny dwadzieścia innych znosimy z radością.

Chłopiec czytał z ogniem i uczuciem, oczy mu błyszczały, głos drżał. Musiała to być straszna historya, a dziecko wierzyło w jej prawdę. Blada kobieta patrzała na ogień, lecz wiele razy chłopiec silniej czytał, odwracała głowę od kominka, aby utkwić wzrok w syna. Matka i syn, pieszczony głos dziecka i między niemi straszna historya, mała izdebka i czerwone światło kominka, obok bladawego blasku świecy.

P. Smaił za oknem posmutniał, pomimo, że zaspokoił ciekawość. Przestał patrzyć, a nic nie słyszał, i dlatego nie czekając dłużej, leniwie odchodził, czając się, aby nie być widzianym. Schylony po pod murem, nasłuchiwał czas niejaki, później przesadził go i wyprostowany, spiesznie, lekko stąpając, powracał do siebie.

I on również w swoim pokoju zastał ogień na kominku i gorącą wodę do herbaty, tylko słoniny nie znalazł. Mało się tą kwestyą zajmował, więcej mu pewno w tej chwili dokuczała samotność, gdyż rozglądał się po małej izdebce i ręce, długie swe ręce wyciągał. Herbata przeszła smutno i dopiero p. Smaił rozjaśnił nieco swoją twarz, gdy wyjął z szafki dużą książkę rachunkową i zaczął w niej układać zwyczajny bilans dnia. Pod rubryką dzienny dochód zapisał jednego funta, a obok w rubryce dzienny procent, gdyż p. Smaił procenta na dnie obliczał, umieścił 12 szylingów i 2 peny. W rozchodzie: dla siebie zanotował 2 szylingi i 6 penów, a w nagłówku zatytułowanym: *dla społeczeństwa*, zaznaczył 1 szylinga. A zatem w bilansie pozostało w dniu tym dla społeczeństwa: 18 szylingów i 8 penów. W książce znajdowała się jeszcze jedna zagadkowa rubryka, zatytułowana: *Stracone*, pod którą p. Smaił zwykle pisał *tak* lub *nie*, z wykrzyknikiem, lub bez wykrzyknika,

czarnym lub czerwonym atramentem. Obecnie p. Smaił nie wyraził swej opinii, pomijając kreseczką wiersz tego tytułu, za to w uwagach zapisał nazwę małej uliczki i numer 26.

Długo p. Smaił patrzał na zapisane liczbami kartki i na lakoniczne *tak*, lub *nie*, wypisane w rubryce, zatytułowanej *stracone*. Szereg wypisanych *tak*, przedstawiał się licznie, lecz i *nie* dość często świeciło, a nawet można było spotkać kilkarotne *nie*, wypisane czerwonym atramentem. Te to zaczerwienione miejsca, wprawiały w dobry humor naszego buchaltera.

Wielka księga rachunkowa buchalteryi pojedyńczej, stanowiła rodzaj pamiętników pana Smaił, w których wyrazy zastępowały cyfry, nagłówki rozdziały... I tym sposobem w księdze spostrzedz można było same fakta wyrażone w liczbach. Historyę ich chował p. Smaił pod swoją czaszką; czytane cyfry rozbudzały wspomnienia, i dlatego czytając je, uśmiechał się. Dzisiejszy dzień nie jest straconym, rzekł do siebie p. Smaił. Nie jest stracony, Samuelu, powtórzył... Ona mnie zawsze tem imieinem nazywała. Przedewszystkiem Samuelu, sieroty — mówiła — a ja odpowiadałem: społeczeństwo. A w niem sieroty, dodawała cicho. Milczałem, bo i ona była sierotą, chociaż mi powtarzała: Samuelu, gdy jesteś obok mnie, zdaje mi się, że się znajduję wśród rodziny.... I nareszcie sam osierociałem, po raz trzeci...

Cóż mnie to obchodzi, rzekł po namyśle ze smutnym uśmiechem, uderzając ręką w księgę. Wobec społeczeństwa i idei, niema jednostek... Z oczu jednak, ciężkiego westchnienia i wyrazu twarzy, można było wywnioskować, że p. Smaił usiłował w tej chwili kłamać przed samym sobą. Społeczeństwo dla niego, jako dla jednostki, składało się również z jednostek, które kochał, lub gardził niemi, przywiązywał się do nich i cierpiał, tracąc je. I na dowód, zamyśliwszy się powtórnie, rzekł z cicha: Nikt już do mnie od lat dwóch nie mówi: Samuelu dobrze mi z tobą.... Blada kobieta i chłopiec, a może talent, prowadził dalej z sobą monolog Samuel — chodząc po małej izdebce, stanął przed kominkiem, wązkie szerokie usta otworzył, z po za nich wyjrzały dwa szeregi dużych białych zębów; był to dowód, że p. Smaił się śmieje, uśmiechowi towarzyszyło zatarcie rąk i silne klaśnięcie w dłonie widocznie z radości.

— Samuelu róbmy swoje, idźmy naprzód, zawołał. Samuel usiadł powtórnie, wyciągnął długie nogi, pochylił głowę na piersi; samotność mu dokuczała, zamrużył oczy, aby jej nie widzieć — zasnął.

W małej izdebce na dole, w domku wąskiej uliczki, samotność nie dokuczała, ani matce przysłuchującej się czytaniu dziecka, ani chłopcu obok matki, oczarowanemu ciekawą historyą.

— Przestań już moje dziecię, odezwała się po skończonym rozdziale kobieta.

— W tak ciekawem miejscu, zrobił uwagę chłopiec.

— Dokończysz jutro, jesteś zmęczony, późno — nalegała matka.

— Mamo, może i nas jeszcze kto pokocha, odezwał się, składając dziennik artysta.

Blada kobieta uśmiechnęła się.

— Jak urośniesz i nie będziesz ubogim, dodała.

— Jak będę bogatym, to tylko biedną a dobrą jak ty mamo będę kochał. Leonora kocha także biednego, dodał cicho, słyszałaś?...

II.

Nazajutrz o godzinie czwartej po południu p. Smaił był mocno zajęty. Długie jego nogi stawiały szerokie kroki, a w ręku czarna torba poważnie się kołysała jak wahadło zegara. Twarz pana Smaił była nastrojona uroczyście, poważne myśli widocznie świdrowały mózg, a uśmiech, przemykając po ustach, zdradzał pewne zadowolenie.

Wstąpił do sklepu, wybrał lampkę, stargował ją, kazał doprawić knot i szkło; do tego kupił butelkę nafty; wstąpił do rzeźnika, zabrał funt szynki, potem świeżego chleba, cukru i herbaty. Wszystko to zniknęło we wnętrznościach czarnej torby. Nareszcie p. Smaił znalazł sklep farb i obrazów, i wybrał potężnych rozmiarów rozpięte na ramach pokostowane płótno. Z wyładowaną torbą w jednej ręce, a z płótnem w kwadratowych ramach w drugiej, szedł milcząc na małą uliczkę, pod 26 numer. Pochylił głowę z powodu niskich drzwi u progu małej izdebki, stając przed zdziwioną, haftującą na krosienkach bladą kobietą.

Biedna chora chciała się podnieść, zmęczona wysileniem siadła na powrót.

— Nie możesz pani chodzić, rzekł przyjacielsko p. Smaił, zdejmując kapelusz i palton.

— Z trudnością, ser, odpowiedziała.

— Domyślałem się tego jeszcze wczoraj.

— Wczoraj się ser domyślałeś, powtórzyła zdziwiona.

— Jeżeli moje władze kombinacyi i domyślania się funkcyonują dzisiaj, dla czego nie miałbym ich posiadać również wczoraj?

Loiczna odpowiedź p. Smaił zmusiła do milczenia kobietę, tem więcej, że zdziwienie jej z każdą chwilą wzrastało, gdy przybyły, nie wdając się w rozprawy, wyjmował po kolei z torby przyniesione rzeczy. — Naprzód ukazała się na stole lampa — i szkło do niej, — p. Smaił usiadł i zaczął zakładać knot.

— Używałaś pani w życiu swojem lampy, przerwał milczenie olbrzym.

— Dawniej codziennie, odrzekła jednakowo, zdziwiona kobieta.

— Zatem Tobie ją powierzam.

— Mnie?

— Tak, Tobie moja pani, tylko pozwól mi ten jeden raz nalać nafty i zrobić próbę.

— Wybornie, zawołał p. Smaił po zapaleniu, ciąg dobry i płomień szeroki. Stokroć to lepsze światło, jak świeca, nieprawda?

— Bezwątpienia ser.

— A tu — mówił dalej poważnie olbrzym — jest szynka, chleb świeży, herbata i cukier. Trzecią część szynki zamawiam dla siebie, sprawiedliwość przedewszystkiem. Nikogo nie lubię krzywdzić, ale nie chcę, aby i mnie krzywdę robiono.

— O tak ser, lecz racz mi wytłómaczyć, co to wszystko znaczy?

— To znaczy moja pani, że ja tu przyjdę o 6tej i będziemy pić herbatę, a to jest moja filiżanka, mój spodek, i moja łyżeczka, a zatem twój syn dobrze zrobi, jeżeli nie pójdzie dzisiaj malować swych obrazów na kamieniach ulicy, i nie straci na tem.

Pan Smaił zabierał się do wyjścia.

-- A jednak ser radabym wiedzieć, komu mam zawdzięczać, odezwała się zmięszana nieco kobieta.

— Moja pani, przerwał p. Smaił, cóż znaczy nazwisko, które nosimy, jest to rzecz przypadku i nic więcej. I cóż się pani dowiesz, gdy będziesz wiedzieć, że się nazywam Samuel Smaił. Do imienia mego przywiązuję kilka przyjemnych wspomnień i lubię, gdy poczciwa dusza nazwie mnie Samuelem, do nazwiska żadnego. Smaił, Smił lub Smel, wszystko mi jedno. Jestem człowiekiem moja pani, kroplą, jedną kroplą w tem morzu, co się zwie społeczeństwem i jako kropla w nim ginę. Lecz jako zamarznięta, sama w sobie, oderwana to i skały rozsadzam. Oto zagadka jednostki i jej stosunek do społeczeństwa. Czy pani to rozumiesz?

— I jako zamarznięta kropla skały rozsadzam... powtórzyła blada kobieta. Jakież to szczytne i wzniosłe porównanie.

— Wy kobiety przepadacie tylko za nadzwyczajnościami! A do tego potrzeba, aby owa kropla szczęśliwym wypadkiem dostała się w szczelinę skały.

— Ser, ser powiedziałeś o człowieku, jeżeli chce.

— Wiele bardzo chce, a mało może. Chcę przyjść o 6tej. a nie wiem, czy przyjdę, zatem powtarzam, zaledwo powtarzam: może do widzenia.

— Czekać Cię będę z moim synem, a tymczasem przyjmij ser...

P. Smaił nic nie przyjął, wyszedł, zajrzał do notatek pularesu i pomknął dalej.

Blada kobieta została sama, przesunęła rękę po czole, aby się przekonać, czy nie śni, a niebieskie swoje oczy utkwiła w zostawioną filiżankę, lampę i ramy z płótnem. Nie umiała sobie zdać sprawy z całego zajścia. Twarz jej atoli dziwnie wypogodniała. Kiedyś była piękną, piękność jak dawna znajoma ze szczęściem powraca, rozjaśnia czoło, z zakątek ust się wychyla i bladą twarz rumieni.

— O ile jest wysoki, o tyle długi, wszystko przedłużone, opisywała przed synem matka swego gościa.

— To ten sam mamo, zawołał chłopiec. W piaskowym paltocie i długich gumalastycznych kamaszach, przymocowanych taśmami do bioder.

— Tak, tak moje dziecię.

— To ten sam.

— Na pozór surowy, po paru wyrazach surowość znika, pozostaje dobroduszność i szczerość. To pewna, że jakiś wielki oryginał, dodała kobieta.

— Mamo, a może to jaki artysta i zechce mnie uczyć na prawdę malować. Coby to było za szczęście.

— Żaden artysta, artyzm nie jest moim udziałem, odpowiedział wchodząc p. Smaił, który widocznie podsłuchiwał i korzystając z nocy, dostał się do domku przez mur ogródka.

Niespodziane zjawienie się p. Smaił bez sztukania do drzwi domu przeraziło chwilowo matkę i syna.

— Lecz chociaż nie jestem artystą, uczułem potrzebę, inaczej skłonność, do posiadania własnego portretu. Widocznie p. Smaił lubił się wyrażać naukowo, a zawsze oryginalnie.

— Ser, przerwał chłopiec, rumieniąc się, ja umiem tylko malować portrety Napoleona i psa palącego fajkę.

— Ponieważ umiesz malować Napoleona i psa palącego fajkę, to powinieneś potrafić odmalować i tego, co stoi między niemi

w pośrodku! Patrzajcie, jaka wyborna idea przyszła mi do głowy. I na dowód umieścisz Napoleona w górze, a pudla palącego fajkę u mych nóg. Przy ozdobie pozyskamy i alegoryę — rozumiesz?

— Nie, ser, nie rozumiem znaczenia tego wyrazu, odparł artysta.

— Alegorya oznacza usiłowanie przedstawienia naszej myśli, lub duchowego pomysłu pod pewną postacią, w pewnej formie. I niech się domyślą, co oznacza Napoleon nad moją głową, a pies u mych nóg palący fajkę! Jedni powiedzą, że gardzę ludźmi palącymi fajkę, lub, że lubię psy, a drudzy, że kocham Napoleona. A kto się domyśli, że ja się uważam za wyższego od psa, chociaż pali fajkę, a niższym od Napoleona, chociaż był despotą. Alegorya wyborna rzecz dla głupców lub uczonych osłów.

— To może ser nie malować, odezwał się nieśmiało chłopiec.

— Właśnie maluj, gdyż to stanowi tajemnicę alegoryi w malarstwie. I gdy pojedziesz do Niemców, oni cię nauczą malować samemi alegoryami, że nikt niczego domyślić się nie potrafi.

— Ser, ja nie pojadę do Niemców.

— Nie mów tego, wypadek rządzi losem jednostki, a dopiero przewaga dobrych nad złemi w społeczeństwie, a ztąd przewaga szczęśliwych wypadków, dla jednostek, daje racyę bytu społeczeństwu, i czyni jego egzestencyę znośną.

Syn spojrzał — na matkę, ta spuściła oczy; a p. Smaił widząc, jak silne robi wrażenie, zatarł ręce, i klasnął silnie w dłonie. Uderzenie w dłonie zelektryzowało matkę i syna, oczekujących co raz nowych niespodzianek.

— Gdzież jest moja filiżanka, przerwał chwilę ciszy p. Smaił.

— Oto jest ser twoja filiżanka, spodek i łyżeczka. Czekaliśmy na Ciebie, mówiła blada kobieta, a tymczasem p. Smaił odpinał zapięte na guziki swoje kamasze i rzucał je w kąt pokoju, gdy chłopiec rozlewał herbatę.

Przy uczcie rozmowa nie ustawała, dzięki oryginalnym zwrotom gościa, pełnym loiki i trafnego poglądu na sprawy ludzkie. P. Smaił ze swej strony dowiedział się, że chłopcu na imię jest Karol, i że pracuje u malarza szyldów, a matka jego wdowa po marynarzu, sparaliżowana na nogi, z wielką trudnością chodzić może. Syn przeważnie utrzymywał matkę, a ona, jak każda matka, widziała w swem dziecku szczęście, nadzieję, świat cały. Chłopiec kochał ją, pracował i marzył, czytając ciekawe historye, które dziś przerwał p. Smaił, pozując do portretu.

— Ser, lecz ja nie mam kredek odpowiednich do papieru, zainterpelował chłopiec.

— Rób takiemi, jakie masz, talent nie patrzy na kredę.

Chłopiec w skupieniu ducha rozpoczął pracę — blada kobieta patrzała na syna, a p. Smaił w lustro, chcąc sobie nadać wyraz poważny, niemniej przezto sympatyczny. Szanujmy ten łagodny rodzaj próżności pana Smaił, ze względu, że nasz olbrzym miał zaledwo lat czterdzieści.

Pudel palący fajkę u dołu, Napoleon w ramach złotych u góry, wyszli bardzo szczęśliwie. Napoleona zdobił kosmyk czarnych włosów, spadający na czoło — i wystająca zaokrąglona broda, a pudla świecące rubinowe oczy i zadarty nosek. Przystąpiono do korony dzieła, odmalowania twarzy pana Smaił.

Chłopiec chciał rysować profil, p. Smaił *en face*, a zgodzono się na rysunek w trzech częściach. Milczenie, zaledwo przerywane cichemi westchnieniami matki, trwało godzinę. Po tym czasie z obrazu wyjrzał ceglasty, nieruchomy, milczący, pan Smaił. Ta sama długa twarz, długi nos, i usta szerokie, i broda, i ucho na ceglastej gładkiej, jak deska powierzchni.

Pan Smaił spojrzał i zaśmiał się. Matka z podziwu krzyknęła, a buzia chłopca okryła się purpurą ze wzruszenia.

— Ser zechciej zwrócić uwagę, że to pierwszy raz, przerwała ciszę obserwacyi matka artysty.

— Milcz pani — na Boga milcz, jeżeli ci miła samodzielność talentu twego syna.

Matka zamilkła, nie mając pojęcia, w czem jej głos może wpłynąć na zmianę samodzielności talentu jej syna. Co zaś do p. Smaił, mamy prawo domyślać się, że szacunek dla samodzielności jednostek posuwał do możliwych granic.

Dzieło zostało szczęśliwie dokonane, mały artysta z próby talentu wyszedł zwycięzko.

— Portret mój do mnie należy, rzekł p. Smaił i biorę go z sobą, naznaczając za niego cenę dziesięciu szylingów — przystajesz?

— Przystaję ser, odpowiedział cicho, z widoczną radością chłopiec.

— Syn mój byłby szczęśliwy, gdyby mógł ci ser ofiarować go, dodała również cicho matka.

— Tak, byłbym szczęśliwy, szepnął chłopiec.

— Ja nie przyjmuję ofiary, rzekł p. Smaił. Zresztą, zawołał uroczyście, chcesz zabić talent, to maluj, pisz, graj i rzeźb, za

darmo. Stracisz sam szacunek dla twojej pracy i ludzie go dla niej stracą, albowiem praca twoja nie będzie miała nominalnej, oznaczonej wartości. Zatem na dziesięć szylingów przystajesz? odpowiadaj.

— Przystaję, rzekł chłopiec.

— Lampę, olej i puszkę blaszaną, przyjmujesz w czterech szylingach, zapytał olbrzym?

— Przyjmuję.

Zatem należy ci się 6 gotówką. Nie liczę cukru i herbaty, bo ą pić będę razem z wami. P. Smaił wyjął trzy sztuki dwuszylingowe, kładąc je na stole.

— Nie bierzesz, zrobił uwagę, widząc, że chłopiec nie śmie ich zabrać.

— Bo, bo, może ser — moja praca nie jest wartą tyle.

— Cóż mnie to obchodzi. ja oceniam jej wartość i ja oznaczam wysokość, podług mojej normy.

— Powiedz lepiej ser, że to robisz z łaski, odezwała się cicho blada kobieta.

— Nie, ma żadnej łaski w społeczeństwie moja pani, wszyscy robią i robić powinni z obowiązku, to jest z poczucia swych powinności, a jeżeli robią z fantazyi lub z łaski, są egoiści, narwani, lub głupcy. Proszę mnie co najmniej nie robić głupcem.

Po tak stanowczem oświadczeniu, chłopiec zebrał pieniądze, kładąc je na kominku.

P. Smaił patrząc na swój portret, widocznie wpadł w dobry humor, a mówić w tej chwili o wzrastającej radości matki, byłoby zbytecznem.

— Uczyłeś się rysować? zapytał nagle pan Smaił.

— Nie, ser, dotąd nie uczyłem się jeszcze. W pracowni maluję pędzlem litery już wyrysowane.

— A od kogo uczyłeś się rysować obrazy na kamieniach ulicy.

— Przypatrywałem się, jak drudzy robią, a potem sam zacząłem próbować.

— Karol tylko marzy, aby jak najprędzej zacząć brać lekcye rysunków, dodała matka.

— Moja pani, najlepiej, żeby się uczył sam, jeżeli chce być oryginalnym, pochwycił gość.

— On chce tylko umieć, ser.

— Co — może naśladować? Wielka sztuka, kopiować chociażby geniuszów — kopia zawsze kopią!

— Ser, niech on tylko dobrze kopiuje i będzie uczciwym człowiekiem, a może być szczęśliwym.

— No, patrzajcie, jak kobiety, a szczególniej matki mają mało ambicyi. I nie pomyślałaś pani, że swoją skromnością możesz wypielęgnować egoizm i apatyę w dziecku. Niech kopiuje i będzie szczęśliwy, a dla społeczeństwa — co — nic? gdy ono do życia oryginalności potrzebuje! Egoizm i zawsze egoizm. I albo społeczeństwo jest nie potrzebne, zatem rozbijmy się na atomy jednostek, albo myślmy o obowiązkach względem niego na seryo. Oryginalność moja pani jest wszystkiem, ona jest pokarmem ducha ludzkiego, ona jest jego życiem i chwałą, bo jest twórczością. Ona jest także przyszłością, bo naród, czekając na nową oryginalność, żyje przeszłością sto lat, a jeżeli poprzednikiem był geniusz, tysiąc lat spożywa go cała ludzkość — i spożyć nie jest w stanie.

— Ach ser, nawet ja matka, nie śmiem marzyć o podobnej wielkości mego dziecka, odrzekła zaambarasowana kobieta, gdy młodemu chłopcu promienie światła tryskały z oczu.

— A co to obchodzi społeczeństwo, o czem pani śmiesz, a o czem nie śmiesz marzyć, tu moja pani idzie o naruszoną przez twe życzenia zasadę moralności i obowiązków względem społeczeństwa.

Blada kobieta, rumieniąc się, rozwarła szeroko oczy. Wypowiedziane zdania przez p. Smaił były zbyt ciężkie do natychmiastowego oswojenia się z niemi.

— Nie życzę ci pani, ciągnął dalej poważnie mówca, nie życzę ze względu na społeczeństwo, aby syn twój uczył się kopiować, lepiej niech maluje rysowane litery na szyldach, ale mu życzę z tych samych względów na społeczeństwo, aby tworzył i był w dodatku oryginalnym w twórczości. Czy pani to rozumiesz?

— A jeżeli nie posiada tych przymiotów? ośmieliła się na uwagę matka.

— To wszystko jedno, czy będzie kopiował, czy malował rysowane litery na szyldach. Dla społeczeństwa moja pani wszystko jedno, a nawet lepiej niech litery maluje, gdyż społeczeństwo uchroni się o jednego mniej zarozumialca, któryby mu zawadzał, zamiast pomagać. Pan Smaił się zaśmiał i uderzył się rękami po biodrach.

Blada kobieta nie wiedziała, że ten ruch oznaczał u jej gościa wysoki objaw wewnętrznego zadowolenia, i tracąc nadzieję pomocy dla syna, pochyliła głowę na piersi.

— Chcesz pracować nad sobą sam, rzucił gwałtownie pytanie chłopcu p. Smaił.

— Radbym ser z całego serca.

Oczy matki błysnęły radością.

— Rysowałeś kiedy co w życiu swojem?

— Troszkę, ser.

— Ma kajet z rysunkami — dodała matka.

— Pokaż, krzyknął p. Smaił.

Chłopiec nieśmiało podał kajet. Były w nim litery uformowane z postaci ludzkich niezgrabne wprawdzie, lecz pomysłowo wykonane i krajobrazy bez perspektywy, a jednak z pewną fantazyą rzucone na papier.

— To co innego, rzekł p. Smaił poważnie, tu nie ma kopii. I po cóż było obmawiać swego syna.

Blada kobieta zarumieniła się mocno, tym razem więcej z radości, jak ze wstydu.

— Kupuję te rysunki, wiele chcesz za kajet?

— Nie jest mi potrzebny, weź go ser, rzekł chłopiec.

Pan Smaił wyjął pół korony, kładąc ją na stole, zawinął w papier swój portret, zabrał kajet, podjął w milczeniu gutaperkowe kamasze, zapiął je i ciągle milcząc powstał.

— Przyjdę jutro na herbatę, wyrzekł nareszcie uroczyście.

Matka chciała powstać i wygłosić serdeczne podziękowanie, chłopiec także chciał coś odpowiedniego powiedzieć — poważna postać p. Smaił odebrała im odwagę. Dobra kobieta nareszcie wymówiła: Panie Samuelu!... Pana Smaił przeszedł jakiś sympatyczny dreszcz, obejrzał się i wybiegł na ulicę, uradowany, że mu się udało uniknąć podziękowań, na które nie zasłużył podług swego przekonania. Mogło zasłużyć społeczeństwo przez jego pośrednictwo, ale ponieważ społeczeństwu się nie dziękuje, pan Smaił stanowczo nie przyjmował wdzięczności.

— Karolu, jakie masz zdanie o tem wszystkiem, rzekła dobra kobieta, gdy odgłos zamykających się drzwi domu za panem Smaił przycichł.

— Ja mamo jestem przekonany, że ten dżentleman jest bardzo dobry i rozumny człowiek.

— A ja moje dziecię, wierzę w przeznaczenie.

— W moje, rzekł chłopiec, zbliżając się ciekawie.

Matka ujęła w kościste swe ręce chudą buzię dziecka i wpatrując się w nią długo, szepnęła:

— Z oczów twoich czytam, że może będziesz szczęśliwym.

— Co to mamo znaczy dla społeczeństwa?

— To, że będziesz chwałą swego narodu.

— Chciałbym mamo, żeby tak było, to może taka dobra i piękna jak Leonora kochać mnie będzie, a wtedy i tobie musi być lepiej.

— Ja chora zostanę w swoim kąciku i tylko czytać będę w gazetach o moim synu.

— Nie, mamo, ty będziesz razem ze mną i zawsze przy mnie! A co się stało z Leonorą?

— Czytaj, czytaj chłopcze, rozumiem twoją niespokojność i ciekawość.

Chłopiec rozłożył dziennik i zaczął czytać dalszy ciąg ciekawej historyi, gdy jego matka zabawiała się odgadywaniem z oczu syna, sławy i chwały.

W małej izdebce światło lampy i czerwony ogień kominka. Matka i syn — między niemi pieszczotliwy głos dziecka i piętrzące się myśli matki.

Po skończeniu rozdziału ciekawej historyi, długie opowiadania, narady, projekta kobiety i dziecka. (C. d. n.).

ZEMSTA ŻYDA

VII.

ADOPTACYA.

W sześć lat po opowiedzianych w poprzednim rozdziale zdarzeniach wielkie zmiany nastąpiły w Rzymie. Wespazyan oddawna już nie żył, a Tytus, jego syn i następca, po dwóch latach panowania pełnego mądrości, łagodności i innych cnót, którym zawdzięczał nazwę „rozkoszy rodzaju ludzkiego“, umarł również, zostawiając cesarstwo w rękach Domicyana.

Dostąpiwszy nareszcie tyle upragnionej władzy, drugi syn Wespazyana, umiał zabezpieczyć się na tronie, naśladując z początku postępowanie zmarłego brata.

Żyd Manahem był ciągle jego najserdeczniejszym przyjacielem, doradzcą i ulubieńcem, i on także przygotowywał zręcznie grunt do swych planów. Dotychczas nic nie zamąciło szczęścia rodziny Flawiusza Klemensa, ale nareszcie nadeszła chwila, w której miała im się dać uczuć zemsta Żyda.

Pewnego dnia cesarz, przechodząc wraz z faworytem po przepysznych ogrodach pałacowych, utyskiwał, że nieba nie dały mu syna.

— Przyjacielu — narzekał — ojciec mój Wespazyan i brat Tytus zostawili po sobie następcę w najbliższym członku rodziny; ale po mojej śmierci zasiądzie na tronie ktoś obcy, i jeżeli się nie zrzeknę nieograniczonej władzy i nie skażę się na tak nieznośny tryb życia, jaki obecnie prowadzę, to ten ktoś pamięć moją poda na publiczną wzgardę i ohydę.

Manahem nic na to nie odpowiedział.

— Czyż nie podzielasz mego zdania? zapytał Domicyan, patrząc na Izraelitę.

— Nie zaprzeczam, Boski Cezarze — odparł lakonicznie.

— Dla czegoż więc nie odpowiadasz na me pytania?

— Bo — namyślałem się....

— Ach! namyślałeś się.

— Tak jest — odparł Manahem — i zdaje mi się, że ucieszysz się, Boski Cezarze, gdy ci udzielę myśli, która mi nagle zaświtała w głowie. Zdolna ona odwrócić nieszczęście, którego się lękasz.

— Jakaż to myśl tak cudowna? zagadnął książę z uśmiechem niedowierzenia.

— Znalazłem następcę w gronie najbliższej twojej rodziny.

— Kogoż to?

— Flawiusza Klemensa.

— Flawiusza Klemensa, chrześcijanina, człowieka, którego najbardziej ze wszystkich nienawidzę! zawołał oburzony Domicyan. Czy mówisz na seryo? wiesz przecie, jak nie cierpię szyderstwa.

— Mówię zupełnie na seryo, Boski Cezarze, i proszę cię, wysłuchaj mię do końca.

— Wytłómacz się wreszcie — rzekł z niecierpliwością Domicyan.

— Otóż Flawiusz Klemens ma dwóch synów.

— Cóż chcesz, abym zrobił z dziećmi mego wroga? przerwał cesarz; podobni są do ojca, wychowani przez niego, będą myśleć i postępować, jak on.

— Młodzi są jeszcze.

— Tak.... ale wzrastają przecie ciągle pod ojcowskiem okiem.

— Któż ci przeszkodzi, panie, wychowywać ich, lub też kazać ich wychowywać komuś z twojej poręki? Przybierz ich za synów i odbierz rodzicom. Skoro się raz znajdą w twoim pałacu, rozerwij ich stosunki z rodzicami; niech nie znają i nie widzą nikogo z ro-

dziny, oprócz Ciebie. Wymaż z ich dusz młodziutkich wszystko — aż do wspomnień rodzicielskiego domu, a będziesz miał następców, ukształconych według własnej woli.

Domicyan słuchał z chciwością wykładu tego barbarzyńskiego planu, który uśmiechał się tak jego nienasyconej zemście, jak i dumie, a gdy Manahem zakończył — rzekł:

— Rozumiem ciebie; plan ten godzien głębszego zastanowienia; wydaje się zręcznym i pewnym.

W kilka tygodni po tej rozmowie, zawezwał do pałacu Flawiusza Klemensa wraz z obydwoma synami, Sabinem i Marcyuszem.

Domicyan, przyjąwszy krewnego z udaną przychylnością, rozpoczął z nim rozmowę od słów następujących:

— Jakkolwiek jesteś naszym najbliższym krewnym Klemensie, nigdy ojciec mój Wespazyan, ani też brat mój Tytus nie zrobili nic dla ciebie. Wedle mego zdania źle postępowali.

— Wdzięczny im jestem, że o mnie zapomnieli — odpowiedział Klemens, zdziwiony tym wstępem, a obawiający się końca przemowy. Szczęśliwy się czuję w mem odosobnieniu, w życiu cichem, pędzonem zdala od wiru świata — pragnę zaś jedynie, abyś mi zachował twoją przyjaźń Panie.

— To nie dość dla ciebie, rzekł książę — położenie twoje, tak bliskie tronu, wymaga czegoś więcej. Masz obowiązki dla cesarstwa.

— Błagam cię, boski Cezarze, odparł szlachetny Rzymianin, uważaj mnie za prostego obywatela; oddalenie moje od ludzi i interesów jest mi stokroć przyjemniejszem, aniżeli wszystkie skarby świata.

— Ha! jeżeli niepodobna już przezwyciężyć Ci twej skromności — rzekł Domicyan z ponurym uśmiechem — nie powinienbyś przynajmniej opierać się szczęściu twych dzieci.

— Ależ dzieci moje zadowolą się losem ojca.

— Tak być nie może, przerwał cezar; jako naczelnik państwa, jako głowa rodziny Flawiuszów, mam obowiązek czuwać nad dobrem Rzymu i członków rodziny cesarskiej; adoptuję więc twoje dzieci, które kiedyś zasiądą na tronie światowładnych cezarów.

Klemens chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Domicyan nie dopuściwszy go do słowa, odezwał się surowo:

— Klemensie, dzisiaj udaję się z tą prośbą do twojej przyjaźni, ale gdyby ta nie odniosła skutku, to jutro wiedz o tem, mogę ci rozkazać.

Klemens zamilkł. Na jego twarzy malowało się pomięszanie i ból głęboki; Domicyan cieszył się z pognębienia człowieka, którego nienawidził, dla wzniosłych cnót jego.

— Jutro, dodał, obydwaj twoi synowie wprowadzą się do mego pałacu; nadam im moje nazwisko i każę wychowywać pod moją opieką; dam im także najsławniejszych nauczycieli, aby się stali godnymi wysokiego stanowiska, jakie osiągną.

Klemens wracał do domu złamany.

Nazajutrz pomimo błagań i łez Domicylli, która równie jak i jej mąż przewidywała okropne skutki dworskiego wychowania, Sabinus i Marcyusz musieli udać się do cesarkiego pałacu.

Manahem wraz z oficerami cesarskimi przyszedł do domu Klemensa, ażeby nasycić się rozpaczą tych, których z całej nienawidził duszy. Wbrew atoli jego oczekiwaniu, wyjazd dzieci odbył się zupełnie spokojnie; Klemens i jego żona pogodzili się ze swym losem i poddali się dopuszczeniu Boga. Napróżno Manahem starał się dojść przyczyny tej pozornej obojętności; nie mógł się jej domyśleć, mimo usilnych zabiegów.

Skoro tylko synowie Klemensa stanęli przed obliczem cesarza, wnet przystąpiono do ceremonii adoptacyi; nadano nowe imiona przybranym legalnie synom Domicyana, starszego nazwano Wespazyanem, a młodszego Domicyanem.

Gdy już akt adoptacyi został przez cesarskiego notaryusza spisany, wonczas retor Kwintylian i Izraelita Manahem, otrzymali rozkaz zajęcia się wychowywaniem młodych książąt.

Domicyan, przychylając się do planu Manahema, rozkazał przedsiębrać wszelkie ostrożności, aby jego przybrani synowie jak najrzadziej widywali się z rodzicami. Ku wielkiemu jego zdziwieniu Klemens i Domicylla nie oburzali się na to barbarzyńskie postępowanie, a nawet nie bardzo nastawali na odwołanie rozkazu.

Upłynęło tak kilka lat, w ciągu których niczego nie zaniedbywano, aby młodych książąt natchnąć uczuciem nienawiści do religii chrześcijańskiej.

Razem z nimi wzrastał na dworze cesarskim syn Manahema, Barkoheba. Dziecko to okazywało przedwczesną energię, a rokowało, że w przyszłości dorówna, jeżeli nie przewyższy w okrucieństwie ojca swojego. Chłopiec wychowany przez ojca. wtajemniczony w jego uczucia tak słowami jak przykładem, usiłował wzbudzić w sercach synów Klemensa nienawiść i pogardę dla Chrystusa i jego świętej religii. Młodzieńcy milczeli zwykle. Trudno było zba-

dać ich uczucia i zdać sobie sprawę z wrażeń, jakie podobne rozmowy wzniecały w ich duszach, chociaż ani wyraz twarzy, ani mowa nie wskazywały, aby podzielali zdanie nauczycieli.

Manahem, powziąwszy przeciw nim podejrzenie, udzielił go Domicyanowi, ale ani pytania, ani baczna czujność i uwaga, jaką zwrócili na synów Klemensa, nic wykryć nie zdołały.

Prawdziwą wiarę tych dwojga książęcych pacholąt podtrzymywał i wzmacniał stary eunuch, mieszkający w cesarskim pałacu. Wyznawał on tajemnie wiarę chrześcijańską, a Domicylla od dawna go znała. To też za jego pośrednictwem Klemens i Domicylla często znosili się ze swemi dziećmi.

Ta to pewność uspokoiła ich w ostatniej chwili rozłączenia z synami. Zresztą orgie Domicyana oburzały niewinne i z natury cnotliwe dusze synów Klemensa.

Z powodu przybrania męzkiego ubioru, obydwaj chłopcy, mając uczestniczyć w spełnieniu ofiary pogańskim bogom, odmówili tego stanowczo. Cezar prosił, groził, ale na próżno!

Domicyan tego samego roku mianował Klemensa konsulem, który to urząd od czasów cesarstwa uchodził tylko za czczy zaszczyt. Manahem znalazł w tym zbiegu okoliczności najwięcej upragniony środek do spełnienia części zemsty. Knuł on okropną intrygę, która całą rodzinę Klemensa miała pogrążyć w zupełną i nieuniknioną zgubę.

Konsul i jego żona byli chrześcijanami; podejrzywano również o to ich dzieci. Zaciekły Żyd postanowił oskarżyć ich wszystkich o spisek, a tem samem do niedostatecznego przestępstwa bezbożności, dodać także i zbrodnię obrazy majestatu.

Tymczasem urzędowanie Klemensa zbliżało się ku końcowi. Podczas uroczystości publicznej, której przewodniczyli cesarz i konsul, woźny publiczny, podmówiony przez Manahema, czytając imiona konsulów, jak gdyby przez pomyłkę ogłosił Flawiusza Klemensa cesarzem.

Domicyan, wielce zazdrośny o swą władzę, wróciwszy rozdrażniony i niezadowolony do pałacu, zebrał natychmiast swą przyboczną radę i zapytał, co myślą o tym wypadku. Wszyscy milczeli; gdyż żaden z doradców nie śmiał oskarżyć ojca przyszłych następców tronu, ale gdy cezar z gniewem i pogróżkami nalegał o odpowiedź, Manahem wstał i rzekł:

— Boski Cezarze — podług mego zdania czas już wniknąć głębiej w postępowanie Klemensa. Wiemy wszyscy, że jest chrze-

ścijaninem, wynika ztąd, że nienawidzi twych rządów. Co większa, nie wątpię, że i synowie jego są także wyznawcami Boga z Nazaretu.

Domicyan przerwał Izraelicie.

— Pomyśl — rzekł doń z udaną surowością, że oskarżając mych przybranych synów, potrzeba posiadać jasne dowody w ręku a nie same podejrzenia.

— Mam na to niezbite dowody. Jeżeli zechcesz, boski Cezarze zapytać ich, jaką wiarę wyznają, sam się o tem dowiesz.

— Zobaczę — odrzekł cesarz.

Poczem powracając znowu do Klemensa:

— Jeżeli konsul — rzecze — nie będzie miał innej zbrodni na sumieniu krom tej, że wierzy w Chrystusa, daruję mu tę winę.

— Winien jest innych, Najjaśniejszy Panie, zawołał żywo Manahem. Widocznem jest, że spiskuje. Nie przez pomyłkę to przed chwilą woźny publiczny dodał do nazwiska Klemensa tytuł cesarski, ta zbrodnicza nieuwaga nie była bez myśli.

— Jakaż być mogła według twego zdania? zapytał cesarz krótko.

— Czyż o powody możesz się pytać Najjaśniejszy Panie? Nie wątpię, że od dawna tajemnie kuszą i podburzają lud, któremu emisaryusze często muszą poddawać imię Klemensa. Oto podług mnie przyczyna nieuwagi woźnego: chciano wiedzieć, jak się lud wobec takiego wystąpienia zachowa.

Domicyan bladł i czerwienił się z kolei. Dzikie odbłyski gniewu oświecały mu wzrok. Odprawił natychmiast wszystkich tajemnych doradzców, z wyjątkiem samego tylko Żyda.

Gdy zostali sami, Domicyan wyznał Manahemowi, że postanowił uwolnić się od obecności Klemensa i całej jego rodziny, która mu zawadza.

Izraelita widząc nieodwołalne już postanowienie, udał umiarkowanie i prosił cesarza, aby oszczędzał własną krew, ale jak oczekiwał, łagodzące te słowa rozżarzyły tylko gniew tyrana, który poprzysiągł, że za dwa dni będzie wolnym od obaw, które w nim wzniecał Flawiusz Klemens.

Tego samego wieczora cudzoziemscy żołnierzy, tworzący przyboczną gwardyę cesarza, otoczyli dom Flawiusza Klemensa. Ten przewidując nieszczęście, udał się do tajemnej komnaty, zawołał tam Domicyllę i oznajmił jej o grożącem niebezpieczeństwie.

Szlachetna i odważna kobieta nie straciła przytomności, starała się uspokoić i umocnić męża.

— Wszystko to, rzekła doń, jest na ziemi nagrodą za cnoty; cierpienia stanowią drogę do nieśmiertelnej chwały. Jeżeli więc Chrystus przeznacza nam koronę męczeńską, podobnie jak odważnemu Gaudencyuszowi, cieszmy się i weselmy z tego.

Część nocy przeszła na pobożnych rozmowach.

Jeszcze przed świtem stawił się przed nimi centuryon w imieniu cesarza, przynosząc Klemensowi wyrok śmierci.

Szlachetny Rzymianin oznajmił, że jest chrześcijaninem i że jego religia zabrania popełnić samobójstwo.

— W takim razie — rzekł centuryon — pomogę ci w wykonaniu wyroku.

To mówiąc, ugodził mieczem syna Sabina, i trupem go położył.

Domicylla, lubo przejęta niewysłowionym bolem, zachowała się podczas całej tej tragicznej sceny dziwnie mężnie. Zbryzgana krwią męża, blada i zapłakana, święta ta kobieta modliła się gorąco.

Myśląc, że jest wolną i może oddać mężowi ostatnią usługę, chciała zawołać na sługi, aby podnieśli ciało męczennika.

Ale centuryon zatrzymał ją, oznajmując, że i na nią także wyrok wydano.

Znakomita matrona, przyjmując te słowa w najsurowszem znaczeniu, sądziła, że i jej przeznaczony był los Klemensa; dlatego podziękowała centuryonowi za błogą nowinę. Ale oficer wytłómaczył jej, że była skazaną na wygnanie, na które miał ją bez zwłoki odprowadzić.

Domicylla ze wzniosłem poddaniem, okazując się gotową do pospieszenia za przewodnikiem, poprosiła tylko, aby jej wpierw dozwolono ostatnim pocałunkiem pożegnać męża. Uczyniwszy to, otarła łzy, i udała się za oficerem do cesarskiego pałacu, aby tam ostatnich rozkazów Domicyana wysłuchać.

Dwa dni przebyła zamknięta w ciasnej celce, poczem przyprowadzono ją do cesarza.

Domicyan zarzucał jej i wymawiał upór i przywiązanie do religii chrześcijańskiej; powiedział, że stała się przyczyną śmierci męża, nakłoniwszy go do wyznawania Bogiem Jezusa z Nazaretu.

— Teraz od ciebie samej zależy ocalić siebie i dzieci. Bądź rozumną, nie przysparzaj sobie nowego jeszcze nieszczęścia.

— Zrobiłam swoją powinność, odrzekła Domicylla, moje sumienie nic mi nie wyrzuca.

Tem poczuciem osobistej godności, męzką postawą i nieustraszoną odwagą rozdrażniony Domicyan, nowe rzucił jej groźby.

— Jednego tylko Boga lękam się cezarze, odrzekła na to Domicylla.

Cesarz usiłował jeszcze nakłonić ją do porzucenia chrześcijaństwa; nareszcie rzekł:

— Jeżeli jednej dopełnisz rzeczy, zostawię ciebie i twoje dzieci w spokoju.

— Czego żądasz odemnie? zapytała.

— Przyjmij za męża jednego z przyjaciół moich, którego znasz dobrze — Manahema.

— Przysięgłam — odparła oburzona Domicylla, na skrwawionych zwłokach Flawiusza Klemensa, że innego męża nigdy mieć nie będę.

— Sama ogłaszasz swój wyrok śmierci, zawołał z najwyższym gniewem Domicyan.

— Nie obawiam się śmierci, byłaby ona dla mnie teraz prawdziwem dobrodziejstwem.

— Ah! urągasz mi, odparł cesarz z wściekłością; czyż zapomniałaś, że mam twych synów w ręku, i że życie ich do mnie należy?

— Wolę dla nich śmierć, jak poniżenie i hańbę, odpowiedziała zimno Domicylla, podtrzymywana w całem tem przejściu prawdziwie nadziemską siłą.

Rozwścieklony Domicyan wyjął z szuflady kryształowy flakonik, w którym znajdował się żółtawy płyn i pokazując go zawołał:

— Widzisz to, nędzna kobieto — czy widzisz? Otóż to jest straszna trucizna, to śmierć twych dzieci.

Domicyllę przeszedł dreszcz trwogi i niewymownego bolu. Ale było to uczucie chwilowe i przemijające. Niebawem wzmocniona łaską wiary, powiedziała z wzniesionemi ku niebu oczyma:

— Bóg, który mi je dał, może mi je odebrać. Pójdą złączyć się z ojcem w lepszym świecie. Podobny los nie jest dla nich nieszczęściem; przeciwnie jest dobrodziejstwem Nieba.

Domicyan klasnął w dłonie, a jeden ze sług, wykonawca jego zbrodni, zjawił się natychmiast.

— Weź to, rzekł mu cezar, podając flakonik; znasz ten płyn, nalejże go zaraz w kubki mych przybranych synów, Wespazyana i Domicyana. Gdy ukończysz twą czynność daj mi znać.

Sługa oddalił się z flakonikiem, dając znak gestem, że rozkaz wypełni. W kilka chwil potem powrócił:

— Najjaśniejszy Panie — rozkaz twój spełniony.

— W jakim stanie zostawiłeś mych synów?

— Obadwaj nie żyją?

Usłyszawszy te okrutne słowa, pomimo całej odwagi Domicylla zemdlała. A gdy przyszła do siebie. znalazła się samą w komnatach pałacowych. Niebawem dowiedziała się, że Domicyan przeznaczył jej na wygngnie wyspę Pandatarę w zatoce Puzzolskiej. Tam jeszcze lat kilka żyła, pocieszając się modlitwą i wiarą po strasznych próbach zesłanych jej przez Boga. Wzdychała do szczęśliwego dnia, w którym śmierć miała ją połączyć w niebie z mężem, synami i z wszystkimi, których kochała na ziemi.

Pod koniec dopiero panowania Domicyana, znosząc najokropniejszą nędzę, pozbawiona wszystkiego, umierająca prawie z głodu, skonała, błogosławiąc Bogu i dziękując mu, że uznał ją godną cierpienia dla Jezusa Chrystusa [1]).

Socyalizm albo Chrześcijaństwo.

(Le socialisme devant la société par le R. P. Félix de la Compagnie de Jésus. Paris Roger et Chernoviz, in 8-vo).

IV.

Kiedy wśród zaległej, głębokiej ciszy obije się ukradkiem o uszy nasze głuchy szmer, wydobywający się jakby z jakiego głębokiego podziemia, szmer dusz żyjących w świecie, zwanym na Zachodzie światem pracy, światem robotniczym, ach to ten szmer słusznie przejmuje dreszczem i słuszne budzi obawy o społeczeństwo, zagrożone ognistą ku niemu nienawiścią, spoczywającą na dnie socyalizmu. O bo socyalizm umiał wyzyskać położenie tego świata robotniczego, umiał go do siebie pociągnąć i na swój materyał przerobić. On w duszach tych zaszczepił swoją nienawiść, która acz nie występuje jeszcze w tej chwili do czynu, to jednak na pierwsze hasło gotową jest wybuchnąć płomieniem zemsty.

Zkąd pochodzi ta niepojęta zapamiętałość? Jej rodzicielką socyalizm! Jednakże należy jeszcze poznać i uznać między innemi jej trzy główne źródła. Pierwszem jest to odłączenie się od Boga.

---

[1]) Główniejsze fakta historyi Flawiusza Klemensa i Domicylli są historyczne.

Niegdyś pokolenia chrześcijan miały wspólny przybytek miłości Jezusa Chrystusa, naszego Pana. Tam schodziły się wszystkie warstwy społeczeństwa. Wielcy umieli szanować prostaczków, a maluczcy kochać wielkich, bogaty dawał szczodrze ubogiemu i ubogi umiał mu być wdzięcznym za otrzymane od niego dobrodziejstwo.

Miłość Chrystusa uchylała z człowieczego serca nienawiści i zazdrości, które dziś zagrażają porządkowi społecznemu. Zapewne, że i wończas odgrywała także swą rolę nienawiść, ale ta była czysto osobistą; nie znano jednak nienawiści powszechnej, nienawiści społecznej. Aż dopiero od czasu, kiedy bezbożność wydała na Chrystusa i Kościół katolicki ten wściekły okrzyk: *Écrasez l'infâme* (Precz z Chrystusem), od tej chwili ten Boski łańcuch, który dotąd łączył dusze z sobą, zerwanym został; mroźny powiew egoizmu i niezgody spustoszył wszystko, ludzie poróżnieni, zapamiętali względem siebie, spierają się o dobra ziemskie, jak dzikie zwierzęta o jedną zdobycz.

Drugiem źródłem nienawiści społecznej jest sprzeniewierzenie się moralnym obowiązkom człowieka. Sprzeniewierzenia się moralności: chciwość, publiczne nadużycia bogactwa, zbytek wyuzdany, zgorszenia rozwiniętej zmysłowości wobec głodnego pospólstwa, rozdrażniły go i napełniły nieubłaganą zazdrością. Sprzeniewierzenie się w dziedzinie literatury i piśmiennictwa: cała prasa socyalistyczna, romanse, poematy, dramaty, historye, dzienniki przedewszystkiem nie przestają rozżarzać tego straszliwego ogniska nienawiści. Sprzeniewierzenie się filozofii: zachwiano wszystkie przekonania religijne, zdruzgotano hamulec namiętności, w imieniu wiedzy zaciemniono prawdę, w umysły wlano zwątpienie, w serca samolubstwo, zmysłom dano szaleństwo użycia, a lud, odarty z nadziei i wiary, bez miłości i czci Boga, zrzuca jarzmo posłuszeństwa i staje się wieczną groźbą dla społeczeństwa.

Społeczeństwo stawia opór i to jest trzecią przyczyną nienawiści. Trzeba koniecznie żeby stawiło opór, bo inaczej zginie, i żeby broniło przed tłuszczą żądną niepodległości, bogactwa i rozkoszy, rodziny, własności religii, powagi i sprawiedliwości. Odtąd gniew i zapamiętałość wzrastają.

V.

Na co głównie skierowaną jest nienawiść socyalizmu? Nienawidzi żołnierza, znieważa cnoty żołnierskie i złorzeczy stałej armii. Nienawidzi właściciela, z którym się obchodzi jak z przywłaszczy-

cielem, kapitalistę oskarża o wyzyskiwanie niesprawiedliwe pracy. Nienawidzi władzy, której obowiązkiem jest czuwać, aby ludzie podlegali sprawiedliwości i prawu. To też, jeśli socyalizm odniesie kiedy tryumf, wonczas przepadła wszelka powaga władzy i będzie można powiedzieć z mędrcem: „Widziałem na miejscu sprawiedliwości niesprawiedliwość“; *et vidi in loco justitiae iniquitatem (Ecclesiast. cap. III.).* A nienawidząc w ten sposób żołnierza i władzy, nienawidzi i katolickiego kapłana całą potęgą swego demonicznego uczucia. Socyalizm ściga go przedewszystkiem. Jest w tem pewna tajemnica. Bo w końcu czyż nie z łona ludu wychodzi dzisiaj kapłan? Czyż nie jest on rozbrojony? Czyż nie ogołocony z dóbr ziemskich? Dlaczego go nienawidzi? Co mu zarzucają? Jeżeli jest jednym z tych, których życie jest pełne hańby, a kazanie zgorszeniem, który ze służby świętej robi widowisko występku, kapłanem-przeniewiercą, wyklętym przez biskupa, potępionym przez Kościół — socyaliści miasto go nienawidzić, wynoszą go jako ofiarę tyranii biskupiej, zasypują go swemi pochwałami: oto kapłan, jakiego mi trzeba, ksiądz światły, wyrozumiały, liberalny, który idzie za postępem i pojmuje potrzeby swojego wieku. Ale prawdziwy kapłan, ten, który się poświęca wszystkim dziełom miłosierdzia i który przelałby krew swoją za zbawienie dusz, do takiego wstręt czują; tłumy, które słuchają ich rozkazu, dyszą doń szatańską nienawiścią, która podobną jest nienawiści względem Boga!

VI.

Po poznaniu idei i namiętności socyalizmu zastanówmy się teraz nad jego działaniem. Że spisek socyalistyczny istnieje, że jest rozgałęzionym, temu dziwić się nie można. Wymaga tego sama istota rzeczy. Spiskowanie staje się drugą naturą każdego rewolucyonisty, rodzajem konieczności, tak, że dopóki w ludzkości znajdować się jeszcze będzie cokolwiekbądź, co zniszczyć będzie można, chociażby same ślady porządku społecznego jeszcze pozostały, choćby pozostał najmniejszy i najsłabszy jeszcze szlak Boży w społeczeństwie, tak długo rewolucyonista spiskować musi. A zatem socyalizm jest to rewolucya, tylko że w najobszerniejszym swym objawie, jest to ostatnie słowo istoty rewolucyi. Oto dlaczego on spiskuje. Spiskuje, bo nienawidzi. Namiętności nasze w rozprzężeniu, w jakie je wtrącił upadek Adamowy, są wiecznym spiskiem przeciw prawdzie, przeciw dobru, przeciw Bogu! „Zobaczycie, co się będzie działo w rzeczywistości w opłakanej godzinie przewrotu porządku publi-

cznego; widzę go tam, gdzie tylko podmuch rewolucyi i socyalizmu udziela się falom ludu, jak wiatry bałwanom morskim. Patrzcie: wszystkie niepodległości, wszelkie zazdrości, wszystkie gniewy, wszystkie nienawiści, jednem słowem wszystkie namiętności są tam: one tam znajdują się niecierpliwe i drżące, z płomieniem w oczach, z groźbą na ustach, z uchem otwartem dla każdej rozchodzącej się wieści i dla przechodzących podmuchów, one tam są z wyciągniętem ramieniem, z podniesioną nogą, gotowe do marszu, do którego ich pchnie rewolucya. Podobne rumakowi, o którym mówi Pismo św., że zdaleka czuje już woń bitwy, *procul odoratur bellum*, i oddycha już naprzód dymem walki: wszystkie te namiętności ożywione jednem tchnieniem, poruszane tem samem drżeniem, porwane jednym prądem elektrycznym, zdają się przemawiać głosem, który grozi już zdaleka, jak wzburzone morze: *Vah!* Spieszmy, spieszmy zdruzgotać tron ten; spieszmy wypędzić tego króla, tego konsula, tego cesarza; spieszmy rozpędzić to zgromadzenie; spieszmy obalić ten rząd; spieszmy zniszczyć tę konstytucyę. A dnia pewnego może z zarzewiem i żelazem w ręku dorzuci jeszcze: spieszmy podpalać te pałace; spieszmy rabować domy; spieszmy wytępić wszystkie te rzeczy i wyrznąć wszystkich tych ludzi".

Jeden socyalista dziś będzie zwycięźcą, a drugi będzie spiskował jeszcze jutro.

VII.

Jest w głębi dusz jakieś nieokreślone, niezgłębione i tajemnicze przeczucie niebezpieczeństwa, które nam grozi. Wszystkie obiecanki polityków i wszelkie zapewnienia pokojowe nie mogą uspokoić publiczności. A ta instynktowa trwoga ma swoje źródło w tem wszystkiem, co się dokoła nas dzieje. Spisek socyalistyczny nie potrzebuje już ukrywać się dzisiaj, rozwija się w jasny dzień. Ma naczelników, którzy go urządzają, mowców i pisarzy, którzy go rozszerzają, i programy pełne ohydnej dążności. A nawet i te jego usiłowania, których nie potrafił jeszcze uwieńczyć odpowiedniemi wedle swych programów skutkami, świadczą o jego sile i zuchwałości. Nadzieja wygranej ożywia go i utrzymuje. Nie brak mu też na środkach do przeprowadzenia swych zamiarów. Któż z nas może być w stanie wyliczyć wszelkie środki, któremi on rozporządza? A pomimo całego jego rozgłosu, z jakim występuje, kto może powiedzieć, że przejrzał już całą jego tajemnicę? Ma on w swej ręce cztery wielkie potęgi, nie licząc wszystkich innych.

Ma najpierw prasę: całą armię uczonych i półuczonych, pracujących dla tryumfu tej samej sprawy, używając do uskutecznienia swego dzieła wszystkich środków, na jakie może tylko wpaść duch nienawiści i używając słowa ludzkiego w najobrzydliwszy sposób, czego dotychczas nigdy nie robiono.

Tysiące a tysiące głosów w Niemczech, we Francyi i we wszystkich krajach, które w rozmaitego rodzaju słowach i sposobie wypowiadają to samo o społeczeństwie, co Katon mówił o Kartaginie: *Carthaginem esse delendam*, „potrzeba ją zniszczyć, należy ją zniszczyć"; w końcu co jeszcze opłakania godnem, to to, że wielu ludzi tak zwanych zachowawczych, a nawet religijnych robi się spólnikami tej pracy, czyta jej wydawnictwa, trzyma je i rozsiewa.

Powtóre, socyalizm posługuje się złotem, ma złoto na swe usługi, złoto, tę drugą wielką potęgę świata, złoto, które psuje dusze i kupuje sumienia, obala trony i rozprzęga narody.

Zkąd spływają do socyalizmu te zdroje złota, które on rozlewa?

Tajemnica! Dość, że dzierży on w swem ręku niewyczerpane skarby do płacenia zdrajców, do pobudzania rozruchów, płacenia i pomnażania żołnierzy, zaciągających się pod jego chorągiew.

Po trzecie, posiada on liczbę: „Nazywam się legion", powiedział szatan. Miliony ludzi oddaje na usługi socyalizmowi swe ręce, rozum, wolę i całą energię.

W końcu ma swą organizacyę, która sto razy pomnaża siły, trzymając je w karbach, i daje zwycięztwo.

Ta organizacya okazuje się w prasie, uważnej i wiernej hasłu, w sposobach kształcenia i wychowania, w jednakowych działaniach na pewnem stanowisku wszystkich zwolenników w skutek wpływu stronnictwa, przedewszystkiem występuje ona w decydującej godzinie głosowania, gdzie tysiące ludzi głosuje jak jeden mąż i gdzie wybrani ustępują wolnego działania poleceniu wyraźnemu i szczególnemu danemu z góry.

VIII.

A to grożące społeczeństwu niebezpieczeństwo o tyle jeszcze straszniejsze, że ten spisek socyalistów jest powszechny! Tak! Stłumiony w jednem miejscu, rozszerza się w innem; wszędzie ma spolników i związki. Jest nieprzerwany: pobity raz, występuje dziesięć razy, sto razy; zgnieciony dzisiaj, skurczy się w cieniu i uda konającego, ale pojawi się na nowo jutro, wyjdzie ze swych lóż, z podziemi, z więzień z większą zuchwałością i wściekłością, aby

odnowić swoje knowania. Spisek socyalizmu zawsze jest czynnym i nie zasypia nigdy. Czyż więc nie zdoła zakończyć się podejściem i zwyciężeniem obrońców społeczeństwa, choćby najzręczniejszych i pełnych poświęcenia? Wtedy biada zwyciężonym! Spisek socyalizmu jest nieubłagany, nic go nie zadowolni, trzeba żeby panował, żeby niszczył! Niedawno napisał on te słowa: „Naszym celem zniszczenie starego świata“. Żadne ustępstwo ułagodzić go nie może, a jeżeli chce pokoju, to całuje swego nieprzyjaciela, jak Neron, ale na to tylko, aby go udusić. Sprzysiężenie na śmierć! Na jednem z najgłówniejszych zgromadzeń socyalistów wypowiedziane były te straszne słowa: „Tyrani wykopali głęboką bruzdę między sobą a robotnikami: bruzda ta może być tylko wypełnioną trupami jednych lub drugich“.

Przystać na jakiekolwiek zadośćuczynienie rozruchowi, który ma na celu taką lub inną reformę, to niebezpieczne, ale wchodzić w układy ze spiskiem, który chce zniszczyć społeczeństwo, aby je przerobić od dołu do szczytu, byłby to postępek szalony. Z otchłanią nikt zjednoczyć i połączyć się nie może nigdy, ona tylko pochłania, mówi Chateaubriand. (Dok. nast.)

O REALIZMIE
W LITERATURZE NOWOCZESNEJ

przez

J. G.

(Ciąg dalszy).

W pierwszych latach cesarstwa, wydarzył się fakt drobny na pozór, a jak we Francyi dosyć dziwny. Prokuratorya paryzka nieodznaczająca się nigdy, a tem bardziej w ostatniem 20-leciu zbytnią drażliwością w kwestyach obyczajów i moralności — uznała za konieczne skonfiskować romans, wyszły z pod pióra nieznanego dotąd autora i autorowi temu wytoczyła proces o rozszerzanie zasad wszetecznych i demoralizujących. Proces był długi, stał się głośny; wplątano weń osoby ze sfer wysokich; obrony obwinionego podjął się jeden z najsławniejszych adwokatów, dawny minister Senard.

Pomimo silnej presyi z góry i poparcia znacznej części opinii publicznej, prokuratorya przegrała; autora uwolniono od zarzutu i książka jego: *Madame Bovary* — ukazała się na publiczną widownię.

Fakt ten, powtarzamy, na pozór drobny, miał ważne i liczne następstwa. Naprzód stał się on dla autora najlepszą reklamą, o jakiej mógł tylko marzyć, i za pośrednictwem dzienników zrobił imię jego znanem w najodleglejszych zakątkach Francyi. Powtóre, dał mu łatwą popularność, jaka w kraju opozycyjnym i fronderskim *par excellence* otacza przemijającą aureolą każdego, kto jest w zatargach z władzą, lub zdaje się od niej prześladowanym. Książka, która zapewne przeminęłaby, nie zostawiając po sobie innego śladu, oprócz kilku krytyczno-bibliograficznych wzmianek po literackich czasopismach — znalazła się w ręku każdego. Była zaś tego rodzaju, że raz wzbudziwszy interes, nie dawała się łatwo zapomnieć jak zwykłe romanse. Napisana metodą całkiem nową, wysoce oryginalna zarówno w formie zewnętrznej, jak i w tendencyi, wypowiadająca przytem w powieściowej formie to wszystko, co się działo codziennie w tysiącach rodzin, co widział i spotykał, a nieraz i sam przechodził każdy — książka ta musiała zająć i wywrzeć wrażenie. Zaczęła się więc wrzawa niezmierna, po procesie prawnym zaczął się proces opinii publicznej i w znacznej części społeczeństwa wyrok jego od wyroku trybunalskiego znacznie był różny. Nie przeszkodziło to *Pani Bovary* stać się od razu najpoczytniejszą z powieści, Flaubertowi — najpopularniejszym z autorów. Prześladowana powieść stała się katechizmem i wzorem rozlicznych naśladowców, Gustaw Flaubert — mistrzem i przewodnikiem młodszej generacyi romansopisarzów francuzkich.

Treść *Pani Bovary* jest bardzo prosta, powszednia. Młoda dziewczyna, córka bogatego wieśniaka, dzierżawcy, wychowana w klasztorze i znająca tylko powierzchnię życia — zostaje drugą żoną Karola Bovary. Poczciwy to, ale niezmiernie ograniczony człowiek ten Bovary Jak w szkole, w której pracą niezmierną utrzymywał się w samym środku i powoli, ale bez zatrzymania przeszedł całą gimnazyalną i uniwersytecką drabinę — tak i w życiu jest on uosobieniem bierności i miernoty. Ma on serca więcej daleko niż rozumu, nietyle jednak, żeby nim brak ostatniego zastąpić. Kochać przecie może i kocha silnie, tak silnie, że śmierć ukochanej kobiety jest i dla niego wyrokiem śmiertelnym, łamie go, i po krótkiem wegetowaniu wtrąca do grobu. Jest w tem uczuciu obok wielkiej

siły naiwność dziecięcia prawie i gotowość do milczących poświęceń; jest poddanie niewolnicze i uwielbienie bez granic, a jednak to uczucie jest tak nużące i nudne, że zamiast wzajemności, budzi tylko odrazę.

Obok tego poczciwego serca, ubranego w długopoły surdut i zaszczyconego lekarskim dyplomem — kobieta wprawdzie nie wyjątkowa wcale, ani umysłem, ani wykształceniem, od męża jednak wyższa pod wielu względami, a pod każdym względem różna. Są w tej duszy nierozwiniętej jeszcze pierwiastki najsprzeczniejsze, zarodki wszystkich szałów, wszystkich żądz i wszystkich namiętności — nie znać ich jednak w wieśniaczce, wracającej z pensyi, prostej i podobnej we wszystkiem do swych koleżanek. Wyjście za mąż bez namysłu i bez uczucia za pierwszego człowieka, który się zdarzył, nie wywiera z początku wielkiego wpływu na młodą kobietę. Miodowe miesiące przechodzą jednostajnie i nudnie, ale spokojnie, Emma uważa się za szczęśliwą, pozwala się uwielbiać i całować mężowi; choć ją te pieszczoty trochę nudzą, nie pożąda więcej nad to, co ma, nie przypuszcza nawet, że jest coś więcej, że istnieje świat jakiś inny, nieznany, piękniejszy. I oto trafia się zdarzenie, mające świat ten przed nią odsłonić i umysł jej na nową całkiem popchnąć drogę. Bal w arystokratycznym domu, poznanie wyższego świata z jego zbytkiem i błyszczącym szychem — stanowi przełom w życiu młodej kobiety, obudza, w jej sercu całą burzę nieznanych myśli, marzeń i pragnień. Życie jej zdaje się teraz tak monotonnem i prostem, mąż tak ograniczonym i nieznośnym w porównaniu do tamtych ludzi i tamtego życia. A wraz z niezadowoleniem i przesytem budzi się w jej sercu, czy jej zmysłach coś nieznanego dotąd, gorączka użycia, nieokreślona jeszcze i niewyraźna, tamowana wstydem i bojaźnią, ale coraz głośniejsza, coraz natarczywsza. Wszystkie namiętności uśpione dotąd z całą siłą opanowują wzburzoną wyobraźnię. A naprzód miłość. Wie o niej z romansów, w małżeństwie jej nie spotkała — czyż jej nie pozna nigdy?! Czyż się nie dowie, jakiem jest to uczucie szalone i namiętne a rozkoszne, o którem słyszała i czytała tyle, bez którego jej tak ciężko, i smutno, i nudno! Czyż nigdy nie spotka człowieka, do którego serce jej uderzyłoby gwałtownie, który podobnym by był do owych doskonałych i rycerskich bohaterów czytanych romansów! Czyż całe jej życie upłynąć ma przy boku tego tłustego i głupiego wieśniaka, na niańczeniu dziecka, którego nie lubi, bo nie ma za co go ustroić w koronkowe pieluszki i aksamitne sukienki, ani mieć

kilku bon do jego pielęgnowania. Więc patrzy w koło siebie — znalazła! Zaprawdę, wybór nietrudny. W malutkiej mieścinie, oprócz grubego proboszcza w zatłuszczonej sutannie, prawiącego pomiędzy pasterskiemi naukami tłuste anegdotki — aptekarza, wolterjanina i demokraty, korespondenta księżożerczej gazety i reprezentanta „inteligencyi“ na partykularzu — notaryusza, oberżysty i kilku szachrajów mieszczan — jest jeden tylko człowiek, mogący na siebie zwrócić uwagę młodej kobiety. Młodziutki, nieśmiały, trochę nawet niezgrabny — Leon Dupuis przypomina brzoskwinię świeżo dojrzałą i delikatnym puszkiem okrytą. Rozumie się, że Emmę piękną i młodą pokochać mu łatwo, trudniej przychodzi miłość tę wyjawić. Naprożno młoda kobieta robi pierwsze kroki, zachęca go i ośmiela, z tym nowym Józefem idzie jak z kamienia. I wówczas Emma powiada sobie, że go się wyrzeka, wmawia w siebie poczucie obowiązku i religijny mistycyzm, stara się stłumić burzę żądz i pragnień, wyjącą w jej sercu, stara się być żoną i matką. Ale to trwa chwilę tylko. I zaledwie okoliczności oddaliły Leona od niej, pierwszy dandys z okolicy, któremu się jej twarzyczka podobała, chwyta ją na lep kilku sentymentalnych frazesów i spojrzeń, i bez wielkiego trudu uwodzi.

I odtąd zaczyna się dla młodej kobiety życie nowe całkiem, pełne burz strasznych i śmiertelnych niepokojów i wielkich rozkoszy zmysłowych. Proza i powszedniość małomieszczańskiego życia znikają, a natomiast przed olśnionemi zmysłami odkrywa się ów świat fantastyczny, czarodziejski, dostrzegany tylko przelotnie w książkach, w marzeniach, w pragnieniach. Nie ma już dla niej żadnej troski, żadnej myśli, żadnego celu — wszystko pokrywa uczucie rozkoszy niezmiernej i nieznanej dotąd, uczucie nienasyconej a ciągle pragnącej żądzy. Pod wpływem tej namiętności kobieta zmienia się, dojrzewa, formy stają się doskonalsze, piękno fizyczne rozwija się w całej pełni. O stronie moralnej nie wiemy nic, powiedzieć możnaby, że jej nie ma; milczy przynajmniej, przygłuszona zmysłową namiętnością. A namiętność ta potęguje się z dniem każdym i w końcu młodej kobiecie nie wystarczają już codzienne schadzki, krótkie chwile, kradzione życiu rodzinnemu; męczy ją ciągła komedya, którą grać musi przed domownikami i światem: dusi i gniecie przymus i chowanie się z tem, co czuje. Ale w chwili, gdy wszystko z jej strony gotowem jest do ucieczki z ukochanym, ten ją porzuca, znudzony i zmęczony miłością zbyt natrętną i gwałtowną, a obawiający się o jej skutki.

Jeżeli jej cios ten nie zabił, to tylko dzięki jej zdrowej budowie, pełnej soków żywotnych i siły. Dla kobiety, która cała wcieliła się w swą rozszalałą namiętność, która cała stała się zmysłowem pragnieniem — bez nasycenia tego pragnienia nie było szczęścia w życiu, nie było życia. To też cały ten przeciąg czasu, który upłynął od wyzdrowienia po ciężkiej chorobie i zawiązania nowych miłośnych więzów, jest dla niej wegetowaniem tylko. Podobna do owych długoletnich pijaków, w których zapaliły się wnętrzności, rzuca się i wije w namiętnych drgnieniach, trawiona ogniem rozszalałych żądz i niezaspokojonych pragnień. Aż wreszcie spotyka człowieka, który pragnienia te może nasycić — to ten sam, który pierwszy poruszył jej zmysły, ten sam Leon, ale dojrzalszy, bardziej męski i pociągający więcej niż dawniej. I znowu zaczyna się między niemi ta sama historya namiętności szalonej, jaka była z tamtym. Tylko, że schadzki trudniejsze, bo aż w mieście oddalonem o mil kilkanaście — ale czegoż miłość nie dokaże?! Emma nie jest głupią, tam zaś, gdzie o miłość chodzi, staje się genialną. Znajdzie się więc konieczność brania co tydzień lekcyi muzyki w mieście, znajdą się ważne powody do przeciągania tam pobytu — cała sieć kłamstw, tak z sobą poplątanych, że w końcu każde słowo tej kobiety staje się kłamstwem. Ale za to — jakie rozkosze, jakie nasycenie zmysłów! Żeby zaś rozkosz była zupełną, trzeba, żeby nic nie brakowało z koniecznych akcesoryów, z wygód życia, zbytku i komfortu, na których w domu wiejskiego lekarza tak bardzo zbywa. Podpisują się więc weksle i obligacye, towary biorą na kredyt i ciągnie się gorączka tego kradzionego i kłamanego życia, orgia nieustanna, dzieląca się na użycie i żądzę użycia. Aż w końcu, właśnie w chwili gdy Leon, podobnie znużony tą miłością zwierzęcą, zamierza już pójść śladem swego poprzednika — zbyt wyciągnięta struna pęka, weksle podają do egzekucyi, każą licytować lekarza za długi żony, a zarazem miasteczko całe zaczyna się domyślać celu jej cotygodniowych wycieczek. Emma, prześladowana myślą o tym mężu, który ma nadjechać i który, dowiedziawszy się o wszystkiem, nie znajdzie słowa wymówki i przebaczy jej, zanim ona zacznie go przepraszać — zrozpaczona przeświadczeniem o swej niższości od człowieka, który jej się zdawał o tyle od niej niższym — rozszalała, ucieka z domu i po bezskutecznych usiłowaniach znalezienia ratunku, robi jedyną rzecz, jaka jej do zrobienia zostaje — zjada łyżkę arszeniku. I wówczas spokojna już wraca do męża, ażeby w domu skonać. Przed śmiercią, przyjmując ostatnie pomazanie na

tych rysach, które szukały w życiu tylko zmysłowych widoków, na ustach, które się wyciągały tyle razy do namiętnych uścisków, na nogach, które tylekroć wiodły do zakazanych schadzek, na piersiach, w których szalały takie burze grzesznych namiętności i zmysłowych pragnień — przyjmując ostatnie pomazanie, chwyta krzepnącą ręką krucyfiks i na ustach Ukrzyżowanego wyciska ostatni pocałunek, zarówno namiętny i zmysłowy, jak te, któremi obdarzała swoich kochanków.

A potem już tylko słów kilka do końca. Biedny Karol Bovary, daleko sympatyczniejszy pod koniec powieści niż nim był z początku, kończy wkrótce swą smutną wędrówkę życiową na grobie żony, złamany ostatecznie listami jej kochanków, które mu wpadły w rękę przypadkiem, i odebrały najdroższy skarb, jaki mu po niej pozostał, wiarę w nią i szacunek dla niej. Po śmierci lekarza całe jego mienie zagarnęli wierzyciele żony. Dziecko, pozostawione bez opieki, obcy ludzie oddali do rzemiosła.

I oto jest cała treść powieści, jak powiedzieliśmy, prosta, powszednia. Tylko w końcu mimowoli zatrzymuje się czytelnik i zadaje sobie pytanie: Więc cóż z tego?

Cóż z tego? Jaka była myśl autora, co chciał powiedzieć, czego dowieść, o czem przekonać? Czy celem jego było przedstawić straszne konsekwencye, do jakich doprowadza człowieka poddanie się namiętnościom? Czy potępienie cudzołoztwa a podniesienie małżeńskiego obowiązku? Nie. Powieść realistyczna, *Pani Bovary*, jest tylko zestawieniem pewnej sumy faktów, ich rozwoju i naturalnych konsekwencyj; myśli moralizującej, ani moralnej w niej nie ma. Jeżeli autor ma jakąś myśl przewodnią, to wcale nie przedstawienie *Pani Bovary* jako straszydła dla niewiernych małżonek, ani też krytykę zmysłowych popędów. Przeciwnie. Po uważnem przeczytaniu książki możnaby sądzić, że ona jest przeprowadzeniem w powieściowej formie znanej teoryi pewnej szkoły filozoficznej o *wolnej woli*. Według tej teoryi, człowiek każdy, zarówno najlepszy jak i najgorszy ma w swej naturze ziarno złego, którego dojrzenie i rozwój zależy od wpływów zewnętrznych, od otoczenia i warunków, w jakich się znajduje. Dlatego złodziej i rozbójnik, który popełnił tysiące łotrostw, kobieta, która upada i oddaje się zepsuciu, nie mogą być potępieni, jako nieodpowiedzialni za nieszczęśliwy zbieg okoliczności, który ich popchnął do złego. Przy innych okolicznościach ci sami ludzie mogliby stać na świeczniku, mogliby cnotą i zasługą przodować otaczającemu ich społeczeństwu. Dla

Emmy Bovary okolicznością, która ją do złego popchnęła, było może owe zetknięcie z wielkim światem, którego poznanie odkryło przed nią nieznane dotąd strony życia, może czytane romanse, może pospolitość i głupota jej męża — nie wiem co zresztą, dość, że gdyby nie te przyczyny, Emma byłaby zapewne kobietą uczciwą, tak jak te wszystkie, którym los pokus podobnych nie nastręczył, a które w danych warunkach stałyby się do niej podobne. Prawdopodobnie taką jest myśl główna autora *Mme Bovary* — jest ona jednak bardzo ostrożnie trzymana na drugim planie, pierwsze miejsce zaś zajmuje wyłącznie diagnoza namiętności. Diagnoza ta jest arcydziełem. Nie posiadając nadzwyczajnego talentu i wyobraźni, Gustaw Flaubert, dzięki niezmiernej sumienności i doskonale rozwiniętemu zmysłowi spostrzegawczemu, potrafił tak wystudyować i tak plastycznie przedstawić fizyczną żądzę, jak może nikt przed nim. Wszystkie jej fazy, od pierwszego powstania, od bezwiednych pragnień i marzeń, aż do największego jej spotęgowania — wszystko to widzimy oddane w dziele Flauberta, a oddane z prawdą tak wielką, że mimo wiejącego z niej materyalizmu powieść nas uderza i na długo zostaje w pamięci.

Wrażenie jest podwójne. *Pani Bovary* działa na nasze zmysły, podburza je i roznamiętnia, jak lubieżne malowidła w sypialniach starych rozpustników—i pod tym względem dla wielu ludzi, we Francyi może dla większej części, czytanie jej może być przyjemnem. Innem jest wrażenie, jakie wywiera na umysł. Wrażenie to jest przykre, poniekąd upokarzające. Widzimy postać główną przedstawioną z takiem życiem, z taką prawdą, że łatwo nam odtworzyć w myśli najdrobniejszy rys jej charakteru, jej ruch, jej skinienie, ale cała ta postać to nie kobieta. Ta istota, mająca z ludzkiej natury tylko jej część zwierzęcą, zmysłową, ta istota, której wszystkie władze umysłu i wszystkie uczucia skoncentrowane są jedynie na zaspokojenie cielesnych żądz i pragnień, której życie całe jest tylko żądzą i nasyceniem żądzy, ta istota, która nie ma w swej duszy nic z tego, co jest odbiciem i śladem Stwórcy w stworzeniu — ta istota nie jest kobietą, jest samicą tylko. I ta samica z rozwartemi nozdrzami, z piersią podnoszącą się gwałtownie do zakazanych pragnień, z rękami wyciągniętemi do zmysłowych rozkoszy — ta kobieta ma być typem, jej wartość moralna — przeciętną wartością kobiety, jej myśli i uczucia — uczuciami i myślami naszych sióstr i matek? Myśl ta może się zdać słuszną dla tych, którzy zasady podobne — materyalizm — wyznają w nauce, dla

tych też powieść Flauberta będzie bez zarzutu, a główna postać tej powieści przeciętnym typem ludzkiej istoty. Inaczej się dzieje z ludźmi, którzy wierzą, że w każdym z nich tkwi wyższy pierwiastek, obraz Bożego ducha, dusza nieśmiertelna. Dla takich ludzi myśl Flauberta musi się zdać fałszywą, Emma Bovary wyjątkiem, powtarzającym się zapewne dość często w życiu, ale wyjątkiem tylko, nie typem. Cała zaś powieść musi na nich robić wrażenie posągu lub obrazu, zrobionego dlatego tylko, żeby na twarzy pięknej zresztą pokazać wrzód, liszaj lub brodawkę. (C. d. n.)



Z DZIEDZINY ASCETYKI.

„Życie duchowne“ czyli „Doskonałość chrześcijańska“, napisał ks. Józef Pelczar, Doktor teologii i św. kanonów, profesor zwyczajny historyi kościelnej i prawa kanonicznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Wydanie drugie w dwóch tomach, poprawione i znacznie powiększone. Kraków. Nakładem autora 1878 r.

Niech ujrzy światło dzienne choć nietęgiego pióra, byle dobrze przypieprzony romans, wprędce rozerwany; niech gwiazda, choć drugorzędna, zaświeci na Olimpie naszym, wszyscy o niej wiedzą; niech nowa kapłanka Melpomeny lub Terpsychory zjawi się w świątyni teatralnej, cały chór dzienników (więc i czytelników) wpada w zachwycenie; ale niech się pojawi poważna i wielce użyteczna praca w dziale, o którym Pan Jezus powiedział: *porro unum est necessarium:* mało kto wie o niej, a co najwyżej zyska, jeźli autor zkądinąd znany, konwencyonalną pochwałę. Więc i czytelników mało. To też nie mogliśmy wyjść z podziwienia, kiedy niedawno większych rozmiarów dzieło ascetyczne, w krótkim stosunkowo kilku lat okresie doczekało się u nas drugiego wydania. Dobry to znak. Widać, dzięki Bogu, że życie duchowne znajduje już więcej miłośników; widać też, że dzieło ks. Dr. Pelczara ma rzetelną wartość.

Społeczeństwo nasze potrzebuje takiego pokarmu. Książka ascetyczna w ręku obywatela kraju nietylko przypomni mu o obowiązkach względem Boga i bliźnich, a to zawsze się przyda, ale przeczytana, przetrawiona, nada ten hart duszy i obywatelską cnotę, jaką podziwiamy w takim pokarmem zasilanych wielkich naszych postaciach historycznych. Bo, niech kto jak chce mówi, szczera pobożność, i rycerskiego animuszu w boju, i zdrowej im rady dodawała w sej-

mie. Dziś pono to drugie potrzebniejsze. Przypuśćmy więc, że książka ascetyczna zajęła należne jej miejsce w domu, jakaż to zmiana widna wprędce w rodzinie! Nie mówię już o przezacnych niewiastach naszych — do ich rąk najprędzej trafi i najskuteczniej podziała, a z rąk i serca matki łatwiejszy przystęp mieć będzie do syna. Tylko religijne, na bojaźni Bożej oparte wychowanie uchroni młodzież naszą od smutuych, krwawiących nieraz serca rodziców zboczeń; tylko religia, więc moralność w życiu, w obyczajach, ożywi ją, uszlachetni, uczyni miłą Bogu i ludziom, a użyteczną dla Ojczyzny. Tak wielkie posługi odda rodzinie książka ascetyczna.

Możnaby z równą prawdą wykazać korzyści książki duchownej i na innem polu. Weźmy za przykład młodego kapłana. Zapewne, posiada, posiadać musi dostateczną naukę do spełniania świętych obowiązków kapłańskich, ale to nie dosyć, jeźli nie ma w ręku często, codziennie książki ascetycznej. Św. Paweł w *liście do Tymoteusza*, urabiając tego młodego a ukochanego ucznia swego na wielkiego kapłana i biskupa, nie próżno mu zaleca *pilnuj czytania*, *napominania i nauki* (list. 1. r. 4. w 13.), bo książka duchowna ożywia, utrzymuje pobożność, chroni od spowszednienia, uczy wewnętrznego życia tak potrzebnego kapłanowi.

Nie możemy tu oprzeć się ochocie przytoczenia ślicznego ustępu z *Listów Duchownych ks. A. Jełowickiego*, w którym życie to tak określa (str. 49): „Życie wewnętrzne, błogosławione i błogosławionych, zależy na ciągłem połączeniu się z Bogiem, na ciągłem posłuchaniu u Boga, na ciągłej rozmowie z Bogiem. Przez takowe życie niebo do serc naszych zstępuje i dusze nasze wzlatują aż w niebo. To życie wewnętrzne, którego owocem miłość doskonała, pokój bez burzy, męztwo bez trwogi, poświęcenie bez granic, statek we wszystkiem; to życie wewnętrzne, które nas przemienia w anioły, i czyni błyskawicami prawicy Bożej; to życie wewnętrzne, dla którego nie przywiązujemy się do rzeczy zewnętrznych i stajemy się, przez doskonałą zgodę z wolą Bożą, wolnymi synami Bożymi. O! jakże mało u nas znane, cenione, szukane!“.

To jakby nakreślony obraz doskonałego kapłana.

Ale kapłan nietylko dla siebie znać musi życie wewnętrzne — jest spowiednikiem, lekarzem dusz, więc potrzebna mu nauka ascetyczna, ażeby był w stanie dać dobrą radę, pokierować duszą, którą mu P. Bóg powierzy, wskazać, jeźli widzi pragnienie, wyższe drogi. Bez czytania ksiąg duchownych, choćby kapłan miał i dobrą wolę, nie potrafi pokierować bezpiecznie duszy na wyższe drogi, bo choć

teologia daje mu wskazówki, ale w zbyt ogólnych zarysach, żeby te starczyć miały. Nie, niedosyć dla spowiednika naznaczyć pokutę, musi wskazać środki poprawy, postępu, a nie karmiąc się sam tym duchownym pokarmem, nie ma co i powiedzieć, nie wie, jaką dać radę.

Książka duchowna przyda się każdemu, bo do wszystkich Pan Jezus powiedział: *bądźcie doskonałymi*, ale gdzież pełniej, potężniej brzmią te słowa Chrystusa, jeżli nie w zakonach? Tam życie duchowne najwyżej rozwinięte, najdoskonalej pojęte, najlepiej praktykowane być powinno... I czemuż u nas zakony — mówimy o mężkich i ze znanemi wyjątkami — niezbyt się rozwijają, czemu życie doskonałe, niedoskonale tam kwitnie? Łatwa odpowiedź: bo mało prawdziwych powołań, a i te, które P. Bóg daje, przytłumia bądź rodzina, bądź sam powołany, nie odpowiadając łasce Bożej.

Drażliwej dotknęliśmy strony, ale się już nie cofniemy, tę maleńką tylko dodając uwagę. Słusznie ktoś powiedział: jakie społeczeństwo, takich ma księży, więc i zakonników. Podziwiamy mężów apostolskich, którzy wiarę Chrystusa niosą między dzikie ludy i nie cofają się przed żadną pracą, trudem, cierpieniem, ba i ofiarą z życia; uwielbiamy poświęcenie Sióstr Miłosierdzia, ocierających każdą łzę; na każde cierpienie opuszczonych, znajdujące osłodę, i umiemy na ten temat, wynosząc zagranicę, ze wzgardą prawie przeciwstawiać nasze stosunki. To nie lekarstwo. Lekarstwem będzie, jeźli z poszanowaniem mówić będziemy o zakonach, jeźli życia doskonałego nie będziemy zbywać drwinkami, jeźli młodzież, takie zasady słysząc, takie wychowanie odbierając, nauczy się cenić to, co poszanowania godne. A! wtenczas i powołania się znajdą i zakony się podniosą, a obok chwały Bożej i nasze dobro wzrośnie, bo źle tuszyć o kraju katolickim, gdzie nie ma powołań do zakonów.

Uwagi te nasunęło nam dzieło ks. Dr. Pelczara; powiedzmyż jeszcze o niem słów parę. Całą naukę *Doskonałości Chrześcijańskiej* objął autor w 36 rozdziałach, podając w nowej, jak mówi, formie starą naukę mistrzów chrześcijańskiej ascetyki; obszernie, gruntownie, zajmująco obznajmiając czytelnika z potrzebą, doskonałością i naturą życia duchownego. Następnie usuwa przeszkody, jakie grzech, lenistwo, zepsucie natury, świat i pokusy stawiają człowiekowi na tej drodze. W drugiej części mówi o cnotach, w trzeciej zaś o środkach utrzymania w nas życia doskonałego. Widoczna, że te trzy działy odpowiadają znanym z Teologii trzem drogom: oczyszczającej, oświecającej i jednoczącej *(via purgativa, illuminativa et unitiva)*. Dodaje w końcu traktacik o nabożeństwie

do Serca Jezusowego i złotą prawdziwie naukę o ślubach zakonnych O. Piotra Cotel S. J., którą radzibyśmy widzieć w ręku każdego zakonnika. Szanowny autor, jak widzimy, nie wynalazł dróg nowych, idzie ubitym torem tradycyj ascetycznych, i w tem zaleta jego, że trzyma się ściśle nauki Kościoła. Nowe drogi wiadomo do jakich zboczeń doprowadziły Kwietystów [1]; nowe drogi na błędny tor sprowadziły nawet takiego olbrzyma, jakim był Fenelon.

Myśl porównania udoskonalenia człowieka do budowy domu, przeprowadzenie tej myśli nawet, żywo nam przypomina Ojca Semeneńkę, choć i u niego myśl to nie nowa, gdyż już Apostoł powiedział: *Budowaniem Bożem jesteście* (list 1. do Kor. r. 3, w. 9). Bogate treścią dzieło ks. Dr. Pelczara wdzięcznie jest urozmaicone przykładami starannie nader dobranemi; dodajmy, że napisane przystępnie, nawet dla mniej wykształconych czytelników, prawdziwym skarbem stać się może dla duszy, miłującej Boga, a pragnącej coraz lepiej Mu służyć.

Maleńki jednak, nie zarzut, ale żal mamy do szanownego Autora. Na samym początku swej przedmowy powiedział, i słusznie, że „mieliśmy dawniej znakomitych mistrzów duchownych, atoli ich dzieła porosły pleśnią czasu"; mniej znów słusznie mówi dalej: „czasy zaś nasze wydały zaledwie kilka tłómaczeń". Czemuż więc, czerpiąc w dziele swojem obficie z dzieł takich autorów ascetycznych, jak św. Franciszek Salezy, św. Alfons Liguori, Tauler, Rodrycyusz, Saint Jure, Guilloré, Daponte, Faber, Ségur, Chaignon i t. d., nie starł choć trochę pleśni z dzieł starych naszych polskich ascetów i za granicą wysoce cenionych? Taki np. najznakomitszy może ascetyczny pisarz nowożytny, jak O. Faber, którego słusznie szanowny Autor na każdej niemal karcie cytuje, wielce lubował się w dziełach naszego Lanciciusza (Mikołaj Łęczycki) i wiele z niego korzystał. Toż samo powiedzielibyśmy o Kasprze Drużbickim, Morawskim, Miechowicie i wielu innych, których dzieła, dziś jeszcze, nietylko zajmują poważne miejsce po bibliotekach zagranicznych, ale do powag ascetycznych słusznie są zaliczane. Mniej też słusznie szan. Autor zarzuca „czasom naszym, że wydały zaledwie kilka tłómaczeń". Zapewne, nie mamy do zbytku dzieł ascetycznych oryginalnych i dlatego z taką radością powitaliśmy drugie wydanie dzieła, z którego obecne dajemy sprawozdanie, ale mówiąc, że obecnie mamy

---

[1]) Kto ciekaw, niech czyta nasz artykuł pod tytułem: *Kwietyzm* w *Encyklopedyi Kościelnej* ks. Nowodworskiego.

zaledwie kilka tłómaczeń, szan. Autor zapomniał o dziełach takich pisarzy ascetycznych, jak Antoniewicz, H. Kajsiewicz lub Jełowicki — takich i za granicą nie zbytek [1]).

Żal ten nasz przecież nie ujmuje wewnętrznej wartości dziełu ks. Dr. Pelczara, które gorąco polecamy czytelnikom naszym.

GEOGRAFICZNE PRACE LELEWELA.

(*Joachima Lelewela zasługi na polu geografii przez Stanisława Warnkę. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1878*).

Przed dwoma z górą laty znaleźliśmy się w niemiłej konieczności skarcenia p. Warnki za niefortunną wycieczkę na pole polityczne w lichej broszurce o Deaku; tem chętniej przeto składamy mu obecnie wyrazy szczerego uznania za książkę prawdziwie naukową i użyteczną. Wprawdzie i teraz mielibyśmy mu do wytknięcia niejedno, szczególniej język, zanieczyszczony germanizmami (n. p. i wprawdzie: *und zwar*, bez dalszego (!) *ohne Weiteres* itd.), wyrażenia wzięte żywcem z niemieckiego, lub nie mające prawa obywatelstwa w naszej mowie, jak „autorytet", „kauzalny związek", „zakusy", „liberalność" zamiast „uprzejmość" i t. p. — ale niemniej przeto dzieło p. Warnki jest pracą poważną, samodzielną, dowodzącą gruntownego znawstwa przedmiotu, o którym pisze, pracowitości i krytycznego zmysłu — słowem pełną zalet, niezbyt częstych w piśmiennictwie naszem.

Już sam pomysł ocenienia ze stanowiska naukowego zasług Lelewela, położonych na polu geografii, trzeba nazwać nader szczęśliwym. Ma autor zupełną słuszność, gdy w przedmowie skarży się na to, że znakomity uczony nie doczekał się dotąd ani jednego studyum, lubo nie pojmujemy, dlaczego cytuje przytem bardzo słaby, pobieżny i jednostronny artykuł p. Bobrzyńskiego, drukowany w *Niwie* p. t.: *Kilka słów o najnowszym ruchu na polu naszego dziejopisarstwa*.

Lelewel nie był geografem we właściwem znaczeniu wyrazu, ale historykiem geografii. „Jego wzrok duchowy — mówi p. Warnka — był zatopiony w przeszłości, ztąd jego doktrynerska i niepraktyczna

[1]) *Miesiąc Maryi* np. ks. Jełowickiego zyskał w tłómaczeniu francuzkiem wielkie uznanie czytających, zalecony też przez kilkunastu biskupów francuzkich.

polityka, jego upodobanie w samotności, pogardzanie wszelkiemi formami życia towarzyskiego. Więc nie mogło być inaczej, że i w geografii szukał historyi i za cel sobie postawił odtworzyć pojęcia, jakie mieli uczeni starożytności i wieków średnich o kształcie ziemi i pojedynczych krajów. Na tem polu stoi Lelewel na równi z pierwszymi badaczami cudzoziemskimi, jak Blair, Mannert, Gosselin, Rennel, Uckert, Peschel, Vivien de St. Martin, a jeżeli im nie dorównał talentem nadobnego przedstawienia rzeczy, to przynajmniej w pewnych częściach swych studyów pewnie ich przewyższył obszarem erudycyi, gruntownością badania i jasnością poglądu na całość wiedzy geograficznej wieków minionych".

Cała praca p. W. przekonywa, że zdanie powyższe nie zostało wypowiedziane lekkomyślnie, ale jest rezultatem poważnych badań, sądu równie kompetentnego, jak bezstronnego i przedmiotowego. Szanowny autor występuje od razu jako dobrze naukowo przysposobiony, jako doskonale z literaturą przedmiotu obeznany uczony, jakkolwiek w dawniejszych latach poświęcał się wyłącznie historyi, o czem świadczy rzecz o buncie Glińskiego i kilka innych rozpraw. Oprócz druków miał na swe usługi wielotomową korespondencyę Lelewela, której wydawnictwo właśnie rozpoczyna p. Żupański; ztąd też opowiadanie jego odznacza się dokładnością i pewną plastyką.

Do poszukiwań geograficznych popchnął Lelewela, jak sam wyznaje, zamiar wyjaśnienia pierwotnej historyi ludów słowiańskich — ale niewątpliwie zachęcił go też do nich przykład profesora Groddecka, którego słuchał na uniwersytecie wileńskim. Oddawał się im specyalnie już w pierwszych czasach pobytu na uniwersytecie, a w r. 1808 w Warszawie, jak sam opowiada, „z natężeniem pomykał swoje studya geograficzne". Mówi tu o swych *Badaniach starożytności we względzie geografii*, które w roku następnym doprowadził do Strabona, w r. 1810 zaś docierając do końca, miał już trzydzieści arkuszy. „Ani nadziei — pisze do brata Prota z Krzemieńca pod dniem 13 czerwca t. r. — żeby się w Polsce jaki ochoczy drukarz do tej najnudniejszej rzeczy wynalazł... Prace i trudy ugrzęzną w błocie krzemienieckiem, nie wysychającem nigdy".

Znalazł się jednak taki ochotnik w osobie księgarza wileńskiego, Zawadzkiego, lubo ten wydrukował samą historyę geografii starożytnej, odmówił zaś ogłoszenia geograficznego opisu krajów, znanych w starożytności.

Kiedy *Badania* wyszły z pod prasy, Groddeck wyrzekł na konferencyi profesorów pamiętne słowa: „ten młodzieniec dokonał

czegoś, może odpocząć, i chociażby już więcej nic nie napisał, to to wystarczy“. Niemniej pochlebnie ocenili je najznakomitsi uczeni zagraniczni, a sławny koryfeusz nauk geograficznych, Karol Ritter, zobaczywszy atlas, dodany do *Badań*, tak był nim zachwycony, że dokładał usilnych starań, ażeby dzieła polskiego uczonego zostały przełożone na język niemiecki, do tłómaczenia zaś rozprawki jego „o odkryciach Kartagów i Greków“ sam napisał przedmowę.

W istocie *Badania* są najznakomitszem dziełem Lelewela i noszą na sobie cechę zupełnego wykończenia, podczas gdy inne późniejsze prace jego na polu geografii, nie przestając być cennym materyałem dla nauki, są raczej stosem nieporządnie ułożonych notatek, nietylko pozbawionych organicznego związku, lecz często nawet jakiegokolwiek ładu. To też nie dziw, że chaos i nieporządek układu odstręczają czytelnika od tych magazynów wiedzy i erudycyi. Złożyły się na tę odrażającą zewnętrzność dzieł naszego uczonego zarówno dotkliwy niedostatek, jaki cierpiał po rewolucyi roku 1831, jakoteż inne względy, które trafnie przedstawia p. Warnka. „Było to — mówi on — właściwością, i przyznajmy otwarcie wadą Lelewela, jako pisarza, że kwestye podrzędne były zawsze w stanie odciągnąć go od głównego przedmiotu, który miał zamiar opracować. Dlatego wszystkie jego dzieła, z wyjątkiem *Badań*, są to tylko ułamki, fragmenta, niedokończone części całości, na które się autor nie zdobył, bo zanim była wykończoną, jużci nowe jakieś widoki naukowe wabiły autora w inną stronę, zaprzątały cały jego umysł. Tak brnął w studya, które mu pierwotnie zupełnie były odległe. Sam powiada nam, że w badaniu nad geografią średniowieczną zaplątał się przypadkiem, gdy dostawszy do rąk francuzkie tłómaczenie Edrisiego, chciał się dowiedzieć, co też geograf arabski wiedział o Polsce. Studyum Edrisiego zajęło go, rozciekawiło i wprowadziło w nowy świat poszukiwań nad geografią arabską“.

Zarzutu tego nie można jednak uczynić *Badaniom*, dziełu z wielu względów doskonałemu i pomnikowemu. Znajdują się w niem poglądy zupełnie nowe, „które dopiero najnowsza krytyka wyjaśniła, a któremi to zdobyczami szczycą się obcy badacze, nie wiedząc, że przed 60 laty, wpośród piasków Mazowsza, pisał już tak samo polski uczony“. Z pomiędzy licznych zdobyczy, odniesionych przez Lelewela w *Badaniach*, wskażmy przynajmniej kilku. On to pierwszy wyjaśnił kupiecką politykę Kartagów, z winy których w Grecyi po r. 500 upadła znajomość krajów zachodnich; on pierwszy uwydatnił w całej pełni olbrzymie zasługi, położone przez Rzymian

około postępu geografii, ocenił działalność na tem polu Cezara i jego inżynierów, Augusta i Agryppy, dalej wskazał zasługi szkół geograficznych ateńskiej i rodyjskiej, wielkie znaczenie Pyteasza jako podróżnika i jako obserwatora, on pierwszy oznaczył prawdziwe położenie rzek Gir i Nigir; w kilkadziesiąt lat do tegoż samego rezultatu doszedł Vivien de St. Martin, a po nim również jako pretendent do zaszczytu tego odkrycia zgłosił się Peschel.

Najważniejszym jednak owocem studyów Lelewelowskich pozostanie jego sąd o wartości dzieła Ptolomeusza. On to dopiero wykazał jasno i namacalnie całą bałamutność wynoszonego pod niebiosa dzieła i fatalny wpływ, jaki wywarło na późniejszy rozwój geografii. Zdanie Lelewela w tej mierze utrzymało się, skoro sumą wywodów Vivien'a de St. Martin jest, że pomysł Ptolomeusza był genialny, dzieło zaś jego nie wiele warte. Daremnie w ostatnich czasach skruszył kopię w obronie aleksandryjskiego uczonego ceniony w kraju i za granicą pisarz polski, Sadowski, rewindykując dla oznaczeń długości Ptolemeusza i podstawę zupełnie racyonalną i akuratność, godną dzisiejszych geodetów; p. Warnka dowiódł przekonywująco, że uczony autor *Dróg handlowych greckich i rzymskich przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeży morza Baltyckiego*, pomylił się i dał się uwieść pozorom.

Pisząc o geografi w wiekach średnich *(Géographie du moyen âge)* znajdował się Lelewel w nierównie trudniejszych warunkach, niż wtedy, gdy pracował nad historyą starożytnej geografii. Wówczas nietylko nie potrzebował się kłopotać o utrzymanie, lecz także bez trudu odnajdował źródła, gdyż każda biblioteka szkolna lub klasztorna w Polsce posiadała zwykle komplet greckich i rzymskich klasyków. Zupełnie inaczej miała się rzecz z materyałami czasów późniejszych; było to, wedle własnych słów Lelewela, „pole bujnego a mało poznanego plonu". W ogóle o stanie geografii, podobnie jak i innych nauk w wiekach średnich, najmylniejsze dotąd panowało mniemanie. Trafne pod tym względem są słowa p. Warnki: „Było zwyczajem pomijać tę smutną epokę. Z góry oceniona jako czas grubej niewiadomości i ciemnoty, zdawała się niegodna głębszych studyów i badań na wielkie rozmiary. Jakże błędne zdanie!... Kto sumienniej i głębiej zajmował się literaturą średniowieczną, ten mógł się przekonać, że i wówczas ludzie myśleli, słabiej wprawdzie, bo podstawa była słabsza. Lelewel wykazał dowodnie, że na polu geografii wieki średnie nie były tak jałowe, jak mniemano powsze-

chnie, że i one przyczyniły się niepomału do postępu, że poprawiły pod wielu względami starożytność, w szczególności tego, który reprezentuje sumę wiadomości geograficznych starożytności, to jest Ptolomeusza".

Już to samo znaczy bardzo wiele, bo zbija zużyte pseudonaukowe komunały o rzekomej ciemnocie średnich wieków, a natomiast stawia gruntownie uzasadnione zdanie.

Pięciotomowe dzieło o geografii w średnich wiekach dowodzi żelaznej pracy, ogromnej nauki, a jako pierwsze w swoim rodzaju, jako pełne nowych zdobyczy, zasługuje na wielkie uznanie, lubo treść jego, rozrzucona nieporządnie w pięciu tomach, razi brakiem systematyczności. Lelewel mówi w niem przeważnie o kartografii; ponieważ jednak mapy dają nam najdokładniejszy obraz wiedzy geograficznej każdego czasu, przeto wzięcie faktu doskonalenia się map za podstawę i nić przewodnią, uważać można za wcale szczęśliwy pomysł. „Ale nie powinien był autor — jak słusznie zauważył pan Warnka — pod żadnym warunkiem zaniedbać geografii matematycznej. Postęp albo upadek kartografii, jest prostem tylko następstwem postępu albo upadku nauk matematycznych. Kto nie zna historyi ostatnich, nie zrozumie historyi kartografii, która bez podstawy matematycznej zawiśnie w powietrzu, zejdzie ostatecznie na historyę rzemiosła kartograficznego .. To zaniedbanie geografii matematycznej jest kardynalnym błędem znakomitego dzieła".

Grzeszy też uczony pisarz, przypisując zbyt wielkie zasługi na polu geografii Arabom, a lekceważąc usiłowania w tym kierunku ludów zachodnich. Tymczasem najnowsze poszukiwania okazały, że narody te własną pracą, a nie z pomocą uczonych arabskich wydobyły się z ciemnoty, w jaką popadły po upadku Rzymu w burzliwej epoce gminoruchów, że „zwrot ku lepszemu na polu geografii matematycznej odbył się u ludów łacińskich wcześniej i zamanifestował się silniej, aniżeli to przypuszczał Lelewel". Zeszłego roku drukował *Przegląd* nasz obszerną i nader ciekawą rozprawę o odkryciach i dziełach geograficznych, dokonanych przez Benedyktynów, Mnichów Irlandzkich i innych katolickich missyonarzy w wiekach średnich. Lelewelowi obcy był ten ogromny postęp w naukach średniowiecznych, tak dalece, że zaledwie wspomniał o wpływie „owych olbrzymów scholastyki" Bakona, Alberta i Wincentego, toż nie dziw, że przyszedł do błędnego mniemania, jakoby ten postęp należało przypisać Arabom. Dając się zresztą uwieść pozorom i przeceniając zasługi Arabów, poszedł Lelewel mimowiednie za przykładem

antichrześcijańskich uczonych, którzy wyznawców islamu pragnęli wywyższyć kosztem ludów, wyrosłych na cywilizacyi łacińsko-kościelnej.

Mimo to dzieło jego pozostanie zawsze ze wszechmiar cennem źródłem dla historyków geografii, którzy z niem liczyć się będą jako z pracą poważną, pełną nowych, samodzielnych widoków.

MISSYA KATOLICKA W EGIPCIE
i
klasztory św. Antoniego w Tebaidzie.

W ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego*, znajdujemy piękny artykuł p. Józefa Popiela, pod tytułem: *Z Notatek podróżnych*, gdzie pełno jest nadzwyczaj ciekawych i w zajmujący sposób opowiedzianych szczegółów o missyach katolickich w Egipcie. Mniemamy, że czytelnicy naszego pisma wdzięczni nam będą, jeźli je tutaj przytoczymy.

W mieście Negade położonem nad Nilem znajduje się najdawniejszy dom missyjny. „Od najazdu arabskiego Egipt nie widział kapłana katolickiego i nie miał kościoła aż do chwili, gdy przed pięćdziesięciu laty Franciszkanie z Ziemi Świętej zaczęli zakładać osady dla nawracających się Koptów i dla osiedlających się po kraju Europejczyków. Dzisiaj, patrząc na te lepione z gliny domy i ubogie kaplice nie przychodzi na myśl, ile one pracy, walki i krwi kosztowały tych ludzi, którzy krzyż za godło obrawszy, postanowili go zatknąć po raz wtóry w Egipcie. Rząd, chociaż obiecał opiekę, to tajemnie ustalenie się missyi utrudniał, muzułmanie jawnie występowali, Kopty z zaciekłością sekciarską szkodzili, a ci Europejczycy, których missya była zastała, najczęściej wyśmiewali się z bosego braciszka, o głodzie cały dzień pracującego, sypiającego pod gołem niebem i z nadludzką cierpliwością kamień na kamieniu stawiającego na pierwszy Boży przybytek, wśród niewiernych, a co gorzej wśród odszczepieńców. Stanął jednak kościół, potem dom, potem znalazł się ogród, naokoło niego parkan, i stróż, i dzwonek, i przytułek dla podróżnego, schronienie dla ubogiego, zawsze opieka dla uciśnionych. Dla tych biednych ludzi, żyjących dzisiaj jeżeli nie w prześladowaniu otwartem, to w ciągłem poniewieraniu przez władzę, w pogardzie własnych braci, nie połączonych z Kościołem, wielką jest pociechą widzieć cudzoziemców, którzy w ich oczach wiele znaczą, modlących się razem z nimi, i wspólnie z nimi wyznanie wiary publicznie czyniących.

Ale tej pociechy biedacy używają nie często. By się o tem przekonać, dosyć było spojrzeć na odprowadzającą nas gromadkę do domu misyjnego, na zaciekawione i przychylnie uśmiechające się niewiasty, na dzieci, czepiające się naszych sukien. By zaś nabrać pewności, wystarczyło przestąpić progi ubogiego tego przytułku; widocznie byliśmy w nim rzadkimi i niezwykłymi gośćmi.

A jednak w tem schronieniu, w tej lepiance, którą pałacem tutaj nazywają, mieszkał blisko od pół wieku człowiek niezwykły, prawdziwy założyciel missyi w wyższym Egipcie, dla którego warto było zatrzymać się w Negade. Przypadek jedynie zrządził, żem go był poznał, a wspomnienie jego tak się złączyło z podróżą Nilową, że zapewne nie ja jeden go nie zapomnę: O. Samuela zapomnąć nie można

Czy Manzoni, tworząc postać Padre Cristoforo, wiedział, że maluje portret żyjący, czy też poeta przeczuł, iż w tej samej chwili wyrabia się w dawnej Tebaidzie, mnich do dawnych pustelników podobny, i prostotą cnoty i hartem duszy i wielkością podjętego zadania? Twarz jego to cały poemat. Nie śmiałem pytać o przeszłość, ale nie trudno się domyślić, że człowiek żyjący dziś, powstał dopiero na grobie człowieka, który nie miał wiele wspólnego z celą zakonną i pustelniczym kijem. I dzisiaj jeszcze w tem wątłem ciele harda mieszkała dusza, a nim biała długa broda pochyliła mu nieco głowę na piersi, nim gęste głębokie zmarszczki poorały wyniosłe czoło, to na twarzy jego musiała się wyraźnie częsta malować walka, jaką prowadził z ludźmi, a daleko twardsza, którą staczał sam z sobą. Żyjemy w czasach, w których pewnym indywidualnościom musi być duszno na świecie: czują one w sobie siłę do wielkich rzeczy, a pola działalności dla siebie nie widzą: mają zasoby na wielkich ludzi, wiedzą, że noszą w sobie iskrę geniuszu, a muszą uchylać karku pod jarzmo ogólnej niwelacyi. Wieki średnie dawały Tankredów, Cortesów, Książąt Niezłomnych lub Viscontich i Malatestów; naszym pozostaje chyba walka parlamentarna, a niedawno dopiero otwarły się wrota centralnej Afryki i nieznanych dotąd azyatyckich stepów, mających niezwykły urok dla ludzi, którym Europa wydaje się za mała i za ciasna ze swą siecią kolei i ze swym ustrojem społecznym. I temu podobno było duszno w Europie, ale on wybrał Tebaidę. Tylko chociaż oczy jego już były łzą wypalone, to wśród łagodnego spojrzenia jak wulkan ciskały czasami iskry; i chociaż kaptur nakrywał mu głowę, to od czasu do czasu jakby pod działaniem iskry elektrycznej podnosiła się ona wyniośle do góry; habit jego był wprawdzie znakiem pokoju i miłosierdzia dla biednych, ale dla prześladowców postrachem. Spojrzawszy nań, nie trzeba było długo odgadywać, że się Boga bał, lecz złemu człowiekowi nie ustąpił kroku.

Ramy doskonale dobrane były do obrazu. Dwa czy trzy pokoje czyste, ale bardzo biedne i puste, czyniły wrażenie raczej gościny niżeli mieszkania. Podobno nie wiele w nich przebywał właściciel, sam był w nich gościem, modlił się i kazał w kościele, uczył na polu, na ulicy, po domach, wszędzie, gdzie mógł być z pożytkiem słuchany, a pracował własnemi rękami w ogrodzie. W domu dla ciała wystarczał mu twardy tapczan, kilka tureckich wypłowiałych dywanów, przykrywających coś, co miało być kanapą, i stary zegar; dla duszy Ojcowie Kościoła, brewiarz, krzyż i kostur podróżny. Z okna śliczny widok na Nil i zieloną dolinę, na ruiny tebaickie i szary, długi pas pustyni; w kącie stał zapylony, rozstrojony fortepian, na którym zakonnik przypominał sobie zapewne rodzinne kalabryjskie melodye, kto, wie, czy nie te same, które święty jego poprzednik roznosił między śnieżyste góry razem ze słowem Ewangelii.

Chociaż w domu było ubogo, myśmy w nim serdeczne i gościnne znaleźli przyjęcie. Tu się można było przypatrzyć, jaką potęgą na wschodzie jest tego rodzaju indywidualność. Ten człowiek sam z siebie nic nie miał, nie rozporzą-

dział żadną siłą materyalną, nie używał wpływu na dworze, nawet nie doznawał opieki konsulatu, a jednak był on na okolicę ledwie nie panem wszechwładnym, a niewątpliwie najpierwszą osobistością na cały wyższy Egipt. Znali go wszyscy; wielcy i mali; pasza się z nim rachował, bogaci muzułmanie bali, fellahy szanowali i często przychodzili doń o radę, Kopci schyzmatycy wielkie mieli wyobrażenie o jego nauce i świątobliwości; Kopci katolicy uważali go za swego duchownego i świeckiego zwierzchnika. W tym samym pokoju, w którym nas przyjmował, załatwiały się najważniejsze sprawy: był sędzią, doradcą, przedewszystkiem obrońcą uciśnionych. Robił on między tym ludem wrażenie patryarchy: godził poważnionych, zawierał układy, często sam wymierzał sprawiedliwość, a gdy potrzeba było, szedł o nią się upomnieć nawet z narażeniem życia. Niewolników był wyłącznym opiekunem. Prawo pod naciskiem Europy wymuszone na Saidzie paszy, czyni wolnym każdego, kto dobrowolnie zostaje chrześcijaninem, ale prawo to, jak niemal wszystkie inne w Egipcie, pozostało martwą literą, bo najczęściej niewolnik o niem nie wie, a gdyby nawet wiedział, korzystać z niego nie może. Pan nie chce stracić własności, mudir trzyma naturalnie z Muzułmaninem, policya zamiast bronić zbiega, odstawia go do domu, gdzie go czeka prześladowanie i sroga kara. O. Samuel od pierwszego dnia wziął się do dzieła. Kto przeszedł próg jego domu z żądaniem chrztu, ten już do niewoli nie wracał; nie pomogły pogróżki władzy, nie przestraszył się napadu podburzonego pospólstwa, nie ustąpił nawet konsulatowi. Firman był wyraźny, dom misyjny pod opieką Europy, działanie jawne. Tego dnia właśnie, gdym po raz pierwszy poznał tego szczególnego zakonnika, furtka ogrodowa całą noc była otwarta i straż przy niej postawiona, dla ułatwienia ucieczki Murzynowi, który od pięciu miesięcy w prawdziwem więzieniu przez swego pana trzymany, znalazł był nakoniec sposobność dostania się pod opiekę Kościoła i zostania chrześcijaninem

Niewolnictwo też, jeżeli nie jest jedynym, to jednym z głównych powodów, dla którego apostolstwo wśród społeczeństwa mahometańskiego jest bezowocne, a niewolnictwo mimo wszystkich zakazów i wszelkich reform na wschodzie, istnieć będzie dopóty, dopóki islam będzie na wschodzie panować". A w skutek tego ucisku islamu, pod jakim jęczą ludy wschodnie, missye katolickie z olbrzymiemi nadzwyczaj walczyć muszą trudnościami i do dzisiaj jeszcze po tylu bezowocnych próbach i tylu doświadczeniach niewielu jest całkowicie nawróconych. Mimo ośmiu domów misyjnych i czterdziestu lat pracy apostolskiej, nie było podobno wypadku nawrócenia się Araba; łączą się z Kościołem niewolnicy, Murzyni, wyrwane jednostki z centralnej Afryki, niemające żadnej religii lub nawet poganie, ale fellah nie opuści i opuścić nie może islamu, dopóki go wyznaje szek, mudir, pasza i sam Effendinah. Na to potrzeba rzeczywistego bohaterstwa i gotowości na męczeństwo.

Domy misyjne powstały też nie dla fellahów. Polem ich działania apostolskiego byli Kopty i gdyby ich można było całkowicie pozyskać, jużby dziś Egipt inaczej wyglądał i mógł się spodziewać lepszych dla siebie czasów. Ludzie, którzy szli nawracać, nie mieli celów politycznych, pracowali jedynie dla chwały Bożej i dla uświęcenia dusz, ale w Europie ludzie postawieni u władzy, powinni byli z tego zasiewu korzystać.

Dotąd rezultat pracy apostolskiej nie jest tak świetny, by twierdząco odpowiedzieć bez wahania, jeżeli za rezultat brać wykaz statystyczny ludności

katolickiej i heretyckiej. Nawrócenia były dosyć liczne, by módz potworzyć parafie misyjne, ale są one bardzo biedne, duchowieństwo w prawdziwej nędzy, bez żadnego stałego utrzymania, na jałmużnie wiernych i opiece Propagandy; w rządzie nieuznanie, na dworze wicekrólewskim wpływ prawie żaden. Ale i politycznie i religijnie prawdziwym rezultatem jest zajęcie stanowiska, zatknięcie chorągwi i rozbudzenie między ludnością schyzmatycką ruchu ku katolicyzmowi. I ten rezultat byłby zupełnie inny, gdyby ci, którzy obowiązani są pomagać, nie stawiali trudności, i gdyby zetknięcie się niemal na wszystkich razem punktach Zachodu ze Wschodem nie było przypadło na czasy zobojętnienia ludów dla wszelkich kwestyj religijnych i owładnięcia rządów przez rewolucyę.

Kościół na Wschodzie jest pod zbiorową opieką państw katolickich, ale Francya zastrzegła sobie wyłączny protektorat nad zakonem franciszkańskim, a Austrya nad domami missyjnemi Wyższego Egiptu. Protektorat ten nie przyczyniał nigdy rządowi kłopotu i nie pociągał za sobą żadnych kosztów, a dawał ogromne korzyści; szło o to jedynie, by wice-król i jego gubernatorowie mieli przekonanie, że o krzywdę uczynioną Kościołowi upomni się państwo europejskie. i by lud mahometański wiedział, że zniewaga publiczna Krzyża będzie surowo ukaraną. Niewiele więcej było potrzeba do swobodnego rozwoju missyi. Dzisiaj i to się wydaje za dużo. Już w ostatnich czasach cesarstwa Francya zmieniła swą politykę na Wschodzie, a w Wiedniu nie zwracano nigdy dosyć uwagi na stronę religijną kwestyi wschodniej, w ministeryum spraw zagranicznych może zupełnie zapomniano o istnieniu domów misyjnych. Jestto ciężki błąd polityczny.

Nie każdy zapewne dom misyjny jest równie potężny, jak w Negade, drugiego O. Samuela niema podobno na całym Wschodzie, ale każdy dom misyjny wywiera wpływ nawet na ludność mahometańską i tworzy naokoło siebie jak oazę cywilizacyjną pośród społeczeństwa pogrążonego w ciemnocie. Ze względu na politykę europejską i na interesa państw, które wymusiły na Porcie prawa kapitulacyjne, są to zamki obronne, prawdziwe punkta strategiczne, o które, gdyby ich nie było, trzebaby się starać zdobywać je sobie, rozszerzać je i umacniać, nie zaś dobrowolnie opuszczać je i pozbawiać się najsilniejszego sprzymierzeńca na Wschodzie. Dla tego właśnie, że koran jest prawem religijnem i prawem publicznem, że zawiera w sobie i przepisy życia domowego i cały ustrój państwowy, mahometanin nie pojmuje, by można nie szanować własnej religii i nie bronić z jej łona wyrosłych instytucyj. On dla chrześcijanina czuje w sercu nienawiść, ale go szanuje, dla niedowiarka czuje tylko pogardę. Lud wschodni nie zrozumie nigdy, by państwo mogło być silne i mieć rzeczywiste znaczenie w Europie, jeżeli własnego kościoła nie wspiera i nie podtrzymuje go całą swą powagą. On politycznych kombinacyj nie rozumie, o dyplomacyi nic nie wie, patrzy na kościół i z niego swe wnioski wyciąga. Kto go broni i siłą dopomina się o jego stanowisko, tego szanuje i tego się boi. Nienawiść liberalizmu dla religii tak zaślepiła ludzi, trzymających w swem ręku rządy świata, że nie widzą, jaką broń wypuszczają z ręki i jak nierozważnie sami pracują na korzyść nieprzyjaciela.

Nieraz Austrya miała sposobność zajęcia wyłącznego stanowiska. Od lat kilku powstał między Koptami bardzo znaczący ruch ku Rzymowi, spowodowany ciemnotą i chciwością duchowieństwa heretyckiego, niezgodą panującą w patryarchacie, uciskiem rządu, z drugiej zaś przykładem missyi i wychowańców Propagandy, może najwięcej widokiem młodych ludzi „kości z ich kości“

z miłością, z poświęceniem, bezinteresownością uczących swych braci, apostołujących w biedzie i ciężkiej pracy. Zwróciły się same serca ku prawdzie, ale ruch ten upadnie, jeżeli go się nie poprze i nad nim opieki nie rozwinie. Jak wszędzie, tak i tutaj biedacy najskorsi do poświęcenia, najchętniej garną się do kościoła, nawet, gdy nawrócenie wystawia ich na prześladowanie; bogaci, a oni trzymają w swem ręku całe społeczeństwo, oglądają się na Europę i jej przedstawicieli w Kairze. Dobytku swego utracić nie chcą, a wiedzą dobrze, że jeżeli żaden konsulat za nimi się nie ujmie, nikt im ręki nie poda, nikt za nimi u władzy nie przemówi, staną się łupem heretyckiej hierarchii, która ich wyda umyślnie w szpony muzułmanów, by powstrzymać propagandę a bojaźliwszych przestraszyć. Rządowi egipskiemu nie na rękę nawracanie się Koptów, bo heretycy zoztają wyłącznie pod jego władzą i nie mają prawa do opieki żadnego z konsulatów, z katolikami zaś liczyć się trzeba. Wstawiają się za nimi misyonarze, często z urzędu Propaganda, czasami przejezdni cudzoziemcy, czasem dostojna jaka osoba, odbywająca podróż Nilową, Jednem słowem, bywają powodem kłopotów dla władzy. Patryarchat zaś heretycki, tworzący rodzaj osobnej duchownej kasty, lud wysysającej i rządzącej nim samowładnie, chętnie do pomocy przyzywa krzywy miecz mahometański, by władzy nie stracić i nie widzieć zachwianego swego stanowiska. W dawnej Tebaidzie istnieją dwa klasztory św. Antoniego, z pierwszych jeszcze wieków chrześcijaństwa, przechowujące podobno pierwotną regnłę w całej swej czystości. Ani zwiedzić ich, ani dostać się do nich prawie nie podobna; heretycy strzegą ich jak relikwii, cudzoziemca doprowadzić do nich nie chcą, samemu puszczać się nieznanymi szlakami pustyni nie można. Wiadomo tylko, że pustelnicy żyją z jałmużny i żadnej bezpośredniej styczności z światem nie mają, nie wychodząc nigdy za mury. Mury te nie mają ani drzwi, ani żadnego otworu na zewnątrz, pielgrzymi nie wchodzą nigdy do środka klasztoru, a w razach nadzwyczajnych koszem wciągają i spuszczają uprzywilejowanych. Tych bywa podobno bardzo mało. Kto zaś czuje powołanie do życia pokutniczego i żąda dopuszczenia do wspólnego życia, ten się żegna z rodziną u podnóża muru, bo więcej ani jej, ani światła dziennego nie ujrzy. Czy mu się podoba czy nie, czy poszedł za głosem duszy, czy też się pomylił, z za murów więcej nie wyjdzie; nikt jeszcze nie widział mnicha z pustyni wracającego.

Co się wewnątrz dzieje, nikt powiedzieć mi nie umiał, ale można się domyślać, że fanatyzm litery zastąpił ducha reguły, a srogość systemu zabiły prawdziwe życie zakonne. Wiadomo, że księgi święte Koptów chowają się po klasztorach, lecz ponieważ starego języka duchowni nie posiadają, więc księgi kryją, jak talizman, z obawy, by się nie dostały w ręce Europejczyków. Nic dziwnego, że niewiele zostało z chrześcijaństwa, zaledwie główne prawdy, chociaż ich wykład skrzywiony brakiem nauki i odcięciem społeczeństwa przez tyle wieków od źródła światła. Szukając ruin jednego z klasztoru Tebaidy, w okolicach Esneh, znalazłem się przypadkiem na nabożeństwie Koptów, wychodzących tłumnie na groby w pewne dni wiosenne. Rytuał przypominał raczej stare egipskie obchody, uwiecznione dłutem i pędzlem na Tebańskich świątyniach, niżeli obrzędy Chrześcijańskie; ciągła zaś styczność z muzułmanami, wspólne ich domowe obyczaje, widocznie nie pozostały także bez wpływu na charakter religii. Było coś w tem z pogaństwa, z dawnej czci oddawanej umarłym i coś z islamu, z jego fatalizmu. Ci ludzie jednak wszyscy, bez za-

dnego wyjątku, wyznawali się głośno chrześcijanami, i z chlubą krzyż mi pokazywali; i w tem ich przyszłość. Zdaje się, że w dwóch klasztorach św. Antoniego i wiara musiała się przechować żywszą i tradycya czyściejszą, bo ludzie, czujący potrzebę życia religijnego, do nich się zwykle udają, a ruch ku Rzymowi, jeżeli nie za ich wpływem, to jednak z ich wiedzą rozszerzył się znacznie. Prawdziwy apostoł nigdzie podobno nie przeszedł bez śladu, ale na Wschodzie, wśród tego biednego, prostego ludu zostawia po sobie jakby drogę mleczną. Widziałem młodego człowieka niemal dziecko, kopta, wychowańca zakładu Jezuitów w Bejrucie, który nawrócił trzy całe wioski. W dysputy się nie wdawał, uczył daleko więcej przykładem, niżeli słowem, prowadził pokutnicze życie, dopóki mu sił starczyło. Młody apostoł już nie żyje, ale śmiercią rzucił zasiew na rolę, którą krwią i pracą własną użyznił; mimo prześladowania swoich i rządu, te trzy wioski wytrwały w wierze.

Przed kilku laty, gdy Chedyw potrzebował poparcia Austryi dla uznania swego syna następcy tronu, wbrew prawu Mahometa gdy następnie starał się o jej łaski, dla przeprowadzenia reformy sądowej, można było dużo od niego żądać i bez wielkich trudności dużo otrzymać. W kwestyi religijnej wszystko. Domy misyjne stawały się prawdziwemi fortami austryackiemi; O. Comboni, który sam w Wiedniu przedstawiał korzyści wmieszania się do czynnego rządu, doszedł był do granic Sudanu. Sfery dworskie, jak zawsze hojne w datku, wzięły sprawę do serca, sfery oficyalne nic zrobić nie chciały. Kiedy się misyonarze odwoływali do konsulatu, żądając jego opieki i pomocy, odpowiadano najczęściej, że rząd uczynić nic nie może ani się mięszać do spraw egipskich, że radzi zachowanie się biernie i niepodnoszenie niepotrzebnych kwestyj. Jestto zwyczajna formułka oficyalna. Potrzeba było publicznego gwałtu, by wymusić ujęcie się władzy; dla muzułmanów jestto dowodem, że Austrya swoich interesów w Egipcie bronić nie myśli, dla Koptów wskazówką, że na jej pomoc nic rachować nie mogą. W Luxor ajent konsularny jakich wielu na Wschodzie, prosty ale bystry kopt, oddał swój dom na kaplicę misyjną, własnym kosztem ją urządził, własne mieszkanie ofiarował Franciszkanom, sam uczęszcza regularnie na nabożeństwo, jest prawdziwym dobrodziejem zakonu, lecz abjuracyi uczynić nie chce. On się tłómaczy poprostu i praktycznie: wy nie macie za co postawić Kościoła, rząd wam ostatecznej opieki nie daje, z dnia na dzień będziecie musieli ztąd ustąpić, a ja zostanę sam bez księdza, bez kaplicy, wystawiony na prześladowanie patryarchy i władzy policyjnej. Kiedym mówił o tem delegatowi apostolskiemu na Egipt, człowiekowi wyższych zdolności, znającemu doskonale Wschód, a mającemu stosunki w Wiedniu, odpowiedział mi z wielką żałością: „Nie od dzisiaj, mój panie, polityka austryacka wyrządza i nam i sobie krzywdę. Przed trzydziestu niespełna laty, jeden z biskupów bośniackich jeździł do Wiednia skarżyć się na ucisk muzułmański i błagać o pośrednictwo Austryi. Książę Metternich najspokojniej go wysłuchał i z zimną krwią odpowiedział: „Jest na to rada daleko prostsza, niżeli wszystkie noty dyplomatyczne. O cóż chodzi? prześladują was dlatego, że jesteście chrześcijanami — nie prawda? No, to zostańcie muzułmanami i rzecz będzie raz na zawsze skończona.“ Bośniak muzułmaninem nie został, ale się zwrócił tam, zkąd nigdy napróżno pomocy nie żądał.

Element religijny na Wschodzie głównie przyczynił się do tego wpływu, jaki tam wywiera Rossya; jej zasługa, że go nie odrzuciła, jak państwa zachodnie,

i użyć umiała po mistrzowsku. By temu wpływowi dzisiaj zaporę położyć, potrzeba złączonych sił Europy; dzisiaj, gdziekolwiek panuje odszczepieństwo od Kościoła, gdziekolwiek powstanie ferment przeciw Rzymowi, tam Rossya ma zapewnionego sprzymierzeńca. Kto nie był na Wschodzie, ten nie może mieć pojęcia, jaką kolos północy umiał otoczyć się aureolą powagi, siły, wszechmocy na ogromnej przestrzeni Azyi i Afryki; w imaginacyi tego ludu musi on robić wrażenie niezwyciężonej potęgi, której poruszyć nie wolno, jakiegoś grzmiącego Jupitera, w którego mocy zatrząść całym światem. Dosyć spojrzeć na konsulaty rosyjskie, by się przekonać, że zajmują zupełnie wyłączne stanowisko i że stają na zdobytym gruncie, o który nie mają obawy. Co tylko jest kościołów schyzmatyckich: armeński, syryjski, chaldejski, grecki, wszystko to zostaje pod protektoratem Rossyi; nie zapomniano nawet o Koptach, których patryarchat swą czołobitność czuje się w obowiązku składać konsulatowi i zawiadamiać go o wyborach na wyższe posady duchowne. Opieka ta nieraz zaciężyła nawet schyzmatykom, bo opieka Rossyi znaczy często niewolę, ale ponieważ ona nigdy nie zawiodła chrześcijan wschodnich, nie odrzuciła nigdy ani moralnego poparcia. ani materyalnej pomocy, opieka ta nawet, gdy była niewolą, stawała się koniecznością wobec obojętności Europy. Ta opieka nad kościołem schyzmatyckim daleko więcej pomogła do wpływu Rossyi na Wschodzie, niżeli wszystkie jej kampanie: bronienie od wieku swego stanowiska u Grobu świętego i przewaga wywierana w Jerozolimie przez Greków, podniesienie do znaczenia kwestyi europejskiej sprawy klasztoru na górze Atos, rozwinięcie akcyi dyplomatycznej w Konstantynopolu dla podtrzymania odszczepieństwa Armeńskiego, są największemi zwycięstwami Rossyi. Gdy przed kilku laty, po śmierci patryarchy greckiego w Aleksandryi, przyszło do wielkich zaburzeń z powodu rozdziału ludu i duchowieństwa na dwa wrogie sobie obozy, chociaż jurysdykcya należała do Konstantynopola, sprawa oparła się o synod petersburgski, którego wyrokowi poddały się strony. Widziałem kiedyś Moskala, wchodzącego do św. Piotra tak pewnym krokiem, jakby przestępował progi Izaaka; w duszy pewno do siebie mówił: kiedyś i tutaj będziemy panować. Po tem, co się dzieje w Europie, dlaczego nie miał pomyśleć o Rzymie jako matce i głowie świętego prawosławia.

Wyboru dziś niema; albo Wschód cały należeć będzie do Rossyi, żyć jej życiem, służyć jej narzędziem i rozwijać schyzmę, albo Europa musi przyjąć kierunek Anglii i wspólnemi siłami stawić zaporę nowemu najazdowi. Polityka Anglii nie odznaczała się nigdy bezinteresownością; i dzisiaj dla własnych korzyści i własnego bezpieczeństwa pragnie swój protektorat rozciągnąć nad brzegiem afrykańskim; ale kiedy państwa katolickie straciły swą przewagę i stanowisko na Wschodzie, to muszą dobrowolnie przyjąć położenie, na które zasłużyły. „Żal mi Francyi, mówił O. Samuel, jej krwi. jej pracy, jej przemysłu. Kraj ten do niej należeć powinien, bo co tylko dobrego istnieje, jej talentem i jej kapitałem powstało: od wojen krzyżowych aż do kanału Suezkiego, od św. Ludwika aż do Lessepsa, Francya dawała mu ludzi, cywilizacyę, rozwój materyalny i instytucye. Dzisiaj owoc tych zabiegów, tej żywotności wiekowej narodu oddać będzie musiała w obce ręce. — Żal mi moich Włoch, których przeznaczeniem zdaje się było kolonizowanie Wschodu i roznoszenie po nim światła wiary; żal galer weneckich, genueńskich handlowych stosunków, sycylijskich morskich wypraw, po których ślad do dziś dnia pozostał nietylko tutaj, ale w głębi Afryki. A jednak takie nastały czasy, że dzisiaj zakonnik, missyonarz,

życzyć sobie musi panowania państwa niekatolickiego. ale jawnie przynajmniej chrześcijańskiego, które daje opiekę religii i broni jej praw, kiedy te. które były katolickie nawet wobec nieprzyjaciela odmawiają Kościołowi poparcia. Więcej doznaliśmy nieraz prześladowania od swoich, niżeli od wrogów, łatwiej może dałoby się walczyć przeciw islamowi samemu, niżeli przeciw niedowiarstwu zachodniemu, które podało rękę nowej szkole mahometańskiej — i stało się jej sprzymierzeńcem." — „Ktokolwiek panować będzie, mówił znowu młody ksiądz. kopt, już od lat kilku pracujący między swymi braćmi, po powrocie z Rzymu, dla nas zawsze będzie lepiej, niż dziś. Społeczeństwo nasze się zbogaca, dochodzi do znaczenia, ale nigdy się nie przerobi, nie podniesie moralnie, jeżeli nie wydostanie się z pod przewagi muzułmańskiej. Ciało i dusza nasza, dzieci i dobytek nasz do nich należą; jeżeli prześladowanie zwolniało, to, że na islam przyszły złe dni, ale gdyby poczuł się on nieco silniejszym, z większą jeszcze zapalczywością rzuciłby się na nas. My nie będziemy mieli spokoju, nie odżyjemy, dopóki Egipt nie przejdzie w ręce chrześcijańskie; ale gdyby zapanowała Rossya, społeczeństwo nasze rzuciłoby się w objęcia schyzmy i raz na zawsze zostałoby stracone dla Kościoła."



LISTY Z RZYMU.

IX.

(Uroczystość otworzenia nowego domu kollegium polskiego — Dawny gmach — J. Em. kardynał Monaco la Valleta, Mgr. Cicollini i Terroni — Toast O. Semeneńki — Mowa Mgr. Cicollini'ego — *Zmiany w kollegium rzymskiem* — Katedry filozofii i teologii — O Mazzella — Liczba słuchaczów — Kongres katolików Lombardzkich — Liga O'Connella — Zdanía o wzięciu udziału w wyborach — *Unità Cattolica* — Ojciec Św. Leon XIII — O układach z Berlinem — Zetknięcie się Ojca Świętego z katolikami niemieckimi — Ś. p. kardynał Franchi — Gabinet p. Cairoli).

Rzym 11 Listopada 1878.

W Poniedziałek 4go Listopada, w święto św. Karola Boromeusza, odbyła się serdeczna i wesoła uroczystość otworzenia nowego gmachu kollegium polskiego w Rzymie. Z dawnego domu na *via Salara Vecchia* dość szczupłego i nie we wszystkiem dogodnego, musiało się kollegium wynosić, raz dla tego, że jeden ze starych murów zdawał się grozić ruiną, a potem, że nastąpiło wywłaszczenie przymusowe przez municypium, z powodu mającej się tamtędy prowadzić nowej ulicy. Wynagrodzenie przyznane, acz powróciło włożony kapitał, dosięgało zaledwie małej części tej kwoty, która była niezbędną do nabycia i urządzenia lokalu nowego. Było więc trudności dużo, i dziś jeszcze daleko do tego, by środki materyalne odpowiadały potrzebom. Ale za Bożą pomocą znalazł i nabył się dom wygodny, od dawnego o wiele obszerniejszy, w najlepszem położeniu, aż do czasów rewolucyi francuzkiej własność konwentu zakonników Maro-

nickich, na ulicy od nich *via dei Maroniti* zwanej, później i aż dotąd zostający w rękach prywatnych. Jest tam i kościołek, lubo już od dawna zamieniony na składy i komory, lecz mogący być z czasem wyrestaurowany; jest i niewielki ogród. Tam więc po niezbędnych przez lato dokonanych wewnętrznych urządzeniach przeniosło się od wakacyj, to jest przed kilkunastu dniami, polskie kollegium.

Uroczystość otwarcia (a był to właśnie dzień imienin jednego z najzasłużeńszych przełożonych kollegium, Ojca Karola Grabowskiego) rozpoczęto od wotywy, odśpiewanej przez alumnów. Około południa przybył ukochany od Ojców i od młodzieży, i w całem tego słowa znaczeniu ojcowski Protektor polskiego kollegium, Kardynał-Wikaryusz Rzymu Monaco la Valleta. Młodzież przywitała go śpiewem liturgicznym: *Ecce Sacerdos magnus*, po czem Kardynał podług obrzędu kościelnego poświęcił wszystkie części lokalu. Nakoniec wszyscy zasiedli do serdecznej biesiady, na której prócz Kardynała byli ksiądz monsignor Ciccolini, dawny przyjaciel OO. Zmartwychwstańców i pierwszy szambelan papiezki; ks. mgr. Torroni, rektor bratniego nam (bo tam wychowuje się kilku młodych unitów z Galicyi) kollegium greckiego; ks. Meszczyński, kapelan i reprezentant naszego Kardynała-Prymasa Ledóchowskiego, który, jak wiadomo, nigdy Watykanu nie opuszcza; kilku Ojców Zgromadzenia Zmartwychwstańców i innych gości duchownych i świeckich. Przy końcu obiadu O. Piotr Semeneńko wniósł toast na cześć Ojca Świętego Leona XIII; dodał serdecznie i prawdziwie, że najcenniejszym darem zmarłego Papieża dla polskiego kollegium było nadanie mu za opiekuna i orędownika kardynała Monaco la Valleta. Odpowiedzią na ten toast było dłuższe już przemówienie mgra Ciccolini, pełne czci dla Polski, o której powiedział, że „niegdyś tak sławna i wielka, później cierpieniem szanowna, kto wie, czy w oczach Boga i chrześcijańskiego sumienia, dzisiaj, gdy znosi męczeństwo za wiarę, a w duchu i w prawdzie katolickiej się odradza, nie jest jeszcze większą moralnie, niż w chwilach swej politycznej świetności?“ Potem znaczącemi i pełnemi rzymskiej powagi słowami wypowiedział, jak wielką jest dla Polski doniosłość a dla Stolicy Świętej pociecha z coraz liczniejszego przybywania młodzieży polskiej do Rzymu, gdzie ognisko katolickiego ducha, katolickiej wiedzy, powszechno-kościelnej tradycyi, gdzie pod skrzydłami Namiestnika Chrystusowego najłatwiej jest młodym kapłanom nabyć tego hartu duszy, tej apostolskiej żarliwości w zapasach ze złem i z fałszem, tak za dni naszych niezbędnej. „A więc w uznaniu tego

co już zrobione, a w nadziei coraz obfitszych owoców na chwałę Boga, na dobro Kościoła i na zaszczyt Polski, wnoszę, zacna młodzieży, zdrowie wasze, zdrowie waszych najlepszych i najzasłużeńszych Przełożonych Ojców Zmartwychwstania Pańskiego, zdrowie całego narodu polskiego!" Po obiedzie młodzież kollegialna odśpiewała ładną kompozycyę jednego z pomiędzy siebie na słowa Psalmu: *Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam.* Na zakończenie zebrania przybył jeszcze mgr. Cretoni, substytut kardynała Niny, Sekretarza Stanu, i wraz z innymi gośćmi posłuchał rzewnego narodowego śpiewu: *Boże coś Polskę*, którego niegdyś tak na naszej ziemi nadużywano, a który dziś, z fałszywych, rewolucyjnych oczyszczony naleciałości, bodaj czy nie ostatni znalazł przytułek u tych, których pewni ludzie tak namiętnie o brak patryotyzmu oskarżali, a którzy przechowają, i da Pan Bóg, za przyczyną Maryi Królowej Polski i pod cieniem miłości ojcowskiej Piotra świętego Stolicy, rozwiną myśl i zamiar Boży nad biednym, lecz dzięki Bogu pełnym zasobów żywotnych naszym narodem. Młodzieży wychowującej się w kollegium jest obecnie 17. Nie wiele to jeszcze zapewne, lecz pamiętajmy, że zaczęło się od trzech, czy czterech, a lubo przez ciernie i krzyżyki, *foris pugnas, intus timores*, jednak sprawdza się nad tem dziełem serca Piusa IX, ofiar, prac i modlitw pierwszych Ojców Zmartwychwstania Pańskiego to, co, żegnając się z O. Piotrem Semeneńką i jego zakonnymi synami, powiedział kardynał Monaco: „Bóg wam widocznie błogosławił i błogosławi".

Nazajutrz 5go rozpoczynał się w Kollegium rzymskiem rok szkolny. Zmiany zaszłe w obsadzeniu głównych katedr świadczą, że podług życzeń Ojca Świętego nastąpił w metodzie i w kierunku nauczania zwrot ku świętemu Tomaszowi. Za podręcznik w wykładzie logiki, antropologii, ontologli i teodycei przyjęto, za porozumieniem się z władzą wyższą kościelną, dzieła Liberatorego, jednego z restauratorów filozofii chrześcijańskiej we Włoszech. Dotychczasowy profesor tych przedmiotów O. Caretti, w wielu punktach z Liberatorem nie zgadzający się, objął katedrę etyki czyli filozofii moralnej, w której już i dawniej celował. Na wydziale teologicznym katedra dogmatyki O. Franzelina, od czasu wyniesienia tegoż na godność kardynalską w 1876 roku, ostatecznie obsadzoną nie była; posługiwano się zastępcami. Teraz przybył z Ameryki i objął ją znany w świecie specyalnym teolog O. Mazzella, od lat kilkunastu profesor dogmatyki w jednem z kollegiów OO. Jezuitów w Stanach Zjedno-

czonych. Zaraz po kilku lekcyach zwrócił uwagę słuchaczów ścisłością, jasnością, wyborną metodą wykładu widocznie w Sumie świętego Tomasza zaczerpniętą. Słuchający, gdy ma sobie od razu w każdej kwestyi wskazany cel, początek i środki podjętego badania, wie, dokąd idzie i jaką idzie drogą. Nie mówiąc już o bezpośrednim pożytku teologicznej wiedzy, łacniej i gruntowniej w ten sposób nabytej, któż nie widzi jak wyborną szkołą porządnego myślenia, a więc pośrednio i porządnego działania jest metoda scholastyczna? Ileżby to obłędów, ile niekonsekwencyj, ile nieporozumień i wynikających ztąd kwasów i rozdwojeń uniknęli ludzie, gdyby jasno na rzeczy patrzeć, ściśle rozumować, trzeźwo rozważać i silnie postanawiać byli nauczeni!

Liczba słuchaczów rzymskiego kollegium wzrasta corocznie, i lokal szkolny seminaryum niemieckiego, dokąd jego professorowie w skutek zabrania gmachu własnego przez liberalnych krzewicieli *światła*, *wiedzy i postępu nauk* (sic) schronić się byli zmuszeni, już okazuje się za ciasnym. A właśnie przybyło nowe kollegium lombardzkie czyli śś. Ambrożego i Karola Boromeusza, dla młodzieży duchownej z Włoch północnych, otwarte temi dniami przy kościele św. Karola, pod opieką kardynała Borromeo, członka tegoż samego co św. Karol, w dziejach Kościoła tak uświetnionego rodu. Alumni tego nowego zakładu także do *Collegium romanum* uczęszczają.

W dniach 20 i 30 zeszłego miesiąca odbył sie w Bergamo zjazd czyli kongres prowincyonalny katolików lombardzkich. Zdaje się że nieobecność na nim komandora Acquaderni, prezesa bolońskiej federacyi stowarzyszeń katolickich, któremu choroba przybyć nie pozwoliła dla objęcia przewodnictwa, dała się nieco uczuć temu zebraniu, złożonemu z około 250 członków. Mimo to zdawano sprawę z czynności przedsięwziętych, i rozbierano kilka nie bez interesu przedmiotów, jakoto: zakładanie komitetów katolickich dyecezyalnych i parafialnych, rozwój stowarzyszeń rzemieślniczo-robotniczych, grosz Piotrowy, zachowywanie odpoczynku w niedziele i święta, prasa katolicka, pomoc naukowa młodzieży sposobiącej się do stanu duchownego, rozwój tak ligi O'Connella ku uzyskaniu i obronie wolności katolickiego wychowania. Wszystko to są rzeczy, nietylko dla Włoch ważne, owszem sprawy europejsko-społecznej doniosłości wobec zalewu złego, który się ustawicznie wznosi, wobec ucisku sumień i Stolicy Apostolskiej, wobec złych szkół i dzienników, szerzących zewsząd zepsucie. Co do mnie wszakże wyznaję, a Boże daj, by to tylko osobiste było wrażenie, że tak jak nasze polskie

katolickie manifestacye, wydają się być raczej wybuchami chwilowego uczucia niż rdzennym owocem poważnej już i wytrwałej katolicko-społecznej pracy, podobnie i włoskie tego rodzaju zebrania mają cechę więcej akademicką i oratorską niż charakter dzielnego i mozolnego czynu. Ale dzięki Bogu i za te początki odrodzenia.

Odrodzenie to długoby na siebie czekać nie dało, gdyby wszyscy oświeceni i wpływowi katolicy tak pracowali jak wspólny nasz Ojciec Leon XIII. Ta gorliwa Jego działalność, to zachęcanie własnym przykładem do czynu na pożytek Kościoła, pobudziło wielu katolików włoskich do wznowienia pytania, czy nie wypada brać udziału w wyborach nietylko już municypalnych i prowincyonalnych, ale i politycznych do parlamentu? Pojawiły się różne zdania za i przeciw, nawet po znaczniejszych dziennikach jak np. w wybornej turyńskiej *Unità Cattolica*. Ale pytanie to zbyt jest skomplikowane, by Ojciec Święty miał już teraz dawać katolikom włoskim wyraźną jakąś wskazówkę, i z Jego zdaje się polecenia *Osservatore Romanno* oświadczył temi dniami, że Papież niczem nie dał powodu do mniemania, jakoby zalecał zmianę dotychczasowego abstencyjnego katolików przy przy wyborach politycznych stanowiska. Chodzi o to, czy ma cel głosowanie na posłów katolickich, skoro w razie wyboru posłowie ci nie mogliby składać wymaganej przez ustawę konstytucyjną przysięgi politycznej? Bo w tym ostatnim punkcie, to jest, że wybranego ewentualnie posła jedynym obowiązkiem byłoby publicznie przysięgi odmówić i, zaprotestowawszy, Izbę opuścić, zgadzają się bezwarunkowo, przynajmniej co do prowincyj byłego państwa kościelnego, wszyscy katolicy. Lecz jedni utrzymują, że skoro tak jest, lepiej wcale nie głosować, by wyborców katolickich nie oswajać z błędnem mniemaniem, jakoby godziło się uznać dzisiejsze rządy; inni przeciwnie twierdzą, że ruch wyborczy ożywiłby katolicką społeczną działalność, a takie protestacye posłów przeciw najazdowi miałyby wielką doniosłość. Co do mnie, wyznaję, że nie dość znam istotny stan umysłów we Włoszech, by mieć stanowcze w tej mierze zdanie. To pewna, że raz wstąpiwszy w szranki, należałoby walczyć na polu politycznem z wcale inną niż dzisiejsza tutejszych katolików energią, i z heroiczną niemal stałością zasad i konsekwencyą czynów występować. Inaczej łacno zdemoralizowałaby się ta masa poczciwej, wierzącej, Papieża kochającej tutejszej ludności, i zostałaby może pastwą politycznych przekupstw i niegodziwych wyborczych intryg lóż massońskich, które dzisiaj jeszcze jako tako wypuszczają przeważną część ludu pro-

stego ze swej korupcyjnej propagandy, lecz wnetby się na nią rzuciły, gdyby ten lud przez własnych swoich przewodników, wiejskich kapłanów i rodziny katolickie, którym ufa, do urn wyborczych poprowadzony został.

O układach z Berlinem wiedzą ci, co je prowadzą, i dobrze niedawno napisał korespondent z Rzymu do *Czasu*, że w złudzeniu jest ten, kto mniema, że się od dyskretnej, bo pojmującej całą wagę chrześcijańskiej w tak drażliwych rzeczach roztropności, papiezkiej dyplomacyi dowie czegoś więcej nad to, co Sekretaryat Stanu chce i może powiedzieć. Lecz z drugiej strony każdy pewnym być może, że to, co mu powiedzą, jest szczerą prawdą: Rzym papiezki umie milczeć, kłamać nie umie. I dlatego poprzestanę na udzieleniu wam dwóch wskazówek pewnych, bo więcej nic nie wiem. Jedną jest, że jeżeli istotnie prawdą było, iż Ojciec Św. dotychczas może niedostatecznie był obeznany z istotnym stanem rzeczy w Berlinie, a mianowicie z powodami odpornego stanowiska, zajmowanego przez centrum, to temi właśnie dniami nastąpiły osobiste zetknięcia się pomiędzy Nim a katolikami niemieckimi takie, że wszelkie rozwiać powinny wątpliwości i nieporozumienia. Za co Bogu bądź chwała, bo istotnie śmierć kardynała Franchi, obznajomionego, jak mało kto, z dzisiejszym *terrain* dyplomatycznym, dała się uczuć z wielu względów, i następca jego, lubo zdolny i bystry, nie dziw, że nie odrazu objął wszystko, co na tem stanowisku tylko dłuższe doświadczenie dać może. Drugą wskazówką jest, że układy, lubo nieprzerwane, zapewne dość długo pociągną, bo może łatwiejsza sprawa z samym Bismarkiem, niż z napół zdziecinniałym, ale właśnie dlatego tem upartszym, starym cesarzem Wilhelmem, dla którego dogmatem jego wiary stało się przekonanie, że on ma od Boga prawo rządów nad sumieniami i kościelnemi stosunkami wszystkich swoich poddanych.

Pozwólcie, że codziennym dziennikom zostawię domysły i rozumowania nad tem, czy tutejszy rząd na stronę Anglii i Francyi, czy na stronę Prus i Rossyi się przechyla. Jedno jest pewne, to że gabinet Cairoli, dotychczas nie mając zapewnionej w parlamencie większości, swoje, to jest rewolucyjne stronnictwo (którego frakcya z Nicoterą na czele popierać go nie chce) straszy Anglią i Austryą, króla i *consortów* republiką, poselstwu niemieckiemu obiecuje wszystko, ale w gruncie jedna tylko demagogiczna, głównie zaś anti-kościelna z radykałami Francyi, Hiszpanii i Belgii republikańska federacya dogadzałaby jego nienawiściom. Jest to wstrętny i bezecny rozstrój,

słuszna zresztą kara za samolubstwo klas posiadających i używających, co przyklaskują obdzieraniu Kościoła i instytutów, przez Kościół dla ludu powznoszonych, a ockną się może dopiero, gdy rozszalałe tłumy do ich majątków, do ich rodzin i osób się wezmą. *Videant ipsi....*

K. T.

LISTY Z WIEDNIA.

Wiedeń 5 Listopada 1878.

VIII.

(Pogląd na ubiegłą kadencyę sejmową — Szkoły — Lichwa — Zapomoga dla pijawek — Przesilenia ministeryalne — Kluby — Baron de Pretis — Hr. Andrassy — Rada państwa — Rozprawa adresowa — Z dziedziny szkolnictwa — Nowe kościoły — Starokatolicy — Dwie miary i wagi — Skandaliczny proces — Książki — Żarcik całkiem autentyczny).

Tegoroczne posiedzenia sejmowe nie małej były doniosłości. Prawie wszystkie sejmy zajęły się spisaniem inwentarza owych zdobyczy, jakie liberalizm, gospodarując z górą 18 lat, nagromadził. Inwentarz nad wyraz nędzny. Szkoła bezwyznaniowa i cały bazar niedorzecznych „wolności" w dziedzinie ekonomicznej, oto jedyne zdobycze, okupione powszechnem niezadowoleniem, i z roku na rok wzmagającym się niedoborem. Z wyjątkiem owych względnie nielicznych jednostek, przeważnie semickiego pochodzenia, którzy gardłując za liberalizmem, sprytnie upiekli dla siebie pieczeń — napełnili bowiem swą kieszeń, a drudzy i order w dodatku otrzymali, to natomiast olbrzymia większość zgadza się na to, iż liberalne doktryny, zastosowane do różnych gałęzi i prywatnego i publicznego życia, najsmutniejsze wydały następstwa. Wszyscy niemal nie widzą już żadnego innego z tej kabały wyjścia, jak tylko w powrocie do tych tak wyszydzanych zachowawczo-klerykalnych zasad. Rządy szumnych frazesów i zręcznie obliczonego wyzyskiwania ludów, są już na schyłku. Chmurka, jaka przed trzema laty zasępiła błękit liberalizmu, urosła do dziś dnia w gromową zapowiedź burzy, tak, iż liberalizm bezsprzecznie stanął już u granicy nazwanej początkiem swego końca.

Prąd konserwatywny, jaki ożywiał tegoroczne obrady sejmowe, jest pod tym względem wielce wymowną wskazówką. Liberalizm widocznie zwija żagle, już zniedołężniał, kiedy sam nawet sejm wiedeński, zostający pod ścisłą a nieubłaganą kontrolą massońskiego dziennikarstwa, dał posłuch skargom ludności na niepraktyczność nowych ustaw szkolnych, i na uprawniony rozbój lichwiarski.

Wydział szkolny tegoż sejmu, którego przewodniczącym, nawiasem powiedziawszy, był w katolickiej Austryi żyd Kuranda, a sprawozdawcą protestant Suess, wbrew swym dawnym zapatrywaniom, wzywa rząd do zaradzenia, aby ludność nie ponosiła tyle ciężarów na szkoły, aby ustał rygor prawny ośmioletniej nauki szkolnej, aby te i tym podobne, wstecznictwem trącące

zaprowadzono reformy. Zaprawdę litość bierze, spoglądając na tych Szawłów liberalizmu, występujących w roli Pawłów, nawróconych do zasad konserwatywnych.

Wybory sejmowe pouczyły baszów gospodarki liberalnej, iż lud zaczyna przecierać oczy, iż im się grunt usuwa pod nogami, z konieczności więc trzeba zrobić cnotę, trzeba przywdziać maskę konserwatywną, aby z kretesem nie przegrać sprawy z wyborcami. Daremne wysiłki! Czego się nadal liberalizm spodziewać może, skoro się raz poznano na jego farbowanem futerku, to wyraźnie wypowiada *Hietzinger Bezirksbote*. Dziennik ten, lubo niepokaźny, lecz wielce rozpowszechniony i poświęcony interesom mieszczaństwa i stanu włościańskiego, podaje w ostatnim swym numerze, jako dyrektywę dla przyszłych jakichkolwiek wyborów parlamentarnych, to hasło, niby drugie *Carthaginem delendam esse*: trzeba raz koniec stanowczy położyć uzurpowanej gospodarce spanoszonych adwokatów i uszlachconych żydków, inaczej nie będzie dobrze w monarchii.

Inna znowu komisya tegoż arcyliberalnego wiedeńskiego Sejmu, który do niedawna uważał, jako niezbędny warunek dobrobytu, całkiem swobodny, niczem nieograniczony ruch kapitałów, czyli mówiąc po prostu bez ornamentyki liberalnej, upoważniała bezkarność wyzyskiwania lichwiarskiego, nagle rzuciła do kosza ten swój dogmat ekonomicznej pomyślności, upraszając prawie w jednogłośnej uchwale rząd, aby tenże proklamował na lichwę stan oblężenia, zaprowadzając ustawę podobną i dla niższej Austryi, jaka już weszła w życie dla galicyjskich Szyloków.

Wydawany przez buczackiego żydka *Tagblatt*, omawiając tę uchwałę sejmową z kwaskowatą miną, lituje się nad ludnością włościańską w Galicyi, przywiedzioną przez lichwę do kija żebraczego, i litościwy p. Szeps doradza rządowi, aby zapomogą kilkumilionową podał rękę ratunku nędzarzom. Misterny to i wielce dyplomatyczny projekt. Współwyznawcy p. Szepsa, wytworzywszy nietylko w Galicyi lecz i w innych prowincyach proletaryat włościański, drżą na samą myśl jakiej katastrofy ze strony zrozpaczonych, i niech przeto z kas państwowych spłynie subwencya, a Szyloków będzie wygrana, i materyał świeży znajdzie się do wyzyskiwania, i niebezpieczeństwo grożące cnej tej rasie zostanie zażegnane. Zdaniem atoli ludzi, dalekich od *Tagblattu*, nierównie praktyczniej, zamiast zapomogą kilkumilionową, należy posypać te pijawki solą §§ kodeksu karnego. Tego się domagał właśnie Sejm wiedeński, i to też niezawodnie przeprowadzić zdoła.

Z dwóch tych atoli uchwał Sejmu wiedeńskiego, świadczących o pewnem wyzwoleniu się z pod teroryzmu prasy liberalnej, jak niemniej o zdrowszem zapatrywaniu się na obłożnie schorzałe stosunki w dziedzinie szkolnictwa i ekonomicznej, z tych uchwał, nie grzesząc optymizmem, śmiało, zdaje mi się mogę wywnioskować, iż w polityce wewnętrznej monarchii zaczyna świtać, zanosi się na zwrot ku lepszemu. Czy atoli ten przedświt zamieni się w pełny dzień, czy słońce zaledwie wychylone nie skryje się znowu za grube, czarne chmury, to do przyszłości należy.

Niegdyś, przyszłościowy prezes ministrów, a obecnie tylko jeszcze minister finansów baron de Pretis, pocieszając zrozpaczone „krachem“ serca,

prorokował w parlamencie, iż będzie lepiej; co do mnie zaś nie bawiąc się w takiego, niestety, *ut eventus docuit*, prawdziwego proroka, tyle tylko nadmienię, iż przy pomocy Bożej będzie kiedyś lepiej! Tak przy pomocy Bożej, ale, jak ubiegłe posiedzenia sejmowe wskazują, nie bez gorliwego współdziałania wszystkich czynników, powołanych do tej w kierunku zachowawczo-religijnym reformatorskiej pracy.

* * *

Wzmianka powyżej uczyniona o ministrze finansów, nasuwa mi kilka uwag o trwającej dotąd jeszcze kryzys gabinetowej. Ministerstwo Lasser, nazwane Auersperg, skazane na pogrzebanie. Szkoda, że z gabinetem nie zstąpią także do grobu i wiekopomne dzieła tegoż, jak np. owe sprawiedliwe wybory bezpośrednie, ów równie godziwy, *suaviter in modo*, *fortiter in re*, *Kulturkampf*, ów rozkwit papierów wartościowych bez wartości itd. Jak długo system liberalny stanowi abecadło sztuki rządzenia, tak długo mniejsza o osoby i nazwiska, które ten system w radzie korony reprezentują. Farsa co do treści pozostanie jedna i ta sama, a będzie to tylko zmiana osób. Z tego też powodu przyjęcie dymisyi gabinetu Auersperga, przy równoczesnem poruczeniu baronowi de Pretis utworzenia nowego gabinetu, jako nie zwiastujące zmiany systemu, powitano w kołach zachowawczych obojętnie, i z pewnem ironicznem zdziwieniem, dlaczego ci panowie, porzucając fotele ministeryalne, nie mają ochoty i nadal uszczęśliwiać monarchii swemi rządami?

Koterye liberalne mogą być spokojne, po sukcesyę gabinetu Lasserowskiego, po sukcesyę chaosu z jedynym inwentarzem obdłużonego budżetu, i niezadowolonych ludów, nie zgłosi się nikt z feudałów ani klerykałów. Możeby to im było na rękę, aby gabinet konserwatywny, przyszedłszy teraz do steru, i zużywszy swe siły i talenta na wymiataniu liberalnej stajni Augiaszowej, zdyskredytował się w opinii publicznej, iż doraźnie nie potrafił naprawić tego, co długie lata liberalizmu burzył; możeby to zdyskredytowanie zachowawczych żywiołów posłużyło im jako dzielny środek agitacyjny do przyszłorocznych wyborów do Rady państwa, i do tym silniejszego zainstalowania rządów liberalnych; gabinet przeto konserwatywny, nie chcąc wyciągać kasztanów dla liberałów, nie przyjdzie już tym razem do skutkn.

* * *

Niemniej pewną jest rzeczą, że i p. de Pretis, pomimo zadąsanych na siebie klubów centralistycznych, znajdzie w końcu amatorów do osieroconych tek ministeryalnych. Drogocenne perły są już pozyskane dla przyszłego gabinetu. Panowie Stremayer i Chlumecky mają wejść do nowego ministerstwa. Pozyskane jest także moralne poparcie sławetnego dziennika *Neue Fr. Presse*, co równie całkiem naturalne. Mówią, że p. de Pretis cieszy się tak wielkim mirem u semickich bankierów, tak go oni kochają, iż z nadmiaru miłości pragną i nadal zachować go na dnie swoich kieszeni. O kandydatów do tek ministeryalnych nie będzie wcale boleć p. de Pretisa głowa, to też dziwić się należy, iż się naraz rozchorował. Ale bo też herkulesowa była jego praca. Wszystkie kluby centralistyczne: i lewica, i lewy środek, i klub postępowy stary, i postępowy świeżo upieczony, nuż się bawić w oppozycyę; p. de Pre-

tis tłómaczy się z zarzutów, zachwala swój program, składa się jak scyzoryk, grozi federalizmem, błaga o zaufanie, wszystko na próżno. Najkomiczniejsza była rola świętojurców: odmówić ministrowi zaufania, na to nie pozwala zmysł serwilistyczny, sprzeniewierzyć się centralistom i to rzecz niebezpieczna. Z tej arcyniemiłej sytuacyi wybrnęli ci politycy w ten sposób, iż zabawili się na tych kilka godzin w głuchoniemych. Baron de Pretis po nieudałej próbie z swą gwardyą centralistyczną, nie zwątpił przecie, iż mu w końcu uda się wśrubować w jej łaski i względy, zaniechał więc chwilowo klejenia gabinetu, oczekując, aż opozycya nasarkawszy się do syta, wróci znowu potulnie do centralistyczno-liberalnego bigosu.

Prezes gabinetu książę Auersperg ściagnął na swą głowę wielką klątwę liberałów. Książę w pogadance z jednym dziennikarzem miał się wyrazić, iż wrzekomi reprezentanci ludu w parlamencie mają taryfę na swe głosowanie, czyli zarzucił im poprostu sprzedajność. Zarzut to wielce ciężkiego kalibru. Później zaklinał się, że jako żywo czegoś podobnego nigdy nie powiedział, redaktor znowu obstawał przy swem twierdzeniu, sprawa wytoczyła się nawet przed Radą państwa, i tam ją ubito przejściem do porządku dziennego nad dotyczącą interpelacyą. Czy tak dobrze się stało, nie myślę rozbierać, lecz sądzę, iż choć odrobina prawdy jest w tem przysłowiu, iż nie ma dymu bez ognia; parlament cislitawski, szanując sam siebie, powinien był się domagać, aby tę sprawę zbadano wszechstronnie. Nie uczyniwszy tego, nasuwa domysł, jakoby się obawiał podobnego śledztwa. Najgorzej na tem atoli wyszedł książę Auersperg, stał się bowiem w obozie centralistów bardziej znienawidzonym, niż sam Hohenwart, niż nawet Belcredi.

Równie w niełasce klubów centralistycznych jest i hr. Andrassy. Nie myślę bronić tego madziarskiego męża stanu, ani też jego polityki brać w obronę; niesympatyczna to dla nas osobistość, bo komuż nieznana jego przypowieść o owsie i batogu, jaką brutalnie zbył słuszne domaganie się Polaków, komuż nieznane jego bałwochwalstwo dla rycerza żelaza i krwi, siły przed prawem i tym podobnych maksym? mimo tego przyznać jednak należy, iż hr. Andrassy na tę nienawiść właśnie ze strony centralistów wcale nie zasłużył, on to bowiem, jako główny filar ustroju dualistycznego utrzymuje tę koteryę centralistyczną dotąd jeszcze przy sterze państwa. Hr. Andrassy świadom tego, bagatelizuje parlament cislitawski, nie spowiada się przed nim z celów swej polityki zagranicznej, a nadto, jako madziar, otoczył się w swem ministerstwie samymi Węgrami, *inde irae.*

* * *

Cechę tego gniewu centralistów na hr. Andrassego, nosi także adres centralistów do korony, uchwalony właśnie w Radzie panstwa. Projektowicze tego adresu, uderzając niby na politykę okupacyjną, właściwie idą jak studenciki ze skargą do cesarza, że ten niegodziwy Andrassy parlament cislitawski uważa mniej więcej za piąte koło wozu państwowego.

Rozprawa adresowa trwała dwa dni. Z Koła polskiego przemawiał dr. Grocholski przeciw. Sicicińscy zaś delegacyjni pp. Wolski i Hausner za adresem. Jakieś fatum prześladuje trzeciego secesyonistę p. Skrzyńskiego; lubo figurował na liście mówców, znowu nie przyszedł do głosu. P. Hausner zebrał mnóstwo oklasków. Cała ta wrzawa adresowa była bezpotrzebną i po-

zostanie też bez żadnego rezultatu. Hr. Andrassy złoży sprawozdanie ze swej polityki zagranicznej w delegacyach, a Rada państwa pozostanie i nadal maszyną potulną do uchwalania podatków, i do pokrywania wydatków na różne eksperymenta okupacyjne. Pojutrze już zbierają się delegacye wspólne w Peszcie, z tego powodu i Rada państwa odroczona została na mniej więcej dwa tygodnie. Pocieszająca to nowina dla ludów i krajów. Wielką albowiem wypowiedział niegdyś prawdę ś. p. Kardynał Rauscher, iż ludy monarchii lękają się, ilekroć zbiera się znowu Rada państwa. I w istocie, jak zwykle, tak i tym razem z uchwał dogorywającej Rady państwa wypłynie nic co innego, tylko to jedno dla kieszeni opodatkowanych wielce groźne słówko: płaćcie! Kiedyż to będzie już raz lepiej?

* * *

Że w dziedzinie szkolnictwa nie jest lepiej, to rzecz wiadoma. Świadczą o tem znów tegoroczne obrady sejmowe, powołujące się na statystyczne wykazy. Pomimo ośmioletniej obowiązkowej nauki szkolnej, liczba umiejących czytać i pisać z każdym rokiem zamiast ubywać, zwiększa się. Gdy w roku 1873 na stu 74 umiało czytać i pisać, to w roku 1878 posiada tę umiejętność zaledwie 72 na stu. Dziatwę szkolną przeciążają bez potrzeby wieloma wiadomościami, na co, nawiasem powiedziawszy, gorzko użalają się rodzice, a natomiast zaniedbywana bywa najpotrzebniejsza nauka czytania i pisania. Krom tego niemałą plagą stała się zwłaszcza dla gmin biedniejszych formalna epidemia budowania nie szkół, lecz pałaców szkolnych. Tej choroby śmiesznej i szkodliwej wielce jeden tylko przykład.

Miasto Eger w Czechach wybudywało szkołę ludową i wydziałową z takim przepychem i w takich rozmiarach, iż w porównaniu z nią niejeden uniwersytet wygląda tak niepokaźnie jak budka sodowa. Nie dość na tem; między oknami pierwszego i drugiego piętra na froncie wypisano cały katalog różnych znakomitości w różnych gałęziach wiedzy. Każdą gałęź reprezentuje pięć nazwisk: tak retoryka: Demostenes, Cato, Vocz, Engel; gramatyka: Reuchlin, Campe; filologia: Plutarch, Heinsis, Bähr; stylistyka: Cicero, Adelung; muzyka: Pindar, Palestrina, Mozart, Beethoven, dalej z kolei malarstwo, plastyka, architektura, poezya, mineralogia, botanika, zoologia, chemia, fizyka geometrya, astronomia, matematyka, mechanika, nautyka, medycyna, technika, filozofia, dyplomacya, geografia, historya, statystyka, taktyka i do tego dołączonych przeszło 140 różnych nazwisk. Jest atoli i teologia, a reprezentanci jej to krom łaskawie umieszczonego Augustyna i Tertuliana takie znakomitości jak Lutter i Baur. W towarzystwie dwóch ostatnich wielkości na śmiało mogliby figurować jako teolodzy pp. Wolter, Russo, Strauss i Renan. Konia z rzędem temu, kto mi rozwiąże tę zagadkę, *cui bono* błyszczy ta cała litania nazwisk, wyjęta z encyklopedyi na frontonie szkoły?

Wyrzucono krocie na ten jak i na inne budynki szkolne, gminy się pozadłużały, a do tego wszystkiego prawo własności gmin do szkół zostało rozporządzeniem ministerstwa z dnia 12 grudnia 1877 w wysokim stopniu zawarunkowane. W sejmie czeskim były minister Irecek w wymownych słowach stawał w obronie gmin przeciw obmyślonemu przez ministerstwo wywłaszczeniu. Warcoby, aby i w innych krajach koronnych zajęto się rozbio-

rem pytania: czyją własnością jest szkoła? Ustawodawstwo austryackie nic w tym względzie nie orzeka stanowczego, a gdyby rozporządzenia ministeryalne utrzymało się w całej mocy, gminy będą na śmiało mogły powtórzyć ową zwrotkę: *sic vos, non vobis!*

Praktyczniejszą nierównie od gmin, wznoszących gmachy szkolne własnym nakładem okazała się rada miejska w Presburgu. P. minister obiecał miastu temu uniwersytet. Zkad wziąć lokal odpowiedni f Ale od czegoż znowu pałac arcybiskupi. Deputacya przeto złożona z 13 katolików, 8 protestantów i 2 żydów staje przed kardynałem-prymasem z tą malutką prośbą. czyby nie zechciał w mowie będący pałac darować na uniwersytet do tego jeszcze bezwyznaniowy? Dostojnik kościoła, wysłuchawszy cierpliwie tych komunalnych socyalistów, te mniej więcej odrzekł słowa, iż tego nigdy nie uczyni, gdyż przysięgę złożył na to, iż cały majątek biskupstwa, w niczem nieuszczuplony przekaże swemu następcy. Deputacya wróciwszy z niczem, postanowiła zemścić się na prymasie i zemszczono się. Prasa żydowsko-liberalna miota gromy na księdza kardynała, oskarżając go o... nie tolerancyę. Dać się obedrzeć z własności, której się nie jest nawet *in stricto sensu* właścicielem, lecz li tylko dożywotnim włodarzem, takiej tolerancyj wyznawcami, to chyba tylko nihiliści i spowinowacony z nim liberalizm.

Wracając do wydatków gminnych na szkoły, przypomina nam się ta znana prawda: Tam, gdzie więcej przemysłu, tem więcej domów dla ubogich; im więcej praw, tem więcej zbrodni, im więcej liberalnej oświaty, tem więcej kryminałów, im więcej rycerzy giełdowych, tem więcej pauperyzmu.... owóż do szeregu tych prawd zdaje się jedna jeszcze więcej w Austro-Węgrzech przybywać: im wspanialsze wznoszą się gminne gmachy szkolne, tem znakomitsze także długi gminy.

* * *

Wiedniowi przybył jeden dom Boży więcej. Kościół ten na przedmieściu Währing pod wezwaniem św. Seweryna, zbudowany z grosza składkowego, poświęcił *in festo dedicationis Ecclesiae* sam książę-kardynał Kutschker. Duszpasterstwo w tym nowym kościele mają objąć OO. Lazaryści i to się strasznie nie podoba przedmiejskim liberałom. Trzeba bowiem wiedzieć, iż obok Jezuitów księża Misyonarze cieszą się powszechną niepopularnością w kołach jawnych liberałów i pokrewnych im liberalnych katolików, co właśnie świadczy nader korzystnie tak o moralnej wartości, jak i o zasługach niepoślednich obu tych zgromadzeń dla dobra Kościoła. Skoro uniwersytet przesiedli się do swego nowego gmachu, co najdalej za dwa lata nastąpi, to sąsiadujący z nim kościół pamiątkowy *(Votivkirche)*, wedle decyzyi cesarskiej ma służyć za kościół uniwersytecki. Wspaniały ten tum będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa już w przyszłym roku tak wewnątrz jak i zewnątrz ukończony.

Starożytny kościołek miejski św. Salwatora, obecnie sprofanowany przez starokatolików, ma być zburzony. Zapewne komuna wiedeńska zamierza w ten sposób wybrnąć z kłopotliwego położenia, w jakiem się znajduje wobec energicznego wezwania księcia-kardynała, aby kościołek ten, bezprawnie wydany

starokatolikom, zwrócono do użytku katolików. Zburzywszy ten kościołek, pod pozorem uregulowania ulicy *Wiplingerstrasse*, gdy z niej przeniosą się i biura magistratualne do będącego na ukończeniu nowego ratusza, liberalna komuna wiedeńska i starokatolikom dochowa wiary, nie rugując ich z kościołka i na domaganie się księcia-kardynała odpowie faktem dokonanym, iż nie ma już przedmiotu spornego. Ciekawa atoli rzecz, co się stanie z funduszami mszalnemi tego kościołka, które jeszcze w r. 1854 wynosiły do 80.000 złr., a które dotąd pozostają w administracyi, komunalnej? Komuna, zadowalniając się zburzeniem kościołka nie zechce zapewne zagrabić mienia kościelnego i wyda je w jedynie uprawnione ręce kuryi arcybiskupiej, a w takim razie dotacya ta przejdzie, jak upewniają, ua kościół paraflalny *am Hof*.

Wśród innych okoliczności notatka o zamierzonem demolowaniu kościołka katolickiego znalazłaby w dziennikach liberalnych rozgłośny applauz, w tym atoli wypadku, ponieważ tu idzie o przytulisko starokatolików, po którego zburzeniu ci nowi wyznawcy z całem swem nabożeństwem znajdą się na bruku, w tym, mówię, wypadku podano fakt cały sucho z tem jedynie kondolencyjnem zapytaniem: gdzie się też podzieje ta starokatolicka chudoba? Bolejąc nad tą klęską starokatolików w niedalekiej przyszłości, starają się liberalne organa dla tej sekty o jak najponętniejszą reklamę. Jeden z tych dzienników pisząc, iż po ukonstytuowaniu się gminy starokatolickiej odbywają się już i śluby w kościołku Salwatora, dodaje tak mimochodem, iż wedle §. 57 statutu synodalnego tamże nie biorą ani na mszę, ani tak zwanych należytości stuły, jak niemniej, iż przy zawieraniu ślubów małżeńskich tylko przeszkody państwowe bywają uwzględniane, a za kościelne dyspensy nic się nie płaci. W tej relacyi położono więc nacisk nz to, iż u starokatolików za fundacye kościelne nic slę nie płaci, szkoda tylko wielka, iż równocześnie nie powiedziano, czy takowe są co warte. Przytoczenie więc tego §. 57 ma to być wabik na katolików, aby się tłumnie cisnęli do starokatolickiego zboru, gdzie za nic, nic sobie nie każą płacić.

* * *

Ostatniemi czasy zbyt często konfiskowano tak codzienne jak i tygodniowe pisma katolickie. Widocznie c. k. Prokuratorya ma dwie miary i wagi. Gdy liberalne dzienniki wyszydzają systematycznie organa Kościoła katolickiego, gdy wyszydzając biskupów, kler, zakony, Czechów, Polaków, Słoweńców, Tyrolczyków, którzy są przecie równie obywatelami państwa, jak i liberały, podburzają pośrednio do nienawiści przeciw pojedynczym warstwom społeczeństwa, co przecie stanowi zbrodnię wedle §. 302 kodeksu karnego, to puszczane bywa płazem; gdy natomiast dziennik katolicki podda objektywnej krytyce którykolwiek z licznych wybryków liberalizmu, wnet i konfiskata i grzywny i procesa. Te dwie miary i wagi illustruje najdrastyczniej fakt następujący: W Wiedniu, jak wiadomo, jest kilka lóż wolnomularskich, które mają na swe usługi dzienniczek massoński. Dziennik ten, wydawany nakładem braci Winter Praterstrasse Nr. 9, a drukowany u Zamarskiego, podpisuje jako odpowiedzialny redaktor baron Karol Fischer. Pytanie przed kim wspomniany redaktor jest odpowiedzialnym? Oczywista, iż przed wiedeńską proknratoryą albo przed sądem krajowym. Istnieje atoli ustawa państwowa wzbraniająca

massoneryi, z czego naturalny wniosek, iż ten dziennik, pominąwszy już jego treść, jest ciągłem podburzaniem przeciw ustawom państwa i tychże organom. Dziennik ten także, jak każdy inny dziennik katolieki, musi składać egzemplarz obowiązkowy w c. k. Prokuratoryi. Jeżeli tego nie czyni, to dopuszcza się nowego przekroczenia, jeżeli zaś czyni, to czemuż go nie konfiskują zgodnie z ustawą, zakazującą praktyk massońskich. Dotąd przynajmniej nikomu nic nie wiadomo o konfiskacie choćby jednego numeru tegoż dziennika, a przecież: „równe prawo dla wszystkich“.

W przeszłym miesiącu toczył się przed sądem przysięgłych wielce skandaliczny proces o morderstwo. Bohaterką tego procesu była istota upadła z tak zwanego „półświatka“, ofiarą koleżanka tejże w tem nikczemnem rzemiośle, a świadkami cały legion prostytutek. Mimo tego, iż rozprawa ostateczna, tak w całości, jak i w szczegółach obrażała w wysokim stopniu moralność publiczną, odbyła się jednak nie przy drzwiach zamkniętych, lecz jawnie. Hr. Brandis interpelował z tego powodu w Radzie państwa p. ministra sprawiedliwości, a p. Glaser, przyparty do muru, w odpowiedzi swej, mówiąc coś ni w pięć ni w dziewięć, poprostu wykręcił się sianem. Dla prasy wiedeńskiej. żyjącej skandalami, proces ten był arcypożądaną gratką. Z pewną lubością wywlekano najszkaradniejsze brudy, a publika zapomniawszy o polityce, o wyprawie okupacyjnej i tym podobnych nudnych sprawach, pochłaniała formalnie te przysmaczki z Izby sądowej. Co atoli nader niepochlebnie świadczy o moralności społeczeństwa wiedeńskiego, to ta wielce smutna okoliczność, iż przez cały tydzień rozprawy sądowej kobiety ze wszystkich warstw, matki, żony i nieletnie panienki tłoczyły się do sali, jakby na jaką biesiadę. Tam, gdzie każda kobieta przyzwoita rumienićby się musiała, tam te panie w jedwabiach i aksamitach bawiły się wybornie. Co to z tego społeczeństwa będzie? Straszno pomyśleć. Werdykt przysięgłych uznał oskarżoną winną zbrodni morderstwa, a sąd skazał ją na śmierć przez powieszenie. Wyrok ten wywołał niesłychaną wrzawę w prasie liberalnej. Na gwałt wołają, iż trzeba go koniecznie obalić. Oskarżona i potępiona bowiem posiada rzetelne sympatye wyuzdanego dziennikarstwa: 1) iż jest żydówką, 2) iż bezczelnością tłómaczenia się wobec trybunału sądowego wyrosła na heroinę, a 3) nareszcie, iż procesem swym dostarczyła zarobku dziennikom z rozsprzedaży na tysiące pojedynczych egzemplarzy. Odnowienie procesu zapowiada tymże dziennikom powtórny taki zyskowny *Geschäft*, więc cóż dziwnego, iż go się tak silnie domagają. I prawdopodobnie przyjdzie do tego, gdyż ta uczciwa i przyzwoita (?!) prasa jest tu w Wiedniu potęgą, z którą się niestety i rządy i sądy, jak liczyły, tak i dotąd jeszcze liczą.

* * *

Ze świata książkowego wiązanka niektórych tylko nowości. Zbliżający się nowy rok ożywił w wysokim stopniu literaturę kalendarzową. Z całego stosu kalendarzy notuję tylko te, które ogół katolicki interesować mogą i powinny. Znana zaszczytnie firma Karola Fromme'go wydała po raz pierwszy tego roku specyalnie dla duchowieństwa przeznaczony *Kalender für den katholischen Clerus Oesterreich-Ungarn.* Redakcyi podjął się ks. Bertold Egger z opactwa kanoników lateraneńskich w Klosterneuburgu. Pojedyncze działy

opracowane wielce starannie, odznaczają się szczególnie bogactwem dat statystycznycb. Obrazkowy kalendarz katolicki Dr. Jarischa wyszedł nakładem księgarni katolickiej Perlesa i zaleca się wielkim wyborem pouczających i rozrywkowych powiastek. *Monika Kalender*, wydany staraniem katolickiego stowarzyszenia wychowawczego w Donauwörth, odpowiada w zupełności tym miłościwym usiłowaniom, jakie to stowarzyszenie działalności swej wytknęło; zamiast przeto bawić tylko, poucza przeważnie, nie szczędząc błogosławionych rad i zbawiennych wskazówek na doczesność i wieczność. Podobniuteńki co do treści jest i Albana Stolza *Kalender für Zeit und Ewigkeit.* Wartość tego kalendarza ocenia najdokładniej samo nazwisko autora. Księgarnia Pusteta w Regensburgu obdarowała chrześcijańskie niewiasty i dziewice miluchnym kalendarzykiem Maryjskim. Treści dostarczył zacny i ceniony w Niemczech ks. Ludwik Gemminger, autor kilku roczników kazań, głoszących w udatnej formie wyłącznie cześć i chwałę Królowej nieba. Dr. Jordana *Oesterreichischer Weckstimmen-Kalender für das katholische Volk* podaje wyczerpujący obraz ruchu stowarzyszeń katolickich, zamieszczając obok tego wielce dokładną statystykę dyecezyj austro-węgierskich. W tym roczniku podano statystykę dyecezyi wiedeńskiej i ostrzyhomskiej. Wielce ruchliwa księgarnia nakładowa Wörta w Würzburgu wydała okazały *Katholischer Handkalender*, przeznaczony, jak treść wskazuje, dla czytelników wyższego wykształcenia. Wybornie trafiony portret Ojca Św. Leona XIII jest tego kalendarza niemałą ozdobą. Staraniem tejże księgarni wyszedł wyborny *Lustiger Bilderkalender.* Anegdoty, żarty, humorystyczne illustracye, nagromadzone tu w takiej obfitości, a zarazem z tak wielkim taktem, unikającym wszystkiego, coby trąciło trywialną lub nieskromną konceptomanią, iż ten kalendarzyk na śmiało każdemu można zalecić, kto choć kilka chwil pragnie zapełnić wesołą lekturą. Rejestr kalendarzowych publikacyj wiele jeszcze nie wyczerpany, lecz poprzestaję na wzmiance o tych kilku jako najbardziej zalecenia i rozpowszechnienia godnych.

Wiadomo, iż od dłuższego czasu panuje spór literacki, kto jest właściwie autorem tej złotej książeczki: *O Naśladowaniu Chrystusa.* Wielu negując autorstwo Tomasza a Kempis, przypisuje takowe opatowi Benedyktynów z Vercelli Janowi Gersen. Noszą się nawet z myślą postawienia rzeczonemu opatowi pomnika w Vercelli, w podziękę za tę perełkę w literaturze religijnej. Staraniem opactwa benedyktyńskiego w Wiedniu pojawiła się także spora książka pełna argumentów, iż autorem nie kto inny, tylko Gersen. Tymczasem świeżo wydana w Bressnire (*imprimerie et librairie de E. Landreau, grande rue 43*) broszura w języku francuzkim, występuje dzielnie i z całym arsenałem logicznych argumentów w obronie Tomasza a Kempis. Broszura ta o 27 stronicach nosi tytuł: *Examen sur l'etat actuel de la question historique du veritable auteur de l'imitation de J. C. par un chansine régulier de latren a Notre-Dame de Beauchêne, diocèse de Poitiers.* Spór przeto i nadal pozostaje nierozstrzygnięty.

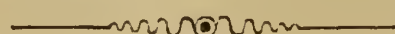
Katakombenbuch unter dem Titel: Die ersten Christen ober und unter der Erde, oder Zeugnisse für den Glauben, die Hoffnung und Liebe unserer heiligen Mutter, der Kirche. Oto tytuł dzieła, będącego w tych czasach walk

przeciw Kościołowi wielce na dobie, ku pociesze i umocnieniu w odwadze dziatek Kościoła. Dzieło to wypracował ks. Jerzy Ott, dziekan i proboszcz, niezrównany pisarz ludowy. Książka ta jest niejako popularną polemiką przeciw potwarcom, twierdzącym jakoby Kościół katolicki w rozwoju wieków odbiegł od nauki Chrystusowej, wyznawanej w samem zaraniu Kościoła. Z odczytania tego dzieła wynosi się to silne niczem niewstrząśnione przeświadczenie, iż Kościół katolicki, czy pod, czy na ziemi, czy w Rzymie, czy gdzieindziej, czy teraz, czy przedtem — słowem zawsze i wszędzie jedną i tę samą naukę wyznawał i po koniec wieków wyznawać będzie.

Baron Kapri, obywatel bukowiński przebywający w Wiedniu, wydał w osobnej odbitce, drukowaną przedtem w tygodniku *Die Heimath*, powieść swą, zatytułowaną: *Uradelig.* Wspominam o tej ramocie dlatego jedynie, iż, jak mnie upewniano, jeden z literatów galicyjskich obstalowany został, aby ją przyswoić językowi polskiemu. Tendencyą tej powieści jest zburczeć, złajać arystokracyę, iż nie zawiera małżeństw z aktorkami, iż się nie brata z bogatymi żydami. Tendencya ta tak wielce chwalebna (!), niestety wielce także spóźniona. Arystokracya bowiem nie zasługuje już od wielu lat na ten „wygawor“ barona Kapri; niejedna córa Melpomeny używa obecnie papieru listowego z hrabiowską koroną i niejeden już pieniężnik starozakonny na salonach wielkich nawet panów czuje się swobodnym, jakby u siebie w domu. Poco to śmiecie powieściowe zwozić na grunt polski, w istocie, że nie wiem, lecz prawda, pan baron autor obiecał dobrze zapłacić tłómaczowi, ot i zagadka rozwiązana.

* * *

Na zakończenie jeszcze o jednej rzeczy. Karlsbad, jak zwykle, tak i tego roku roił się pacyentami Mojżeszowego wyznania z Galicyi. Czasy ciężkie, rada lekarska droga, co tu począć? Bracia nasi w Abrahamie wpadają na oryginalny pomysł. Posortowali się na grupy wedle rodzajów choroby. Z każdej grupy jeden jako reprezentant choroby, czy to na wątrobę, czy na śledzionę, czy na żółć, udawał się do lekarza na konsultacyę, płacił zwykłe honoraryum, a otrzymaną radą obdzielał następnie wszystkich ze swej grupy, dotkniętych tą samą, co on, chorobą, którzy znowu zarządzoną wśród siebie składką szóstakową lub kilkucentową, stosunkowo do liczniejszej lub mniej licznej grupy, wracali mu koszt ryczałtowo przezeń wyłożony na lekarza. Tak więc sprytne żydki za kilka groszy mieli na zawołanie poradę lekarską. Mogę zaręczyć, iż historyjka ta wcale nie jest *e ben trovato*, lecz we wszystkich swych szczegółach *e vero.*



LISTY Z WIELKOPOLSKI.

Poznań, w Listopadzie 1878.

I.

(Trudne zadanie — Stan ustalonego ucisku — Chwilowe nadzieje pokoju i zawód — Zamiary księcia kanclerza — Centrum w parlamencie — Zdania liberałów o Leonie XIII z powodu rokowań — Słowa Ojca Św. Leona XIII — Warunek, aby Rzym zawarł ugodę z Prusami — Buta krzyżacka — Rozprawy w parlamencie — Ksiądz prałat Edmund Radziwiłł — Książę Roman Czartoryski — Świętopietrze wręczone Ojcu Św. od Wielkopolan — 800-letnia rocznica męczeństwa św. Stanisława Biskupa — Bursa w kollegium polskiem w Rzymie — Ofiary praw majowych — Sądowe wyroki na Jego Em. Kardynała Arcybiskupa Poznańsko-Gnieznieńskiego — Nowi Judasze — Zgon zapaśników Chrystusowego boju — Syberya pruska i ks. Ruszkiewicz).

Dłuższa, bodaj roczna przerwa, nastąpiła w mych peryodycznych z Wielkopolski listach; nie dziw, że zamilkłem wobec przeciągających się bolesnych wśród nas stosunków. Nagły cios zdoła wyrwać z piersi zbolałych jaki dźwięk głośniejszy; ale gdy przedłużony ucisk nęka, gdy szary smutek stale w powietrzu zawiśnie, gdy się niedola poniekąd z samemże zrośnie życiem, nie dziw, że do wynurzeń ochoty braknie, i że każdemu potrzeba tylko być „mniej z ludźmi, a więcej z Bogiem“. Zresztą samoż zadanie miesięcznego kronikarza nadzwyczaj teraz utrudnionem zostało. Zrazu początki prześladowania naznaczone były pewną rozmaitością zaczepek i gwałtów, kuto nowe prawa, w różny sposób i do różnych osób zastósowywano płynące ztąd kary. Dziś ta cała procedura uorganizowała się i z nieubłaganą jednolitością działa systematycznie. Wypadki i pojedyncze gwałty łatwo ująć i opisać, nierównie trudniej podawać echa postępów systematu, który powoli wnika w ustrój krajowy i ani na chwilę nie przestaje, ani folguje w praktycznem do walki z Kościołem zastósowaniu. Widocznie jedno i to samo powtarzać by mi przyszło, a tak jednostajne echa naszej niedoli znużyłyby w końcu czytelnika. Obecnie ten stan ustalonego ucisku jeszcze stał się przykrzejszym, odkąd rokowania w Kissingen otworzyły pole do wciąż mylących nadziei. Była chwila, w której spodziewano się bliskiego już pokoju, wyglądano nawet powrotu ukochanego Arcypasterza naszego, aż tu dni i miesiące płyną, a znikąd żadna nie błyska pociecha, żadna zorza dni lepszych nie świta. Wśród cieniów przesłaniających zamiary księcia kanclerza, trudno się nawet jego intencyi domniemać, czy rzeczywiście układać się z Rzymem pragnie, czy też tylko chciał katolikom w przededniu wyborów zręcznie zamydlić oczy, rozbić stronnictwo *centrum*, i z ogólnego skorzystać zamięszania. Zarzut ten, ciśnięty mu świeżo w oczy przez wymownego Windhorsta, nie otrzymał odpowiedzi ani wytłómaczenia. Tymczasem zaś samże fakt możliwych lub toczących się układów najróżniejsze wywołuje zdania i wnioski. Jedni zbyt sangwinistycznie wyglądają zupełnego powrotu do dawnych swobód religijnych; inni, bardziej wojowniczo usposobieni, chcieliby dalszej walki, w najdrobniejszem nawet możliwem ustępstwie ze strony Rzymu, głosząc już naprzód odstępstwo od zasad kościelnych i tradycyj Piusa IX.

Najpiękniejszą odpowiedź na owe nieufności, dał niedawno sam Ojciec Ś. Leon XIII w tych rzewnych a głębokich słowach:

„Alboż owi krótkowidzący mężowie nie rozumieją, iż zaczepiony przez nieprzyjaciół, jak Pius IX, byłbym otrzymał z nieba podobną łaskę i posłannictwo bronienia Kościoła, a odwrotnie, gdyby Pius IX po mnie był zasiadł na Stolicy Piotrowej, podobnież byłby skorzystał z początków swego panowania, ażeby otworzyć szeroko swe ramiona światu całemu. Im bardziej Papież jest na krzyżu rozpiętym, tem szerzej się ramiona jego rozwierają; ale mimo tego, Krzyż tym tylko przebaczenie zapewnia, którzy przed nim uklękną“.

Czy przywódcy i promotorzy *Kulturkampfu* przyklęknąć wobec Krzyża zechcą? od tego zależy możliwość pokoju. Ale gdy się wspomni na tradycyjną krzyżacką pychę, nie bardzo zaufać można pozorom chęci układów, przy których koniecznie wypadnie ukorzyć się i do błędu przyznać.

Pisma codzienne przyniosły wam echa burzliwych parlamentarnych dyskusyj, dotyczących ustawy przeciw socyalistom. Czterech z posłów naszych przemawiało z kolei, a nadto poseł Bytomski, ksiądz prałat Edmund Radziwiłł dwukrotnie się odzywał. Koło polskie ukonstytuowało się na bieżącą kadencyę, obierając na przewodniczącego księcia Romana Czartoryskiego, którego wysokie społeczne stanowisko, stałość zasad, gorąca miłość Kościoła i ojczyzny, tudzież rzadki takt polityczny zarówno pasują na przywódcę wszelkich u nas prac społecznych i zadań obywatelskich. Ponowny ten wybór stwierdził dawniejsze już zaufanie spółdeputowanych. Przez całą też krótką sesyę minioną koło polskie występowało z wielką miarą i godnością za wzajemnem porozumieniem i zgodą, nie podając ucha na podżegania niektórych pism lwowskich, pragnących wywołać w frakcyi polskiej w Berlinie takąż samą gorszącą scysyę, jak ta, która wśród galicyjskich posłów tak smutny niedawno przedstawiła widok,

W ciągu ubiegłego miesiąca, nasz Kardynał-Prymas wręczył znów Ojcu Św. nową seryę świętopietrza, w ilości 16.000 franków. Leon XIII z dziwnie bolesnem wzruszeniem przyjął ten grosz wdowi, tę sierót ofiarę. Zna bowiem lepiej, jak ktokolwiek, stosunki nasze obecne, ucisk i nędzę, tudzież rosnące w miarę prześladowania potrzeby nasze. Wszakże znając także i moc jałmużny, sowicie procentujący się w niebiesiech, przyjął ten skromny datek dyecezyj naszych. Jakkolwiek inni biskupi znaczniejsze przynoszą sumy, nasze świętopietrze zaiste osobliwy a rzewny ma w sobie charakter. Nietylko, że z ziemi ucisku pochodzi, ale nadto rośnie przeważnie groszem włościan, ponieważ wpływa z składek parafialnych. Ubodzy ubogiemu Ojcu Świętemu niosą daninę synowską.

Nic też wyczerpać nie zdoła ofiarności naszej Wielkopolski, i doprawdy patrząc na jej czynną i ochotną zawsze do datku rękę, tuszymy, iż jej nie ominie zapłata miłosierdziu przyrzeczona..... Teraz

znów nowa sposobność ku temu się nadarza: w przyszłym roku przypada ośmsetletnia rocznica męczeństwa św. Stanisława Biskupa. Kilka zacnych dusz podjęło myśl uświetnienia tej jubileuszowej pamiątki w sposób właściwy. Znany biograf Piusa IX, ks. Dr. Kantecki, ogłasza przedpłatę na *Żywot Męczennika*, przez siebie spisany; zkądinąd, jak się dowiadujemy, postanowiono nadać trwałą formę pobożnej chęci uczczenia świętego Korony Polskiej Patrona, przez utworzenie z składek ogólnych nowej bursy w seminaryum Polskiem w Rzymie. Że zaś szczupłe środki, jakiemi obecnie rozrządzamy, nie starczyłyby może na zebranie odpowiedniej kwoty, mamy nadzieję, że i inne Polski dzielnice, w sposób publiczny lub prywatny, zechcą przystąpić do tego pobożnego zamiaru, składając ochotny datek na stypendyum św. Stanisława Szczepanowskiego, sposobiące nowego może wyznawcę temu Kościołowi Polskiemu, który od lat ośmiuset zawsze stoi na wyłomie, purpurą męczeństwa wiecznie ozdobny.

Podczas, gdy tak znaczna liczba naszych duchownych i dygnitarzy kościelnych pozostaje na wygnaniu, nie brak i więźniów dłuższą lub krótszą za kratami odsiadujących karę. Z wszystkich ofiar *praw majowych* najdłuższe pęta znosi uwięziony w Koźminie ks. Kinowski. Ma on jeszcze przed sobą siedm miesięcy do przebycia w kaźni, co razem wyniesie przeszło trzechletnią niewolę. Świeżo skazano ks. Walentego Smigielskiego na siedmiomiesięczną, ks. proboszcza Czechowskiego na ośmiomiesięczną, ks. Stanisława Gieburowskiego, proboszcza z Górki duchownej, na półtoraroczną karę więzienną. Nowy proces wytoczono Jego Em. kardynałowi Ledóchowskiemu w sądzie Międzychodzkim, który na mocy listów, pisanych przez dobrego Pasterza do odstępców swych dyecezyj, dodał nowe grzywny i nowe lata więzienia do poprzednich wyroków przeciw osobie dostojnego Prymasa zapadłych. Bolesnym rysem owego Międzychodzkiego procesu był ten szczegół, iż za świadków przeciw swemu arcybiskupowi stawali odpadli od Kościoła kapłani, a w ich liczbie dwóch duchownych, którzy z rąk zaprzedanego teraz przez nich pasterza, wyższe odebrali święcenia! Jedna jeszcze okoliczność charakterystyczna towarzyszyła sprawie w Międzychodzie sądzonej. Do wyroku skazującego Jego Eminencyę na dwuletnie więzienie, dodano jeszcze dwa miesiące za rzekomą obrazę naczelnego prezesa, w liście do jednego z odstępców zawartą.

Odkąd nasz Najprzewielebniejszy Arcypasterz, po długiej w kaźni ostrowskiej niewoli, poszedł na wygnanie, po raz trzeci już zaocznie sądzonym bywa, a niebawem nowy go proces czeka jeszcze w Wałczu. Z powyższych szczegółów można nabrać dokładnego wyobrażenia o obecnym stanie rzeczy i trwającym boju, którego końca nie widać.

A jednak raz po raz zaznaczać nam przychodzi pewne objawy, które zdawałyby się rokować erę pokojową dla Kościoła, choćby już samo to, że Bóg po kolei odwołuje ze wszystkich stron świata osobistości, które w bieżącej walce wybitniejsze zajmowały posterunki. Począwszy od błogosławionej pamięci Piusa IX, rzecznika Polski Kardynała Franchi we Włoszech, przedmurza wolności, nauczania i niepodległości Kościoła Biskupa Dupanloup we Francyi, rycerskiego

ks. Kettelera w Niemczech, u nas nieodżałowanego i niezastąpionego ks. Prałata Koźmiana, znikają zewsząd główni zapaśnicy ostatniego nierozstrzygniętego dotąd boju między Kościołem a państwem. Czy Bóg chce odtąd bez ludzkich wojować narzędzi, czy też odmienne okoliczności nie będą już nadal wymagać tak rycerskich szermierzy, nie nam przesądzać, boć nieodgadnione są Boże wyroki. Chcielibyśmy tylko podnieść znaczący może ubytek tych przodowników w boju Pańskim, którzy z przednich czat odwołanymi zostali, nim nasze krótkowidzące oko dopatrzyło się brzasku dnia pokoju.

Wśród ofiar nieustającego dotąd prześladowania, trudno bez głębokiego spółczucia wspomnieć owego młodego kapłana, który pierwszy miał zakosztować Syberyi pruskiej. Wywieziony po dłuższym za kratami pobycie na nieznaną wyspę Zingst, ks. Ruszkiewicz znalazł się wśród osady rybackiej, która powitała wygnańca kocią muzyką, w duchu nowoczesnej kultury, która i na wybrzeżach Bałtyku zakwita. Rząd, wyrzuciwszy młodego wygnańca na tę niegościnną wyspę, przestał się nim zajmować, nie dotrzymując nawet zobowiązania skromnej pensyi na opędzenie najkonieczniejszych życia potrzeb. Gdyby nie miłosierna ziomków pamięć i pomoc, ks. Ruszkiewicz byłby pozostał na wyspie Zingst bez wszelakich środków życia. Wtem tęsknota, samotność, zabójczy wpływ ostrego klimatu, rozwijają w wygnańcu śmiertelną chorobę. Zrazu niema nadziei zachowania go przy życiu, i tę właśnie chwilę obierają władze, aby, przypomniawszy sobie nagle przyjęte zobowiązania, rozpocząć wypłatę przyrzeczonych na utrzymanie wygnańca codziennych pieniędzy. Ofiara nie pożyje może długo, ztąd wydatek niewielki, a przynajmniej uniknie się skandalu w razie śmierci, ogłaszając, iż go nie pozostawiono w zupełnym niedostatku. Daje to miarę procedury pruskiej i stosunków naszych, tak bardzo pogorszonych samowładzą lokalnych urzędników.

Dowolne tłómaczenie i stosowanie ustaw jak było dotąd u nas główną plagą, tak coraz gorsze zapowiada nam następstwa. Niejasno określone paragrafy nowego przeciw socyalistom prawa, dadzą się jak najbardziej rozszerzać i przykrawać wedle osobistych zachcianek tych, którym przypada wprowadzać je w życie. Ztąd słuszne obawy, aby nieprzyjaciele Kościoła i żywiołu polskiego, nie podporządkowali tych dwóch spraw najczystszych pod ogólne socyalizmu miano, i nie zwrócili obosiecznej, nowo sfabrykowanej, broni przeciw tym dwom warowniom, gdzie żaden jad zaraz społecznych nigdy się nie dostał. Zewsząd już posypały się denuncyacye przeciw pismom polsko-katolickim, a choć dotąd nie podano im ucha, i tylko czysto socyalistyczne giną organa, możemy się słusznie lękać, iż uprzątnąwszy się z niemi, władze zwrócą się przeciw naszej prasie i wiecom naszym, pod pozorem, że i one „spokój publiczny zakłócają“.

Dr. N.

O SOLIDARNOŚCI
POD WZGLĘDEM NARODOWYM

W niezwykłym zachwycie dzienniki liberalne i centralistyczne wiedeńskie nie szczędziły dla mowcy z Galicyi hiperbolicznych tytułów i nazw. „Wiernokonstytucyjny Sobieski“ zamienia się wnet w szpaltach *N. fr. Presse* w nowego Rejtana. Są porównania zabijające kolosalnością przesady; lecz nowy bohater wzbudził taki entuzyazm, że wiedeńscy kronikarze podjęli kraneologiczne studya jego czaszki, upatrując w jej rozmiarach analogię z czołem i czaszką samego księcia Bismarka, opisują z równym zapałem jego wąs polski, a opisem tym przypominają znaną piosneczkę o wąsach Sobieskiego, podziwianych przez Niemki: *jakżeż mu pięknie z temi wąsami.*

Oprócz wąsów, które się przyczyniły w r. 1848 do wielkiego powodzenia p. Smolki w parlamencie wiedeńskim, jest w tych dwóch nazwach, udzielonych p. Hausnerowi, inna jeszcze analogia, lubo *a contrario.* Z Sobieskim ma to bowiem wspólnego galicyjski mowca, że zamiast Wiednia bronić od Turków, bronił posiadłości tureckich od okupacyi austryackiej i był ostatnim parlamentarnym rycerzem, który po kongresie berlińskim podjął obronę nietykalności państwa ottomańskiego, a panowanie Mahometan nad ludami chrześcijańskiemi uznawał za równie prawne i święte, jak niepodległość narodu polskiego, zgwałconą rozbiorem. Jak Sobieski przybył on w odsiecz Wiedeńczykom, ale więcej od nich doznał wdzięczności. Między panem Hausnerem a Tadeuszem Rejtanem wyszukać także można pewną analogię. Wiadomo bowiem, że Rejtan był ostatnim posłem w Polsce porozbiorowej, który użył prawa *liberum veto.* Czemżeż się to dzieje, że kiedy historya wspomina ze wzgardą imię posła z Upity, który w niewinnej jakiejś sprawie dał pierwszy precedens zerwania sejmu, to z uwielbieniem podaje imię dwóch posłów z Pińszczyzny? O! bo ci po raz ostatni podnieśli okrzyk *veto*, podnieśli go dla ratowania czci narodu. Czy pp. Hausner i Wolski, którzy wbrew postanowieniom konstytucyi 3 maja, przypomnianej i zadokumentowanej uchwałą tegorocznego koła sejmowego, odświeżyli tradycyę *liberum veto*, mają wraz z Sicińskimi stać się odstraszającym przykładem dla potomnych, czy też przeciwnie zasługują na te owacye, jakie im we Lwowie przygotowywano? Czy ich imiona równie godne czci, jak Rejtana i Korsaka?

Omnis comparatio claudicat, a niebezpiecznie jest w jednym czy w drugim kierunku przykładać miarę historyczną do głośnych ale drobnych w rzeczy epizodów parlamentarnych i do ludzi, którzy pomimo owych studyów kraneologicznych nad ich czaszkami nie mają piersi na miarę Fidyasza, lecz bardzo miernego krawca.

Za pół roku o dwóch secesyonistach delegacyjnych tak zapomnimy, jak już zapomnieliśmy o owej dyktaturze reprezentanta Polski z Broelbergu, wobec wszystkich rządów i ludów. Wielkie burze w szklance wody, tytaniczne walki liliputowych bohaterów przemijają prędko, ale w tych wszystkich sporach, uzurpacyach, konfederacyach jest pewna łączność, którą dyagnostyk społeczny i polityczny badać winien, jeźli ma zdać sobie sprawę ze stanu niemocy narodowej.

Nie zapuszczając się więc w rozbiór mowy p. Hausnera, nie kładąc na jednej szali jej świetnych słów i barwnego nader kolorytu, a na drugiej prostych ale jasnych oświadczeń prezesa koła p. Grocholskiego, nie rozstrzygając kwestyi, czy reprezentanci naszego kraju powinni byli uderzyć na hr. Andrassego, potępić z góry okupacyę choćby w połączeniu z centralistami, czy powinni byli głosować za lub przeciw adresowi — zastanowimy się pokrótce nad doniosłością słów, których w tym sporze obie używają strony, nad charakterem tej domowej wojny, która zdaje się prowadzić do zupełnego rozbratu w tem, w czem Polska, nieodznaczająca się zgódą, umiała zawsze zachować jedność, w pojęciu samejże Ojczyzny. Pomimo, że się poczuwamy do wspólnictwa z tym kierunkiem, który na sejmie w znanej uchwale koła potępił wyłamywanie się z pod solidarności, który broni stanowiska delegacyi naszej w Wiedniu, niech nam wolno będzie stanąć na uboczu i bezstronnie przyglądnąć się tej walce, nietyle pod względem politycznej aktualności, ile samejże zasady dziejowo-narodowej.

A najpierw, może to wielu z naszych przyjacioł politycznych zgorszy, a przeciwnikom doda otuchy, ale winniśmy to powiedzieć, że słowa solidarność należy bardzo ostrożnie używać. Mybyśmy go nie przyjęli bez pewnych restrykcyj co do zasad kierowniczych. Pamiętamy niedawne czasy, kiedy w imię solidarności zapędzano naród na bezdroża, krępowano sumienie narodowe, kazano uciszyć się przekonaniom, milczeć rozsądkowi. Lecz i to prawda, że w czasach takich słowo solidarność było hasłem podejmowanem dowolnie, że je narzucano z ukrycia w imię tajnych działań i nieznanych przywódców. Wszelako i w warunkach jawności należy baczyć, aby

nie nadużywać tego słowa, aby się znów kiedyś nie zwróciło przeciw rozważnemu i zdrowemu kierunkowi, aby nie wymagało ofiar z zasad i obowiązywało do tego, co jest zgubnem. Solidarność jest często koniecznością, zawsze jednak tylko z anormalnych wypływającą stosunków. Solidarność też trzeba przyjmować jako obowiązek, ale nie jako najwyższą zasadę. Jak żołnierz jest obowiązanym do karności, tak i człowiek polityczny zmuszony bywa dość często do przyjęcia tego wędzidła, skoro przekonanie sumienia, z wiary wypływające, w grę wcale nie wchodzi. Nielekkiem, niełatwem jest to jarzmo, ale konieczność, która go nakłada w położeniu naszego narodu, jest może jakby Nemezis za nadużycia wolności osobistej w dawnej Polsce. Znać Opatrzność chciała poddać krnąbrną naturę naszą pod ten rygor i ująć w te karby, za to, żeśmy sobie wszystko lekceważyli, za to, że prywata lub fantazya osobista stawała po nad sprawą publiczną. Może nas też Opatrzność chciała związać tym węzłem moralnym narodowej solidarności, kiedyśmy mieli wstępować do obcych parlamentów, zarażonych różnego rodzaju trądem i fałszem. Ale też ten węzeł trzyma w jedności silnie tylko wtenczas, kiedy nie krępuje mechanicznie, ale łączy wspólnością przekonań i zasad, których pospołu bronić mamy. Dlaczego w Berlinie posłom polskim solidarność nie cięży, a w Wiedniu tak trudną do zniesienia, tyle już wypadków wyłamania się z solidarności koła polskiego przedstawia? Nie dlatego tylko, że w Berlinie łatwiejsze zadanie obronne jedynie przeciw rządom i parlamentom, co żadnego dla nas nie zachowują względu, ale dlatego także, że sprawa narodowa ze sprawą katolicką w Wielkopolsce ściśle związana, i że koło polskie w Berlinie tem samem solidarność rozciąga i do spraw politycznych i do spraw Kościoła. Koło delegacyi naszej w Wiedniu uchyliło z pod solidarności kwestye religijne, w których właśnie jedyne kryteryum jedności, jedyna podstawa zasadnicza. Nic dziwnego, że solidarność nie mogła wytworzyć sobie programu i powoli się rozprzęga. Czy to jest winą koła, czy winą odmiennych stosunków, nie rozstrzygamy, ale winniśmy wskazać tę różnicę, która nam wytłómaczy ciągle wzrastający rozbrat. Niezwiązani członkowie koła w tych najwyższych kwestyach, z których wszystko wypływa, nie dziw, że lgną do obcych obozów, że się rozchodzą w drogach i środkach politycznych. Zacne żywioły wchodzą w skład koła polskiego w Wiedniu i najlepsza im przewodniczy wola, słusznie im jednak zarzucano niejednokrotnie, że nie postawili nigdy programu, a bez programu czemżeż solidarność, jeźli nie przypadkowym wynikiem chwilowej

większości, przechylającej się na tę lub inną stronę, kombinującej tak lub inaczej zmienne konstelacye polityczne. Dziś przeważa zdrowy, rozważny kierunek, ale czy przeszłość delegacyi nie jest bez zarzutu, wtenczas mianowicie, kiedy zaniedbywano porozumienia z żywiołami narodowemi, konserwatywnemi i autonomicznemi w monarchii, lub też wówczas kiedy zwolniona z solidarności w kwestyach religijnych większość naszych posłów głosowała za ustawami bezwyznaniowemi? Programu, czy to w kwestyach politycznych, czy w sprawach ustawodawstwa żadne stronnictwo w żadnym parlamencie europejskim ułożyć nie zdoła, jeźli za jego podstawę nie weźmie zasad religijnych lub ich negacyj. To też koło nasze nie miało nigdy programu i nie było nigdy zjednoczonem stronnictwem, ale zbiorem posłów o luźnych przekonaniach, związanym solidarnością narodową. Cóż dziwnego, że prąd liberalizmu wiedeńskiego pociągnął kilku posłów ku sobie, że wspólność zasad kosmopolityczno-humanitarnych przeważyła nad solidarnością narodową?

Oto pierwotna przyczyna odstępstw, których nie pierwszy, lubo najgłośniejszy, przykład dają dziś pp. Hausner i Wolski. Wszak już dawniej hr. Mieroszowski i Dr. Weigel temi samemi ponętami liberalizmu wiedeńskiego pociągnięci występowali z koła. Brak programu, brak zjednoczenia w zasadach koła polskiego nie jest winą jego dzisiejszego składu, ale jest wypływem stanu opinii w kraju, która sprawę narodową pojmowała powierzchownie i oddzielała od sprawy katolickiej; nie mogła też wydać z siebie zwartego zastępu. Idea polska z ideą katolicką łączy się jak ciało z duszą, nigdzie zaś bardziej ten związek duchowy nie uwydatnia się, jak wtenczas, kiedy nam Opatrzność każe iść między obcych i świadczyć o tem, co jest spuścizną moralną naszych dziejów, co jest jedyną siłą naszą na dzisiaj, co jest drogowskazem i rękojmią na przyszłość, co zawsze i wszędzie jest hasłem i znamieniem ducha Polski.

Gdy tego hasła i tego znamienia braknie, do czegóż dochodzimy? Oto, że w zamęcie pojęć, wśród labiryntu dróg politycznych sama istota idei narodowej nam ginie, że już nie mamy kryteryum dla rozpoznania, co jest służbą dla narodu, a co jest odstępstwem, co zasługą, a co zbrodnią, w czem ratunek, w czem zbawienie, nie wiemy gdzie szukać Polski i gdzie witać Ojczyznę.

Zatrata instynktu narodowego idzie społem z indyferentyzmem katolickim.

Oto przykład najświeższy, świadczący o tym zamęcie pojęcia Ojczyzny, który przypomina sąd Salomona, ale w odwrotnem zna-

czeniu. Najpoważniejsze głosy w narodzie, najumiarkowańsze pisma, jak *Czas*, *Przegląd Polski*, *Kuryer Poznański* i liberalny, ale dość jeszcze polski *Dziennik Poznański*, zgodnie przyjęły fakt secesyi z koła dwóch posłów jako fakt odstępstwa, potępiły mowę p. Hausnera, jako nacechowaną duchem liberalizmu wiedeńskiego, nam tak szkodliwego. Organa te powtórzyły zgodnie surowy wyrok odstępstwa, choć nim szafować nie zwykły. Równocześnie poeta, który się sądzi być „stróżem ducha narodowego“ (od którego jednak wszyscy dobrzy Polacy nie miłują mniej Ojczyzny), w tym samym fakcie w rozgorączkowanej swej mistycznemi wizyami wyobraźni spostrzega jutrzenkę zbawienia Polski, upatruje zrządzenie Boże i odstępcę wita jako zbawcę, zanim w złej wierze dzienniki lwowskie, a Rada miejska stolicy w oszołomieniu i zastęp najgorętszych patryotów brukowych powitają p. Hausnera jako tryumfatora objawami czci i uwielbienia. Gdzie tu ojczyzna? gdzie duch Polski? gdzie instynkt narodowy, który w takich razach nie powinien dopuszczać wątpliwości? Czyliż to nie ów sąd Salamona, lecz nie o to, której matki dziecko, ale która matka jest prawdziwą, po której stronie Polska. Dla nas nie ma wątpliwości, bo kiedy mamy po jednej stronie cały sejm i delegacyę pod przewodem zacnego i wysłużonego patryoty, kiedy mamy głosy najpoważniejsze, a z drugiej strony znanych agitatorów i krzykaczy, szalbierzów imienia Polski, wahać się nie możemy, choćby nawet w tym chórze negacyi i szczery odezwał się głos.

Fakt zerwania solidarności na gruncie szczerze polskiej polityki sam w sobie potępienia godny, ale jest w nim coś więcej, jest przyjęcie solidarności zasad obcych, jest wynarodowienie ducha, jest poswat z liberalizmem wiedeńskim.

Na tej drodze rozłamu w pojęciu ojczyzny pójdziemy coraz dalej i niebawem dojdziemy do tego, że stworzymy dwie Polski obok siebie, domową prowadzące wojnę, i dwa patryotyzmy odmienne. Żadna solidarność nie zdoła wstrzymać tego prądu, który wypływa z ducha czasu, który rozdzielił na dwa obozy wszystkie społeczności świata a ma głębszy powód w walce prawdy z fałszem.

Dotąd solidarność narodowa w wyjątkowem naszem położeniu wstrzymywała nas od tego rozdarcia. Tam, gdzie przyszło cierpieć, tam cierpieliśmy wspólnie za wiarę i narodowość; więc doskonała była jedność i doskonała solidarność Polski katolickiej. Było słowo zaklęcia i najwyższy ideał Polski, wobec którego wszystkie cichły spory i w stanowczej chwili wszyscy się jednoczyli w złem jak

w dobrem, w zgubnem jak i w zbawiennem. I tak dalece przestrzegano u nas solidarności narodowej, że stawiano ją po nad samą wiarę i przekonania z niej płynące. I cóż dziwnego, że ideał narodowy się obniżył, Polskę zciągnięto z ołtarza na ulicę. W współczesnej epoce walka zasad na ostrze miecza, a w całym świecie dwa obozy: chrześcijańsko-katolicki, w którym złożone godła narodowości, rodziny i wszelkiego porządku dziejowego i społecznego, i obóz pogański, podkopujący wszystko liberalizmem parlamentów lub podziemnym prądem socyalizmu.

Niestety! nie zdołaliśmy tak utwierdzić jedności ciała z duchem, Polski z Kościołem, aby ten rozłam i do nas nie przyszedł, abyśmy jedni w duchu, mieli ramię i usta tylko przeciw nieprzyjaciołom Polski i Kościoła. I u nas jad nienawiści wewnętrznej z obczyzny się dostał, a patryotyzm pewnego rodzaju jest tylko antagonizmem i negacyą wszystkiego, co w własnem społeczeństwie stoi wyżej cnotą, tradycyą, stanowiskiem, wpływem.

Dwa zastępy idą obok siebie i nie kończą sporów kompromisem w imię idei narodowej. Nawet w pielgrzymce do Rzymu dwie deputacye i dwa adresy, jeden od Polaków, którzy wierność bezwarunkową Stolicy Świętej zatwierdzają, a drugi tych, co gotowi łączyć się z nieprzyjaciołmi Kościoła, a przynoszą hołd warunkowy dla celów politycznych. Kiedy do kongresu wysyłają mężowie poważni *Exposé* położenia narodu, wnet krzykacze nie ustępują, i spieszą z innym, choćby mieli zaszkodzić sprawie narodowej, ale potrzebują oni okazać swoją odrębność i nie abdykować przed konserwatystami. Nic dziwnego, że ten sam rozdział, który znać było w sali watykańskiej, który dotarł aż do sali obrad kongresu, manifestuje się i w parlamentach, że wznawia tradycye *liberum veto*, wiąże się z liberalizmem i centralizmem, a do wawrzynów niemieckich łączy wawrzyny lwowskie.

Bolesny to fakt, świadczący, że się obniżył ideał narodowy, ale się z nim na przyszłość liczyć już należy. Nie wystarcza tutaj sama solidarność, bo nią krępować się nie da to, co duchem, ideą poszło na obce tory. Trzeba tylko wzmocnić jedność duchową, trzeba bronić idei Polski katolickiej i wziąć ją za podstawę wszystkich programów parlamentarnych i sejmowych, trzeba szukać gruntu zasad. Inaczej dzisiejszą większość dodatnią podkopać i zniweczyć może prąd negacyi, a solidarność, tak świetnie zadokumentowana na sejmie, może się obrócić w odwrotnym kierunku i pchnąć na tory, duchowi Polski wstrętne.

Z. J.

Kronika.

Dr. Mauryey Busch, zwany przez niemieckiego kanclerza Büschlen, znajdujący się czas jakiś w otoczeniu Bismarka, wydał w Lipsku dziełko pod tytułem: *Graf Bismark und seine Leute während des Krieges mit Frankreich* (*Hr. Bismark i jego ludzie podczas wojny z Francyą*), w której zapisał wszystkie rozmowy i pogadanki kanclerza, jakie doszły do jego wiadomości. Wiele tu rzeczy bardzo ciekawych. O Napoleonie III wyrażał się Bismark w sposób lekceważący, uważał go za człowieka słabych nader zdolności. Jest tu mowa i o Polakach i o Papieżu. Wyrażenie się Bismarka o Papieżu podjął niedawno urzędowy organ pruski *Post*. Chcąc ułagodzić oburzenie katolików wywołane artykułem *Prov. Corresp.* zwraca uwagę na wyżej wspomnione przez nas dzieło Buscha, z którego przytacza słowa znajdujące się na str. 205: „Mówiono (pisze Busch) o zabraniu Rzymu i o papieżu w Watykanie, a ks. Bismark rzekł o nim: Tak jest, monarchą (*Souverain*) powinien on pozostać. Zachodzi tylko pytanie, jakim sposobem? Możnaby dla niego więcej zrobić, gdyby ultramontanie wszędzie nie występowali tak przeciw nam. Jest moim zwyczajem, każdemu wet za wet oddawać.“ Organ rządowy obiecuje tu oczywiście katolikom niemieckim za posłuszeństwo dla Bismarka pomoc pruską do przywrócenia państwa Kościelnego. Lecz katolicy niemieccy nie są dziećmi, które zadowolnią się lada obietnicą; wiedzą, iż obiecać a dotrzymać, jest zupełnie co innego. Nikt nie uwierzy, aby Bismark kiedyś się przyczynił do uwolnienia stolicy Piotrowej. W końcu i to muszę nadmienić, iż podczas wojny francuskiej panował jeszcze zupełny pokój pomiędzy katolikami a rządem pruskim; słowa więc kanclerza albo są przez Buscha źle oddane, albo są wielkim anachronizmem. Najlepszą radę udziela dziś rządowi pewien liberalny dziennik z południowych Niemiec. Dopóki — mówi autor tego artykułu, Kulturkampf faktycznie potrwa, żaden katolik nie uwierzy pokojowym zamiarom ministerstwa pruskiego; niech więc rząd pruski jak najrychlej zawrze pokój z Rzymem, a wszystko pójdzie łatwiej.

* * *

Polacy na Wschodzie. P. Józef Popiel, w artykule *z Notatek podróżnych*, umieszczonym w *Przeglądzie Polskim*, tak nam opisuje pobyt Polaków na Wschodzie: „A brat Słowianin na wschodzie, jakby we własnym znajdował się żywiole, pełną piersią pije tę swobodę polityczną, jaką ma sobie zapewnioną cudzoziemiec, i całem sercem używa tej swobody towarzyskiej, jaka charakteryzuje wszystkie ludy wschodnie. Życie łatwe, przyjemne, nikogo słuchać nie trzeba, przed nikim się rachunku ze swych czynności nie zdaje, opinia publiczna nie istnieje, nikt się nikomu i niczemu nie dziwi — to razem wszystko czyni, że lgnie do wschodu i roztapia się w miejscowym elemencie. Po miesiącu jest jakby w domu, po sześciu przyjął miejscowe obyczaje i zbratał się zupełnie, a po roku, po dwóch, jeżeli wróci do Europy, to tęskni za wschodem i gdzieindziej już żyć nie umie. Żal mu palmy, jakby był pod jej cieniem młodość swą spędził; żal mu konia, na którym błąkał się po pustyni; żal mu domu z dużym kwadratowym dziedzińcem, gazelkami, wielbłądem, czasem i młodym strusiem. Polakowi najwięcej żal może tego uczucia, że się czuje u siebie, bo

jeżeli nie jest panem, to nie jest niczyim sługą, że żyje bez pasportu, a żandarma nie widuje. I Rossyanowi wschód się podoba, podoba ta „szeroka atmosfera,“ jak się zwykle o nim wyraża, ale nad nim czuwa rząd, pilnuje go, pamięta o nim, opiekuje się nim i dziwnie mądrze i własne i jego robi interesa. Rossyanin, chociażby chciał, to na wschodzie nie zginie: gdy zbankrutuje, to go ratują, gdy straci krewnych, to znajdzie przytułek, gdy staje na czele przedsięwzięcia, to go materyalnemi i moralnemi środkami popierają, gdy szuka sławy lub zarobku, to mu nikt w drogę nie wejdzie, a gdy awanturnik lub podejrzanego prowadzenia, lub nie chce wrócić do kraju, to i na to jest środek, odstawią go siłą. Kolonii rossyjskiej właściwie niema nigdzie na wschodzie, ale przy konsulacie czy to kilku, czy kilkunastu, czy kilka tysięcy mieszkańców, stanowi *ipso facto* powiat lub gubernię, w której każdy wie, że słuchać musi i wie jeszcze, że dla siły, dla interesu, dla wielkości własnego rządu słuchać powinien. A Polak, nie bardzo dopytuje się o konsulat, nie bardzo szuka jego opieki, nie bardzo też odwołuje się do jego protekcyi, znalazłszy w mieszkańcach serca gorące i gościnne, dużo naturalnej prostoty i poczciwości, lgnie całą duszą do wschodu, a nawet gdy nie zbisurmanieje naprawdę i głośno do swej narodowości się przyznaje, gdy w szafce chowa ze czcią *Pana Tadeusza*, a co niestety dużo nadziei, gdy na piersiach nosi Matkę Boską Częstochowską, to się tak zrośnie, zespoli z krajem i ludźmi, że nie tęskni za domem i do rodziny nie wraca. Znałem takiego, który nawet między Turkami za Turka uchodził, tak dobrze mówił po turecku i tak się z turecka ładnie nosił i tylko po tem można było poznać jego narodowość, że gdy mówił którymkolwiek wschodnim językiem, a umiał ich kilka, w każdym z nich co trzeci wyraz powtarzał „panie Dobrodzieju.“ Znałem innego, któremu i Vambery mógłby podróży pozazdrościć; był w Bagdadzie i Arabii skalistej, w wielkiej pustyni i między najrozmaitszemi beduińskiemi plemionami, był, jak to mówią, gdzie pieprz rośnie. Niewiele co wiedział o swym domu, języka zapomniał, mógł uchodzić i za Greka, i za Syryjczyka, i za budystę, i za mahometanina, tylko nie za Polaka, ale gdy po trzydziestu latach i to przypadkiem, dla interesu znalazł się w kościele, zrzucił natychmiast turban, mówiąc: „przed Bogiem moim z nakrytą głową nie stanę.“

* * *

Różności: *Kochajmy się* p. Szujskiego — P. Franciszek Kluczycki — Słownik p. Tuszyńskiego — *Powieść o papieżu Urbanie* — Dr. Nowakowski o dziele Baltazara Opecia — Ks. Kronenberger — Poezye Chamca — Patryota — *Figaro* o Polkach — Liszt i jego stosunki z Wagnerem — Papież i wolność ks. Constant, przekład Bronisława hr. Lasockiego.

— Polak zawsze serdeczny. Przy każdej sposobności spada mu z ust stary stereotypowy frazes *Kochajmy się!* Ogień z wodą, złe z dobrem gotów zawsze godzić w imię rzekomego dobra ojczyzny i Chrystusowej niby nauki. A to *kochajmy się!* sprawiło, że zagubiliśmy w sobie niezłomny hart ducha, i nieustraszone przy zasadach obstawanie. Nie lubimy wybitnych charakterów i ludzi o niezłomnych zasadach. My koniecznie chcemy się tak kochać, aby żyć w miłości tak z tym co Bogu, jak i z tym co szatanowi świeczki swoje palą. Tymczasem wybitne charaktery i niezłomnych zasad ludzie takiem kochaniem się pogardzą! Nie cierpimy ich! Ale natomiast, jeźli ktoś niezdolny niczego lepszego wiedzieć, zawoła: *kochajmy się*! porywamy go na ręce, wynosimy w górę i obwołujemy go wielkim i uczonym mężem — *Kochajmy się*! jest patentem

na wszystko! A jednak przeciw tej bardzo szkodliwej społeczeństwa naszego wadzie mało kto odważył się wystąpić. Smutne jej skutki nieraz jeden dały nam się dotkliwie uczuć. Panu Szujskiemu serdeczna należy się wdzięczność, że przeciw niej głos swój podniósł. W wierszu wygłoszonem na biesiadzie (wyprawionej 9 listopada) na cześć Prezesa Akedemii, Józefa Majera, wypowiedział między innemi i to złote zdanie:

O naszej niezgodzie prawiono już wiele,
O łatwej ja zgodzie dziś raczej wystrzelę,
Zapytam, czy raczej nie zdrowo — przedwcześnie
Nie brzmiały tam u nas: Kochajmy się! pieśnie,
Czy nie brzmią po dziś dzień wołania *do zgody*
Rozumu i głupstwa — płomienia i wody?

Gdzie twardych walk braknie o życia zadanie
Tam czy to przy Węgrze, czyli przy Szampanie,
Całować się, kochać i upić się łatwo
Dojrzałym z warchoły, starszyznie wraz z dziatwą,
Gdzie silnie przy dobrem nie stanie mąż woli,
Tam złemu i głupstwu kochać się pozwoli.

. . . .

Nie! Zgodą maślaną marnieją narody
Marnieją, gdy górą nad krewki duch młody,
Nad zapał, co w chwili namiętnej porywa,
Nie schwycą je ciężkie przekonań ogniwa,
Gdy po nad wzgląd każdy, nad uczuć wołanie
Nie stanie im prawda — odwaga nie stanie.

Nie! Zdrowy i silny, gniew święty ma w oku,
Gdy krnąbrni zuchwalcy zrywają się z troku,
Gdy pycha i głupstwo publiczną rzecz kazi.
Gdy z słówek złoconych prywata wyłazi,
Gdy z mózgów zwichrzonych trucizna pociecze
Kochajmy się? tak zdrowy, tak silny nie rzecze.

Nie rzecze! bo bardziej nad siebie i brata
On kocha myśl wyższą, co nad nim ulata,

. . . .

Więc jedną poprawkę w to ojców przezdrowie,
Niech ciężkich doświadczeń stulecie odpowie,
Niech męże, co w służbie na wiedzy wyżynie,
Podejmą, co z przepraw każdej pracy płynie:
Kochajmy lecz prawdę, a starym zwyczajem
W tej prawdy miłości kochajmy się wzajem.

— Rocznica dwóchsetletnia ocalenia Wiednia od Turków przez Jana Sobieskiego (13 września 1683 roku) zapowiada się i w literaturze bardzo poważnie. Pomiędzy innymi p. Franciszek Kluczycki, bibliotekarz w Krzeszowicach, zajmuje się gromadzeniem materyałów do dziejów Jana III, która to praca już lata ciężkiego trudu pochłonęła. Urosły już z tego setki arkuszy gotowego materyału do druku i jest nadzieja, że olbrzymie dzieło będzie

w r. 1883 gotowe i wyjdzie na świat kosztem Akademii Umiejętności nauk w Krakowie.

— Na posiedzeniu w Krakowskiej Akademii Umiejętności w komisyi językowej, przewodniczący dr. Majer przedstawił: *Słownik techniczny kolejowy* p. Tuszyńskiego, ostatecznie zredagowany, jak również tego autora: *Projekt systematycznego wydawnictwa słowników technicznych.* Prof. Kryński nadesłał również Akademii Umiejętności przygotowany przez siebie słownik z *Powieści o Papieżu Urbanie z roku 1514.* W końcu dr. Nowakowski przyjął na siebie opracowanie *Żywota Jezusa Chrystusa*, *Baltazara Opecia* podług wydania Hallera z roku 1522, czyniąc zarazem nadzieję, że cały ten zabytek, będący własnością biblioteki Suskiej, homograficznie wydany zostanie.

— Ks. Andrzej Kronenberger, ze zgromadzenia zakonu Cystersów na Mogile pod Krakowem, wydał rozprawkę treści historycznej pod tytułem: *Czy istnieje prawdziwy wizerunek Chrystusa Pana i gdzie go szukać.* Kraków 1878 roku.

— Znany z ulotnych poezyj, zamieszczanych w różnych peryodycznych pismach p J. C. Chamiec, wydał w Paryżu swe poezye p. t.: *Czem chata bogata* (str. 220) i *Która? Kartka wspomnień paryzkich* (str. 1877). Poezye p. Chamca znane. Nie będziemy więc mówili o nich dzisiaj. Niepodobna jednak nie przytoczyć tutaj jednego ustępu z wiersza noszącego tytuł: *Patryota.* Obraz tego patryoty, nakreślony tutaj przez poetę, zdaje się żywcem przypominać *Obywatela Tromtadratę*, lub *Józefa Banickiego* z *Gazety Narodowej.* Gorzką ironią w następujący sposób smaga poeta tego rodzaju patryotów:

Jeżeli być patryotą, to być: zawadyaką,
Pod chorągwią walczyć każdą, choć i ladajaką,
Robić wszędzie rewolucye, nasamprzód u siebie,
Nie pytając, czy ta kraju głębiej nie zagrzebie,
I nie bacząc, czy z tej walki co na oślep wszczęta,
Dla nas tylko post wykwitnie, a dla wrogów święta.

. . . .

Jeśli na tem patryotów zasadza się cnota —
A to przyznam się otwarcie: jam nie patryota.

— *Figaro* o Polkach. Czytamy w *Kuryerze Poznańskim*: „Jakby przez uprzejmość dla spieszących z Północy cudzoziemek na koniec wystawy, paryski *Figaro* ogłosił szumną a pochwalną charakterystykę kobiety słowiańskiej, z powtarzającym się wykrzyknikiem w polskim języku: Nie ma jak Polki! Jest to fragment napuszonych elukubracyj Liszta, z dawnych bardzo czasów, kiedy mistrz przeważnie wśród naszych rodaczek ideałów szukał. Odtąd podobno aż nadto zupełne nastąpiło rozczarowanie, a nawet złe języki twierdzą, iż gdy jedna z tych, która w nim najstalsze wzbudziła zapały, inne stargawszy pęta, ofiarowała mu serce swoje i rękę, Liszt w kłopocie co prędzej przywdział sutannę, aby jednym sakramentem od drugiego się zasłonić. Mimo jednak tonzury i niższych święceń, mimo religijnego nastroju *Oratoryów*, które w ostatnich napisał latach, nie jest on bynajmniej duchownym, a ścisły związek z Wagnerem i całą szkołą muzyki przyszłości, z pewnością do uduchownienia nie prowadzi."

— W żadnym jeszcze wieku chrześcijańskiej ery nie nadużyto do tyla świętego słowa wolności jak w wieku XIX. Rewolucyoniści francuzcy z wolnością na ustach, nakładali najsroższe kajdany na drugich. W imię wolności uciskają dziś ludy, prześladują Kościół, nakładają więzy na sumienia. O bo prawdziwej wolności po za Kościołem nie masz. *Ibi libertas, ubi Spiritus.* Stara to prawda doświadczeniem wieków sprawdzona. Po za Kościołem może być tylko tyrania lub jej siostrzyca swawola, ale wolności nie ma i być nie może. I zdaje się, że rzecz tę każdy katolik rozumieć i znać powinien, a jednak apostołowie rewolucyj, pisma i dzienniki liberalne tak potrafiły zamącić pojęcia, że tysiące i tysiące ludzi pozostaje pod wpływem ich tyrad, jakoby Kościół i Papież byli wrogami wolności. Był czas, że i u nas w Polsce podobne zdania znajdowały swój odgłos. Dzisiaj znaczna zaszła zmiana. Ludzie rozumni poznali się wreszcie na głoszonej przez rewolucyę i liberalizm wolności, oni wiedzą, że

....ta ich wolność, to na dusze śruby!

Wolność tylko z prawdą chodzić w parze zwykła. W szkole błędów i zdrożności *in scoula d'erori e tempo d'eresia* przebywać nie może nigdy. I tylko bezmyślne lub uprzedzeniami zamroczone umysły mogą jeszcze uśmiechać się do wyszarzanego i krwią zbryzganego sztandaru rewolucyjnej i liberalnej wolności. Nie zaszkodzi jednak ludziom prawdziwej wolności hołdującym wzmocnić swych przekonań przez czytanie dzieł, które o tem gruntownie mówią. Do takich należy właśnie niedawno w polskim przekładzie wyszła na widok publiczny książka ks. Constant p. t.: *Papież i wolność.* (*Przełożył Bronisław hr. Lasocki. Kraków. Nakładem tłómacza 1878 r.*). Przekład pyszny. Język czysty, powiedzieliśmy prawdziwie pański. Na czele, Czcigodny tłómacz, zwracając się do Jego Eminencyi Kardynała-Prymasa, któremu swój przekład poświęca, przytacza prześliczny ustęp z De Maistre'a o wolności przez Kościół Rzymski wywalczonej i wypielęgnowanej. „O święty Kościele Rzymski (woła De Maistre) wielbić cię będę całą duszą, dopóki mi sił starczy!.... *Magna Virum*! Wielcy mężowie z twojego łona wyszli! Nauka Twoja oczyściła wiedzę ludzką z wybujania zarozumiałości i pychy, owych to zarodków trujących prawdziwą mądrość, zawsze niebezpieczną, a częstokroć prowadzącą do zguby. Zbliża się czas, w którym wodzowie Twoi Papieże otrzymają jednogłośne uznanie jako najwyżsi sterownicy oświaty, jako twórcy systemu europejskich rządów i łącznicy jedności pomiędzy nimi, jako opiekunowie sztuk i nauk, orędownicy wolności, nieprzyjaciele despotyzmu, wierni sprzymierzeńcy porządku społecznego, jako dobroczyńcy ludzkości“. Cała przedmowa czcigodnego tłómacza swym nastrojem odpowiada wysokości tych słów De Maistre'a. Widać w niej serdeczną i gorącą wiare, sąd głęboki i szerokie poglądy. Brak tego rodzaju dzieła oddawna czuć się u nas dawał; za podanie go do rąk polskiej publiczności, niech nam wolno będzie wyrazić tutaj czcigodnemu tłómaczowi wyraz prawdziwej wdzięczności. Ȼ.

* * *

Ze Lwowa: Poeta satyryczny i poeta dziecięcy — *Gazeta Narodowa* i mąż zbawiający w Wiedniu ojczyznę — Józef Banita i donosy lokai — Z „ognistego globusu“ i Słowacki — O. Bogdalski — Śmierć polskiej poezyl — Pycha Wiktoro-Hugonowska — Zachwyt Tytanii — Skutki pychy prozaiczno-poetycznej — Dr. Julian Czerkawski w Radzie miejskiej i świadectwo o lwowskiem dziennikarstwie.

Pan Władysław Bełza miał odczyt. P. Bełza wszędzie wejść musi. Mówił o p. Rodociu jako: o.... poecie!.... P. Rodoć poetą i to satyrycznym.

P. Rodoć i p. Bełza... Wielcy poeci. P. Rodoć odda zapewne p. Bełzie pięknem za nadobne, i wygłosi znów o nim odczyt jako o poecie dziecięcym! Satyra p. Rodocia i arlekinada.... Z jednej do drugiej niema żadnego przejścia. Do takiej poezyi można śmiało zaliczyć i patryotyczne reprodukcye *Gazety Narodowej*. Mowa p. Hausnera wprawiła ją w szał niewypowiedziany. P. Józef Banita.... górą! On to swojem łuczywem w fejletonach *Gazety* składanem zasila rozgorzały ogień płonący w piersiach *Gazety*. On wynalazł dworskie u nas stronnictwo. Zmyślanie sprawia mu rozkosz niewypowiedzianą. Bez znajomości historyi wyrósł na historyka. Wielcy „narodowego ducha stróże“, takimi zawsze. Nie cierpi on dworskości. Nic dziwnego. Kocha się w donosach lokajskich, na których opiera swe historyczne o Alexandrze Wielopolskim sądy. Banicie przyszedł w pomoc p. Kornel Ujejski, spadając z „rozpalonego globu“, „atomem“ na szpalty *Gazety Narodowej*. „Jest Bóg!“ woła on. O! jest, gdyż p. Hausner zerwał solidarność i wybrał się zapóźno z odsieczą biednemu Turkowi. Nikt jeszcze Imienia Bożego nie łączył w taki sposob i z taką rzeczą, jak „atom“ z „rozpalonego globu“. List p. Kornela Ujejskiego nabawił *Gazetę* konwulsyonarstwa. Bo i jakiż to list szczytny. Sam jeden O. Bogdalski z zakonu Bernardynów zrozumieć go potrafi. Do tego nie potrzeba zbytniego rozumu — wystarczy swada języka, a nadewszystko gorące „patryotyczne“ uczucie w rodzaju *Obywatela Tromtadraty*. Prawdę powiada *Czas*. „Nie mogła sobie poezya polska, której p. K. Ujejski rzeczywistym i pełnym wyższej wartości jest epigonem, obrać smutniejszej śmierci, jak na ławkach Reichsratu wiedeńskiego, gdzie trzeba mieć polityczny rozum i nie ulegać oratorskim wrażeniom, zapędzającym między centralistów czystej wody, a nie tę wrażliwość, o której niegdyś pisał Słowacki:

Ojczyzna twoja, święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna
Ty idziesz za nią, jak duch baranka
I wołasz: Wieczna...

Jeżeli drogę tęczami znacząc,
Wyżej podleci i tonie w mgłę,
To ty baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: We! we!

Bodaj też, czy nie Nemezą za wiele grzechów prawdziwie Wiktoro-Hugonowskiej pychy, tak dalekiej od „skromności i niewinności“, którą Słowacki niegdyś w wrażliwym widział baranku, jest ostatnia jego miłość i zachwyt podobny do zachwytu Tytanii w Bottomie *Snu Nocy Letniej*. Bodaj czy nie Nemezą za tę wiarę w potęgę słowa, gdy minęły już czasy słowa tylko, a przyszedł czas pracy i sumienia, czas, w którym słów porywających wyuczyć się łatwiej, niż zachować milczenie, lub tylko tyle powiedzieć, ile powiedzieć potrzeba....

Bądź co bądź, obowiązkiem naszym nie: We! we! wołać za kochanką Ojczyzną, bo kochanką ona nie jest, ale matką. Wobec tego, że jest matką, źli tylko synowie mogą bez podstawy innej, prócz pychy prozaicznej czy poetycznej, to wszystko jedno, odsądzać od patryotyzmu i politycznej dojrzałości tych, przy których stanęło znowu całe koło synów ojczyzny“.

Koniec końcem list pana Ujejskiego wywarł potężne wrażenie na prześwietną Radę Miejską. Ojcowie miasta nadali obywatelstwo honorowe

p. Hausnerowi. Na nic się zdały rozumy. P. Piątkowski blacharz i radny pobił wywody dr. Juliana Czerkawskiego i jego wniosek przyjętym został. Takiej mowy jak dr. Czerkawskiego dawno nie zdarzyło się nam czytać. W świetny sposób rozebrał on mowę p. Hausnera. *Czas*, oddał prawdziwą przysługę publiczności polskiej, że jego mowę podał w całości. Zdania wytrawne, poglądy trzeźwe i szerokie, sądy głębokie. Oto zalety tej mowy. Żal nam doprawdy, że dla braku miejsca, podać jej w całości nie możemy. Po raz to pierwszy wzgromadzeniu Miejskiej Rady znalazł się mąż, który miał odwagę oświadczyć się przeciw popularnym u nas, ale zgubnym wielce dla ojczyzny opiniom i wypowiedzieć gorzką prawdę obecnym na posiedzeniu lwowskim dziennikarzom. Cześć mu za to! Cześć, że dał folgę publicznemu sumieniu ludzi uczciwych!...

— Korespondent z Berlina donosi *Czasowi*, że tam wielkie sprawiła wrażenie obecność księżnej Odescalchi, a więcej jeszcze zachowanie się względem niej żony kanclerza. Księżna Bismark sama przyjęła ją, jak pisze *Gazeta Krzyżowa*, na dworcu i odprowadziła wczoraj znowu na kolej. *Fremdenblatt* tutejszy dowiaduje się nawet, że księżna Odescalchi odwiedziła także kanclerza we Friedrichsruhe.

* * *

Na Krzyż Biskupi

DLA OJCA ŚWIĘTEGO LEONA XIII

złożyli w Redakcyi:

Lista I.

JADWIGA LEONOWA SAPIEŻYNA	100	złr.
ADAM książę SAPIEHA	100	"
IZABELA z hr. STADNICKICH hrabina KRASICKA	20	"
FELICYA hr. MIEROWA	10	"
KAROL hrabia LANCKOROŃSKI	50	"
P. SKIBNIEWSKA . . . . 1 dukat w złocie	—	"
Hrabina M.	5	"
Pani P. . . . 1 napoleondor	—	"
N. N.	5	"
P.... L... (syn)	20	"
X. X. z Tarnowa l. 15	5	"
P. BIAŁECKA ze Lwowa	2	"
Ks. kanonik KALINIEWICZ, proboszcz trembowelski i dziekan	2	"
Ks. OTTON HOŁYŃSKI	3	"
M. K. ze Lwowa	1	"
Ks. EDWARD PODOLSKI	5	"
Ks. MARCELI PIĄTKOWSKI, wikaryusz archikatedralny	1	"
Ks. LEONARD SOLECKI " "	1	"
P. ** ze Lwowa	10	"
X. JACEK MAJEWSKI kapłan z zakonu św. Dominika	2	"
Ks. kanonik TURZAŃSKI, Proboszcz Metropolitalny i Dziekan Lwowski w srebrze	6	"

Do przeniesienia: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i 348 złr.

Z przeniesienia: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i 348 złr.

Ks. Stanisław Korzeniowski, proboszcz parafii Matki Boskiej Śnieżnej we Lwowie ze składek	4 złr.
P. Sieber, kawaler orderu św. Grzegorza	25 „
Zgromadzenie panien Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny z Jazłowca	10 „
Ks. Prałat Teliga, Dziekan kapituły krakowskiej . . .	20 „
C. K.	1 „
Razem: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i	408 złr.

* * *

Lista II.

Adamowa hr. Potocka	50 złr.
Tytus Kielanowski	25 „
K. hr. M.	1 „
X. L.	1 „
Ks. Koczorowski, Szambelan Ojca Św. Piusa IX, Dziekan i proboszcz w Milatynie	5 „
Ks. Horżak Rektor krakowskiego kollegium OO. Jezuitów .	10 „
Ks. Kanonik Antoni Stańkowski Dziekan i proboszcz z Biłki 5 franków w srebrze	
Siostry Felicyanki z ochronki imienia św. Antoniego . w srebrze	2 „
Ks Janer proboszcz z Tarnopola ze składek w kościele . .	10 „
Razem: . 5 franków i	104 złr.
Z pierwszej listy: 1 napoleondor, 1 dukat i	408 „
Razem: 1 napoleondor, 1 dukat, 5 franków i	512 złr.

* * *

Świętopietrze.

OJCU ŚWIĘTEMU LEONOWI XIII

złożyli w Redakcyi:

(Serya II)

Ks. Gorazdowski w srebrze	1 złr.	
P. Tytus Kielanowski	50 „	
K. hr. M.	5 „	
Ks. Janer proboszcz z Tarnopola	20 „	
Razem .	76 złr.	
Z przeniesienia: 76 rubli, 1 dukat w złocie i .	131 „	38 ct.
Razem 76 rubli, 1 dukat w złocie i .	207 złr.	38 ct.

* * *

DO CZYTELNIKÓW.

W przyszłym zeszycie *Przeglądu* rozpoczniemy druk artykułu p. t. *Rozwój kwestyi Wschodniej*, będącego streszczeniem znakomitej rozprawy Juliana Klaczki, drukowanej świeżo w *Revue des Deux Mondes*, p. t.: *Les Évolutions de la Question Orientale*.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Rozwój Kwestyi Wschodniej.

Kwestya wschodnia, tak żywo od lat tylu interesująca dwie części świata, absorbująca uwagę tylu znakomitych dyplomatów i mężów stanu, dla której tyle się już wylało i jeszcze wyleje łez, krwi i — atramentu... doczekała się wreszcie godnego siebie historyka. Nie ma dziś w Europie ani jednego publicystycznego pióra, któreby jej nie poświęciło dłuższej lub krótszej pracy, nie ma stanowiska, z któregoby jej nie rozbierano, tak, że zdawałoby się, iż niepodobna już na ten temat napisać nic nowego, że mówić o tej sprawie intelligentnej publiczności europejskiej, która już tyle się nasłuchała o niej, znaczyłoby toż sama, co nosić drwa do lasu a sowy do Aten...

A jednak znalazł się pisarz, który o kwestyi wschodniej napisał rzecz tak ciekawą, tak świetną, nową i świeżą, że ją w całej Europie czytają z najżywszem zajęciem, zachwycając się wytwornością i mistrzowstwem wykładu, zręcznością przedstawienia, oryginalnością spostrzeżeń, doniosłością treści, co wszystko nadaje jej pierwszorzędne i wyjątkowe znaczenie. Tym pisarzem jest nasz rodak, cieszący się sławą europejską, autor *Dwóch kanclerzy*, tem zjawiskiem zaś *essays* historyczno-publicystyczne, będące ozdobą ostatnich zeszytów *Revue des Deux Mondes*, a noszące tytuł: *Les évolutions du problême oriental* [1]).

---

[1]) Utwór tak znakomity zasługiwałby ze wszechmiar na to, aby go podać w wiernym przekładzie, wtedy bowiem tylko uwydatniłyby się w nim wszystkie świetne zalety; gdy jednak ramy pisma nie pozwalają na tłómaczenie, ograniczamy się na obszernem i szczegółowem streszczeniu, przytaczając najważniejsze ustępy w dosłownem brzmieniu, inne skracając i parafrazując. Całość artykułu pozostanie w ten sposób własnością p. Klaczki; uprzedzamy tylko z góry, że wszystko, co tutaj uderzy i zachwyci czytelnika, tośmy powtórzyli wiernie za genialnym pisarzem, co zaś wyda mu się zwyczajnem, tam dla

I.

Katolickie Mocarstwa.

A.

Uważamy częstokroć za koniec świata to, co jest właściwie tylko końcem naszych idei: pomimo, że mnóstwo rzeczy, które się stały drogiemi naszym interesom i nawyknieniom, w takim dniu nieszczęsnym pada ofiarą strasznej katastrofy, niemniej przeto natura wypełnia dalej odwieczne swe zadanie, a ludzkość postępuje dalej w swym nieustającym pochodzie przez ruiny i gruzy: *volve sua spera e beata si gode...* Tego bolesnego doświadczenia nie oszczędzono wcale pokoleniu, które widziało Konstantynopol, wpadający w ręce Osmanów. Tak upokarzający tryumf islamu nad prawdziwą wiarą i to w samem sercu Europy, w grodzie Cezarów, tak opłakane zakończenie świetnego i pełnego chwały dzieła wypraw krzyżowych, nad którem pracowały trzy stulecia — mogły zaiste zbłąkać umysły, rozgoryczyć i zrozpaczyć dusze. Wiele ludzi wierzyło wówczas w wypełnienie się wieków i w przyjście Antychrysta, a pod grozą tak okropnej klęski niktby zapewne nie przypuścił aby pomiędzy książętami chrześcijańskimi a sułtanem mogły zachodzić kiedykolwiek inne stosunki, jak ciągłej śmiertelnej nieprzyjaźni; dalszą wojnę krzyża z półksiężycem uważano za rzecz nieuchronną. A jednak stało się inaczej; gorliwe zabiegi Papieży: Mikołaja V., Kaliksta III, wreszcie Piusa II, którzy usiłowali nakłonić różne mocarstwa do wspólnej walki przeciw Turkom, spełzły na niczem wobec rywalizacyi i chciwości sprzymierzonych. To też wkrótce nieszczęśliwy Papież, nie wiedząc innego sposobu rozwiązania sprawy, którą już wówczas nazywano *res orientales*, wystosował do Padyszacha szczególne wezwanie, ażeby przyjęciem wiary chrześcijańskiej zdobył sobie prawo do mianowania się prawym spadkobiercą Paleologów — zaręczał mu, że wtedy będzie „najpotężniejszym i najsławniejszym ze śmiertelników“, że stolica święta nada mu tytuł „cesarza Greków i Wschodu“, że wszyscy chrześcijanie będą go czcili i wybierali na rozjemcę w swych sporach, że wszyscy uciśnieni

---

braku miejsca, odstępując od jego narracyi, dopuściliśmy się takiej samej winy, jaką się zarzuca sprawozdawcy, gdy podaje suchy szkielet treści znakomitego dramatu, poezyi lub innego dzieła sztuki. Po tem wytłómaczeniu się wobec publiczności za pomocą jasnego postawienia kwestyi, przystępujemy do rzeczy. Cytowanie poszczególnych źródeł, z których czerpał autor, uważaliśmy tu za zbyteczne.

zwracać się doń będą jako do wspólnego opiekuna. Temi słowy w dziesięć lat po zdobyciu Konstantynopola, bo w r. 1463, przemawiał do potomka dzikiego Togrulbega, następca Urbana II., najwyższy zwierzchnik Kościoła, sławny Eneasz Sylwiusz Piccollomini. Świeccy naczelnicy chrześcijaństwa okazywali się jeszcze nierównie mniej wymagającymi: nie żądali ani śmierci grzesznika, ani nawet jego nawrócenia — pragnęli tylko trochę pewności dla handlu z Lewantem! Wprawdzie nie zrzekli się od razu wszelkiej wspólnej akcyi przeciw niewiernym, wszelkiej nadziei zmycia kiedyś „wielkiej hańby tureckiej“ — myśl o wyprawach krzyżowych miała jeszcze nawiedzać umysły długo, podczas całego XVI wieku aż do bitwy pod Lepantem; ale pospolite potrzeby życia, materyalne interesa państw wywierały wpływ przeważny i usposabiały do pojednania. Względy te sprawiły, że powoli zaczęto szukać środków zbliżenia się do Osmanów, zawiązania z nimi stosunków dyplomatycznych, zgodzenia się na *modus vivendi* — jeźli się godzi użyć tutaj tegoczesnego wyrażenia.

Pierwsi weszli na tę praktyczną drogę, pierwsi pozbyli się wszelkich skrupułów, niewczesnych w podobnej sprawie — łatwo to odgadnąć — Wenecyanie, wielki naród handlarzy, który od wieków dzierżył berło handlu, wypadłe niegdyś z rąk Kartaginy. Kiedy na dniu 29 czerwca r. 1453 nadeszła smutna nowina o zdobyciu Konstantynopola, „płacz wielki“, wedle słów kronikarza Marino Sanuto, rozległ się w mieście lagunów. Stary doża Francesco Foscari, zwoławszy natychmiast senat, kazał sekretarzowi rady dziesięciu odczytać listy, przywiezione przez wysłańców, i w wzruszającej mowie domagał się niezwłocznej wojny; ale roztropni *pregadi* zachowali zimną krew, jako ludzie ostrożni, znający się na interesach. Lew św. Marka osłaniał swemi skrzydłami na morzu Śródziemnem 3.000 kupieckich statków z 25.000 majtków, które co rok zwiedzały porty cesarstwa byzantyńskiego, Cypru, Armenii, Syryi, Egiptu i państw barbarzyńskich. Była to okoliczność, godna szczególnej uwagi; to też zamiast wyzywać zdobywcę, uchwalono na wielkiej radzie wyprawienie Bartolomea Marcella do sułtana do Adryanopola, aby wyjednać u niego korzystny traktat handlowy. Nie było to jednak bynajmniej rzeczą tak łatwą, poswatać Rzeczpospolitą Wenecką z Padyszachem; Mahomet nie wahał się rozpocząć wojny, której sygnoria pragnęła uniknąć, zagrażając jej posiadłościom w Peloponezie. Do pokoju przyszło dopiero roku 1479; Republika utraciła wiele ziemi, lecz osiągnęła wreszcie korzystne warunki dla domów han-

dlowych Lewantu. Laguny ujrzały wtedy po raz pierwszy sułtańskiego posła, sandżaka, który obok słonia, przyprowadzonego z Indyj, był wielką osobliwością roku 1479 w grodzie św. Marka. Sandżak przybywał, ażeby odebrać przysięgę pokoju od naczelnika weneckiego państwa, i aby mu ofiarować ze strony Jego Wysokości dar zupełnie wschodni: złotą przepaskę, bogato wysadzaną dyamentami, którą dożowie mieli odtąd nosić jako znak przyjaźni dla sułtana, lecz której odebranie zastrzega sobie dawca przy sposobności; żądanie podobne służyłoby za znak zerwania stosunków.

Wiedziano już oddawna, jak wielkie upodobanie znajdowały damy seraju w niezrównanych swoją delikatnością weneckich wyrobach szklannych, iskrzących się cudnych cackach z Murano — lecz jakżeż przyjemnej doznano niespodzianki, poznając w Mahomecie II gust daleko wyższy, kiedy przez osobnego posła poprosił rzeczpospolitą o przysłanie utalentowanego malarza. Sygnorya po uroczystej naradzie powierzyła pochlebną missyę jednej ze znakomitości miasta, starszemu z pomiędzy braci Bellinich. Gentile Bellini, łaskawie przyjęty przez sułtana, wykonawszy dla niego wiele obrazów i medalionów, powrócił z „zaszczytnemi darami i godnością kawalera", dumny z tego, że mógł podpisywać się na swych pracach, jako *eques auratus*, *comesque palatinus*. Godzi się zauważyć mimochodem, że te wykwintne umysły z epoki renesansu nie doznawały wstrętu, jakibyśmy im pragnęli przypisać, do niewiernego i obrazoburcy. Najuniwersalniejszy geniusz tej wielkiej epoki, „boski" Leonardo da Vinci, myślał nieraz o przyjęciu służby u sułtana i udzieleniu mu głębokich wynalazków mechaniki i balistyki, których tajemnicę uniósł z sobą. Sam nawet Michał Anioł, wywołany z Florencyi, powaśniony z papieżem, rysując dla Wenecyi *Ponte Rialto*, powziął pewnego razu zamiar wystawienia podobnego mostu na Perze. Myśl się zatrzymuje, wzruszona wobec fantastycznego przypuszczenia o starym Buonarottim, przeniesionym nagle nad Bosfor, przerabiającym tam może kościół św. Zofii, zamiast Bazyliki św. Piotra, i w braku Wiktoryi Kolonny, szukającym jakiego muftiego albo derwisza o szerokiej i sympatycznej intelligencyi — a nie brakło ich w otoczeniu Solimana — ażeby z nim rozprawiać o wysokich zagadnieniach życia.

Nigdzie może sławna dyplomacya wenecka nie dowiodła tyle czujności i zręczności, jak w Konstantynopolu. Grunt tam był bardzo śliski; oprócz serajowych intryg, oprócz wielkich zawikłań europejskich, które prawie zawsze odbijały się w Bosforze, rzeczpospo-

lita św. Marka musiała czuwać nad własnemi, bardzo znacznemi a ustawicznie narażanemi interesami. Liczne jej posiadłości na Adryatyku, na morzu Egejskiem i Śródziemnem, były przedmiotami nieustannej chciwości dla padyszacha, pobudkami do wiecznie odradzających się wojen, z których Osmanie prawie zawsze wychodzili zwycięzko. Po każdej z tych wojen, wedle słów Sarpi'ego, trzeba było postarać się o „strusi żołądek, ażeby strawić wszystkie te straty", i zawiązywać na nowo stosunki, odzyskiwać dawne korzyści, zawsze układać się, „układać się z godnością, bez podłości i trwogi", jak się wyraża Marco Antonio Barbaro, jeden ze zręcznych dyplomatów rzeczypospolitej na Wschodzie. Dzielnym argumentem w ich ręku bywało zwykle złoto bogatego miasta włoskiego. Hrabia Bedmar, poseł hiszpański przy republice, w roku 1619 obliczywszy, że Wenecyanie rozdają w Stambule rocznie 400.000 dukatów, mówi: „złoto *bajlego* — tak zwano od najdawniejszych czasów rezydenta weneckiego przy Porcie Ottomańskiej — dociera aż do seraju i znajduje przystęp nawet do samych sułtanek". Dzięki gorliwym zabiegom i wielkiej hojności, mimo przeszkód a nawet niezliczonych wojen, *bajli* w Konstantynopolu zajmował stanowisko zawsze wybitne i znaczące, przez długi czas jedyne; później ustępował tylko francuzkiemu ambasadorowi.

Francya najprzód wytknęła sobie drogę zupełnie inną w kwestyi wschodniej, wielkiej sprawie chrześcijańskiego świata pod koniec XV i na początku XVI wieku; daleka od naśladowania utylitarnej polityki, jakiej się trzymano na lagunach, zdawała się przez długi czas być natchnioną wielką tradycyą Godfreda i świętego Ludwika. W oczach Karola VIII zdobycie Neapolu było tylko pierwszą stacyą do nierównie zasłużeńszego i chwalebniejszego przedsięwzięcia; wyszukał on ostatniego potomka Paleologów, który aktem notaryalnym ustąpił mu swych praw do Konstantynopola; przybrał tytuł króla Jerozolimskiego bez innych formalności, i marzył tylko o podźwignięciu królestwa greckiego, jak wówczas nazywano starożytne cesarstwo bizantyńskie. Sam Franciszek I nie miał na początku swego panowania innej myśli, jak „zapobiegać potępionym zamiarom Turków". Z Bolonii, gdzie się spotkał z papieżem Leonem X młody zwycięźca z pod Marignan, ciepły jeszcze od dymu bitwy, wystosował do Ferdynanda katolickiego list płomienny, zachęcając go do wyprawy krzyżowej. Niedługo potem, na początku roku 1517 zebrał się w Cambray kongres dla ułożenia warunków pokoju i przymierza pomiędzy cesarzem Maksymilianem, królem

Hiszpanii i monarchą arcychrześcijańskim. W urzędowej instrukcyi, danej przez ostatniego panu de Boisy, czytamy, że walka za wiarę, jest najpiękniejszym i najświętszym obowiązkiem zarówno cesarza, jak króla chrześcijańskiego, który z tej przyczyny nosi to imię, jako też króla katolickiego... Wieczysta ironio kwestyi wschodniej! Obok instrukcyi miał jeszcze pan de Boisy inną, jak najpoufniejszą i najszczerszą, która zamiast Turcyi, miała na celu podział Niderlandów i Włoch... W dwa lata później, wyniesienie Karola V na tron cesarski dało hasło do współzawodnictwa domów francuzkiego i austryackiego, które miało trwać przez całe pokolenia, a którego pierwszy epizod zapisał się wielkim dniem pod Pawią. Wieczorem, czy też nazajutrz po tej bitwie, Walezy jako jeniec, ściągnąwszy z palca pierścień, jedyne swoje wówczas bogactwo, polecił pewnemu szlachcicowi, aby go zaniósł tajemnie do Solimana: król arcychrześcijański upraszał o pomoc naczelnika „wiernych."

Historya, poparta należycie wiarygodnemi świadectwami i dokumentami, przybiera tutaj wszelkie cechy wschodniej baśni. Pierścień Franciszka I zginął wraz z nieszczęśliwym posłańcem, zamordowanym i obdartym w drodze przez jednego z tych okrutnych begów, czy sandżaków, którzy już wówczas gnębili Bośnię; ale Ibrahim z Pargi, sławny w. wezyr Solimana, kazał odszukać kosztowny kamień. W roku 1533 pokazywał on ten rubin z pewną dumą, wytykając brak szlachetności w postępowaniu cesarza z niedawnym jeńcem. Myśl, którą wyrażał ów wspaniały pierścień, nie miała zaginąć; Walezy podjął ją z zapałem, skoro tylko powrócił z niewoli z Madrytu. W sprawie tak ciemnej i wedle wyobrażeń wieku tak nagannej, jak te układy z niewiernym, używano przez długi czas agentów nieznanych, tajemniczych, po większej części cudzoziemców, a więc polskiego wygnańca Łaskiego, węgierskiego konspiratora Frangipani'ego, hiszpańskiego awanturnika Rinconie'go. Mimowoli przychodzi tu na myśl p. Bismark, przed r. 1866 i 1870, zawiązujący podejrzane stosunki z partyą europejskiej rewolucyi. Wszyscy ci agenci zresztą składali dowody zadziwiającej gorliwości i poświęcenia: niejeden z nich padł ofiarą swej niebezpiecznej missyi i to nie zawsze z bośniackiej ręki, gdyż mocarstwa katolickie nie wahały się usunąć posłów tak szatańskiej sprawy. Wszyscy oni usiłowali zwalczyć uprzedzenia, rozpowszechnione przeciw Turkom i wykazać ich dobre przymioty; wysławiali przeto wielkoduszność Solimana, geniusz polityczny jego wezyra Ibrahima i w ogólności wojenne cnoty rasy. „Panuje tu zadziwiający porządek, ani

śladu gwałtu — pisał w r. 1532 poseł Franciszka I, Rinconi, o rozległym obozie Solimana, który zajmował mil trzydzieści — kupcy zupełnie bezpieczni, kobiety nawet przechadzają się jakby w europejskiem mieście; życie równie pewne, równie dostatnie i łatwe, jak w Wenecyi. Sprawiedliwość jest tutaj tak wielką, że chciałoby się wierzyć, iż to chrześcijanie są teraz Turkami, Turcy zaś zostali chrześcijanami". Wówczas tak samo, jak dzisiaj żołnierz muzułmański był mężny, trzeźwy i karny; wówczas jak dzisiaj sprawcami powszechnej grozy przed Turkami byli baszybożuki, te niezmierzone tłumy nieregularnych wojsk, dzikie pokolenia, które jak szakale krążyły około armii Padyszacha. Stosunek Franciszka I do Turcyi, wyjawiony publicznie w uroczystym traktacie, miał olbrzymią doniosłość. Francya Walezych wobec Porty Ottomańskiej przybrała postawę nierównie bardziej stanowczą, aniżeli weneccy *pregadi*; nie ograniczając się na zawarciu z nią związków handlowych, przyjęła i ogłosiła Turcyę jako żywioł równowagi europejskiej, rzuciła ciężar bułata na szalę państw, uznała go za ciężar normalny i prawidłowy. Dobre stosunki ze sułtanem stały się odtąd jednym z głównych punktów francuzkiego systemu, a nawet jedną z rzadkich stałych zasad tak zmiennej polityki tego kraju; utrzymywane tak samo przez Burbonów, jak przez Walezych, stały się prawem pod wszystkiemi rządami, począwszy od Franciszka I, aż do Ludwika XIV, i od Ludwika XIV do Ludwika XVI.

Niemniej przeto owo przymierze arcychrześcijańskiego króla z pohańcami było wielkim skandalem XVI wieku. Stolica święta karciła je bardzo surowo; Hiszpanie i Niemcy mówili o niem ze zgrozą; Karol V i Filip II nie wahali się rzucić nieraz sąsiadowi obelżywego słowa: renegata, a Francuzi z czasów ligi nie okazywali się bynajmniej nieczułymi na podobne zarzuty. „Przyjaźń dla Turcyi — pisał w roku 1553 ambasador wenecki na dworze Henryka II — bardzo się nie podoba *(molto displaccia)* Francuzom; mniemają oni, że nie przystoi godności monarchy arcychrześcijańskiego, aby się posługiwał niewiernymi". Przyjaźń ta miała szczególniej zawstydzać Guis'ów, a kardynał Lotaryngii dążył do zmazania tej „hańby" (*infamie*). Za rządów Katarzyny Medycejskiej i jej dzieci wielka myśl przekazana władcom Francyi przez jeńca z pod Pawii, nieraz ulegała zaćmieniu, a nawet była bliską zgaśnięcia, lecz zawsze znaleźli się politycy dla ożywienia jej w chwili niebezpieczeństwa. Pomiędzy tymi ludźmi należy wymienić przedewszystkiem wielkiego dostojnika Kościoła, Franciszka de Noailles,

biskupa z Acqs, posła francuzkiego w Wenecyi, później zaś w Konstantynopolu, jednego z najzręczniejszych dyplomatów tej epoki. Rzecz dziwna, najbardziej może do utrzymania dotychczasowej polityki francuzkiej wobec Porty przyczyniło się przesadne wyobrażenie, jakie miano wtedy o bogactwach sułtana, o niezmiernych skarbach, nagromadzonych w seraju, z których miano nadzieję otrzymać choćby okruchy w formie subsydyów lub pożyczek. Pożyczka turecka odgrywała niemałą rolę w XVI jak w XIX wieku, tylko w znaczeniu wręcz odwrotnem. Henryk II, Franciszek II i Karol IX, nie przestawali trudzić Wysokiej Porty pieniężnemi przymówkami i propozycyami. Turcy umieli zawsze zbywać wymijająco te niedogodne prośby; przyciśnieni zbyt silnie, zasłaniali się koranem, tą księgą nad księgami, która im służyła do dopięcia tylu zamiarów i fortelów. Biskup z Acqs pisze pod dniem 22 marca roku 1573 do Karola IX: „Odwlekę prośbę o pożyczenie trzech milionów złota, nie dlatego, ażebym się lękał rumieńca wstydu *(non que je craigne la honte de rougir)*, lecz, że jestem pewny, że W. Kr. Mość spotkałaby się z odmową, jak już nieraz dawniej bywało. Turcy, pożyczanie pieniędzy chrześcijanom poczytują za grzech nieodpuszczony przeciw prawu i religii, a nie było pomiędzy wszystkimi Otomanami księcia, któryby chciał ściślej pod tym wzgledem przestrzegać przepisów koranu, jak Selim“.

Z wyjątkiem przecież delikatnej kwestyi pieniężnej, nie miał król arcychrześcijański z pewnością powodu do skarżenia się na dywan. Francya w XVI wieku, używa najrozleglejszych przywilejów w Lewancie: jej imię i jej flaga, zakrywały tam wszystkie chrześcijańskie narodowości, oznaczone wspólną nazwą *Franków*; a wszystkie inne państwa, z wyjątkiem Wenecyi, chcąc prowadzić handel na tureckich wodach, musiały wywieszać francuzkie kolory. Czyniły tak Portugalia, Katalonia, Sycylia, Genua, Lukka, Ankona i Raguza, a nawet — co dziś jest rzeczą trudną do pojęcia — Anglia. W rzeczy samej aż do roku 1583, każdy angielski kupiec na Wschodzie musiał być „zaopatrzony w świadectwa i w paszporty“ francuzkiego ambasadora w Konstantynopolu, uznać za sędziów konsulów króla arcychrześcijańskiego i nie „żeglować, ani nie kupczyć w Lewancie inaczej, jak pod banderą i protekcyą tegoż monarchy“. Nic dziwnego, że naród, który miał takich marynarzy, jak Drake, Raleigh i Essex, a którego królową była Elżbieta, chciał wreszcie zerwać krępujące go więzy, chciał się uwolnić od uciążliwej i zbyt długo trwającej opieki; ale co jest rzeczą dziwną, to, że inicyatywę

Indyj i nie liczyła między swymi poddanymi ani jednego wyznawcy Koranu.

Arabski islamizm, zagrażając w Europie w VIII wieku, znalazł ją jeszcze zjednoczoną w wierze, podległą jednej duchownej głowie; islamizm otomański w XV wieku, poznał ją już rozdzieloną na dwa kościoły: wschodni i zachodni, a ta schyzma, jak wiadomo, ułatwiła mu niemało zawojowanie bizantyńskiego państwa. W następnym wieku powiększył się jeszcze zatarg; wybuchł on w łonie samego zachodniego kościoła i stał się znowu główną przyczyną nagłych i groźnych postępów wojsk muzułmańskich w sercu chrześcijaństwa. Wzrost reformacyi w Niemczech bardzo był Turkom na rękę. Niemniej przeto imię muzułmanina było powszechnie znienawidzone, a wszyscy katolicy, czy protestanci czuli żywo zgrozę „hańby tureckiej“; Luter w płomiennych odezwach nawoływał do krucyaty przeciw niewiernym. Ale tu więcej niż gdzieindziej spełniło się przekleństwo Pisma św. przeciw wszelkiemu królestwu rozdzielonemu. Wskutek tego Soliman zdołał obledz Wiedeń i zdobyć Budę; dwukrotnie cesarz austryacki musiał mu ustąpić prawie całych Węgier; dwukrotnie musiał mu się zobowiązać do płacenia „pensyi“, to jest rocznego haraczu w kwocie 30.000 dukatów. Nad Bosforem żywiono wtedy dla starego cesarstwa Hohenstaufów uczucie niewysławionej pogardy, o czem świadczą liczne ustępy z relacyj posłów różnych państw europejskich w Konstantynopolu.

Było jednak w tymże XVI wieku wielkie mocarstwo europejskie, które przez długi czas wysoko i silnie dzierżyło sztandar wiary, długo nie znało z niewiernym ani rozejmu, ani porozumienia, a nawet raz zadało mu cios, którego następstwa mogły być śmiertelne. Podczas gdy wszędzie indziej krucyata była już tylko wspomnieniem minionych wieków i czczym symbolem, w Hiszpanii miała zawsze żywą tradycyę; tę walkę z bisurmaninem, której dawni rycerze szli szukać za morze, ojczyzna Cyda i Izabelli katolickiej prowadziła w domu. Czterdzieści lat jeszcze po wkroczeniu Mahmuda do Konstantynopola, królestwo Maurytańskie trwało u stóp Alpucharry. Ze zdobyciem Grenady w r. 1492, rozpoczyna się zaczepna walka krzyża przeciw zwycięzkiemu półksiężycowi; kardynał Ximenes, przenosząc walkę po za cieśninę, zdobył na koranie całe północne wybrzeże Afryki; odtąd też stanowcze spotkanie wcześniej lub później pomiędzy dwoma pierwszorzędnemi potęgami, katolicką i muzułmańską, było rzeczą nieuniknioną. Że Padyszach zawziął się szczególniej przeciw domowi Austryackiemu, który był wówczas hiszpańskim

pod tym względem, wziął człowiek prywatny, bogaty „handlarz“, który na miejscu i na własnej osobie doświadczył niedogodności systemu. Wiliam Harebone po dłuższym pobycie ze „świadectwem i paszportem“ francuzkim w Konstantynopolu, gdzie się potajemnie układał z dywanem i umiał zaskarbić sobie względy, wylądował z nienacka (29 marca 1583 r.) w Bosforze, w charakterze ambasadora królowej dziewicy; tak skromnemi były początki tego szeregu sławnych dyplomatów, którzy pod imieniem lorda Strangforda, lorda Redclifa i sir Augustyna Layarda, mieli kiedyś opiekować się, rządzić i panować nad sułtanami chylącego się do upadku państwa. W depeszach posła Henryka III, pana de Germigny, można śledzić różne ciekawe fazy tego dyplomatycznego wypadku, który wywołał wielki gniew nad brzegami Sekwany; można tu schwycić na gorącym uczynku sytuacyę, która odtąd powtarzała się tylokrotnie, że Francya i Anglia walczyły z sobą w Konstantynopolu, mając w gruncie rzeczy też same interesa i tegoż samego wroga (wspólnym ich wrogiem był wtedy król Filip II), Porta zaś ciągnęła wielkie korzyści z tych płochych zapasów. „Sułtan — pisze w roku 1585 *bajli* Morosini — przywiązuje tem większą wagę do przyjaźni królowej angielskiej, ponieważ jest silnie przekonany, że ona już dla samej schyzmy religijnej, nie połączy się nigdy z innymi chrześcijańskimi książętami przeciw niemu, że mu owszem posłuży za wyborne narzędzie (*instrumento attissimo*) dla rozerwania i zniweczenia całej ich ligi.“

Nie zawiódł się Padyszach w tych błogich nadziejach. Franciszek I w chwilach największego zbliżenia z Solimanem nie wyszedł po za obręb interesów politycznych; Elżbieta w stosunkach swych z Muradem III, dawała do zrozumienia wspólność interesów religijnych; w listach do sułtana przybierała tytuł: *verae fidei contra idolatros propugnatrix*, a bałwochwalcami byli tu oczywiście Katolicy. Harebone w memoryale, wystosowanym r. 1587 do Murada, wystawiając mu potrzebę „wytępienia bałwochwalców“, mówi między innemi: „Jeżeliby Wasza Wysokość zechciała w porozumieniu z moją władczynią bez zwłoki rozpocząć wojnę, pyszny Hiszpan i szalbierczy papież nie uniknęliby kary za swoje zuchwalstwo, gdyż Bóg, opiekujący się tylko swoimi, nie omieszkałby ukarać surowo tych bałwochwalców, ażeby ci, którzyby ich przeżyli, nawrócili się ich przykładem i chwalili Boga wspólnie z nami“. Jak widzimy, Anglia już w XVI wieku była „wielką potęgą mahometańską“ lorda Beaconsfielda, jakkolwiek wówczas nie posiadała jeszcze

domem, że był jawnym sprzymierzeńcem Francyi, wielkim tego domu współzawodnikiem w Europie, że się o przymierze z nim usilnie starała wielka heretyczka, Anglia — to tylko pobudziło Filipa II tembardziej do wytężenia wszystkich sił, ażeby zniszczyć Turcyę. Stał on się duszą ligi (1571), jedynej wspólnej akcyi, jakiej spróbowano od upadku Konstantynopola dla pomszczenia znieważonej cywilizacyi. Liga w rzeczywistości obejmowała tylko dwa mocarstwa: z flotą Filipa połączyła się flota republiki św. Marka, zagrożonej wtedy o posiadanie Cypru; Papież dodał ze swej strony 12 galer. Aczkolwiek zamknięta w tak szczupłym obrębie, dowiodła przecież ta liga, co może przeciw Turkom zjednoczenie i poważne działanie, dowiodła na nieszczęście także, jak w tej sprawie wschodniej trudno jest utrzymać zgodę pomiędzy państwami, choćby ich było tylko dwa...

Wieczorem pewnego dnia październikowego r. 1571, w chwili, gdy posępny mieszkaniec Eskurialu znajdował się na nieszporach w kaplicy, zadyszany goniec, wszedłszy do świętego miejsca, szepnął królowi do ucha słowo, które zaledwie wyszło z dyszącej piersi. Twarz Filipa nie zmieniła wyrazu, a z ust padł tylko rozkaz, ażeby odbywano dalej przerwane nieszpory; dopiero po ukończeniu służby Bożej polecił zaśpiewać *Te Deum* i ogłosił wielką nowinę o zwycięztwie pod Lepantem. W zatoce koryncklej, przed skałą Safony i przylądkiem Actium, młody bohater, don Juan d'Austria, przywódca chrześcijańskiej armady, zniszczył całą niechrześcijańską marynarkę. Od chwili, gdy pod tym przylądkiem rozgrywała się walka o władzę nad światem, mówi Motley, nigdy na flotach nie stoczono podobnej bitwy. Chrześcijaństwo tryumfowało, nad Bosforem wrzała rozpacz. Wedle zdania, nieprzychylnego bynajmniej św. lidze Franciszka de Noailles, Konstantynopol znajdował się wtedy zupełnie na łasce zwycięzcy: miasto źle obwarowane i źle bronione, zaledwieby się było zdołało bronić przez kilkanaście godzin; 40.000 chrześcijan na Perze, oczekiwało tylko hasła, aby powstać, a miliony innych na Morei i w Albanii podzielało ich gotowość. Któż opisze powszechne zdumienie, gdy ujrzano, że sprzymierzone floty rozłączają się, nic nie przedsięwziąwszy; nieszczęsna kwestya łupów rzuciła ziarno niezgody pomiędzy aliantów nazajutrz po świetnem zwycięztwie...

W następnym roku, wedle słynnego powiedzenia wezyra, „odrosła padyszachowi broda“, i 250 statków tureckich zjawiło się znowu na Jońskich wodach. Wenecya podpisała kapitulacyę, jak gdyby po największej klęsce; ustąpiła Cypru i zapłaciła ogromną kontrybucyę, nawet Filip II poprosił o zawieszenie broni.

II.

Zwycięztwo Juana w zatoce korynckiej, lubo tak bezpłodne, stanowi jednak ważną fazę w dziejach sprawy wschodniej; położyło ono wśród katolickich mocarstw stanowczy kres wszelkiej myśli o krucyatach i wszelkim rekryminacyom przeciw „wielkiej hańbie tureckiej". Od r. 1575 i w ciągu następnego wieku Europa widziała niejednę *dżihad* Turków, ale widziała je z filozoficznym spokojem, z umysłem tak dalece wolnymod uprzedzeń, że mógłby jej był tego pozadrościć książę Klemens Metternich. Straszliwe ramię Kuprulich ciężyło już to nad rzeczpospolitą św. Marka lub Polską, nad Austryą i Węgrami; ale patrzano na te klęski jak na skutki zwyczajnej wojny, bolesne dla jednego państwa, pożądane dla innego, a nawet jeśli jaki rząd łączył się na hazardowną wyprawę z krajem zagrożonym lub najechanym przez sułtańskie wojska, działo się to zwykle dla wyrządzenia psoty rywalowi, przez polityczną rachubę, prawie nigdy z poczucia obowiązku. Sami tylko Polacy, ci spóźnieni rycerze (*ces. Tard venus de la chevalerie*) odważyli się iść na odsiecz Wiednia przez szczerą szlachetność i „z miłości dla Chrystusa?" Ale żadne mocarstwo nie okazało im wdzięczności za to poświęcenie, nie wyjmując nawet ocalonych; a znamy sąd, wydany przez *polityków*, przez Ludwika XIV, n. p., o szaleństwie krucyaty Sobieskiego. Tem mniej od dni Lepantu troszczono się o dawnych poddanych Paleologów, o *rajasow*, zgiętych tak długo pod bułatem i o tem „królestwie greckiem", które niegdyś tak żywo zajmowało Piusa II i Karola VIII. Nadszedł nawet dzień, w którym, przez jeden z wypadków szczęścia i bitew, Wenecyanie mogli opanować to „królestwo greckie", posiadać i rządzić Moreą przez dwadzieścia ośm lat, a Europa nietylko się tem nie okazała wcale wzruszoną, lecz nawet zainteresowaną. Niespodziewane wyswobodzenie Peloponezu z pod otomańskiego jarzma, uwolnienie Aten od zakały barbarzyńców — nadzwyczajne wypadki, które w epoce odrodzenia byłyby przeniosły chrześcijaństwo w stan niewymownego zachwytu, które w naszym jeszcze wieku, za restauracyi, zapaliły umysły i zelektryzowały serca, przeszły niepostrzeżone pod oczyma współczesników Bossueta, Fenelona i Rasyna, nie wyrywając im z piersi, ani jednego okrzyku entuzyazmu, ani jednego objawu sympatyi! Godzi się dodać, że na domiar ironii, sami Peloponezyanie zaledwie się poznali na swojem szczęściu, i że wedle świadectwa, znanego z prawdomówności podróżnika francuz-

kiego, La Motraye'a, pragnęli powrócić pod rządy Turków, i zazdrościli losu Grekom, którzy pod niemi zostawali. Wenecyanie nie pozostawili innych śladów swego dwudziestoośmioletniego panowania w Morei, oprócz ruin Partenonu. Bisurmanie, barbarzyńcy i obrazoburcy, uszanowali wzniosły pomnik Peryklesa i Fidiasza; upadł on dopiero pod kulami Morosiniego, ziomka Tycyana i Veronesa.

Godne uwagi zjawisko pozwala nam zauważyć i schwycić niejako na gorącym uczynku wielką zmianę, wywołaną w umysłach nazajutrz po niesłychanym zawodzie z roku 1571. Koniec XVI w. widział rozkwit bogatej wschodniej literatury — mnóstwo pism, które sobie wzięły za cel i zadanie dać publiczności wyobrażenie o obyczajach, zwyczajach i instytucyach muzułmańskich. Jeżeli niektóre z tych pism, czytywanych z chciwością i tłómaczonych na różne języki, zawdzięczamy kompetentnym i obeznanym z rzeczą autorom, jak Folieta i Busbeck, większość natomiast powstała jedynie dla zadośćuczynienia ciekawości i zabawienia imaginacyi, lecz prawie wszystkie odznaczały się tonem, jakiego nie znały i jakiegoby nie były dopuściły przeszłe generacye; niemal wszystkie wynosiły pod niebiosa potęgę i wielkość niewiernych. Przyłączył się do tego nawet pedantyzm, i niejedna rozprawa dowodziła w wielce uczony sposób, „nie naciaganemi argumentami, a wbrew opinii Arystotelesa," że cesarstwo tureckie jest trwałe i niezwyciężone. Sławne dzieło Genueńczyka, Uberto Folieta, było napisane w roku 1573 i poświęcone Markowi Antoniemu Collonnie, przywódzcy papiezkiej eskadry w bitwie pod Lepantem; dedykacya, mająca pozór epigramu, nie jest nim bynajmniej: jest ona poważną, jak cała książka, jedna z najgłębszych i najbardziej filozoficznych w tej literaturze. *Listy* Busbecka, ogłoszone między latami 1582 a 1589, wywołały ogromne wrażenie i są dziś jeszcze nader ponętną lekturą. Znajdujemy w nich mianowicie znajomość geniuszu Wschodu i zmysł do obrazowości, rzeczy rzadkie w tej epoce, idące w parze ze smakiem i klasyczną łaciną.

Mąż stanu i myśliciel stoi tu zawsze na wysokości artysty. Ghislen de Busbeck, Flamandczyk z rodu, przez długi szereg lat z ramienia cesarzów Ferdynanda I, Maksymiliana II i Rudolfa II, poseł u Porty, w wybornych tych *listach* opowiada nam o różnych swych missyach. Nie przemilczając ważnych i wówczas już nieuleczalnych wad tureckiego cesarstwa, nie tając nawet własnych, czasem bardzo przykrych doświadczeń (pewnego razu grożono mu np. obcięciem nosa i uszu), przykłada się do gruntownego zbadania

instytucyi tego dziwnego ludu i wszędzie oddaje im sprawiedliwość. Nie waha się mianowicie oświadczyć, że janczarowie, przedmiot wielkiej zgrozy w oczach ówczesnych chrześcijan, są w wielu miastach i wsiach gorliwymi obrońcami chrześcijan i żydów przeciw fanatycznej tłuszczy. Sądzi on jak chłodny polityk o strasznej żywej dziesięcinie, składanej z dzieci chrześcijan, które się wychowywały na sługi państwa w cywilnych i wojskowych zawodach, podziwia troskliwą pieczołowitość, jakiej dokładano, celem poznania zdolności różnych uczniów i stosownego pokierowania nimi. „Zazdroszczę — mówi — tym Turkom, którzy mając niepospolitą osobistość, cieszą się nią, jak skarbem i dla wychowania jej nie szczędzą największych ofiar. U nas jakżeż inaczej; my znajdujemy przyjemność w pięknym psie, w pysznym sokole, wspaniałym koniu, i nie żałujemy niczego, aby je doprowadzić do jak najwyższego stopnia doskonałości — bez porównania natomiast mniej trudu zadajemy sobie, kiedy chodzi o utalentowanego chłopca. Nic nie może wyrównać radości, jaką sprawia Turkom człowiek dobrze wychowany i wykształcony.“ Znakiem czasu — tej epoki reformy, w której huczała już głucho demokracya lat przyszłych — jest widoczne zadowolenie, z jakiem i Folieta i Busbeck (radca dworu mimo to!) zwracają uwagę na brak wszelkiej uprzywilejowanej klasy, wszelkiej arystokracyi i szlachty pod rządami padyszacha; nic tu się nie zawdzięcza urodzeniu, wszystko zawisło od zasługi... Lecz któż inny, jak nie despota sądzi o tej zasłudze, a czyż kaprys despoty jest mniej niepewny, jak przypadek urodzenia?

Organizacya wojskowa, co łatwo zrozumieć, stanowi główny przedmiot wszystkich pism z owej epoki o państwie ottomańskiem. Busbeck poświęcił jej specyalne dzieło. W *listach*, opowiadając bardzo szczegółowo o trzechmiesięcznym pobycie w obozie pod Skutari, zachwyca się porządkiem, spokojem, czystością i wzorowem życiem, które nie przestawały tu panować, a szczególniej zupełną nieobecnością kobiet. Wszyscy inni obserwatorowie XVI wieku oddają obozom tureckim jak najgorętsze pochwały, a chcąc dobrze zrozumieć doniosłość tych panegiryków, trzeba sobie przypomnieć, czem były chrześcijańskie wojska w owej epoce, czem były np. te doborowe zastępy księcia Alby, które w roku 1566 szły do Niderlandów, aby tam wytępić herezyę i przywrócić prawdziwą religię. Brantôme, który podążył do Lotaryngii, ażeby ujrzeć w pochodzie tę „wielką, pyszną i dziarską armię“, opisuje ją z zapałem. Było w niej, mówi, około dziewięciu tysięcy najlepszego w Europie żoł-

nierza, „co większa, było 400 gamratek na koniu, pięknych i dzielnych, jak księżniczki, i 800 pieszych, *także dobrych do rozrywki*“. Bezimienny włoski autor z tego czasu podaje dość zabawny opis europejskich wojsk, mówiąc: „W tureckim obozie nie spotyka się występków, lecz tylko broń i żywność potrzebną: w chrześcijańskich armiach widzisz obżarstwo i wszelkie cechy rozpusty a liczba kobiet przewyższa w nich zwykle liczbę mężczyzn. Węgier morduje, Hiszpan rabuje, Niemiec się objada i opija, Włoch dopuszcza się wszeteczeństwa, Francuz śpiewa i paple, Anglik połyka, Szkot pożera“.

Badając przyczyny zdumiewającego szczęścia i nieprzezwyciężonej potęgi ottomańskiego państwa, wszyscy wzmiankowani pisarze stawiają w pierwszym rzędzie głębokie uczucie religijne rasy. Już w roku 1554 *bajli* Trevisano pisał d sygnoryi: „Turcy w wojskach swoich nie mają trzech rzeczy, niezbędnych dla naszego żołnierza: wina, gry i nierządnic; mają też ten piękny zwyczaj, zachowywany przez nich zawsze i uważany za główną przyczynę powodzeń ich oręża, że nigdy nie bluźnią, i że w oznaczonych godzinach pobożnie odmawiają modlitwy; bluźnierstwo nawet przeciw Imieniowi Chrystusa, albo N. M. Panny, byłoby równie surowo karane, jak lekceważenie imienia Mahometa. To już samo dowodzi namacalnie, że Turcy mają więcej religii i bojaźni Boga, aniżeli my Chrześcijanie“. Folieta mówi o tymże przedmiocie w sposób, zwłaszcza na ową epokę bardzo dziwny: „Zadaniem religii jest zachowywać państwa i utwierdzać ludy w obowiązku i uszanowaniu dla praw; z tego stanowiska wychodząc, *mało na tem zależy*, *czy religia prawdziwa*, *czy błędna*, byle jej tylko pilnie przestrzegano“.

Tak więc przez zastanowienie, przez rozczarowanie, czy przez znużenie, Europa pod koniec XVI wieku doszła była do stanu, który pod pewnym względem przypominał stan dawnych krzyżowców po utracie Jerozolimy, wówczas gdy chrześcijanie zaczęli sławić cnoty Saladyna, gdy Ryszard Lwie Serce ofiarował mu rękę siostry i ukazał się na Cyprze w płaszczu pokrytym złotemi półksiężycami. Ale i w świecie muzułmańskim spostrzegamy podobny postęp, widzimy, że dziki zapał ustąpił działaniu czasu. Nadzwyczajny sukces przeciwnie obudził w nim pychę i rozpłomienił żądzę. „Długie szczęście — pisze Busbeck — uczyniło ten lud tak pysznym, że nie uważa nic za niesprawiedliwe, czego chce, nie zaś za sprawiedliwe, czego nie chce“. Trzeba było iść do jego obozu, albo do jego *selamliku*, aby poznać jego cnoty; w czynach wojennych i politycznych układach, okazywał tylko wady i zepsucie. „Anioł pychy

pozostawił w niebie siostrę, zwącą się Godnością“ wyrzekł słowiański poeta; z tych dwóch cech pokrewnych, które posiadał w bardzo wysokim stopniu, ukazywał Osmanin Europie tę jedynie, która Lucyfera strąciła w otchłanie. „Piekielne okrucieństwo na polu bitwy, szatańska pycha w stosunkach z cywilizowanemi państwami — oto były w oczach chrześcijaństwa charakterystyczne cechy Turków. Wolność, jaką przyznawał narodom *Franków* w całym zakresie handlu, wspaniałość nawet, z jaką występował pod tym względem wobec wielu rządów, nie powinny nam zamykać oczu na pogardę, która była źródłem tego całego tak sławionego postępowania: były to podłe zajęcia, które chętnie zostawiali podłym“.

Sułtan nie taił się z najwyższą pogardą dla przedstawicieli chrześcijańskich mocarstw, przyjmował ich z wyniosłością, przechodzącą wszelkie granice. Olśnieni gościnnością i szczodrobliwością, prawdziwie wschodnią, przy uroczystem przedstawieniu u dworu, przechodzili oni przez pierwszą próbę. Zanim zostali przypuszczeni przed oblicze władcy władców i *Cienia Bożego na ziemi*, musieli się dać przetrząść, czy nie mają przy sobie ukrytej broni; było to wspomnienie Amurada I, zamordowanego zdradziecko przez pewnego Serba w chwili, gdy całował jego nogi. Po tej dość zelżywej rewizyi, „ciągnęli raczej, aniżeli prowadzili“ posła dwaj słudzy Porty, aż do stóp tronu, gdzie był zmuszony uklęknąć a nawet w ważnych wypadkach paść na twarz i całować ziemię. Ceremonia ta powtarzała się na wszystkich sułtańskich posłuchaniach. Po skończeniu pociesznego obrzędu czuł się ambasador szczęśliwym, jeźli przy wyjściu z pałacu nie został przez motłoch znieważonym i zelżonym, za które to wybryki nie można było żądać zadośćuczynienia. „Wychodząc od Porty — opowiada pod r. 1534 w prostocie ducha poseł Ferdynanda I, *Duplicyusz* Schepper (co za szczególne imię dla dyplomaty!), byłem wraz z towarzyszami gwałtownie potrącany przez janczarów i przyjęty dzikiemi, chrapliwemi wrzaskami, obelgami i groźbami. Tłumy krzyczały: *Spagnia! Spagnia!* wyły jak psy, zdradzając gestami chęć zamordowania nas, a *czauszowie* (straż honorowa), którzy nam towarzyszyli, nie uczynili nic, aby nas zasłonić przed tem barbarzyńskiem zuchwalstwem. Wypadło więc znieść wszystko cierpliwie, skoro nie mogło być inaczej“.

Niemniej przykremi i bolesnemi bywały stosunki reprezentantów państw z baszami. Taki cień *Cienia Bożego*, wytrzymawszy długo ambasadora w przedpokoju, nigdy nie powstawał na jego przyjęcie, a zwyczaj ten przetrwał aż do końca XVIII wieku. Język

członków dywanu dochodził niekiedy do żywości, nieznanej w międzynarodowym słowniku; Harebone, ów oddany Porcie Harebone, wielki zwolennik wojny przeciw „bałwochwalczym“ katolikom, odebrał pewnego razu od wezyra doniesienie, obiecujące mu tysiąc kijów; austryackiego agenta, Michała Starzera, uprzedzono miłosiernie, że zostanie powieszony, a przynajmniej „oćwiczony jak osioł“, a widzieliśmy powyżej, jak się Busbeck obawiał o swój nos i uszy.

Niemal na każdym kroku doznawali ambasadorowie przykrego ograniczenia osobistej swobody; wiecznie podejrzywanym zabraniano nawet korespondować cyframi, pijać wino (!), wozić w powozach kobiety, a jeszcze w wilię wielkiej rewolucyi, roku 1778, dyplomata francuzki, Peyssonel, opowiada, że najniższy z janczarów nie ustępował mu na ulicy, ażeby dać poznać, iż ostatni z muzułmanów więcej znaczy od pierwszego giaura.

Taki był bieg rzeczy w zwyczajnych i spokojnych czasach; w chwilach krytycznych natomiast przybierały sprawy nierównie tragiczniejszy charakter. Przeglądając różne traktaty, zawierane między cesarzem austryackim a Turcyą w XVI i na początku XVII wieku, spostrzegamy ze zdziwieniem artykuł powtarzający się ciągle tej treści, że wysokie strony będą nadal po ludzku między sobą postępowały *(humaniter procedatur)* i nie będą więziły posłów, pełnomocników, agentów i ich otoczenia, „nawet w razie zerwania pokoju“. Zdarzało się to istotnie często w Konstantynopolu, mimo wielokrotnych zobowiązań; szczególniej nieszczęśliwi dragomanowie padali ofiarą zatargów; torturowano i duszono ich na pierwsze hasło, a sami reprezentanci mocarstw doznawali czasem podobnego losu. Jakżeż straszną jest opowieść, którą nam o missyi barona Kreckwitz, austryackiego posła w r. 1593, zostawili dwaj jego towarzysze niedoli! Porwanego z domu, pozbawionego wszystkich papierów, zakuto w kajdany i tak ciągniono najprzód do obozu w. wezyra, następnie do Belgradu, gdzie uległ cierpieniom; z trzydziestu osób jego orszaku jedni całe lata spędzili w więzieniu czarnej wieży, inni na galerach lub w kaźniach arsenału.

Z Francyą nie lepiej się obchodzono jak z Austryą; dowodzą tego słynne zajścia w. wezyra, Kuprulego, z pp. de La Haye, ojcem i synem. Kupruli, przejąwszy francuzkie depesze, chciał zmusić młodego La Haye i pierwszego sekretarza ambasady, aby mu dali klucz do cyfry; gdy na to wezwanie odpowiedzieli z oburzeniem, kazał ich ująć w Adryanopolu i wtrącić do turmy. Służba baszy znieważyła czynnie syna ambasadora i wybiła mu kilka zębów; samego

ojca oblężono w pałacu nad Bosforem. Za całe zadośćuczynienie arcychrześcijański król zażądał w kilka lat później, ażeby młody La Haye mógł zająć w Konstantynopolu miejsce po zmarłym ojcu i aby z nim „postępowano wedle zwyczaju“; ale na pierwszem posłuchaniu zaszła gwałtowna scena: poseł dostał policzek od czausza, a Kupruli zażądał i otrzymał stanowcze odwołanie opoliczkowanego ministra. A stało się to w roku 1673, za rządów Ludwika XIV! I król-słońce znosił podobne rzeczy od naczelnika wiernych — on, który dla mizernej kłótni lokai, śmiał upokarzać głowę Kościoła!

„Gdybyście wiedzieli, jak honor chrześcijańskich książąt jest tutaj nogami deptany *(trampled upon)!*“ pisał z Konstantynopola w r. 1622 swemu rządowi z wymownym lakonizmem sir Thomas Roe. Wszelką brutalność wobec giaurów, umieli Turcy uzasadnić powagą koranu, powołanie się na który służyło im za *ultima ratio*. Argument ten trafiał do przekonania samych lżonych ambasadorów, bo oto znany nam już pan de Peyssonel, jeden z najznakomitszych dyplomatów francuzkich przeszłego wieku, tak kończy swe uwagi nad tym przedmiotem: „Ilekroć konieczność, interes lub przyzwoitość wymagają zawiązania stosunków z pewnem mocarstwem, nie jest upokorzeniem zastosować się do etykiety, czerpiącej swe źródło w przepisach prawa i w religijnych przekonaniach, przed któremi u Otomanów muszą ustępować wszelkie inne względy“. Znalazło się jednak mocarstwo, które nie chciało nigdy ustąpić temu motywowi, ogłoszonemu przez zachodnią dyplomacyę za najświętszy, ani zastosować się do etykiety, usprawiedliwionej może przez koran, ale z pewnością upokarzającej dla ewangelii. Przybrało ono tak śmiałą postawę od pierwszych swych występów na scenie stambulskiej, iż warto o nich tu powiedzieć słów kilka.

Było to pod koniec XV wieku, w czterdzieści lat po zdobyciu Konstantynopola. Sułtan Bajazyd II, dowiedziawszy się, że miasta Azowu i Kaffy, niegdyś kwitnące dzięki handlowi, prowadzonemu z Moskalami, upadały nagle od czasu, gdy się w nich moskiewscy kupcy przestali pojawiać, starał się wybadać pośrednio w. kniazia co do przyczyny tego usunięcia się jego poddanych. Iwan III, korzystając ze sposobności, dla zawiązania stosunku z padyszachem, napisał (1492) do niego list, który rozpoczął związki, tak płodne w ważne następstwa dla obu państw. W pismie tem, w którem się tytułuje „jedynym i prawdziwym dziedzicznym monarchą wszech Rusi i *wielu innych okolic na północy i wschodzie*“, wyliczył Iwan zdzierstwa baszów Azowu i Kaffy, którzy między innemi

przywłaszczali sobie mienie każdego kupca moskiewskiego, zmarłego w tych miastach. „Władze tureckie — pisze w. kniaź — nie znają dla naszej własności innych spadkobierców, jak siebie same. Tak rażąca niesprawiedliwość zniewoliła mnie do zakazania moim kupcom, aby nie prowadzili handlu w waszym kraju. Zkąd więc pochodzą, te gwałty, skoro dawniej kupcy ci płacili tylko legalną taxę i służyło im prawo prowadzenia wolnego handlu? Czy wiesz o tem, czy nie?...". Skutkiem związanych tak piśmiennych stosunków było wyprawienie przez Iwana w roku 1499 poselstwa, na czele którego stanął Michał Pleszczejew. Wielkiem było zdziwienie nad Bosforem, gdy Pleszczejew nie chciał przyjąć wspaniałych strojów, 10.000 asprów i bankietu, urządzonego przez baszów, mówiąc: „Nie mam baszom nic do powiedzenia; nie będę nosił ich strojów, nie potrzebuję ich pieniędzy, a pragnę mówić tylko z samym sułtanem". Z tym *Cieniem Boga* chciał rozmawiać stojąc, a nie na kolanach; odwołując się na swoje instrukcye, nie chciał od nich odstąpić, i wygrał sprawę.

Trzeba przyznać, że jest coś imponującego w tej pierwszej moskiewskiej legacyi nad Bosforem, w tem pierwszem wystąpieniu rossyjskiej dyplomacyi na wschodzie: w języku Michała Pleszczejewa poznajemy już akcent Bułhakowa i Menżykowa... Iwan III był pomimo to wówczas najmniej znanym i najmniej wpływowym z pomiędzy wszystkich chrześcijańskich książąt; zaledwie się wyzwolił z pod hańbiącego jarzma Mongołów, którzy przez wieki gnębili kraj jego; posiadłości jego nie dotykały ani Bałtyku, ani Czarnego morza, na zachód zaś nie sięgały daleko po za Ugrę: w sto lat jeszcze z górą, Henryk IV nie mawiał o carze inaczej, jak o „kniaziu sarmackim" *(knès scythien)*, panującym nad „dzikiemi, barbarzyńskiemi i okrutnemi ludkami". Niemniej z pewnością zadziwiającą od tych moskiewskich pretensyj musiała się wydawać dziwna powolność Turków dla nich, gdyż wielcy kniaziowie utrzymali się w XVI w. na stanowisku, wytkniętem sobie przez Iwana: nie troszcząc się o to, aby mieć w Konstantynopolu stałych pełnomocników na wzór Wenecyi, Francyi, Anglii i świętego cesarstwa rzymskiego, ograniczali się do rzadkich poselstw, wywołanych okolicznościami, ale żądali też zupełnej wzajemności za nie. W r. 1514 przybył Alexejew dla powinszowania straszliwemu Selimowi I wstąpienia na tron i złożenia mu zapewnień przyjaźni; lecz miał wyraźny nakaz „aby nie uchybił swej godności, założył tylko ręce na krzyż przy powitaniu sułtana, zamiast paść przed nim na ziemię — wręczył

podarki i listy, lecz aby nie dowiadywał się o jego zdrowie, gdyby sam nie zapytał o zdrowie W. księcia". Selim w odpowiedź na tę missyę wyprawił do W. kniazia Wasila ambasadora — który to zaszczyt rzadko padał w udziale innym książętom — a poseł ten, pierwszy reprezentant padyszacha w Moskwie, musiał się poddać kremlińskiemu ceremoniałowi i ucałować rękę Wasila wobec zgromadzonych bojarów. Soliman Wielki przypominał się wielokrotnie pamięci Iwana IV — Iwana Groźnego; w listach pisywanych „złotemi charakterami" skarżąc się na oziębłość sąsiada, zapewniał, że jego najgorętszem życzeniem jest żyć z nim w stosunkach „szczerego i braterskiego" przywiązania. W ciągu całego XVI wieku *Moskof* trzyma się zawsze z dala, Osmanin stara się zbliżyć do niego: widocznie padyszach czynił różnicę pomiędzy *scytyjskim kniaziem* a innymi chrześcijańskimi książętami.

Głębokim swym politycznym instynktem poznał zaraz Turczyn, że się znajduje wobec wyjątkowej sytuacyi, wymagającej pobłażania. Zachodnie mocarstwa mogły sobie od czasu do czasu mówić o krucyacie i rozczulać się nad „królestwem greckiem"; były one niepowrotnie rozdzielone zarówno politycznemi interesami, jak wiarą, co większa, w chrześcijanach wschodu wzbudzały mało zaufania. Inaczej miała się rzecz z Moskwą. Tam władca był równocześnie świeckim i duchownym naczelnikiem swego ludu — co wedle azyatyckich wyobrażeń było kwestyą najwyższej wagi — a o tym ludzie wiedziano, że jest złączony węzłami wiary i rasy z *rajasami*, drżącymi niewolnikami padyszacha. Iwan III jeszcze jako hołdownik Mongołów zdradzał pretensyę do następstwa po Paleologach po upadku Konstantynopola. W r. 1472, zaślubiwszy siostrzenicę ostatniego byzantyńskiego cesarza „latorośl cesarskiego drzewa, które niegdyś całe chrześcijaństwo osłaniało swym cieniem", przybrał za nowy herb Moskwy dwugłowego orła wschodnich cesarzy i do swych tytułów dodał tytuł *księcia Bułgaryi*; ostatni ten tytuł krył się w omówieniu: „i wielu północnych i wschodnich okolic", znanem nam z listu do Bajazyda II. Bez prowokacyi i zbytniego pospiechu, lecz z wytrwałością równie przemyślną, jak niewzruszoną, następcy Iwana III starali się w ciągu XVI w. utrzymać serdeczne stosunki z *rajasami*, okazywać im życzliwość, w granicach możności popierać ich religijne interesa, na dowód czego dość przytoczyć, że od panowania Solimana W. począwszy, roczny haracz nałożony przez Turków na sławne monastery góry Athos i góry Sinaj i wiele innych klasztorów, wedle świadectwa wiarygodnego

współcześnika, kapelana austryackiej ambasady, Stef. Gerlacha, płacili pośrednio W. kniaziowie moskiewscy. Takie to względy skłaniały Selima i Solimana do oszczędzania kremlińskich władzców. Padyszach pojmował, że z Kremlina mógł wyjść nieprzyjaciel nierównie niebezpieczniejszy, aniżeli Ferdynand austryacki a nawet sam Filip II. Z Filipem II Schillera mógł powiedzieć sobie: „*Hier fühl ich*, *dass ich unsterblich bin!*“

Równie pilni, jak roztropni obserwatorowie spraw wschodnich, Włosi nie omieszkali poznać sytuacyi i zbadać tajemnicy. W sześć lat po bitwie pod Lepantem (1576) *bajli* Soranzo, podajac pogląd na stosunki różnych mocarstw z Portą otomańską, mówi, jak mało niepokoju wzbudzały one w dywanie, a jedyny wyjątek pod tym względem czyni dla Moskwy. „Moskala — powiada — lęka się sułtan z tej jeszcze przyczyny, że W. kniaź jest wyznawcą greckiej wiary, jak ludy Bułgaryi, Serbii, Bośnii, Morei i Grecyi. Ludy te są dla tego bardzo do niego przywiązane (*devotissimi*) i będą zawsze gotowe (*sempre prontissimi*) chwycić za oręż i powstać dla uwolnienia się z pod tureckiego jarzma i poddać się jego panowaniu...“ W dziesięć lat później (1594) inny Włoch, Piedro Cedolini, biskup Lesiny, pisał do papieża, Klemensa VIII: „Dzięki jedności języka illirskiego i słowiańskiego i religijnej wspólności wedle greckiego obrządku, Moskal posiada sympatye (*la devozione*) większej części ludów europejskich i niektórych azyatyckich, zostających pod rządem tureckim; rości on pretensyę do konstantynopolitańskiego cesarstwa, najprzód z powodu rodzinnych węzłów z dawnymi cesarzami, ale przedewszystkiem, że jeden jedyny książę w świecie, zupełnie tak samo, jak padyszach, jest absolutnym panem swych poddanych“.



O REALIZMIE
W LITERATURZE NOWOCZESNEJ

przez

J. G.

(Ciąg dalszy).

Z pomiędzy niewielu następnych utworów Flauberta (*Education sentimentale*, *Salammbo*, *Tentation de St. Antoine*, *Trois*

contes), jeden tylko stanąć może obok *Pani Bovary* wrażeniem, jakie wywiera i interesem, jaki w czytelniku wzbudza. Zarówno treścią jak formą od poprzedniego różny, zawiera utwor ten myśl tę samą, co Mdme Bovary, choć przedstawioną inaczej a nieraz zręcznie ukrytą. To *Salammbo.*

Tło powieści wspaniałe i wysoce oryginalne. Na północnem wybrzeżu Afryki, w rozległych dziedzinach dumnej a bogatej królowej Śródziemnego morza toczy się walka o śmierć i życie. Liczne oddziały najemników, któremi przez długie lata chciwa Rzeczpospolita rozszerzała postrach i zdobycze między sąsiadami a własnych poddanych utrzymywała w znienawidzonych więzach — hordy barbarzyńców z Galii, Iberyi, Grecyi, Samnium i Epiru, oburzone wiarołomstwem i nieuczciwością Kartagińczyków, korzystają z osłabienia Rzeczypospolitej i wypowiadają jej bój śmiertelny. Walka to homeryczna niemal, tylko bez idealnego pierwiastku, pozbawiona poezyi, mająca tylko grozę. Bohaterowie walczą o byt, nie spodziewając się łaski, ani litości od zwycięzcy. W tych piersiach odzianych bądź skórą zwierzęcą lub stalowym pancerzem zbrojnego najemnika, bądź złocistym płaszczem Kartagińczyka — ludzkiego nic nie ma wcale; to też całe tło powieści czerwienieje krwią, przez cały ciąg akcyi dają się słyszeć jęki katowanych ofiar. A na tem tle ponurem, pełnem strasznej wspaniałości, roztaczają się obrazy z życia dwóch przeciwnych sobie światów — kartagińskiego z jednej, barbarzyńskiego z drugiej strony. Po mistrzowsku maluje Flaubert to miasto olbrzymie, posiadające swą odrębną i wysoką cywilizacyę — dziwny zlepek wyrafinowanego wykwintu, szerokich wiadomości w niektórych gałęziach handlu i przemysłu a nawet pewnego estetycznego poczucia — z barbarzyństwem ludów pierwotnych. Bogactwo i rozmaitość szczegółów, zarówno jak i umiejętne ułożenie ich w harmonijną całość, niezmierna plastyczność i malowniczość obrazów, w których więcej jest pędzla niż pióra; życie, którem drga każda postać, każda opisana drobnostka: wszystko to sprawia złudzenie tak wielkie, że sądzimy się przeniesieni w odległą przeszłość, na ów sławny przylądek, na którym rozsiadła się królowa morza [1]). Widzimy jej gmachy i ogrody, jej oligarchów, zniewieściałych w roskoszach wschodu i południa, jej niewolników

[1]) Oceniam tę książkę oczywiście tylko jako utwór belletrystyczny. Poważnie, ze stanowiska archeologicznego sądzić jej nie można. Żadne z twierdzeń autora nie wytrzymuje najsłabszej krytyki naukowej.

zbydlęconych w kagańcach i pętach; jej handel szeroki — od purpury do młodych dziewcząt, towaru rozpusty; jej religię i zabobony, kult *Tanit*, bogini księżyca i dziewic; cześć *Molocha*, pożerającego ludzi i dzieci, boga słońca, płodności i cielesnych popędów, z którego połączenia z *Tanit* mitologia kartagińska wyprowadzała początek wszechświata.

A wśród tych ram tak świetnych i tak bogatych — postać główna powieści, zarysowana z lekka tylko a bardzo umiejętnie — córka Hamilkara, piękna jak bogini, której poświęciła swą młodość, jak srebrnolica *Tanit*. Zdala od świata, w głębi ojcowskiego pałacu, wśród czarodziejskich ogrodów, napełnionych zwierzętami poświęconemi bogom, płynie jej życie wśród mistycznych marzeń, i modłów, i zachwytów, i ciągłej czci bogini. W sercu jej czystem i nie znającem świata nic nie ma ziemskiego, nic ducha nie odrywa od szafirowych wyżyn, w których przebywa *Tanit*. I oto pewnej nocy złowrogiej wielki okrzyk przestrachu i zgrozy wyprowadza ją z ukrytych głębin gyneceum na pałacowe podwórza, w których hordy pijanych najemników poraniły sługi jej ojca i pozabijały zwierzęta jej bogini. Wśród mnóstwa rozszalałych i pijanych twarzy, które olśnione jej pojawieniem wstrzymują na chwilę swą orgię — uderza ją wzrok jeden, dziki i namiętny, a potężny i dumny, jak żaden. To *Matho*, jeden z wodzów. W tej naturze pierwotnej i barbarzyńskiej widok Salammbo obudza wszystkie żądze i wszystkie namiętności z nieznaną dotąd siłą. W piersiach jego zaczyna szaleć burza straszna, w życiu zostaje cel jeden — posiadanie ukochanej kobiety. Dlatego, żeby tego celu dopiąć, odważa się na krok szalony. Wkrada się nocą do Kartaginy, pomaga towarzyszowi swemu z wojska najemników, dawnemu niewolnikowi Hamilkara, do skradzenia cudownej zasłony bogini *Tanit*, od której posiadania zależy pomyślność i byt Rzeczypospolitej, a której dotknięcie i sam widok jest świętokradztwem. Okryty fałdami świętej zasłony, wchodzi do pałacu Hamilkara, zbliża się do łoża uśpionej Salammbo, ale jej widok odbiera mu odwagę, obezwładnia go, a po chwili krzyk nadbiegłych niewolników i przekleństwa przebudzonej Salammbo zmuszają go do ucieczki. W ucieczce tej przeprowadzają go złorzeczące tłumy, ale nikt nie śmie dotknąć go, by nie popełnić świętokradztwa i największa świętość Kartaginy przechodzi do wrogiego obozu. Barbarzyńców ożywia nadzieja pewnego zwycięstwa — Kartagińczycy gotują się do niechybnej klęski i upadku. I rzeczywiście fortuna odwraca się od nich, Hamilkar sam już nie może oprzeć się barba-

rzyńcom, i wówczas arcykapłan *Tamt*, mistrz córki Hamilkarowej, który ją wtajemniczył w misterya kultu bogini, rozkazuje jej, by jako pierwsza przyczyna kradzieży zasłony, poszła ją sama odebrać i poświęciła się dla ratunku Rzeczypospolitej.

A w sercu dziewicy tymczasem szaleje burza niemniej gwałtowna, choć różna od tej, która rozrywa piersi dowódzcy barbarzyńców. Mistycznemi marzeniami osłonięte, niewyraźne i mgliste z początku, budzić się zaczynają nieznane przedtem popędy i żądze, krew zaczyna szaleć, serce rwać się i tęsknić. Jej się zdaje, że to bogini wzywa ją do siebie, że to mistyczne zachwyty — ale wśród nich postać znienawidzonego barbarzyńcy, na którego głowę codzień rzuca przekleństwa podczas modlitw — ukazuje się coraz częściej i nie daje innemi myślami zatrzeć. I jakkolwiek rozkaz kapłana zdaje się jej wyrokiem śmierci, jakkolwiek drogę do obozu odbywa w śmiertelnem prawie obezwładnieniu, to przecież widok wodza barbarzyńców budzi w niej oprócz trwogi inne jeszcze uczucie, od nienawiści dalekie. A gdy Matho rzuca się na nią i z namiętnością szaloną ofiaruje jej swą miłość — Salammbo mu się nie opiera ani chwili i w zamian za zasłonę, z którą wraca do Kartaginy, przynosi barbarzyńcy największą ofiarę, jaką zrobić może kobieta. A gdy barbarzyńcom ze stratą zasłony szczęście przestaje sprzyjać; gdy zwyciężeni i rozproszeni giną wszyscy, a wódz ich dostaje się do niewoli; gdy Matho wypuszczony na kaźń i pędzony ulicami wśród tłumów ludzi, z których każdy mu zadaje nowy cios i nową mękę, przybiega do stóp Hamilkarowego pałacu, by skonać; córka Hamilkara, zbawczyni Rzeczypospolitej, z nim razem wydaje ostatnie tchnienie, jak ludzie sądzą, dlatego, bo dotknęła cudownej zasłony bogini.

Diagnoza tego uczucia, które jakkolwiek tak długo bezwiedne a zawsze niewyraźne, było jednak śmiertelne dla Salammbo a i dla Mathona także — opracowana jest i wykończona lepiej może jeszcze, niż w *Mme Bovary*. W ostatniej widzieliśmy namiętność występującą śmiało, cynicznie, ze świadomością siebie; w Salammbo jest ona zarysowana tylko lekko, nieokreślona bliżej, pozostająca dla samej bohaterki przez długo tajemnicą, a jednak jest wyraźną i widoczną. A jakkolwiek zajmuje stosunkowo niewiele miejsca w powieści, znać jednak, że jest jej główną osią; że wszystkie bitwy, i fotografie z życia obydwu obozów, i fotografie Kartaginy, jej mieszkańców i jej wrogów, są tylko tłem, ramami, które autor dlatego tylko stworzył i tak starannie opracował, żeby jego myśl główna

wydała się lepiej, rozwinęła jaśniej, miała gotowy komentarz i tłómaczenie. Ów kult zmysłowych popędów, osłonięty przenośniami i mitologicznemi baśniami; owa apoteoza żądzy w Molochu i jego stosunku do Tanit, to wszystko od pierwszej już stronnicy rozbudza zmysły, namiętności, pragnienia i jako dekoracya jest konieczne. A jakkolwiek przy tej dekoracyi odbywa się akcya, różniąca się całkiem od tej, jakąśmy widzieli w *Mme Bovary*, myśl jest ta sama: zredukowanie najszlachetniejszego uczucia do zwierzęcego popędu, postawienie człowieka w jednym ze zwierzętami rzędzie.

Jakkolwiek niemoralna i szkodliwa, myśl ta jest jednak wyłączną dźwignią talentu Flauberta; utwory jego, które się nie kręcą około tej osi, są pozbawione interesu i znaczenie ich od dwóch poprzednich bez porównania jest niższe. Szczególniej w *Education sentimentale*, mimo ustępów ciekawych i psychicznie wiernych, całość jest zabójczo nudną i służy wymownym dowodem, że bez pieprznych przypraw, bez rozbudzenia zmysłów większa powieść realistyczna nie ma najmniejszych warunków istnienia.

V.

Wpływ Flauberta odbił się na całej generacyi współczesnych pisarzów francuskich.

Ci nawet, którzy przekonaniami stali bardzo daleko od autora *Salammbo* i *Mme Bovary* nie mogli, czy nie umieli uniknąć całkowicie jego wpływu. Ulegając panującej modzie realizmu, który coraz despotyczniej starał się owładnąć literaturę francuzką, trzymali się metody Balzaka i Flauberta w szczegółach przynajmniej, jeżeli nie w ogólnej tendencyi swych utworów. Dlatego w powieściach najlepszych i najsympatyczniejszych autorów francuzkich naszej epoki, napotykamy na każdym niemal kroku tendencyę do przedstawiania natury i życia ludzkiego nietylko w całej prawdzie, ale też w całym realizmie. Zrozumieć łatwo, że utwory te są w każdym razie znacznie lepsze i bardziej prawdziwe od utworów zupełnie realistycznych, raz dlatego, że nie mają szkodliwej tendencyi ostatnich, powtóre zaś, ponieważ obok stron ujemnych życia są tu przedstawione także strony dodatnie. W każdym razie jednak dążność do jaskrawego uwydatnienia szczegółów, częstokroć obrażających estetyczny zmysł czytelnika, przynosi powieściom tym prawdziwy uszczerbek i zmniejsza znacznie ich wartość.

Weźmy np. znanego powszechnie i ze wszech miar sympatycznego autora „*Nababa*“. Myśl główna jego powieści stanowi

często zupełną antytezę zasad realistów w rodzaju Flauberta i Zoli; niektóre zaś ustępy zdają się wyszłe z pod ich pióra. Jego „*Fromont jeune et Risler l'aîné*“ miałoby niezaprzeczenie większą wartość, gdyby niektóre typy, zwłaszcza podrzędne, trzymane były trochę wyżej, gdyby ich rysy charakterystyczne były mniej pospolite i tuzinkowe; zdaje mi się także, że i bohaterka powieści Sydonia, znajdująca się w dość wyraźnem pokrewieństwie z Emmą Bovary, nie straciłaby wcale, gdyby jej autor tego pokrewieństwa nie nadał. Tak samo i *Jack*, jedna z najlepszych powieści współczesnych, a najlepsza jaka wyszła z pod pióra Daudeta, razi niemile przesadzonym realizmem, który często z prawdą się rozmija. Jest to nadzwyczaj dramatyczna historya młodego chłopca, syna kobiety upadłej, którego życie jest jednem pasmem nieszczęść, mających w błędach matki swe źródło. Myśl piękna, a smutne życie bohatera zarówno jak i jego tragiczny koniec może służyć za groźne ostrzeżenie dla kobiet, które materyalizm naszej epoki przyprowadza do upadku. Czy jednak myśl ta wydałaby się mniej piękną, przeprowadzenie jej mniej umiejętnem, a wrażenie, jakie powieść wywiera, mniej silnem, gdyby autor uniknął pewnych rażących szczegółów, które poczucie estetyczne i szacunek dla czytelnika winny były osłonić choćby najbardziej przezroczystą gazą? Z pewnością nie. Przeciwnie. Wrażenie byłoby silniejsze i milsze, bo nie osłabiałby go niesmak, jaki wzbudza popełniony przez autora *Jacka* błąd artystyczny, dający się określić francuzkiem przysłowiem: „*mettre les points sur les* **i**“.

To samo, cośmy powiedzieli o Alfonsie Daudet, daje się zastosować do wszystkich prawie romansopisarzów francuzkich naszej epoki, *nie należących* do szkoły realistycznej. (Wyjątek stanowi chyba kilka pisarzy-kobiet, które znowu grzeszą przesadnym i nienaturalnym idealizmem). Ta ujemna ich strona jednak, pochodząca ze zbytniego poddawania się panującej dziś modzie, jest naturalnie słabem tylko odbiciem realizmu adeptów i naśladowców Flauberta.

Tych jest wielu, najwięcej. Należą do nich ci wszyscy, którzy za jedyny cel w literackim zawodzie postawili sobie rozpowszechnienie i popłatność swych utworów, łatwą popularność i jak największe zyski pieniężne, wszyscy, którzy hołdują modnej dziś zasadzie altruizmu, stawiącego osobiste powodzenie i szczęście za jedyne zadanie życia ludzkiego; wszyscy jednem słowem synowie XIX wieku, a raczej tylko jego stron ujemnych, obłędów i zboczeń jego wykolejonej cywilizacyi. Wśród tego zastępu wyróżnia się

kilku szczególniej ludzi, którzy prawdziwym, a nieraz niepospolitym talentem mogliby przynieść wielkie korzyści dla literatury, gdyby swe zadanie pojmowali inaczej, a działalności autorskiej inny nadali kierunek. Więc naprzód wspomniany już Dumas młodszy, znany adwokat moralnie zaniedbanej młodzieży i popularyzator tajemnic półświatka w najszerszych kołach publiczności. Za nim podobny do niego kierunkiem pojęć i sposobem pisania Arseniusz Houssaye, który na swoich *Grandes dames* i innych powieściach z życia kurtyzanek zebrał kilka okrągłych milionów, wystawił pałac w Paryżu i przez czas jakiś recepcyami i obiadami rej wodził w stolicy miasta. I w nim, podobnie jak w Dumasie, choć w mniejszym stopniu, spotyka się resztki jakiegoś wstydu, jakieś zastrzeżenia, że bezeceństwa i brudy, przepełniające karty jego romansów, przedstawione są z takim realizmem dlatego tylko, żeby złe czytelnikowi zohydzić. Czasem na końcu powieści, naturalnie że *tylko* na ostatniej stronnicy, spotyka się sens moralny, występek ukarany, kobietę upadłą, żałującą swego błędu etc. Można jednak na pewno powiedzieć, że z pomiędzy kobiet, które czytały romanse Houssaye, ani jedna nie nawróciła się na dobrą drogę; ile zaś zeszło na złą, o tem możeby mogła coś powiedzieć statystyka wzmagającego się z każdym rokiem zepsucia w Paryżu i Francyi całej.

Jakkolwiek jednak zastrzeżenie Houssaye i jego moralność ostatniej stronnicy jest tylko hipokryzyą i nie ma nawet wymówki dobrej wiary, to przecież w dzisiejszym stanie upadku, w jakim się znajduje francuzka belletrystyka, należy tę hippokryzyę poczytać autorowi za pewną zasługę. Ratuje ona pozory przynajmniej. U innych niema i tego.

Jeżeli się rozpatrzymy w literackiej produkcyi następców Flauberta, uderza nas niezmierna ilość naśladownictw i reprodukcyj, jakie znalazła główna powieść mistrza *Mme Bovary*. Jest to bardzo charakterystyczny miernik moralnego stanu społeczeństwa, łaknącego takiej strawy. Z pomiędzy wielu wspomnę tylko o dość głośnej „*la femme du feu*“ Belota, która swe powodzenie zawdzięcza jedynie wysoce jaskrawym sytuacyom. Jej siostrą rodzoną jest *Hrabina de Chalis*, napisana przez głośnego w skandalicznej literaturze Ernesta Feydeau. Temat ten sam, co w *Mme Bovary*, tylko wyzyskany jaskrawiej, brutalniej, i do najostateczniejszych doprowadzony wyników. Gdyby to nie była kopia, lepiejby może było robić diagnozę realizmu na *Cse de Chalis* niż na *Mme Bovary*, jest w niej więcej jeszcze życia i interesu, więcej cynizmu i bez-

wstydu. Sytuacya, z początku dość zwykła, przechodzi stopniowo w coś tak monstrualnego, że pobieżny nawet rozbiór tej książki staje się bezwarunkowo niemożliwy.

Obok Feydeau i Belota nie można pominąć milczeniem Gustawa Droz, który choć w utworach swych nie naśladował żadnej z powieści Flauberta, przejął się jednak jego metodą. Pisarz niepospolitego talentu, mający wszystkie zalety i wady szkoły, do której należy, często egzagerujący te wady i posuwający realizm do absurdu — daje nam on w jednym ze swych utworów wymowny dowód, na jak fałszywym gruncie opiera się realistyczna jednostronność, jak jest z prawdą niezgodna i do zachowania dla myślącego człowieka trudna. Jego „*Monsieur*, *Madame et Bébé*“ jest szeregiem obrazków i scen z życia męża, żony i ich dziecka. Dwa pierwsze oddziały przewyższają realizmem wszystkie inne powieści Droza; zdarza się wprawdzie czasem napotkać w nich obrazek z pożycia rodzinnego, dość na pozór jasny i sympatyczny, szczególna rzecz jednak, jak to szczęście i spokój rodzinny koncentrują się około półmiska kuropatw, gorącego pasztetu i butelki Bordeaux, wypitej *en famille* przez czułą parą; bez tych zaś niezbędnych akcesytów autor szczęścia rodzinnego wyobrazić sobie nie umie i podobno na nich tylko je opiera. Obok tych kilku obrazków dodatnich, omglonych z lekka parą smacznej pieczeni, ujemnych jest daleko więcej, a w nich życie rodzinne uwydatnione jest ze stron tak ciemnych, tak powszednio-wstrętnych, że chciałoby się książkę z niesmakiem odrzucić na bok po pierwszych zaraz stronnicach.

Całkiem inny jest dział trzeci. Autor jest ojcem i lepszym ojcem niż mężem. Jego Bébé nie jest w niczem podobny do swych bardzo realnych i niesmacznych rodziców, ci rodzice sami przy kołysce lub łóżeczku nabierają uroku i serdecznego ciepła. I nic dziwnego. Jest w tym jasnowłosym cherubinie o kręcących się włoskach i figlarnych oczętach tyle życia i wdzięku, że wpływ jego musi się przelewać na całe otoczenie. A jak go po mistrzowsku nakreślił autor. Jego gry i swawole, jego małe nieszczęścia i wielkie radości, jego stopniowy rozwój od pieluszek aż do chwili, gdy Bébé ma się zmieniać w chłopaczka, w „*Mr le Collegien*“ — wszystko to takie prawdziwe, takie doskonałe, a tak mało realistyczne w całem słowa tego znaczeniu. Ale co jest perłą tego prześlicznego ustępu, to choroba dziecięca. Bébé zasłabł, nie bawią go zabawki i obrazki, z usteczek znikł figlarny uśmiech, oczy straciły blask, twarzyczka rumieniec. Nie słychać srebrnego okrzyku w smut-

nem i pustem mieszkaniu, rodzice śledzą z gorączkowym niepokojem na zbladłej twarzyczce symptomy wzmagającej się choroby. Kryzys przychodzi, mająca zdecydować o wszystkiem — na rękach ojca maleńkie ciałko wypręża się w konwulsyjnych drgnieniach, oczęta bielmem zaszły, zsiniałe usteczka wykrzywiły się i otwarły — jeszcze drgnienie, jeszcze spazm ostatni — skończyło się! Zgasły, obróciły się w niwecz wszystkie oczekiwania i nadzieje tych dwojga ludzi, których Bébé był życiem i szczęściem całem. Teraz, po odrętwieniu chwil pierwszych, trzeba im będzie ciągnąć dalej to życie, pozbawione jasnego promienia światła, który je ożywiał i ocieplał. Samotnie i smutno, z tęsknotą a bez nadziei będą iść przed siebie, zostawiwszy za sobą szczęście całego życia, nie myśląc o jutrze, a przeszłością tylko żyjąc. A tymczasem lata płynąć będą za latami i pamięć o złotowłosym Bébé zniknie tak prędko, jak krótkiem było jego życie. Tylko przy pustem i smutnem ognisku osieroconej rodziny żyć będzie tęskne o nim wspomnienie, a kiedyś, po wielu latach, zwiędła, przygarbiona staruszka z siwemi włosami otworzy czasem ukryte szufladki starej komody i wydobywać z nich będzie zżółkłe gałganki, stare sukienki i kryzki, połamane zabawki i podarte obrazki. Ze zgasłej źrenicy spadnie łza matki na te ostatnie pamiątki zmarłego przed wielu laty dziecięcia... To wszystko, co po Bébé zostało na świecie.

Ale nie zawsze koniec choroby tak bolesny. Czasem po strasznej kryzys nastąpi sen spokojny i cichy, i oczy rodziców, zwracające się co chwila z wybladłej dziecinnej twarzyczki na pochylonego nad nią lekarza, wyczytają w jego spojrzeniu słowo: *nadzieja!* Wówczas, co za szczęście, co za radość! Cios straszny był tak blisko, nie uderzył jednak, szczęście wraca do domowego ogniska, za nadzieją idzie pewność wyzdrowienia. A to wyzdrowienie dziecka, co za uroczy obrazek! Bébé blady jeszcze i osłabiony, ale już się uśmiecha, już zaczyna zadawać wieczne i nieskończone pytania, już rozstawia koło siebie na stoliku i łóżeczku zabawki, a nadewszystko szczęśliwi rodzice! — budzi się w nim niezmierny apetyt. Jeśli cokolwiek może służyć za dowód, jak ogromna różnica zachodzi pomiędzy prawdą a realizmem, to ta scena. Przedmiot jej bardzo prozaiczny, rodzice karmią naprzemian wygłodzonego Bébé, który domaga się jeść więcej i po kawałku wyprasza sobie przysmaki. Nic łatwiejszego, jak wpaść przy takim opisie w pospolitość, w niesmaczną trywialność, Droz uniknął tego. Wprawdzie ani jego Bébé, ani karmiący go rodzice nie są zgoła idealnemi istotami, nie mówią

górnolotnie o swojej radości i rozbudzonych przez nią sentymentach — przeciwnie, dziwnie są naturalni, tacy sami, jak wszyscy. Tylko ta ich naturalność i prawda tyle ma w sobie artystycznego wdzięku, tak od nich autor oddala to wszystko, coby ten wdzięk mogło zmniejszyć i zaćmić łagodną pogodę obrazka, że cała ta część książki jest zupełnem przeczeniem poprzednich. Chcąc wiernym pozostać swym zasadom i metodzie, powinien był Droz przedstawić dziecko z jego stron ujemnych, podobnie jak już przedstawił jego rodziców; powinien był zrobić nacisk na rozwój złych skłonności, wykazać dziecinne wady, będące zarodkami wad człowieka, malować dzieci zepsute, kapryśne, będące postrachem domowych i obcych. Malując nam postać dziecka z najsympatyczniejszej tylko strony, prawdziwie bardzo ale z tendencyą do większego uwydatnienia światła niż cieniów, nadał ostatniej części swego dzieła wielki urok i prawdziwą artystyczną wartość, zarazem jednak zostawił wyraźne świadectwo, że najzapaleńszemu nawet realiście metoda jego nie zawsze może wystarczyć, że są strony życia jaśniejsze i lepsze, których ignorowanie prowadzić musi do nieścisłości i fałszu.

Jakkolwiek uważać będziemy tę niekonsekwencyę Droza, za wadę czy za zaletę, nie spotyka się ona wcale u najmłodszego, a talentem i rozgłosem największego ze współczesnych realistów francuskich. Pisarz ten, liczący swój autorski zawód na pojedyńcze lata jeśli nie na miesiące, prześcignął sławą i powodzeniem wszystkich belletrystów współczesnych. Wychodzące w niezliczonych edycyach jego powieści, których tłómaczenia jednocześuie z francuskim oryginałem drukują się w najcelniejszych czasopismach zagranicznych (n. p. w znanym petersburgskim „*Wiestnikie Jewropy*"), zawierają w sobie tę samą myśl przewodnią, którąśmy widzieli w dziełach Flauberta, tylko uwydatnioną lepiej, występującą na jaw bardziej cynicznie i brutalnie. To też można je nazwać kwintesencyą realizmu, a autora ich najlepszym doktryny tej przedstawicielem. To Emil Zola. (Dok. nast.).



WIELKA KSIĘGA.

Powieść Sewera.

III.

— Misses Hopkin!

— Ser.

— Misses Hopkin, dał się słyszeć po raz wtóry przydechowy lecz stanowczy głos p. Smaił, wylatujący z góry przez tubę do dolnego pokoju.

— Mówię ser, to znaczy, że słyszę, czyż to mało? odpowiedziano przez tąż samą tubę z dołu na górę.

— Mało, powtarza p. Smaił, gdyż nie potrzebuję w tej chwili twoich uszów — są mi potrzebne oczy.

— Oczy, odzywa się również przez tubę zdziwiona pani Hopkin — to szczególna, moje bure oczy, mówisz ser są ci potrzebne?

— Wzrok twój — tłómaczy p. Smaił. Chodź, patrz i sądź

— Nigdy wyraźnej instrukcyi, zawsze ogólniki, szeptała misses Hopkin idąc na górę, gdy jej czarne loki poruszane kołysaniem się korpusu, regularnie balansowały obok szyi, jak duże wachadła zegaru.

Przy panu Smaił stanęła misses Hopkin. P. Smaił zdejmuje raptownie papier, zasłaniający jego portret.

— Kogo ci ta twarz przypomina? zapytał p. Smaił raptownie.

— Ciebie ser — odpowiada decydująco misses, to ty jesteś w swojej osobie.

— Zgadłaś!

— Nie potrzebowałam zgadywać, gdyż to jest twój nos, twoje usta i uszy. Jesteś na kartonie — świeży, młody, rumiany.

— A w rzeczywistości, zagadnął p. Smaił uroczyście?

— Zaledwo sympatyczny, szepnęła, zarzucając na ramiona loki, wdowa po fabrykancie ram złoconych i właścicielu sklepu, w którym znajdowały się przy ramach obrazy. Musiała się zatem znać na malarstwie i powinna mieć swój sąd, jak utrzymywał p. Smaił, w co Pani Hopkin również wierzyła.

— Nie o to zresztą idzie, rzekł p. Smaił.

— O cóż więc, rzekła, spuszczając oczy wdowa -- może o to społeczeństwo, dodała.

— Zawsze tylko o nie, a na dziś w następującej sprawie. Przejrzyj te rysunki!

Misses przerzuca kartki kajetu, wydając dwa ciche westchnienia.

— Widziałaś?

— Widziałam.

— A zatem powiedz, odezwał się cicho olbrzym, lecz bardzo poważnie, powiedz, jak ci jest miłą przeszłość, jak ci jest miły spokój domowy — powiedz prawdę.

— Czy żądasz ser od słabej kobiety, aby wydobyła na wierzch tajemnicę serca swojego, odezwała się misses, również cicho, rzucając błagalne spojrzenie na p. Smaił.

P. Smaił, myśląc o społeczeństwie, ciągnął dalej.

— Jak ci jest drogą przyszłość, powiedz prawdę w dwóch wyrazach tylko: tak, lub nie!

— Powiem — zaledwie daje się słyszeć głos misses.

— A więc powiedz, czy te rysunki uważasz za oryginalne, tak lub nie?

— Tak, odpowiada misses, i z wysiłku wzruszenia pada, zawiedziona na krzesło.

— Jestem tego samego zdania, rzekł p. Smaił spokojnie i dziękuję ci w imieniu społeczeństwa; społeczeństwo nierade wyrzucać pieniędzy, tracić czas, i na dnie swoich nadziei znajdować kopie, lub naśladownictwa.

— Dobre kopie są również poszukiwane, rzekła wdowa, a naśladownictwo chociażby pana Hopkin...

— W handlu, moja pani, dla kramarzy, dla nędznych kramarzy, ale nie dla pracującego ducha społeczeństwa.

— Mój mąż lubił dobre kopie, a nie był nędznym kramarzem, w tem dowód, że wdowę swoją nie zostawił bez zabezpieczonej przyszłości.

— Nie myślałem o nim w tej chwili, odparł p. Smaił.

— Wiem, że wy mężczyzni nigdy nie zajmujecie się mężami biednych wdów.

— A to na co mielibyśmy próżno czas tracić.

— Aby z ich przeszłości poznać charakter pozostałych sierot i umieć je cenić.

— Znamy je lepiej jak potrzeba, odrzekł p. Smaił, machnąwszy ręką.

— Nie prawda, zawołała powstając wdowa, bo gdybyś mnie ser znał, wiedziałbyś dużo.

— Albo i nic.

— Niewdzięczny jesteś, dodała wdowa, i nie patrząc na p. Smaił odeszła, a raczej spostrzegła, że p. Smaił nie patrzał na nią, wyjmując z pułki swoją wielką książkę rachunkową.

Na dzień dzisiejszy szlachetny olbrzym umieścił w dochodzie stałe 10 szylingów. — W rozchodzie w rubryce dla siebie podłużna kreska, pod spodem w nawiasie wyrazy: wygrany zakład dał objad z piwem — W dziale dla społeczeństwa wypadł długi rachunek — wyszczególniano w nim sprawunki ofiarowane matce małego artysty, kupno portretu i rysunków. — A zatem społeczeństwo zrobiło deficytu w tym dniu na pół korony. — Uśmiechnął się z tego deficytu szlachetny rachmistrz, miał on w zapasie z ogólnego bilansu jeszcze 586 funtów i 3 szylingi dla społeczeństwa, które składał z oszczędności dziennego dochodu. — Pięćset ośmdziesiąt sześć funtów, cóż to znaczy wobec potrzeb ludzkości, pomyślał p. Smaił. — Lecz przy pracy i poszukiwaniach, rzucić na wagę dla przechylenia się szali życia jednostki parę sztuk złota, można przechylić jednostkę na stronę szczęśliwych wypadków, uratować ją i oddać społeczeństwu! — Można! zawołał p. Smaił, uderzając ręką w księgę — mamy na to dowody, sprawdzone podwójną buchalteryą. — Jeszcze jedna rubryka zatytułowana ze znakiem zapytania *stracone* nie została zapełnioną. P. Smaił pochwycił pióro i napisał dużemi literami — *nie* i to nie podkreślił czerwonym ołówkiem, co robił w nadzwyczajnych wypadkach, w razie gdy społeczeństwo mogło mieć nadzieję oczekiwania wielkich rezultatów.

— Chłopiec ma oczy matki duże, błękitne i smutne, czoło matki gładkie, spokojne, zamyślone.... No Smaił, masz nie lada zadanie wychować samoistny, oryginalny talent.

Gdy ona była obok mnie, raz pamiętam, po szczęśliwem znalezieniu Dicka, Samuelu rzekła, będziemy chłopca prowadzić niewidzialną ręką, damy jego talentowi troszkę światła, troszkę ciepła i jako rosę nieco serca i sympatyi, niech walczy i dźwiga się o swoich siłach. — Nie podstrzygajmy go jako drzewa włoskich ogrodów niechaj rośnie sam, wyciągając ramiona ku słońcu, tak mówiła ona, Dick zgasł na naszych rękach i to drugie sieroctwo. — Ja nie umiem dać sympatyi — szeptał do siebie olbrzym, ma on matkę, która jakby przeczuciem podziękowała mi jednym wyrazem: Samuelu.... Gdyby tu ona była, i gdybym jej opowiadał historyę dzisiejszego dnia, słuchając jej uśmiechałaby się.

— Samuelu powiedziałaby, sierota i talent — i cóż sierotom może przeszkadzać w samodzielności, gdy my im pomagać będziemy. Samuelu dzisiejszy dzień szczęśliwy....

Gdyby tu ona była.... Samuel zadumał się, patrząc na ogień kominka; po nad rozżarzonemi węglami migotały niebieskawe płomyki, jak ulatujące duszyczki, białawy puszek pokrywał je, zwolna czerwony kolor znikał, węgle czerniały, zimno się zrobiło.

Punkt o godzinie 7 wieczorem, lekko a szybko folblutowskim krokiem, szedł p. Smaił przez wązką uliczkę, zatrzymał się przed 26 numerem, wyraźnie trzy razy stukając. Otworzono mu z pośpiechem, przyglądając się jego długiej figurze z ciekawością, a więcej jeszcze z szacunkiem. Pan Smaił przeszedł przez wązki korytarz jakby dygnitarz, który wie, że go obserwują, a domyśla się w duchu, że jest podziwianym. P. Smaił nie chciał się niczego domyślać, szedł jednak z postawą dygnitarza, z miną zimną i uroczystą i dlatego pewno nie spostrzegł na schodach stojącej dziewczynki w dużych trzewikach, z odkrytemi nożynami bez pończoch i w sukience o króciutkich rękawkach. Na drobnej jej buzi świeciły duże czarne oczy, a na ramiona spadały złote włosy. Dziewczynka wlepiła w pana Smaił myślące oczy, nie wiadomo atoli, czy one spoglądały na pana Smaił, czy tylko patrzały, aby myśleć o nim. Uroczystość pana Smaił, powtarzamy, nie pozwoliła zwrócić na nią uwagi, co w każdym razie mamy prawo policzyć ten fakt na rachunek niepomyślnego wypadku, dla jednostki, w stosunku do społeczeństwa.

Zamknięto drzwi, ciekawi powrócili do siebie, dziewczynka została, pocichutku zeszła na dół, podsunęła się pod drzwi, w kórcyh zniknął p. Smaił. Zajrzała przez dziurkę od klucza, nic nie widać. Chciała wejść, już uchwyciła małą rączką za klamkę, zawahała się i cofnęła, nie śmiała otworzyć, brakło jej odwagi. Kilka chwil stała pod drzwiami i nareszcie zziebnięta, odeszła. A w małej izdebce było ciepło, kominek ogrzewał, lampa rzucała światło na długą twarz pana Smaił, błyszczące oczy radością chłopca i szczęśliwą nadziejami matkę.

Chłopcu oczy świeciły, przeglądał przepyszne kredkowe rysunki Juliene'a przyniesione przez pana Smaił. Tyle w nich fantazyi, świeżości i elegancyi, przy czystości rysunku!... Patrzał zdziwiony — nie rozumiejąc, odgadywał, nie mając jasnego pojęcia, odczuwał.

— Zamawiam sobie nie kopie, przerwał ciszę p. Smaił, pijąc herbatę ze swej filiżanki swoją łyżeczką. Broń Boże, ani podobieństwa, tylko tym samym sposobem robione rzeczy oryginalne. Co chcesz i jak chcesz, masz papier na próby, masz papier do pracy na czysto.

— Ser, rzekła kobieta, czyż chłopiec odrazu potrafi, widząc zaledwo pierwszy raz w życiu tak piękne rysunki, niechaj naprzód nauczy się naśladować.....

— Matko, czyż gwałtem chcesz ze swego dziecka zrobić niewolnika? Czyż ja wymagam od niego arcydzieł? Nie pozwolę młodej fantazyi zabijać się naśladownictwem — zresztą moja Pani, społeczeństwo nie potrzebuje małp, ono czeka na ludzi i talenta.

— Niechaj się naprzód nauczy, dodała nieśmiało matka.

— Czego — moja pani — czego — rysunku? — ma wzory, niechaj patrzy, ale niechaj nie przyzwyczaja oka, ręki i myśli do niewoli, chociażby ją dawał Perugini, lub Raphael.

— A jakże się nauczy?

— Niechaj wpatruje się w obrazy, dla rozwiązania zagadnień rysunku, a idzie za głosem swego natchnienia — zamawiam dwanaście rysunków w rodzaju Juliene'a, każdy po pół korony i czekam. Kopii nie kupuję, a tymczasem dyskusyę zawieszam, albo się cofam. P. Smaił widocznie postanowił steroryzować matkę artysty na rzecz odwagi i wiary w jej syna, a w swą zdolność wyrabiania talentów, w rozwoju których jednak uznawał zasadę — wolność.

— Nie i nie, mówił dalej p. Smaił, jeżeli on ma talent, nie chcę mu skrzydeł obcinać nożycami, chociażby to były nożyce samego Michała Anioła. Rozumiesz pani tę allegoryę, co chciałem powiedzieć, pod wyrazem skrzydła.

— Rozumiem ser, gdyż mój mąż często używał allegoryi, a i ja skończyłam wyższą szkołę, dodała rumieniąc się.

— A czy czasem szkoła nie zabiła w pani jakiego talentu?

— Nie zdradzałam żadnych szczególnych zdolności.

— Zkąd pani o tem wiesz, jeżeli nie dali ci czasu rozwijać się swobodnie, zabierając każdą godzinę na naukę. Okradali Cię, nie zostawiając nic dla Ciebie, dla rozwoju twych własnych zdolności.

Kobieta nie umiała na razie odpowiedzieć.

— Milczysz pani, pochwycił olbrzym, czujesz się pobitą, bo nie masz nic do powiedzenia, szanuj więc przynajmniej w własnym dziecku oryginalność, jeżeli ją sama skutkiem wychowania i nauki utraciłaś.

— Ależ ja jej nie miałam, odparła z mocą.

— Nie wierzę temu, jeżeli ją ma twój syn, chyba to nie twoje dziecko i ukrywasz pani przedemną jakąś tajemnicę. Ja nie rozdzieram zasłon niczyich, lecz proszę cię w imieniu prawdy, odpowiedz w dwóch słowach. Twoim jest ten chłopiec, lub nie.

— Przysięgam ci ser, to moje własne dziecko, zawołała wystraszona kobieta; patrz jak jest podobne do mnie — te same oczy.

Pan Smaił uśmiechnął się cicho, lecz za to szeroko.

— Widziałem je, dodał spokojnie po chwili, nie brzydkie, bo duże, nie brzydkie powtórzył p. Smaił, lecz gdyby były małe, tobyś pani zawołała: patrz, jakie ma uszy do mnie podobne. Przypadek moja pani i nic więcej. Jestże się tu z czego pysznić?

P. Smaił miał szczególny dar swoją naiwnością oryginalności wprowadzać w kłopoty kobiety.

— Ser bierzesz mnie za jakąś szczególną istotę, zaczęła zmięszana matka.

— Przeciwnie, biorę panią za zwyczajną kobietę. Mogłabyś być szczególną, gdyby w szkole nie zabili twego talentu. Nie ulega wątpliwości, że go zdusili. Dlaczegożby nie mieli tego zrobić, gdy im się udaje z tysiącami innych. Zatem zabili i kwestyę przecinam, dodał stanowczo, a wznawiam inną. Powiedz mi Pani, jaki jest powód pozycyi, w której się znajdujesz. Skończyłaś pani szkoły, a mąż twój był marynarzem?...

— Pochodzę z okolic Brighton...

— Chwilkę, zawołał p. Smaił, wznosząc rękę do góry. Uprzedzam, że nigdy nie staram się rozrywać zasłon cudzych tajemnic. Czy mnie pani pojmuje? Ja nie chcę być policyantem nawet samego siebie.

— Rozumiem ser twoją delikatność i dziękuję ci za nią, historya moja nie należy do tajemnic, jest prostą, jak było życie. Pochodzę z okolic Brighton — sierota, na imię mi Anna.

P. Smaił poruszył się i zatarł ręce, zdawało się, że z radości.

— Skończyłam pensyę kosztem opieki gminy, i zostałam nauczycielką w szkółce ludowej. W Brighton, dokąd jeździłam do jedynej z przyjaciółek, poznałam młodego człowieka, nazwiskiem Rowan, sierotę jak ja.

P. Smaił się uśmiecha.

— Pokochałam go, był to szlachetny człowiek z porywami fantazyi.

P. Smaił notuje w pularesie.

— Z powołania, mówi dalej kobieta, marynarz. Mieszkaliśmy w Brigthon, mój mąż często wyjeżdżał, lecz i często wracał, przywożąc zwykle wino i owoce z zachodnich brzegów Europy. W parę lat udało nam się zebrać mały kapitalik; mój mąż obrócił go na jednorazowe zakupno towarów, z któremi, obejmując pierwszy raz dowództwo na trzymasztowym brygu, popłynął do zachodnio-południowej Ameryki. Pojechał i nie wrócił! Od właścicieli okrętów, dowiedziałam się, że bryg się rozbił, a z załogą nie wiadomo co się stało. Towary nie były zaasekurowane, zostałam bez sposobu do życia, sprzedałam rzeczy, i nie chcąc wracać do gminy, przyjechałam z dzieckiem tu. Oto jest krótkie sprawozdanie; historyę mego serca, historye przecierpianych dni, przepłakanych nocy, zachowuję przy sobie, co mi ser przebaczysz...

— Podzielam zdanie pani i dziękuję za szczerość, rzekł wzruszony olbrzym. Te drogie, chociaż najcięższe chwile naszego życia, szanujmy wobec siebie samych, nie poniewierajmy ich nadużyciami spowiedzi, pokazując je jakby okrwawione ludziom, dla wyżebrywania ich litości...

— I gdyby nie mój syn, dodała kobieta, głaszcząc ręką chłopca, pomyśl ser. coby się stało ze mną, a gdyby nie ty, coby się stało z moim synem.....

— Nareszcie wierzysz pani w przypadek, przerwał p. Smaił, nie ma nic tylko przypadek, wzajemne obowiązki, zależność...

— Mówisz ser o obowiązkach — zwróciła uwagę kobieta.

— Coż to są obowiązki, moja pani? zaczął p. Smaił.

— Skończyłem, odezwał się cicho chłopiec, ciężko odetchnąwszy.

Pan Smaił rozciekawiony zerwał się z miejsca, artysta podał mu papier z rysunkiem zrobionym czarną kredką, którą przyniósł opiekun, a przedstawiającym w rodzaju Juliene'a głowę młodziutkiej kobiety. P. Smaił spojrzał się na matkę, kobieta na syna.

Znać było na rysunkach niesmiałą i niepewną rękę dziecka, niedokładności widoczne — ucho znajdowało się za daleko, a szyjka wyglądała troszkę za cienka, a jednakże czuć było fantazyę, pewien smak, a nawet przeczucia piękna, błyszczące jako światełka talentu oryginalności i twórczości. Twarzyczka patrzyła smutnie, chociaż się uśmiechała. Włoski rozrzucone na głowie po Julienowsku, posiadały w sobie pewną kokieteryę i wdzięk niepodobny do naśladowania. I gdyby nie cienie, podobne do plam...

— Nie krytykujmy, zdecydował p. Smaił, niech idzie dalej i dalej wciąż, o swoich siłach, niechaj sam się rozgląda i sam po-

prawia. Krytyka dla młodego talentu, to gorzej jak mróz na sałatę! P. Smaił szanował ogrodnictwo i lubił sałatę.

Chłopiec z jednej strony, matka z drugiej, zaglądali do rysunku, trzymanego w rękach p. Smaił, który miał prawo tryumfować. Pozwalał sobie tej małej rozkoszy w milczeniu, patrząc z dobrocią na chłopca, z pobłażaniem na matkę.

— Ser, odezwała się cicho kobieta, zdaje się, że ma talent.

— Po cóż to te zdaje się, gdy pani jesteś pewną, że syn twój jest geniuszem! A czy on jest gieniusz, czy talent, czy to, lub owo, noc przed nami, ciemna noc. Zagadkę tę rozwiąże jego praca i wytrwałość, szczęśliwe wypadki i otoczenie. My z naszej strony róbmy co można najlepszego, to jest milczmy. „Niechaj rośnie, wyciągając swe skarby duszy, jako drzewo konary, do słońca“, dodał uroczyście p. Smaił. Gdybyś pani wiedziała, kto to zdanie powiedział, szepnął, gdybyś wiedziała, szanowałabyś tę opinię.

— Szanując ciebie ser, szanujemy opinię twych przyjaciół, odparła z uśmiechem matka, tem więcej, gdy są tak ładnie powiedziane.

P. Smaił badał wzrokiem matkę, jak gdyby chciał odkryć prawdę jej myśli, ukrytych za wyrazami.

— Zamawiam 24 podobnych rysunków, za każdy pół korony, codziennie jeden, wypłata od sztuki, zgadzasz się — zwrócił zapytanie do chłopca olbrzym.

— Na wszystko ser, co każesz i co chcesz zawołało rozrumienione dziecko.

— Zgadzaj się zawsze na to jedynie, co uważasz za właściwe.

— Lecz, ja to co ser mówisz, uważam za bardzo mądre.

P. Smaił uśmiechnął się, bo czyż jest mąż na ziemi, któryby zdolnym był oprzeć się czarom pochlebstwa. To też p. Smaił uśmiechając się, zapinał swoje gutaperkowe kamasze i zadowolony odszedł.

Syn sieroty, z matki sieroty i sam sierota, rozważał przez drogę nasz przyjaciel. Potrójny — tak samo jak ty Samuelu. — chociaż inaczej. Szczęśliwy wypadek!.... Nagle zatrzymał się na rogu ulicy, namyślał się, wahał, poszedł dalej i znów stanął. Nareszcie widocznie zdecydował się, gdyż zwrócił się szybko i pomknął swoim długim, cichym folbludowskim krokiem, znikając w uliczce, utworzonej z dwóch murów. Obejrzał się i nasłuchiwał przeskoczył parkan i za chwilę stanął przy oknie oświeconego

lampą pokoju. U góry zostawiono mały otwór dla świeżego powietrza, przez który p. Smaił mógł słyszyć rozmowę.

— Ależ moje dziecko, mówiła matka, jak się nie będziesz uczył, to się nigdy nie nauczysz, trzeba z początku naśladować, całe lata kopiować, a potem dopiero samemu tworzyć.

P. Smaił tylko co nie wybił szyby, gdyż przy zimnej powierzchowności był prędki i unoszący się. Zabijasz oryginalność, obdzierasz społeczeństwo chciał zawołać, zatrzymał się i czekał.

— Mamo, a czyż ja nie mogę kopiować, a równocześnie robić rysunki dla tego dżentlemana.

— Spodziewam się, że tak uczynisz, nie zważając na jego wykrzykniki!

— Musi to być bardzo dobry człowiek.

— Nieco śmieszny i zarozumiały, — a pewno próżny, w każdym razie zdaje się uczciwy, chociaż ograniczony.

— Mnie się bardzo podobał, zauważył chłopiec.

— I mnie coraz mniej razi, bawię się jego opiniami i porównaniami, które uważa za coś nadzwyczajnego i chce niemi głowy nam zawracać, gdy tymczasem są one często niedorzeczne, zawyrokowała była uczennica z pensyi i nauczycielka.

— Lecz gdyby nie on, coby z nami było, moja mamo.

— W każdym razie za zesłanie nam tego oryginała należy podziękować Opatrzności, którą on nazywa szczęśliwym wypadkiem.

— Mamo, czy się domyślasz kogo chciałem dziś wyrysować?

— Oj dziecko z ciebie, dziecko, pewno Leonorę

— A czy podobna?

— Czyżeśmy ją widzieli?

— Ależ mamo, czy przypada do Twojego gustu, czybyś chciała taką Leonorę zobaczyć?

— Niekoniecznie.

— A mnie się bardzo podoba.

— Kocha swoje utwory, to dobry znak, szepnął z za okna p. Smaił.

— Boję się, abyś nie wpadł w zarozumiałość, którą nieustannie w tobie podbudza ten śmieszny oryginał.

P. Smaił uśmiechnął się szeroko, a cicho — do pokoju weszła dziewczynka w dużych trzewikach, sine nożyny od zimna i czerwone cienkie ręce do ramion odkryte, złote włosy w nieładzie spadały na ramiona i czoło, iż z po za nich wyglądały czarne oczy.

P. Smaił zatarł z radości ręce, przepadał za szczęśliwemi wypadkami, w zjawieniu się dziecka, uważał pewną niezwykłość.

Dziewczynka przywitała się uściśnieniem ręki z matką i synem, i nic nie mówiąc, grzała się przed kominkiem.

Chłopiec z pomiędzy rysunków wybrał jeden i zaczął go uważnie kopiować, dziewczynka usiadła na drugim rogu stołu, podparła główkę ręką i milcząc wlepiła swoje oczy w twarz chłopca. Cisza zaległa w izdebce — matka zajęta była haftem, syn rysunkiem, młoda dziewczynka myślami, które po promieniach jej oczu zbiegały do chłopca.

P. Smaił za oknem zatarł ręce, uśmiechnął się szeroko i cicho, i zaczął się powoli cofać, aby nie być spostrzeżonym przez policyantów.

— Jesteś zarozumiały i próżny oryginał, a do tego głupiec! Samuelu czy słyszysz!... Nie będą ci wdzięczni, gdyż oryginały nie zasługują na wdzięczność... Zresztą jesteś zesłany przez Opatrzność i basta.... A cóż ciebie to obchodzi i co cię interesować może. Co interesuje społeczeństwo, komu będą dziękować za uwięzienie na płótnie kilku skrystalizowanych myśli ludzkich. Co może obchodzić społeczeństwo, jak się stało, gdy go jedynie obchodzi, co się zrobiło.

Chłopiec ma do mnie sympatyę, przeczuwa mnie, odgaduje. Będzie się uczył rysunku, kopiując i będzie sam tworzył — wyśmienicie. Samuelu jesteś sprytny... Cóż, gdy nie masz się przed kim pochwalić; nie wolno ci mieć jednej, jedynej nagrody w życiu, uznania tylko od niej... stary sieroto smutno ci na świecie.

— Misses Hopkin, mów jak ci się podoba ta główka, zagadnął swą gospodynię p. Smaił, pokazując jej zabrany od chłopca rysunek. Dama spojrzała na papier surowo, a melancholijnie na pana Smaił.

— Ser pewno się domyślasz, że ja podzielam twoje upodobanie i ponieważ ty ten obrazek kupiłeś, znajduję go ładnym.

-- A ja ci życzę pani Hopkin, aby od dziś za lat 16 córka twoja, gdy pójdziesz za mąż, była podobna do tej na rysunku. To mówiąc dżentelman lekko ręką pogłaskał pod brodę panią Hopkin, co oznaczało niezwykłość dobrego jego humoru.

— Co chcesz przez to ser powiedzieć, odrzekła gospodyni rumieniąc się i spuszczając oczy.

— Ze będzie ładną.

— Mówiłeś o zamążpójściu!

— Życzę ci tego.

— Czyż się nie domyślasz, czyż nie chcesz rozedrzeć zasłony, kryjącej tajemnicę?

— Ja nigdy nie staram się rozrywać zasłon cudzych tajemnic. To powiedziawszy p. Smaił, oddalił się.

— Okrutny, ty ją znasz, ty czytasz w mojem sercu i boisz się jej wymówić, skazując i mnie na milczenie, na ciężkie milczenie moją zbolałą duszę. O wy mężczyzni, wy się umiecie pastwić nad temi, które wam oddały serca! Mężczyzni, mówicie ciągle o społeczeństwie, a zabijacie z uśmiechem pojedynkę!....

Misses umyślnie użyła tego wyrazu w miejsce jednostki, do której miała nieprzezwyciężony wstręt, jako orzeczenia tak niezgodnego z jej pragnieniami, należenia do pary. Misses siadła na fotelu w pozycyi Lady Norton, której portret posiadała długi czas w swoim sklepie. Główkę pochyliła na ramię, loki jej fantastycznie spływały na okrągłe ramiona. Jedna ręka była przy sercu, druga spoczywała niedbale rzucona na poręcz. Gdyby ją kto widział w tej pozie i gdyby się nie wzruszył, byłby zimnym głazem, byłby jednostką zamkniętą w samej sobie. Misses cierpiała, a p. Smaił pił herbatę, robił w wielkiej księdze rachunki, czytał dzienniki, później o wolności Stuarta Milla, z którym się w wielu kwestyach nie zgadzał, głośno z nim dyskutował, i zawsze mu się udało pobić filozofa, gdyż ten milczał cierpliwie, spoglądając litośnie na pana Smaił, z białego papieru czarnemi literami. W pośród tego, oryginał marzył o niej, myśli jej powtarzał, żył wspomnieniami, a może żył dla niej, chociaż ona rzuciła go.

Na to przypuszczenie p. Smaił także się uśmiechnął cicho, lecz krótko. Sierota, potrójny sierota..... Jednostka, usiłował tłómaczyć — zamilkł, nie śmiał dokończyć....

Czemże dla niego było społeczeństwo — ideą, którą ukochał przez nią. Poszła, świat mu posmutniał i zczerniał, jak węgle na jego kominku. Idea została i przez nią powracał — do niej.



LISTY Z RZYMU.

X.

(Radykalny fałsz dzisiejszej Italii — Gdzie szukać pociechy — Kółka rodzinne — Tradycya obyczaju i wiary — Nizina około Tybru — Dzielnica miasta pod wodą — Ludność uboga — Skargi — Plany uregulowania Tybru — Czasy pogańskie — Za rządów papiezkich — Miliony — Podróż Humberta po Włoszech — Czem były manifestacye — *Les Badauds* — Policya w Bononii — Zamach w Neapolu — Cairoli — Tłumy oczekujące chwili okrzyknięcia rzeczypospolitej — Spisek — Bomby Orsiniego we Florencyi — Zaburzenia w Pizie — Policya w Rzymie — Aresztowania — Słowa Małgorzaty — Ogół publiczności — Posłowie i ministrowie — Wjazd Humberta do Rzymu — Parodya — Kto wyprawiał manifestacye na cześć Humberta — Dynastya sabaudzka od lat dwudziestu — Jej gwałty, bezprawia i szerzenie niewiary — Humbert i Małgorzata podczas karnawału 1871 r. — Morderca Passanante i jego listy — Pomsta — Dowody ogólnego wybuchu — Hausnerjada).

Rzym 26 Listopada 1878 r.

Nie wesoła to rzecz pisać z Rzymu wobec tego, co się dzieje. Zda się jakoby ów radykalny fałsz dzisiejszego Italii położenia, o którym wspomniałem w jednym z listów poprzedzających, objawiał się zewsząd coraz wybitniéj, coraz też i dotkliwiej, na naukę zapewne i na upamiętanie niejednego, ale jednocześnie niestety! na zatratę moralną wielu, na zgorszenie tłumów... Dusza zbolałego widza szuka wobec tego smutnego widowiska, gdzieby spocząć mogła, gdzie zaczerpnąć pociechy i otuchy nieco. I zaiste, jeżeli jest chrześcijańską a zna bliżej Rzym katolicki, tego kordyału jej nie braknie, bo są tutaj dusze czyste a kochające, są prawdziwe perły wiary, poświęcenia, pracy niezmordowanej dla Boga, dla przyszłości. Znajdziesz je od stóp tronu papiezkiego, aż do szkółek, gdzie tolerowani jeszcze braciszek lub siostra zakonna mówią dzieciom ludu o Bogu, o życiu przyszłem, o miłości bliźniego, aż do skromnych kółek rodzinnych, tutaj może liczniejszych niż gdziekolwiek, w których się przechowuje najczystsza tradycya obyczaju serdecznie, czynnie, praktycznie katolickiego. Ale to wszystko, i z natury cnoty chrześcijańskiéj, co zawsze nieznaną być pragnie, i ze składu obecnych okoliczności, tak głęboko jest ukryte, że tylko ten, kto takie rzeczy zna, kocha i szukać ich umie — rzeczywiście je znajduje; tylko ten, kto wie, jak i gdzie kołatać, kołatać bez hałasu, nie z ciekawością, lecz z miłością i uszanowaniem — do tych uświęconych dostaje się wieczerników, i wychodzi z nich orzeźwionym i ufnym w lepszą a niedaleką może przyszłość. Inny widz, tem bardziej biedny korespondent, poprzestać musi na gwarliwem widowisku faktów zewnętrznych, głośnych — a te powtarzam, ani są wesołe, ani budujące.

W ostatnim piętnastodniu zaczęło się od wylewu Tybru. Wązka a głęboka ta rzeka, z Apeninów ku morzu bystrym płynąca prądem, zawsze brudno-żółta, bo od lat tysiąców zmywa gliniaste umbryjskiej ziemi formacye, umie być groźną i niszczącą. Niech tylko potrwa kilkodniowa, w poźno-jesiennych miesiącach nierzadka we Włoszech ulewa, tem bardziej niech się nagromadzą śniegi na szczytach gór *del Gran Sasso d'Italia* (wielka italska skała), *Soracte* i *Sabiny*, a potem nagle je spłukają deszcze, wraz stary *Tevere* z niepozornej na oko rzeki wzrasta w zalew ogromnych rozmiarów i wypełniwszy głębokie swe koryto, zanurza rzymską nizinę. Kto zaś zna Rzym, ten wie, że zachodnia część niziny położona za miastem sięga aż do stóp *Monte-Mario*, gdzie rozciągają się ogrody, winnice i pastwiska, w samem zaś mieście, acz bardzo zwężona sięga do stóp Watykanu i *Janiculum*, obejmuje dzielnice *del Borgo* (czyli miasta Leonowe, *città Leonina*) i *Trastevere*, *Zatybrze*. Natomiast wschodnia jej część, na lewym brzegu Tybru położona, ściele się u stóp klassycznych siedmiu starego Rzymu pagórków, obejmuje prawie połowę miasta, dawniejsze Pole Marsowe, i poniżej dzielnice *della Valle*, *Panteonu* i *Ghetto*, podnóża Kapitolu, Palatynu, Awentynu. Owoż to wszystko było właśnie zalane wodą. A lubo teraźniejszy wylew, od 13 do 19 listopada trwający, był o wiele mniejszy od owego głośnego wylewu z grudnia 1870, nie mówiąc już o historycznych zalewach np. o owym za Aleksandra VI, w końcu XV wieku, którego poziom dotychczas naznaczony na kilka stóp nad posadzką kościoła *Santa Maria sopra Minerva* (który to kościół już jest bardzo daleko od Tybru), wszakże ludność uboższa, w zalanych dzielnicach najliczniejsza, ucierpiała, i ucierpiała tem więcej, że municypalność prawie o żadnej nie pomyślała pomocy, ani w łodziach, ani w żywności i ludziach. Skargi na to niedbalstwo były jednomyślne. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że, zdaniem osób kompetentnych, plany uregulowania Tybru tak lekkomyślnie zostały ułożone, a odnośne roboty tak niepraktycznie od lat paru prowadzone, że wprawdzie pochłonęły już miliony, lecz przez obecny wylew bodaj nie całkowicie zniszczone zostały? Już przed trzema laty, w czasie rozpraw w parlamencie nad rzeczonym projektem, ostrzegali specyaliści, że przedsięwzięcie to albo musi przechodzić wszelką miarę możności ludzkiej, jeżeli ma cel osiągnąć, albo będzie pracą wrzuconą w błoto i kolosalnem bankructwem. Pamiętam bardzo interesujące co do tego dane w *Unità cattolica* z lata 1875 r. Nie słuchano ich, wolano deklamować na niedołęztwo rządów pa-

piezkich. A jednak, nie będąc nawet specyalistą, by się przekonać po czyjej stronie prawda, dość tej uwagi: że jeżeli starożytni Rzymianie, rozporządzający tak kolosalnemi środkami, jakich żadne nowożytne państwo nigdy nie miało i mieć nie mogło, mający inżynierów i budowniczych, których dzieła do końca wieków będą podziwiane, dla swej metropolii, dla dwumilionowej stolicy świata nie wykonali owych robót, któreby Romę od zalewów Tybru ubezpieczyły, to już z pewnością te roboty praktycznemi nie są... Tak mówi zdrowy rozum, i wątpię, aby fakta kłam temu sądowi kiedykolwiek zadały. Na to trzebaby nowej monarchii uniwersalnej, i prócz tego kroćstotysięcy robotników, pracujących prawie za darmo, jak pracowali kilka niewolnicy pogańscy...

Podczas gdy Tyber wylewał, król Humbert z żoną odbywał ową dawno zapowiedzianą podróż po różnych częściach Italii, w której go główne miasta pierwszy raz od śmierci Wiktora Emmanuela uroczyście przyjmować miały. Kto brał kiedy udział w jakiejś uroczystości publicznej, ludowi z serca że tak powiem płynącej, kto np. pamięta ów w Warszawie pogrzeb pięciu poległych, dnia 2 marca 1861, lub w zeszłym roku widział jak Kraków i Lwów przyjmowały przedstawiciela Ojca Św., ten niechaj, zastąpiwszy publiczność polską przez publiczność włoską, przez kontrast, jeżeli zdoła wyobrazi sobie: w miejsce tam szczerej, gorącej sympatyi do przedmiotów uroczystości, tu wyrozumowane postanowienie, że manifestować trzeba, by umocnić chwiejący się widocznie tron dynastyi sabaudzkiej; w miejsce potężnej affirmacyi, co tam zapał tworzyła — tutaj jakąś wymuszoną protestacyę liberalnego rozumu z jednej strony przeciw nieugiętej, choć niczem się na razie nieobjawiającej, odpornej postawie stronników prawa, z drugiej strony przeciwko dolatującym już zdala odgłosom grzmotu przyszłej rewolucyjnej burzy — niechaj doda cały akompaniament reprezentacyi urzędowej, i cały kontygens owego tłumu zwanego przez Francuzów *les badauds*, a których u nas trywialnie lecz trafnie gapiami i gawronami mianują — a będzie miał wyobrażenie o owej podróży królestwa Humbertów po głównych miastach włoskich. Już w Bolonii horyzont chmurzyć się zaczął. Policya na krótko przed przyjazdem króla trafiła była na ślad sprzysiężenia przeciw jego życiu. Nie mając czasu postarania się o mandat sądowy, powsadzała na prędce do kozy pewną liczbę podejrzanych ludzi. Mimo to, króla na placu teatralnym przywitano okrzykami: *evviva la Repubblica*, a w prasie powstał krzyk na bezprawne aresztowania. Prefekt policyi tłómaczy

się, że tylko tak mógł odpowiadać za bezpieczeństwo osoby króla. Ministeryum wszakże słabo go osłaniało, gdy w tem zamach na Humberta w Neapolu uderzył jak grom w imaginacyę i w nerwy całej liberalnej publiczności i odsłonił przed nią przepaść, nad brzegiem której Włochy postawiła rewolucya.

Szczegółów samego zamachu powtarzać nie będę. Stary spiskowiec, a dzisiaj pierwszy minister Cairoli, dał dowód zimnej krwi i osobistej odwagi, bo jedną ręką uchwycił mordercę za włosy i trzymał go zdala od króla, podczas gdy ten, jak dziki zwierz, zadawał mu uderzenia sztyletem. Trwało tak kilka chwil, zanim karabinierzy mordercę przytrzymali. Rzecz ciekawa, a o której mnie zapewniały wiarogodne osoby, że w chwili, gdy telegram o zamachu był publikowany w Rzymie na *piazza Colonna*, już tam stało zebranych kilka tysięcy ludzi, przygotowanych do okrzyknięcia rzeczypospolitej, w razie wiadomości o śmierci króla, a którzy teraz zaczęli przebiegać ulice, krzycząc na cześć jego. Nazajutrz 18go i dni następnych, gdy oczywiście we wszystkich głównych miastach włoskich przedsiębrano z urzędu demonstracye radosne, szereg ohydnych zbrodni, przypominających zamachy popełnione w Rossyi przez nihilistów, zaświadczył o istnieniu spisku ogarniającego całe Włochy... We Florencyi kilka bomb *à la Orsini* rzuconych pomiędzy spokojną, bezbronną publiczność przy okrzykach śmierci dla króla i monarchii. W Pizie banda internacyonalistów napada przez dwa dni z rzędu na młodzież uniwersytecką i innych obywateli, by ich ukarać za manifestacyę przychylną królowi, strzały z rewolweru, kilku zasztyletowanych, inni nożami lub kijami pokaleczeni... W Padwie, w Bolonii, w Wenecyi szybkie aresztowania zaledwie przeszkodziły wybuchowi podobnych zamachów. Zdzierano z murów afisze z okrzykami: „Śmierć monarchii sabaudzkiej! Niech żyje Passanante!“ (tak się nazywa morderca króla) a podpisane: „Bractwo internacyonalne“. — We Florencyi odkryto zamiar rzezi wszystkich coś posiadających, i podpalenia miasta w kilku punktach...

Tu w Rzymie wzięto się ostro do środków policyjnych, bo tutaj właśnie miał król z Neapolu na zakończenie swej podróży przyjechać. Nie pytając już o formalności sądowe, pomiędzy 18tym a 25tym aresztowano przeszło 200 osób. Ukazywały się i tutaj afisze internacyonału, szeptano o bombach. Strachem zdjęta publiczność albo modliła się albo przeklinała rządy rewolucyjne. Powtarzano sobie odezwanie się królowej Małgorzaty, która wchodzącego do niej pana Tecchio, prezesa Senatu, przywitała głośnym płaczem

i słowami: „Widzisz Pan, dokąd zaprowadzili mego męża!“ Oczywiście że ogół publiczności zwrócił się z oburzeniem przeciwko demagogicznej polityce dzisiejszych ministrów, i na otwarciu parlamentu w dniu 20tym czy 21szym posłowie z lodowatą obojętnością przyjęli banalne oświadczenia ministrów, przywiązania do dynastyi, oburzenia się na zamach itd., bo każdy wie dobrze, że ci panowie pierwsi zapewne w duchu byliby przyklasnęli, gdyby się zamach był powiódł. Posiedzenia wnet odroczono, a tymczasem cały świat urzędowy jął się gotować do *radosnego* (sic) przyjęcia powracających Ich Krolewskich Mości... Trzeba przyznać, że do wywołania tej *radości* wzięto się praktycznie i energicznie, choć może nie bardzo dla mieszkańców *radośnie*. Na całym przebiegu ulic, któremi orszak królewski od dworca kolei do Kwirynału miał przejeżdżać, policya kazała sobie podać przez gospodarzy spis wszystkich mieszkańców ich domów, po czem wszystkie bez wyjątku mieszkania zrewidowała, zapowiadając surowo każdemu lokatorowi, że osobiście odpowiada za tych, którzy z okien jego na orszak patrzeć będą. Wszystkie deputacye, korporacye, liberalne stowarzyszenia zostały zgromadzone w niedzielę 25go o 1szej na placu śś. Apostołów; każdy musiał stanąć pod swoją chorągwią; wszystkich przeglądały roje żandarmów, policyantów, ajentów tajnych, i po takim dopiero przeglądzie pociągnięto na dworzec kolei. Place przed dworcem, wszystkie ulice, którędy przejeżdżano, wszystkie ujścia ulic bocznych były obsadzone wojskiem i strażą. Otoczony karabinierami powóz królewski posuwał się wśród tego aparatu; królestwo oboje uderzali bladością twarzy, i rzekłbyś był, patrząc na to wszystko, że to zdobywca wjeżdża do wziętego szturmem miasta, a nie monarcha do swojej niby stolicy...

Bo też zaiste, nie jego to stolica ten Rzym, moralnie i społecznie rozdwojony, ten Rzym nielitościwie w godności swej deptany, poniewierany, znieważany! Ktoby o tem wątpił, niech bezstronnem okiem popatrzy na to, co się tutaj dzieje, co tu czują, co mówią powszechnie. I cóż z tego, że od 15.000 do 20.000 ludzi (bo tyle co najwięcej było podług obliczeń wprawnych *reporterów*) patrzyło na ów wjazd Humberta, że na drugi dzień z ganku owego, wytrychami zdobytego, pałacu papiezkiego na Kwirynale, ukazywał się on wrzeszczącym paru tysięcom motłochu z pochodniami w rękach przybyłym? (bo w rzeczy samej był to prawie sam motłoch, istna parodya obcych tutejszym obyczajom *fakelcugów* niemieckich). Co z tego nawet że i w Rzymie naliczyłby jakieś parę tysięcy rodzin (po większej części piemonckich) oficerów i urzędni-

ków, szczerze dynastyi sabaudzkiej sprzyjających, którzy temi dniami z całej duszy pragnęli jej swoją sympatyę okazać? Czy to lud? czy to naród? A nadewszystko czy to prawo? Czy to zmienia odwieczny z Nieba dany porządek społecznej, politycznej, dziejowej sprawiedliwości? Dynastya sabaudzka od lat dwudziestu kilku bez sumienia, bez czci i wiary plamiła uchwycony przez siebie sztandar patryotyzmu włoskiego. Obdzierała Kościół, weszła w sojusz z trucizną i sztyletami sekt podziemnych, najmowała niecną, przewrotną prassę, czciła i wynagradzała królobójców (tak n. p. wdowa po Agesilao Milano, sprawcy zamachu na życie króla neapolitańskiego Ferdynanda II, dotąd pobiera pensyę od rządu włoskiego). W dyplomacyi, w sojuszach politycznych, w wywoływaniu pseudo-narodowych ruchawek działała najbezczelniejszą zdradą, obłudą, przekupstwem. Wnętrzności się przewracają z obrzydzenia na to, co rząd piemoncki robił w 1859 i 1860 roku w Legacyach, w Marchiach, w Sycylii, w Neapolu, w 1867 roku pod Rzymem, w roku 1870 w Rzymie samym. Posiadłszy całe Włochy tak *moralnemi* środkami (*mezzi morali*) „*nous ne nous servirons*, *pour avoir Rome capitale*, *que de moyens moraux* odzywał się gabinet florencki, gdy szło o uzyskanie od Napoleona III wycofania załogi francuzkiej z Rzymu — opierał się na tym prądzie, co szerzył i szerzy ateizm, materyalizm, bluźnierstwo. Na to dowody we wszystkich szkołach i instytutach rządu Włoch *wyzwolonych*, gdzie tysiącom i tysiącom dzieci odbierają wiarę i tak rozbrojone dusze rzucają na pastwę demoralizacyi. Naigrawał się publicznie z Kościoła, z jego dogmatów najświętszych i modlitw! Podczas karnawału 1871 roku, książę Humbert i jego żona publicznie przypatrywali się i śmiechem swym towarzyszyli bezecnej ulicznej maskaradzie, gdzie w ohydnych karykaturach wyszydzano Ojca Świętego, Najświętszą Pannę, samego Zbawiciela Chrystusa Pana naszego! I dzisiaj dziwią się, że kto siał wiatry, zbiera burzę, kto zatruwał dusze ludu, z ludu tego doczekał się morderców! Ależ nie byłoby Boga sprawiedliwego, gdyby było inaczej. I jeżeli ten sam Humbert, co przed niespełna rokiem u łoża konającego ojca podobno troskał się o to, czy ten dobrze się wyspowiadał, to jest czy uznał, że jego tron w Rzymie stoi na bezprawiu i świętokradztwie, jeżeli mówię ten sam Humbert, dzisiaj o dwa cale od śmierci ocalony, brnąć będzie dalej na tej drodze, bodajby tylko przykładnym, a nie sromotnym dla upadającego był jego przyszły upadek!

Tymczasem morderca Passanante sędziemu śledczemu pytającemu go, czy żałuje za swój postępek? odpowiada: „Gdyby tu był powód do żalu, to nie byłbym przez trzy dni z głębokim rozmysłem rozważał, jak wykonać czyn postanowiony“. A do swej matki pisze: „Oto syn Twój *winny* (to głos sumienia). Ale *nie jestem winny*, bo Ty Matko nic tych rzeczy nie rozumiesz (oto przewrócona sofizmatami sekciarskiemi głowa). Przyślij mi Matko Twoje święte błogosławieństwo... chciałem zabić Humberta, bo on jest synem tego... tyrana... uzurpatora.. *uwodziciela córek naszego ludu*“ (oto pomsta za grzechy możnych tego świata).

Ale znaki czasu miną, wrażenie opatrznych ostrzeżeń osłabnie, a przewrotność ludzka dalej brnąć będzie.. I Gambetta, który już chciał podejrzenie przyczyny zamachu neapolitańskiego zwrócić na katolików i legitymistów, co nawet tutejsze sfery liberalno-monarchiczne w najwyższym stopniu oburzyło (pisał o tem dziennik tych sfer *Fanfulla*), nie przestanie wrzeszczeć: *Le cléricalisme, voilà l'ennemi!*

W chwili zakończenia listu dochodzą mnie z poważnego źródła dwie bardzo znaczące wskazówki. Pierwszą jest, że policya codzień więcej odkrywa dowodów, że Passanante był narzędziem sprzysiężenia włoskiego internacyonału, zamierzającego wybuch na bomby, sztylety i naftę we wszystkich wielkich miastach półwyspu. Druga: Że podobno samoż ministerium Cairoli-Zanardelli sprzyja podziemnie tej sekciarsko-demagogicznej robocie, a to by rzeczy we Włoszech doprowadzić do stanu zrozpaczonego i módz powiedzieć Humbertowi: „Sam widzisz, że monarchia jest nadal niemożebną; więc ustąp dobrowolnie, by cały kraj od anarchii ocalić“.

Nigdy zaś dosyć nie można upewniać naszych polskich czytelników, dla których tyle obłudy i szatańskiego krętactwa wydać się może niepodobieństwem, że do *wszystkiego* zdolni są koryfeusze tutejszego sekciarstwa, i że nasze awantury polityczno-policyjne, jak owa, zresztą w sobie przebolesna manifestacya na cześć p. Hausnera i jego na lillipucką skalę Targowicy — to przy tutejszych rewolucyonistach jak sielanka przy demoniczno-krwawym dramacie.

Fakt godny uwagi, że tutaj w tej chwili suknia duchowna w ogóle zostawiana w spokoju i pewnem nawet stosunkowem poszanowaniu. *Bez woli Ojca włos wam z głowy nie spadnie...*

K. T.

LISTY Z WIEDNIA.

Wiedeń 23 Listopada 1878 r.

IX.

(Zamachy bez końca — Delegacye wspólne — Deputacya z Hercegowiny — Przyszłość katolicyzmu w zabranych prowincyach — Memoryał ś. p. kardynała Rauschera — Sejm węgierski — Tisza a konkordat — Z kroniki szkolnej — Ignorancya dziennikarska — Dr. Bleiweis — Książki).

Zamachy stały się istną epidemią, a co najdziwniejsza, iż rewolwer i sztylet rewolucyjny nie oszczędza właśnie tych mocarzy, dla których liberalizm miał i ma dotąd słowa najwyższego uznania a nawet uwielbienia. Nie zdaje się, iż Hödel, Nobiling, Moncassi i Passanante działali tylko jako narzędzia ograniczonego na pewną liczbę stowarzyszenia spiskowców, czujna bowiem i we wszystkie środki doświadczenia i siły wyposażona władza policyjna dawnoby już urwała łeb tej hydrze królobójczej. Zło, które wywołuje tak straszne zjawiska sromotnego zdziczenia, tkwi nierównie głębiej, jest charakteru o wiele więcej ogólniejszego. Nie chcą tego przyznać liberalne dzienniki, bo musiałyby wydać na siebie wyrok potępienia, i dlatego też wielce komiczne są koziołki argumentacyjne, jakie to prasa wyprawia, ilekroć jaka wieść o świeżym skrytobójczym zamachu światem wstrząśnie. Sumienne(?!) te dzienniki, omawiając takie fakta przerażające, tłómaczą się niejako przed swymi czytelnikami, iż przyczyną takowych nie jest bynajmniej propagowana przez nie bezreligijność. Stara to prawda: *qui s'excuse, s'accuse*. A loika stwierdza w zupełności te prorocze, a przez ultramontanów powtarzane słowa: Kto sieje wichry, burze zbierać będzie.

Oba państwa, których królowie narażeni byli na ciosy skrytobójcze, wszakże wiadomo, iż wydały wojnę legitymizmowi, a chcąc go skutecznie zwalczyć, nadwyrężyły w wysokim stopniu religię, ten żywy korzeń wszelkiego ładu społecznego, tę podwalinę wszelkich etycznych stosunków. Z duszy ludu pod hasłem Kulturkampfu wydarto poszanowanie dla tego, co moralne, co święte, i lud ten w tej szkole deprawacyi dojrzał do wszelakich zbrodni, nawet do królobójstwa. Dość porównać statystyczne wykazy zbrodniczych czynów, popełnionych w państwach dotkniętych liberalizmem, z czasów, gdy nie był jeszcze systemem rządowym z temi, gdy się dorwał władania.

We Włoszech w jednym miesiącu sierpniu naliczono 16.000 zbrodni, a sędziom polecono jak największą łagodność w wymierzaniu kary, gdyż dla zapełnienia kryminałów kłopot wielki z pomieszczeniem tych nowo przybywających lokatorów. I wobec takich stosunków dziwią się potem, iż zamachy królobójcze się mnożą!

Wielką zaiste wypowiedział prawdę arcybiskup z Chieti w piśmie swem, wystosowanem na kilka tygodni przed zamachem do króla Humberta. Arcybiskup Alojzy, skarżąc się na ucisk, jakiego doznaje ze strony rządu włoskiego, ku końcowi to jakoby proroctwo położył: „Nie, Najjaśniejszy Panie, nie zagraża się tronom, nie nadweręża się władzy monarszej, jeżeli się Kościołowi Bożemu przyznaje tę wolność, której mu właśnie tak wielce potrzeba dla obrony samychże tronów i dla otoczenia majestatu monarszego dostojnem poszanowaniem".

Austro-węgierskie atoli dzienniki, które umieją pogodzić dynastyczną lojalność z bizantyńskiem ubóstwieniem takiego radykalisty, jak Gambetta, niech pouczone przykładem Prus, Hiszpanii i Włoch nie zapominają, jakie zatrute owoce wydaje sprzymierzanie się z jawną lub zamaskowaną rewolucyą, jaką jest liberalizm. Rewolucya to nie ów potulny murzyn, który zrobiwszy swoje, odchodzi. Rewolucya za oddane przysługi domaga się zapłaty, a nóż i rewolwer przypominają rewolucyjnym królom, iż rachunki jeszcze nie wyrównane.

* * *

Sprawa okupacyjna powędrowała z Rady państwa do Pesztu. W delegacyach wspólnych popłyną wkrótce, a w sejmie węgierskim płyną już od tygodnia strumienie wymowy parlamentarnej, co począć z tym fantem, z Bośnią i Hercegowiną, których zajęcie kosztowało przeszło 100 milionów, a więcej niż 5 tysięcy ludzi. Epilogiem tych rozlicznych rozpraw, przypominających to nasze ruskie przysłowie: *wodu wary, woda bude,* będzie nie co innego, tylko aneksya. Za wcieleniem tych krajów do monarchii austro-węgierskiej przemawiał wyraźnie adres do cesarza, z jakim przybyła deputacya z Hercegowiny.

Wysłannlcy ludności hercegowińskiej zabawili w przejeździe kilka. dni w Wiedniu, udając się do Pesztu. Wszędzie przyjmowano ich z wielką serdecznością i to na koszt cesarza. Deputacya liczyła do 30 członków; katolicką reprezentowali: biskup Angelo Kraljewic, tegoż sekretarz ks. Marcin Ljubic, prowincyał Franciszkanów Pasquale Bukonjic, proboszcz Andro Putica, i kupiec Błażej Zelenica. Przewodnikiem deputacyj był grecko-schyzmatycki archimandryta Serafin Perovic. Członkowie deputacyi, katolicy, byli na mszy w kościele Franciszkanów, ks. biskup Kraljewic miał następnie posłuchanie u J. Ekscelencyi ks. Nuncyusza, a wieczorem zgromadzili się w resursie katolickiej. Gospodarz kasyna, baron Sommeruga, jak niemniej prowincyał tutejszych Franciszkanów, Szlązak ks. Brezowski, starali się gościom swym kilkugodzinny pobyt o ile możności uprzyjemnić.

Uderzyło tu, iż duchowni z Hercegowiny, ignorowali zupełnie tutejszego księdza Arcybiskupa Kutschkera, jak w ogóle, o ile się dało, unikali zetknięcia się z tutejszym klerem niemieckim. O ile z rozmowy, mianej z jednym z deputowanych, mogłem wywnioskować, powodem tego trzymania się na uboczu był i jest wielce ujemny sąd, jaki ś. p. kardynał Rauscher wydał przed laty o klerze katolickim w Bośnii i Hercegowinie, a mianowicie o pracujących tamże Franciszkanach. Nieboszczyk ks. kardynał rzeczywiście przed laty wystosował był memoryał do rządu w kwestyi wschodniej. Memoryał ten, doradzając Austryi sojusz z Moskwą uderzał silnie, a prawie namiętnie na Franciszkanów, proponując ich zupełne wyrugowanie z obu tych krajów. Czy słuszny był to sąd, dziejopis kościelny kiedyś rozstrzygnie; moją rzeczą zaznaczyć tu tylko, iż jak ś. p. ksiądz Rauscher dążył do tego, aby wiedeńską arcybiskupią stolicę zamienić w prymasowską, tak i obecnie chcianoby w pałacu arcybiskupim na Rothenthurmstrasse przeprowadzić podobne scentralizowanie kosztem samorządu kościelnego w pojedynczych krajach koronnych Cislitawii. Życzyć sobie należy, aby plany te nie wydały rezultatu, gdyż bez uprzedzenia najmniejszego o wyższym i niższym klerze

tutejszym można powiedzieć na śmiało, iż jak z jednej strony *exceptis excipiendis* przeważnie dla Józefinizmu jest z respektem, tak znowu z drugiej strony kieruje się wybitną niechęcią względem braci po krzyżu słowiańskiego pochodzenia.

Adres deputacyi hercegowińskiej, wręczony cesarzowi, spisano łacińskim alfabetem. Deputowani greccy żądali wprawdzie, aby dołączono przekład adresu i cyrylicą, lecz gdy mahometanie postawili wniosek, by w takim razie i tureckie pismo nie zostało pominięte, odstąpili Grecy od swego żądania, i zgodzono się na łacińskie tylko litery.

Z powodu przybycia deputacyi hercogowińskiej zdarzyła się także zabawna historyjka. Zaledwie deputowani wysiedli z wagonów, wsunął się niespostrzeżenie w grono tychże żydek, przybrany w fez turecki, widocznie aspirant do bezpłatnego pobytu tak w Wiedniu i w Peszcie, jak i do różnych przyjemności bezpłatnych, jakie w tych miastach zgotowano notablom hercegowińskim. Nowy hercegowińczyk zwrócił atoli na siebie uwagę komisarza policyi, i natychmiast wywiązał się następny dyalog: czy mówisz pan po niemiecku? Hercegowińczyk: wybornie! Komisarz: jak się pan nazywa? Hercegowińczyk: Adolf Khon; Komisarz: czy pan z Mostaru? Hercegowińczyk: nie; ale ja był przed kilkoma laty w Konstantynopolu. Komisarz zrobił groźną minę a Hercegowińczyk *erupit*, *evasit*, *evanuit!*

W sprawie kościelnej organizacyi w obu anektowanych krajach, to utrzymują na pewno, iż między Wiedniem a Watykanem zawarta już została odnośna umowa. Stosownie do tej umowy, mają już wkrótce dwaj papiezcy delegaci w porozumieniu z władzami politycznemi odbyć biskupią wizytacyę, celem obioru najstosowniejszych miejsc na swe rezydencye. Bezpośrednio potem ogłosi papież katolicką hierarchię dla tych dwóch prowincyj. Przyszłość katolicyzmu w tych krajach zawisła głównie od pomyślnego rozwoju i od szczęśliwego uregulowania spraw szkolnych i wyznaniowych. W południowo-słowiańskich krajach staczał długie wieki walkę o panowanie kościół grecki z rzymskim. Schyzmę reprezentują w tej walce Serbowie, katolicyzm zaś te ludy, które w części już należą do monarchii Habsburgów. Mówiąc o stosunkach szkolnych i wyznaniowych w tych krajach, niepodobna pominąć wiekopomnych zasług, położonych w tym kierunku przez Franciszkanów. Ich to dziełem, że wiara katolicka nietylko ocalała, ale tak głębokie zapuściła tam korzenie. Szczytne przymioty tych zakonników wymusiły uznanie i poszanowanie dla nich nawet u wrogów Kościoła; długi szereg sułtanów obdarzył Franciszkanów wyjątkowemi przywilejami, upoważniając ich do obrony nietylko religijnych lecz i świeckich interesów katolików. Stolica Apostolska, otaczając to zgromadzenie ojcowską pieczołowitością, niewyczerpana była również w szafarstwie różnych wyszczególnień i przywilejów, któreby stanowisko tegoż zgromadzenia na Wschodzie nietylko uświetniło, lecz i utrwaliło. Okupacya, a w ślad za nią więcej niż prawdopodobna aneksya wywrze i wywrzeć musi na działalność Franciszkanów pewne ograniczenie. Utworzenie bowiem dyecezyj, sprowadzenie świeckiego kleru i innych zgromadzeń zakonnych, ścisłe określenie różnych duchownych urzędów

tychże kompetencyj, pociągną za sobą niezawodnie zmianę dominującego dotychczas stanowiska Franciszkanów, otwierając im natomiast rozległe pole do błogodajnej pracy misyjnej. Nawrócenie Mahometan to musi być odtąd główne zadanie synów św. Franciszka. Żadna świecka powaga nie zdoła zastąpić wierzącemu muzułmaninowi powagi koranu; mahometanin musi albo wyemigrować, albo zostać chrześcijaninem, innego nie ma wyjścia. Niektórzy sądzą, iż lepiej niech wyemigrują; co do mnie sądzę przeciwnie, iż raczej należy tych wyznawców islamu pozyskać Koćciołowi, tembardziej, gdy bośniaccy i hercegowińscy mahometanie, to potomkowie chrześcijan, którzy przed wieki dla ocalenia mienia i życia opuścili krzyż Chrystusowy. Praca ta misyonarska nie znajdzie zbyt twardej gleby. Wśród mahometau w Bośnii i Hercegowinie, przechowano wiele zwyczajów, uroczystości przeszłych jakby tradycyą chrześcijaństwa: nadto wielożeństwo z nader nielicznemi wyjątkami nie przyjęło się u nich, a nakoniec cechuje ich pewna niechęć dla greckiej schyzmy, gdy przeciwnie dla katolicyzmu życzliwie są usposobieni. Wśród takich okoliczności praca misyjna, popierana przez należycie zorganizowane szkoły, które i na życie familijne błogo oddziaływać będą, rokuje jak najpomyślniejsze rezultaty.

Również niemałe położyli zasługi Franciszkanie w Bośnii i Hercegowinie, zakładając tam szkoły. A walczyć musieli z olbrzymiemi trudnościami. Smutno bowiem wyznać, iż nawet Siostry Miłosierdzia z braku środków materyalnych nie zawsze mogły wytrzymać konkurencyę z szkołami grecko-schyzmatyckiemi, które Moskwa szczodrze we wsystko zaopatruje. Dla zaradzenia temu brakowi powstało w Zagrzebiu za gorliwym współudziałem biskupa z Mostaru i mons. A. Borosa, szambelana papieskiego, stowarzyszenie ŚŚ. Cyryla i Metodego. Stowarzyszenie to, pod protektoratem arcybiskupa zagrzebskiego, zajmuje się zbieraniem datków i innych stosownych przedmiotów na potrzeby szkolne i kościelne w Bośnii i Hercegowinie. W przypuszczeniu, iż po dokonanej aneksyi tych krajów przez Austryę, potrzeby te znacznie się wzmogą, pozawiązywano w dyecezyach kroackich filie tegoż stowarzyszenia. O przyszłości przeto katolicyzmu w Bośnii i Hercegowinie dobrze tuszyć możua, skoro tylko nie zabraknie misyonarskiej pracy po siołach i szkołach, a jeżeli okupacya tę zbawienną i zbawiającą pracę ułatwi, pomimo gromów p. Hausnera i Polacy katolicy z głębi duszy jej przyklasną.

* * *

Pilne czytywanie gazet, nie jest, jak to niejeden sądzi, marnowaniem czy zabijaniem czasu, owszem, taka lektura, połączona ze zmysłem kombinowania, prowadzi częstokroć do nadspodziewanie ciekawych odkryć. Ot jeden tylko maluczki przykład. Tego samego 15 lipca, kiedy to w r. 1870 ajencya Havasa ogłosiła, iż w francuskim senacie i ciele prawodawczem postanowiono wypowiedzieć wojnę Prusom, tego to samego dnia wystąpił i w wiedeńskiej radzie miejskiej niejaki dr. Hoffmann z rezolucyą arcy-wojowniczą, domagając się, aby uroczysta umowa między monarchą austryackim a Głową Kościoła była zerwaną, konkordat bezzwłocznie został zniszczony, i z życia publicznego, jako nieobowiązujący więcej, wykluczony. Prawa, przyznane przez państwo żydom i protestantom, miały pozostać nietknięte, lecz to, co katolikom, w dokumencie, noszącym nazwę konkordatu, również przez państwo zostało

uroczyście poręczone, to miało uledz zniszczeniu i to na mocy równouprawnienia. Katolicy więc w tem, co ich właśnie jako katolików wyróżniało, nie micli ze strony państwa równej doznawać obrony, jak ci inni, w tem, co ich jako protestantów lub żydów cechowało, lecz mieli być tak zniwelowani, aby byli równouprawnieni z żydami i protestantami, czyli, aby wśród uprawnionych, oni sami tylko wyzuci z praw zostali. Tymczasem ośm lat później w roku 1878, prezes ministrów, Tisza, wygłasza tę oto doktrynę, iż ani rada miejska, ani żaden parlament nie jest mocen unieważniać bądź to układy państwowe, bądź umowy suwerenów, nie jest mocen także zamieniać je w świstek papieru bez znaczenia, przez uchwalenie takiego prawa, któreby lub podstawę, lub wykonanie tych układów udaremniały. Teoryę powyższą udowodniał Tisza temi mniej więcej słowy: iż zupełnie zostałaby nadwyrężoną podstawa całego europejskiego prawa międzynarodowego, gdyby legislatywa miała prawo obalić układ międzynarodowy (polityczny konkordat) albo przez pełnomocników wszystkich mocarstw powziętą uchwałę. Zapewne, iż każde mocarstwo ma prawo wypowiedzenia wojny, lecz pominąwszy ten wypadek, pewnik to niczem niezbity, iż międzynarodowe układy, zawarte przez uprawnione do tego czynniki, nie mogą wcale podlegać rozbieraniu co do swej ważności lub nieważności! A więc wedle argumentów Tiszy konkordat prawnie istnieje, zapatrując się nań nawet z parlamentarnego stanowiska, i pomimo wypowiedzianego nań przez parlamenty wyroku śmierci nie przestaje obowiązywać tak długo, aż nowa umowa między suwerenem państwa a suwerenem Kościoła nie wejdzie w życie.

* * *

W szkolnictwie jak trwał, tak niestety trwa dotąd w całej sile prąd bezwyznaniowy a raczej antireligijny. Krajowa rada szkolna wiedeńska wydała właśnie rozporządzenie, iż przez cały czas pory zimowej t. j. od 15 listopada do końca marca uczęszczanie do kościoła na wysłuchanie mszy świętej nawet w niedziele i święta uroczyste ma być we wszystkich zakładach naukowych zasystowane. Ukaz ten podyktowała wrzekoma troskliwość władzy szkolnej o szanowne zdrowie pp. P. T. studentów i studentek; wrzekoma, mówię, gdyż w dzień św. Elżbiety, jako w dzień imienin cesarzowej, w dzień przypadający właśnie w ową niebezpieczną porę roku, wbrew powyższemu rozporządzeniu sprowadzono dziatwę i młódź szkolną do kościołów na nabożeństwo. Cieszyć się wypada, jeżeli władza w młode pokolenie wszczepia poszanowanie dla majestatu ziemskiego, ale radość nasza byłaby nierównie większa, gdyby też władze szkolne cechowała podobna troskliwość o należyte hołdy uwielbienia dla Majestatu Bożego. Wysłuchanie mszy świętej w kościele ma być szkodliwe dla zdrowia, a rozrywki łyżwiarskie, tańce w karnawale, karkołomne ćwiczenia gimnastyczne, praktykowane przez żaków przesiadywanie po dymnych knajpach i kawiarniach, to wszystko należy tolerować, bo w tem, według logiki liberalizmu, tkwi hufelendowski środek utrzymania zdrowia i przedłużania życia.

Wedle liberałów z wiedeńskiej rady szkolnej, obecność w kościele naraża na niebezpieczeństwo zdrowie fizyczne, cóż więc dziwnego, iż wedle zdania tych samych mędrców, zdrowie duchowe młodego pokolenia wymaga, aby z planu naukowego wyrugowano wykład katechizmu. Stosownie do tego

postępowego aksyomatu przeznaczono w świeżo-otworzonej sześcio-klasowej wyższej szkole żeńskiej, suto subwencyonowanej przez rząd, 27 godzin tygodniowo na różne przedmioty naukowe, tylko dla katechizmu nie znaleziono ani jednej godziny. Liberalizmem zatrute szkolnictwo oprócz tych wielce smutnych objawów, ma także często i wielce humorystyczną stronę. W pewnej wsi tuż koło Wiednia, skazał sąd wielu ojców rodzin na karę aresztu, iż nie posyłali swych dzieci do szkoły. Kłopot, gdzie tych aresztantów pomieścić, lokalny bowiem areszt był już zapełniony. Otóż, aby się stało prawu zadość, wynajęto w szynkowni osobną izbę, sproszono do niej tyeh wszystkich zbrodniarzy przeciw §§ ustawy szkolnej, i wybrnięto w ten wielce oryginalny sposób z trudnego położenia. Karczmarz zrobił wyborny interes; więźniowie, odsiadując kilkugodzinny areszt, wychylili niemało kufli piwa, skracając sobie chwile grą w karteczki. Siedzieli nawet 6 godzin dłużej, niż wyrok opiewał. Więźniowie spodziewają się, iż tych kilka godzin odsiedzianych po nad wyrok, stanowić będzie niejako zaliczkę na przyszłe zbrodnie przeciw przymusowi szkolnemu.

* * *

Zarozumiałość i ignorancya. to rodzone siostry. Liberalne dzienniki pozują zawsze i wszędzie na uniwersalnych mentorów, a co krok zdradzają grubą swą niewiadomość, zwłaszcza, ilekroć dotkną się rzeczy i spraw dotyczących Kościoła. Dwa tylko tej ignorancyi zabawne przykłady. Jeden z dzienników, rozpisując się o restauracyi zewnętrznej tumu św. Szczepana, zacieka się w domysłach, co mogą mieć za znaczenie dwie grubo pozłacane figury, przedstawiające Saracenów (?!), a umieszczone na frontonie jednej z odrestaurowanych wieżyc. Biedny reporter semicki!.... śś. lewitów Wawrzeńca i Szczepana wziął za Saracenów. Drugi z dzienników debiutuje z następującą nowiną. Pisze on, iż król portugalski porozumiał się z papieżem, aby zwłoki św. Franciszka Ksawerego, apostoła indyjskiego, wydobyć z mauzoleum kościoła katedralnego w Goa, gdzie od r. 1859 spoczywają. Wydobywanie to uskutecznia się z wielką przezornością, w obecności najwyższych dostojników Kościoła i dworu. Zwłoki te złożone w srebrnej trumnie, wybornie są przechowane, tylko pod lewem okiem rozpostarła się gruba czarna plama. Plama ta pochodzi zapewne od silnego uderzenia żelazem, gdyż jak wiadomo, święty Franciszek został zamordowany. Oto referat skrócony, wyjęty z owego dziennika. Reporterowi należy się naprzód uznanie, iż traktując tę sprawę, zaniechał kpiących i drwiących wycieczek, jak to weszło w zwyczaj u liberałów, ilekroć mówią lub piszą o Świętych Pańskich; należy mu się atoli powtóre i ta informacya, której mu każde choć nieco w katechizmie poduczone dziecko szkolne udzielić potrafi, ta informacya, iż św. Franciszek nie został wcale zamordowany, lecz umarł naturalną śmiercią na jednej z wysp w pobliżu Chin.

* * *

Pokrewny nam, a dobrze katolicki lud Słoweńców, święcił w tym miesiącu okazale jubileusz działalności narodowej swego wielkiego patryoty Dr. Bleiweis. Mąż ten położył niespożyte zasługi około podniesienia ekonomicznego i duchowego swych ziomków. Z zawodu lekarz. prawdziwa znakomitość w weterynaryi, niestrudzonym był pracownikiem na polu agronomi-

cznem, literackiem i politycznem, a każdej jego pracy przewodniczyło to hasło: dla dobra ludu. Jemu zawdzięcza powstanie i byt swój pismo *Novice*, pismo z początku rolnictwu poświęcone, następnie w literackie przekształcone. On to położył fundamenta do owego wielce ruchliwego związku literackiego: *Slovenska Matice.* Jako mąż polityczny, czy to jako poseł sejmowy, czy jako członek wydziału krajowego dla Krainy, występował zawsze jako nieulękniony szermierz w obronie równouprawnienia języka rodzimego w szkole i w urzędzie. Wytrwały wyznawca federalizmu nie paktował nigdy z liberalizmem. Całe życie swe pracował nad tem, aby w sześciu krajach rozmieszczony, pokawałkowany naród Słoweńców skupić, zjednoczyć, i pracę około tego dzieła przekazał ziomkom swoim, jako główne zadanie wielkiej politycznej akcyi we wszystkich możliwych kierunkach. Naród słoweński dał mu miano: ojca! Jako sojusznik w walce przeciw liberalizmowi niechże i od nas przyjmie niekłamane: Cześć mu!

* * *

Wyborne pismo: *Linzer Theologische Quartalschrift* z ostatnim zeszytem zakończyło 31 rok swego istnienia. Ze wszystkich pism teologicznych, wydawanych w Austro-Węgrzech, w mowie będący kwartalnik może się nazwać słusznie pierwszorzędnym. Nader staranna redakcya, wielka obfitość artykułów i dydaktycznych i praktycznych, a przytem cena wcale niewygórowana zalecają to pismo jak najlepiej każdemu kapłanowi. Do ocenienia praktycznej wartości tego kwartalnika posłuży choćby tylko sucho podany rejestr artykułów, zawartych w ostatnim zeszycie. Spory ten zeszyt, a raczej książka, omawia następujące temata: *Wie mit Pönitenten, welche schlechte Zeitungen lesen, vorzugehen sei, Die erlaubten Thiere an Abstinenztagen, Die religiösen Zeitirthümer und das vaticanische Concil, Homiletische Briefe*, dalej podano 48 kwestyj z teologii pasterskiej, a między innemi także: o urzędowych stosunkach proboszcza z bezwyznaniowymi parafianami; zagranicą cywilnie poślubiona para nowożeńców żąda w Austryi ślubu kościelnego; o zaopatrywaniu śmiertelnie chorych dzieci; o celebrowaniu mszy swiętej w obcym kościele; o postępowaniu z liberalnymi katolikami w konfesyonale; o kierowaniu bractwami kościelnemi itd., w końcu zamieszczono 38 wyczerpujących recenzyj najnowszych dzieł z całego obszaru teologii. Tyle tylko jeszcze nadmienię o tem pismie, iż kto raz się z niem poznajomi, temu stanie się ono niezbędnem; zresztą: *tolle! lege!*

Hr. Antoni Szecsen, wydał w języku węgierskim 8 rozprawek historyczno-literackich tak zwane *Essays.* Przełożono je i na język niemiecki. Wspominam o tej książeczce dlatego jedynie, iż zawiera wielce zajmującą a wyczerpującą charakterystykę protoplasty kulturników, cesarza Józefa II. Lubo autor za wiele czynów antykościelnych rzeczonego monarchy odpowiedzialność usiłuje wtłoczyć na barki jego otoczenia, to jednak i z po za obsłon tego nieco za pobłażliwego sądu, wynurza się to przekonanie autora, iż Józef II w swych zapędach postępowych niemal był fanatykiem, a obok tego, iż dla prawa historycznego miał lekceważenie i pogardę. Inne rozprawki o Wellingtonie, o Dancie, o Szekspirze, Tacycie, zdradzają wiele poglądów nowych i trafnych i niepoślednią wprawę w nadobnej stylistyce.

Nakładowa księgarnia Adolfa Russel w Münster rozesłała właśnie pierwszy zeszyt wspaniałego dzieła: *Unseres Heiligen Vaters Papst Leo XIII Leben*, napisał dr. Antoni de Waal, rektor niemieckiego Camposanto w Rzymie. Zakrój tego dzieła obliczony na kilkanaście zeszytów zapowiada, iż to będzie jedna, jeżeli nie jedyna z najbardziej wyczerpujących biografij Ojca Św. Wydawca zamieścił w pierwszym zeszycie także listy wielu z biskupów, którzy tę pracę wiernym jak najgoręcej zalecają.

Katholische Studien, taki tytuł nosi peryodyczne broszurowe wydawnictwo Leona Wörle. Za miesiąc listopad wydana broszura zajmuje się głośnym procesem Galileusza. Autor tej cennej rozprawki historycznej, dr. Paweł Schanz, profesor teologii w Tybindze, oparty na gruntownych a bezstronnych badaniach, wyświeca wszechstronnie ten fakt smutny, który nieprzyjaciołom Kościoła i służył i służy ciagle za broń, aby papieztwo obwiniać o tamowanie postępu, o zniewolniczenie ducha, o nietolerancyę, o chęć ogłupienia i tym podobne piękne rzeczy. Z wywodów autora taki wyłania się rezultat, iż trybunał rzymski zbłądził, czemu się nikt dziwić nie będzie, gdy tylko sam Papież jest nieomylnym, i to jedynie w swem katolikom dobrze znanem znaczeniu, lecz iż historyjki o gwałtach, o torturowaniu Galileusza przez władze i urzęda kościelne należą bezwyjątkowo do krainy bredni.

Podobnej tendencyi prostowania mylnych i potwarczych zdań, co powyższa jest i broszura miesięczna wydawnictwa wiedeńskiego *Neue Weckstimmen* zatytułowana: *Kościół na ławie oskarżonych.* Autor Gwido Gayer, zbijając zwycięzko wszelkie oszczerstwa, miotane przeciwko Kościołowi, wykazuje zarazem ich źródło, a tem źródłem kłamstwo i złość; wojował tą bronią Wolter, wojują nią i jego epigonowie. Na próbkę, jak autor dzielnie gromi prokuratorów Kościoła, jeden tylko ustęp. Kościół jest nieprzyjacielem oświaty, Kościół chciwy panowania, skory do prześladowania, łakomy na grosz itd., gdyż tacy są niektórzy księża. Autor tej cudackiej logice taką daje odprawę: są księża źli, są najemnicy, gdyż wierni nie pamiętają na słowa Zbawcy, nie modlą się o dobrych pracowników do winnicy, gdyż niejedna gmina z wyroków Bożych za karę otrzymuje niedobrego pasterza, gdyż Bóg i światu chce dać dowód, iż Kościół jego nie zginie, mimo tak złe sługi swe nawet; lecz z wyjątków tych sądzić ogół kleru, albo nawet i sam Kościół, to szczyt głupoty, lub niegodziwości. Wartoby spolszczyć tę broszurę i rozpowszechnić, gdyż i u nas nie zbywa na tak rozumnych (?) i uczciwych (!) oskarżycielach Kościoła.

Ks. Z. Czerwieński.

Korespondencya Przeglądu.

Z gubernii Mińskiej. Listopad 1878 r.).

(Dwaj opstępcy: ks. Jurgiewicz i ks. Senczykowski — Ich protegowany ks. Waszkiewicz — Moskiewska gospodarka z kościołami katolickiemi w Pińsku — Gorące przywiązanie do wiary katolickiej okolicznego ludu — Mieszkańcy Połoneczki wymierzają sami sprawiedliwość Waszkiewiczowi — Prośba Pińszczan do metropolity ks. Fijałkowskiego — Nauki dawane młodzieży).

Gubernia Mińska, stokroć nieszczęśliwsza od innych miejscowości na Litwie. Gospodarują w niej bowiem jako duchowni zarządcy dwaj łotrzy, okryci

wzgardą pognębionych katolikow i lśniący rossyjskiemi orderami ks. Jan Jurgiewicz i ks. Ferdynand Senczykowski, księża-odstępcy, przez nieprawą świecką władzę naznaczeni wizytatorami Mińskiej gubernii. Coby się działo po nieszczęsnych parafiach, gdyby dwom tym ludziom i ich narzędziom nie opierał się ogół wszelkiemi wytężonemi siłami, daje tego próbkę, na zgorszenie obecnie wystawiona parafia pińska, w której protekcya wyżej wspomnianego Jurgiewicza, umieściła proboszcza odstępcę ks. Konstantego Waszkiewicza.

Pińsk, jako miasto powiatowe i rozlegle handlujące, skupiało oddawna cały ruch okolicy. Były w nim kościoły piękne i starej fundacyj. Ośm świątyń katolickich, z których pięć łacińskiego i trzy unickiego obrządku, garnęły w ściany swoje liczny lud katolicki przed znanem gwałtownem sprawosławieniem włościan za panowania cesarza Mikołaja. Jeden z pomiędzy kościołów, wspaniała fundacya księcia Albrechta Radziwiłła, o parę mil zdala widziany, był znakomitą ozdobą miasta i po Jezuitach zabytkiem. Sześć z tych świątyń, zabrano na prawosławne lub skasowano; został tylko mały kościółek Komunistów, parę razy ledwie do roku otwierany i starożytna fara pofranciszkańska, z przywiązanem doń probostwem, a w nielicznych sąsiednich parafiach zostało gorące przywiązanie do wiary, wzmożone przykładem nieporównanej wytrwałości sąsiednich prześladowanych gmin chłopskich, znanych zagranicą: Lahiszyna i Horodyszcza.

Ze zgrozą tedy ujrzeli Pińszczanie przybywającego do nich w maju r. b. nowego proboszcza księdza Waszkiewicza. Uprzedziła go też w tem mieście najgorsza opinia, jak się obecnie pokazuje, wcale nieprzesadzona. Ksiądz ten przyjął ruski rytuał, to jest katolickie dodatkowe nabożeństwo w języku rossyjskim, przyjął go, wbrew znanemu zakazowi O. Św. Piusa IX, za 600 rs., każdemu odstępcy rocznie przez rząd wypłacane. Za te pieniądze wiódł hulaszcze a przytem niemoralne życie, staczając walki o rytuał ze swymi parafianami.

W jednej miejscowości w gubernii Mińskiej mianowicie w Połoneczce, gdy zapowiedział wprowadzenie rossyjskiego języka do kościoła, zbity został przez lud oburzony, a zwłaszcza przez kobiety, ale się nie cofnął z opłacanego hojnie służalstwa. Zagrożony był zawieszeniem w czynnościach kapłańskich, za złe obyczaje, lecz podtrzymany przez ministra, wszystko obiecał wypełnić, byle mu tylko bogatą parafię pińską dano. Sam minister wnet go naznaczył dziekanem pińskim, rozkazując go przyjąć kościelnym władzom. Nieszczęśliwi parafianie wiedzieli, że to nasłanie grozi podwójnem zgorszeniem i wprowadzeniem do ich kościoła przymusowego rytuału i publiczną obrazę moralności. Dosyć było tej ostatniej, by całkowicie słuszną była prośba o usunięcie gorszyciela. Bezczelnie przyjechał i rozgościł się ks. Waszkiewicz przy kościele z kobietą złego życia i dzieckiem. Zawołali więc parafianie o sprawiedliwość do swej prawej władzy i do Arcybiskupa-metropolity, i do nieogłoszonego jeszcze wówczas przez Stolicę Apostolską za intruza rzekomego administratora Wileńskiej dyecezyi ks. Żylińskiego. Dwie prośby, opatrzone kilkudziesięciu podpisami najznakomitszych obywateli miejscowych wysłano do Petersburga i Wilna. Metropolita Fijałkowski, starzec złamany życiem i wiekiem, związany przytem nadzwyczajnemi w zarządzie trudnościami, odpowiedział, że żadnej władzy w gubernii Mińskiej nie posiada; prośbę parafian pińskich przedstawił ministrowi. Żyliński zamilkł dyplomatycznie. Rzecz cała wróciła do tej samej władzy, która niegodziwca ustanowiła. Minister odwołał się do gubernatora do

Mińska z rozporządzeniem, aby sprawdził skargi parafian. Gubernator odesłał sprawdzenie do pińskiego policmajstra. I z podziwieniem Pińszczanie ujrzeli, że nawet w tej sumienie obchodzącej sprawie, zależą od łaski lub niełaski swojej policyi.

Rzeczy tak stoją dotąd. Gorszyciel proboszcz tymczasem urąga swym parafianom, mieszkając bez przerwy z niecną towarzyszką, spędzając noce na kartach i hulaczce, po których wróciwszy o białym dniu, ze mszą świętokradzko wychodzi. Że z rossyjskiemi śpiewami dotąd nie wystąpił, zawdzięcza się to jedynie groźnej postawie parafian.

Jak bezbronni jednak jesteśmy wobec występków na takich stanowiskach wpośród nas spełnionych, dowodzi następujący rys, malujący usposobienie osobiste, tudzież instrukcye dawane gubernatorom mińskim. Jeden z owych księży odstępców bardzo protegowany i stosownie też znikczemniony, wyżej wymieniony Ferdynand Senczykowski, był kapelanem przy gimnazyach męzkich i żeńskich w Mińsku. Na lekcyach swoich, począł mówić młodzieży, że we wszystkiem należy słuchać rządu, jeżeliby zaś rodzice byli przeciwnego zdania, należy ich nie słuchać, gdyż pierwszą cnotą jest być wiernym poddanym. Młodzież doniosła rodzicom, że kapelan naucza ich nieposłuszeństwa. Zgorszeni rodzice udali się do dyrektora, przedstawiając, że człowiek taki, skalany przytem niemoralnem życiem, nie może nauczać młodzieży. Uczciwy dyrektor zwrócił się do gubernatora z prośbą, by Senczykowskiemu profesurę odebrał, inaczej sam będzie zmuszony podać się do dymisyi, by nie stać na czele demoralizującej szkoły. Jakąż wielkorządca dał mu odpowiedź? Odmówił stanowczo usunięcia Senczykowskiego i dał do zrozumienia dyrektorowi, iż on sam usunąć się może, ponieważ, dodał, tłómacząc się (cytacya dosłowna): *takich jak pan i jak ja, znajdzie rząd wielu, ale takiego łotra jak Senczykowski mieć trudno*! Odpowiedź ta maluje dosadnie ucisk naszej społeczności. Φ.

Kissingen i Centrum.

Pod tym tytułem zamieścił *Univers* w połowie listopada wielkiej doniosłości artykuł, nadesłany mu z Niemiec, w którym spokojne, wytrawne pióro, widocznie dobrze świadome zamiarów rządu i zasad, na których opiera się *centrum* parlamentu niemieckiego, wyjaśnia stanowisko katolików tak wobec układów z Rzymem jak i nowego prawa przeciw socyalistom. Artykuł ten podajemy czytelnikom w obszerniejszem streszczeniu, gdyż w zupełności usprawiedliwia katolików od zarzutu prasy niemieckiej, jakoby upór *centrum* jedyną stawiał przeszkodę w dojściu do skutku układów z Rzymem, więc przywróceniu pokoju religijnego w Niemczech

I.

Półurzędowa prasa berlińska, czytamy tam, spiesząc w pomoc dyplomacyi, usiłuje zdyskredytować *centrum* tak wobec wyborców

jak opinii katolickiego świata. Szczęściem, lud katolicki w Niemczech nie da się oszukać. Obeznany z całym przebiegiem sprawy przez swe dzienniki, mowy swych posłów i doświadczenie, wie czego się ma trzymać. Wie, że *centrum* równie stanowczo broni interesów politycznych kraju, jak biskupi religijnych; jakkolwiek więc cięży katolikom prześladowanie, sprowadzone przez prawa majowe, potrafią czekać jeszcze, jak już ośm lat czekają. Ale nie wszyscy katolicy we Francyi i Włoszech zdają się znać równie dobrze położenie. Niektórzy, pod wpływem biegłych dyplomatów i błędnych ogników, które niesłusznie za prawdziwe światło biorą, sądzą, że nadeszła chwila pokoju i radzą swym braciom męczennikom kompromis, który tu za niebezpieczny uważamy. Gdyby się lepiej przyjrzeli, dojrzeliby snadno, że światełka te i rady wychodzą od jakiegoś płatnego dziennika lub z przedpokoju starokatolickiego dyplomaty; że zarzut, jakoby *centrum* składało się z nieprzejednanych, którzy stawiają zaporę ojcowskim zamiarom kanclerza względem katolików, nie ma podstawy.

Bardzo prosta uwaga powinnaby wystarczyć: toć katolicy niemieccy najlepiej zapewne znają swe położenie i dotkliwiej jak zagranica czują cierpienia, które znosić muszą, skoro więc naprawdę nadejdzie chwila układów, możnaż wątpić, że pierwsi włożą miecz do pochwy? Proszę się przyjrzeć parlamentom europejskim, znajdzież gdzieindziej liczniejsze kółko sejmowe — liczy 103 członków — któreby miało równie karnych a zdolniejszych mężów, jak ten mężny zastęp, zowiący się *centrum katolickiem*. To pewna, że parlament niemiecki nie posiada męża z lepszą głową a silniejszem słowem od przewodniczącego *centrum*. Nikt z pewnością nie zarzuci mu, jakoby nie był obeznanym z położeniem lub zbyt uparty przy swojem zdaniu; wielu z jego przyjaciół w *centrum* zdawało się prawie, że zanadto jest skłonnym do zgody. Łagodny, liczący się z trudnościami położenia, zawsze był gotów zawrzeć pokój szlachetny a chroniący prawa katolików, oświadczył, że ochotniej wszedłby w układy z kanclerzem, jak z partyą narodowo-liberalną, gdyż bądź co bądź, kanclerz jaśniej patrzący na rzeczy, nie stawiałby prześladowania Kościoła za dogmat, po za którym nie ma zbawienia: jak to utrzymuje partya narodowo-liberalna, złożona, jak wiadomo, z wolno-mularzy, żydów i spekulantów, czołgających się przed kanclerzem. Tych to właśnie układów najbardziej się lęka partya narodowo-liberalna, i ilekroć Windhorst oświadczył pragnienie pokoju — a uczynił to nieraz — tylekroć stronnictwo to podnosiło szemrania i krzyki. Kanclerz znów rzucił raz centrum wezwanie, którego nie zaparłby się Gambetta, ale na które katolicy z przekonania nigdy się nie zgodzą: poddajcie się lub ustąpcie. Poddać się lub ustąpić, znaczy zarówno zrzec się swych obowiązków — na to katolicy się nie zgodzą.

II.

Zaznaczywszy w ten sposób położenie obecne, autor przechodzi do niektórych szczegółów. Na pierwszą wieść o zbrodniczym strzale Hoedla, ks. Bismark telegrafował do Berlina: „potrzeba nam prawa

przeciwko socyalistom". Zapewniają także, że na dziwne zapytanie uczynione Nobilingowi: „czy jesteś katolikiem?" ten odpowiedział: „jestem wolno-mularzem". Trzeba więc było raczej wydać prawo przeciw massonom. Ale że w Prusiech wszystkie znakomitości do nich należą, wygodniej zażądać prawa na socyalistów t. j. na massonów czwartego stopnia. Projekt takiego prawa przedłożono Izbom: istne prawo wyjątkowe, prawo tępienia do szczętu. Przyjmując takie prawo, liberalni i protestanci nie będą już mogli potępiać inkwizycyi, powstawać na wzywanie władzy świeckiej w pomoc przeciw „idei". W istocie, prawo na socyalistów ma tępić doktrynę, zasady religijne i społeczne, które względnie do religii i obecnego społeczeństwa występują podobnie, jak zasady Albigensów i Hussytów do ówczesnego społeczeństwa. Zasady socyalistów przeczą istnieniu Boga i wieczności, powstają na obecną formę własności. Wszelka jednostka, dziennik, stowarzyszenie, któreby ośmieliło się wyznawać, bronić, wprowadzać w wykonanie te zasady, podpada klątwie prawa, które z pomocą policyi najsurowszemi środkami tępi, więzi, zaprowadza stan oblężenia. Tu już nie sobór biskupów albo Św. Kongregacya Indeksu sądzi naukę i karze heretyków nowoczesnych, ale pierwszy lepszy policyant.

Nie dosyć litery prawa: policya wykłada jego znaczenie i doniosłość, gdyż nie określono ściśle znaczenia wyrazu: socyalista; prawa są elastyczne a gorliwy policyant może burzyć, co się spodoba. Mogą kiedyś i liberalni ukłuć się tym cierniem, który przygotowali, przestrzeżeni. Wszak już alzackich katolików denuncyują jako *francuskich socyalistów katolickich.* Prawo przeciw Jezuitom zastósowano prędko do wszystkich *pokrewnych* kongregacyj; prawo przeciw socyalistom, może w danym razie być stosowane do wszystkich stowarzyszeń katolickich. Pod pozorem, że morderca Kullmann dwa lub trzy razy odwiedził lokal katolickiego stowarzyszenia robotników w Salzwedel, zamknięto już dawniej katolickie stowarzyszenie w Berlinie. Nie dziw więc, że *centrum* gruntownie rozpatrzywszy to prawo, wyrzekło: nie możemy ani go przyjąć ani nawet stawiać poprawek.

W owym to czasie, kanclerz, niepewny losu prawa w parlamencie, zamyślił szukać dlań poparcia w *centrum.* Mówią też, że działał pod naciskiem dworu, gdyż tam boją się, i słusznie, czerwonego widma; widzą jak protestancki kościół oficyalny chyli się pod uderzeniami młota, którym kanclerz i jego liberalna większość chciała zniszczyć Kościół; katolicka budowa wzmacnia się pod razami, ale luterska grozi upadkiem. To jakby promień światła nieznany dotychczas. Chcianoby ocalić kościół oficyalny, choćby z pomocą katolickiego Kościoła. Wszystkie stronnictwa przyznają, że prześladowanie, ochrzczone imieniem walki kulturowej, było, jeśli nie zbrodnią, to przynajmniej błędem, i chcianoby pozbyć się tej domowej wojny.

Pod takiem wrażeniem, kanclerz rozpoczął rokowania z nuncyuszem papieskim w Kissingen. Chciał przywrócić katolikom niektóre wolności religijne, pod warunkiem, że Watykan zapewni mu poparcie centrum parlamentu. Rzecz dziwna! w samych zawiązkach walki okrzyczano *centrum*, że jest służalcem papieża: powiedziano, że na

rzecz „obcego panującego“ czyni ofiarę ze swych przekonań; trzeba więc, choćby z pomocą schyzmy, uwolnić czternaście milionów katolików cesarstwa od tego „panowania zagranicznego“, a oto teraz, tenże kanclerz zwraca się do tegoż „obcego władcy“, chcąc z jego pomocą otrzymać od swych katolickich poddanych poparcie swej polityki centralizacyjnej i zgubnej. Bo prawo na socyalistów, to dopiero początek; za tem pójdzie reforma podatkowa, monopol tabaczny, może i więzy na wolność prasy, stowarzyszeń i t. d. Po ośmioletnich doświadczeniach w cesarstwie, reakcya grozi wolnościom społecznym. *Centrum* przyjmując układy, musiałoby już iść po pochyłości, na którą spodobałoby się kanclerzowi ją sprowadzić.

Tego to kanclerz szukał w Kissingen. Nuncyusz papieski oświadczył od razu, że nie jest w stanie ani mu wolno dawać podobnych przyrzeczeń. Z tego powodu rozbiły się rokowania.

W tym samym czasie niektóre pisma we Francyi, pod wpływem, choć bezwiednie, dyplomacyi niemieckiej, poczęły udzielać rad *centrum*. Nie wiedząc dobrze o co idzie, a żądne pokoju, dziwiły się uporowi *centrum*, zarzucając, że woli wszystko stracić, nie chcąc ponieść najmniejszej ofiary. O mało że nie radziły katolikom rzucić się do stóp kanclerza, z gotowością wszelakiej posługi. *Centrum* oparło się. Przez usta jednego z kierowników, p. Schorlemer-Alst, oświadczyło: „Nie sprzedamy wolności społecznej, aby kupić sobie wolność religijną. Ta ostatnia jest naszem prawem, żądamy by ją nam oddano. Tymczasem bronić będziemy wolności społecznej, gdyż strata jej, pociąga zawsze za sobą ruinę i religijnej wolności“.

III.

To naprowadza autora artykułu do wykazania przyczyny prześladowania rozpoczętego w 1871 r. Powodem, było szczere pragnienie obrony wolności ludu. Katolicy niemieccy są federalistami. Dla ludów, składających państwo niemieckie, żądają autonomii, zgodnej zupełnie z jednością państwa. Windhorst dla Hanoweru, Frankenstein dla Bawaryi i t. d. Polacy i Alzatczycy, chcąc ocalić, co się da z dawnej niezależności, po tejże stronie stają. Ale kanclerz i partya narodowo-liberalna rozumieją inaczej; jako centraliści chcieliby przez zupełną jedność militarną, pocztową, sądowniczą, finansową i t. d., znieść granice krajów, z których składa się państwo i ulepić w ten sposób pięćdziesiąt-milionowy kraj pod jedyną ręką Cezara pruskiego. Oto ich marzenie od 1871 r. Marzenie to spełniło się w części, lecz wtedy, jak dziś, jedynemi zaporami na tej drodze byli i są katolicy i partykularzyści. Ztąd nienawiść ku nim kanclerza.

We wrześniu 1872, jeden z biskupów niemieckich rozmawiał z Piusem IX o przymierzu trzech cesarzów. Papież wyraził zdziwienie nad nieprzyjazną postawą, jaką świeżo okazały Prusy względem katolików; prawa szkolne, wypędzenie Jezuitów, było już uchwalonem a dmuchano w to błoto, z którego wyjść miał starokatolicyzm. Na żądanie wyjaśnienia tego zwrotu, niemiecki prałat odpowiedział, że biskupi postępowaniem swojem najmniejszego do tego nie dali po-

wodu, lud też katolicki mężnie wylewał krew swą podczas wojny; jedno tylko tłómaczy zagniewanie kanclerza: frakcya *centrum*, złożona prawie wyłącznie z katolików, wywiesiła sztandar federalizmu. To sprzeciwia się centralistycznym planom kanclerza. Niechęć zaś ku Kościołowi ministerstwa bawarskiego i nienawiść narodowo-liberalnych i protestanckiej ligi obiecuje kanclerzowi w parlamencie, prasie i kraju potężne poparcie i daje nadzieję zwycięstwa. Kanclerz zasmakował w Rossyi w cezaro-papizmie, podobał mu się gallikanizm we Francyi. Mason Doellinger obiecywał, że tysiące księży katolickich i biskupi staną po stronie rządu.

Tak więc odszczepieństwo, jako środek zgniecenia parlamentarnego oporu — oto środek, — a wydał się łatwym do wykonania. Kanclerz tak już był pewnym zwycięztwa, że na jednym ze swych wieczorów nie wahał się wypowiedzieć niejako wojnę, odzywając się do biskupa mogunckiego, naówczas członka parlamentu: „pan i stronnictwo wasze, chcecie zniszczyć dzieło mojej polityki. Popychacie mię do wojny z Kościołem; zobaczymy, kto z niej wyjdzie zwycięzko“. Próżno ks. biskup Ketteler usiłował przekonać kanclerza, że przez taką walkę przepaść otworzy w Niemczech. Sternik nawy państwowej był już zdecydowanym!

Jak widzimy, kwestya wolności społecznej dała powód do prześladowania religijnego, z pomocą którego spodziewano się odnieść polityczne zwycięztwo w myśl cezaryzmu. Ale prześladowanie nie sprowadziło pożądanego skutku; owszem umocniło katolików w wierze, a stronnictwo *centrum* wzrosło jedno w siłę i wytrwałość przy swych zasadach politycznych. Zachwiało za to Kościołem protestanckim, rozszerzyło demoralizacyę i uprawiło pole pod socyalizm. Dwa dogmata partyi narodowo-liberalnej: prześladowanie religijne i wolność handlu, głośne zrobiły *fiasco*.

Przenikliwy kanclerz spostrzegł to, a że się nie odznacza rycerską wiernością ku swym sprzymierzeńcom, chciał się ich pozbyć i szukał poparcia u katolików. Poparcie to chciał zdobyć w Kissingen, widząc zaś, że nie dopnie celu, zerwał układy, „bo nic w zamian ofiarować mi nie mają“.

Papież nie mógł mu dać, czego żądał, centrum znów nie chciało. Centralizacya Niemiec w ręku Prus, to upadek małych państewek, zniesienie prawdziwej wolności, ciężki i niszczący militaryzm; to wcielenie całych Niemiec do Prus, ciągła groźba dla sąsiadów, upadek nawet materyalny. Na to, *centrum* przystać nie może — ostatni obrońca religijnej i społecznej wolności w Niemczech, nie mogło przyjąć takiego pokoju.

Próżno rządowa prasa wynosiła pokojowe zamiary kanclerza, próżno podstępnie wychwalała Leona XIII, sądząc w swym nierozumie, że go przez to pozyska dla swych planów pokojowych, a zarazem wykaże niesłuszność oporu Piusa IX, więc usprawiedliwi gwałtowne kroki rządu. Między katolikami, jedni nie dowierzali, inni zaś łudzić się poczęli nadzieją.

Tę chwilę wybrała część prasy francuskiej i włoskiej, radząc katolikom umiarkowanie, namawiając, aby tymczasem przyjęli to, co im ofiaruje Kissingen. Półurzędowe pisma pruskie z pociechą podnosiły te rady: ultramontanie (!) francuscy i włoscy stają się wreszcie rozumniejszymi, uznają ojcowskie zamiary rządu! Rzym, dodawali z faryzejską skruchą, najzgodniejsze żywi uczucia! Jeden już tylko pozostaje czarny punkt na horyzoncie: to *centrum* pod kierunkiem zawziętego Hanowerczyka i zawsze buntowniczy Polacy, którzy chcą być lepszymi katolikami od Papieża.

Rady takie zaszkodziły bardzo i boleśnie nas dotknęły. Ludzie, którzy od ośmiu lat wystawiają pierś swą na pociski, spostrzegli z bólem, że z własnych, katolickich szeregów, przeciw nim wymierzają ciosy; rząd widząc poparcie wśród katolików za granicą, uwierzył w słuszność swej sprawy. Tymczasem w sejmie rozpoczęto rozprawy nad prawem przeciwko socyalistom. *Centrum* stanęło niezachwiane. Na nowo oświadczyło się za federalizmem, więc nieprzyjacielem ustaw wyjątkowych, iście „kauczukowych“, nieprzyjacielem zwiększania podatków. Na posiedzeniu z 14 października, Windhorst doskonale świadom zamiarów kanclerza, zawołał z mównicy sejmowej: „Wiemy, że z powodu tego prawa rzucają na nas podejrzenia, publicznie i tajemnie, zarówno przez dzienniki jak i przez dyplomacyę. Dla tego chcemy krótko a treściwie zaznaczyć stanowisko nasze wobec nowej ustawy. Rząd chce spróbować, czy mu się nie uda wprowadzić rozdwojenie tak wśród katolików jak i w stronnictwie centrum; ale nie chce naprawdę zawrzeć z nami pokoju. Dowodem na to, że propozycye rządowe nie są do przyjęcia. Podczas, gdy mówią o zawieszeniu broni, gdy chcą, abyśmy zaprzestali oporu, wymierzają na nas najcięższe działa praw prześladowczych. Skoro tak, wnioskować muszę, że rząd nie myśli naprawdę o pokoju, ale przeciągając układy, myśli tylko o wyjściu z chwilowego kłopotu“. Następnie w paru słowach określając warunki przyszłego pokoju, rzekł; „Trzeba, aby książę Bismark uczynił zwrot tak polityczny jak i religijny. Niech za podstawę swej polityki weźmie prawo, nie zaś siłę i policyę; niech szanuje prawa Kościoła i państwa, bo Kościół i państwo wspólne mają posłannictwo w obronie ludów“.

Zdaje się więc, że groźne wypadki królobójców, ręką sprowadzone, nie oświeciły jeszcze dosyć tych, w których ręku spoczywa ster nawy państwowej. Europa, a w szczególności Niemcy, za wiele posiadają burzących żywiołów, by się nie lękać słusznie nowych a gwałtowniejszych ciosów. Daj Boże, aby zwlekając, złe nie stało się zanadto potężne, a głos złowrogi nie zagrzmiał: już zapóźno!

PRZEGLĄD PISM PERYODYCZNYCH.

I.

Poznańska *Oświata* nie słyszała, widać, o amerykańskich kaczkach. Wierna swemu tytułowi szerzenia oświaty między średnim stanem społeczeństwa, zamieściła w Nr. 150 z 15 listopada b. r., ciekawą rozprawę astronomiczną, w której oparta na odkryciach sławnego astronoma amerykańskiego Dr. Granta, wcale poważnie rozpowiada swym czytelnikom, jako on wielki astronom, zadziwiające w najnowszych czasach poczynił odkrycia na księżycu. Spostrzeżenia te czynił z przylądku Dobrej Nadziei w Afryce. Więc, pewnego pięknego wieczora, kiedy księżyc znajdował się w pierwszej kwadrze, wielki astronom, zwróciwszy swój teleskop na księżyc, dostrzegł oprócz zwykłych skał, wulkanów, mórz itd., roślinę koloru ciemno-czerwonego, podobną do dzikiej róży, olbrzymie drzewa, sosny nasze nawet, a zachęcony tak pomyślnym rezultatem badań, dojrzał i czworonożne zwierzęta, jak reny, daniele, niedźwiedzie (tylko że z rogami) i bobry. Widział też gromady białych i czerwonych ptaków; wszystko to wesoło bawiło się po przepysznych łąkach. Na deser zaś tej scientyficznej uczty, z podziwieniem wielkiem spostrzegł, jak gromady stworzeń skrzydlatych, wcale niepodobne do ptaków spuściły się naraz z wysokich skał na owe łąki. Wzmocniwszy, naturalnie, szkła, przekonał się niezbicie, że byli to ludzie, mający około czterych stóp wysokości, pokryci czerwonym włosem, z wyjątkiem czarnej, kędzierzawej czupryny na głowie i twarzy nie obrosłej, a koloru cielisto-żółtego. Twarz ta, jak zapewnia, podobna była do *orangutanga*, ale o wiele intelligentniejsza. Ludzie ci skrzydlaci, których uczenie nazwał nawet: *vespertilio-homo* (człowiek-nietoperz), stali gromadkami, być może nawet, że z zadowoleniem przyglądali się i jemu, gdyż gorąco gestykulowali, a z poruszeń ust wywnioskował, że rozmawiali z sobą.

Odkrycia swe obiecuje dr. Grant wydać w osobnem dziele, w którem da obrazy z familijnego pożycia nowoodkrytych mieszkańców księżyca. Skoro to nastąpi, i *Oświata* przyrzeka czytelnikom swoim „szczegółowe, popularno-naukowe sprawozdanie.“

Na powadze *Oświaty* oparci, dzielimy się tem ważnem odkryciem z czytelnikami naszymi. Wprawdzie sceptycy gotowi zarzucić, że *Oświata* złapała się na amerykańską kaczkę, bo, jak świeżo w *Przeglądzie Polskim* okazał O. Stefan Pawlicki, największy nawet refraktor, jaki wkrótce urządzony będzie w Wiedniu, pozwoli dojrzeć na księżycu te tylko przedmioty, których średnica wynosi przynajmniej 460 metrów; — jakże więc Dr. Grant mógł widzieć małe zwierzątka, ptaki i czterostopowych ludzi? Na ten, co prawda, ważny pozornie zarzut sceptyków odpowiemy chyba w imieniu uczonego astronoma, że Przylądek Dobrej Nadziei o tyle jest bliżej księżyca, że to, czego zwykli śmiertelnicy w Europie największym nawet teleskopem dojrzeć nie są w stanie, on, z Przylądku Dobrej Nadziei widzi wybornie; tak dobrze nawet, że nie tylko przedmioty ale kolor ich, ale nawet poruszenia ust najdokładniej wyróżnia.

Żywimy nadzieję, że dr. Grant w obiecanem dziele, poda nam oprócz obyczajów swego *vespertilio-homo*, i rozmowy, których zapewne udoskonalonym telefonem podsłuchał.

Ale *Oświata,* choć trochę łatwowierna, nie razi katolickich uczuć czytelnika; — gorzej z wychodzącem tamże tygodniowem pismem „*Warta.*“ Uważaliśmy za zbyteczne podnosić wszystkie *bałamuctwa*, które w każdym niemal numerze *Warty* znachodzimy. Jej tendencya w ogóle, fałszywym mistycyzmem zarażona, nie może być zdrowym pokarmem dla wypróbowanych w katolickim boju Wielkopolan, niewielu też zapewne smakuje. Ani okrasić ją zdolne jakieś obrazki dramatyczne z czasów ostatniego powstania, podpisane p. *Milanę*, bez literackiej wartości, a wstrętne postaciami i nawet mowami występujących tam, szczególniej księży. Ale nie możemy pominąć milczeniem rozprawy w N. z 17 Listopada, pod tytułem: „*W co wierzyć dzisiaj*“, w której autor p. I.. A.. rozwija swój pogląd na dzieje świata. Zaznaczywszy trzy epoki: *Ojca* w przedchrześcijańskim świecie, *Syna* w chrześcijaństwie i trzecią przyszłą epokę *Ducha*, która ma połączyć życie przyrodzone z nadprzyrodzonem, człowieka z chrześcijaninem; przechodzi do chrześcijańskiej ery. Tu, szermując wyrazy: teza, antyteza i synteza, dowodzi, jako w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, było *ziarno* t. j. treść sama; w średnich wiekach *forma* przeważa nad *treścią*, która niknie, pozbawiona bytu przez formę. Ztąd słuszna reakcya protestantyzmu, wołająca o powrót do *treści*, do apostolskich czasów. W skutek więc tej reakcyi, nadejdzie trzecia znów epoka: zgody formy z treścią, natury z nadnaturalnością, Ojca z Synem, słowem epoka Ducha. Pogląd, jak zaręcza autor prosty, harmonijny, więc koniecznie prawdziwy. Świat starożytny, to człowiek; nowożytny, to chrześcijanin; w trzeciej epoce będzie *doskonały człowiek*, gdyż złączy człowieczeństwo z chrześcijaninem, naturę z duchem. Gdy chrześcijanin poczuje się człowiekiem(!) „będzie zadanie spełnione.“

W istocie, pogląd to harmonijny, ślicznie *a priori* w głowie szanownego autora ułożony, szkoda tylko, że z gruntu fałszywy. Autor widocznie obałamucony filozofią niemiecką, dostrzega w protestantyzmie to, czego tam nie było, a średnie wieki sądzi według oklepanych zarzutów. Zasłyszał widocznie coś o sporach nominalistów z realistami, o nadużyciach scholastyki w średnich wiekach, czytał może płytkie koncepta humanistów, *con amore* przez protestanckich pisarzy powtarzane, i nuż zaręczać, że wieki średnie, to forma bez treści, że duch chrześcijański został w nich zatracony! Przez litość, szan. autorze! to *Summa* św. Tomasza, dzieła św. Bonawentury, pisma Bernarda św. itd., to wszystko forma bez treści? a złota książeczka *O naśladowaniu Chrystusa*, to forma bez treści? a tacy święci, jak Dominik, Franciszek z Asyżu i tylu, tylu innych w wiekach średnich, wiedli życie bez treści, przywiązani jedno do zewnętrznej formy chrystyanizmu? To doprawdy nie uchodzi, to sypać piasek w oczy czytelnikom.

My raczej mielibyśmy prawo powiedzieć, że jego artykuł cały jest bez zdrowej treści, istna gmatwanina niby filozoficzna, z której, pomimo zaprzeczań, wychodzą rożki *towianizmu.*

W co wierzyć dzisiaj? W Kościół katolicki, jak nas naucza „*credo*“, które nie wątpimy, szan. autor umie i odmawia, a tylko obałamucony niezdrowem urojeniem a może i żądzą nowości, na błędne wszedł drogi i czytelników swych chce prowadzić.

Przekonani jesteśmy o czystości intencyi tak szan. autora, jak i pisma, które gościnnie otwiera mu swe łamy, ale choć przykrą, musimy wypowiedzieć

prawdę: największą przysługę oddałaby *Warta*, tak wierze katolickiej, którą po swojemu chce bronić, jak i piśmiennictwu naszemu, gdyby zechciała nie umieszczać więcej podobnych bałamuctw.

Kronika.

Jednem z urojeń politycznych jest mniemanie, że celem zaborów, jakie Rossya wciąż czyni w środkowej Azyi, jest zbliżenie się do złotodajnych Indyj i owładnienie tego ziemskiego raju, którego posiadanie uczyniło z Anglii najbogatszy kraj w świecie. Mniemanie to rozprasza się jak nocna zmora, po chwili rozwagi. Jakich bowiem sił potrzebowałaby Rossya na to, ażeby podbić państwo ogromne, bronione przez dzielną a potężną armię? Gdzie jest podobieństwo siły te olbrzymie przeprowadzić przez niezmierzone puszcze azyatyckie bez drogi, bez wody, bez żywności? Co począć, w razie odniesionego zwycięztwa, z tą 200-milionową, nawpół dziką ludnością, którą tylko Anglia, dzięki wieloletniemu doświadczeniu i wytrawnej mądrości swych mężów stanu, w karbach porządku utrzymać zdoła?

Nie w Indyach i nie o Indye, lecz w Europie i w Azyi mniejszej, o Bosfor i Dardanele toczyć się będzie, między Rossyą i Anglią bój zacięty w bliskiej może przyszłości. Dla Rossyi zdobycie Carogrodu, byłoby uwieńczeniem wiekowych usiłowań, świetnego tryumfu narodowego kościoła, niewyczerpanem źródłem bogactwa i potęgi. Dla Anglii, przejście cieśnin w posiadanie rossyjskie, byłoby wyrwaniem z jej rąk handlu lewanckiego, groźbą dla żeglugi na morzach Czarnem i Śródziemnem, przecięciem komunikacyi z Indyami przez kanał Suezki. Jakkolwiek gotująca się walka pomiędzy Rossyą i Anglią nie u stóp Himalaju się rozegra, toć wszakże zakłócenie wewnętrznego spokoju w Indyach i zawichrzenie stosunku pomiędzy rządem tamtejszym, a władcami sąsiednich krajów, byłoby dla Rossyi rękojmią powodzenia przeciw Anglii w Europie. Z tego stanowiska wojna, wywołana przez agentów rosyjskich między Anglią i Afganistanem, nasuwa podejrzenie, że Rossya nowy zamach w Europie zamierza.

Niebezpieczeństwo to nie uszło baczności rządu angielskiego, który wszelakoż daleki od obawy, wystosował do gabinetu petersburgskiego, równocześnie prawie z wypowiedzeniem wojny Emirowi Afganistanu, groźną notę, w której wyrzuca Rossyi nielojalność jej postępowania w Turcyi europejskiej, wytyka intrygi jej agentów i dygnitarzy w środkowej Azyi i żąda kategorycznie, aby się na przyszłość ściśle do postanowień traktatu berlińskiego stosowała. Zobaczymy jaki obrót wezmą te rzeczy. A......c.

Nawrócenia się w Anglii. Pismo anglikańskie *Church Review* wyraziło się w tych dniach, że kości ostatecznie już padły, że za 50 lat cały świat protestancki pozbędzie się zupełnie wiary, a wszyscy ci, którzy jeszcze przyznawać się będą do chrześcijaństwa, przejdą naówczas na łono Kościoła katolickiego. Spis „rekrutów Rzymu", jak Anglikanie nazywają konwertytów, rośnie z dniem każdym. W najnowszym numerze *Whitchall Review* z dnia 23 listopada znajdujemy nowy wykaz trzystu nazwisk. Już przeszło 2000 osób figuruje w tym wykazie, który wcale jeszcze nie jest wyczerpnięty. I w tym nowym spisie

znajdujemy najświetniejsze nazwiska i przykłady bohaterskiego zaparcia się, mianowicie wśród tych, którzy wstąpili do surowych zakonów. Przepowiednia protestanckiej *Church Review* zaczyna się już dzisiaj sprawdzać w Anglii.

* * *

Ze Lwowa: I. Krwawe wypadki — Usługi oddane dezorganitorom społeczeństwa — Gdyby to było w Warszawie? — *Baczność!* — Na kogo spada krew przelana? — Piła *Gazety Narodowej* — Czyny p. Hausnera — Centralistyczne niemieckie pisma i dzienniki moskiewskie — Włoskie przysłowie — Wyjątki z pism moskiewskich w *Czasie* — Zgodność w uczuciach — Z czasów centralnego komitetu w Warszawie — Józef Banita — P. Dawid Abrahamowicz — Obelgi w *Gazecie Narodowej* — PP. Polanowski, Obertyński, Jędrzejowicz — Nowy organ obywatelstwa — *Gazeta Lwowska* — **II.** *Kochajmy się!* O. Bogdalskiego i „karność" — **III.** Mierosławski — *Tydzień* — Dr. Zyblikiewicz — **IV.** Nowy czyn pełnomocnika narodu *Gazety Narodowej* p. Kulczyckiego — **V.** Wierszyk hr. Fredry w *Przeglądzie Polskim*.

O krwawych wypadkach we Lwowie tyle już pisano, że chcac o nich mówić, musielibyśmy chyba powtarzać rzeczy znane czytelnikom naszego pisma. Manifestacya wyprawiona p. Hausnerowi, miasto fajerwerkowego błysku, zakończyła się krwią. Dzięki postąpieniu policyi, w miejsce chwilowego z pochodni swędu, który, jak każdy podobny wyziew, nie byłby zanieczyścił atmosfery naszego miasta, mamy smutek i łzy. Dezorganizacyjne u nas żywioły nie spodziewały się, nie marzyły nawet, aby niemiecki fakelcug takie im oddał usługi. Jakąż za to wdzięczność muszą mieć dla lwowskiej policyi! Z jej bowiem łaski to, co w samem początku nosiło wybitne piętno, co najmniej, śmiesznej komedyjki, zamieniło się w smutną nader tragedyę. Całe jednak szczęście, że nie stało się to w Warszawie i nie w roku 1861, ale we Lwowie i to w 1878 roku. Tam bowiem, gdyby podobne zaszły wypadki, to w skutek braku wolności słowa mielibyśmy już poruszającą się machinę tajnej organizacyi i takich tajnych dyktatorów kraju jak n. p. Józef Banita z *Gazety Narodowej.* Ale tutaj, dzięki autonomii i swobodzie, ludzie szczerze kraj miłujący, twardą przeszłością nauczeni, mogli i mogą wołać do tej szlachetnej, gorącej, ale niedoświadczonej młodzieży: *baczność!..* dezorganizatorowie społeczeństwa, próżni retorzy, ludzie za poklaskiem jedynie goniący, mącą umysły wasze, w imię Ojczyzny rzucają was na ulicę, aby was tam rąbano, i to w chwili, gdy oni z kielichem w ręku biesiadować będą. O! ta krew wasza ma ich wybielić, z krwi waszej chcą wyróść na wielkich w narodzie, krew wasza ma ich opromienić chwałą patryotów Ojczyzny. I niech ginie wasze życie, i wasza przyszłość, i samo nawet dobro Ojczyzny, byle tylko ich żądzom zadosyć się stało. O! doprawdy, że za tę krew, przelaną na ulicach naszego miasta, krew niewinnych osób i szlachetnych serc młodzieńczych, przed Bogiem, sumieniem, Ojczyzną i historyą, odpowiadać będzie *Gazeta Narodowa....* Tak.... Nie cofamy wcale tego ciężkiego oskarżenia. Ona to pierwsza, w chwili, gdy we Lwowie nikomu nie śniło się wyprawiać owacyi p. Hausnerowi, wydrukowała te stereotypowe słowa: „Dowiadujemy się, że młodzież akademicka zamierza wyprawić pochód z pochodniami na cześć p. Hausnera!" Taką to piłą dziennikarską pobudzono młodzież naszą do tego, przeciw czemu oświadczyć się musiał liberalny nawet *Dziennik Poznański.* Wielkie czyny p. Hausnera (raczej *Gazety Narodowej*) uwieńczyły się wylaniem krwi niewinnej i niepohamowaną radością centralistów wiedeńskich i naszych serdecznych przyjaciół z nad Newy. *N. Fr. Presse*, *Petersburgskie Wiadomości*, *Gołos* i p. Katkow z Moskwy biją gorące brawa naszym dezorganizacyjnym żywiołom z nad prześlicznej Pełtwi. Słowem, spełniło się

tutaj, jak mówi *Kuryer Poznański*, włoskie przysłowie: *molto fiume e niente rosto.* Moskiewskie dzienniki z prawdziwą rozkoszą rozbierają zajścia lwowskie i stają po stronie naszych dezorganizatorów. *Czas* krakowski przytacza te ich pełne obłudy i hypokryzyi wzdychania. Piorunują one przeciw autonomicznemu rządowi w Galicyi i przeciwko arystokratyczno-ultramontańskiej partyi w Poznaniu i Krakowie... Szczególniejsza doprawdy uderza tu zgoda w uczuciach Moskali i takiego Józefa Banity z *Gazety Narodowej.* Jak pierwsi, tak i drugi nienawidzą arystokracyi i. ultramontanów w Polsce. Powtarza się raz jeszcze kropla w kroplę to samo, co w roku 1862 i 1863 za rządów Wielopolskiego w Warszawie. Moskale nienawidzili ostatniego może daleko bardziej, jak zbawcy Ojczyzny z centralnego komitetu. Józef Banita może o tem zaświadczyć. Ten sam Moskal, który mordował modlące się na ulicach Warszawy tłumy, karci dziś policyę lwowską. Twórcy naszej domowej waśni wyrastają w oczach moskiewskich na wielkich ludzi. Ile tu obłudy. A jednak i te moskiewskie głosy sprawiają secesyonistom przyjemność. Snać już nic wytrzeźwić ich nie zdoła. Każdy nawet rozumny i miłością Ojczyzny zaznaczony głos pobudza ich do nowych frenetycznych wybuchów. *List otwarty do p. Hausnera*, napisany przez p. Dawida Abrahamowicza, nader smutną wywołał odpowiedź. Na oświadczenie pp. Polanowskiego, Obertyńskiego i Jędrzejewicza odpowiedziano obelgami. Mniejsza o obelgi. Na te, przygotowany był p. Polanowski... Obelga rzucona w *Gazecie Narodowej* lub *Dzienniku Polskim* zaszczyt tylko przynosić może. Smutna jednak rzecz, że patryotyczne a jaśniej patrzące umysły w obywatelstwie naszem pozwalały dotąd wszechwładnie gospodarować w naszym kraju wyżej wspomnianym dziennikom, że d z i s i a j d o p i e r o uznają, iż nie godzi się wspierać prenumeratą tych dezorganizacyjnych organów. Czyż szlachtę polską nie stać już na ofiarę, aby miała własny, uczciwy, dobrych zasad dziennik?.. Nie, nie będzie go miała, mimo szumnych zapowiedzi, dopóki organ obywatelstwa naszego we Lwowie, nie oprze się na zasadach katolickich. Inny bowiem dziennik wobec dwóch istniejących nie ma i mieć nie może racyi bytu. Czas jakiś poistnieje a raczej przewegetuje, pochłonie znaczne sumy, a później zginie marnie jak ongi nieboszczka *Ojczyzna.* I znów obywatelstwo nasze znajdzie się w takiem jak dzisiaj położeniu... prenumerowania... *Gazety Lwowskiej.*

— Ostatnie wypadki Lwowskie, choć nad wyraz bolesne, nie zdziwiły nas. Czytelnicy nasi wiedzą, iż tak już nawykliśmy do wielkich pomysłów partyi, która się chce nazywać postępową a jedynie polską, że nic już nas nie dziwi; boli nas jednak ciężko to wyzyskiwanie narodowych haseł, to korzystanie ze szlachetnego ale nie kierowanego rozsądkiem zapału młodzieży i wciąganie jej ze szkodą nauki i przyszłości kraju w wir polityczny, od którego zdala trzymaćby ją należało. Pominęlibyśmy więc milczeniem całą sprawę, tak słusznie potępioną przez poważne organa wszelkich odcieni we wszystkich częściach Polski, gdyby w szumnie przy bankiecie na cześć p. Hausnera wygłoszone narodowe *Credo,* nie wlazł jak Piłat kapłan, a do tego zakonnik, który w swym młodym politycznym rozumie uznał za stosowne, nie tylko wziąć przy uczcie udział, ale przemawiać, wznosząc stare nasze, poczciwe, a dziś tak często nadużyte zdrowie: „Kochajmy się“.

Udział młodego zakonnika O. Czesława B., przemówienie jego, podała *Gazeta Narodowa* w numerze z 19 Listopada; rzecz stała się publiczną, mowa

nie była następnie sprostowaną, podlega więc krytyce. Z prawa tego korzystamy.

Zakonny mówca rozpoczął od wygłoszenia znanych zasad rewolucyi francuzkiej: „*równości, wolności* i *braterstwa*, które jak z jednej strony ludy wolne prowadzą do potęgi, tak z drugiej znowu narodom ujarzmionym przywracają wolność.“

W niemałym byłby mówca kłopocie, gdyby go zapytano, którym to ujarzmionym narodom zasady równości, wolności i braterstwa przywróciły wolność — a i na to pewno nie wszyscy się zgodzą, że głośne hasła rewolucyi francuzkiej prowadzą ludy do potęgi. Francya przyszła wprawdzie, choć nie na długo, do potęgi, ale dopiero pod Napoleonem, który w swych rządach o równości, wolności i braterstwie zapomniał, owszem ciężkiem jarzmem militaryzmu przygniótł kraj, okryty wojenną chwałą.

Mówi dalej, że „dla Polaka istnieć może jedna tylko droga i zapatrywanie polityczne, i to to właśnie, które dąży do odrodzenia, jak i jedną wolno mu mieć ideę pąństwową, mianowicie wolnej, niepodległej, w swych granicach dawnych nieuszczuplonej ojczyzny. Spełnienie zaś tego narodowego *Credo*, nie zależy od sojuszu z tem, lub owem mocarstwem... lecz je stworzy w nas pamięć o sobie samych i ten silny węzeł miłości prawdziwie bratniej, który siłę i potęgę wytwarza“. Nie myślimy przeczyć pragnieniu każdego prawego Polaka o dobru ojczyzny, o potrzebie wzajemnej, bratniej miłości, boć i Ewangelia ją zaleca, ale jak pogodzić owo zalecanie bratniej miłości z rzucaniem następnie podejrzeń na innych „o samolubstwo“, o „gaszenie w innych ognia miłości ojczystej“, w obawie, żeby ich interesowi nie zaszkodził, „a porwawszy, „intratnej“ pozycyi nie pozbawił?“ Takie podejrzenia, bez dowodu, zuchwale na współziomków otoczonych powszechnym szacunkiem (z wyjątkiem owej większości narodu, złożonej ze 150 osób, jak dowcipnie zauważył *Kuryer Poznański*), boć ślepy by dojrzał, na jakich to „ludzi“ obelgi te były rzucane, — i podejrzenia takie rzuca kapłan, zakonnik, który przecież nigdy, nawet przy biesiadzie, nawet z kielichem w ręku nie powinien zapomnieć, że rzucać potwarz, — to grzech i zgorszenie!

Po takim wstępie, woła mówca, że „są tacy rodacy, którzy starają się w nas wmówić, że naród bez woli Bożej zginąć nie może, lecz po krótszej lub dłuższej pauzie, znowu swą missyę na historycznej roli ludzkości rozpocznie, której to chwili czekać nam trzeba z pokorą i poddaniem się, z założonemi rękoma, choćby w tym razie nawet, gdyby nas ciemiężono lub moralnie dobijano“. I tu, widocznie zagrzany głosem trybuna, dodaje: „Wierzajcie mi panowie, że nieprawdą to jest: takie poglądy, to pozostałość barbaryzmu pogańskiego, lub nowszej fatalistyki muzułmańskiej, to nie karm duchowa, jakiej polskim sercom potrzeba, to zatracenie myśli Bożej i tej idei, którą w łonie narodu naszego Bóg złożył, a nawet jeszcze więcej, bo taki niby katolicki płaszczyk na niekatolickie uczucia, to zbrodnicze złamanie praw Bożych miłości, i rozmyślne a ciężkie bluźnierstwo.... takie zasady mogą być tylko wyrazem despotów, lub zbiegów i zdrajców narodowego obozu.... dalej tak być nie może“ itd. Tego samego zdania widocznie była gorętsza młodzież na ulicy. Oburzona, że ją moralnie dobijają, nie dopuszczając demonstracyi z pochodniami, nie chciała według rady mówcy pozostać z założonemi rękami, — następstwa, niestety, znane!

Jeżeli mówca, rzucając takie pioruny na „zdrajców narodowego obozu', miał na myśli potępienie takich, którzy utrzymują, że „narodowi naszemu nie potrzeba szlachetniejszych porywów i wzniosłych idei", że nie potrzeba miłości ojczyzny i zdrowej organicznej pracy, a dość „siedzieć z założonemi rękami" miałby słuszność: ale, pytamy, gdzież są tacy? do kogóż to się stosuje? Jeźli zaś takich nie ma, to albo mówca rzucał na wiatr, dla efektu, patryotyczne frazesy, a to nie uchodzi, albo inne roboty miał na myśli, a w takim razie powiemy, że sam ciężko zawinił.

W końcu, wnosząc toast „kochajmy się", zaleca „miłość społeczną, która stworzy u nas siłę... tak, że wkrótce staniemy się znowu wzorem karnego narodu, u którego wolność, sprawiedliwość i braterstwo martwym wyrazem nie będą". Bardzo to pięknie, że mówca zaleca karność narodową; przypominajac o niej zapewne swym współbiesiadnikom, wielką samochcąc powiedział im prawdę. Ale, gdyby zechciał i sam sobie przypomnieć o karności zakonnej, o tej wzniosłej regule św. Franciszka, gdzie o bankietach politycznych ani słowa, a jeźli mówi o nauczaniu prostaczków i maluczkich, to nie z za stołu i z kielichem w ręku! Karny zakonnik, nauczając z ambony lub w konfesyonale, zbyt jest przejęty świętością miejsca, z którego mówi, wielkością posłannictwa, które spełnia, *pro Christo legatione fungimur*, jak mówi św. Paweł, żeby miał choć na chwilę zapomnieć, że ma głosić Chrystusa i miłość ewangeliczną, a nie rewolucyjne zasady. Karny zakonnik „twardo pilnuje obowiązków swoich, nie szukając świata, i pochwał, i oklasków jego"; taki, zjedna niewątpliwie szacunek i miłość w obozie, do którego z powołania i przekonania należy, w obozie katolickim, więc jak u nas, prawdziwie polskim!

Mimowoli nasuwa nam się jeszcze pytanie: kto w tem wielkiem zgorszeniu najwięcej zawinił? Nie myślimy tu usprawiedliwiać zakonnego mówcy, a głównego sprawcy zgorszenia. Zrobił źle, mięszając się w rzecz z tylu względów nie swoją. Ale młody, bo zaledwie 25 lat liczący, niedoświadczony, zostawiony sam sobie, a nie dość przejęty duchem zakonnym, nie dziw, że dał się porwać chętce popularności, pochwał, poklasków. Winniejsi ci, którzy, choć szydzą w duszy, choć wystąpienie takie zakonnika potępiają w sercu, dla celów swoich ciągną, przyklaskują, chwalą. Winniejsi jeszcze, powiedzmy z bólem, przełożeni zakonni. Toć na ową patryotyczną ucztę nie mógł iść bez wiedzy, a ludzie poważniejsi łatwo mogli przewidzieć, że przemówić może, a jeszcze łatwiej, znając, choćby tylko z niedawnej, bardzo smutnej mowy na nabożeństwie za księcia Sapiehę, że wyrwie się z niedorzecznością jaką; że choćby tylko obecnością swoją na niewłaściwem dla siebie miejscu, kompromituje zakon, nad którego dobrem imieniem z tylu powodów czuwać mają obowiązek. *Dr. Ω.*

— W Paryżu zmarł Ludwik Mierosławski Wiele młodych głów obałamucił on w Polsce i niejednej klęski był sprawcą. — Nie mamy dotąd bliższych szczegółów o jego zgonie. Jak umarł? Czy pojednał się z Bogiem? W przyszłym poszycie damy obszerniejsze o nim wspomnienie. Dzisiaj poprzestajemy na zanotowaniu ciekawego w publicystyce polskiej objawu. *Tydzień* lwowski, zostający, jak mówią, pod redakcyą: tłómacza obrzydliwych piosnek Beranger'a, p. Rodocia, donosząc o zgonie Mierosławskiego, powiada: „przyjdzie czas, kiedy

Mierosławski zajmie należne mu miejsce w Panteonie narodowym. Polska straciła w nim wielkiego męża, *najcnotliwszego obywatela, najszlachetniejszego syna*"(!!!). Tak głosi *Tydzień.* Mimowoli nasuwa się przysłowie: *Similis simili gaudet.* Miałożby się ono tutaj sprawdzać? Pan Zyblikiewicz może się więc chlubić, że został znieważony w piśmie, które Mierosławskiemu wydaje patent na pierwszego bohatera narodu, „*wielkiego męża, najcnotliwszego obywatela, najszlachetniejszego syna*"! Doprawdy, że redaktorowie *Tygodnia* muszą być także samymi *wielkimi mężami* i *najcnotliwszymi obywatelami*, skoro sami jedni poznali się na *wielkości, szlachetności* i *cnotach* Mierosławskiego. Miałżeby i p. Rogosz dawny właściciel *Tygodnia,* pisywać tu jeszcze? Nie. Zmądrzał.... pragnie, przejść do *Czasu.* *Dr. M.*

— Pan Kulczycki, tytułujący się hrabią z przydomkiem Sas, dopuszcza się w listach swych rzymskich do *Gazety Narodowej* nietylko już rozmaitych nonsensów, ale po prostu bluźni przeszłości naszej, porównując n. p. dynastyę sabaudzką, która odarła Ojca Św. z ojcowizny piotrowej, z królewską naszych Piastów rodziną. Ten hr. Sas Kulczycki przesłał królowi Humbertowi z upoważnienia wszystkich Polaków, bawiących w Rzymie, lub podróżujących po Włoszech, a wreszcie od całego narodu Sobieskiego, w dzień po zamachu telegram kondolencyjny i wyrazy hołdu i uwielbienia dla tej sabaudzkiej rodziny, „gwiazdy i nadziei wszystkich uciemiężonych narodów!" Co to za ciężar dźwigać na sobie wcielenie wszystkich Polaków, przebywających w Rzymie lub podróżujących we Włoszech a nadto całego narodu „Sobieskiego" — a przytem jeszcze korespondować do *Gazety Narodowej.* Kto też p. Kulczyckiego zrobił pełnomocnikiem polskim przy Kwirynale? Ale szanowny hr. Sas nie zadowala się pełnomocnictwem dla samych Włoch, otrzymanem zepewne od *Gazety Narodowej*, lecz ma także związki z królem portugalskim, który jest tak hojny, że za wręczenie sobie jednego egzemplarza memorandum polskiego do kongresu w Berlinie, obdarzył hr. Sasa krzyżem komandorskim z gwiazdą orderu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny, który, jak p. Kulczycki w *Gazecie Narodowej* zapewnia, należy do najznakomitszych godności w Portugalii. Tyle *Kuryer Poznański.* Nie pierwszy to już raz występuje p. Kulczycki w imieniu Polski. Nie pierwszy raz cześć i godność katolickiego naszego narodu włóczy za sobą po trzęsawiskach rewolucyjnych.

— W ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego,* umieścił Jan Aleksander Fredro wiersz, pod tytułem: *Do Młodzieży.* Autor zaklina młodzież, aby nie wchodziła w poswat z zasadami rewolucyi i nihilizmu. Oto słowa:

W strasznej chwili Boskiej kary,
Gdy wróg w szale w przepaść leci,
Mieliżbyście Polski dzieci
Waszych ojców zrzec się wiary?
Wrogów przyjmując truciznę
Własną zalać nią Ojczyznę?
Mieliżbyście wstąpić w ślad,
Gdzie w bezbożność, zbrodnię, brud,
Nihilizmu wściekły gad
Radby popchnąć polski lud?....

Na Krzyż Biskupi

DLA OJCA ŚWIĘTEGO LEONA XIII

złożyli w Redakcyi:

Lista III.

Kalikst Orłowski	8	złr.	
J. S.	25	„	
Ks. J. Fr. Francel	5	„	
Krzysztof baron Błażowski	5	„	
Ks. Seweryn Morawski prałat-infułat kapituły metropolitalnej lwowskiej	20	„	
Ks. Zygmunt Gorazdowski	1	„	
Ks. Dziekan Biernacki proboszcz z Konkolnik	5	„	
Ks. Dziekan Rynkiewicz	5	„	
Ks. Ignacy Łobos prałat domowy Ojca Świętego Leona XIII i prałat katedry przemyskiej . . 1 dukat w złocie	—	„	
Ks. Janer proboszcz z Tarnopola	5	„	
Ks. Jan Stachów proboszcz z Rawy . . . w srebrze	1	„	
Julia Kownacka z Zużela	2	„	
Wanda Kownacka z Świelarzowa	2	„	
A. H. z Krakowa	25	„	
Klasztor PP. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie	5	„	
K. W. z Krakowa	1	„	50 ct.
Razem 1 dukat w złocie	115	złr.	50 ct.
Z pierwszej listy: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i	408	„	
Z drugiej listy: . . 5 franków w srebrze i	104	„	
Razem: 1 napoleondor, 2 dukaty w złocie, 5 franków i	627	złr.	50 ct.

* * *

Świętopietrze.

OJCU ŚWIĘTEMU LEONOWI XIII

złożyli w Redakcyi:

(Serya II)

Kalikst Orłowski	30	złr.	
Klasztor PP. Norbertanek z Krakowa	10	„	
Ks. Romuald Szwarc proboszcz z Ruszczy	5	„	
Krzysztof baron Błażowski	5	„	
Ks. Seweryn Morawski prałat-infułat	30	„	
Razem	80	złr.	
Z przeniesienia: 76 rubli, 1 dukat w złocie i	207	„	38 ct.
Razem 76 rubli, 1 dukat w złocie i	287	złr.	38 ct.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“....

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW. PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

ROZWÓJ KWESTYI WSCHODNIEJ.

II.

Prawosławna Rossya.

I.

Przez dwa jeszcze wieki po pierwszej moskiewskiej legacyi w Konstantynopolu, car i padyszach mieli się obserwować z dala, od czasu do czasu porozumiewać w przyjazny sposób, unikać starannie wszelkich zatargów. Z zajęciem spoglądamy jako na jedno z ciekawych widowisk historyi, na tę postawę dwóch państw, skazanych przez los na starcie, mających nawet już wcześnie świadomość tej nieuchronnej konieczności, wymijających ją jednak z pokolenia w pokolenie, zwlekających, jakby za obopólną, cichą zgodą, godzinę stanowczego spotkania. W tak długim czasie nie brakło z pewnością okazyj, które ukrywaną zawsze nieprzyjaźń mogły doprowadzić do wybuchu. Było to ciężką próbą dla Turków przypatrywać się obojętnie upadkowi mahometańskich hanatów Kazania i Astrahanu, równie jak ciągłym waśniom carów z hanem krymskim, hołdownikiem Porty. Moskale ze swej strony umieli się opierać wytrwale ponawianym naleganiom różnych chrześcijańskich mocarstw, aby przyjęli udział w wojnie przeciw sułtanowi. Daremnie już Filip II czynił im w tym celu wszelkie ułatwienia, daremnie także, około połowy następnego wieku (1654), podczas słynnej wojny kandyjskiej, rzeczpospolita św. Marka wyprawiła wielkie poselstwo do Moskwy, z wspaniałą, złoconą materyą *(un superbissimo drappo d'oro)* dla cara Aleksego Romanowa i z usilnem wezwaniem do wspólnego działania przeciw niewiernym. Car namyślał się przez trzy lata, co ma odpowiedzieć, poczem zażądał od sygnoryi wielkiej pożyczki, za pomocą której mógłby najprzód ukończyć wojnę

z Polską i Szwecyą. Przez cały XVII wiek Rossya widziała nieustanne zapasy Austryi, Węgier, Polski i Wenecyi, z wojskiem sułtana, nie myśląc w nich uczestniczyć; co najwięcej przystępowała do sprawy niekiedy z daleka, dyplomatycznie, aby wytargować coś dla siebie, n. p., aby sobie kazać przysądzić Kijów, który tak długo był przedmiotem sporu z Polakami, a dopiero pod koniec XVII w. ośmieliła się opanować Azow. Można powiedzieć, że przed przystąpieniem do walki Moskwa doczekała się godziny zupełnego osłabienia Osmanów; czekała ona z pewnością także na człowieka przeznaczeń, któryby był zdolny podnieść ją swoim geniuszem i pchnąć „na wielki gościniec, u kresu którego błyszczała kopuła św. Zofii". Nadszedł człowiek i wybiła godzina. Muzułmańska potęga, bardzo już wycieńczona pod murami Wiednia r. 1683, otrzymała stanowczy cios pod Zeutą z dzielnej ręki księcia Eugeniusza, a na dniu 26 stycznia r. 1699 podpisano traktat Karłowicki, nazwany tak słusznie przez Hammera „podaniem cesarstwa ottomańskiego do konkursu". W dwanaście lat później, car Piotr Alexiewicz spotkał się z Turkami nad Prutem.

Sławnej tej wojnie nie brak historyków; niechaj nam jednak będzie wolno uwydatnić tu rys bardzo charakterystyczny, na który dotąd zbyt mało zwracano uwagi, a mianowicie, że w krótkiej tej wyprawie znajdujemy już nagromadzone niemal wszystkie argumenta i żywioły, któremi się rossyjska polityka posługiwała przeciw Turcyi nieustannie od owej pory aż do naszych czasów. I tak kroki nieprzyjacielskie w r. 1711, podobnie jak w r. 1854 poprzedziło żądanie Piotra W., wystosowane do Wysokiej Porty, ażeby klucze świętego grobu w Jerozolimie, zostały wydane greckiemu duchowieństwu. W chwili zerwania z Portą, car kazał ogłosić po łacinie wielki memoryał, przeznaczony dla uczciwego i bezstronnego świata *(honestus et a partium studio alienus mundus)*, a odezwa ta do opinii publicznej była wielką nowością. Mickiewicz zrobił głębokie spostrzeżenie, że Piotr W. jest pierwszym władcą, który w politycznych traktatach wystąpił z oderwanemi zasadami. Aż dotąd rozpoczynające wojnę mocarstwa w manifestach swoich powoływały się na poprzednie układy, przytaczały uzyskane przez siebie prawa: ministrowie byli niejako adwokatami, opierającymi się zawsze na kodeksie praw pozytywnych, uznanych przez cały świat; Piotr W. pierwszy odwołał się do zasad, do prawa Bożego; w pewnym dokumencie mówi nawet o *zasadniczych prawach natury*. Piętnując w swej odezwie z roku 1711 „barbarzyńskie jarzmo, pod którem

jęczało tylu chrześcijan", — od dni Lepantu nie słyszała Europa podobnej mowy — rossyjski autokrata nie ograniczył się na nadawaniu tym chrześcijanom czczej nazwy „greckiego królestwa", jak czyniono w XV i XVI wieku, mówił owszem wyraźnie, i ze znajomością rzeczy o „Grekach, Wołochach, Bułgarach i Serbach" — a może to po raz pierwszy te zapomniane imiona występują w pierwszorzędnym akcie dyplomatycznym. Oddawna już zawiązano tajemne związki z wszystkiemi temi ludkami a nawet ze słowiańskimi poddanymi Austryi *(Avstrijskie Serby)* — liczni i energiczni emisaryusze przebiegali w ostatniej chwili tureckie prowincye, zagrzewając do powstania. Obydwaj hospodarowie Multan i Wołoszczyzny, odnowiwszy w Konstantynopolu przysięgę niezachwianej wierności dla padyszacha, pospieszyli do obozu cara... Nowogreccy historycy zachowali nam również odezwę Piotra W. do helleńskiego ludu, pismo dziwacznego układu i wcale nieklasycznego stylu; ale niezrównanym w swoim rodzaju jest list carski, pisany równocześnie do Czarnogórców. „Nasze Carskie Wieliczestwo — czytamy tam — zna dzielność waszych dawnych panów, głębię waszych dobrych serc chrześcijańskich, i sztukę, z jaką używaliście waszej broni na obronę wiary; dowiedzieliśmy się o tem z drukowanych ksiąg, a całemu światu wiadomo, że Aleksander Macedoński na czele małego wojska, zebranego z waszych ludów, pobił wielu władców i ujarzmił liczne państwa. W obecnej chwili, wyznaczonej przez Boga, należy wam odnowić prastarą chwałę i, łącząc się z memi wojskami, walczyć za wiarę i ojczyznę, za honor i godność, za bezpieczeństwo i wolność potomków. Jeźli każdy z was spełni swój obowiązek i podniesie oręż w obronie wiary, imię Chrystusa sławione będzie po nad wszystko, a następcy pogańskiego Mahometa zostaną odparci do swej dawnej ojczyzny, do piasków i stepów Arabii". Rzecz zadziwiająca, od tego czasu występuje na jaw wielka słabość rządu rossyjskiego do Czarnogóry pośród wszystkich tych ludków trackiego półwyspu; za pośrednictwem to jej władyki zwrócił się Piotr W. do mieszkańców Serbii, Macedonii, Hercegowiny i morskich wybrzeży *(Primorscy)*, nadając mu tak niejako inwestyturę pewnej władzy nad temi kraikami.

Od kampanii nad Prutem popada Rossya wobec Turcyi niejednokrotnie w wielki błąd, który jej zgotował wielkie zawody i zdradza zbyt wiele zaufania do własnych sił, które przecenia, a lekceważy zanadto siły nieprzyjacielskie. Rzecz godna zaprawdę uwagi, że, mimo tak licznych walk z Portą ottomańską, Rossyanie nie

umieli nigdy ocenić należycie muzułmańskiego żołnierza, i że niemal zawsze rozpoczynali bój z niedostatecznemi wojskami i zasobami. Plewna nie jest bynajmniej jedynym wypadkiem w rocznikach turecko-rossyjskich wojen, a ci, których zadziwiło to niepowodzenie carskiego oręża, zapomnieli po prostu o mężnym oporze, jaki często już umieli stawiać Moskalom Osmanowie, począwszy od obrony Azowa, pod koniec XVII wieku, aż do obrony Kalafatu i Sylistryi w roku 1854. W roku 1711 ta rossyjska zarozumiałość o mało co nie sprowadziła strasznej katastrofy, postawiła zaś twórcę rossyjskiej wielkości nad samym brzegiem przepaści. Wkroczywszy do Mołdawii z 38.000 ludzi, ujrzał się Piotr niebawem otoczonym przez nierównie większe siły w. wezyra Mehmeta Baltadżiego. Znane są słowa jego listu, napisanego do senatu w tej ciężkiej chwili: „Czeka mnie albo zupełna zagłada, albo niewola u Turków“. Wyruszając z Rossyi, wyraził był życzenie, aby go pogrzebano w Konstantynopolu: „życzenie to — wedle uwagi nieubłaganego jego przeciwnika, generała Stanisława Poniatowskiego, ojca króla — mogło się urzeczywistnić nawet bez zdobycia tego miasta“; już nawet bohaterski a nieszczęśliwy Karol XII podążył z pośpiechem z Benderu, aby być obecnym upadkowi śmiertelnego wroga, kiedy w. wezyr dał się zmiękczyć prośbom carowej. Czy Baltadżi dał się przekupić, jak utrzymują niektórzy historycy? Byłby to jeszcze jeden artykuł więcej w inwentarzu destruktywnych środków, jakiemi Rossya rozporządzała od czasu tej pierwszej wyprawy na wschód; gdyż ten fakt dotąd niesłyszany, ażeby wodza tureckiego można było ująć złotem, powtarzał się na nieszczęście nieraz i zgotował moskiewskiemu orężowi niejeden tryumf. Bądź co bądź ówczesny traktat (21 lipca 1711 r.), był niemniej przeto twardy i upokarzający dla Rossyi: Azow, wielka nadzieja morska Moskwy, powrócił do Turcyi; fortece miały być z ziemią zrównane, młoda czarnomorska flota została zniszczoną; wypadło na dobitek „przeprosić sułtana za *niewłaściwe postępowania* cara“. Od czasu uwolnienia się z pod mongolskiego jarzma, nie doznała Rossya podobnej zniewagi.

Jakkolwiek wypadek owej pierwszej prawosławnej krucyaty zawiódł boleśnie oczekiwania, nie zmniejszył jednak wcale mocy węzłów, zawiązanych między Rossyą a ludnością trackiego półwyspu; węzły te wzmacniały się owszem w uczuciu nagłej porażki, która była wspólną, i wspólnego też kiedyś w przyszłości odwetu. Nic charakterystyczniejszego pod tym względem, jak przytoczone przez Sołowiewa pismo, które Piotr W. w pięć lat po klęsce nad

Prutem wyprawił do „metropolitów, naczelników, kapitanów, kniaziów, wojewodów i wszystkich chrześcijan Serbii, Macedonii, Czarnogóry, Hercegowiny itd.“. Mówi w niem najprzód car o okrutnym odwecie, jaki wzięli Turcy w tych krajach po ostatniej wojnie, i o licznych ofiarach, które padły pod ręką mściwego bisurmanina. „Zaleciliśmy we wszystkich cerkwiach i monasterach naszego prawosławnego państwa uroczyste modły za wszystkich tych z pomiędzy was, którzy polegli w obronie wiary i odnieśli męczeńską koronę“. Dalej „pozostałym przy życiu“ ponawia zapewnienie niezmiennego przywiązania i łaski, przesyła pięć tysięcy rubli na odbudowanie zburzonych domów, drugie pięć tysięcy na restauracyę kościołów, „nadto sto sześćdziesiąt sztuk naszej osoby w złocie“ *(zołotych person naszich*, widocznie złotych medali z wizerunkiem cara). Jakkolwiek chwilowo w pokoju z sułtanem, niemniej przeto liczy na ich pomoc w razie nowej wojny, tak samo, jak się poczuwał i zawsze poczuwać będzie do wspierania ludów, „zjednoczonych tą samą wiarą i tym samym językiem“. Łatwo pojąć wrażenie, jakie podobne zachowanie wielkiego i potężnego państwa musiało wywrzeć na niewykształcone, ale proste i wierzące umysły; miało ono szczególniej ten dodatni skutek, że ocaliło rajasów od ostatniego spodlenia, od którego nie byli dalekimi w sam przeddzień kampanii nad Prutem.

Od roku 1571, w którym wystąpiła na jaw wielka niemoc katolickiej Europy, szpetna apostazya zaczęła między chrześcijanami Wschodu sprawiać spustoszenie, które w ostatnich latach XVII w. doszło do wielkich rozmiarów. Podróżujący, jak Chevalier i La Motraye, spostrzegają około tego czasu w Lewancie tłumne nawrócenie ludności obu obrządków na islamizm; ale osobliwie w relacyach nuncyuszów i missyonarzy apostolskich można śledzić wzrastający i straszny postęp tej klęski. Opuszczeni przez Zachód, zapomniani przez wszystkich, zaczęli się *rajasi* poddawać wschodniemu fatalizmowi w tem, co im się mogło wydawać nieodwołalnym wyrokiem przeznaczenia, uznając, jak się wyraża współczesna relacya o Albańczykach, że „trzeba słuchać pana, któremu Bóg ostatecznie dał ziemię“. To dziwne zjawisko bułgarskich *pomaków*, bośniackich *begów*, albańskich *arnautów*, kreteńskich *kurmulidów* itd. — słowem ludności czystej rasy słowiańskiej lub greckiej, nie znającej wcale tureckiego języka, przywiązanej dawniej do Chrystusowej wiary, która niemniej przeto z czasem liczyła między sobą gorętszych wyznawców muzułmańskiej religii, aniżeli sami potomkowie

Orkhana i Togrulbega. Zjawisko to datuje się po największej części z epoki, przedzielającej bitwę pod Lepantem od układów nad Prutem. W r. 1610 Marino Bizzi, arcybiskup z Antivari, przewidywał w bardzo bliskim czasie „zupełny upadek chrześcijaństwa w Albanii i Serbii“; w roku 1651 apostolski missyonarz, Marco Crisio, znalazł w Albanii tylko 50.000 chrześcijan, zamiast 350.000, które jeszcze znał Bizzi; biskupstwo Durazzo, które w roku 1671 liczyło jeszcze 14.000 dusz katolickich, w roku 1703 liczyło ich już tylko 8000. A powiększa jeszcze hańbę odstępstwa fakt niezaprzeczony, że odbyło się bez najmniejszej propagandy ze strony Turków; było ono owocem dobrowolnego poniżenia, wywołanego zarówno rozpaczą, jak chciwością. Ponieważ „dziesięcinę z dzieci“ (dla zapełnienia janczarskich szeregów) i pogłówne ściągano tylko z ludności chrześcijańskiej, przeto rząd otomański bardzo się zawsze strzegł wysuszania przez nieroztropny prozelityzm tych dwóch głównych źródeł swej wojskowej i finansowej potęgi, i daleki od sprzyjania nawracaniu do koranu, przeciwnie starał się jak najusilniej stawiać mu tamę. Niemniej przeto przypływ apostazyi wzrastał nieustannie, a na granicy XVII i XVIII wieku była chwila, mówi pewien historyk, „w której, sądząc z różnych wskazówek, chrześcijaństwo we wszystkich częściach Turcyi zdawało się zagrożone zupełnem zniszczeniem“... Gwałtowny ten pęd wstrzymał się nagle z chwilą pojawienia się Piotra W. na scenie wschodu i weneccy *prowedytorowie* mogli zaraz powiedzieć w swych relacyach, że Grecy spodziewają się znowu ujrzeć Kościół swój wolnym od ucisku; Grecy, Serbowie i Rumuni z nowym zapałem zwrócili się do swej wiary, i odtąd już nie ma przykładu tego odstępstwa tłumnego, całemi klanami i pokoleniami, jakich świadkami, na hańbę ludzkości, były poprzednie wieki. Tak więc, na co dotychczas nie zwrócono uwagi, porażka prawosławia nad Prutem zapobiegła pośrednio złemu, jakie zrządziło mimowoli zwycięztwo katolików w zatoce korynckiej.

Upłynęło jednak z górą pół wieku, zanim *rajasi* posłyszeli znowu to wojenne hasło, jakie im zapowiedział „biały car“ w piśmie z r. 1715. Piotr W., oderwany walką z Szwedami, nie ośmielił się już ponowić „niewłaściwego postępowania“ względem padyszacha, zatargi zaś, które za rządów Anny Iwanówny wybuchły między Rossyą a Portą, nie miały najmniejszych pozorów krucyaty. Wpływ niemiecki, tak przeważny pod tem panowaniem, widocznym jest nawet w sposobie prowadzenia wojny z lat 1735—1739. Ostermanów,

Münichów, Bironów, nie poruszały bynajmniej prawosławne i chrześcijańskie namiętności; prowadzili oni polityczną, zwyczajną wojnę; mieli nawet Austryę za sprzymierzeńca. Pierwsze to wspólne przedsięwzięcie Habsburgów i Romanowych na Wschodzie nie było bynajmniej zachęcającem. Austrya w niem straciła wszystkie dawne zdobycze księcia Eugeniusza; jedynym tryumfem Rossyi było spustoszenie Azowu. Zmieniły się rzeczy z wstąpieniem na tron Katarzyny II (1762). Niezwykła ta kobieta, lubo Niemka z urodzenia i wychowania, która umiała najzupełniej przedzierżgnąć się w Moskiewkę, potrafiła być filozofką z Wolterem i Diderotem, prawosławną fanatyczką ze swymi popami i muzykami, anarchistką w Polsce, konserwatystką wobec rewolucyjnej Francyi, przejęła się także w sprawach Lewantu wielką tradycyą zwyciężonego nad Prutem i przyrządziła cały aparat filozoficzny, religijny, narodowy i rewolucyjny, zainaugurowany w roku 1711. Celem oddziaływania na opinię świata miała ona coś lepszego, jak uczone pióre biednego niemieckiego hołysza, który niegdyś redagował dla Piotra W. łacińską odezwę, miała bowiem na rozkazy swej ambicyi potężny głos wieku: sam Wolter zadzwonił na gwałt, zaklinając książąt i ludy, aby zgniotły niewiernego. Spędziwszy całe życie na wyszydzaniu i przeklinaniu „fanatyzmu“ Godfredów i świętych Ludwików, patryarcha z Ferney na stare swoje lata został Piotrem Pustelnikiem prawosławnej krucyaty i wielbił on *Semiramidę północy*, a prócz tego Turcy mieli w jego oczach te dwa nieodpuszczone błędy, że ukrywali swoje kobiety i nie lubili tragedyi. Bez porównania też silniejszemi niż za Piotra były odtąd środki działania na chrześcijan wschodnich. Od roku 1765 agenci i emisaryusze rossyjscy przebiegali Multany, Wołoszczyznę, Grecyę, Rumelię, Tesalię, Albanię, Czarnogórę, Moreę, wyspy Archipelagu aż do Kandyi, przysposabiając ludność do buntu, rozdzielając pieniądze, przyrzekając „proch i ołów“. Na czele tej wielkiej agitacyi postawiła caryca Alexego Orłowa, brata swego amanta, mordercę swego męża, który w Pizie zawarł formalny układ z przyszłymi naczelnikami ruchu. Po urzędowem zerwaniu z Portą (r. 1768) hr. Rumiancow wśród okrzyków ludu wkroczył do Bukaresztu; książę Dołhoruki złożył na brzegach Dalmacyi broń, amunicyę i działa, których Czarnogórcy nie omieszkali zabrać, ażeby następnie wtargnąć do Albanii, Bośnii i Hercogowiny; sam Alexy Orłow ogłosił wolność wszystkich Hellenów imieniem „*świętej* i prawosławnej Katarzyny“.

O tej pierwszej stanowczej wojnie Rossyi na Wschodzie, która trwała przez lat pięć, warto przytoczyć zdanie Fryderyka II, króla pruskiego, z tem nadmienieniem, że ów sąd możnaby zastosować do wielu następnych rossyjsko-tureckich wojen. „Generałowie Katarzyny — pisał największy wojownik wieku — nie znali pierwszych zasad zakładania obozów i taktyki; mniej jeszcze wiadomości mieli generałowie sułtana; tak, że chcąc nabrać dobrego wyobrażenia o tej wojnie, trzeba sobie wyobrazić jednookich, którzy pobiwszy ślepych, odnoszą nad nimi zupełny tryumf“. Tryumf był w rzeczy samej zupełnym, zupełniejszym, niż bardzo mozolnie odniesione zwycięztwo Rumiancowa — a Turcy musieli podpisać traktat w Kajnardżi, który wprawdzie przyznawał Rossyi korzyści wyłącznie dyplomatyczne, który jednakże Kaunitze i Thuguty uważali wówczas już jako wyrok śmierci dla państwa otomańskiego. Sami tylko zbuntowani *rajasy* nie mogli sobie winszować pokoju, który ich skazywał na okrutny odwet wiekowego ciemiężcy; mianowicie mieszkańcy Morei przypłacili straszliwie tryumf rossyjskiego oręża. W wiele jeszcze lat później odbrzmiewała Grecya złorzeczeniami przeciw Alexemu Orłowowi. „Zjawił się na naszych brzegach — żalili się nieszczęśliwi mieszkańcy Lakonii — tylko aby nas podburzyć i oddać na pastwę wściekłości Osmanów; sami Turcy okazali w tej wojnie względem nas więcej szczerości i prawości, niż generałowie Katarzyny“. Bądź co bądź, skargi te zwracały się tylko przeciw generałom; „święta i prawosławna Katarzyna“ pozostała niemniej przeto wielką nadzieją biednych *rajasów*, i to poniekąd słusznie. W chwili bowiem, gdy Morea była jak najbardziej spustoszoną, Semiramida północy układała już ów sławny „grecki projekt“, który miał przywrócić dawne byzatyńskie państwo i jednego z wnuków carowej, posadzić na tronie w Carogrodzie.



WIELKA KSIĘGA.

Powieść Sewera.

IV.

— Nie ser, ja już pół roku nie chodzę do szkoły i tylko czytać umiem, pisać nie bardzo — mówiła mała i chuda dziewczynka do wysokiego i barczystego dżentlemana.

— Pół roku nie posyłają cię do szkoły, zawołał dżentleman.

— Bo... dziewczynka się zawahała, obejrzała wokoło bojaźliwie i nieśmiało pociągnęła za surdut dżentlemana. Wysoki dżentleman pochylił się do twarzy dziecka i usłyszał wymówione do ucha:

— Bo nie mam trzewików, ani kapelusza.

— A gdybyś miała trzewiki i kapelusz?

— To nie wiem, bo mi każą pilnować domu.

— Lubisz się uczyć?

Dziewczynka się zarumieniła.

— Czego się rumienisz? zapytał dżentleman.

— Chciałam powiedzieć jedną rzecz i....

— I nie śmiesz?

— Tak.

— No... mnie przecież nie masz potrzeby ani się bać, ani wstydzić.

— O nie — chciałam powiedzieć, że ja tak lubię się uczyć, jak Karol rysować.

— To chciałaś powiedzieć, a dla czego nie uczysz się sama?

— Czy ja się nie uczę? rzekła, wyjmując mały tomik poezyj i podając go z pewną dumą dżentlemanowi.

— A czybyś chciała podobne wiersze pisać?

— Jak tylko będę umieć pisać, spróbuję.

— Spróbujesz z pewnością?

— Jeżeli będę miała pióro i kajet taki, jak ma Karol.

P. Smaił uczuł się dotkniętym tą wymówką.

Jeżeli jedno, dlaczegoż i nie drugie. Dlaczego?... powtórzył cicho. A nuż drugie będzie lepsze? Jakże podobna do niej! Zamyślił się — zawahał i nareszcie:

— Chodź, rzekł do małej.

— Gdzie, gdzie mam iść ser?

— Boisz się zemną iść.

— Z tobą, ser, pójdę wszędzie, bo ty jesteś dobry, dałeś Karolowi lampę i farby, i takie ładne obrazki...

— Zazdrościsz?

— Nie, tylko wiem, że Jess nikt nic nie da; westchnęła. Ale ja nie zazdroszczę niczego Karolowi i gdybym sama miała....

— Oddałabyś mu?

— Wszystko, odpowiedziała cicho. Ser, ja nie pójdę do Karola, zawołała stanowczo mała, zatrzymując za rękę pana Smaił, wchodzącego z nią w boczną uliczkę.

— Czy cię wypędzili?

— Nie wypędzali mnie i on jest zawsze dobry, tylko misses Rowan patrzy się na mnie.... Nie dobrze patrzy się na mnie. I raz niedawno mówiła po cichu do Karola, czego ja się włóczę do nich.

— A Karol?

— Odpowiedział: daj jej mama pokój, jeżeli jej dobrze z nami.

— A prawda to, że tobie było z niemi dobrze?

— Bardzo dobrze ser — ciepło było i lubię patrzeć, jak Karol rysuje.

— I nie chcesz tam już pójść?

— Ja nie chcę do nikogo włóczyć się — i już nigdy tam nie pójdę. Chyba gdy będę dużą i bogatą.

— To ty będziesz bogatą.

— Nie wiem, ale bym rada nią być.

— I cóżbyś z pieniędzmi robiła?

— Połowa byłaby dla Karola.

Zatrzymali się pod 26 numerem.

— Nie pójdziemy do Karola, ale do twego mieszkania. Zrobił uwagę p. Smaił.

— My tu już nie mieszkamy, rzekła smutno mała.

— Nie mieszkacie?

— Kazali się nam wyprowadzić, bo tata nie płacił.

— I wynieśliście się?

— Na Mealy street niedaleko ztąd. Czy chcesz ser do nas pójść?

— Jeżeli zastanę w domu rodziców.

— Pewno są — i mama wróciła i ojciec pewno przyszedł.

— Ponieważ nie chcesz zobaczyć Karola, chodźmy.

— Ja go chcę ser zobaczyć, tylko nie u niego w domu i nie przy jego matce. — Ser, widzę ja go często na ulicy i rozmawiam. Czasem da mi jabłko.

— I dla tego dzisiaj tutaj przyszłaś.

— Myślałam, że będzie przechodził.

Podobnie rozmawiając stanęli przed cukiernią. P. Smaił i Jess, trzymana za rękę przez dżentlemana, weszli. Zapach świeżych ciastek i czekolady robił wrażenie! — Mała posadzona na wysokiem krześle, dżentleman usiadł na niskiej kanapce, i tym sposobem wysokości zrównały się.

— Lubisz czekoladę? stanowcze pytanie ze strony pana Smaił.

— Pewno lubię ser, ale jeszcze nigdy nie piłam.

— A ciastka jadłaś?

— Ho ho, z dziesięć razy i na Christmast w szkole.

Podczas spożywania czekolady p. Smaił robił obserwacye, które musiały wypaść na korzyść Jess, gdyż po pewnym namyśle rozpoczął z uśmiechem.

— Słuchajno mała.

— Słucham Cię ser,

Wtem wzrok pana Smaił spotkał się z dużemi trzewikami okrywającemi nogi małej.

— Czyje to są trzewiki?

— Nele, ser, Nele je nosiła i gdy wyjeżdżała, zostawiła dla mnie.

— Nele to pewno twoja siostra, gdzież wyjechała?

— Tak ser, to jest moja siostra i wyjechała do Ameryki.

— Słuchajno mała, decyduj się i odpowiadaj stanowczo i otwarcie: Czy to prawda, że mnie się nie boisz i lubisz mnie?

— Lubię Cię, bo Ty jesteś dobry dla Karola.

— A gdybym był dobry dla Ciebie i uczył cię?

— Ucz mnie ser, bo Ty nie będziesz się śmiał, jak ja nie będę mieć kapelusza i przyjdę w dużych trzewikach.

— A czybyś chciała pójść do mnie i zostać w moim domu?

— Chciałabym, bo u nas w domu bardzo smutno.

— A więc jesteś zdecydowaną.

— Jestem.

— Czy będziesz mieć tę samą zimną krew i decyzyę przy rodzicach i czy się nie cofniesz?

Jess szeroko otworzyła powieki a p. Smaił spostrzegł, że jego towarzyszka miała jedenasty rok i chociaż czytała poezye, w zwyczajnej mowie nie posługiwała się wyrażeniami przerastającemi jej pojęcia i wiek. — P. Smaił rozśmiał się po tej uwadze i wyruszył w drogę z małą dźwigającą duże trzewiki, które wydawały się jeszcze większe, obok cienkich odsłoniętych bez pończoch jej nóg.

Olbrzym i drobne dziecko szli razem. trzymając się za ręce. Z twarzy olbrzyma wyglądała dobroć i radość, na buzi dziecka duma i pewność siebie.

Ludzie się oglądali. Musiał to być widok sympatyczny i pociągający, gdyż ludzie oglądając się stawali i uśmiechali poczciwie i serdecznie.

Mealy street wązka, i wązkie ciemne schody w małym domku. Jess znała je wybornie i chociaż w swych dużych trzewikach była podobną do kota w butach, biegła naprzód prędko i zręcznie, a za

nią, nie mogąc rozwinąć swego folbludowskiego kroku, stąpał drobno a ciężko p. Smaił.

— Mamo, to ten sam dżentleman, który dał Karolowi lampę i rysunki, szeptała Jess matce.

Milcząca kobieta dała znać kiwnięciem głowy, że go zna, — a czerwony na twarzy, łysy człowiek z przymkniętemi malutkiemi oczami, powstał na przyjęcie wchodzącego.

P. Smaił siadł, matka Jess obróciła się na krześle twarzą do gościa. Ojciec stanął w dramatycznej pozie, smutnie mrużąc oczy, mógłby westchnąć, bez wysilenia, był jednak cierpliwy.

— Znacie mnie, rozpoczął p. Smaił, — jako dawni sąsiedzi pani Rowan.

— Znamy Cię wybornie ser, Ty przychodzisz ratować nędzę, nie dajesz umrzeć z głodu ludziom szlachetnym, obcierasz łzy...

Tu szanowny mówca westchnął i obtarł oczy rękami.

P. Smaił uczuł, że jest niezrozumianym.

— Wcale nie, odezwał się, społeczeństwo...

— O! społeczeństwo, zawołał, podnosząc rękę do góry mały człowieczek, nieludzkie, okrutne, zimne, obojętne — społeczeństwo... znamy tego potwora bez litości! Lecz Bóg ma swoich posłańców, którzy są na to stworzeni, aby nieszczęściu i nędzy łzy obcierać. Westchnienie silne, i zamaszyste przejechanie rękawem po oczach.

— Zaczekaj, odezwał się pan Smaił, pozwól niech ja teraz powiem.

— Mów ser, przeczuwam — nie, ja nic nie przeczuwam, lecz jestem pewny, bo mam głęboką wiarę. — Saro powiedz, odezwij się i poświadcz jednem słówkiem, czy ja nie jestem człowiekiem gorącej wiary?

Sara kiwnęła głową, na znak potwierdzenia.

— I gdyby nie intrygi — Saro, zawzięte intrygi — właśnie tego samego, o którem ser wspomniałeś, społeczeństwa, wiara moja, chciałem powiedzieć, nasza, bo i Sara wierzy, byłaby wynadgrodzoną.

— Czem i jak społeczeństwo może intrygować, to ciekawe, zauważył p. Smaił.

— To bardzo ciekawe powtórzył mały człowieczek, bo zdaje się nieprawdopodobne, a jednak społeczeństwo intryguje zawzięcie. Byłem mówcą towarzystwa propagandy chrześcijańskiej. — Skromny zarobek, ale pociecha wielka. — Od każdej mowy na ulicy pół korony, przytem dodano mi mały biznesik stręczeń sług gorących w wierze do zamożnych domów. W rezultacie jedno z drugiem

zabezpieczałoby nam skromny byt, gdyby nie złośliwe, nikczemne intrygi społeczeństwa.

— Odtąd dopiero zaczyna być prawdziwie ciekawe, zawołał dżentleman — słucham.

— Społeczeństwo uznało za właściwe zazdrościć mi tych okruszyn ze swego sutego stołu. Mały człowieczek uderzył pięścią w stół.

— Do rzeczy, przerwał p. Smaił.

— Obmówiono mnie, spotwarzono, Saro powiedz czy nie?

Sara potakująco kiwa głową.

— Obmówiono, zdenuncyowano, zawołał z najwyższem oburzeniem człowieczek, że gdy przemawiam do ludu o wstrzemięźliwości z ust moich, jak z czeluści piekieł bucha spirytus.

— Dalej — rzekł spokojnie olbrzym.

— Zdenuncyowano mnie, jakobym przed każdem kazaniem wypijał brendy za dwa szylingi, a po kazaniu za resztę sześć penów, co w ostatecznym razie mogło być odwrotnie, gdyby być mogło. Nie dość, zdenuncyowano Sarę jako, trzymając mój kapelusz, bo przemawiam z otwartą głową na ulicy — tak zdenuncyowano tę cichą kobietę, że z moim kapeluszem w ręku kiwa się, gdy właśnie jest to tylko jej zwyczaj. — Ja mówię z zapałem i prawdziwie ogień wiary bucha ze mnie, a Sara potakuje mi. kiwając głową. — Powiedz Saro, czy nie prawda?

— Basta, zadecydował p. Smaił.

— Pozwól mi ser dokończyć.

— Domyślam się rozwiązania.

— Ale nie poznałeś obłudy społeczeństwa! Otóż skutkiem denuncyacyi wydelegowano biegłego do rozpoznania prawdy, a był nim zawistny i złośliwy Nott — znany w komitecie z delikatnego powonienia. Z przeznaczenia powinien być gończym, a wypadkiem został drugim sekretarzem.

— Widzisz — wypadek — zwrócił uwagę p. Smaił.

— I tym samym wypadkiem, ja, jak to jest mój zwyczaj, zresztą jest to zwyczaj wszystkich wielkich mowców i śpiewaków, wiem o tem wybornie....

— Do rzeczy, przerwał dżentleman.

— Do rzeczy, powiem zatem krótko. Idąc za przykładem mówców i śpiewaków, wypiłem mały kieliszek brendy i, wyszedłszy razem z Sarą na ulicę, zacząłem:

— Czy czujesz, szepnął Nott do ucha swego kolegi, głupiego Nursa, którego przyprowadził na świadka, czy czujesz?

— Nic, nic nie czuję, odrzekł Nurse.

— To się przybliż.

I Nurs się zbliżył.

— Słyszałem ich rozmowę i z całą gwałtownością powstałem przeciwko denuncyacyi, kłamstwu i potwarzom.

— Do rzeczy, przerwał p. Smaił.

— Nurse tak się zbliżył, że nareszcie poczuł ten jeden nędzny kieliszek brendy — Sara mi potakiwała, co również widziano....

— Reszta wiadomo, zawołał p. Smaił.

— Straciłem na raz oba miejsca!

— Czem się zajmujesz obecnie?

— Zużywam swoją wyobraźnię przez pośrednictwo pióra' i atramentu jako ajent do małych tranzakcyj, nieszczęśliwy, złamany, chory... Handel nie jest mojem powołaniem — brzydzę się tym rodzajem zarobku, a Sara nim gardzi! — Saro powiedz.

Sara pierwszy raz przemówiła:

— My nie jesteśmy stworzeni do tego rodzaju stanowiska.

— Nie — nie jesteśmy stworzeni, Sara dobrze powiedziała i mamy nadzieję, że dobry Bóg nas nie opuści.

Mąż Sary westchnął ciężko i rękawem przeciągnął po oczach.

— Teraz na mnie kolej rzekł p. Smaił.

— Mów ser i oby litościwy Bóg natchnął Cię szczęśliwą ideą.

— Jess chce się uczyć, powiedział spokojnie, spoglądając na rodziców olbrzym,

— To dziecko przepada za nauką, cały dzień siedziałoby nad książką, lecz czyż jest podobieństwem przy takiej nędzy uczyć ją? Daj nam ser możność, a zobaczysz, jakie będzie mieć książki i nauczycieli.

— Ja ją sam podejmuję się kształcić.

— To napróżno ser, tu nie ma miejsca, zawsze gwar, hałas, ludzie, interesanci.

— A gdybym ja ją chciał wziąć do siebie?

— Jak swoją? pochwycił, mrużąc małe oczki religijny mówca.

— Tak, jak swoją, powtórzył Smaił.

— To co innego — zawyrokował, zmieniając ton mowy ojciec małej Jess — to co innego — i przytykając palcem do ust dał znać panu Smaił, aby milczał.

— Saro, droga Saro, odezwał się do żony, nie masz parę penów, aby przyjąć naszego gościa — Jess pójdzie kupić.

— Wiesz dobrze, że nie mam dziś pena przy duszy, odrzekła Sara.

— Ani ja, ani ja, praca nad siły i w rezultacie nędza.

P. Smaił wyjmuje szylinga i kładzie go na stole.

— Jess skoczno i przynieś piwa dla twego opiekuna — tylko nie chodź do tego na rogu.

— Gdzie tata winien, zapytała Jess.

— Gdzie ma do nas niesłuszną pretensyę, chciałaś powiedzieć. Nie można być winnym za trunki w Anglii, idź do tego drugiego tam dalej, wiesz.

— Wiem.

Mała chwyciła za dzbanek, ojciec nieznacznie zabrał flaszkę i wyszedł za nią do sieni.

— Więc chcesz ser zabrać Jess, rzekła Sara, może to i lepiej.

— Radbym ją wychować dla was na pociechę....

— Jesteśmy nareszcie sami, mówmy więc otwarcie, odezwał się po powrocie gospodarz, siadając blisko pana Smaił. Ser usiłujesz nam wydrzeć dziecko, ostatnie i jedyne dziecko, bez którego żyć nie możemy! Usiłujesz go wydrzeć i wychować, aby zapomniało ojca i matki, aby ich za parę lat nie poznało i wyparło się ich.

— Zupełnie przeciwnie, tłómaczył się dobrodusznie dżentleman.

— Nie mów ser, że przeciwnie, przerwał mówca, tak być musi i tak będzie. Zapomni a potem się wyprze, jesteśmy na to przygotowani i jesteśmy nawet zdolni przyjąć i tę boleść na swe barki, byle tylko zapewnić przyszłość swemu dziecku. My musimy się poświęcić dla innych dzieci, w czem dowód, że starszej córki nie wahaliśmy się oddać Amerykaninowi, który ją zabrał do swej ojczyzny. Wiedzieliśmy, że idzie o jej szczęście i nie wahaliśmy się. Amerykanin przysiągł, że weźmie ślub na statku, gdyż miał upodobanie w tem, aby kapitan okrętu dawał mu ślub. Nele dopilnuje, jesteśmy tego pewni i nie wahaliśmy się — a jednak amerykański dżentleman zostawił 20 funtów na stole gotówką, za nim wziął. Interesa, kłopota, nędza pukająca do drzwi, zbliżająca się starość.

— Do rzeczy, rzekł surowo Smaił.

— Nele była starszą, odchowaną — ale Jess kochamy do szaleństwa, i jak bez niej wyżyjemy, nie mamy pojęcia, żadnego dotąd pojęcia! Nadto Jess jest ładniejszą.

— Wiele? zawołał z oburzeniem p. Smaił.

— Dziesięć funtów, odpowiedział ojciec, kłopoty, nie zapłacone mieszkanie, żona bez okrycia!

— Pięć, przerwał Smaił, pięć dosyć na obtarcie łez i zapomnienie.

— Nigdy, zawołoł ojciec, jedyne, ukochane dziecko.

— Pięć, albo wychodzę — p. Smaił powstał.

— Bierz ją ser, zawołała żona.

— Saro odezwał się z wymówką człowieczek.

— Milcz, odpowiedziała kobieta groźnie. Bierz ją ser i wychowaj na uczciwą kobietę — gdy rodzice są tyle nędzni, że tego nie potrafią! Bierz ją — kobieta zalała się łzami.

— Bierz ją, powtórzył płaczliwie dymisyonowany mówca. Dziecię to należy w połowie do matki i ona więc ma swe prawa.

— Masz papier i atrament przerwał p. Smaił.

— To zawsze się znajdzie ser, gdyż nie mogąc wygłaszać pisujemy mowy, podania, listy, skargi.

— Może być drugi świadek oprócz żony? — interpelował przybyły.

Mówca chciał zasztukać w ścianę.

— Później, rzekł Smaił, zatrzymując go. Pisz tymczasem zrzeczenie się praw do swej córki, aż do czasu jej pełnoletności.

Ojciec pisał, kobieta milczała, za to strumienie łez płynące nieprzerwanie po jej twarzy, mówiły o boleści i wstydzie matki. P. Smaił chciał ją pocieszać i zaczął od wyrazu: społeczeństwo....

— Społeczeństwo, to nasz wróg, prześladowca i tępiciel, wydeklamował ojciec, kończąc akt odstąpienia dziecka.

— Czy są zachowane formy prawne, zapytuje p. Smaił, przeglądając zapisany papier.

— Wszelkie, bo i my się troszkę na prawie znamy, ser.

— Przyzwij świadka.

Mąż podpisał się, podał pióro żonie i zasztukał w boczną ścianę.

Matka, biorąc pióro do ręki, buchnęła rozdzierającym serce płaczem, zamilkła i podpisała.

Do izby wszedł pochylony staruszek z nieco wypukłą prawą łopatką, ogolony, mizerny, żółty, z wystającą brodą a świdrującym wzrokiem.

— Cóż tam, mówił niecierpliwie, świadczyć, czy podpisywać.

— Podpisać — rzekł patetycznie mowca.

— Sprzedajesz ostatnie, ty stary łotrze — ostatnie dziecko sprzedajesz — odezwał się świadek, po przeczytaniu papieru.

— Smith nie zapominaj się i jeżeli nie masz szacunku dla mnie, to przynajmniej miej wzgląd na obecnego dżentlemana, strofował człowieczek przyjaciela.

— A czyż on cię nie zna, tak jak ja! — Czyż inaczej przyszedłby kupować.

— Smith milcz, nie rozumiesz, inna to sprawa i dla tego milcz, odezwała się kobieta.

— Inna sprawa i dla tego milcz — Wy znacie Smitha — a Smith was. On zawsze milczy i zawsze podpisze, co potrzeba — ha, ha!...

Smith sucho się zaśmiał, podpisał, usiadł i zapytał:

— Kto płaci?

— Dżentleman, odpowiada ojciec.

— Pan Smaił wyjmuje pół korony.

— Smith jeszcze nigdy za mniej jak za pięć szylingów nie podpisywał, wygłasza z dumą staruszek.

P. Smaił rzuca drugie pół korony.

— A teraz, ser, najodpowiedniejsza chwila wypłaty, odzywa się gospodarz domu, biorąc sporządzony akt do rąk.

P. Smaił wyjmuje z głębokiej kieszeni pięć sztuk złota i kładzie je, licząc na stole.

— Co pięć funtów, woła Smith, — pięć funtów tylko i nic więcej? Ha, na to trzeba być ostatnim nikczemnikiem. — Pięć funtów? Smith ścisnął pięść, w której trzymał pięć szylingów, podniósł ją w górę i zbliżył do nosa sentymentalnego ojca. Morley zawołał, jesteś ostatnie bydlę, czy ty słyszysz, gardzę tobą. Tamta za 20 — ta za pięć, nędzny nikczemniku!

Oburzony Smith wyszedł i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Słyszałeś ser, odezwał się patetycznie Morley, do jakiego zmusiłeś mnie poświęcenia.

— Ja nie uznaję poświęceń, zawołał gwałtownie Smaił.

— Ser, rzekła pospiesznie zapłakana Sara, nie zwracaj uwagi na wykrzykniki mego męża. A ty milcz i nie wspominaj imienia tego starego zbrodniarza, bo mnie na jego widok dreszcz przejmuje.

Jess wróciła z piwem i wódką — Morley ustawił szklanki — Sara łzy obtarła.

— Ser, co rozkażesz, interpeluje z gościnnością i elegancyą mowy gospodarz.

— Proszę o szklankę piwa.

— Wybornie, a my biedni ludzie, igrzysko zawistnego losu, dla scharakteryzowania naszej pozycyi, wybieramy trzęsawicę.

Morley wlał brendy do piwa. — Gdy jedno posila, drugie rozgrzewa i wzrusza. Nędza nasza wymaga wzruszeń i zapomnienia.

Pięć funtów w kieszeni Morleya sympatyczny wywierały wpływ na jego usposobienie. Rozrzewnienie znikało, a miejsce jego zajmował humor, pełen dykcyi i krasomówczych zwrotów.

Trzęsawicę rozdzielono między męża i żonę. Sara w milczeniu lecz z widocznem upodobaniem zaczęła pić, mąż powoli ciągnął napój, wśród opowiadań i giestykulacyj.

Smaił mógł się naocznie przekonać, gdyby chciał zaczekać, o ile użyteczną jest brenda lub trzęsawica mówcom i śpiewakom.

Smaił nie chciał czekać na owe błogosławione skutki, wypił szklankę piwa i zagaił posiedzenie w te słowa:

— Ostatni obowiązek rodzicielski, ostatnia przysługa...

— Mów ser, gdyż od obowiązków nigdy się nie uchylamy, odrzekł ojciec.

— Umyć Jess, powiedział, pokazując palcem na małą.

— Ostatni raz ręce matki zaczerpną wodę, ostatni raz zwilżona jej dłoń dotknie się dziecięcej twarzy, ostatni raz zimne jej usta pocałują czoło dziecka i ostatni raz zobaczy uśmiech swej córki z poza łez....

— Morlej milcz, szepnęła matka, bo mi serce pęknie, milcz bo ci nóż utopię w sercu. — Łzy jej trysnęły z oczu — pochwyciła szklankę z trzęsawicą i jednym tchem wypiła wszystko, powstała, wyciągnęła ręce do dziecka, posadziła go na kolanach i zaczęła tulić do piersi.

Smaił pochylił głowę na piersi i szepnął: społeczeństwo, — rodzina.

— Słyszałeś ser, rzekł spokojnie Morley — i takiego mówcę wypędzili! Mówiłbym na ten temat pół godziny bez przerwy i nie powtórzyłbym się ani razu. — Przekonałbyś się, lecz trzeba szanować boleść kobiety i matki. — Jedynego mówcę z całego sosajty wypędzać, to nikczemnie! I dla tego chwieją się, chylą do upadku, widocznie upadają i upadną niewątpliwie — bezemnie!

Jess małemi rączkami głaskała twarz matki.

— Mamo, szeptała, on mi kupi trzewiki i kapelusz i poszle do szkoły. A jak mnie będzie bił, to ja ucieknę do Ciebie, ale on mnie nie będzie bił.

P. Smaił uczuł się wzruszony tą sceną.

— Widzisz droga pani, jakich społeczeństwo wymaga od nas ofiar? odezwał się ze współczuciem.

— O społeczeństwo, hydra stugłowa, wiecznie głodna i żarłoczna.

— Przestań Morley, przestań na chwilę, szepnęła z bólem kobieta.

— A zresztą czyż stracisz córkę, mówił o ile mógł pocieszająco do matki olbrzym, przyprowadzę ją, wiele razy zechcesz i kiedy ci się podoba.

— Już to nie to ser, co dziecko chowane w domu, przy boku matki, odezwała się zalana łzami kobieta, dziecko zapomina o rodzicach, samotność ich niepocieszona.

Jess została umytą i uczesaną. — Ciche uściśnienie matki, długi jej pocałunek zmięszany ze łzami.

— Gud baj, szepnęło dziecko wyciągając rączkę do ojca.

— Gud baj — rzekł ojciec — jako motto do mającego się wylać potopu wymowy. — Gud baj! I cóż ono znaczy wobec tej ponurej przyszłości — rozpaczy ojca....

P. Smaił i mała Jess nie słuchali, śpiesznie wychodząc — gospodarz chciał im towarzyszyć do sieni. — Sara go zatrzymała we drzwiach, pociągnęła do pokoju, sama wyszła za dzieckiem, zamykając drzwi.

— Ser, szepnęła do pana Smaił, chwilę tylko. Jess zejdź ze schodów i zaczekaj na ulicy.

— Nie przyprowadzaj jej tu, mówiła, gdy zostali sami. — Ja, kiedy będę mogła, przyjdę sama. — Nie przyprowadzaj jej tu rozumiesz, aby później matka nie wstydziła się swego dziecka — otarła łzy.

— Cierpliwości, odezwał się Smaił, mam nadzieję, że kiedyś do nas się przeniesiesz.

— Nigdy, nigdy to nie nastąpi, muszę tu zostać i zostanę — dla niego, pokazała na drzwi... Ja sama gardzę sobą, tak jak ty gardzisz pijaczką.

— Słuchaj mnie Saro, odezwał się Smaił, biorąc ją za rękę

— Nie pocieszaj mnie, nie jestem warta twego współczucia. Gdy Jess dorośnie, oddaj jej, a może wtedy przypomni sobie matkę z czasów, gdy ona na jej szacunek zasługiwała. — Sara wsunęła w rękę pana Smaił pudełeczko. Wewnątrz umieszczony był meda-

lion robiony na kości, młodej, pięknej kobiety, podobnej do Sary. Wtenczas byłam niewinna i szlachetna — dodała.

— Saro nie trać nadziei, przerwał dżentleman.

— Kochaj ją, przyjdź, przyjdź sam.

Smaił stał na schodach, matka małej Jess obok niego o parę schodów wyżej. Sara zdjęła kapelusz z głowy dżentlemana, objęła ręką jego głowę, przycisnęła do piersi i pocałowała w czoło.

— Kochaj ją! szepnęła.

— Społeczeństwo, odezwał się Smaił.

— Kochaj ją — powtórzyła kobieta — przyjdę i, łkając, spiesznie odeszła.

Olbrzym i dziecko szli razem, trzymając się za ręce. Z twarzy olbrzyma wyglądała dobroć i radość, na buzi dziecka duma i pewność siebie.

Ludzie się oglądali. Musiał to być widok sympatyczny i pociągający, gdyż ludzie, oglądając się, stawali i uśmiechali się poczciwie i serdecznie.

— Jess, czy tu, czy tam? decyduj, przerwał milczenie Smaił.

— Tu, zdecydowała Jess.

-- Masz racyę! — ona nie powinna widzieć twojej nędzy, dodał w duchu.

— Stanęli przed sklepem dziecinnych ubiorów.

— Jess wybieraj, czy te czy tamte?

— Te, ser, już dawno myślałam o tych, mówiła mała, wybierając między dwoma parami pończoszek niebieskie z białem.

— Dobry znak, mówił Smaił, który uważał wybór ten za oznakę pewnego smaku.

Kupiono pończochy, później małe trzewiczki i kapelusz, o który tak się troszczyła mała, i czystą koszulkę i zgrabną sukienkę, a nareszcie Jess nieśmiało prosiła dżentlemana o rękawiczki.

— I jeszcze rękawiczki? Jess, zkąd ci przyszła ta myśl.

— Bo do takiej sukni i kapelusza, potrzebne są ser koniecznie. Inne małe miss mają także rękawiczki.

— Jest poczucie harmonii, zdecydował Smaił, chodźmy po rękawiczki. Ubrana Jess, siadła z opiekunem do omnibusu. P. Smaił lubiał otwarty widok i powietrze, dwoma susami stanął na górze, konduktor podał mu małą, którą posadził na kolanach i pełni wiary w siebie i ufni w przyszłość, ruszyli.



ZEMSTA ŻYDA

VIII.

ŚPIEW POD NAMIOTEM.

Dwadzieścia pięć lat upłynęło od śmierci Flawiusza, a w starej Judei nowe obudziło się życie. Na cudownym firmamencie Judei w pięknem letniem zaraniu wybiegła złota jutrzenka, rozjaśniając horyzont. Odbijała ona różowe swe barwy na szerokiej dolinie, otoczonej zewsząd wysokiemi wzgórzami. Z jednej strony wznosił się pawilon obszerny, wspaniały, wyłożony czerwonym jedwabiem, z drugiej zaś bieliło się mnóstwo namiotów, zajmujących większą część doliny. Namioty te służyły za schronienie części wojska Izraelskiego, które podczas panowania cesarza Adryana powstało, aby walczyć o niepodległość narodu. We wspaniałym pawilonie spoczywała arka przymierza; świątynia bowiem leżała w gruzach, a dzieci Izraela powracały do starożytnych tradycyj o pustyniach i górze Synai. Wzgórza, osłaniające obóz, leżały pod miasteczkiem Bether.

W chwili, w której cienie nocy zaczynały ustępować dziennemu światłu, wpatrując się pilnie w najbardziej spadziste i strome pochyłości gór, można by było dostrzedz przedzierającego się pomiędzy drzewami starca, schylonego pod brzemieniem lat, którego twarz, jakkolwiek pogodna, nosiła wszakże ślady wielkich cierpień. Widząc go, gdy na wszystkie strony rzucał wzrok niespokojny, nie trudno było zrozumieć, że się obawiał, aby go kto nie spotkał i nie odkrył.

Towarzyszył mu przewodnik, młodzieniec, w stroju krajowych pasterzy.

Przybywszy do namiotów, starzec zapytał towarzysza o mieszkanie wodza.

Młodzieniec wskazał mu na jeden z namiotów, ustawionych w pierwszym rzędzie.

— Można poznać ten namiot, rzekł pasterz, po czerwonej chorągwi, wywieszonej nad nim; tam to mieszka Hanani i jego małżonka, Sara.

Słysząc te imiona, starzec wstrząsł się i głosem drżącym ze wzruszenia rzekł do towarzysza:

— Och! jak to boleśnie, przyjacielu, módz tylko ukradkiem spojrzeć na tę świętą ziemię. której dawniej ramię moje broniło od

pysznych Rzymian. Naprożno uniknąłem śmierci, którą zagroziła mi nienawiść pogan — dzisiaj właśni rodacy nastają na me życie: nie ma dla mnie przytułku u ogniska współbraci Żona wodza jest moją córką, a nie śmiem dojść aż do jej namiotu; nie odważę się pójść uścisnąć jej i ucałować.

— Jakim że sposobem, zapytał młodzieniec, jesteś tak odłączonym od dziecka, że nawet lękasz się ujrzeć je?

— Jestem już z nią rozłączony prawie od dwunastu lat; zbrodniczo wykradziono mi ją dzieckiem jeszcze — nie śmiem zaś ukazać się jej pośród rodaków, gdyż jestem chrześcijaninem, równie jak i ty; a wiesz przecie, że nierównie więcej cierpią uczniowie Jezusa od żydów, aniżeli od samych pogan.

— Dlaczego, spytał pasterz, chcesz się niepotrzebnie wystawiać na niebezpieczeństwo?

— Ach! dla tego, że nic nie może być milszem dla moich uszu i serca, jak słyszeć codziennie przy wschodzie słońca harmonijny głos najdroższej córki. Może kiedyś nadarzy się sposobność zobaczenia jej i pomówienia choć na chwilę. Chciałbym porozumieć się z nią, aby jej na nowo ukazać światło wiary i prawdy, które nam Bóg-człowiek objawił; taką to nadzieję, ja biedny, sędziwy tułacz, żywię i przechowuję w mem sercu.

Zaledwie starzec skończył te słowa, gdy czysty i świeży głos dał się słyszeć z namiotu Hananiego.

Po pierwszej przygrywce wykonanej na swojskiej harfie, rozległ się śpiew po dolinie. Starzec słuchał go ze łzami wzruszenia.

Sara śpiewała następny hymn:

„Srebrzysty księżycu i wy błyszczące gwiazdy, zdobiące firmament nocy; słodki brzasku jutrzenki porannej; ziemio bogato strojna i ty niebo z błękitów, o! powiedzcie mi, kto stworzył was?

„Jesteśmy dziełem najwyższej mądrości, wspaniałemi promieniami prawdziwego słońca. Z rozkazu Jego istniejemy, a język ludzki chociażby najbardziej natchniony, nie jest zdolny nazwać Go.

„Przedziwne gwiazdy, niebo, ziemio, i wy wszystkie cudowne twory Boga, wiedzcie, że On stworzył jeszcze coś od was większego; boska Jego ręka utworzyła człowieka.“

Na tem zakończyła Sara hymn swój, i tylko słabe echo melodyjnej harfy dochodziło jeszcze zdala. Starzec czekał, spodziewając się powtórzenia śpiewu.

Od kilku dni nie opuszczał tej okolicy. Długo szukał wydartej sobie córki, a dopiero od roku odkrył jej ślady, dziś zaś wzią

przewodnika, aby mu wskazał namiot Sary, do którego w poprzednich dniach ciągnął go instynkt ojcowski.

Starcem tym — powiedzmy od razu — był Kaleb, najlepszy przyjaciel Flawiusza Klemensa. Opowiedzieliśmy już, jakim sposobem opuścił Rzym zaraz po ślubie z córką Gaudencyusza.

Wylądowawszy w porcie miasta Joppy, zamieszkał w miasteczku Bether, gdzie żył z pieniędzy, któremi go obdarował szlachetny Klemens.

Owocem związku jego z Eufemią była tylko jedna córka, którą nazwali Sarą. Gorliwi chrześcijanie, nie szczędzili najczulszych starań, wpajając w dziecko od lat najmłodszych święte zasady wiary Jezusa Chrystusa.

Sara, godnie odpowiadając miłości rodziców, obiecywała iść na przyszłość w ich ślady. Doszła tak do dziesięciu lat wieku, wśród niezachwianego i głębokiego spokoju, w jakim pogrążone było miasteczko Bether, zamieszkałe po większej części przez chrześcijan. Wprawdzie od czasu do czasu dochodziły do domu Kaleba wieści o powstaniach; ale wszystko kończyło się na niepewnych pogłoskach a okolica cieszyła się zawsze spokojem.

Nadchodził jednak czas, w którym Kaleb i Eufemia mieli przejść przez najokropniejsze próby.

Pewnego dnia Kaleb, wracając do domu po krótkiej nieobecności, nie obaczył na wstępie najukochańszej córki. Zapytał o nią Eufemii, ale ta, myśląc, że Sara towarzyszyła ojcu, nie troszczyła się o nią. Nieszczęśliwi oczekiwali przez czas niejaki w największym niepokoju — ale gdy dziecko nie wracało, zaczęli poszukiwania w sąsiedztwie — lecz na próżno — nikt jej bowiem nie widział. Kaleb dowiedział się tylko, że od kilku dni zauważano kręcących się koło jego domu obcych ludzi, którzy pojawili się jeszcze tego poranku.

Kaleb i Eufemia w największej rozpaczy spędzili resztę dnia i całą noc na bezowocnych poszukiwaniach jedynego dziecka.

Następnie Kaleb, zostawiwszy żonę pod opieką starej przyjaciółki, sam przebiegł wszystkie wioski i zakątki okoliczne, szukając z największą pilnością. Nie odkrywszy jednakże żadnych śladów Sary, powrócił przygnębiony nieszczęściem.

Upływały długie miesiące, nie przynoszące żadnej pociechy nieszczęśliwym rodzicom Sary. Straszny ten cios odbił się na zdrowiu Eufemii; jedna tylko wiara podtrzymywała ją wśród cierpień.

Dopiero w dziesięć lat później dowiedział się Kaleb, co się stało z jego córką; jaka ją zbrodnia z nim rozłączyła.

Usłyszymy zaraz, jakim sposobem powziął wiadomość o piekielnym zamachu, skutkiem którego dom jego opustoszał, a żona postradała siły i zdrowie.

Cesarz Adryan, wstąpiwszy na tron po Trajanie, postanowił odbudować Jerozolimę, ale pragnął, aby to nowe miasto było zamieszkałe przez kolonię pogańską, aby tam stawiano świątynie i ołtarze dla bożków. Co większa, zakazał żydom obrzezywać dzieci, co stanowiło u nich widomy znak pojednania z Bogiem, odróżniało ich od pogan.

Usiłowania te wywołały żywe wzburzenie pośród Izraelitów, którzy w wielkiej ilości zamieszkiwali Judeę, a po klęskach poniesionych przy zburzeniu Jerozolimy już się byli na nowo podnieśli.

Na odgłos tych rozruchów, sławny rabin, Akib, brat Kaleba, zamieszkały w Egipcie od czasu zburzenia świętego miasta, pospieszył do Palestyny, ażeby zapalić rodaków do wojny o niepodległość. Pół wieku upłynęło od smutnego i bolesnego rozstania braci w Cezarei. Przez ten długi przeciąg czasu nie mieli obaj o sobie żadnej wiadomości. Ojciec ich Asbel, umarł niedługo po rozłączeniu się z synami.

Akib cieszył się wielką wziętością w narodzie; był to człowiek zręczny, fanatycznie przywiązany do swej religii, a nienawidzący śmiertelnie chrześcijan.

Towarzyszył mu do Judei młodzieniec, którego widzieliśmy w Rzymie, Barkokeba, syn żyda Manahema. Gdy wybuchnął spisek, którego ofiarą padł Domicyan, zamordowano Manahema, jako okrutnego doradcę tyrana, którego nakłaniał do wielu występków i zbrodni. Syn jego uciekł i skrył się w Egipcie.

Niezadługo poznał tam Akiba; dowiedziawszy się, że ten był przyjacielem ojca, przywiązał się do rabina; odkrywszy zaś, że był bratem Kaleba, zataił przed nim nienawiść swoją dla żyda, który przeszedł na wiarę chrześcijańską, niemniej i missyę zemsty, którą mu zlecił przed śmiercią Manahem.

Barkokeba, podróżując po raz pierwszy po Judei, odkrył przypadkiem mieszkanie Kaleba, dowiedział się najdokładniej o rozkładzie domu, o całem jego otoczeniu, o zwyczajach brata Akiba, i postanowił rozpocząć poruczone dzieło zemsty.

Przepłacił więc szpiegów, którzy upatrzywszy stosowną chwilę, uprowadzili córkę Kaleba i Eufemii, małą Sarę, i powieźli ją do Egiptu.

Siłą podstępu i gwałtu nawet, kobiety izraelskie, którym Sara była powierzoną, potrafiły nareszcie zaprowadzić ją do synagogi; zwolna zacierały się wspomnienia dziecka i nieznacznie wychodziły z jej pamięci nauki zasad chrześcijańskich, udzielane przez ojca i matkę.

W chwili wybuchu wojny Sara miała lat ośmnaście; ponieważ była kobietą rzadkiej piękności, co wchodziło w plany barbarzyńskiej zemsty, Barkokeba wydał ją za jednego z dzielniejszych wodzów izraelskich.

Piękny, szlachetny, wspaniałomyślny Hanani, sercem i duszą przywiązany był do swojej religii; pomimo to nie lubił nędznych prześladowań, które zniesławiły ostatnie usiłowanie ginącej narodowości żydowskiej.

Młodzi małżonkowie kochali się serdecznie; to też gdy Hanani musiał się udać do Judei, aby stanąć na czele współrodaków, powstających ze wszech stron, powiózł tam ze sobą żonę.

Z drugiej strony Akib towarzyszył Barkokebie, który piastował w wojsku godność najwyższego kapłana. Akib, odkrywszy w tym człowieku zadziwiającą śmiałość, duszę nie lękającą się niczego, nawet zbrodni, myślał, że syn jego dawnego przyjaciela, został zesłany z nieba, aby podnieść upadającego Izraela. Samo imię jego, które znaczyło tyle co *Syn gwiazdy*, osłaniało go w oczach pospólstwa niezrównanym majestatem. Akib zaś sądził, że do niego to stosują sie słowa świętego tekstu, oznajmujące zejście przedziwnej gwiazdy, nad plemieniem Jakóba, i ogłosił go Messyaszem, synem wyprorokowanej gwiazdy, zbawicielem Izraela.

Barkokeba więc, zaraz po przyjeździe do Palestyny, posiadł nieograniczoną władzę i niezmierny wpływ. Natychmiast postarał się dać znać Kalebowi, jakim sposobem córka jego znikła, kto był winowajcą, a nadto, że Sara przeszedłszy na wiarę izraelską, została żoną obrońcy starej religii.

Dowiedziawszy się o tem Kaleb, opłakiwał błąd swej córki; postanowił przeto nawrócić ją na wiarę, którą wyznawała w dzieciectwie. Takiem było jedyne pragnienie jego duszy.

Tymczasem Rzymianie nie bardzo zważali na powstanie w Judei, tyle już razy zwalczonej i podbitej; dzięki tej nieostrożności mieli buntownicy czas uzbroić się, dobrze przygotować do wojny i powiększyć wojska, sprzymierzając się nietylko z sąsiadami, ale i z rodakami, rozproszonymi na całym Wschodzie i po wszystkich

prowincyach rzymskich. Rzymianie poznali dopiero doniosłość buntu, spostrzegając, jak szeroko się rozgałęził.

Aby powstrzymać groźne rozruchy, posłał Adryan wodza, Tinniusa Rufusa, który wojował jak prawdziwy rozbójnik, mordując wszystkich, którzy mu wpadli w ręce, nie zważając ani na wiek ani na płeć.

Tak oburzające okrucieństwa zamiast przytłumić powstanie, powiększyły do najwyższego stopnia nienawiść i wściekłość żydów. Sfanatyzowani po mistrzowsku przez mniemanego messyasza, Syna Gwiazdy, a dobrych mając wodzów, mogli łudzić się nadzieją, że wstrzymają zapędy Rzymian. Namioty, rozłożone u stóp gór Bether, zamieszkane były przez doborowych żołnierzy żydowskich.

Kaleb na wieść o zbliżaniu się tej cząstki wójska, z obawy, aby nie wpaść w ręce rodaków, okrutniejszych jeszcze względem chrześcijan, niż dla pogan, opuścił czemprędzej miasto i schronił się wraz z żoną do odosobnionej groty, położonej pośród gór i znanej tylko kilku wiernym jego przyjaciołom. Większa także część chrześcijańskich mieszkańców miasta Bether wyemigrowała do Pelli, miasta położonego na granicy Palestyny, które i pierwej, podczas oblężenia Jerozolimy, udzieliło schronienia uczniom Jezusa.

W ukryciu swem postanowił Kaleb uczynić wszystko, aby zobaczyć córkę, pomówić z nią i dopełnić świętej powinności, nawracając ją na chrześcijańską religię.

Ale nowa boleść dotknęła starca. W chwili, gdy się przygotowywał do spełnienia tych zamiarów, Eufemia, oddawna chora, czując zbliżający się koniec dni swoich, uprzedziła Kaleba, że godzina wiecznego rozłączenia ma dla niej wybić niebawem. Podziękowała mężowi za miłość, jaką jej zawsze okazywał, za pociechę w próbach i nieszczęściach, wreszcie za szczęście, jakie jej zawsze dawał przez swe cnoty i niewzruszone przywiązanie.

— Nosiłam krzyż — powiedziała — za Chrystusem mistrzem naszym, a teraz mam nadzieję, że z nim razem wejdę do wiecznej chwały.

Potem dodała:

— Jako pamiątkę zostawiam ci przyjacielu missyę odwiedzenia naszego dziecka, naszej nieszczęśliwej Sary. Mam tę wiarę i pewność, że Bóg zostawia cię na ziemi, ażebyś mógł wykonać tę świętą powinność.

Ponieważ starzec płakał gorąco i gorzkiemi łzami, rzekła doń jeszcze Eufemia:

— Do ciebie to należał ten czyn. Jesteś tu na twej ojczystej ziemi, znasz wodzów i ducha twego narodu; jestem pewną — dodała głosem natchnionym — że Bóg pozwoli ci spełnić niejeden dobry uczynek i szlachetne przedsięwzięcie.

W następującym dniu zasnęła Eufemia nieprzespanym wiecznym snem sprawiedliwego. Kaleb płakał długo nad martwemi zwłokami świętej swej towarzyszki życia, córki męczennika Gaudencyusza. Pogrzebał ją własnemi rękami w grocie, poczem zaczął przemyśliwać nad dziełem, które miał spełnić. Udał się z tem do młodego pasterza, którego widzieliśmy z nim z początku tego rozdziału. I on był także chrześcijaninem, znał zaś dobrze mało uczęszczane drożynki, któremi łatwo doszli do obozu izraelskiego, sami niewidziani przez nikogo.

Przez kilka pierwszych dni Kaleb, zostawiwszy młodego pasterza w górach, schodził sam na dolinę, starając się odgadnąć namiot Sary. Kilka razy zdawało mu się, że poznaje głos swej córki, lecz lękając się, aby to nie było tylko złudzeniem, tego dnia nakoniec wziął ze sobą młodzieńca. który znał wybornie namiot Hananiego i Sary. Starzec przekonał się, że go nie myliło przeczucie, a dzięki tak szczęśliwemu wypadkowi wzrosły jego nadzieje.

ARTUR GROTTGER.

(Artur Grottger. — Szkic biograficzny przez Klemensa Kanteckiego. We Lwowie 1869).

Każda przeczytana książka zwykła osobne zostawiać wrażenie, jednym nieraz wyrazem dające się określić. Ta nam się wyda zabawną, tamta nudną, ta głęboką, tamta znów powierzchowną. Szkic biograficzny p. Kanteckiego należy niewątpliwie do rzędu książek, które zwłaszcza na miano sympatycznych zasługują. Sympatyczną nam jest i przedmiotem i formą, a braliśmy ją tem ochotniej do ręki, że już nieraz przyszło nam przekonać się, jak umiejętnie p. Kantecki umie wyzyskiwać powierzony sobie biograficzny materyał, jak zręczną ręką nawiązuje pasmo życia, na fragmentach listowań lub dzienniczków oparte, jak artystycznie umie dobierać te właśnie ustępy i urywki, które najlepiej służą do odtworzenia zniknionych z pośród nas postaci. W tym jednak przypadku, miał on za sobą niebezpiecznego rywala. Nie łatwo bowiem mówić o Grottgerze po hr. Stanisławie Tarnowskim, który nieomal przeszedł miarę zwykłego talentu w owem najrzewniejszem studyum

nad jedynym, jak go nazwał, „poetą ostatniego naszego nieszczęśliwego powstania“. Ztąd otwieraliśmy nowy przyczynek biograficzny z pewnem niedowierzaniem, z obawą, ażali jaka fałszywa nuta nie zamąci dawniej odebranego wrażenia, nie przyćmi nam w wyobraźni tej smętnej postaci, którą mamy zawsz przed oczyma, tak, jak nam się zgasły artysta sam przedstawił, kiedy wiedzion przez Beatryx swoją po smutnym padole płaczu, coraz to z boleśniejszym wyrazem bladego oblicza przygląda się z boku strasznym *Wojny* obrazom.... Takim go nam oddał p. Tarnowski, takim nam go zostawia p. Kantecki, chociaż przymnożył szczegółów i rysów dotąd niewyczerpniętych. Z krótkiej a dziwnie wdzięcznej pracy jego wychyla się podobnież ów tęskny młodzian, tak swobodny i serdeczny, zanim mu życie, twarde życie, nie oberwało skrzydeł. Wesołe obrazy lat dziecinnych, pustoty chłopięce ze Lwowa i Krakowa, zamącone są jedynie zbyt cierpkim sądem autora o Stattlerze. Nawskróś Polskim jest młody ten Grottger, tęsknotą i wesołością swą na przemian. Koleżeńskie czasy, koleżeńskie życie w Krakowie niejednego dostarczyło pociągającego rysu opowiadaniu p. Kanteckiego, kiedy np. Grottger, z którymś z towarzyszów „wybiegał na studya pod Zwierzyniecki klasztor, gdzie rysowali różne widoki a potem w długie księżycowe wieczory chodzili, dumali, a pod wpływem rojeń, co im rozrywały pierś młodzieńczą, rzucali się sobie nawzajem w objęcia, i płakali, sami nie wiedząc czemu....“. Owo usposobienie Grottgera przypomina nam jeden z najpiękniejszych ustępów z listów Ojca Lacordaire, kiedy w tych słowach określał młodzieńcze wzruszenia:

„Zaledwie lata nasze w ośmnastej rozkwitły wiośnie, aliści zaczynamy dręczyć się żądzami, które nie mają na celu ani ciała, ani miłości, ani chwały, ani żadnej rzeczy wyraźniej nazwanej. Błądząc w odludnych samotnościach leśnych, lub wśród tłumów wielkich stolic, młodzieniec w duszy swej czuje nieokreślone porywy; odbiega on od rzeczywistości życia, jak gdyby mu w niej duszno było, a natomiast żebrze u wiatru jesiennego, u obłoków zachodu, u liści zwiędłych jakiej bolesnej rozkoszy i wrażenia, któreby próżnię jego serca wypełniło. Ale daremnie! obłoki mkną dalej, wichry głuchną, liście opadają, nie wytłómaczywszy mu, dla czego cierpi, nie wypełniwszy próżni, której nie starczą już ani łzy matki, ani siostry tkliwość. „Czemu smutną jest dusza twoja?“ zapytałby prorok Pański, i czego się lękasz? Ufaj w Bogu. Albowiem sam Bóg to, nieskończoność Boża porusza sercami dwudziestoletnich młodzianów, tkniętych ręką Zbawiciela, którzy się chwilowo od Niego zbłąkali; nie otrzymując już w ich duszach nadprzyrodzonego odgłosu, owo tknięcie Boże porusza tylko fale, które uciszyć chciało. Kiedy już śnieg nasze czoła przyprószył, jeszcze niekiedy odczuwamy owe dawne wstrząśnienia, wracają te smutne echa, w których starożytni upatrywali znak oczywisty geniuszu, gdy mówili: *Non est magnum ingenium sine melancholia.* Słabnąca dusza, targana życia bólem, zwraca się niekiedy ku wybrzeżom swej młodości, aby łez swych dawnych źródło odnaleźć, a nie mogąc wypłakać się jak dawniej, przynajmniej chwilowo się żywi gorzkiem a drogiem owych łez wspomnieniem“.

Jest coś znaczącego w nasuwającej się tutaj uwadze, iż po całych wiekach niepłodności artystycznej, w chwili, gdy najpoważniejsze głosy orzekły stanowczo, że Polska nie miała nigdy szkoły malarskiej, ani też jej mieć nie będzie, nagle, wśród smutnych cieni doli naszej, wytworzyła się cała plejada

pierwszorzędnych talentów, które niemal wszystkie dojrzewały w Krakowie, w owym skarbcu naszych pamiątek i pomników lepszej przeszłości.

Z Krakowa Grottger przechodzi do Wiednia, a w duszy zabiera z sobą bogaty zasób dobrej woli, poczciwej do pracy ochoty, a mianowicie pobożności. O pacierzu wieczornym codziennie wspomina w dzienniczkn, a potrzeba mu było ukrzepienia, bo owe początki straszną naznaczone są biedą. Głód i chłód, brak funduszów zupełny, osamotnienie wśród nielitościwego miasta; palce odmrożone ledwo ołówkiem władać mogą, centowe cygara mylą głód złudzeniem, że się coś w ustach trzyma, a jednak nie ma skargi, nie ma zniechęcenia. Raz z piersi biednego chłopca wyrywa się okrzyk: „Żeby to moi wiedzieli, jak ja tu bieduję“. A potem znów bolesne, choć niecierpkie słowo: „Bieda na tym świecie, ja go zapomnieć nie mogę, a on o mnie zapomina“! Świat ten miał o nim do śmierci zapominać, skąpić mu chleba za życia, po śmierci dopiero mogiłę wieńcząc zapóźnionemi wawrzyny.

Zrazu mimo trudności przeciąga się to dzieciństwo „sielskie-anielskie“; pobożność nie gaśnie, uczucia na szlachetności nic nie tracą. Ślicznie np. pisze zaraz po przybyciu do Wiednia: „Gadaliśmy o zepsuciu w Wiedniu; i o reputacyi, jaką tu mają Polacy między Niemcami. Paskudna! oj paskudna! Trzebaby się teraz starać ją naprawić, unikając wszystkiego, coby ją zepsuć mogło. Mało nas jest, ale i ja do tych Polaków chcę się policzyć, którzy ich sławę tutaj poprawić mają. Boże! dopomóż mi w zamiarze!“. Piękne to i delikatne uczucie, niby *noblesse oblige* Polaków, chwała Bogu coraz częściej dziś bywa wśród naszej młodzieży obowiązującem hasłem.

Wszakże następuje „wiek męki — wiek klęski“, i to tem boleśniejszy, że obca ręka z umysłu ściera na tej pięknej duszy niewinności pyłek. Doprawdy, gorzki żal wkrada się do duszy, ku temu Anglikowi-Polakowi, który wyraźnie się uwziął na zepsucie czystego młodziana. Dotąd pobożność, miłość rodziny i ubóstwo, trojakim otaczały go pancerzem. Z opowiadania p. Kanteckiego i zapisków artysty domyśleć się można szatańskiej roli, jaką przy nim odegrał ów towarzysz wesoły. Przez niego dostaje się w wir niższych rozrywek, zaniedbuje nauki, traci i ochotę do pracy, a po części i twórczość artystyczną. Jeden z pierwszorzędnych pisarzy francuzkich, Balzac, nieraz wspominał, iż natchnienie i geniusz słabnąć zwykły w stosunku do czystości obyczajów, mniej ściśle przestrzeganej. Ale szczęściem dusza Grottgera rodzimą szlachetnością rychło potrafiła wyrwać się z otchłani, otrząść z kurzawy, wyzuć z mętów odejmujących jej kryształową przejrzystość. Niemniej ta epoka odbiła się w jego zdrowiu i talencie, skróciła może dni pasmo, a w każdym razie zaznaczyła chwilowy geniuszu zastój. Ztąd dla kraju krzywda i strata niepowetowana.

W kilka lat później czystsza atmosfera monachijska, dalej dłuższy pobyt na wsi polskiej, tudzież prawdziwa miłość w miejsce kochliwości lat poprzednich, wszystko to razem składa się na wrócenie Grottgerowi równowagi i podniesienie go na wyżyny, dotąd niedościgłe. A nadto jak łabędź tajemniczy, który najpiękniejszym śpiewem żegna świat i życie; jak lampa, która przygasając, najżywszym błyska płomienlem, tak i Grottger w owych ostatnich miesiącach, które na ziemi miał spędzić, dochodzi do szczytu nietylko artyzmu, ale i poezyi. Boć to poemata prawdziwe, owa *Wojna*, *Lithuania*, *Warszawa*,

zwłaszcza, jeżeli się czyta niezrównanie bolesne i smutne komentarze, zawarte w korespondencyi Grottgera, jeżeli się wspomni, że on to rysował po 1863 roku, że brata miał w Sybirze, że przez dom rodzicielski przeszły te klęski i te nieszczęścia, które są chlebem powszednim Polaków.

Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał,

odzywał się Słowacki, a tak samo patrząc na dzieło Grottgera, na tę bolesną epopeję, uwieńczoną jego ołówkiem, wiemy, czujemy, ile on musiał cierpieć ile cierpiał, aby tak rysować! Tej najdrażliwszej struny jego natchnienia nasz biograf nie potrąca wcale, przynajmniej wyraźniejszem słowem jej nie dotyka, bo snadź pisał dla całej Polski, chciał wniknąć za mur chiński rossyjskiej cenzury, a wiedział, że żadnego nie potrzeba słowa, aby serca polskie odczuły i zrozumiały cyklus utworów Artura... Ztąd ta luka, ta próżnia w opowiadaniu, ma swą właściwą wymowność, swe znaczenie i doniosłość swoją, którą każdy odgadnie.

Z pracy p. Kanteckiego wysnuwamy dwa wnioski i dwa życzenia. Raz z urywków przytoczonych, domyślamy się, iż wiele jeszcze pozostaje rozpierzchłego, piśmiennego materyału po Grottgerze, o który upomnieć się dla szerszej publiczności mamy ochotę, bo własne jego słowa najlepiej pozwalają wniknąć w jego ducha i zrozumieć jego dzieło. Powtóre z nomenklatury obrazów i rysunków w różnym dokonanych czasie, spostrzegamy, jak wiele utworów Grottgera rozprószyło się po świecie, bez należytego uznania a nawet poznania. Alboż za srogą obojętność, której padł ofiarą, boć niedostatek i zwątpienie przyczyniły się do skrócenia dni jego, nie należałoby dziś wynagrodzić pomnikiem chwały, zbiorem całego artystycznego plonu, jaki po sobie zostawił? czy kraj, który posiada już album Matejki, nie powinienby się zebrać na album Grottgera? Obyśmy tego doczekali jak najprędzej. Prace pp. Tarnowskiego i Kanteckiego są nam rękojmią tej czci pogrobowej, której już Grottgerowi nie zbraknie.

Trzymając się wyłącznie biograficznego kierunku, p. Kantecki nie wdaje się w estetyczne oceny talentu i rysunków Grottgera, ale przytacza dość dziwny szczegół z jego pobytu w Wiedniu: za przybyciem do stolicy, po obejrzeniu wszystkich galeryj, Grottger najwięcej ma pociągu do szkoły Flamandzkiej i Weneckiej. Upodobanie to, co najmniej anormalnem się zdaje właśnie w artyście, który raczej dusze, aniżeli cielesne kształty rysował, a który rzadko do farb się uciekał, ograniczając na kredce. A jednak tu go zachwycały materyalne piękności ciał flamandzkiej szkoły i świetny wenecki koloryt. Podobne kontradykcye znachodzą się często w artystach; u tych zwłaszcza, którzy mają dość indywidualnego talentu, aby sobie później wykształcić niepodległy talent.

Wdzięczność prawdziwa należy się p. Kanteckiemu za książkę, która trafi odrazu do domów i serc polskich. Jeżeli zaś krytyce odezwać się godzi, to chyba dla tego, aby wytknąć jeden błąd, a może tylko jedno osobiste recenzenta wrażenie: otóż w niniejszym szkicu biograficznym, życzylibyśmy więcej jeszcze widzieć szczegółów o twardych latach biedy i trudu, więcej rysów niezrównanych do genezy myśli i ducha artysty, więcej do jego rysunków komentarzy, a mniej błahych wiadomości o przelotnych miłostkach ko-

chliwego malarza. Szczęść Boże, tej miłej, sympatycznej nad wyraz książeczce! Niech idzie wszędzie, gdzie poszły rysunki Grottgera! uzupełniając dziejami człowieka, to, co znano dawniej z myśli artysty. *N....*

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

Korespondencya Zebrzydowskiego: Acta historica res gestas Poloniae illustrantia ab anno 1507—1795. Tomus I. Andreae de Więcborco Zebrzydowski, Eppiscopi Vladislaviensis et Cracoviensis Epistolarum libros ab anno 1546—1553 continens. Kraków 1878 in 4-to, str. 556.

Mamy przed sobą spory *volumen*, ogłoszony staraniem krakowskiej Akademii umiejętności nauk, pracą członka jej, znanego z kilku dzieł bibliograficznych Dr. Władysława Wisłockiego. Jestto siedmioletnia korespondencya jednego z głośnych prałatów i wpływowych senatorów rzeczypospolitej XVI wieku, biskupa Zebrzydowskiego. Dodane są akta synodów 1547, 1551 r. i kilkanaście innych współczesnych dokumentów. W jaki sposób publikacya niniejsza wchodzi w ramy programu, przyjętego przez komisyę historyczną Akademii Umiejętności, o tem poucza nas łacińska przemowa Dr. Szujskiego. Powiada w niej, że Akademia zamierza wydawać dalszy szereg historyków polskich *(Scriptores rerum polonicarum)*, równocześnie zaś jako dalszy ciąg świeżo wydanych (*Medii aevi documenta) Dokumentów średniowiecznych*, zapowiada ogłoszenie *Aktów historycznych*, objaśniających dzieje Polski od wstąpienia na tron Zygmunta I, do trzeciego rozbioru 1507—1795 r. Dlaczego te *Acta historica* rozpoczynać się mają od *Korespondencyi Zebrzydowskiego z lat 1546—53*, dlaczego wnet po niej ogłoszoną ma być korespondencya Hozyusza, a znów po niej akta, odnoszące się do panowania Jana Sobieskiego, tego z przedmowy p. Szujskiego, zbyt może lakonicznej, nie dowiemy się; mniemamy tylko, że Akademia pragnąc korzystać z dogodnej pory, ogłasza dokumenta, które ma pod ręką; lukę między 1507—46, i znów od śmierci Hozyusza 1579 do wstąpienia na tron króla Jana 1674, zapełni później, a może jej nie zapełni nigdy. Ztąd z góry przewidzieć można, że ten achronistyczny i przypadkowy rozkład *Aktów historycznych*, gdy np. dokumentów szukać wypadnie w IV lub V tomie tej publikacyi, a one powinny się znajdować w I, przysporzy niemało trudu i fatygi tym, którzy z tej, treścią i rozmiarami poważnej publikacyi, skorzystać pragną. Ale są braki, których mimo najszczerszej woli i świadomości o nich, uniknąć nie zawsze podobna.

Druga przemowa, napisana po polsku piórem Dr. Wisłockiego obszerna, bo na 10 stronicach in 4-to, bogata w bibliograficzne szczegóły, opowiada nam genezę tej publikacyi *Listów Zebrzydowskiego*, i rzuca niejakie światło, niestety nie nader korzystne na samegoż ich autora. Idąc za Niesieckim, historycy nasi uważali Zebrzydowskiego

za jednego z gorliwszych biskupów Polski; upoważniało ich zresztą do tego kilkakrotne, dosyć energiczne, na owe czasy prawie wyjątkowe wystąpienie jego przeciw religijnym innowatorom i mowa w obronie biskupiej władzy wydana. Tymczasem współcześni, jak Górnicki, Reszka, Lubieniecki, widzieli w nim tylko ambitnego, a zdolnego intryganta i chciwego bogactw prałata, który o tyle tylko chciał i umiał być gorliwym biskupem, o ile to w jego ambitne a łakome plany wchodziło. Niestety 815 listów z 1546—1553 roku tego kreacyi królowej Bony biskupa, kilkanaście innych od 1553—1560 roku dokumentów, zdają się potwierdzać w zupełności ten surowy sąd współczesnych. „Podstaw do takiego potępienia, powiada p. W. i to bezwzględnego, dostarcza zbiór listów jego aż nadto, żeby je tu szczegółowo wyłuszczać trzeba było, na obronę zaś jego daje się z nich chyba ta jedna, łagodząca poniekąd okoliczność przytoczyć, że i inni biskupi ówcześni, z małym bardzo wyjątkiem nie byli lepsi od niego, choć żaden z nich nie dorównywał mu ani dostatkami, ani nauką, ani sprytem i obrotnością“ (str. XIII). Nie ten jednak był cel wydawcy i komisyi hist. Akademii: sprostowanie lub wydanie sądu o Zebrzydowskim. „Nie jako materyał do biografii jednego biskupa, ale jako charakterystyczną ilustracyą do dziejów religijnych, kościelnych, politycznych i moralnych, środka XVI w., do poznania ludzi wybitnych ostatnich Zygmunta I i pierwszych lat Zygmunta Augusta, do usposobienia dworu i kół dworskich, do stosunku naprężonego, jaki między upadłym episkopatem, a stokroć lepszem duchowieństwem kapitulnem i parochialnem istniał, do tem lepszego ocenienia zasług tych, którzy Kościół i episkopat w Polsce dźwignęli i do dawnej przywrócili świetności, do wyświecenia tysiącznych rysów obyczajowych i cywilizacyjnych tego czasu, wydanie korespondencyi Andrzeja Zebrzydowskiego wydało się pożądanem i koniecznem. Koniecznem jest poznać z bliska tę atmosferę, pozbawioną w życiu moralnem wszelkich zasad, przejętą błyskotkami wybujałego nadto i niezdrowego już humanizmu, zbytkiem i wytwornością; atmosferę, w której czuć *Il principe* i *Mandragorę* Machiavella, skłonną też podniecać stosy dla różnowierców [1]) w imię egoistycznego społecznego konserwatyzmu, a w gruncie pozbawioną wiary i religii, aby zrozumieć niesłychanie u nas szybki pożar reformacyi, nadewszystko zaś, aby zrozumieć całą moralną wartość tych, co we własnym kościele z tak wielkiem złem walczyć musieli, co temu złemu odważnie stawili czoło, używali przeciw niemu środków stanowczych i tym sposobem w wieku Zebrzydowskich i Uchańskich wywołali Hozyuszów, Kromerów i Karnkowskich. Potrzeba jasnego i dosadnego oznaczenia stopnia, jaki złe osiągnęło, aby właściwe dać miejsce i ocenienie objawom dodatnim, potrzeba zaś szczególniej do dziejów wieku XVI, który więcej prawie jak którykolwiek inny, zamazany został utartemi komunałami, rozszerzonymi przez historyografią, nie opartą na podstawie źródłowej“ (str. XIII, XIV).

---

[1]) Ileż to było takich wypadków na cały wiek XVI w Polsce? Za wiele tu powiedziano.

Rzecz nader ciekawa, że przez lat prawie 50 korespondencye Zebrzydowskiego figurowały w katalogu rękopisów biblioteki Jagiellońskiej, jako: *Hosii Stanislai epistolae*, jako listy Hozyusza! Nagłówek ten położył na rękopisie „uczony“ Czacki dodając, że przepisywaczem onych listów był Reszka, że prawie wszystkie są już drukiem ogłoszone, oryginały zaś ich znajdują się w klasztorze Jędrzejowskim. Takie *qui pro quo* osłabia niezmiernie wiarę w „uczoność“ tak głośnych ludzi, jak np. Czacki, bo dowodzi albo niepojętej ignorancyi historycznej, albo równie niepojętej pobieżności i lekceważenia tych, którzy w powagę „uczonych“ wierzyć przywykli. Duch Hozyusza jakże niepodobny do ducha Zebrzydowskiego; ten głównie zajęty doczesnością, zabiegami i sporami o wsie, kamienice i dziesięciny, rekomendacyami zawsze interesowanymi swoich niby przyjaciół i powierników, płaszczący się aż do ckliwości przed „młodym“ królem i „starą“ królową — tamten tchnie żarliwością o sprawę chrześcijaństwa i ledwo z musu tu lub ówdzie dotyka spraw światowych. W samym zresztą zbiorze znajdują się listy do Hozyusza, np. list 66, w którym mu donosi o swojem arcyhonorowem przyjęciu i chwilowem zażegnaniu religijnych sporów w Gdańsku 1546, i taż sama rzecz niemal temi samemi słowy opisana w listach do króla, królowej, biskupa krakowskiego, Maciejowskiego i innych. Jakżeż więc Hozyusz pisać mógł do Hozyusza o tem, co Hozyusz zrobił. Snać więc „uczony“ Czacki nawet nie przeglądnął onych listów, i zbyt pewny siebie, idąc za natchnieniem czy przewidzeniem, zawyrokował niedorzecznie, że to listy Hozyusza.

Za to Dr. Wisłocki, studyując ów rękopis z drobiazgową skrupulatnością, wezwawszy pomocy archiwów i biblioteki 10 mężów uczonych, którym też publicznie za oną pomoc dziękuje, przyszedł do następujących rezultatów:

1) że to są listy biskupa Zebrzydowskiego;

2) że redaktorem ich był długoletni sekretarz tego biskupa, później biskup inflancki, Jędrzej Patrycy Nidecki, niepospolity latynista drugiej połowy XVI wieku, Andrzejem Patrykiem, także Andreas Patricius zwykle nazywany;

3) że zwyczajem ówczesnych sekretarzy pozostawiał sobie odpisy listów w kopiaryuszu, który z czasem mógł urość do kilku tomów, i zachował go po śmierci Zebrzydowskiego († 1560) przy sobie jako pracę swoją i pamiatkę zarazem po swym dobroczyńcy znów aż do swej śmierci, która 6 lutego 1586 w Wolmarze nastąpiła;

4) że niedługo potem z tego oryginalnego kopiaryusza uskutecznioną została przez niewiadomego kopistę Polaka niniejsza kopia, miejscami niepoprawna i nie zawsze podająca datę listu. P. Wisłocki zadał sobie mozolną pracę odgadnięcia z wielkiem prawdopodobieństwem dat brakujących. Ażeby zapełnić lukę z młodszych lat i ostatnich 7 lat życia Zebrzydowskiego „dla zaokrąglenia materyału źródłowego“, ogłosił p. W. jeszcze 51 innych nader ciekawych, częścią listów, częścią aktów publicznych z tej właśnie niezapełnionej epoki, obja-

śniających ogłoszone już listy. Słowem, pod względem bibliograficznych objaśnień, staranności wydania i korekty druku, oddać należy uznanie pracowitemu wydawcy. Dotkliwie jednak czuć się daje brak jednej formalności, która we wszystkich publikacyach tego rodzaju koniecznie zachowaną być powinna, a która tutaj nie wiem już dlaczego, opuszczoną została. Oto brak tym listom tego, co starzy nazywali *elenchus rerum*, nagłówku streszczającego myśl i przedmiot listu, umieszczonego albo na początku, albo na marginesie stronicy. Formalności tej dopełniali starannie np. rozliczni wydawcy listów Cycerona w XVI i XVII wieku, albo za dni naszych ś. p. ks. Theiner w *Monumenta regni Pol. et Lith.*, a świeżo teraz O. Martinow w nowem wydaniu Rostowskiego, *Lithuanicarum Soc. Jesu Historiarum libri decem Bruxellis 1877*. Niezmierne to ułatwienie w poszukiwaniach, i mojem zdaniem należałoby bądź co bądź sporządzić taki *elenehus rerum*, włożyć go zaraz po rejestrze listów str. XXII, inaczej kosztowna publikacya traci niezmiernie na swej praktyczności.

Aby dać czytelnikowi choć słabe pojęcie o duchu, stylu i treści arcybogatej korespondencyi Zebrzydowskiego, przytaczamy z niej kilka charakterystycznych listów.

Do króla Zygmunta z Tucholi 1546, skarży się, że go wraz z dworem wpuścić do zamku nie chciał burgrabia Cema.

„Uważam za mój obowiązek donieść WKM., jak wielce byłem oburzony jako Polak, senator i biskup, gdy przez Tucholę przejeżdżałem. Nie jestto bowiem zniewaga tylko prywatna, ale wszystkiego stanu (senatorskiego). Chciałem wejść do zamku, nie jako w cudzej Rzeczypospolitej przybysz ciekawy, ale jako obywatel w swojej gorliwy, a nie miałem w towarzystwie, jak tylko kilku służby i dworzan. Wzbroniono mi wstępu, gdy stałem już u bram. Komuż z Małopolan wstępu nie wzbronią, jeżeli mnie wzbroniono? Sam zaś zwyczaj wzbraniania wstępu, lękam się, aby tak się nie rozpowszechnił, że wszystkim a nawet WKM. wejść do zamków pruskich nie będzie wolno. Ja tego Cemę, zamku onego komendanta, już dawno na dworze WKM. miłuję, mniemam jednak, że usługi Prusaków, WKM. wyświadczone, w każdy inny sposób należy wynagrodzić tylko nie prefekturą zamków, których to zamków nasi przodkowie nie bez krwi rozlewu dostali. Podejrzana to niedawno była rzecz, gdy widziano Prusaków dobijających się o starostwa swoich zamków, a odpychających nasz naród — co teraz sądzić należy, gdy Polaków odepchniętych od zamkowych starostw, od samego do nich wstępu odpędzić usiłują? Wszystko to zostawiam zdaniu, siebie zaś łasce i łaskawości WKM., za które zdrowie codziennie do Boga się modlę“ (list. 87).

Rozdrażniony ton listu do króla przestraja się w wybuchy gniewu i łajanie, gdy wygurowana duma biskupa senatora w czemkolwiek była zadraśnięta. Nader zręcznie tłómaczy się z zarzutu, o luterstwo przed królową Boną, i biskupem Maciejowskim. Zarzuty opierały się na tem, że Zebrzydowski jako biskup kujawski nader po przyjacielsku przestawał z magistratem Gdańska, sprzyjającym widocznie nowin-

kom religijnym, w wizycie klasztoru Kartuzów (było tylko 3 zakonników) i Cystersek (były 2 tylko) główne staranie łożył koło ich majątków, których zarząd oddał swoim kreaturom; osadził wprawdzie na kaznodziejstwie Dominikanina, ale zresztą na innowacye religijne patrzał przez szpary. Uniewinnia się z nich mimochodem: „Wiem pisze do Bony, że doniesiono mnie, jakobym utwierdził Gdańszczan w nieposłuszeństwie przeciw Stolicy św., i dał im luterskiego kaznodzieję. Niech raczy wiedzieć WKM., że nietylko nie uczyniłem tego, ale owszem wiele trudu poniosłem" itd. Do biskupa krakowskiego zaś, dziękując za pośrednictwo w jego sporze z kapitułą krakowską i prosząc o dalszą pomoc, dodaje: „Niech się jednak nie wydaję Wielebności Twojej mniej miłym, że mnie tam za Lutra i jego sekty patrona udano; ja bowiem, której się wiary dzieckiem nauczyłem, w tej pozostaję mężem, i pozostanę starcem. Nietylko zaś, że nie byłem patronem tych, którzy się przeciw Kościołowi Rzymskiemu oświadczyli, ale owszem świeżo teraz wiele trudu w Gdańsku poniosłem. Nie chełpię się z prac swoich przed WT. — jak wielkie one były, możesz sam osądzić, boś sam niedawno temu doświadczył zuchwałości tych ludzi" (list 93). Wprost zaś i bez żadnych omówień, ale stanowczo tłómaczy się z tego zarzutu przed starym Zygmuntem (list 92), z oburzeniem odpycha i protestuje przeciw podobnym przymówkom przed Hozyuszem; „Ja miałem Lutra głosić! Luterskiego kaznodziei nie postawiłem tam nigdy, owszem silnie i odważnie i z niemałym trudem oparłem się, aby nie dano Lutra" (list. 95). Jakoż rzeczywiście spadły gromkie słowa biskupa na zuchwałych Gdańszczan, grabieżących dobra klasztorne, sprowadzających luterskich predykantów: „Boleję nie nad moim losem, bo władzy mojej i praw klasztorów najprzód na drodze potem łaską i powagą króla bronić będę, i gwałt gwałtem odeprę, prawa, ale nad losem waszym.... Dyonizego (Dominikanina) od kaznodziejstwa odpędzają, którego ja ustanowiłem, wy to pochwalacie. Bluźniercom urząd ten oddany, wbrew woli Boga, wbrew woli króla, wbrew waszej przysiędze, a mojej biskupiej powadze. Jeżeli więc owemu Krzysztofowi i drugiemu przy kościele św, Jana kazań nie wzbronicie, to ja powagą biskupią wzbronię, a gdy tej nie uszanujecie, do króla rzecz doniosę, ostateczności się chwycę. Resztę powie wam w mojem imieniu p. Dominik Kamiński, jego macie słuchać i jemu wierzyć" (list 109). Urażeni do żywego Gdańszczanie uciekają się o pomoc do wojewody pomorskiego St. Kostki, do biskupów chełmińskiego i pomorskiego, skarżąc się na pogwałcenie wolności pruskich, gdy administratorami dóbr klasztornych są Polacy, nie zaś rodowici Prusacy. Kostka uzyskał z kancelaryi królewskiej mandat na rzecz Gdańszczan, wpadł z zbrojną siłą do onych dwóch klasztorów, Zebrzydowskiego, ludzi i księży wypędził, a dawnych gdańskich administratorów instalował. Zebrzydowski wystosował szereg listów do króla, królowej i możnych u dworu panów, wyprawił tam nawet swego komisarza; skarżąc się na zniewagę biskupiej władzy i narodowości polskiej krzywdę, ale gniew swój i oburzenie wylał na podkanclerzego, biskupa Maciejowskiego, pod którego pieczęcią ów mandat na rzecz Gdańszczan

do wojewody Kostki wysłany został. „Chociaż boleść, jaką mi WT. sprawiłeś, nie dozwalała mi pisać, ale owszem o swoim ratunku myśleć radziła, to jednak zwyciężyła ta cześć, jaką mam dla WT. i pisać list ten kazała“. Tu poucza go, że obowiązkiem podkanclerza jest bronić powagi biskupiej nawet wobec króla, nie zaś kompromitować ją wobec zuchwałych mieszczan. Tembardziej powinien to uczynić Maciejowski, pomny na dobrodziejstwa odebrane od Tomickiego, którego wnukiem (wujecznym) jest Zebrzydowski. Tymczasem „wydane zostały z kancelaryi WT. listy człowiekowi zuchwałemu a popularnemu (Kostce), przeciwne juryzdykcyi mojej w kościele pomorskim, który już od 600 lat do biskupów kujawskich należy, wydane albo wbrew woli króla, którą jeszcze teraźniejszemu Prymasowi, gdy był kujawskim biskupem (Mikołajowi Dzierżgowskiemu) w swym liście oznajmił, albo wbrew jego zatwierdzeniu, które niedawno za wiedzą WT. do Gdańszczan przesłał. Stało się więc, co się stać nie było powinno. Wyrzucono moich starostów z klasztorów gwałtem i siłą zbrojną, co tylko buntownikom i wichrzycielom publicznego spokoju wydarzać się zwykło... Po wypędzeniu moich starostów, wypędzono moich księży z miasta.... Jeżeli mojej sprawy słuszność i wzgląd na mnie nie wystarczał, aby z kancelaryi WT. owe listy nie wyszły, to wzgląd na spokój Rzeczypospolitej, i na przysięgę jego wymagał, aby ta sprawa najprzód do mnie odniesioną została; jużbym ja był dokazał tego, aby bez tumultu i takiej niegodziwości starostowie moi z klasztorów ustąpili“. Po długiej w tym tonie reprymendzie tak list kończy: „Na teraz o nic innego nie proszę, tylko o to, aby WT. tak jak powagę i jurysdykcyę moją wydałeś w ręce i lekkomyślność profanów, i umniejszyłeś ją nie mało, tak teraz, abyś obmyślił sposób wydobycia jej z rąk ich i zupełnego przywrócenia. Tego domaga się Kościół Boży, tego Rzeczpospolita nasza, tego obowiązek WT., tego wreszcie moje do WT. przywiązanie, od którego nie odstąpię, chyba jawnym gwałtem zmuszony“ (list 162). Wojewodę Kostkę zaś powołał Zebrzydowski przed swój sąd biskupi, a gdy się ten nie stawił, zagroził karą kościelną.

Z prymasem Dzierzgowskim popadł nasz biskup w sprzeczkę nie lada. Prymas bowiem obłożył go cenzurami kościelnemi za nieprawne zajęcie wsi Lasnow kustoszowi wolborskiemu ks. Janowi Otha. Biskup rozżalony pospieszył ze skargą na Prymasa do „wspólnej nas obydwóch, jak się w swym liście wyraża, patronki“, królowej Bony. „Wypuścił on (Prymas) na mnie piorun swoich cenzur, ale jakich? jakich wiek dawnych naszych, roztropnych a świętych arcybiskupów nie widział przedtem. A na kogo? na mnie, nad którego prawie nikogo nie miał równego sobie, nikogo gotowszego na jego usługi... Ponieważ wiem, że nasze obopólne spory arcyniedogodne są WKM., proszę, niech WKM. do tego człowieka list napisze, z którego mógłby poznać, że WKM. potępia to, co on uczynił, i pragnie pokoju mego i obopólnej naszej zgody“ (list 292).

Przeważną część tej korespondencyi policzyć należy do tak zwanych u Kwintyliana *listów polecających*. Biskup Zebrzydowski polecał

swoich przyjaciół gorliwie i wielu osobom naraz, ale nigdy bezinteresownie, a przy lada sposobności wymawiał swoje usługi. Niemało też listów pisanych w „złym humorze", biskup bowiem, dziedziczny pan wielu majątków, *usufructuarius* znacznych dóbr biskupich, wybornym był gospodarzem, chętnie przysparzał dochodów, pilnie swoich praw nawet w drobnych rzeczach dochodził nawet tam, gdzie tych praw nie zawsze mógł dowieść, a w odbieraniu dziesięcin był nieubłagany. Ztąd spory z kapitułą krakowską i kapitułą kujawską o wsie, kamienice, grunta, o sianożęcie, o kuchnię, o lekarza, o książkę kancyonału; spory z miastami, panami, ze szlachtą i plebanami, o dziesięciny, o konia okulawionego, o woły zajęte, o kawał zaoranego pola. Ztąd procesy, termina sądowe, wysyłanie na nich swoich pełnomocników, a zawsze z listami rekomendacyjnemi do pierwszych dygnitarzy, do królowej Bony nawet, o rzecz często błahą. Ztąd taka mnogość listów w tak niedługim czasie, a w wielkiej części niesmacznych i niebudujących. Ztąd też wreszcie głos opinii, zarzucający biskupowi brudną chciwość, głos, który doszedł aż do królewskiego dworu. „Niezmiernie mnie zmartwiło, pisze, tłómacząc się, do królowej Bony, co z ust Wawrzyńca Kierskiego (dziekana kujawskiego) słyszałem, że WKM. tego o mnie jest mniemania, jakobym na biskupstwie odmienił obyczaje i stał się łakomym na cudze rzeczy. Uniewinniać się wiele przed WKM. nie mogę dla wielkiego żalu.... Jeżeli to łakomstwem jest, chcieć poznać stan swego majątku, bronić tego, co się ma, odzyskać co zostało zatracone, nie chcieć uchodzić za głupca, albo za leniucha, to i WKM. i wielu innych winni będą tego występku — ale złośliwi oskarżają o przywłaszczenie cudzego mienia, dobrzy zaś wysławiają i dziękują temu, kto królewskie dobra z rąk obcych wydobył" (list 295).

Kilka tuzinów listów odnosi się do spraw publicznych, do sejmików i sejmów. Są to odpowiedzi zwięzłe i rady senatorskie na zapytanie królewskie w zawikłaniach z dworem cesarskim, i w „sprawie wschodniej", która już podtenczas obejmowała Turcyę, naddunajskie prowincye, Polskę, Węgry, a nawet Moskwę. Z czasów bezkrólewia i pierwszych miesięcy rządów króla Zygmunta Augusta napotykamy charakterystyczne listy do Bony. Popadł w jej chwilową niełaskę Zebrzydowski, podejrzany o popieranie małżeństwa króla z Barbarą. Wprawdzie młody król zwierzył się jeszcze na sejmie 1547 r. kilku senatorom a między nimi i Zebrzydowskiemu z tem swojem tajemniczem małżeństwem, ale Zebrzydowski miał tę roztropność, że tego związku nie pochwalił, ale też i nie zganił, nie narażając się przez to ani młodemu królowi, ani królowej matce. To też niezadługo łaska Bony wróconą mu została. Uradowany tem pisze: „Nader miłym gościem zawitał do mnie Jan Kroczewski, sekretarz WKM., tak, że milszego gościa od bardzo dawnego czasu nie miałem i mieć nie mogłem. Łaskę bowiem WKM., którą przez nieroztropność utraciłem, wniósł mi najzupełniej odzyskaną do mego domu.... Zawsze służyłem WKM. z największą ochotą, i służyć będę, dopokąd życia stanie. i żadne okoliczności i czasy tego mego postanowieniu nie od-

mienią...“ (list 407). Zygmunt August rad, że potężny swym wpływem biskup-senator nie bruździł w tej najdroższej jego sercu sprawie, powierzył mu poselstwo do siostry swej Izabeli Zapolii, księżnej Siedmiogrodu, aby ją albo wraz z małoletnim synem do Polski z honorem odprowadzić, albo, pogodziwszy Siedmiogrodzkich panów, mianowicie namiestnika księztwa, biskupa waradyńskiego „mnicha“ Jerzego Martinuzzi z banem Piotrem Piotrowiczem, zabezpieczyć jej i synowi rządy nad tem księztwem. Wybrał się nasz biskup wraz z kasztelanem wiślickim, p. Mieleckim, w 200 koni i z muzyką nadworną do Białogrodu w lutym 1549 r., a wrócił do Krakowa w czerwcu t. r. Relacyę tego poselstwa podaje w listach do króla, i do biskupa Karnkowskiego. Znosił się listownie z Izabellą i owym mnichem-namiestnikiem, o którego talencie dyplomatycznym tak się nasz biskup w liście do króla wyraża: „Byłem w Waradynie, mówiłem z biskupem, i przekonałem się, że to tak zręczny człowiek, jak nam go w kraju przedstawiano; ale Bogu dzięki, zręczności jego dorównywa mój talencik *(ingeniolum meum)*. To tylko robi dla mnie, czego gdyby zrobić zaniechał, ściągnąłby na siebie naganę wszystkich; chętnie zaś przechwala się z swego talentu, nieujętego granicą żadnej bojaźni, żadnego wstydu“ (list 431).

Sprawom religijnym poświęconych kilkanaście listów. P. Wisłocki umieścił *in appendice* szereg listów naszego biskupa do kardynała Puteusza i do Stolicy św., do kapituły krakowskiej z ostatnich lat życia biskupa, tudzież nader ciekawe, niezmiernie pouczające, ale też nad wszelki wyraz smutne akta, dotyczące synodów łęczyckiego 1547 i piotrkowskiego 1551, które pouczyć mogą o religijnem usposobieniu naszego biskupa. Powiedzieliśmy, że współcześni a z nimi i szanowny wydawca niniejszej korespondencyi, nie chcą widzieć w czynach religijnej żarliwości biskupa Zebrzydowskiego, rzetelnej cnoty, jeno podsuwają jej, acz nie bez podstawy może, cele światowej ambicyi i chciwości. *De internis non judicat praetor.* Historya powinna być nader ostrożną w wydawaniu sądu o wewnętrznych intencyach, zamiarach i religijnych przekonaniach ludzi, których czyny opowiada. Nic łatwiejszego jak pomyłka na tym punkcie. Biskup Zebrzydowski, sądząc go według jego listów do kardynała Puteusza i do Stolicy św., żywił najgłębszą cześć i przywiązanie do katolickiego Kościoła, a jako dowód posłał do Rzymu akta swego procesu przeciw mieszczaninowi krakowskiemu Krupce, przeciw kilku księżom, zwolennikom nowinek, przeciw wpływowemu Decyuszowi, utrzymującemu w swej Woli justowskiej całe kolegium różnowierczych predykantów, posłał i swoje dwie oracye miane wobec króla: jedną o wytępieniu herezyi, drugą o władzy biskupiej. Prawdą jest, że przy końcu tych gorących oświadczeń napotykamy równie gorącą prośbę o przysądzenie mu na lat 10 dziesięcin papieskich, ażeby z nich mógł utrzymywać uczonych a gorliwych obrońców katolicyzmu, którzy tem chętniej do dzieła się wezmą, gdy ujrzą „*fructum suorum laborum*“ i drugą także gorącą prośbę o zarząd majątków klasztornych; prawdą jest, że na synodzie piotrkowskim 1551 kapituła krakowska zarzucała mu obok

braku moralnej cnoty, brak wiary, „*et quod cogitatu dictuqe horrendum est, atheum nulliusque religionis ac fidei esse*“ (koresp. Zebrzyd. str. 481), a w kilku listach swoich, na krótko przed smierśmiercią biskupa, strofowała go surowo o zaniedbanie biskupich obowiązków; prawdą jest, że na tymże synodzie piotrkowskim 1551 odpowiadając na one sławne *interrogatorium*, ułożone przez Hozyusza, sam biskup Zebrzydowski przyznał się, że miał u siebie luterskie książki, a mszę św. dwa razy tylko w tym roku odprawił (tamże str. 503 i 504), ale to wszystko jeszcze nie wystarcza, aby go odsądzić od wiary i uczciwych rzetelnych intencyj służenia Kościołowi; tembardziej, że biskup ani prywatnie ani publicznie nie wystąpił z żadną mową przeciwną nauce katolickiej wiary, w obronie zaś jej i słowem i piórem i czynem szermierzył; na synodzie piotrkowskim wyznanie wiary według przyjętego formularza uczynił; wymierzone przeciw sobie w tej mierze zarzuty z żywością i oburzeniem odpychał, nowinkarzy i podejrzanych o wiarę do boku swego nie przypuszczał, a nawet one luterskie książki spalić publicznie przyrzekł. Najsurowiej rzecz biorąc, z onej „korrespondencyi“ wywnioskować chyba to jedno można, że do przekonań i motywów religijnych przymieszało się coś z wrodzonych wad charakteru biskupa, który, jak bardzo wielu spółczesnych mu prałatów i świeckich panów, współpochopny był do świeckiej wystawności, pociągającej za sobą znaczne wydatki pieniężne a więc i potrzebę coraz to nowych dochodów.

Na tem ograniczamy naszą literacką wzmiankę o „korrespondencyi Zebrzydowskiego“ tak bogatej i różnobarwnej co do treści, a tak obszernej, że samo jej przeczytanie zajęło dwa tygodnie czasu, po kilka godzin dziennie czytając.

St. Załęski T. J.

DWIE MOWY OJCA ŚW.

I. O wykładach w kollegium rzymskiem. — **II.** Do stowarzyszenia interesów katolickich w Rzymie.

Dziwnie wstrzemięźliwe a pracowite życie Leona XIII uznać musiały nawet niechętne Kościołowi dzienniki. Obok nieustannych zajęć, wynikających z zarządu Kościołem, znajduje jeszcze czas na przyjmowanie licznych deputacyj; udziela posłuchania Biskupom; uczeni cisną się do stóp Jego, by zaczerpnąć rady, uzyskać wskazówkę w pracy na pożytek Kościoła; młodzież szkolna zbiera się, by z miłością przepełnionego serca wylać uczucia czci i przywiązania, a w zamian z błogosławieństwem Ojca chrześcijanstwa otrzymać naukę na całe życie; znakomici cudzoziemcy oświadczają Leonowi XIII też same uczucia niekłamanej czci i miłości, jaką otaczali Piusa IX. Dla wszystkich ma Ojciec Św. słowo zachęty, rady i pomocy. Nie sposób wyliczać wszystkich tych, co dzień ponawianych audyencyj, podawać wszystkich przemówień, w których głęboka nauka tak zgodnie idzie w parze z serdeczną słodyczą, a wielkie poglądy dla uczonych, z ojcowską radą i nauką dla maluczkich. Podajemy tu dwa niedawne przemówienia Leona XIII.

czność; ale i dla tego, by miasto mniemanej, a z imienia tylko nauki, nieprzyjaznej wierze i rozumowi, a szeroko dziś rozgałęzionej po szkołach, przeciwstawić prawdziwą, na niezwalczonych zasadach opartą, odpowiednią metodą wykładaną, a zgodną, jak słuszna, z wiarą i objawieniem.

Tą zaś prawdziwą nauką, nie inna jest, zdaniem naszem, jedno ta, która od Ojców Kościoła wyszła, w doskonałą całość przez scholastycznych Doktorów, zwłaszcza zaś książęcia ich św. Tomasza z Akwinu ułożona, przez Sobory powszechne i Rzymskich Papieży, wielkiemi pochwały zaszczycona, przez długie wieki była wzorem i normą wykładu po katolickich uniwersytetach i gimnazyach. Takiej to nauce, w interesie postępu umiejętności, pragnąć przywrócić pierwotną świetność i chwałę, nie mogliśmy nie zwrócić gorliwości Naszej na uniwersytet Gregoryański; jakkolwiek albowiem bolejemy, że z gmachu swego wyrzucony i w skutek nieszczęść obecnego położenia zmniejszoną ma liczbę słuchaczów, zawsze jednak taką się szczyci sławą, że wielce przyczynić się może do pożądanego odrodzenia i postępu nauk.

Nie wątpimy zaś, że wy, jakoście przyrzekli, wszelkich starań i zachodów przyłożycie dla dopięcia tego celu. Żąda tego po was i znana uległość ku władzy papiezkiej, którą według instytutu waszego wyznajecie, i samegoż Towarzystwa waszego konstytucye, w których zastrzeżono, aby teologiczne i filozoficzne umiejętności według nauki i metody św. Tomasza z Akwinu były wykładane. Żąda wreszcie samegoż Gregoryańskiego uniwersytetu natura i stanowisko: liczy bowiem uczniów ze wszystkich prawie narodów, więc boskiej i ludzkiej mądrości źródła, któremi tu szczęśliwie umysł swój napoją, wprędce i skutecznie po wszystkich ludach rozniosą.

Tą nadzieją ożywieni, błagamy dobrotliwego Boga, Ojca światłości, od którego wszelka mądrość wychodzi, aby umysły wasze boskiem swem światłem oświecał, i walczącym za prawdę sił i ochoty dodawał. Zadatkiem zaś tych darów i dowodem szczególnej Naszej ku wam życzliwości, niechaj będzie apostolskie błogosławieństwo, które wam, całemu Towarzystwu waszemu i wszystkim uczniom waszym najochotniej udzielamy".

Wspaniała ta przemowa Ojca Św. w oryginale łacińskim brzmi jak następuje:

Iucunda sane ac gratissima cuilibet studioso viro subit praeteriti temporis recordatio, quo in litterarum scientiarumque palaestra animus sapientiae cupidus exercebatur: dulce est primae institutionis sedem in

Dwudziestego siódmego listopada przyjmował Ojciec Św. w sali tronowej profesorów papiezkiego uniwersytetu Gregoryańskiego, stojącego pod kierownictwem Ojców Jezuitów. (Wiadomo, że po zaborze kollegium Rzymskiego, uniwersytet ten przeniósł swe wykłady do gmachu kollegium niemiecko-węgierskiego). Ojciec Cardella, prowincyał zakonu, odczytał u stóp tronu piękny łaciński adres, w którym wyraził stałą i gorącą cześć ku Stolicy Apostolskiej tak całego zakonu Jezusowego, jak i Gregoryańskiego uniwersytetu; z pociechą a dziękczynieniem ku Bogu podniósł, że z tego uniwersytetu wyszło dziewięciu Papieży, których czcigodną liczbę zwiększa obecnie panujący Papież, i oświadczył w imieniu wszystkich profesorów niezachwianą uległość i posłuszeństwo życzeniu, wyrażonemu przez uczonego i czcigodnego Rządcę Kościoła, który w wyższej nad ludzką mądrości troska się o teologiczne i filozoficzne umiejętności, aby tem skuteczniej zwalczały błędy. Po odczytaniu tego adresu, Leon XIII odpowiedział znaną swą klasyczną łaciną:

„Przyjemnie to bezwątpienia każdemu mężowi nauki wspomnieć na owe szczęśliwe przeszłe czasy, w których żądny wiedzy umysł kształcił się we wszelakich umiejętnościach; miło mu przypomnieć sobie i gmach, w którym pierwsze pobierał nauki, i owych uczonych mężów, których wykładów tak pilnie i z korzyścią słuchał. I My więc, nie małej doświadczamy pociechy z widoku i słów waszych, przywodzących Nam na pamięć te błogie czasy, spędzone wśród uczniów kollegium Rzymskiego. Staje zaraz na myśli szczęśliwy owych czasów pokój i pamięć na poprzednika naszego Leona XII, który kollegium Rzymskie przywrócił Ojcom Towarzystwa Jezusowego, a nauki i umiejętności tak gorliwie popierał; przypomina się nam tak wielka podówczas liczba uczniów, publiczne egzamina, uroczyste rozprawy, pod wodzą takich znakomitych i sławnych uczonych, jak Jana Curiusza, Jana Perronego, Franciszka Manera, Antoniego Ferrari, Andrzeja Caraffa, Jana Chrzciciela Pianciani, i innych łaskawych na Nas nauczycieli. Ochotnie też a głośno świadczymy, że mężów tych i szkoły waszej pamięć tak żywo w duszy Naszej pozostała, tak się ściśle z wdzięcznością złączyła, że czas ani zerwać, ani osłabić jej nie zdolen.

Nie mniejszej też doświadczyliśmy pociechy, słysząc o chętnej a posłusznej gotowości, z jaką spełniliście niejednokrotnie oświadczone życzenia Nasze, co do sposobu wykładania świętych i filozoficznych nauk.

Wiecie bezwątpienia dobrze, jak wielce potrzeba teraz, aby młodzież, zwłaszcza do służby Kościoła przeznaczona, zdrową poiła się nauką, nietylko, żeby była w stanie zwalczać liczne a pospolite błędy, przeciwne nie samym nadprzyrodzonym prawdom, ale burzące z gruntu i przyrodzone prawdy, na których opiera się społe-

mentem revocare,nec non praeclaros illos viros, qui optimis doctrinis mentem imbuere mature diligenterque studuerunt. Quapropter non mediocris ex verbis conspectuque vestro Nobis est parta jucunditas, quod beatorum temporum memoriam reduxeritis, quibus inter Romani Collegii ephebos versaremur. Meminisse enim iuvat et optatissimam illius aetatis tranquillitatem, et Leonis XII Praedecessoris Nostri, qui Collegium Romanum Patribus Societatis Iesu regendum eo tempore restituerat, in studiis provehendis sapientiam ac profunsam liberalitatem; meminisse iuvat plurimam discipulorum frequentiam, publica experimenta, solemnes concertationes, earumque strenuos ac praeclarissimos duces, Ioannem Curium, Ioannem Perronium, Franciscum Manera, Antonium Ferrarinium, Andream Carava, Ioannem Baptistam Piancianium aliosque, quorum magisterio ac benevolentia usi sumus. Libenter etiam palamque testamur animum Nostrum egregiis, quos memoravimus viris, vestroque Athaeneo tam arctis vinculis exinde mansisse coniunctum, ut ea nec abrumpi, nec relaxari unquam vel potuerint vel possint.

Nec minorem laetitiam ex eo percepimus, qnod plena animorum docilitate et voluntatis obsequio Nostris votis vos respondisse noverimus, quae de modo ac ratione tradendi sacras ac philosophicas disciplinas non semel manifestavimus.

Profecto nemo vestrum ignorat quanta modo urgeat necessitas adolescentes, praesertim qui in spem Ecclesiae succrescunt, sana solidaque doctrina imbuendi, tum ad plurimos ac vulgatissimos refellendos errores, quibus non solum supernaturales veritates impugnantur, sed et naturales veluti a fundamentis convelluntur; tum etiam ut illi, quae sola modo scientiae nomen temere sibi arrogat, quaeque fidei et rationis inimica primatum in scholis iam fere consecuta est, aliam opponamus solidis principiis subnixam, apta rectaque traditam methodo, fidei, ut par est, et revelationi conformem.

Hanc autem veri nominis scientiam non aliam esse putamus, quam quae ab Ecclesiae Patribus profecta, et in perfectum doctrinae corpus a scholasticis Doctoribus, praesertim vero ab eorum Principe Divo Thoma Aquinate, redacta ab Oecumenicis Conciliis et Romanis Pontificibus summis laudibus exornata, catholicis studiorum universitatibus et gimnasiis per plures aetates lex fuit et norma docendi. — Quam quidem pristinam dignitatem, ad studiorum incrementum et decus, eidem restitui exoptantes, non potuimus curas Nostras ad Gregorianum Athaeneum non convertere; quamvis enim vehementer doleamus illud e sua sede fuisse exturbatum et alumnorum numerum vitio temporum imminutum, adhuc tamen eiusmodi celebritatis est et momenti, ut plurimum ad optatam studiorum instaurationem et profectum possit converre.

Minime vero dubitamus, quin vos, prout spopondistis, omne studium industriamque vestram in hunc finem sitis allaturi. Hoc enim a vobis postulat et addictissimum obsequium quod erga pontificiam auctoritatem, pro instituti vestri ratione, profitemini, et constitutiones ipsius Societatis, quibus cautum est, ut theologicae ac philosophicae disciplinae iuxta doctrinam et methodum D. Thomae Aquinatis tradantur. Postulat tandem ipsa Gregoriani Athaenei indoles et conditio: cum enim ex plurimis gentibus instituendos recipiat alumnos, salutares divinae humanaeque sapientiae

fontes, quibus hic feliciter eorum animi fuerint imbuti, in omnes fere gentes brevi faciliterque poterunt refundi.

Hanc igitur spem foventes, benignissimum Deum, Patrem luminum, a quo omnis sapientia est, enixe precamur ut vestras mentes divina luce collustret, vobisque pro veritate certantibus vires animosque sufficiat. Horum autem munerum auspicem, et precipuae nostrae in vos benevolentiae pignus, apostolicam benedictionem vobis, totique Societati, ac universis scholarum vestrarum alumnis peramanter impertimur.

W dniu 5 grudnia Ojciec Św. przyjmował pierwszy raz od objęcia rządów Kościoła na publicznej audyencyi całe *Stowarzyszenie rzymskie ku obronie interesów katolickich* (*per gli interessi cattolici*). Wspaniała galerya kart geograficznych bez trudności pomieściła 2500 członków, którzy pod przewodem prezesa swego księcia Kamilla Rospigliosi, dostąpili zaszczytu złożenia hołdu Papieżowi i królowi swemu. Na wzniosły adres, odczytany przez prezydującego stowarzyszenia, odpowiedział Ojciec Św. według *Unita Cattolica:*

„Słodkiej pociechy doświadczamy dzisiaj, znajdując się wśród tak licznej gromady synów, pragnących widzieć swego ojca, oświadczyć mu swe uczucia i pokrzepić się ojcowskiem jego błogosławieństwem. Pociecha nasza tem żywszą, że wiemy, jak szczerą i czynną miłością jesteście przejęci, jak błogie owoce wydało już dotąd to wasze stowarzyszenie dla interesów katolickich.

Bezwątpienia, w tych czasach twardej i ustawicznej wojny przeciw Kościołowi i zbawczym jego instytucyom, pokrzepia wielce widok tylu synów, którzy dostrzegłszy potrzeby a czując niebezpieczeństwo, usiłują położyć tamę rosnącej niezbożności; złączywszy się zaś w piękną ligę, z odwagą, jaką natchnęła wiara, i środkami, które miłość zawsze wynaleźć potrafi, czuwają w obronie honoru i czci Boskiej, usiłują przeszkodzić lub naprawić ciężkie szkody, jakie z wojny tak niesprawiedliwej spadają na społeczeństwo, rodziny i jednostki. Tak, najmilsi synowie, pocieszający to dla nas widok, tak szlachetnych i gorliwych katolików, po największej części młodzieży, którzy czynami swemi, majątkiem i przykładem, usiłują wpajać w dzieci chrześcijańskie wychowanie i naukę, chronić młodzież od zepsucia umysłu i serca, popierać dobrą prasę i utrzymywać praktyki religijne między artystami i rzemieślnikami.

To wasze zadanie; to cel, do którego w różnych swych dziełach zmierza ustawicznie stowarzyszenie wasze. Błogosławimy Panu, który je natchnął, a w pokorze serca gorąco Go błagamy, aby stowarzyszeniu temu coraz większy dawał rozwój i wzrost, aby coraz lepiej odpowiadało wzniosłym celom swego założenia.

Najmilsi synowie, trwajcie gorliwie przy zaczętem dziele. Wiecie, że czasy coraz to groźniejsze; wojna przeciw Bogu, przeciw Kościołowi i samemuż społecznemu porządkowi coraz zjadliwiej występuje, więc i potrzeba obrony coraz to naglejsza.

Pokażcież się godnymi szlachetnej i świętej sprawy, dla której się poświęciliście; zwyciężając nieczynność, z zapałem zabierzcie się do dzieła, trwając jednak w zupełnej uległości względem Kościoła i jego pasterzy, jako przystoi uległym i pobożnym synom. Potrzeba też, byście zawsze byli między sobą złączeni, by te węzły jedności coraz bardziej się spajały; w ten sposób zdwoją się siły wasze, bo działać będziecie jako jeden człowiek w tym duchu i tak, jak wymagają różnorodne potrzeby.

Niejednokrotnie już objawiliśmy też uczucia i gorąco zalecaliśmy jedność, przekonani, że z jedności rodzi się siła, a jedność i siła zapewniają zwycięztwo. Przekonanie to i wam powtarzamy, licząc na synowskie wasze posłuszeństwo, że zastosujecie się w zupełności do naszego pragnienia. Dla umocnienia zaś was, dla zachęty w pracach waszych i jako dowód szczególnej Naszej życzliwości, udzielamy wam wszystkim i całym rodzinom waszym z głębi serca Apostolskie błogosławieństwo.“

Benedictio Dei etc.

LISTY Z WIEDNIA.

Wiedeń 6 grudnia.

X.

(Nieco o socyalistach w Austro-Węgrzech — Zajścia delegacyjne — Uroczystość pamiątkowa w Pradze — Stowarzyszenie majstrów katolickich — Bezecny odczyt — Massonerya a siostry miłosierdzia — *Grunwald* Matejki na wystawie — Ognisko — Drobiazgi).

Sądzę, iż nie będzie od rzeczy zastanowić się, choćby pobieżnie, o ile też zasady socyalno-demokratyczne rozszerzyły się i w monarchii austro-węgierskiej. Socyalizm austryacki jest niezaprzeczenie rodzonym synem socyalizmu niemieckiego. Agitatorowie niemieccy, a mianowicie z Prus i Saksonii nieskąpą ręką posiali i w Austryi to zatrute ziarno, a mianowicie w główniejszych miejscowościach przemysłowych, jak Reichenberg, Praga, Berno, Wiedeń, Peszt. Ziarno przyjęło się nadspodziewanie dobrze, czego dowodem te mnogie kółka warstwy robotniczej, te liczne dzienniki z tendencyą wybitnie socyalistyczną, te w końcu gęste wiece, odbywane w miejscach fabrycznych, a debatujące nad wrzekomą reformą społeczeństwa w kierunku polityczno-ekonomicznym. Nie mam wcale zamiaru rozbierać teoryj socyalistycznych ze stanowiska umiejętnego, chciałbym jedynie nadmienić, w jaki to sposób agitatorowie, dzienniki i bro-

szurki wśród warstwy robotniczej rzeczone teorye popularyzują i do praktycznego zastosowania zalecają. Powiedziano tym uwiedzionym ludziom: wasze nędzne położenie powinno i musi się odmienić na lepsze, a tem powiedzeniem wszczepiono niezadowolenie; powiedziano dalej: jedynie socyalna demokracya może, chce, i rzeczywiście przeprowadzi tę pożądaną przez was zmianę, a tem zapewnieniem znowu obudzono w nich niczem nieprzepartą nadzieję na zrealizowanie danej obietnicy. Z takich dwóch przesłanek wysuwa się dla prozelitów tej doktryny ten całkiem naturalny wniosek, iż dla robotnika jedyna kotwica ocalenia w zaciągnięciu się pod sztandar socyalno-demokratyczny i w bojowaniu, aż ten sztandar zatryumfuje. Cała teorya austro-węgierskich socyalistów streszcza się w powyższym, a każdy myślący przyzna, niemałej doniosłości syllogizmie. Uzupełnieniem bowiem, czy zrealizowaniem tej teoryi, są te dwie kardynalne socyalistycznego katechizmu zasady, iż każdy człowiek, lubo nie w równej mierze, to jednak ze wszystkimi równe ma prawo do korzystania z darów i przyjemności tego życia, a powtóre, iż w tem, co dotyczy całego społeczeństwa, każdy bez wyjątku ma głos decydujący (powszechne prawo wyborcze). Takie zasady, któż nie widzi, iż wcielone w czyn mogą być jedynie na drodze rewolucyjnej. Wiedzą też o tem wybornie sami socyaliści. Wedle nich bowiem w przyszłości musi być zainstalowaną rzeczpospolita robotnicza. Ta bowiem warstwa we wszystkich niemal państwach stanowi, jeżeli nie trzy czwarte, to najmniej dwie trzecie ogółu ludności. Skoro zaś państwo przyjęło za prawną rządów podstawę zasadę o prawach większości, słusznie przeto, iż warstwa tak liczebnie górująca, dobija się przebojem, aby ująć w swe ręce ster rządów. Takie zapatrywania mają i w Austro-Węgrzech na setki i na tysiące zwolenników, a krom tych, wyraźniej nieco zarysowanych poglądów, kotłują jeszcze w głowach adeptów socyalnej demokracyi rozliczne idealne marzenia, niezrozumiane hasła, niejasność w pojęciach i tym podobne smutne objawy chaosu umysłowego. Niesumienni bowiem agitatorowie karmią te ciężko myślące tłumy bigosem jak najprzewrotniejszych, logicznych i historycznych bredni, a tłum oszukiwany nadzieją lepszej przyszłości, przyjmuje takowe za dobrą monetę, i z męztwem godnem zacnej sprawy *jurat in verba* tych mistrzów-szatanów. Niektórzy tylko z uwiedzionych zapatrują się nieco chłodniej na ten humbug raju obiecywanego przez socyalną demokracyę, ztąd też i wśród socyalistów austro-węgierskich są dwa odłamy, jeden umiarkowanych, drugi zaś radykalnych. Mała to pociecha, a wielce smutny fakt, iż są, iż istnieją, iż doktryna wywrotu z każdym dniem coraz szersze ogarnia kręgi. Najsmutniejsza atoli, iż rząd i parlamenta, podobne do strusiów, udają, że nie widzą tego zła. To dobrowolne zamykanie się zrozumiałe dla tego, kto wie, iż rządy centralistyczne, krachowe, a głównie bezwyznaniowe, ograniczywszy wpływ Kościoła jedynie na ściany przybytków Pańskich, i zamuliwszy źródła rzetelnego a uczciwego dobrobytu, przysposobiły wybornie grunt pod ten zasiew zatruty, importowany z domeny Bismarka. Chcąc nad usunięciem złego radzić, trzebaby przyznać się do winy, trzebaby zawołać: *mea culpa*, trzebaby maszynę państwową tak wywietrzyć, aby liberalizm żadnej po sobie nie pozostawił woni. Ale na takie prawdziwie obywatelskie dzieło zdobędąż się dzisiejsi centralistyczni członkowie Rady państwa?

* * *

Adwokatura austryacka rozwinęła niemałą finezyę w delegacyach Rad uchwałą kredytu żądanego przez hr. Andrassego. Dr. Herbst, koryfeusz liberalno-centralistycznego zastępu członków Rady państwa wyprawił, aż miło, wielce patryotyczne widowisko w delegacyach wspólnych w Peszcie. Z paragrafem konstytucyi austryackiej w ręku, niby *Jupiter tonans*, woła: *nequequam!* nie damy pieniędzy, bo... bo... powaga, znaczenie parlamentu cislitawskiego sponiewierane, bo Rada państwa na traktacie berlińskim, *nota bene* podpisanym przez cesarza, nie położyła swego *exsequatur*, bo kto nie ma w poczczeniu tego zboru przed szkocką bramą, ten jakby się dotknął źrenicy centralistycznej, temu biada. Uląkł się widocznie tego biedak p. Andrassy, i ku zadowoleniu centralistów traktat berliński w Radzie państwa zwołanej na 10 t. m. będzie omawiany, nicowany, potępiany, aby w końcu był zaaprobowany. Czyż to nie formalna dziecinna igraszka, debatować nad przedmiotem, któremu już sam podpis cesarza nadał cechę aktu niecofnionego? Lecz fraszka o kilka tysięcy złr., jakie każde posiedzenie Rady państwa kosztuje, byle tylko stało się zadość paragrafowi, byle można się wygadać!

Ciekawa tylko rzecz, czy z tej debaty traktatowej nie przybędzie nam jaki nowy Rejtan i Sobieski?

Upewniano mnie, iż jeden z delegatów, któremu wawrzyny p. Hausnera nie dają spokojnie zasypiać, zamierza wystąpić przy tej sposobności z równie fajerwerkową mówką. Nazwiska nie wymieniam, gdyż może jeszcze kandydat do oklasków w szkockiej budzie pójdzie za dobrem natchnieniem koła polskiego i odstąpi od swego zamiaru.

Do rozpraw w *plenum* delegacyj wspólnych nad przedłożeniami hr. Andrassego zapisał się do głosu dr. Dunajewski. Nazwisko mowcy tego jest zupełną gwarancyą, iż przemówienie to będzie wytrawne, dojrzałe i zgodne z ową rozumną polityką, jakiej się koło polskie w danych twardych okolicznościach dotąd trzymało, i dla dobra kraju pomimo wyklinania gazeciarskiego i dalej trzymać będzie. P. Hausner, jako nowicyusz w życiu parlamentarnem, mógł brać za dobrą monetę komedyę opozycyjną, odegraną przy adresie przez centralistów, z zachowania się atoli tej kliki w delegacyach wspólnych musiałby nabrać tego przekonania, iż koło polskie przezornie postąpiło, nie przybywając w odsiecz menerom centralistycznym przy rozprawie adresowej.

Cały hałas nad adresem, cały łoskot w delegacyach, cała ta sztucznie sfabrykowana opozycya centralistów, nie miała i nie ma na celu popchnięcia Andrassego na tory polityki antimoskiewskiej, im chodziło głównie o to, aby wszczynając różne borby, wymusić u Andrassego więcej nieco respektu dla parlamentu cislitawskiego. Zręczny Madziar-dyplomata zrozumiał te manewry Herbstów i Giskrów, udaje pokonanego, zgadza się na zwołanie Rady państwa, wiedząc aż nadto dobrze, iż za ten plaster, położony na zadraśniętą miłość własną centralistów, wszystko mu będzie odpuszczone, wszystkie kredyta uchwalone. Co to szkodzi, że się kiedy niekiedy kruk z krukiem wyczubią! Centraliści niemieccy wiedzą o tem dobrze, że hr. Andrassy jest dualizmu obrońcą, oni więc potrzebują go koniecznie, może daleko więcej jak on ich — inaczej, groziłoby niebezpieczeństwo hegemonii niemieckiej w Przedlitawii. Choć przeto Herbst w delegacyach wojował tak zapamiętale paragrafową bronią, choć się zdawało, iż Andrassy przegrał z kretesem sprawę, to jednak już podanem przez

Andrassego *exposè* swej polityki, w którem się nachwalił aż do przesytu, a niczego nie wyjaśnił, rychło wypogodziło się schmurzone nieco niebo przyjaźni niemiecko-madziarskiej, a niedługo czekać trzeba, a zapanuje i najprzykładniejsza harmonia. Okupacya a nawet aneksya znajdzie u centralistów aprobatę, bo z upadkiem Andrassego i ich panowanie byłoby tylko kwestyą czasu.

Co się tyczy zajętych przez Austryę dwóch krajów tureckich, dowiaduję się od wielce wiarygodnej osoby, iż przyszło już do zupełnego porozumienia się między Stolicą Apostolską a rządem austryackim pod względem organizacyi Kościoła katolickiego w Bośnii i Hercogowinie. Naznaczony na biskupa bośniackiego ks. Strossmayer, spodziewany jest w Rzymie, celem otrzymania od Papieża potrzebnych instrukcyj, poczem założyć ma swą siedzibę w Serajewie. Na wybudowanie rezydencyi biskupiej w tem mieście ofiarował główno-dowodzący armią okupacyjną jenerał Filipowicz przed swym wyjazdem 4000 złr. Także co do urządzenia innych jeszcze dyecezyj w obu zajętych prowincyach, uczyniono już przedwstępne kroki, a strony dotyczące niebawem już mają w tej mierze powziąć stanowcze uchwały.

* * *

Nie ma zwyczaju, albo przynajmniej dzieje się to wyjątkowo, aby uroczyście obchodzono dzień zgonu monarchów, zwycięzkich wojowników, lub znakomitych mężów stanu. Kościół jedynie święci dzień śmierci swych wybrańców, jako dzień radosny i dla nich, bo im otworzył wrota niebios, i dla nas, którym przybył jeden orędownik więcej. Otóż wyjątkiem od powszechnie przyjętego zwyczaju był obchód, jaki święcili Czechowie w rocznicę pięciowiekową swego króla, rzymskiego cesarza Karola IV, z domu luxemburskiego, fundatora uniwersytetu w Pradze. Obchód ten był niejako rzewną daniną wdzięczności za ten okazały a niebywały rozkwit, jakim się królestwo czeskie i stolica tegoż Praga za błogich a długoletnich rządów wielkiego monarchy cieszyły. Przez ten czas przeszło 33-letnich rządów, przodowało królestwo czeskie w rozwoju cywilizacyjnym i to w każdej prawie dziedzinie, był to dla korony św. Wacława istny wiek złoty. Karol IV, lubo z rodu Niemiec, był atoli pełen sprawiedliwości i miłościw dla swych poddanych plemienia słowiańskiego. Obchód ten pamiątkowy święcono okazałem nabożeństwem żałobnem w tumie pragskim. Sam dostojny kardynał książę Schwarcenberg celebrował. Grobowce królów czeskich, otoczone rzęsistem światłem, zasypano mnóstwem wieńców. Na wstędze wieńca, ofiarowanego przez księcia kardynała, jaśniał złotem wyszyty napis: *Augusto Regi Cathedrae Pragensis gloriae piissime intento, Archiepiscopus metropolitanae Sedis haeres.* Kapituła metropolitalna złożyła także wspaniały wieniec, zdobny następnym napisem: *Regio fundatori Templi metropolitani-Capitulum haeriditatis magnificae custos.* Po nabożeństwie wyruszył pochód do pomnika cesarza Karola, który także suto zwieńczono. Uroczystość cała odbyła się poważnie, z godnością, uderzało tylko, iż Niemcy w Czechach zamieszkali usunęli się całkiem od udziału. Snać w Niemcach czeskich nienawiść ku tubylcom Słowianom wybujała po nad same względy dynastyczne. Dlaczego atoli świat urzędowy tak cesarski jak i autonomiczny, jaśniał swą nieobecnością, to w istocie zagadka trudna do rozwikłania. Wszakże, bądź co

bądź, Karol IV, lubo wielce życzliwy narodowości czeskiej, to zawsze jednak dostojny protoplasta panującej obecnie w Austryi dynastyi.

W przeciwstawieniu do powyższej, jakże nierównie piękniejszą, bo duchem zgody owianą była uroczystość, jaką święciło stowarzyszenie majstrów katolickich, obchodząc dwudziestą rocznicę swego założenia. Obszerna sala w lokalu stowarzyszenia czeladzi katolickiej na Gumpendorferstrasse zaledwie zdołała pomieścić licznie zebranych. Wszyscy majstrowie z rodzinami, czeladź i chłopcy czuli się jakby jedną rodziną. Zebranie zagaił przemową dostojny biskup polowy dr. A. Grusza, wielce zasłużony prezes stowarzyszenia czeladzi katolickiej. Nadmieniwszy o przyczynie niniejszego zebrania, wspomniał zarazem czcigodny mowca o naradach, jakie się we wrześniu t. r. odbyły w Kolonii u grobu błogosławionej pamięci Kolpinga. Zgromadzeni tamże prezesowie licznych, w Niemczech i w Austryi rozsianych, stowarzyszeń katolickiej czeladzi uchwalili jednogłośnie, iż jedynie skutecznem lekarstwem na smutne i pod wielu względami niebezpieczne stosunki socyalne, w jakich się znajduje stan rękodzielniczy, są owe, Kolpingowi swe ojcowstwo zawdzięczające, stowarzyszenia chrześcijańskie majstrów i czeladzi. Zwróciwszy się następnie do majstrów, zachęcał ich gorącem słowem do poszanowania dni niedzielnych i świątecznych, jak niemniej do dbałości o dobro duchowe zostającej u nich w nauce młodzieży. Prezes stowarzyszenia, podziękowawszy czcigodnemu ks. biskupowi za obecność i za tak ojcowskie słowa zachęty, złożył sprawozdanie z całorocznej działalności. Nastąpiła część rozrywkowa. Na teatrzyku domowym przedstawiono wielce udatne sceny, odnoszące się do różnych zawodów rękodzielniczych. W przerwie między temi pojedyńczemi obrazami przyozdobiony został dotychczasowy przewodniczący stowarzyszenia czeladzi katolickiej, p. Kaufmann, srebrnym medalem honorowym za swe wielkie zasługi około dobra stowarzyszenia, a koledzy ofiarowali swemu prezesowi, który złożył urzędowanie, otwierając już jako majster warsztat na własną rękę, śliczny obraz w grubo złoconych ramach, przedstawiający świętą rodzinę. Na zakończenie odsłoniono biust cesarza, okolony grupą wojskowych i rękodzielników. Obraz ten z żywych osób, był wielce trafną alluzyą do podwójnej błogiej działalności dostojnego ks. Gruszy, który, piastując godność biskupa polowego, równocześnie pracuje niestrudzenie jako prezes generalny wszystkich austryackich stowarzyszeń czeladzi katolickiej. Z zapałem odśpiewany hymn ludu zakończył ten piękny obchód.

* * *

Ma prawda i cnota swych apostołów, ma ich także niestety fałsz i zepsucie. Jeden z missyonarzy tego ostatniego, niejaki dr. Singer, inseratowy lekarz pewnych chorób, o których się nie mówi, był do tyla bezczelnym, iż urządził publiczny odczyt *de copula carnali*. Strasznie niski musi być poziom moralności wiedeńskiej, kiedy publika, i to wrzekomo wykształcona, nader tłumnie się zebrała na to bezeceństwo. Odczyt ten był policzkiem wyciętym pojęciom o moralności. Prelegent, nawiasem powiedziawszy żydowin, zainteresował tym bezwstydem „doborowe", jak piszą dzienniki, audytoryum, a równocześnie zrobił dobry interes, zebrawszy z wstępnego, które kosztowało guldena, sumkę nieszpetną, dochodzącą blisko tysiąca. Smutek zdejmuje i troska o przyszłość, gdy się czyta w relacyach dziennikarskich, iż na tej prelekcyi widziano i mło-

dzieniaszków, widziano i kobiety. W żadnem innem mieście, nawet w owym okrzyczanym Babelu nadsekwańskim, podobny odczyt nie byłby tolerowany, jedynie zżydowiały Wiedeń może się pochlubić, iż *coram publico* miewa wykłady o bezwstydzie. Gdzie była policya, gdzie było namiestnictwo, iż nie zakazały wygłoszenia takiej ohydy? Na cóż się przydadzą łowy odbywane przez ajentów policyjnych na prostytutki, spacerujące po Grabenie; co pomogą utyskiwania p. namiestnika Conrada na wzmagającą się straszliwie demoralizacyę, jeżeli lada spekulantowi w birecie doktorskim wolno bezkarnie pod maską umiejętnego odczytu wykładać formalne kursa zepsucia?

I jako się dziwić, iż wśród takich okoliczności coraz mniej z każdym rokiem bywa ślubów małżeńskich, a czemś codziennem natomiast stały się tak zwane „dzikie małżeństwa". Cyfry to arcywymowny świadek tego twierdzenia. W roku 1877 zawarto w Wiedniu związków małżeńskich tylko 5.049, a więc o 449 mniej niż w r. 1876 a o 3.537 mniej, niż w r. 1870. Liberalizm, jak widać, wydaje coraz to piękniejsze owoce. Rozpasanie w obyczajach, pustki w kieszeniach, bezwiarowość groźna, to uroczysty protest przeciw słowom p. de Pretisa, iż w Austryi jest już lepiej. Masonerya przyklaśnie z całej duszy temu twierdzeniu, ale człowiek dobrej woli uzna i uznać musi w niem tylko frazes wręcz niezgodny z rzeczywistością.

* * *

Szczególniejszym przedmiotem nienawiści masoneryi są i były córki św. Wincentego a Paulo. Powodem tej nienawiści, to ogólna cześć, to powszechne uznanie, jakich tym siostrom, za ich nadludzkie poświęcenie nie skąpią sami nawet bezwiarkowie. Wyrugować je trudno od łoża chorych, od opieki nad sierocą dziatwą; wolnomularstwo wpadło więc na ten pomysł, aby działalność Szarytek, o ile możności ograniczyć. W tym celu postanowiono założyć stowarzyszenie, celem wyuczenia kobiet i panienek z wyższych stanów należytego pielęgnowania chorych i rannych. Odezwa zagrzewająca do przystępowania do tego humanitarnego stowarzyszenia i appelująca o składki na cele tegoż figuruje po rogach wszystkich ulic, dzienniki uderzyły jakby na komendę w taraban reklamowy. katolicy jednak prawdopodobnie nie dadzą się zwerbować pod ten sztandar masońskiej filantropii, i ani osobą, ani groszem swym nie zechcą zapewne popierać tej projektowanej instytucyi, skierowanej przeciw zgromadzeniom zakonnym. Skarbnikiem tego stowarzyszenia jest baron Wiktor Erlanger, a wiadomo powszechnie, iż ten pan jest wielce gorliwym członkiem loży wolnomularskiej *Zukunft* w Wiedniu. Ta jedna okoliczność wystarczy zapewne katolikom, aby ze stowarzyszeniem tem nic nie mieli do czynienia. Żydowska przebiegłość massonów zarzuciła na to najświeższej daty „gründerstwo" płaszczyk patryotyczny, w nadziei, iż tym sposobem łatwiej przeprowadzi swe plany, ukryte w sferach wysoko postawionych. Spodziewać się należy, iż fortel ten się nie uda, zwłaszcza, gdy tutejsze dzienniki katolickie nie omieszkały przestrzedz przed tą łapką humanitarno-patryotyczną katolików, niestety dość często jeszcze wielce łatwowiernych, i pochopnych niejednokrotnie, lubo bezwiednie popierać cele wręcz nieprzyjazne sprawie katolickiej, ale zręcznie przyodziane w frazesa filantropijne.

* * *

Grunwald naszego mistrza Matejki, wystawiony przeszło od tygodnia w Künstlerhausie ściąga liczną publiczność. W ocenę fachową tego arcydzieła nie moją rzeczą się wdawać, chciałbym tylko zaznaczyć lichotę sądów, jakie o tem mistrzowskiem dziele pojawiły się w tutejszych dziennikach. Chwalą to wspaniałe płótno, ale te pochwały tak jakoś zgryźliwe, tak nastrzępione wytykaniem ujemnych stron, iż z każdej niemal krytyki wychyla się to niezadowolenie, dlaczego utwór ten jest dziełem pędzla malarza-Polaka. Zarzucają Matejce, iż jest wyłącznie polskim, zarzucają mu, iż jest ultramontaninem, umieściwszy w obłokach św. Stanisława, zarzucają mu brak spotęgowanego ruchu na obrazie, właściwego każdej bitwie, słowem zarzutów co niemiara. Jeden z krytyków był nawet tak łaskawy, iż adwokatuje Matejce, dlaczego całość obrazu nie czyni potężnego wrażenia, a jedynie pojedyncze figury są mistrzowsko wykonane? oto przyczyną tego grzechu ma być krótki wzrok Matejki. Wiedeńscy atoli krytycy nie są szczerymi; brakłoby im słów pochwalnych na *Grunwald*, gdyby Matejko tyle genialnego talentu, tyle pracy, obrócił był na inny jakikolwiek temat, a nie na ten fakt dziejowy, iż antenatów Wilhelma i Bismarka rozgromił oręż polski. *Inde irae* na obraz Matejki! Malować, jak Niemców bito i pobito, to grzech nie dodarowania. Zawiść narodowościowa podyktowała niemieckim krytykom sądy niedorzeczne, nieraz śmieszne, ale w gruncie rzeczy wielce stronnicze. Areopag innych znawców ocenił pędzel mistrzowski Matejki, a złośliwo-partyjna krytyka różnych *Press* i *Blattów* nie zerwie ani jednego listka z wieńca wawrzynowego, jaki okala skroń naszej chluby narodowej. To pewna, Matejko nie sprofanuje nigdy daru Bożego, jak to uczynił sławiony przez Niemców Makart, w swym wjeździe Karola V do Antwerpii.

* * *

Stowarzyszenie młodzieży polskiej uniwersytetu i techniki w Wiedniu tak zwane „Ognisko“ urządziło i tego roku wieczorek ku pamięci naszego wieszcza Adama. Relacyonując o tym wieczorku do jednego z dzienników lwowskich, napisano pochwał co niemiara dla „Ogniska“ i dla działalności pożytecznej tegoż stowarzyszenia, wynosząc pod niebiosa ducha polskiego, jaki je ma ożywiać. Przysłowie mówi, iż nie wszystko złoto, co się świeci; podobnie i pochwały dziennikarskie, nakarbowane „Ognisku“, niekoniecznie zasłużone. Polskości młodzieży „ogniskowej“ jakoś nie mogę się doszukać. Urządzanie wieczorku, a właściwie popisu dla kilku akademików, pod firmą ś. p. Adama, nadto urządzanie w zapusty balu tak zwanego polskiego, to sądzę nie daje patentu na dobrego Polaka. O polskości pp. akademików świadczy także niezbyt korzystnie, iż się tak tłumnie cisną na niemieckie wykłady w Wiedniu, gdy w kraju mają dwa uniwersytety z ojczystym wykładowym językiem. Dawniej tę emigracyę do Wiednia usprawiedliwiano znakomitościami profesorskiemi, w jakie obfitował uniwersytet wiedeński zwłaszcza na wydziale lekarskim; obecnie i ta wymówka odpadła, gdyż sami Niemcy przyznają, iż dawna sława uniwersytetu wiedeńskiego niepowrotnie zginęła, i każdy z profesorów uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, a nawet i z techniki nie pozostaje w tyle po za swymi wiedeńskimi kolegami, tak co do wiedzy, jak i co do talentu wykładania. Zkądże przeto ten napływ młodzieży polskiej? Lepiej rzeczy świadomi twierdzą gwoli rozwiązania tej zagadki, iż pp. Niemcy-profesorowie

łatwiej przepuszczają prry egzaminach, a nadto, iż w kraju, bądź co bądź młodzieniaszek uniwersytecki zostaje pod kontrolą opinii publicznej, a to w wielu razach dość niewygodne. Jeszcze słówko o wieczorku Mickiewicza. Była najprzód przemowa, a w niej bombast słów dość już nadużytych, jak mogiły, łzy, nadzieje, groby, kajdany itd., niestety brakowało tylko jednego najważniejszego i najświętszego wyrazu: Bóg. Był następnie odczyt szumny: sztuka i narodowość. Estetyk *in nuce* wykazał *ad aures*, iż wybornie umie kompilować cudze myśli, przedając je za swój towar. Było bębnienie fortepianowe i śpiew jakiejś Patti. W końcu była stypa zapewne na cześć Mickiewicza urządzona w restauracyi. Młodzież się rozochociła; naturalnie, że musiały być i toasty.. Z najciekawszym toastem wystąpił niejaki p. T., konsyliarz od urzędu tabacznego, a tak gorący patryota, iż tegoż własne dziatki zapomniały języka polskiego. Wypito zdrowie chorągiewki czy sztandaru, który według zdania p. konsyliarza, jest *conditio sine que non* prawdziwej polskości.

* * *

Kościół pamiątkowy (Votivkirche), jest już na ukończeniu. Konsekracya tej wspaniałej świątyni odbędzie się 24 kwietnia 1879. Ceremonii tej dokona sam książę-kardynał Kutschker. Municypalność wiedeńska już teraz odbywa narady celem uregulowania i upiększenia placu przed kościołem. Temi dniami przybył właśnie z Rzymu dar śp. Piusa IX, przeznaczony dla tego kościoła. Są to trzy wspaniałe obrazy mozajkowe, wykonane przez profesora Trenkwald w Rzymie, a przedstawiające: główny obraz środkowy Niepokalane Poczęcie N. P. Maryi, poboczne zaś dwa: grupy aniołów. Obrazy te tworzyć będą baldachim nad głównym ołtarzem

---

Tum św. Szczepana był przeszłego tygodnia widownią zbrodni samobójstwa. Pewna kobieta w jednej z kaplic przecięła sobie żyły u rąk; krew obficie płynąc, sprofanowała dom Boży. Samobójczyni spostrzeżona w stanie umierającym, przeniesiona do zakrystyi, zaopatrzona została śś. sakramentami, i wkrótce potem zakończyła życie. Następnego dnia w godzinach porannych, przed wyjściem prymaryi, odbyła się rekoncyliacya domu Bożego. Aktu tego, wedle *Pontificale Romanum*, dokonał ks. biskup sufragan Angerer, przy asystencyi całego kleru katedralnego.

Ze wszystkich dyecezyj dochodzą skargi na brak kandytatów do stanu duchownego. Rozległa archidyecezya pragska liczy na rok obecny zaledwie 83 kleryków, a *in seminario puerorum* 67 alumnów. Episkopat przeto czeski wniósł do cesarza prośbę, aby zakonom żebraczym nie odbierano *successive* alimentacyj, jak tego ukaz p. Stremayera żąda, o czem w przeszłym swym liście obszerniej wspomniałem. Przy ubytku bowiem kleru świeckiego, zakony żebracze dostarczają licznych pomocników w duszstarownictwie.

* * *

Organ księcia Prymasa węgierskiego *Magyer Allam* donosi, jakby z najpewniejszego źródła, iż układy między rządem niemieckim a Stolicą Apostolską rozbijają się o to, że Bismark żąda, aby kardynał-arcybiskup Ledóchowski,

biskup Paderbornu, ks. Konrad Martin, zrezygnowali dobrowolnie z zajmowanych stolic biskupich, a nadto, iż Bismark zgadza się na przywrócenie w Niemczech zgromadzeń zakonnych li żeńskich, ale nie mężkich; Stolica zaś Apostolska na oba te warunki odpowiada: *non possumus*. Korespondent rzymski *Przeglądu* zapewne nie omieszka wam donieść, o ile ta relacya jest prawdziwą.

Ks. Z. Czerwieński.

LISTY Z RZYMU.

Rzym, dnia 11 grudnia.

XII.

(Włochy nawracają się — Dwór Sabaudzki mówi o Bogu — Nowożytne państwo — Król Humbert — Żywioły piemonckie — Cairoli — Nowy gabinet — Historya wieży Babel — Republikanie — Podziemne sekty — Podatki — Walka z kapitałem — Fanatyzm wobec Głowy Kościoła — Władanie duszami — *Konrad* Mickiewiczowski — Człowiek grzechu — Akademia gregoryańska przed Ojcem Świętym — Wychowanie chrześcijańskie — *Humaniora* — Rozrzewniająca scena — Proklamacye wojskowe)

Włochy polityczne w coraz większym rozstroju. Dwór przestraszony, tak dalece, że niekiedy w sferach dworskich wspominają o Bogu! rzecz od lat trzydziestu niesłychana! Uznają, że i Bóg w państwie na coś przydać się może, prawie tyle co ustalony kredyt lub armia na sposób pruski urządzona.... I gdyby to jakoś można i cudzego nie oddać, i w Kościele Bożym po policyjnemu burmistrzować, to kto wie? możeby się i nawrócono. Ale cóż, kiedy z tem nieużytem *non possumus* nie ma rady. Onoć wprawdzie potępia spiski, morderstwa, bunty i swawole podwładnych; ono nawet w danym razie i rządom *de facto*, choć bezprawnie istniejącym, nakazuje w rzeczach czysto ziemskich być uległym, dla uniknienia większego złego dopóki godzina Bożej sprawiedliwości nie wybije. Ale ono także, to niepostępowe *non possumus*, nakazuje królom i rządom Boga się bać, wolność Kościoła szanować, uznanych i nabytych praw i swobód poddanych nie naruszać, co bezbożnie i niesprawiedliwie zabrane, komu należy; powrócić. Ono tak dalece jest wsteczne, że dla niego *prawo* dotychczas idzie *przed siłą*....

I dla tego właśnie, mimo opatrznych ostrzeżeń, król Humbert jak szedł tak idzie drogą rewolucyjną. Widząc, że mu się grunt z pod nóg usuwą, zwraca się ku żywiołowi piemonckiemu, z którego wzrosła potęga domu sabaudzkiego. Pan Sella, Piemontczyk, znany minister *consortów*, często w Kwirynale przebywa i król

radby go widzieć na czele nowego gabinetu. Czy mu się jednak powiedzie, to inne pytanie. Chyba, że dla pana Selli przejedna umysły republikanów jego znana nienawiść do Kościoła, którą rewolucyoniści tu, jak wszędzie a może więcej niż gdziekolwiekbądź, stawiają na pierwszym planie swego programu. Ale i za tę cenę bardzoby już było trudno odzyskać powagę dla stronników monarchii liberalnej. Minghetti tak jak Sella, Depretis lub Farini próbować mogą; ale chociażby na razie i sklecili jakąś większość parlamentarną, ta za pierwszą napotkaną trudnością rozbije się niezawodnie i ani widokn nawet nie ma, by ją ktoś mógł na nowo utworzyć.

Tymczasem gabinet się jeszcze trzyma, lubo na włosku tylko. Wiadomo, że przy powtórnem zagajeniu obrad Izby Cairoli się nie stawił, bo i rzeczywiście cierpiał na ranę zadaną mu sztyletem Passanantego. W jego miejscu Zanardelli, minister spraw wewnętrznych, chcąc zyskać na czasie, proponował, by wszelkie interpellacye odłożyć do sześciu miesięcy, dając za powód uspokojenie się przez ten czas umysłów energią tymczasem rozwijaną przez władze i t. d. Propozycyę odrzucono, i teraz co dzień toczą się gorące rozprawy nad rozmaitemi interpelacyami i projektami przejścia do porządku dziennego. Jedni mówią o wyjątkowych, na wzór Prus, ustawach; inni wyznają wytrwałość swej ufności w środki czysto konstytucyjne. Co kilka godzin rozchodzi się wieść, że gabinet już upadł, lecz dotychczas się nie sprawdziła. Owszem, sam Cairoli już bywa na posiedzeniach, i przebąkują nawet o tem, że kolegów swoich poświęciwszy, on to a nie kto inny nowy gabinet tworzyć będzie.

Wszystko to ani budującem ani interesującem nie jest wcale. Wiecznie powtarzająca się historya wieży Babel, gdzie za to, że ludzie chcieli nieba dziełem swej pychy dosięgnąć, Bóg im pomięszał języki... Dzisiaj gorzej, bo od lat tysiąców już Bóg sam z Nieba ku ziemi się nachylił i drogę doń otworzył królewską. Ale ludzie zawsze po swojemu wznosić się kuszą zawsze swoje rozumki, upory i osoby nad prawdę Bożą i zakon Boży, nad osobę samego Boga-Człowieka stawiają. Ta dążność, to usuwanie w każdej dziedzinie Boga, Chrystusa, Kościoła z należnego im stanowiska, by upadłego człowieka na ich miejscu postawić — jest właśnie fundamentalną cechą rewolucyi w jej kolejnych i stopniowych objawach, zacząwszy od *pryncypiów* 1789 roku, skończywszy na robespierowskiej gilotynie, zacząwszy od systematu Hegla, gdzie człowiek jest najwyższym wyrazem i uosobieniem panteistycznego bóstwa,

skończywszy na genewskich orgiach materyalistycznego socyalizmu, gdzie samo wymówienie Imienia Bożego wywołuje objawy epileptycznej wściekłości....

Wracam do Włoch obecnych. Agitacya republikańska bynajmniej nie ustaje. Chorągwie czerwone, kluby *Barsanti*, świeże nawet pokuszenie utworzenia klubu *Passanante*, w Osimo zamordowanie członka municypalności, wszystko to są tylko uliczne objawy ruchu, kierowanego z niezwykłym sprytem, biegłością i konsekwencyą, bo kierowanego przez podziemne, piekielne sekty. Możecie być pewni, że w tem wszystkiem mniej socyalizmu na sposób niemiecki, a za to więcej masoneryi. Oczywiście, by masy poruszyć, by mieć w ręku te *chair a canon*, ten biedny tłum gotów zawsze dać się kartaczować i pałaszować przy poruszeniach ulicznych, bez których ostatecznie materyalnie istniejącego porządku obalić nie podobna, agitacya włoska doskonale umie wyzyskiwać uciążliwe podatki, ruinę ekonomiczną, sprowadzoną tutaj przez rządy liberalne, drożyznę, mnożące się w tysiące i tysiące wywłaszczenia przymusowe z małych ziemskich i miejskich posiadłości jedynie za skarbowe podatki. Ale to jeszcze nie jest ów fabryczny socyalizm, wprawdzie niemniej jak masonerya bezbożny, ale nie z tak wyrafinowanem bluźnierstwem, podstępem i jadem nienawiści walczący z Kościołem chrześcijańskim — bo głównie walką z kapitałem zajęty. We Włoszech mniej sposobnych dla niego żywiołów. Tu w obozie rewolucyjnym przeważa demoniczne sekciarstwo, tu fanatyzm jego rozpala do najwyższej potęgi obecność Głowy Kościoła i owe zastępy potęg niebieskich, nadprzyrodzonych, które zrosły się przez wieki z tą ziemią męczenników i świętych, które przepełniają atmosferę Rzymu i katolickiej Italii. Tutaj czujesz, że to zawsze owa Roma światowładna, że jak w złem tak w dobrem, tu rozchodzi się więcej niż o kawał chleba lub kruszcu, przez chciwość ludzką sobie wydzierany wzajemnie, więcej niż o zmysłowych rozkoszy użycie... tu idzie o panowanie nad światem... A i to, nie już jak za Rzymu Cezarów o panowanie czysto ziemskie, materyalne. prawnicze, umysłowe zresztą nawet, lecz czysto przyrodzone. Tu idzie o władanie duszami, a przez nie, wszystkiem innem. „Daj mi rząd dusz!“ woła do Boga Mickiewiczowski w *Dziadach* Konrad w swej, nie śmiem decydować jakim duchem natchnionej, lecz w każdym razie olbrzymiego natchnienia *Improwizacyi*. I kto te słowa rozumie, ten wie, że w nich jest wszystko, jest szczyt ambicyi rozumnej i wolnej istoty. Ten dziwić się nie będzie, że tu,

w Rzymie, gdzie Bóg sam złożył rząd dusz w ręku Sternika Piotrowej łodzi, tu musi być i cel wysiłków „książęcia świata tego, książęcia ciemności". Tu rozgrywa się od wieków dziewiętnastu ta walka o moc nad duszami, nad dziejami, nad światem. Tu klucz, tu tajemnica tej siły, którą się zdobywa albo na „krzyżu z krzyża" (*crux de cruce*) Pańskiego i w ten sposób na życie, na wieki; albo, jak wódz nieprawości, jak ów przepowiedziany *mąż grzechu* (*homo peccati*), przez zatwierdzenie wszystkich potęg ziemi na pohybel Synowi Bożemu, a na ubóstwienie *siebie*. Bo nie ma co wątpić, ów mąż grzechu, jak inni i więcej niż inni *fałszywi Chrystusowie czynić będzie znaki wielkie i cuda* (Ew. Mat. XXIV, 24) tak, *że nawet uczyni, aby ogień z nieba zstąpił na ziemię w obliczu ludzi* (Apoc. XIII, 13). Te są słowa prawdy Bożej; tylko, że ten tryumf będzie trwał chwilę, a hańba i kara będą wiekuiste. Prócz tego, ten tryumf nie dosięgnie ducha i swobody dusz, idących za głosem Niebieskiego pasterza; i aż do ostatecznego przesilenia, naprzeciw rewolucyjnej paszczy ziejącej śmierć i bluźnierstwa, Sternik bożej Piotra łodzi nie przestanie trzymać wysoko chorągwi z hasłem archanielskiem: *Mi-cha-El, kto jak Bóg?*

Tymczasem ten Boży sternik nie przestaje przy każdej sposobności nam dawać zbawiennych i cennych wskazówek. Leonowi XIII w szczególny sposób leży na sercu sprawa chrześcijańskiego wychowania. We środę 27 listopada Ojciec Święty w towarzystwie kardynałów Parocchi (arcybiskup Boloński, o którym pisałem w jednym z poprzedzających listów), Ledóchowskiego i Bartolini, przyjmował profesorów uniwersytetu Gregoryańskiego, czyli kollegium rzymskiego OO. Jezuitów. Po odczytaniu adresu prowincyała, O Cardelli, Papież odpowiedział mową, którą bez mała w całości tutaj przytaczam [1]), bo powinna być dla nauczających zgromadzeń, zakonnych, dla nauczycieli seminaryów, w ogóle dla wszystkich professorów, i osób zajmujących się wychowaniem młodzieży, stanowczą, decydującą wskazówką, w jakim kierunku powinni pracować, by uczynić wychowanie chrześcijańskie odpowiednem dzisiejszym potrzebom dusz i społeczeństwa, by nie marnować czasu i sił pedagogicznych napróżno, jeżeli nawet nieszkodliwe ozdóbki, i pseudo-klasyczne a pogańską filozofią przesiąkłe turnieje i popisy, gdy już idzie i to jest gwałtowną potrzebą czasu, o przejęcie

[1]) Podaliśmy ją wyżej w artykule p. t.: „Dwie mowy Ojca Świętego". (*Przyp. Redakcyi*).

umysłów i dusz chrześcijańskiej młodzieży, życiodajną tradycyą umiejętności katolickiej. Prawda, że tutaj Ojciec Św. mówi głównie o wyższych wykładach filozofii i teologii, bo przemawia do pierwszego na świecie tego rodzaju wyższego Instytutu. Ale dla sfer kompetentych istnieje oczywisty i najściślejszy związek pomiędzy tradycyą świętego Augustyna i świętego Tomasza w teologii i filozofii, a chrześcijańskim systematem gimnazyalnych humaniorów, i za jednem musi pójść drugie. Oby były spełnione życzenia Chrystusowego Namiestnika! oby raz upadła bałamutna ułuda bałwochwalczej czci dla pogańskiej literatury i pogańskiej filozofii! Obyśmy pamiętali, że przestrogą Ducha świętego jest przestroga Apostoła: *Baczcie, aby was kto nie uwiódł przez filozofię i próżne omamienie, według podania* (tradycyi) *ludzkiego, według żywiołów świata tego, a nie według Chrystusa...., w którym są ukryte wszystkie skarby mądrości i umiejętności.* (*Koloss.* II, 8, 9, 3). Obyśmy zrozumieli, że dla zbawienia przyszłości nam potrzeba gruntownych, niezłomnych, nie bajkami mitologii i ziemską ambicyą Gracchów i Cezarów, lecz prawdą słowa Bożego, a miłością Apostołów i Męczenników przejętych chrześcijan, i to obywateli i ojców rodzin niemniej jak kapłanów.

Przy przedstawianiu się profesorów, zaszła scena rozrzewniająca. Blisko 90-letni O. Patrizi, znany na świat cały egzegeta Pisma świętego (brat zmarłego Kardynała-Wikaryusza za Piusa IX), którego Leon XIII, jako młody Joachim Pecci, był uczniem przed 50 laty, chciał jak drudzy ucałować nogę Ojca Św., ale Papież na to nie pozwolił, lecz objął ramionami i uściskał. Bywają piękne chwile na tej ziemi.

Dnia 12 Grudnia. Gabinet Cairoli-Zanardelli upadł wczoraj wieczór o 9tej większością 73 głosów. Mówią o Minghettim i Depretis jako o naczelnikach przyszłego gabinetu. Opozycya republikańska wzrośnie niewątpliwie. Król wzdycha podobno za ministeryum wojskowem. Pokazały się proklamacye rozrzucane przez oficerów z okrzykiem: *Viva Umberto re assoluto* (niech żyje Humbert, król absolutny!). Ale próżne to marzenia. I w armii nie na wszystkich liczyć może dynastya. Jednym z ostatnich czynów upadłego gabinetu, było usunięcie z czynnej służby wysokiej rangi oficera za głośne objawianie opinij i uczuć monarchicznych. Zobaczymy.

K. T.

Ognisko Socyalizmu.

(Z *Kuryera Poznańskiego*).

W Wiedniu wyszła broszura pod tytułem: *Socyalna bieda wielkich miast, ze szczególnem uwzględnieniem Wiednia i Berlina* przez Edwarda Deutsch (Das sociale Elend der Grossstädte), w której autor, oparty na statystycznych danych nadzwyczaj ciekawe opowiada szczegóły, dowodzące, że obok nowoczesnego prawodawstwa i innych społecznych niedostatków wielkie miasta, gromadzące w swych murach setki tysięcy ludzi, spragnionych zysku, bogactwa i rozkoszy, w wielkiej części odpowiedzialne są za smutny socyalny stan dzisiejszego społeczeństwa.

Wielkie miasta, w których nowsze ustawy ułatwiły wielce osiedlanie się najróżnorodniejszych żywiołów, gdzie zbita i na różne zawody rozklasyfikowana ludność, goniąc za zyskiem, coraz więcej od rodzinnego życia się odstręcza i o Bogu zapomina, były od dawna gniazdem rozmaitych zbrodni występków.

Pismo p. Deutsch stawiło sobie za zadanie udowodnić, że im więcej ludność w wielkich miastach rośnie, tem widoczniej szerzy się pomiędzy nią zepsucie, zdziczenie młodzieży, włóczęgostwo, prostytucya, fałszerstwo artykułów żywności, samobójstwo i innego rodzaju nędza i bieda społeczna, jak np. zmniejszanie się liczby małżeństw, wzrost rozwodów i urodzeń dzieci illegitimi thori. Według sprawozdania ministra sprawiedliwości toczyło się w r. 1876 w prowincyach brandeburgskiej, pruskiej, szląskiej, w Wielk. Księstwem Poznańskiem, w Westfalii i prowincyi saskiej nie mniej nie więcej, jak 6728 procesów o rozwód. Były czasy, że i w Kościele naszym, mianowicie w Polsce, mnożyła się liczba rozwodów, do takiej jednakże stosunkowo wysokości cyfry te nigdy nie doszły; aleć też wówczas nie mieliśmy tak liberalnego prawodawstwa, ułatwiającego wystąpienie z Kościoła za kilkadziesiąt fenigów i pozwalającego za lada pozorem targać święty węzeł sakramentu małżeństwa. W ostatnich latach, od r. 1867 do 1876 wynosiła w Wiedniu liczba dzieci illegitimi thori na początku 50, na końcu 39 procent, w Berlinie zaś 14 procent, ogólnej liczby urodzonych dzieci, a obok tego liczba rozwodów, dokonanych w samym Berlinie, wynosiła 3 procent zawartych małżeństw.

Prawdą jest, że bieda i nędza czuć się daje w całych Niemczech, atoli gwałtowny napływ ludności do miast wielkich, jaki się odbył na mocy ustaw o wolności przenoszenia się z miejsca na miejsce, jest przyczyną, że ciemne strony tej biedy daleko wybitniej występują w wielkich miastach, aniżeli po wsiach, lub miasteczkach. W jaki zaś sposób zwiększała się liczba napływowej ludności, pokazują następujące daty statystyczne z Berlina: w r. 1874 było w stolicy Niemiec 49,6 proc. urodzonych Berlińczyków, a 504 prct. obcych; w r. 1875 było 412 prct. Berlińczyków a 587 prct. obcych; z jakich zaś żywiołów składają się ci przybysze, dowodzi ta okoliczność, że budżet ubóstwa miasta Berlina, wynoszący przeszło 3 miliony marek (oprócz opieki nad sierotami) z każdym niemal miesiącem wzrasta i potrzebom biedy berlińskiej w żaden sposób zadość uczynić nie jest zdolny. W r. 1873 wynosił ten budżet 3.125.372 marki a w r. 1876 już 3.428.565 marek. W sprawozdaniu reprezen-

tacyi miasta Berlina za rok 1876 czytamy: „wolność przenoszenia się z miejsca na miejsca daje się w pierwszej linii uczuć Berlinowi“. Pracująca ludność wiejska i małych miasteczek, korzystając z wolności, jaką im ustawa daje, tłoczy się formalnie do stolicy, gdzie ją najczęściej ciężki spotyka zawód, gdzie jeden, lub drugi rok przebieduje i nakoniec staje sie „ciężarem dla miasta“, które jest dla niej według ustawy po krótkim pobycie t. z. „Unterstützungs-Wohnsitz“. Nieograniczona wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce wyszła jedynie na korzyść wielkiego przemysłu, wielkich przedsiębiorców i gryndérów, gdyż oni to kosztem rolnictwa i właścicieli ziemskich zdobyli bardzo wiele tanich sił roboczych. Atoli ta chwilowa korzyść nie wyszła na dobre niemieckiemu przemysłowi, bo się stała źródłem zbytniej produkcyi i wyrodziła się w znany przymiot niemieckiego przemysłu: „bilig und schlecht“. Rolnictwo zaś, ta główna podstawa bytu coraz więcej upada; są dzielnice w Niemczech, gdzie role leżą odłogiem dla braku sił roboczych, gdzie rolnictwo ustępuje miejsca hodowli bydła, po większej zaś części rolnicy nie pracują już ludźmi, ale drogo opłacanemi i z zagranicy sprowadzonemi machinami.

Jak skutki rewolucyi francuzkiej i dla tego były tak straszne, że podczas tej katastrofy mówiono tylko o p r a w a c h a nigdy o o b o w i ą z k a c h człowieka, tak też i ustawa o wolności przenoszenia się daje pewne prawa, ale nie nakłada obowiązków i dla tego nie wydaje dobrych owoców. Z tych ogromnych mas ludności, które się nagromadziły w wielkich miastach, odpada nietylko znaczny procent przestępców i zbrodniarzy, wydrwigroszów i oszustów, którzy wszyscy podpadają pod kodeks karny i dostają się lub dostać powinni do więzienia, ale nadto powstają całe legiony ludzi zawiedzionych w swych nadziejach, którzy zamiast spodziewanego szczęścia, znajdują głód i nędzę, którzy są gotowym materyałem dla socyalizmu. Wyzuci z uczuć religijnych, pozbawieni pociechy wiary, zamiast do Kościoła, idą na zebrania socyalistów; syrenie słowa Mostów i jego towarzyszy, dowodzących, że Boga niema, że dzisiejszy ustrój społeczeństwa jest krzyczącą niesprawiedliwością, że szczęście tylko w socyalizmie itd. — padały jak rosa na spiekłe serca tych nieszczęśliwych ludzi i czyniły ich odrazu zwolennikami stronnictwa przewrotu. W ten sposób tłómaczy się, zkąd Berlin, Wrocław, Drezno, Eberfeld i t. d. mogły dostarczyć takiego kontyngensu socyalistycznych wyborców.

LUDWIK MIEROSŁAWSKI.

Nie spodziewają się zapewne czytelnicy nasi znaleźć w *Przeglądzie* biografii zmarłego przed niewielu dniami generała. Nie należąc bynajmniej do zwolenników przewrotnej zasady: *de mortuis nil nisi bene*, spoglądając ze wstrętem na niegodne praktyki pewnych pism, które sypią dziś kwiaty na mogiłę tych, których wczoraj bezcześciły a Katońskie cnoty przypisują nieboszczykom, którzy wiedli życie złe i występne — uwazamy przecież, że majestat śmierci powinien wzbudzać pewne umiarkowanie w potępieniu. Nad świeżą mogiłą może i powinien zabrzmieć surowy głos prawdy — ale wolny od goryczy i namiętności. Nie godzi się nigdy wchodzić w układy z fałszem,

ale jak najspokojniej i najwstrzemięźliwiej sądzić wtedy, gdy już sam Bóg wydał dekret nieodwołalny.

Kto zna *Przegląd*, nie będzie w wątpliwości, co trzymamy o najwybitniejszym a zarazem najbardziej osławionym przedstawicielu rewolucyjnego kierunku w Polsce — jakie mamy zdanie o jego długoletniej działalności, która tak smutne wydała owoce. Mówi Pismo, że kto sieje wiatry, ten zbiera burze — inaczej być nie może. Nie będziemy po szczególe przechodzili jego czynów, jego publicznych występków, przemówień i t. p., gdyż możeby słowo wezbrało silniejszem oburzeniem, aniżeliśmy zamierzyli. Wierzymy chętnie, że prywatne życie głośnego rewolucyonisty wolnem było od tych brzydkich rzeczy, jakie mu zarzucano, ale to, co publicznie robił i mówił, wystarcza, aby nas od niego oddalić. Nie szukając dalej, przypominamy tylko jego katechizm rycerski, który ze strony Klaczki spotykał się z odprawą pełną szlachetnej indygnacyi. Przytoczone tam wiernie słowa Mierosławskiego, dają miarę zgubnego wpływu, jaki w skutek olbrzymiego rzeczywiście talentu krasomówczego wywierał na młode i niedoświadczone umysły. Tocząc po kolei wojnę z wszystkimi, doczekał się ten niezwykły w każdym razie człowiek tego, że społeczeństwo przeszło nad nim do porządku dziennego, że nad imieniem jego zapanowała wielka, grobowa cisza, a o pismach jego nawet wbrew publicystycznemu zwyczajowi nikt słowem nie wspominał.

Owo milczenie, rzecz dziwna, jeden z liberalnych organów pragnąłby złożyć na karb ludzi konserwatywnych przekonań. „Spotkała go — mówi w przystępie złego humoru znany statysta *Dziennika Poznańskiego* — dzięki obecnej apatyi i bezkrytyczności społeczeństwa naszego, pod koniec żywota kara, jaką u nas stronnictwa zachowawczej barwy czy pretensyi (!) z dziwnem powodzeniem na swych przeciwnikach wymierzać zwykły. Karą tą, srozższą dla człowieka siły, zdolności i stania się użytecznym krajowi, od wszystkich Sybirów i Kaukazów, jest pogrążenie systemem i zmową milczenia w przepaść niepamięci wtedy i w tem nawet, o czemby uczucie sprawiedliwości i zdrowe zastanowienie zapominać i milczeć nie pozwalały“. (*Bene. Co za styl*).

Wyznajemy, że są zarzuty, na których oznaczenie w słowniku najbardziej parlamentarnych wyrażeń nie podobna znaleść innego słowa, jak *zła wiara*. Jakto więc konserwatyści winni, że w ostatnich latach tak głucho było o Mierosławskim, jak gdyby nie należał do społeczności żyjących; że miejsce dawniejszego rozgłosu, zastąpiło wzgardliwe milczenie? Zróbmy sumienny obrachunek — zobaczmy, czyją się to stało zasługą. Nie ulega watpliwości, że tak powszechne odwrócenie się narodu od osobistości, która odegrała wybitną rolę — połączone z najzupełniejszem zobojętnieniem dla niej, następuje tylko po moralnej śmierci tejże osoby. Śmierć tę zadali mu nie konserwatyści, ale liberały i rewolucyoniści. Najenergiczniejszym protestem ze strony konserwatywnego obozu przeciw wstrętnym doktrynom demagogicznego przywódzcy, jest wspomniany powyżej znakomity artykuł genialnego publicysty. Mimo gorącego oburzenia, jakie z niego wieje — brzmi on niemal sielankowo w porównaniu ze zjadliwemi pismami liberałów. Praca Klaczki jest godziwym rozbiorem rzeczy publicznie wygłoszonej i wydrukowanej, a polemiczne broszury i dzieła (niektóre z nich dochodzą istotnie do rozmiarów dzieł) liberałów i rewolucyonistów, a poczęści dawniejszych przyjaciół i wielbicieli generała, są paszkwilami najniższego gatunku, tchną uczuciem najsroższej nienawiści,

odkrywają tajniki prywatnego życia i przedstawiają obżałowanego w potwornem i odrażającem świetle. Gdzież — pytamy — który z konserwatystów popisał podobne rzeczy, jak pp. Aleks. Guttry, Zyg. Miłkowski (Jeż), Kosiński, Agaton Giller, Chotomski („Chochlik,“ autor Gorzkich żalów kosyniera), i tylu, tylu innych. Czyż nie lepiej było milczeć, aniżeli takiemi brudami rzucać sobie w oczy?!

Stara to piosenka, owo zwalanie winy na konserwatystów. Wszakżeż to i p. Dobrzański głosi czasami, że konserwatyści usiłują go zgubić w opinii, ażeby w ten sposób pogrzebać „ideę“, której on jest reprezentantem i rycerzem, a przecież żaden konserwatysta nie powiedział mu nawet setnej części tych pięknych komplementów, jakie się mieszczą w słynnyeh listach jego dawniejszego współpracownika i druha, p. A. J. O. Rogosza, drukowanych w porze niemniej słynnego procesu....

Dr. Ω.

P. AGATON GILLER.

Tułacza dola, jak i każde wielkie nieszczęście ma również swój majestat, wobec którego niknąć muszą i najsłuszniejsze żale do ludzi, srogim prześladowanych losem. Serce uczciwego człowieka nie może nigdy uwolnić się od smutku, lub nie czuć boleści, nawet wobec skazanego na ciężką karę zbrodniarza. Cóż więc dziwnego, że nam żal było, żal serdeczny p. Agatona Gillera, gdy mu polecono kraj nasz opuścić. O bo nad wyraz bolesnem jest tułactwo. Myśleliśmy jednak, że wygnanie, wyrywając p. Gillera z wiru gazeciarskiej polityki, otoczy go tą błogosławioną samotnością, która pozwala człowiekowi wnijść w samego siebie, głębiej zastanowić się i jaśniejszem okiem spoglądać na wypadki i ludzi. Inaczej na p. Gillera oddziałało wygnanie. Snać w osamotnieniu nie sama tylko cnota ma swoich wybrańców. A stara prawda przez jednego z największych politycznych mężów wypowiedziana: *diffamer et calomnier est pour le conspirateur une seconde nature, une espèce de necessité*, zawsze znajdować będzie swe uroczyste zatwierdzenie. Szkoda doprawdy, że p. Giller swemu usposobieniu dał folgę i w formie *otwartego listu* ogłosił uniwersał do całego kraju. O Molskim dowcipnie ktoś powiedział:

Jakimkolwiek jest los Polski
Zawsze wiersze pisze Molski.

Ciekawa doprawdy rzecz, co powiedzą w przyszłości o uniwersałach p. Agatona Gillera, jeźli ta przyszłość wiedzieć o nim będzie.

Ale Molski miał jedną przynajmniej cnotę... Był skromnym. Nie myślał wcale zajmować swoją osobą ani Europy, ani nawet Polski.

Wprawdzie mężowie stanu mają czasem nader śmieszne słabości. Jednemu np. z wielkich polityków angielskich zdawało się czas jakiś, że aż cztery konie zagrzęzły mu w mózgu. W każdym razie dobrze zrobił p. Agaton Giller, że mimo umieszczonego w *Tagblacie* swego portretu, przypomniał się światu. Zaczęto już zapominać o nim, a ów blask gloryi, jaką go nie potrzebnie zdaniem naszem otoczył c. k. austryacki rząd, wydalając go z Galicyi, począł już blednąć, i pamięć o p. Gillerze zacierała się we wrażliwej a nadewszystko ważniejszemi sprawami zajętej wyobraźni Lwowian. Koniec końcem, *list otwarty* p. Gillera do hrabiego Platera (z którym mieszka pod jednym dachem), wydrukowany został, jak się dowiadujemy z *Gazety Narodowej*, nietylko „w pismach zagranicznych(!) a i osobno“. Wnosząc z wyjątków, umieszczonych w *Gazecie*, musi to być list wspaniały. Wszak: *parva licet componere magnis*. O, prawdę powiedział poeta:

Takto i całe narody zabije
Zapał wściekłego szaleństwa,
Kiedy się jadem wściekłości opije
Biedny ogon społeczeństwa!

P. Giller omawia w tym liście sprawę wydalenia go z Galicyi; przytacza w nim rozmowy z panem Löblem i J. Exc. Alfredem hr. Potockim. Ciekawe to nadzwyczaj rozmowy. P. Löbel nie miał nic do zarzucenia p. Gillerowi, ale: „słysząc, iż o mnie patryoci mówią z uznaniem, iż się na moje zdania i opinie powołują, wyobraził sobie, iż muszę być naczelnikiem patryotycznego ruchu polskiego, i dlatego uważał za właściwe wydalić mnie z Galicyi“. Wprawdzie p. Giller zaprzeczył temu: „ażeby zajmował zaszczytne a wysokie stanowisko naczelnika patryotów“ (!), a nadto wyraził przekonanie, „iż jego działalność jako publicysty i autora dzieł była pożyteczną dla kraju i dla dobrze zrozumianej polityki austryackiej“.

Oczywiście, że ministrowie austryaccy powinni zasięgać rady u p. Gillera i korzystać z „dzieł“ jego!... *Niepoprawni!...*

„Z całej rozmowy, mówi p. G., widziałem, iż postanowiono mnie wygnać z Galicyi, na żądanie ukrytych moich i polskiego patryotyzmu nieprzyjaciół“.

Rzecz oczywista, że osobistość pana G. i „polski patryotyzm“, są tak nierozdzielne, iż nikt nie może być dobrym

patryotą, kto jest.... p. Gillera przeciwnikiem! O! ma zupełną słuszność *Obywatel Tromtadrata:*

Od Krakowa po Podhajce
Sami Zdrajce!

A ten portret *Obywatela Tromtadraty* takie ma w sobie patryotyczne ciepło, taki ogień w swym kolorycie, taką głębokość politycznego rozumu, że chyba ślepy nie rozpozna w jego rysach podobieństwa do tych wielkich patryotów, którzy w p. Gillerze widzą przywódcę i na jego „zdanie i opinię powołują się“ nawet w *Gazecie Narodowej!*

Jeszcze jednego ustępu z owego listu nie godzi się pominąć. Są to słowa hrabiego Alfreda Potockiego, wyrzeczone do p. Gillera w odpowiedzi na zapytanie, co mu rząd ma do zarzucenia. Nie podejrzywaliśmy nigdy hr. Alfreda Potockiego, aby przeciw biednemu człowiekowi tak bolesnej i nad wyraz siekącej mógł użyć ironii, tem dotkliwszej i tem bardziej gryzącej, im w delikatniejszą formę pewnej pańskiej dobroduszności ujętej: „Alboż pan nie wiesz (miał odpowiedzieć hrabia namiestnik) co my mamy przeciw panu? Pan, przed którym są otwarte najbardziej zakryte stosunki, jak się o tem przekonaliśmy ze świeżo wydanej przez pana broszury o Wielopolskim, nie wiedziałbyś, co mamy przeciw panu?“

Ta odpowiedź hrabiego w swem subtelnem i wykwintnem zacięciu ironicznem jest w istocie niezrównaną. P. Giller przytoczył ją dlatego jedynie, iż jej nie zrozumiał.

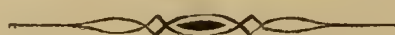
Jeszcze jedno słówko. P. Giller chcąc dowieść, o ile w danej mu przez p. namiestnika odpowiedzi mieści się prawdy, chcąc pokazać, czem jest dla Polski, mówi: „nocą i dniem marzę tylko o jej samodzielności i o jej szczęściu!“....

Spij więc narodzie spokojny, skoro taki opiekun i taki stróż czuwa nad tobą i za ciebie. Wówczas spełnią się wreszcie słowa poety:

Dosyć już głowy rządziły
Przyszła kolej na ogony!

I potrzebaż było wydalać z kraju pana Gillera i rzucać go na tułaczkę!

Nałęcz.



Kronika.

Republikańska większość francuzkiej Izby deputowanych wybornie korzysta z przewagi, jaką jej daje liczba; bez litości unieważnia po kolei niewygodne dla siebie wybory. Dawno już wiadomo, że dla tych panów wyraz wolność wtenczas tylko ma znaczenie, kiedy ich celom służy, ale nigdy może tak wyraźnie, z tak krzyczącą niesprawiedliwością nie okazali tego. Jeźli deputowany jest konserwatywnym, jeźli szczególniej wybitne zajmuje stanowisko w katolickim obozie, choć wybrany ogromną większością, choć naprawdę wyborowi jego nic zarzucić nie można, upaść musi, bo republikanom tak się podoba. Z wielu przykładów podnosimy tylko jeden hr. de Mun, gorącego katolika, założyciela i prezydującego kółek robotniczych, znakomitego mówcy a męża odwagi i stałości przekonania żelaznej. Podnosimy zaś nietylko dlatego, że w obronie swego wyboru prześliczną powiedział mowę, w której jasno wykazał niesprawiedliwość większości, ale, że w skutek swej mowy zaszczycony został wielkiej doniosłości listem hr. Chambord (Henryka V). List ten istną burzę wywołał we Francyi. Dzienniki republikańskie, choć udają lekceważenie, widocznie są zatrwożone, a znaną, dawno zużytą taktyką, grożą teokracyą, kontr-rewolucyą, panowaniem księży itd. Cóż naprawdę w owym liście z 20 listopada, powiedział hr. de Chambord? Podziękował hr. de Mun za odwagę, z jaką wypowiedział przyczyny upadku Francyi, stanął w obronie wiary i prawdziwej wolności, wykazał ohydne kłamstwa, jakiemi posługuje się rewolucya. Podnosząc następnie, że ideałem rewolucyi jest państwo bez Boga, t. j. przeciw Bogu, oświadcza, że „jeżeli Francya ma być zbawioną, potrzeba, żeby Bóg do niej wrócił jako Pan, jeźli on ma rządzić jako król". Kończy pobudzając do ufności, „gdyż przyszłość należy do ludzi, mających wiarę i odwagę".

Ten sztandar królewski, na którym wypisane *prawa Boga* do rządu społeczeństwem, więc państwem, musi wydawać się anomalią dla synów rewolucyi, która ogłosiła *prawa człowieka*, ale katolicy z przekonania gorąco temu przyklasnęli. Prawda, że dziś stronnictwo katolickie i rojalistyczne stanowi mniejszość w parlamencie francuzkim; hr. de Chambord wie o tem dobrze, ale wie także, że wzywając do obrony prawdy ludzi wiary i odwagi, mimo uśmiechu polityków utylitarnych, dobry wybór czyni; toć garstka takich mężów z Gedeonem na czele odniosła zwycięztwo. Do kogo należy przyszłość we Francyi, Bóg jeden wie, jak w Jego ręku zwycięztwo prawdy, ale po liście Henryka V położenie tam się wyjaśniło, dwuznaczność ustąpić musi, a wybór zostaje tylko: z Bogiem, lub z rewolucyą.

* * *

Z Rzymu: *Te Deum* Piemontczyków — Dyabeł w klasztorze — Parlament włoski — Anonimy — Miny na Montecitorio — Środki ostrożności — Figle wyprawiane przez wielu — Materyalizm z katedry — Moleschot — Wyznanie socyalistów w Berlinie — Fotografia Ojca Św. i napis.

Po zamachu na króla Humberta, Włosi — mówimy o rządowych, *italianissimi* — dziwnie stali się pobożnymi; zewsząd donoszą o dziękczynnych nabożeństwach, odbywanych na żądanie władz. Widać, że uczucie religijne rozbudziło się. Szkoda tylko, jak słusznie zauważyła *Unità Cattolica*, że nie

wcześniej, bo gdyby śpiewano *Te Deum* po wstąpieniu na tron króla Humberta, możeby nie było potrzeba śpiewać teraz, gdyżby nie było zamachu. Bądź co bądź, zawsze to pocieszający objaw, ten zwrot ku Bogu, byle tylko był trwały, a temu nie wszyscy chcą wierzyć. *Osservatore Romano* np. przypomina ów znany wierszyk o dyable, który, gdy zachorował, tak się kruszył, że obiecywał pójść do klasztoru na pokutę, ale postanowienie trwało tylko do wyzdrowienia:

Daemon valebat, monachus tunc esse volebat;
Ast, ubi convaluit, mansit ut ante fuit.

My radzibyśmy wierzyć, że i król Humbert, i ministrowie jego, i cała klika rządzących, dojdzie do przekonania, że w Rzymie dla nich niebezpiecznie, bo nie ma błogosławieństwa Boskiego, i zechcą sobie powrócić do Piemontu, gdzie, jak historya uczy, ani razu nie było zamachu na panującego. Co więcej, spodziewamy się, że jako w państwie konstytucyjnem, rady tej udzieli parlament, któremu także niemałe w Rzymie grozi niebezpieczeństwo. Właśnie, kiedy deputowani w niezwykle wielkiej liczbie zgromadzeni w dawnym papiezkim gmachu na Monte-Citorio rozpoczęli obrady nad niepewnem wewnętrznem położeniem Włoch, rozeszła się pogłoska, z razu głucha, później coraz bardziej niepokojąca, że gmach parlamentu podminowany przez partyę wywrotu, że w danej chwili wszyscy deputowani wylecieć mogą w powietrze. Prezydyum parlamentu miało otrzymać bezimiennym listem przestrogę, czy groźbę, podobnie, jak i króla Humberta przestrzegano także przed napadem Passananti'ego. Członkowie Izby wiedzą, że rzecz to możebna. Nie sięgając nawet do sławnego spisku prochowego w Anglii w 1605 r., kto wie, czy między nimi samymi nie zasiada jaki doradca podminowania koszar żuawów papiezkich, przez Monti'ego i Tounett'ego, a z pewnością wielu, którzy czyn ten, jako bohaterski pochwalało. Ej, kto mieczem wojuje, od miecza zginąć może! Gdyby parlament włoski zechciał posłuchać naszej rady, powiedzielibyśmy: „Szan. panowie deputowani, zamiast spierać się o ministeryalne teki, bo ostatecznie o to teraz idzie, zawotujcie przeniesienie nazad stolicy, więc i parlamentu do Turynu, a wyjedziecie bezpiecznie i wygodnie pierwszą klasą kolei żelaznej, z błogosławieństwem Papieża; inaczej, ci niepoczciwi socyaliści gotowi nie żartować, a doprawdy, jeżli balonem lecieć w powietrze nie bardzo bezpiecznie, cóż dopiero, bez punktu oparcia?" Czy dziś takiej rady usłuchałby parlament włoski, nie wiemy, ale wiemy, że kiedyś z pewnością to nastąpi, a może nie z równem, jak obecnie, bezpieczeństwem.

Pogłoska, o której mówiliśmy, niemały popłoch wywołała w Izbie; prezydyum też zarządziło środki ostrożności. Nietylko zwiedzono jak najstaranniej piwnice gmachu sejmowego, ale i gmach cały w czasie posiedzeń silną otoczono strażą. Cały batalion piechoty strzegł całości panów deputowanych, drugi batalion strzelców stał gotowy pod bronią w bliskiem sejmu zabudowaniu; zmieniono bilety wstępu na galeryę sejmową, i każdy z deputowanych dostał jeden tylko bilet z wypisaniem imienia i nazwiska osoby, której dać go zamierza. Przebrani ajenci policyjni przebiegali po całym gmachu, troskliwie bacząc na wszystkich wchodzących.

Tak zabezpieczeni deputowani, obradowali spokojnie. W tem — a działo się to 6 b. m. wieczorem, kiedy jeden z posłów p. Malacari, począł silnie

przemawiać przeciw ministrowi spraw wewnętrznych, prezydujący nagle z widocznem pomięszaniem w głosie, zamyka sesyę. Któż opisze przestrach, jaki zapanował w izbie? Deputowani, dziennikarze, publiczność, w jednej chwili rzucili się do drzwi. Mówiono o bombach, minach i innych równie strasznych rzeczach. Na szczęście, skończyło się na strachu; pokazało się bowiem, że w nieobecności urzędnika od telegrafu sejmowego, wiatr przez otwarte okno rzucił drut telegraficzny, którego iskra zapaliła gaz, i ztąd powstał mały pożar, w kilku chwilach przez nadbiegłą służbę sejmową ugaszony.

Nas co innego przeraża: Tenże rząd, który mówi o wdzięczności Panu Bogu za ocalenie króla, mianuje jednocześnie na katedrę filozofii na uniwersytecie Rzymskim, głośnego Jakóba Moleschott'a. Nominacya taka, to tryumf materyalizmu, gdyż Moleschott w książkach i wykładach swoich chce „wzbudzić entuzyazm dla materyi", odmawia człowiekowi wolnej woli i czyni go po prostu machiną nieodpowiedzialną za swe czyny. Od trzydziestu lat już głosi z katedry niewiarę w Holandyi, Szwajcaryi i Turynie; i obecnie ma jej nauczać w Rzymie, *Caput mundi*! Czyż ministeryum włoskie nie wie, że socyalizm w praktykę tylko wprowadza zasady materyalizmu? otwarcie to wyznał Bebel w czasie ostatnich rozpraw parlamentu niemieckiego w październiku, nazywając mistrzami swymi takich: Bauera, Feuerbacha, Strausa i Renana, których ateistyczną naukę socyalizm szerzy tylko między ludem.

Taką to tamę chce rząd włoski stawić socyalizmowi, takie uczucia religijne zamierza szerzyć między młodzieżą!

W skutek zawezwania dzielnego dziennika turyńskiego *Unità Cattolica* z całych Włoszech spływają na korzyść wygnanych na Sybir księży polskich liczne ofiary. Jedno słowo zachęty ze strony tego dzielnego dziennika wystarczyło, iż z rozmaitych stron, mianowicie z Neapolu zjawiły się dosyć liczne ofiary po 20, po 30, a nawet i po 50 fr. Nigdzie bardziej nie widać wpływu religii katolickiej na społeczeństwo, jak we Włoszech. Po ofiarności chrześcijańskiej rozpoznać można prawdziwego katolika od Italianissima. Owe wspaniałomyślne objawy tej cnoty na tem większe zasługują uznanie i pochwałę, że dziś Włochy właśnie nie mogą się szczycić pomyślnym dobrobytem. Ks. kanonikowi Paoli ze Syeny należy się wdzięczność za to, że się zajmuje zbieraniem tych składek szlachetnych. W ogóle Włosi bez względu nawet na stronnictwa wielką okazują sympatyę dla Polaków.

Kuryer Poznański donosi, iż Ojca Św. fotografował w tych dniach fotograf z Birmingham, p. Ecstham. Fotografia udała się znakomicie; Ojciec Św. obdarzył artystę orderem, i napisał następujący epigram:

Ars photographica:
Expressa solis spiculo
Nitens imago, quam bene
Frontis decus, vim luminum
Refert, et oris gratiam!
O mira virtus ingeni!
Novumque monstrum! imaginem
Naturae Apelles aemulus
Non pulchriorem pingeret.

Coby mniej więcej znaczyło po polsku: O jakżeż pięknie sztuka fotograficzna za pomocą promieni słonecznych w lśniącym obrazie wyraża i czoła wspaniałość, i oczu bystrość i ust wdzięk przenadobny! o dziwna to zaiste ducha potęga! i nowe zjawisko cudowne! nawet Apelles, co z naturą szed w zawody, nie wymalowałby piękniejszego obrazu.

Leon Papież XIII.

* * *

Z Warszawy. Ucisk Kościoła nie ustaje. Niedawno, jak donoszą *Czasowi*, Biskup Wierzbowski w Sejnach przywołany został przez jenerał-gubernatora Kotzebuego do Warszawy. Przyjęty z wyszukaną grzecznością, ale jednocześnie janerał Kotzebue oświadczył mu, że doszło do wiadomości rządu, iż księża łacińskiego obrządku przyjmują do spowiedzi i udzielają Sakramenta święte Unitom w dyecezyi, jego zarządowi podległej; że rząd domaga się od księdza Biskupa, by nadużycia te nadal nie powtarzały się. (W dyecezyi Sejneńskiej jest 13 parafij unickich, rozrzuconych pomiędzy katolikami łacińskiego ritu). Jaka była odpowiedź Biskupa nie wiadomo, ale to pewna, że zgodną z obowiązkiem pasterza katolickiego. Mówią że jen. Kotzebne wymienił pewną rodzinę rosyjską, która jest i powinna być błahoczesną, a której Sakramenta w kościele katolickim są udzielane. Na to ksiądz Biskup: Rodzina ta jest katolicka, choć z pochodzenia rossyjskiego, nietylko żyjący ojciec rodziny jest katolikiem, ale i ojciec jego, choć się z tem taił, był katolikiem. Odpowiedź księdza Biskupa była stanowcza, i z godnością powiedziana.

* * *

Ze Lwowa: Deputacya lwowska u N. Pana — Odpowiedź Cesarza — Zły humor centralistów wiedeńskich — Przyczyna gniewu — Polskie dezorganizacyjne żywioły wobec Moskali — Pochwały — *Petersburgskie Wiadomości* o p. Hausnerze — Nihiliści w Moskwie — Z kraja umarłych — Wyrok „Swiętej Zemsty" — Mowa w Moskwie — Odpowiedź p. Hausnera panu Abrahamowiczowi — *Drugi list otwarty* — *Po Sejmie* hr. Tarnowskiego — Wybory w Samborskiem — Piękna cywilna odwaga wyborców z Samborskiego.

Brak czasu i miejsca nie pozwala nam mówić obszerniej o naszych krajowych sprawach. A ostatnie dwa tygodnie mnóstwo ważnych przyniosły nam rzeczy. Deputacya lwowskiej Rady miejskiej złożona z pp.: Wacława Dąbrowskiego lakiernika, Gromana współwłaściciela *Gazety Narodowej* i izraelity Filipa Zuckra pod przewodnictwem prezydenta miasta dra Jasińskiego otrzymała u Najjaśniejszego Pana posłuchanie w Peszcie. Na swe żale, wniesione z powodu zajść lwowskich, otrzymała w odpowiedzi pełną znaczenia i doniosłości odpowiedź. Najjaśniejszy Pan przemówił tutaj nietylko jako panujący nad licznemi ludaml, ale jako ojciec do swoich dzieci i naznaczył, iż nas Polaków z tej polskiej prowincyi zalicza do najmilszych i najdroższych sercu swojemu. Oto słowa Cesarza:

„*Namiestnictwo zarządziło śledztwo, w skutek którego nastąpi jak najsurowszv ukaranie winnych. Z tem wszystkiem zważyć należy, że rozporządzenia władz respektowane być muszą, i proszę was, moi Panowie, abyście w tym duchu działali. Zauważyliście słusznie, że pomyślność koronnego kraju Galicyi bardzo żywo mnie interesuje. Przy każdej też sposobności odbieram dowody przywiązania tego kraju, a jego legalni reprezentanci okazują zawsze przez prawidłowe, mężów stanu godne zachowanie się, że interesa Monarchii całej leżą im na sercu, co — zapewniam was — wy-*

chodzi na pożytek waszego kraju koronnego. Tem bardziej ubolewania godnemi są ostatnie zdarzenia, które w skutek secesyi zakłóciły dotychczasową użyteczną jednomyślność galicyjskich posłów. Spodziewam się przywrócenia poprzedniego stanu".

Cesarska odpowiedź wywołała w obozie centralistów wiedeńskich najwyższy niepokój i niezadowolenie. Nie umiano nawet ukryć swego gniewu że Cesarz pochwalił zachowanie się Polaków, a twórcom bolesnych zajść lwowskich dał delikatną naganę. Centraliści byliby woleli ujrzeć chwilowy tryumf swawoli, byle nam ścieśnić swobodę autonomiczną i pozbawić polskich urzędników. Dziwna doprawdy rzecz i wiele do myślenia dająca, że wszelkie dezorganizacyjne u nas żywioły znajdują zawsze gorliwe poparcie ze strony największych wrogów naszej narodowości. Dotychczas jeszcze *Petersburgskie Wiadomości* rzucają gromy na polskich urzędników w Galicyi i na szlachtę, a obsypują pochwałami i zajścia lwowskie i dzienniki lwowskie i p. Hausnera. Ostatni wyrósł w ich oczach na prawdziwego bohatera i największego męża stanu. Doprawdy że nas zadziwia, iż dotychczas nie podniosły jeszcze myśli ofiarowania mu kanclerskiej w jakiemś państwie posady. Gorczaków stary i snać wysuwa się już z rąk jego ster rządów. W łonie Rossyi wre... Sekty mimo podwojenia policyi i żandarmeryi nie dały rządowi za wygraną. Gazety głoszą, iż Carowi jadącemu z Liwadyi do Moskwy podłożono list wystosowany *Z kraju umarłych pod ziemią zostających,* w którym w imieniu najwyższego nihilistycznego trybunału, nazywającego się sądem *świętej zemsty*, grożą śmiercią, w razie jeźli sam nie złoży dobrowolnie korony, i czynią go odpowiedzialnym za wszystkie nastepstwa, jakie z tego powodu spaść mogą na społeczeństwo Moskiewskie. List ten a raczej wyrok miał przytłaczające na Carze zrobić wrażenie i wywołać ową pełną smutku mowę, mianą do szlachty w Moskwie, w której ją zaklinał, aby wierną pozostała synowi, gdy już jego samego nie będzie. *Digitus Dei hic*. Tymczasem p. Hausner na pierwszy *list otwarty p. Dawida Abrahamowicza*, do niego wystósowany, odpowiedział sofisteryą i w tak drażliwy sposób, że chcąc go uniewinnić, należałoby chyba powiedzieć, że te zebrane przez niego na polu centralistycznego i lwowskiego dziennikarstwa laury sprawiły, iż głos szczerego patryotyzmu i rozsądku nie znajduje do niego przystępu. Ślicznie o tem wszystkiem napisał Stanisław hr. Tarnowski, w ostatnim numerze *Przeglądu Polskiego*, w artykule *Po Sejmie*. Sprawdza się jednak u nas niestety, że najrozumniejszy nawet głos przejdzie bez odgłosu. Wybory w Samborskiem dowodem tego. Większością głosów wybrano p. Piotra Grossa, tego samego, który jako poseł głosował za solidarnością, a jako uczestnik bankietu (wyprawionego przez pp. Simona, Romanowicza i Dobrzańskiego) panu Hausnerowi, wysławia postępek ostatniego. Odpowiedź p. Hausnera, chroniącego się dotąd pod opiekuńcze skrzydła p. Dobrzańskiego w *Gazecie Narodowej,* otrzymała ze strony p. Dawida Abrahamowicza replikę w formie drugiego otwartego listu. Replika silna, piękna i stanowcza. Panu Abrahamowiczowi wdzięczność się należy za ten czyn prawdziwie patryotyczny i obywatelski. O wyborach w Brzeżańskiem równie jak i o pięknym a pełnym cywilnej odwagi proteście wyborców z Samborskiego na później.

Na Krzyż Biskupi

DLA OJCA ŚWIĘTEGO LEONA XIII

złożyli w Redakcyi:

Lista IV.

Ks. Ostrowski preboszcz z Brzeżan 1 dukat w złocie.
Ks. Piaskiewicz z Trembowli . . . . 1 złr.
Alojzy Blecharski kominiarz, członek Towarzystwa św. Wincentego a Paulo . . 1 dukat w złocie.
Ks. P. Szczudło od parafii Witkowickiej . . . . 4 „
Ks. Guziński proboszcz z dyecezyi Chełmińskiej 6 marek.
Ze składki w Hyżnem { W. T. J. . . . . . . 3 „
Ks. K. Z. . . . . . . 2 „
E. J. . . . . 5 „ }
Ks. Prałat Spithal Protonotaryusz Apostolski z Krakowa 10 „
Helena hrabina Husarzewska . . . . . . 10 „
Jadwiga hrabianka Husarzewska . . . . . 10 „
Dr. Ściborowski . . . . 1 „
Panny Wizytki z Krakowa . . . . . 1 dukat.
Ks. A. Dunajewski Prałat domowy Ojca Św. . 1 dukat.
Uczennica panny Górskiej . . . . . . „ . 4 „
Ks. L. Olszański od księży Missyonarzy ze Lwowa . . 5 „

Razem: 6 marek, 4 dukaty i 55 złr.
Z pierwszej listy: 1 napoleondor, 1 dukat w złocie i 408 „
Z drugiej listy: . . 5 franków w srebrze i 104 „
Z trzeciej listy: . . . 1 dukat w złocie i 115 „ 50 ct.

Razem: 1 napoleondor, 6 dukatów, 6 marek, 5 franków i 682 złr. 50 ct.

* * *

Świętopietrze.

OJCU ŚWIĘTEMU LEONOWI XIII

złożyli w Redakcyi:

(Serya II)

Ks. Piaskiewicz z Trembowli . . . . . . 2 złr.
Ks. P. Szczudło od parafii Witkowickiej . . . . . 5 „ 66 ct.
K. hr. M. . . . . 50 rubli.
Ks. Zygmunt Odelgiewicz, proboszcz parafii św. Mikołaja we Lwowie ze składek, zebrauych w kościele na dniu 6 Grudnia . . . . . . 18 „

Razem 50 rubli i 25 złr. 66 ct.
Z przeniesienia: 76 rubli, 1 dukat w złocie i . 287 „ 38 „

Razem 126 rubli, 1 dukat w złocie i . 313 złr. 4 ct.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny, ks. Edward Podolski.


UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 032122969